

KSIĘGA II

Tajemnicza księga i niebezpieczna podróż
poza granice ziemskiego świata

Gobelin

Henry H. Neff



DRUGIE
OBŁĘŻENIE

Świat Książki

Henry H. Neff

**Drugie obleżenie
Gobelin 2**

BOOK II OF THE TAPESTRY – THE SECOND
SIEGE

Przełożyła Katarzyna Rostan

Pamięci Davida Petera Gogolaka 1971-2008

1

WIEDZMA

Głęboko ukryty w dzikim zakątku Sanktuarium Rowan, Max McDaniels przycupnął pod czaszą opadających ku ziemi sosnowych gałęzi. Jakies dziesięć minut wcześniej wypatrzył w oddali u stóp szarych wzgórz ciemną, przemykającą ukradkiem postać. Wiedział, że ten, kto go ściga, musi już być w pobliżu. Wyjął z pochwy nóż i w świetle fosforyzującego ostrza zerknął na pospiesznie naszkicowaną mapkę, którą przygotował sobie, zanim wyruszył. Wciąż był daleko od celu. Pomyślał, że w tym tempie nigdy tam nie dotrze i że jego przeciwnik jest bardzo szybki.

Otrząsnął się z mało przyjemnych myśli i skoncentrował na iluzji, którą właśnie stworzył. Fantom był doskonałą kopią jego samego – kruczoczarne włosy i śniada twarz o ostrym wyrazie, która wyglądała teraz ostrożnie z kryjówki wysoko na drzewie. Chłopiec zadbał o to, by dyskretnie oznakować trasę swego marszu, choć doskonale wiedział, że wprawne oko bez trudu dostrzeże te znaki.

Ciszę, jaka zwykle panuje przed świtem, przeszył nagły, rozdzierający krzyk ptaka.

Coś się zbliżało.

Tętno Maksa przyspieszyło. Chłopiec spojrział w dół,

czy na krętej dróżce nie pojawiło się przypadkiem coś, co mogłoby wskazywać, że prześladowca się zbliża. Nie. Czuło się tylko zapach wilgotnej ziemi i lekki powiew wiatru, przesuającego strzępy mgły w dolinie.

Podczas gdy niebo przybierało powoli bladoniebieski odcień, Max rozglądał się i czekał, nieruchomy jak głaz między korzeniami i bujnymi zaroślami pokrzyw. I właśnie w chwili, gdy zdecydował się opuścić kryjówkę, kątem oka uchwycił jakiś ruch.

Jedno z drzew posuwało się pod górę.

Przynajmniej tak mu się wydawało. To znaczy wydawało mu się, że ów kształt jest drzewem – jedną z powyginanych, połamanych młodych siewek, których pełno było w okolicy i które rosły kurczowo wczepione w suchą glebę wzgórza. Powoli, powoli sylwetka „drzewa” wyprostowała się i zaczęła się przemieszczać w stronę rzadkiego lasu. Skradała się w kierunku sobowtóra Maksa, ciemna i zamglona niczym widmo. Kiedy dzieliło ją od niego już tylko parę metrów, chłopiec zdał sobie sprawę, dlaczego nie może zgubić swego prześladowcy.

Bo był nim Cooper.

Zniszczona, pokryta bliznami twarz agenta przypominała maskę z pogruchotanej, zwiertzałej kości. Jego bladą skórę powlekały brud i kurz, a charakterystyczne cienkie pasma jasnych włosów wysuwały się spod czarnej, ściśle przylegającej do głowy czapki. Doszedłszy do pnia drzewa, na którym krył się sobowtór Maksa, mężczyzna wyciągnął z pochwy na

ramieniu wąski nóż. Jego ostrze zaślnięło fosforyzującym blaskiem.

Cooper zaczął się wspinać na drzewo. Robił to płynnie, bez wysiłku, jakby był pajakiem. Kiedy się tak wspinał coraz wyżej, źrenice Maksa powoli się rozszerzały. Jego silne, gibkie ciało wypełniła straszliwa moc. Palce chłopca zaczęły drżeć i splatać się niespokojnie.

Raptownie wyskoczył z kryjówki.

Cooper odwrócił się ku niemu, gdy Max rzucił się nań z nożem.

Cios chłopca był celny, lecz broń, zamiast zagłębić się w ludzkim ciele, przeszła sylwetkę agenta jak powietrze i z hukiem uderzyła w korę drzewa. Utkany z czarów wabik Coopera rozpląnął się w chmurze czarnego dymu. Max uświadomił sobie, że dał się wystrychnąć na dudka.

Błyskawicznym ruchem odwrócił głowę i zauważył prawdziwego Coopera wyskakującego z zarośli obok.

Agent przemierzył dzielącą ich odległość pięcioma potężnymi susami. Max przerzucił nóż do lewej dłoni, a prawą uwiesił się na gałęzi. Nóż Coopera świsnął mu koło żeber.

Agent zacisnął żelazny uchwyt na nadgarstku chłopca.

– Mam cię – syknął.

Nagłym, nadludzkim zrywem Max wyszarpnął się z uchwytu i nożem zadał napastnikowi cios w ramię,

pozostawiając na czarnej tkaninie jaskrawą, fosforyzującą linię. Cooper aż stęknął ze zdziwienia. Max ponownie zamachnął się nożem i zeskoczył z drzewa.

Wylądował miękko i rzucił się do ucieczki. Na rozwidleniu ścieżek skręcił w prawo i pomknął stromym szlakiem zaznaczonym na mapce. Cooper biegł za nim i najwyraźniej nie przejmował się, że odległość między nimi wciąż się powiększa, a chłopiec pędzi z niebywałą prędkością. Max jak gdyby zapomniał o napastniku i skoncentrował się na lśniącym miedzią szczycie. Pędził bez wytchnienia pod górę. Był już ponad linią lasu.

Po dziesięciu minutach wytężonego biegu zauważył niewielki, biały proporczyk, zatknięty na postrzępionym skalistym wierzchołku. Zapamiętał jego położenie i uśmiechnął się mimo woli. Jeszcze dziesięć minut w tym tempie i – zwycięstwo.

Im dłużej jednak biegł, tym bardziej płytki i urywany stawał się jego oddech, aż w końcu przeszedł w łapczywe, gorączkowe łapanie tchu. Chłopiec nie przewidział, że wraz z wysokością powietrze staje się coraz rzadsze. Szybkie spojrzenie w tył uświadomiło mu, że tempo biegu Coopera nie zmieniło się. Max splunął na ścieżkę i przyspieszył kroku, mocno kaszląc.

Proporczyk był już bardzo blisko, ale ból i zawroty głowy stały się nie do zniesienia. Przed oczami chłopca błyskały maleńkie iskry, w ustach miał pełno gorącego, suchego piachu. Potknął się o wystającą skałę i przewrócił, raniąc kolano i gubiąc nóż. Kiedy niepewnie

stanął na nogach, ujrzał zamazany kształt.

Parę kroków dalej stał Cooper, a jego solidny czarny but przygniatał do ziemi rękojeść noża Maksa.

Agent wpatrywał się w chłopca. Jego pierś wznosiła się i opadała w rytm długich, powolnych oddechów. Zimne spojrzenie utkwiał w czerwonej łacie na ubraniu Maksa. Ta łąta to był cel. Naszyta była nad samym sercem chłopca. Uderzenie nożem w to miejsce oznaczało śmierć i automatycznie kończyło ćwiczenie.

– Poddajesz się? – spytał Cooper z charakterystycznym akcentem cockney.

Max odczekał chwilę. Przyjął obronną, skuloną pozycję i rozważał propozycję Coopera.

Natychmiast, gdy podjął decyzję, agent zareagował. Zrobił to tak prędko, jakby czytał w myślach Maksa. Zanim chłopiec zdołał choćby się poruszyć, mężczyzna jednym ruchem nadgarstka wysłał w kierunku łąty na ubraniu Maksa wąski, czarny nóż.

Nóż leciał prosto, szybko i niezawodnie. Max odtrącił go, rejestrując dotkliwy, kłujący ból, gdy stępione ostrze rozcięło mu dłoń. Rzucając się do przodu, Max zaskoczył Coopera mocnym kopnięciem w kolano i zmusił agenta do cofnięcia się o krok. Max rozprostował palce i jego nóż posłusznie wrócił mu do ręki. Szybką serią nagłych, delikatnych uderzeń i pchnięć chłopiec upozorował atak.

Rozsadzała go wściekłość. Jak śmieli wysłać Coopera! Cooper nie był uczniem Rowan – był samotnym zabójcą, który na rozkaz swych zwierzchników polował

na Wroga. A dziś został wysłany, by zasadzić się na Maksa – zapewne po to, by trochę przytemperować chłopca i upokorzyć go po serii łatwych zwycięstw. Max atakował dalej – dziko, brawurowo. Jeszcze chwila, a uda mu się trafić w łatę agenta i spokojnie, bez pośpiechu zabrać proporczyk.

Coopera jednak, w przeciwieństwie do poprzednich przeciwników, nie oszołomiła niespotykana prędkość i agresja chłopca. Agent opanował już chwilowy szok i odzyskał nóż. Walczący tańczyli teraz wokół siebie – w tył i do przodu. Cooper wkrótce ukrył się pod peleryną cieni i dymu, przybierając postać bardziej zjawy niż rzeczywistego napastnika. Po chwili Max musiał mrużyć oczy, by w ogóle dojrzeć jego czarną jak atrament sylwetkę na ciemnoszarym tle. W takich warunkach trudno mu było ustalić, w którym ręku Cooper trzyma broń, i osądzić, skąd padnie kolejny cios. Ciemność wokół postaci agenta pogłębiała się i tylko fosforyzujące ostrze jego noża błyskało jak błędny ognik, zdradziecko i nieprzewidywalnie. Co chwila znikało i pojawiało się znowu, atakując celnie i błyskawicznie. Choć Max próbował przewidzieć te ataki, nie był w stanie, gdyż nie powtarzały się według żadnego wzoru. Był zmuszony całkowicie zdać się na intuicję.

Za jego plecami poruszyło się powietrze. Odparował cios, starając się skontrolować uderzenie agenta, lecz ten cofnął się i pchnięcie chłopca trafiło w próżnię. Max zawrzał ze złości. Znowu błysnął nóż – trzy dźgnięcia,

szybsze niż ciosy pięścią, prosto w klatkę piersiową. Chłopak odepchnął rękę Coopera na bok i sam zdołał dźgnąć parę razy, zanim agent wycofał się poza jego zasięg.

– Pokaż się! – wrzasnął wściekły Max.

Bez odpowiedzi. Wokół niego zawirowała gęsta i nieprzenikniona ciemność.

Wreszcie Cooper popełnił błąd. Max usłyszał, że coś gwałtownie przesuwa się za jego plecami. Odwrócił się i dostrzegł błysk ostrza kierowanego prosto w niego szerokim łukiem od dołu. Ruchem zwinnym jak żmija odparował cios uderzeniem w dół. Cooper stracił równowagę i zamarł na moment w bezruchu, na tyle blisko, że przez chwilę wyraźnie widać było kuszące miejsce na jego stroju – łatę symbolizującą serce. Max uśmiechnął się i zamachnął.

W trakcie natarcia poczuł jednak, że agent przenosi ciężar ciała i żelaznym uchwytem zaciska dłoń na jego łokciu. Wykorzystując rozpęd Maksa, Cooper wyrzucił go w powietrze, wyslizgnąwszy się spoza zasięgu zabójczego ostrza płynnie i gibko – jak węgorz. Max boleśnie wylądował na plecach i poczuł, że coś przyciska mu klatkę piersiową. Ciszę przerwał głos Coopera:

– Koniec.

Rozkaz, wydany cicho i kategorycznie, był ostateczny.

Nienaturalną ciemność powoli rozwiewał wiatr. Kiedy całkowicie ją przegonił, Max stwierdził, że Cooper

odsunął się od niego na odległość paru metrów. Przez jakiś czas po prostu obserwował chłopca. Zadowolony, że już po walce, sięgnął po małą krótkofalówkę i przyłożył ją do ucha.

– Tu Cooper – rzekł, nie spuszczać oczu z Maksa. – Już go mam. Skończyliśmy... wynik, jak przewidywano.

Max patrzył, jak Cooper cierpliwie słucha poleceń. Następnie agent wyłączył krótkofalówkę i zwrócił się do chłopca:

– Musimy wracać.

Max wstał i wyciągnął szyję w kierunku proporczyka wciąż łopocącego nad ich głowami.

– Zostaw go – rzekł Cooper. – Wygrałem. – I wskazał czerwoną łatę na ubraniu chłopca. W jej środku lśniło jasne fosforyzujące światełko.

– Jesteś pewien? – spytał Max, spoglądając na agenta spode łba. Kiedy tylko zadał pytanie, natychmiast porwał go suchy, męczący kaszel.

Cooper zerknął na własną klatkę piersiową, gdzie na krwistoczerwonej łacie również błyszczało jasne światełko. Układało się we wzór na podobieństwo piętna. Ponadto pierś i ramiona agenta znaczyło kilkanaście fosforyzujących szram.

Cooper wpatrywał się w dzieło Maksa z ponurą miną. Ponownie włączył krótkofalówkę.

– Uwaga, odwołuję. Wynik nieprzewidywany. Obie strony wyeliminowane.

Odsunął urządzenie od ucha.

– Kto to był? – spytał Max.

– Pani dyrektor – odparł Cooper. – Musimy być z powrotem, zanim wybije południe.

Max jęknął, lecz mężczyzna to zlekceważył.

– Powinieneś się cieszyć, że możesz sobie trochę potrenować – warknął, patrząc, jak chłopak wiąże buty. – Bo kondycję masz nienajlepszą.

– Nikogo więcej nie ganiają tu agenci – mruknął Max. Czuł, że jest wyczerpany i przez to złośliwy.

– To dlatego, że sam wyklucasz inne opcje – odparł Cooper ze stoickim spokojem. – Starsi uczniowie narzekają. Nie chcą z tobą trenować, bo uważają, że wyniki takich treningów zaniżą im średnią i utrudnią dostanie się na studia. Od dziś masz ćwiczyć już tylko z agentami i z mistykami.

Max przypomniał sobie pewnego przerażonego ucznia z szóstego roku, którego śledził któregoś dnia w tym tygodniu. Chłopak jak burza wypadł z Sanktuarium po swojej błyskawicznej druzgocącej klęsce.

– W takim razie przyrzekam, że nie będę się tak szybko z nimi rozprawiał – rzucił Max ze złośliwym uśmiechem. – Dam im większe szanse.

Cooper zmarszczył brwi.

– Nawet o tym nie myśl. Masz jeszcze mnóstwo pracy przed sobą. Zadowolony jesteś ze swojej małej żółtej kropki, co?

– No, tak – przyznał Max, wpatrując się w czubki butów.

Beznamiętnym tonem Cooper zaczął wyliczać błędy chłopca.

– Twoją kryjówkę mogłem podejść z dowolnej strony. Zwykły ptasi krzyk pozwolił mi zbliżyć się do ciebie na dziesięć metrów. Fantomy, które stworzyłeś, były byle jakie. Dziecinada...

– Zrozumiałem – przerwał cicho Max. Twarz mu płonęła.

– Nie – uciął Cooper i zatrzymał się, by spojrzeć chłopcu prosto w oczy. – Nie rozumiesz. Jeśli to działałoby się naprawdę, nie byłoby na mojej piersi żadnej żółtej kropki. Zanim byś mnie zobaczył, już byś nie żył.

Max nie odpowiedział.

– I jeszcze jedno – dodał Cooper, chowając nóż do pochwy i zwracając napiętą, pokiereszowaną twarz w stronę chłopca. – Nie masz za grosz panowania nad sobą. Wszystko, co zamierzasz za chwilę zrobić, jest czarno na białym wymalowane w twoich emocjach. Dobrze wyszkolony przeciwnik odczyta twoje myśli na długo przed tobą. To wielka wada.

Max zachmurzył się i zdusił w sobie odpowiedź, która cisnęła mu się na usta. Cooper odwrócił się i zaczął truchtem zbiegać z góry.

Kiedy dotarli do polany Sanktuarium, słońce było już wysoko nad wschodnimi wydmami. Trawy na polanie falowały i kołysały się na wietrze. Tu i tam widać było kępy dzikich kwiatów oraz białe od deszczu i słońca głązy. W oddali kilkanaście drobnych postaci kręciło się

żwawo wokół Chatki Rozgrzewania.

– Popatrzymy chwilę na pierwszaków? – spytał Max, obciągając moką od potu czarną koszulkę.

Cooper potrząsnął głową dokładnie w momencie, gdy Nolan, Główny Nadzorca Terenów Rowan, wyprowadził na ganek Yayę. Max uśmiechnął się, gdy zobaczył, jak przerażeni uczniowie pierwszego roku cofają się na widok ogromnej lwicy. Równo rok temu sam był w identycznej sytuacji – przestraszony nie na żarty tym potężnym, większym od nosorożca kruczoczarnym stworzeniem, które właśnie dostojnie sadowiło się na ganku.

Kiedy się zbliżyli, Nolan im pomachał.

– Słyszałem, że będziecie tędy przechodzić. Mam nadzieję, że obaj wyszłicie bez szwanku? – zagadnął łagodnym tonem, przeciągając po swojemu samogłoski. Jego niebieskie oczy jaśniały ciepłem i humorem. Uderzył w dłoń parą grubych skórzanych rękawic, otrzepując je z resztek siana.

Cooper po prostu kiwnął głową. Wydawało się, że nie zauważa ciekawskich spojrzeń i szeptów nowicjuszy.

– No, tak, tak – mruknął Nolan, wpatrując się przeciągle w żółtą kropkę na łacie Coopera. – Uwaga, wszyscy, oto Cooper i Max McDaniels. Max jest uczniem drugiego roku... – Tu Nolan gwałtownie zamrugał. Uśmiech zastygł na jego twarzy. – Właśnie uświadomiłem sobie – ciągnął – że niektórzy z was mieli już szansę poznać Maksa.

Kilkoro dzieci wydało stłumiony okrzyk.

Rzeczywiście, niektóre widziały już Maksa – na wiosnę uratował je przed niechybną zgubą w krypcie Marleya Augura. Max pomachał do nich niepewnie. Chciał jak najprędzej iść dalej.

– Pani dyrektor czeka – przypomniał Cooper i lekko pchnął chłopca do przodu.

– Oczywiście – trzeźwo przyznał Nolan. – Dobrze, że to ty masz się tym zająć, Cooper. Nie pozwól jej zbliżyć się zaledwie do naszego Maksa, co?

Cooper skinął głową, lecz nie zwolnił kroku. Max o nic nie pytał, dopóki nie zamknęli za sobą ciężkich, omszałych wrót Sanktuarium.

– O czym mówił Nolan? – spytał ostrożnie. – Kto ma się do mnie nie zbliżać?

Cooper śledził wzrokiem przelatującego jaskrawoczerwonego motyla. Stary Tom wybił jedenastą.

– Wiedźma – mruknął. – Przybyła przed świtem.

* * *

Mamuśka zdecydowanie nie była zachwycona perspektywą pojawienia się na terenie szkoły innej wiedźmy. Prychnęła z dezaprobatą, kiedy Max jej o tym doniósł, i z zaciętością zanurzyła zakończoną szponami dłoń w indyku, by wyszarpać z niego wnętrze.

– Właśnie to Mamuśka robi z innymi wiedźmami! – rzekła dosadnie, wymachując wyjętymi flakami, po czym cisnęła je do garnka. Bob westchnął z za sąsiedniego stołu,

przy którym wolno i precyzyjnie kroił w kostkę marchewkę.

– Dyrektor twierdzi, że to ważne – zamruczał barytonem.

– O, tak, tak, dyrektor twierdzi, że to ważne – warknęła Mamuśka, przedrzeźniając akcent potężnego rosyjskiego ogra. Chwyliła nieszczęsnego indyka, wsadziła go sobie na głowę, po czym złapała stojącą pod ścianą miotłę i zaczęła wymachiwać nią przed samiotkiem nosem ogra.

– Czyżby wielki, silny Bob bał się wiedźm? – zagadkała. – A może na ich widok dostaje gęziej skórki? Chce zwiewać, gdzie pieprz rośnie?

I Mamuśka jak szalona zaczęła tańcować w kółko. Indyk omal nie zleciał jej z głowy, a ona obracała w powietrzu kij od miotły, jakby prowadziła paradę wojskową.

– Zwiewać, zwiewać, zwiewać, zwiewać...

Max skończył jeść tost i kiwnął głową do swego kolegi z pokoju, Davida Menlo, który stał w drzwiach kuchni i spokojnie przyglądał się scenie. Mamuśka głęboko wciągnęła powietrze i zatrzymała się gwałtownie. Wrzasnęła i z rozszerzonymi ze strachu oczami obróciła się przodem do Davida. Jak ognia bała się tego drobnego chłopca o jasnych włosach od czasu ostatniego święta Halloween, kiedy to bez powodzenia usiłowała go obezwładnić i pożreć.

– Witaj, Mamuśko – rzekł David.

– Witaj, słonko – wymamrotała wiedźma, łypiąc dziko krokodylim okiem gdzieś wysoko na ścianę ponad Davidem.

– Mamuśko, masz indyka na głowie.

– Dzięki – mruknęła, zdejmując sponiewieranego ptaka i energicznie rzucając go na ruszt do pieczenia. – A teraz przepraszam, muszę zniknąć...

Puściła miotłę, która z hukiem upadła na podłogę, i ruszyła w stronę swego kredensu. Wcisnęła tłuste cielsko do środka i z całej siły zatrzasknęła drzwi, aż z półki spadła ceramiczna cukiernica i roztrzaskała się o podłogę, zostawiając na jej płytkach mieszaninę cukru i skorup.

– Przepraszam – rzekł David i schylił się, by pomóc Bobowi posprzątać.

– To nie przez ciebie – szepnął ogr, przewracając oczami. – Mamuśka jest wściekła. I to bardziej, niż zwykle. Chyba ma to coś wspólnego z listami, które dostała. W kółko tylko czyta.

Bob wskazał długim, sękatym palcem na mały stosik kopert lotniczych przy desce do krojenia. Max podniósł jedną z nich i zerknął na wypisany drukowanymi literami adres:

SZANOWNA PANI
BEA SHROPE
AKADEMIA ROWAN
STANY ZJEDNOCZONE

– Kto to jest Bea Shrope? – spytał Max. Zmarszczył nos nad kopertą. Pachniała kapustą.

Z kredensu dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask. Małe, żółte drzwiczki otworzyły się z hukiem, wyskoczyła zza nich Mamuśka, wyrwała list z ręki Maksa i przycisnęła go wraz z resztą korespondencji do piersi.

– Nikt! Bea Shrope nikim nie jest! Bea Shrope nie istnieje! – sapnęła, ściskając mocno listy, i z powrotem wtłoczyła swoje obszerne siedzenie w drzwiczki kredensu. – Idźcie sobie szukać tej nowej wiedźmy, a Mamuśkę zostawcie w spokoju! – zagrzmiała i z pasją trzasnęła drzwiami.

– No, to dopiero! – skomentował David – Ale Cooper już czeka, musimy iść. A ty miałeś jeszcze wziąć prysznic, przypominam.

– Byłem głodny – zaprotestował Max, nie mogąc oderwać wzroku od talerza pełnego chrupiącego bekonu. David nucąc cicho wchodził już po szerokich, krętych schodach Domostwa. – No co?! – krzyknął za nim Max. – Sam sobie spróbuj pół nocy uciekać przed Cooperem, i to na głodniaka!

Cooper czekał w holu. Zaprowadził obu chłopców na ostatnie piętro Domostwa nieznaną im dotąd klatką schodową i korytarzami obwieszonym portretami w złożonych ramach i afrykańskimi maskami.

Zatrzymał się przed drzwiami z ciemnego, błyszczącego drewna.

– Wiedźma jest w środku – powiedział cicho. – Nie wolno jej podejść do was bliżej niż na trzy metry. Wie o tym. Ja usiądę tuż przy niej, a wy dwaj przy pani dyrektor.

– Cooper – pisnął David – to brzmi groźnie. Jesteś pewien, że mamy tam wejść?

Maksowi wydało się nagle, że twarde rysy agenta na chwilę złagodniały. Kucnął przed Davidem i spojrzał mu w oczy.

– Nic złego się nie stanie – zapewnił go spokojnym głosem. – Będziecie obaj bezpieczni, jasne?

Poklepał jeszcze Davida po ramieniu, po czym pokazał im nóż o falistym ostrzu, wykonany z czerwonego, jakby zardzewiałego metalu. Max nigdy dotąd takiego nie widział. Broń roztaczała jakąś niezdrową aurę – jej przebarwione ostrze musiało mieć szczególnie drastyczne dzieje. Max instynktownie odsunął się od noża. David zrobił się zielonkawy na twarzy i niepewnie zachwiał się na nogach.

– David, będzie w porządku – szepnął mu do ucha Max i podtrzymał kolegę.

David uśmiechnął się słabo i jeszcze raz spojrzał na nóż, zanim Cooper zdążył ukryć go z powrotem w rękawie.

– Zobaczmy, czego od nas chce ta stara wiedźma – rzekł agent i nacisnął na kławkę.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz. Cooper wprowadził chłopców do ciemnego pomieszczenia. Nie było w nim ani jednego okna, łukowate sklepienie

podpierały rzeźbione filary, a lampy oliwne rzucały ciepły, złoty blask na postaci znajdujące się w środku. Na granitowym stole z wykutym herbem Rowan stały kryształowe puchary i karafka czerwonego wina. U jego szczytu siedziała dyrektor Richter. Obok niej, po prawej – zgarbiona oschła panna Kraken, główna mistyczka Rowan. Max powiedział im dzień dobry, lecz jego uwagę od razu przykuła dziwaczna wysuszona, pomarszczona postać wpatrująca się w niego z drugiego końca stołu.

– Chłopcy – odezwała się pani dyrektor – wybaczcie, że tu tak mroczno. To ze względu na naszego gościa, który lepiej się czuje w takim otoczeniu. Chciałabym wam przedstawić Damę Mala.

Wiedźma uśmiechnęła się i w geście powitania nisko skłoniła głowę. W mroku Maksowi wydało się, że jej skóra jest cała w bliznach, jak skóra Coopera, lecz po chwili chłopiec stwierdził, że to nie blizny, a tatuaże. Każdy cal jej ciała, a przynajmniej jego widoczne partie – twarz, uszy, czubki palców – pokrywały maleńkie hieroglify i symbole układające się zgrabnie we wzory. Resztę zasłaniały fałdy prostej czarnej szaty. Zaplecione w warkoczyk białe włosy były cieniutkie jak włókna na kolbie kukurydzy, a twarz o obwisłej, pomarszczonej skórze wyrażała uprzejme oczekiwanie. Wiedźma upiła łyżeczek wina. Blandozielone oczy skierowała na Coopera, kiedy zajął miejsce obok niej. Ich spojrzenie zatrzymało się dłużej na rękawie agenta. Uśmiech ani na chwilę nie schodził z jej twarzy. Odwróciła teraz wzrok ku obu

chłopcom, którzy usiedli obok pani Richter.

– Dama Mała to jedna z naszych dalekich krewnych ze Wschodu – wyjaśniła pani dyrektor, odgarniając ze skroni pasmo srebrnych włosów. – Nie mieliśmy kontaktu z wiedźmami już od kilku wieków, lecz od zawsze były one naszymi dobrymi przyjaciółmi. Jesteśmy niezwykle zaszczyceni tą wizytą.

Wiedźma uniosła kielich w geście wdzięczności.

– Tak – ciągnęła pani Richter, uśmiechając się nieznacznie w odpowiedzi. – Widzicie, chłopcy, przybycie Damy Mała dziś rano było dla nas całkowicie nieoczekiwane. Okazuje się, że Peter Varga podczas swoich podróży odwiedził wiedźmy w zeszłym roku. Szukał u nich pomocy w odnalezieniu uprowadzonych dzieci. Wspomniał im o was obu i... oto pojawił się w naszych progach gość. Ku naszemu zdumieniu, ale i radości. Być może właśnie teraz, kiedy wy dwaj siedzicie tu z nami, Dama zechce przedstawić nam cel swojej wizyty...

Dama Mała rozpromieniła się, odsłaniając małe, żółte, spiczaste zęby. Kiedy wstała i skłoniła się głęboko, zadzwoniły paciorki i naszyjniki z kamieni półszlachetnych.

– Jest pani niezwykle uprzejma, pani dyrektor – odezwała się gardłowym altem. – Ja zaś w imieniu moich sióstr przekazuję wyrazy szacunku krewnym, którzy dawnymi czasy przebyli morze. Jak to wspaniale się składa, że młodzi staną się iskrami, które na nowo rozpalą

naszą przyjaźń i połączą nas jak most nad przepaścią. Długo czekałyśmy, by ujrzeć tych oto dwóch...

– Pani Richter... – szepnął Max.

Dyrektor uniosła palec, by go uciszyć. Wiedźma prędkim ruchem odwróciła głowę i przeniosła przenikliwe, zielonkawe spojrzenie na Maksa.

– Które to z Błogosławionych Dzieci? – spytała.

– To Max McDaniels, Damo Mała. On...

– Pies – szepnęła ciężko wiedźma. Źrenice jej rozszerzyły się, kiedy pochyliła się w stronę chłopca.

Cooper poruszył się lekko na krześle. – Wybaczcie, ale dopiero teraz moje stare, znużone oczy dojrzały światło na jego skroni. Rath de ort, Cúchulain. Saolfada chugat.

Max poruszył się niespokojnie na swoim miejscu, kiedy wiedźma się skłoniła, dotknęła czołem stołu i usiadła z powrotem. Zanim znowu zaczęła mówić, wykonała dłonią pospieszny gest.

– Teraz, kiedy Astaroth znowu stąpa po tej ziemi, potężna Szkoła Rowan będzie bardzo potrzebować swego Psa. By uszanować nasze dawne przymierze, moje siostry nakazały mi zażądać tylko połowy tego, co nam należne. Pies Rowan może zostać z wami. Wiedźmy żądają tylko młodego Czarnoksiężnika, tego, który posiadał dar naszej sztuki.

– A cóż to, na niebiosa, ma oznaczać? – przerwała ostro panna Kraken, wpatrując się w Damę Mała. – Jakim prawem wiedźmy pojawiają się w naszych progach i

stawiają jakiegokolwiek żądania, a tym bardziej domagają się jednego z naszych uczniów, na Boga?

– Annika – rzuciła ostrzegawczo pani Richter.

Panna Kraken była o krok od wybuchu, lecz przełknęła ślinę i powstrzymała się od dalszego komentarza. Dama Mała była zbита z tropu.

– Czyżbym powiedziała coś, co państwa uraziło? – spytała, przenosząc wzrok z twarzy na twarz.

– Damo Mała – odezwała się pani Richter – proszę, wybaczą naszą ignorancję, lecz czego właściwie żądasz? To przecież niemożliwe, żebyś rzeczywiście chciała opuścić mury tej szkoły wraz z Davidem Menlo...

Wiedźma skinęła głową i uśmiechnęła się do Davida, który zabalgotał śmiesznie i osunął się na krześle.

– Dlaczego sądzisz, że przystaniemy na coś takiego? – spytała spokojnie pani dyrektor.

– To nasze prawo – odparła Dama Mała. Uśmiech na jej twarzy ustąpił miejsca wyrazowi gniewnego oburzenia.

David osuwał się na krześle coraz niżej, aż w końcu znad krawędzi stołu wyzierały tylko jego oczy.

– Pani Richter – szepnął Max – przecież nie odeśle pani Davida z tą... wiedźmą, prawda?

– Oczywiście, że nie – ucięła ostro pani dyrektor. – Na jakiej podstawie wiedźmy mają czelność stawiać tak absurdalne żądania?

Dama Mała zmarszczyła brew. Ostro zakończonym paznokciem wodziła po herbie Rowan wyrytym w kamiennym blacie stołu.

– W naszym żądaniu nie ma nic absurdalnego – wyjaśniła powoli, z błyszczącymi oczami. – I czekałyśmy na tę chwilę ponad czterysta lat. Być może pamięć państwa zawodzi, lecz jeśli chodzi wiemy, to nawet najmłodsze z moich sióstr znają przysięgę Brama i miejsce ukrycia Księgi Początku.

– Księga Początku – powtórzyła pani Richter, jakby szukając czegoś w swej pamięci. – Czy masz na myśli Księgę Thotha?

– Otóż to – odparła wiedźma. – Mówiono, że sam Astaroth pożądał tej księgi. Poświęcił wiele czasu na poznanie tajemnic, które dają moc korzystania z niej. Jednak Bram usunął ową niebezpieczną księgę spoza zasięgu Demona i ukrył ją.

Pani Richter zmarszczyła czoło i zerknęła na pannę Kraken.

– To niemożliwe – prychnęła mistyczka i zdecydowanie potrząsnęła głową. – Księga została zniszczona tysiące lat temu.

– Nie została zniszczona – szepnęła wiedźma. – Ponad pięćset lat temu wiemy wykradły ją z kryjówki Księcia Neferkapta podłożyły na jej miejsce falsyfikat. Na próżno starałyśmy się rozwikłać tajemnice księgi. W wyniku podstępu po świecie rozeszła się wieść o naszym skarbie i zainteresowały się nim pewne osoby. Wysłańcy Astarotha znaleźli nas w górach. Obiecywali sowitą nagrodę w zamian za księgę lub zdradzenie miejsca, w którym jest ukryta. Rozważałyśmy te propozycje – były

naprawdę niezwykle hojne, a księgi i tak nie rozumiałyśmy. Pojawił się jednak Bram i to jego propozycję przyjęłyśmy.

Max pomyślał o Eliasie Bramie, ostatnim dominancie, który zginął podczas oblężenia Solas, umożliwiając nielicznym, którzy przetrwali, ucieczkę na pokład „Pustułki”. W Rowan Bram czczony był jako bohater, jednak coś w głosie Damy Mała przyprawilo Maksa o dreszcze. Zerknął na Davida, którego oczy stały się szkliste, a spojrzenie jakby niewidzące, co zdarzało się zawsze, gdy chłopiec głęboko się zamyślał.

– Jaką propozycję złożył wam Bram? – spytała dyrektor Richter miękkim, lecz zarazem poważnym głosem.

Wiedźma napotkała jej spojrzenie i zmrużyła oczy. Stukając w stół, by podkreślić wagę swych słów, mówiła:

– Obiecał, że każde dziecko waszego, ludzkiego rodu, pobłogosławione darem Starej Magii, trafi pod opiekę i na utrzymanie wiedźm. Możemy żądać trojga. I tak stoi w umowie. Dwoje tych dzieci siedzi tu oto przede mną, a mimo wszystko roszczę sobie prawo tylko do jednego z nich – młodego Czarnoksiężnika. Jeśli mogę coś podkreślić, pani dyrektor, to to, że powinniście być wdzięczni za naszą hojność. Widzimy, że w Rowan nie wiedziano o istnieniu tej umowy, więc pożegnanie z tak zdolnym uczniem musi was niezwykle smucić. W tej chwili jednak zabieramy wam tylko jednego ucznia, na znak naszego szacunku, i mam nadzieję, że nie uczynicie

niczego, co skłoniłoby nas do zmiany stanowiska...

– Pani Richter – wyszeptał pełen niedowierzania Max po długiej przerwie, jaka nastąpiła po przemowie więdźmy – chyba nie bierze pani takiej możliwości pod uwagę, prawda? Nie może jej pani pozwolić zabrać Davida!

Pani dyrektor rzuciła chłopcu ostre spojrzenie, po czym z powrotem przeniosła wzrok na Damę Mała.

– Oczywiście, że nie – rzekła. – Musielibyśmy zobaczyć wiele dowodów, by w ogóle rozważyć zasadność takiego żądania, a co dopiero je spełnić. Nic mi nie wiadomo o takim pakcie. A tobie, Anniko?

– Przez wszystkie lata, odkąd mam dostęp do Archiwum, nigdy nie natknęłam się na nic, co choć w najmniejszym stopniu przypominałoby podobną umowę – dumnie odparła panna Kraken. – Już sam pomysł, by Bram dokonywał transakcji, w których elementem przetargowym będą dzieci, jest wykluczony, po prostu nie mieści się w głowie. To urągałoby wszystkiemu, za czym się opowiadał! Wymieniać dzieci na księgi? Absurd! Gdzie znajduje się owa Księga Początku, w zamian za którą miałybyśmy rzekomo ryzykować naszą przyszłość?

– Tego nie wiemy – odparła chłodno Dama. – Los tej księgi zależał już od Brama, nie od nas. Do nas należy tylko dopilnować, byście wywiązali się z umowy i dokonali zapłaty.

– A jeśli odmówimy? – spytała pani Richter.

– Nie odmówicie – zapewniła Dama. – Odmowa

będzie oznaczać upadek Rowan. Astaroth jest wśród nas, pani dyrektor. Czujność i starania Rowan zawiodły nas wszystkich i same niebiosa wróżą powrót Demona. Rowan będzie potrzebować pomocy wszystkich swych dawnych sprzymierzeńców, by przetrwać nadchodzącą zawieruchę. Nie czas teraz unosić się niemądrą dumą.

Dyrektor Richter wstała i założyła ramiona.

– Nie sędzę, Damo Mała, by niemądrą dumą było przypomnienie ci, że ród twój i twoich sióstr przetrwał właśnie dzięki staraniom i czujności Rowan, o których się krytycznie wyraziłaś. Dzięki naszemu wsparciu więdźmy pozostają z dala od miast i maszyn, żyją poza granicami współczesnego świata. Taki stan rzeczy nie musi trwać wiecznie. Jeśli więdźmy zagrożą samej szkole lub opowiedzą się przeciwko interesom Rowan, nasza odpowiedź będzie raz – natychmiastowa, dwa – niezwykle poważna. Tak poważna, że zadziwi nawet największe pesymistki spośród waszego rodu.

Twarz więdźmy pociemniała. Dama Mała otworzyła usta i znowu je zamknęła, zerkając na Coopera, który trwał bez ruchu i wpatrywał się w nią spokojnym, obojętnym wzrokiem. Wskazówka. małego zegara miarowo odliczała sekundy. Cisza i bezruch, które zapanowały w komnacie, były wręcz nie do wytrzymania. W powietrzu wisiała groźba przemocy.

– Żałuję, że w ten sposób wypowiedacie się przy uczniach – przerwała w końcu ciszę Dama, po czym z klaśnięciem złożyła dłonie i zrobiła głęboki wydech. –

Dobrze mi wiadomo, że ma pani do dyspozycji wielu ludzi i wiele rodzajów broni, pani dyrektor. Nie mamy zamiaru się oszukiwać, że wiedźmy mogłyby prowadzić z Rowan otwartą wojnę. Wręcz przeciwnie, to jest ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie życzyły. To pani nam grozi. Ja mówię tylko o szacunku i ugodzie. Proszę uważać, pani dyrektor! Odmawiać nam tego, co nam się słusznie należy, znaczy tyle, co gwałcić warunki przysięgi Brama oraz ściągać na siebie klątwę, w wyniku której Rowan legnie w gruzach, a pod nimi wszyscy, którzy tu się schronią. Pakt został zawarty w Starej Magii i podpisany własną krwią Brama. Jest nieodwracalny.

– Jeśli został podpisany krwią Brama, to musicie być w posiadaniu tego dokumentu – odparła chłodno pani Richter. – Chciałabym go zobaczyć. Chcę także rozmawiać z tą z was, która ma prawo przemawiać w imieniu wiedźm. Ty, Damo, nią nie jesteś. Zostałaś tu przysłana jako poseł i twoja misja już się zakończyła. Pora, byś wracała do domu.

Dama Mała wysączyła resztę wina z pucharu i wstała.

– Pełni pani honory domu i wyprasza gościa. Odejdę więc. Lecz przybędą moje siostry, pani dyrektor, i przyniosą ze sobą wszystkie dowody, których pani żąda. A odchodząc, zabiorą z sobą Błogosławione Dzieci. I to nie jedno, ale dwoje.

– Na pewno nie zrobią tego, dopóki ja będę tu dyrektorem – spokojnie odparła pani Richter, gestem nakazując Cooperowi wyprowadzić wiedźmę. Ta,

wychodząc, zatrzymała się w progu, a jej przerażające oblicze podobne było do jednej z wiszących w korytarzu rzeźbionych masek. Rzuciła pani Richter tajemniczy, porozumiewawczy uśmiech.

– Dyrektora można zmienić, pani Richter, o czym dobrze wie pani poprzednik. Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że Peter Varga nie jest jedynym z synów Rowan, który przeprawił się przez góry, by skorzystać z naszej pomocy. – Po tych słowach zwróciła się do Maksa i Davida: – Wypatrujcie nas za miesiąc, dzieci. Czeka na was nowy dom. – Po czym skłoniła się i odeszła.

PRZEMIŁY PAN SIKES

Max i David rozmawiali ściszymi głosami, usadowieni naprzeciwko siebie na niższym poziomie swego niesamowitego pokoju. Niebo nad szklaną kopułą przybrało odcień indygo i ukazało się na nim mrowie gwiazd. Od czasu do czasu na nieboskłonie pojawiały się konstelacje o konturach delikatnie zarysowanych cienką, złotą nicią, która po chwili bladła i znikwała. David zerknął na niknący właśnie Wielki Wóz i pochylił głowę, by naskrobać coś w starym, zniszczonym zeszycie ze skórzaną okładką. Był to dziennik, który chłopiec zaczął prowadzić w lecie.

– Nie zamieszkamy z wiedźmami – doszedł do wniosku Max, mrużąc oczy, by rozszyfrować maleńkie, w zasadzie nieczytelne pismo kolegi. – Pani Richter na to nie pozwoli. Sam widziałeś, jak ją to rozzłościło.

– Nie sądzę, aby decyzja należała do niej – odparł spokojnie David i potrząsnął głową. Od niechcienia pstryknął palcami i w pokoju zapaliło się kilkanaście świec i lampka olejna. – Ta wiedźma nie kłamała. Całkiem możliwe, że mają na to jakiś prawomocny dokument.

– I co z tego? – prychnął Max. – Nie można przecież sprzedać czyjegoś życia tysiące lat przed tym, zanim ta

osoba przyjdzie na świat. To nie fair.

David uniósł brew i uśmiechnął się.

– Tu się chyba nie liczy, czy coś jest fair, czy nie. W historii ludzkości wolność decydowania o swoim losie, o tym, gdzie i w jaki sposób się żyje, jest ideą stosunkowo nową. Elias Bram musiał być zdesperowany, jeśli zawarł taką umowę. Ta Księga Thotha czy tam Początku musi być naprawdę ważna.

Rozległo się głośne, niecierpliwe stukanie do drzwi.

– Zapamiętaj tę myśl – rzekł Max, wchodząc po schodach, by sprawdzić, kto przyszedł. Na korytarzu stał, dysząc ciężko, tata Maksa, Scott McDaniels. Jego masywna postać wspierała się ciężko o framugę. Okrągłe oblicze pana McDanielsa, na co dzień pogodnie tryskające optymizmem, było teraz blade i strapione.

– Właśnie się dowiedziałem – powiedział chrapliwym głosem, po czym cmoknął Maksa w czubek głowy i wcisnął się do pokoju. – Zbierałem jabłka na jutro, do deseru. David jest?

– Jestem tu, na dole, panie McDaniels!« – odkrzyknął David z dolnego poziomu.

– W porządku – odparł tata Maksa, zamknął za sobą drzwi i popychając przed sobą syna, zszedł na dół, gdzie obaj usiedli za stołem obok Davida.

– O co tu chodzi z tą wiedźmą i obietnicami? Pani Richter coś wspominała, ale wszystko to brzmiało jak jakieś oficjalne podanie. To są żarty, czy co?

– Nie, tato, to nie żarty. Wiedźma powiedziała, że

dawno temu zawarto jakąś umowę, która mówi, że David i ja mamy żyć u wiedźm.

– To nie może być – sapnął pan McDaniels, wyłamując palce. – Pani Richter twierdzi, że one mieszkają daleko... w Himalajach czy gdzieś! Skąd jakieś staruchy mogą wiedzieć, kim jesteście, a tym bardziej gdzie was szukać?

Max się skrzywił.

– Dowiedziały się o nas od Petera. To on w zeszłym roku złożył im wizytę i wspomniał o nas. Wydaje mi się, że wpadł w te wszystkie tarapaty przez to, że się z nimi zadawał.

– Więc to przez Petera? On jest za to odpowiedzialny?! – wykrzyknął pan McDaniels.

– Peter Varga, z początku znany Maksowi jako Ronin, był agentem, który zboczył na niewłaściwą drogę, zanim kilkakrotnie uratował Maksowi życie. Po tym, jak Marley Augur pogruchotał mu swym straszliwym kowalskim młotem kręgosłup, Peter odbywał rekonwalescencję w Rowan. Często dotrzymywał mu towarzystwa właśnie pan McDaniels, który popychał jego wózek inwalidzki w czasie spacerów nad Atlantyckim Oceanem.

– Cóż – szybko odparł Max – nie wiem, czy jest odpowiedzialny. To znaczy nie on składał przysięgę.

– Ale to przez niego ta wiedźma wiedziała, gdzie was szukać! – prychnął tata Maksa. Zdziwienie, które go z początku ogarnęło, przeradzało się w coraz potężniejszą złość.

– Panie McDaniels, proszę się nie denerwować – wtrącił potulnie David. – Skoro nawet pani Richter nie miała pojęcia o przysiędze Brama, to tym bardziej Peter nie mógł o niej wiedzieć. Poza tym, Max nigdzie nie pojedzie.

– Nie? – zdziwił się pan McDaniels. Jego twarz powoli zaczęła przybierać normalny wyraz. – A skąd wiesz?

– Bo to byłoby trudne – odparł zwyczajnie David. – Jeśli ktoś będzie musiał odejść, to tym kimś będę ja. Skoro zależy im na współpracy ze mną, to będą musieli zostawić Maksa w spokoju.

Pan McDaniels mrugnął dwa razy i głęboko zaczerpnął powietrza, gmerając przy tym w kieszeni fartucha w poszukiwaniu chusteczki.

– David – rzekł Max, oszołomiony tym, co usłyszał – nie ma mowy...

Jego słowa zagłuszyło niemiłosierne trąbienie – to pan McDaniels wydmuchiwał nos. Gdy skończył, David bez uprzedzenia został zagarnięty i przygnieciony do miękkiego i wydatnego brzucha pana McDanielsa tak, że jego blada twarz niepewnie wyzierała spod ogromnej, obleczonej w szkocką kratę pachy.

– Davidzie Menlo! – krzyknął tata Maksa, huśtając chłopca w tył i w przód. – Doprawdy nie wiem, co powiedzieć! To cudownie z twojej strony. Wiem, że to głupio brzmi, ale nigdy ci tego nie zapomnę!

– Grrrrlppp! – odparł David stłumionym głosem.

– Proszę? – nie dosłyszał pan McDaniels. Wierzchem dłoni wytarł łzy z okrągłych policzków.

– Tato, on chyba nie może oddychać – zauważył Max, wskazując na rękę kolegi, drgającą jak ryba wyrzucona na brzeg.

– O rety – zreflektował się pan McDaniels i rozluźnił uścisk. – Przepraszam cię, chłopcze.

– Nic się nie stało. – David zaśmiał się lekko. – Było tylko troszkę ciasno.

– Nikt nie będzie sam jechał do żadnych wiedźm – zdecydował nagle pan McDaniels i chwycił obu chłopców za ramiona. – Nasza trójka będzie zawsze w komplecie. Wszyscy albo nikt, i nie ma żartów!

– Zastanawiam się, jakby to było... mieszkać u wiedźm – odezwał się Max, który pragnął za wszelką cenę rozluźnić nastrój. Podszedł do półki z książkami i odszukał Księgę Znanych Wrogów Rowan. – Pewnie jest tam pełno traszek, czarnych kotów i domków z piernika. Założę się, że nie mają tam nic takiego jak Trasa. Pani Richter mówiła, że wiedźmy boją się maszyn.

Przejechał palcem po alfabetycznym spisie rzeczy, lecz nie znalazł nic między widmem a wilkołakiem.

– Tam ich nie znajdziesz – mruknął David. – Zdaje mi się, że Rowan nie klasyfikuje wiedźm jako wrogów, lecz po prostu jako coś, czego należy się wystrzegać. I nie wydaje mi się, żeby były podobne do czarownic z bajki. Zauważyłeś te wszystkie znaki na jej twarzy?

– Szkoda, tato, że jej nie widziałeś – powiedział Max

i odłożył książkę na miejsce. – Wyglądała jak łowca głów!

– Te znaki to były zaklęcia – rzekł David, ignorując drwinę kolegi. – Dziwne zaklęcia, prymitywne, wytatuowane wprost na skórze. Są formą ochrony. Myślę, że wiemy czegoś się boją...

W tej samej chwili ktoś zaczął walić w drzwi – głośno i niecierpliwie.

– Otwierajcie te przeklęte drzwi, wy tam, w środku! Jestem z powrotem, gotowy na wszystko! – zagrzmiął głos z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Max uśmiechnął się i pognął w górę po schodach.

W holu stał najlepszy kumpel Maksa i Davida, Connor Lynch, który właśnie przyjechał z domu, z Dublina. Na głowie miał dzikie gniazdo kasztanowych loków, okalających buzię o różowych policzkach, wprost tryskającą dobrym humorem. Wręczył Maksowi komplet używanych kijów golfowych:

– Tylko dbaj o nie jak należy, dobra? – rzucił i klepnął go po ramieniu. Za sobą ciągnął niewiarygodnych rozmiarów worek marynarski.

– Hej, Connor – powiedział Max, zamykając drzwi za kolegą, kiedy ten był już na niższym poziomie i głośno witał się z Davidem i panem McDanielsem. – Może lepiej, żebyś zostawił rzeczy w swoim pokoju?

– Eeee – odparł Connor, rozsiadłszy się w jednym z przytulnych zakamarków niższego poziomu i grzebiąc jak borsuk w swoim bagażu. – Moi cudowni współlokatorzy

już się przechwalają, jak spędzili wakacje. Jeden doił jaki, drugi budował latryny, a trzeci robił na drutach buciki dla porzuconych kotów. – Maluchy i mięczaki, i tyle – podsumował i smutno potrząsnął głową. – Miałem nadzieję, że mnie tu na jakiś czas przyjmiecie, dopóki...

Nie dokończył, bo znów rozległo się stukanie do drzwi. Słysząc było zza nich chichoty.

– ... dopóki dziewczyny się tu nie zlecą! – zapiął Connor, wyciągając z worka błyszczącą torbę. Cisnął ją do taty Maksa, który złapał ją i mruknął z zadowolenia. Davidowi nie za bardzo było w smak pojawienie się w pokoju następnych odwiedzających, a tym bardziej dziewczyn. Powąchał szybko koszulę pod pachą i schował się za drzwiami szafy, żeby się przebrać.

Max przesunął się na bok, by przepuścić do środka Cynthię Gilley, Sarę Amankwe i Lucię Cavallo, które w mig wypełniły pokój powitalnym szczebiotaniem. Już po paru minutach szóstka uczniów wraz z panem McDanielsem siedziała na dole i zjadała wydobyte gdzieś z dna torby Connora Gigantyczne Ciastka Braci Bedford – nowy produkt firmy, którą kiedyś pan McDaniels miał w spisie swych najważniejszych klientów.

– No i co pan sądzi? – spytał Connor, gdy tata Maksa z przymkniętymi oczami zjadał grube ciacho o nierównej powierzchni, zupełnie, jakby to była co najmniej kanapka. – Zobaczyłem je w sklepie na lotnisku i od razu pomyślałem o panu.

Pan McDaniels gestem poprosił o ciszę i dalej w zamyśleniu przeżuwał ciastko.

– To produkt doskonałej jakości – osądził wreszcie i z aprobatą kiwnął głową w stronę opakowania. – Całość lekka, zbożowa, delikatnie wykończona czekoladą. Zadzwońlibym z chęcią do szefa i zaproponował jakiś chwytliwy slogan...

– Tato – rzekł Max, kręcąc z pobłażaniem głową nad swoim niezwykle lojalnym ojcem – Bracia Bedford już nie są twoim klientem. Te ciastka mogłyby równie dobrze smakować jak kulki na mole, a ty i tak byś powiedział, że to rewelacja.

– Co to, to nie – zaprzeczył pan McDaniels i poklepał się po wielkim brzuchu. – Można skłamać komuś prosto w twarz, ale nie da się oszukać żołądka, synu. Żołądek swoje wie. Pamiętaj o tym.

– Czy to ma być aforyzm? – spytał jego syn, spuszczać głowę, podczas, gdy inni ryknęli śmiechem. Pan McDaniels tylko się uśmiechnął i puścił torebkę z ciastkami w obieg.

– Dość już o ciastkach! – przerwała Lucia, rozsądna włoska ślicznotka, której błyszczące oczy i obojętność na urok osobisty Connora rozkładały tego ostatniego na łopatki. – A teraz gadajcie, wy dwaj – wskazała na Maksa i Davida – co się tu dzieje?

– Lucia ma na myśli – wyjaśniła Cynthia, odsuwając sobie przed nosa rękę Lucii i sięgając po następne ciastko – że skoro siedzieliście tu przez całe lato, to musicie

wiedzieć, co słycać.

Powiedziawszy to, pulchna Angielka ugryzła ciastko i utkwiała w Davidzie wyczekujące, matczyne spojrzenie.

– Co słycać? Z czym konkretnie? – spytał David.

– No, na przykład, dlaczego na miejscu naszej uroczej małej stróżówki stoi teraz forteca – rzuciła Sara, która wyglądała naprawdę po królewsku w szkarłatnym szalu przywiezionym z rodzinnej Nigerii.

– Forteca, której mury mają piętnaście metrów wysokości – dodała Lucia.

– A na górze kolce – uzupełniła Cynthia.

– A na dodatek wszędzie roi się od agentów – zakończyła Sara.

– Oraz mistyków – wtrącił Connor. – Widziałem, jak na mnie łypią z okien. Dwie stare dziwaczki, po których nie wiadomo, czego się spodziewać! Aż ciarki po mnie przeszły...

– David wie więcej na ten temat – rzekł Max. – Bo pomagał pani Richter.

– Cóż. Nie skorzystano z mojej pomocy przy projektowaniu – rzucił David, trochę zły. – Używali mnie tylko do roboty, kiedy trzeba było wznosić mury i tak dalej...

– Ty wznosiłeś mury? – Sara szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. – Ale one mają chyba z sześć metrów grubości!

David skinął głową i skubnął ciastko. Odkąd przybył do Rowan, przejawiał niespotykane, intuicyjne zdolności

mistyczne.

– Teraz, kiedy Astaroth jest na wolności, pani Richter twierdzi, że potrzebujemy lepszej ochrony. Spośród wszystkich wygnanych demonów Astaroth jest uważany za największego mędrca i Czarnoksiężnika. – David wzruszył ramionami.

– Ale czy Rowan i tak nie jest wystarczająco niedostępne dla osób z zewnątrz? – spytała Cynthia z prawdziwym lękiem. – Mimo że jest wolny, to nawet on, Astaroth, nie powinien tak łatwo nas tu znaleźć. Czy tak nie jest?

– Powinno być – wyjaśnił David, marszcząc nos – ale ja miałbym wątpliwości.

– Jak to? – spytał Max, zerkając na przerażoną Sarę.

– A jak ta wiedźma znalazła Rowan? – David wcelował blade spojrzenie prosto w Maksa. – Pani Richter oczywiście była zszokowana żądaniem Damy, ale nie widziałeś, jaka była zaskoczona, że ta Dama w ogóle tu dotarła?

– Hej, David, może ty powinieneś sprawować tu rządy – rzucił pan McDaniels i chrząknął, odsuwając podaną mu torbę z ciastkami. – Ja w każdym razie głosowałbym na ciebie.

– Proszę nawet w ten sposób sobie nie żartować, proszę pana – cicho powiedział David i sięgnął po następne ciastko. – Obawiam się, że Rowan ma w swych murach jeszcze jednego zdrajcę lub po prostu nie jesteśmy tak dobrze ukryci, jak nam się wydaje.

Connor podniósł rękę, jak uczeń na lekcji.

– A przepraszam, o jakich wiedźmach mowa?

– Pozwólcie, że tu was pożegnam – rzekł tata Maksa, strzepując z rąk okruchy i odchylając się do tyłu na krześle. – Sami sobie porozmawiajcie o wiedźmach. Ja mam dość tego tematu na dzisiaj. Za dużo wiem na jeden dzień. Poza tym obiecałem Bobowi, że rozstawię w kuchni Szynclomastera 2000. Jutro czeka nas prawdziwa uczta! Mnóstwo pieczonego mięsa! Szykujcie żołądki!

Uczniowie pożegnali się z panem McDanielsem, który jak niedźwiedź powoli gramolił się po schodach.

Max wyciągnął się i pstryknął na światła, przekształcając w jednej chwili pokój w dwupoziomowy pierścień ze złocistego drewna, nad którym sklepiało się rozgwieżdżone nocne niebo. Gwiazdozbiory błyszcząły i mrugały nad ich głowami, a Max i David na zmianę opowiadali o odwiedzinach Damy Mała. Co chwila odpowiadali na pełne niedowierzania pytania Connora, którego wreszcie udało się Lucii uciszyć. Kiedy Max wspomniał o złożonej na pożegnanie obietnicy Damy, że wiedźmy powrócą, Lucia zgmiotła gwałtownie pustą torebkę po ciastkach i wyrzuciła z siebie potok włoskich słów.

– Myślisz, że naprawdę będziecie musieli odejść? – spytała Sara, wpatrując się poważnie w Maksa.

– David uważa, że na pewno mają podstawy, skoro odważyły się złożyć takie żądanie – odparł chłopiec, unikając jej wzroku. Wzruszył ramionami. – Choć trudno

w to uwierzyć.

– Nie ma mowy, co ty! – rzucił Connor. – To byłoby jak... jak niewolnictwo! Takie rzeczy już się nie zdarzają!

– Zobaczymy – uciał David, spoglądając na Maksa. – Nie ma sensu na razie się tym przejmować.

Błagam, nie mówcie innym. I tak myślą, że jestem nienormalny.

– Dobra – potwierdził Connor. – Ale już słyszałem, jak ci z szóstego roku mówili, że widzieli, jak Cooper wyprowadza przez bramę jakąś kobietę. To musiała być ta wasza wiedźma, co?

Max skinął głową.

– Na pewno będą o tym paplać – uznał Connor – ale my już się tym zajmiemy, jeśli chcecie. – Uśmiechnął się i znowu zanurzył rękę w swojej olbrzymiej torbie, a po chwili wyciągnął z niej cienką, oprawioną w czerwoną skórę książkę i mały woreczek z czarnego filcu. Położył obie rzeczy na stole z triumfalnym błyskiem w oku.

– Co to? – spytała Cynthia, przysuwając się do książki. Na okładce nie było tytułu.

– To, moja droga Cynthio, jest właśnie sposób, w jaki zabezpieczymy sekret Maksa i Davida! – odparł Connor zadowolony. Rozwiązał woreczek i wytrząsnął z niego na stół sześć małych kamyczków. – Jest to coś, dzięki czemu spędziłem najlepsze wakacje w życiu. Nie mam pojęcia, jak sobie do tej pory bez tego radziłem.

– Ale co one robią? – spytał Max, przysuwając zestaw bliżej.

– Spytaj lepiej, czego nie robią – zagadał Connor, układając kamienie w kręgu. Każdy z nich miał troszkę inny kształt i kolor i Connor bardzo pieczołowicie przydzielał im miejsca. – Do tej pory ten układ był najlepszy – rzekł. Gestem pokazał, by przyjaciele przysunęli się bliżej, po czym otworzył książeczkę i zaczął ją kartkować.

*Gdy obowiązki piętrzą się nad siły,
A serce gryzą niewinne zachcianki,
To wzywam ciebie, przyjacielu miły,
Co z problemami umiesz stanąć w szranki.
W tej wieczornej godzinie przyzywam cię, panie Sikes.*

Kamyki zaczęły mrugać, jakby niechętnie budziły się do życia, jak wypalona żarówka. Rozległo się dalekie bicie zegara i gwałtownie rozbłysło jakieś światło. Chwilę później Max ujrzał przed sobą postać podobną do elfa, nie większą od świecy.

Małeńka istota w schludnym, eleganckim garniturze bankiera stała pośrodku kręgu, roztaczając wokół siebie aurę uprzejmości i dystansu. Miała srebrzyste, kręcone włosy, niebieskawą skórę, imponujący orli nos i czujne, żółte oczy kota. Obracając się na czubku dobrze wyglansowanego trzewika, długo przyglądała się każdemu z dzieci po kolei. Kiedy jej wzrok padł na Connora, skłoniła się i przemówiła płynnym głosem, gładkim niczym jedwabna wstęga:

– Panicz Lynch przyzywa właściwymi kamieniami i zaklęciami, a pan Sikes przybywa. Co dolega młodemu paniczowi? W czym pan Sikes mógłby pomóc?

Max dokładniej przyjrzał się maleńkiej figurce, przypominającej teraz posłuszną lalkę. Zerknął szybko na Davida i stwierdził, że chłopiec z niewyraźną miną odchylił się do tyłu.

– Miło pana widzieć, panie Sikes – odezwał się uprzejmie Connor. – Chciałbym pana o coś prosić, lecz najpierw muszę przedstawić panu moich przyjaciół i, eee, może poprosić o szklaneczkę lemoniady dla każdego?

– Pan Sikes jest bardzo rad, że może poznać przyjaciół panicza – rzekła postać, klasnęła w dłonie i zgięła się w usłużnym pokłonie przed Cynthią, która skinęła głową i otworzyła buzię ze zdziwienia. – Lemoniada z lodem, do usług!

W tej samej chwili Max ujrzał przy swej leżącej na stole prawej dłoni korkową podkładkę, a na niej wysoką szklankę lemoniady.

– Do dna! – wykrzyknął Connor i podniósł swoją szklankę jak do toastu.

– Stop! – zaprotestował David, przytrzymał rękę Connora, omal nie wytrącając mu szklanki. – Niech nikt tego nie pije!

– Spoko, David – rzekł Connor – wszystko gra! Wypiłem już hektolitry lemoniady od pana Sikesa, prawda, panie Sikes? I nic mi się nie stało!

– Tak, panicz rzeczywiście lubi lemoniadę –

potwierdziła filigranowa figurka i wygładziła sobie garnitur.

David zignorował Connora i obrzucił pana Sikesa sceptycznym spojrzeniem.

– Kim pan jest? – spytał cichym, poważnym głosem.

– Jestem sługą, którego zawezwał panicz Lynch – odpowiedziała istota z prostotą.

– Ale czym pan jest, panie Sikes? – spytał Max.

– Max – Connor zerknął na kolegę ze złością – nie bądź nieuprzejmy!

– Pan Sikes się wcale nie obraża – zapewniła istota. – Pan Sikes jest tylko skromnym chochlikiem i prosi o wybaczenie, jeśli uraził przyjaciela panicza Lyncha.

– Widzisz? Jest chochlikiem. W porządku? – spytał Connor.

Max wzruszył ramionami, lecz David przygryzł z niecierpliwości wargę i spojrzał na Connora.

– A wiesz, co to jest chochlik? – spytał.

– Tak, wiem – odparł z dumą Connor. – Jest kapitalnym, małym facecikiem, który przychodzi, kiedy go wezwiesz, i spełnia twoje życzenia. Co się czepiasz? Wezwałem pana Sikesa dla was, żebyście go poznali, a wy mnie traktujecie, jakbym miał trzy latka! I w dodatku... Co ty robisz?

– Już pan Sikes wie, co robię – spokojnie odparł David, kreśląc palcem świetlisty okrąg wokół kamyków. – Dzięki temu kręgowi pan Sikes pozostanie na swoim miejscu. Chochlik jest demonem, Connor.

Connor patrzył z niedowierzaniem. Rozejrzał się po kolegach, szukając u nich poparcia. Pan Sikes uśmiechnął się i przeprasząco wzruszył ramionami.

– Młody panicz nie kłamie. Bardzo mi przykro, ale formalnie chochliki są demonami.

– Naprawdę? – Connor zmarszczył nos i nachylił się nad panem Sikesem, by się mu przyjrzeć z bliska. Ten zniósł inspekcję z właściwym mu niezmaconym spokojem.

– W istocie – przytaknął – lecz nie mogę się zgodzić z tym z panów, który twierdzi, że mogę stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Istnieje wiele rodzajów demonów i różni się od siebie zarówno pod względem typu, jak i temperamentu. Tak samo jak ludzie. Czy istnieją ogromne, przerażające demony? Oczywiście. A czy są ogromni, przerażający ludzie? Ja śmiem twierdzić, że również tak. Czy wzdrygacie się na widok zwykłej jaszczurki z winki tylko dlatego, że jest odległą kuzynką krokodyla? Są demony, które istnieją po to, by niszczyć. Pan Sikes istnieje po to, by służyć.

– To rzeczywiście zaleta – zgodził się Connor. – David, nawet ty musisz przyznać, że nasz mały jegomość ma swoje zalety.

David skinął głową, lecz brew miał wciąż zmarszczoną.

– Czy to twoja jedyna postać? – spytał pana Sikesa.

– Pan wybaczy, nie rozumiem – rzekł chochlik.

– Czy nieszkodliwa jaszczurka może się przekształcić

w krokodyla? Czytałem, że wy, chochliki, możecie przyjmować różne postaci.

– Ależ oczywiście, że mogę przybierać rozmaite formy – rzekł pan Sikes – lecz obawiam się, że te dwie, które mógłbym przybrać teraz, spowodowałyby zbyt duże poruszenie.

– A co to za formy? – chciała wiedzieć Lucia.

Pan Sikes uśmiechnął się do niej i odchrząknął.

– W akcie pierwszym zobaczycie... przerażającą mysz polną!

Pstryknął palcami, dzieci usłyszały trzask i pan Sikes zniknął, a na jego miejscu pojawiła się szara mysz z różowym ogonkiem. Węszyła blisko błyskającego okręgu, stworzonego przez Davida. Wtem stanęła na tylnych łapkach i poruszyła wąsikami. Sekundę później rozległ się kolejny trzask i mysz zmieniła się w małą ćmę, unoszącą się w powietrzu dzięki uderzeniom pary brunatnoszarych skrzydełek. Ćma zataczała w powietrzu małe okręgi.

Trach!

Nagle szarpnięcie niebieskiego prądu wstrząsnęło owadem. Max aż podskoczył. Ćma upadła na blat i kręciła się po nim, trzepocząc skrzydełkami.

– Jest ranny! – krzyknęła Cynthia.

– Uderzył w granicę! – stwierdził David, splatając przed sobą ramiona. – Po to właśnie tam była.

– Tak się nie robi, David – obruszył się Connor. – Lepiej niech nic mu nie będzie.

Max zobaczył, że Lucia gapi się na Davida. Nawet

Sara rzuciła mu dziwne spojrzenie, zanim poświęciła całą, pełną troski uwagę leżącej na stole ćmie, która, teraz poruszała już tylko jednym skrzydełkiem, trzepocząc nim bezradnie i zataczając małe, niezdarne kółko. Max uważnie jej się przyglądał. Pan Sikes zrobił na nim wrażenie mądrego, ale chłopiec wiedział, że mógł to być równie dobrze podstęp zastosowany po to, by zdobyć ich zaufanie. Mimo wszystko musiał przyznać, że koniuszek jednego ze skrzydeł został mocno uszkodzony, a bezładne trzepotanie stawało się coraz wolniejsze i wydawało się bolesne.

Trzask!

Na nowo pojawił się pan Sikes. Twarz miał wykrzywioną z bólu i kurczowo trzymał się za ramię. Mimo poprzednich wątpliwości, Max poczuł, że wzbiera w nim współczucie dla małego człowieczka.

– Tak mi przykro – jęknęła Lucia.

– Czy bardzo boli? – spytała Sara, wyciągając w stronę chochlika rękę. Pan Sikes wyciągnął lewe ramię, by chwycić dłoń dziewczynki, lecz zerknął na świetlny krąg i w samą porę się cofnął.

– Nic mi nie będzie – stęknął przez zaciśnięte zęby. – Po pierwsze, to była moja wina. Wszyscy widzieliśmy okrąg stworzony przez panicza. – Chochlik uśmiechnął się z zażenowaniem. – Obawiam się, że chciałem się popisać i zostałem ukarany. Nic mi nie będzie. Proszę się o mnie nie martwić.

David przewrócił oczami.

– A to co ma znaczyć? – spytał Connor, rzucając Davidowi nieprzyjazne spojrzenie. – Chcesz może powiedzieć, że to nie ty go skrzywdziłeś?

– Nie – odparł David spokojnie. – Chcę przez to powiedzieć, że powinieneś pożegnać się z panem Sikesem, rozbić te kamienie i spalić książeczkę.

Connor spojrział na kolegę z niedowierzaniem i zaśmiał się krótko.

– Chyba żartujesz, co? Sam wykradłeś w zeszłym roku zakazaną księgę czarów. – I to taką, której nie tyka sama Richter!

David chwilę milczał, potem skinął głową.

– I czy nie krążysz bez ustanku po całym kampusie, o różnych porach, nawet po ścieżkach, na które uczniowie nie mają wstępu? – nie ustępował Connor.

David zamrugał i znowu, wahając się, skinął głową.

– I ty mówisz mi, że nie poradzę sobie z chochlikiem? – zdenerwował się już na dobre Connor. – Dlaczego? Bo nie jestem Davidem Menlo, najwyższym Czarnoksiężnikiem? Nie jesteś przypadkiem zbyt pewny siebie?

– Connor! – krzyknęła Sara. – Dostyc!

Twarz Davida przybrała kolor buraka.

– Ja tylko... – chłopiec zaciął się i zwiesił głowę, po czym odsunął się od stołu. Wbiegł po schodach i cicho zamknął za sobą drzwi.

– No i skończyło się miłe popołudnie – stwierdził Connor. Wyglądał żałośnie, jakby gryzło go poczucie

winy.

– Connor, powinieneś dogonić Davida – powiedziała Cynthia. – On tylko chciał pomóc.

– Dobra z ciebie dziewczynka – rzekł pan Sikes i zwrócił na nią swoje przepastne, świetliste spojrzenie. – I zgadzam się z tobą z całego serca. Wielu ludzi żyje w błędnym przekonaniu, że chochliki to nic dobrego, i trudno winić twojego kolegę, że w to wierzy.

– Może i byłem trochę za ostry – przyznał Connor. – Pójdę go poszukać.

– Eee tam – rzucił Max i pomieszał lemoniadę, w której roztopiały się kostki lodu. – Zostaw go w spokoju.

Connor kiwnął głową.

– Dobra, w takim razie jutro go złapię. Och! Panie Sikes, byłbym zapomniiał, po co w ogóle pana wezwałem tym razem. Ale... pewnie dzisiaj już nic z tego nie będzie, prawda?

Uszy pana Sikesa drgnęły i chochlik nawykowym ruchem obciągnął na sobie perłowoszary garnitur.

– Jeśli tylko leży to w granicach moich możliwości, będę zaszczycony, spełniając prośbę panicza Lyncha.

– Doskonale – odparł Connor i wyszczerzył się do Maksa. – Czy potrafi pan sprawić, żeby ludzie o czymś zapomnieli?

– Oczywiście – skłonił się lekko pan Sikes. – Chochliki na niewiele by się przydawały, gdyby ich usługi kończyły się na serwowaniu lemoniady. Oczywiście, mogę spełnić pana prośbę, paniczu Lynch, ale... –

chochlik zawahał się.

– Ale co? – spytał Connor. – Czy czegoś potrzebujesz?

– Po pierwsze, ich nazwisk – odparł demon, rozcierając zranione ramię. – I oczywiście, nie mogę być dalej zamknięty wewnątrz tego kręgu. Pan Sikes będzie musiał odwiedzić tych ludzi podczas snu.

– Connor – odezwała się Sara, mrużąc sceptycznie oczy – to chyba nie jest najlepszy pomysł.

Max był skłonny się zgodzić. Nie podobała mu się wizja demona – niezależnie od typu – załatwiającego tajemnicze sprawy na terenie kampusu. Connor jednak zwyczajnie zlekceważył Sarę i całą uwagę skupił na nieskazitelnie ubranej postaci strzepującej właśnie niewidoczny pyłek z garnituru.

– A co, jeśli cię zobaczą? – spytał pana Sikesa.

– Nie zobaczą – zapewnił chochlik.

– I nie zrobisz im żadnej krzywdy? Żadnych skutków ubocznych i tak dalej?

– Absolutnie – obiecał pan Sikes.

Stary Tom wybił siódmą. Max poczuł, że burczy mu w brzuchu.

Ktoś zapukał do drzwi.

– To pewnie David – powiedział Max i zerknął na klucz do pokoju, który kolega zostawił na komodzie. Wspiął się po schodach, otworzył drzwi, lecz ujrzał przed sobą nie Davida, a Coopera. Nigdy dotąd nie widział go w skrzydle mieszkalnym. Doszedł do wniosku, że

niespodziewane przybycie agenta ma jakiś związek z pustką na korytarzu i panującą na nim niespotykaną ciszą.

– O, Cooper! – krzyknął Max, by ostrzec kolegów na dole.

Cooper spojrział na niego dziwnie, lecz nic nie powiedział. Potem wszedł do pokoju i rozejrzał się uważnie. Zapatrzył się w sufit, który miał kształt sklepienia niebieskiego. Do uszu Maksa doszły paniczne szepty kolegów zgromadzonych na dole.

– Kto tam jest? – spytał agent, spoglądając na prowadzące w dół schody.

– Nikt – odpowiedział Max obronnym tonem. – To znaczy nikt, kto nie powinien tam być. Tylko Connor, Cynthia, Sara i Lucia.

– Na dole kolacja stygnie – mruknął Cooper. – Będą musieli się pospieszyć, jeśli chcą zdążyć zjeść.

– Co? Muszą gdzieś iść? – zdziwił się Max.

– Oni nie. Ty musisz – odparł Cooper. – Weź jakąś bluzę i chodź.

Max zawahał się.

– Ale dokąd?

– Pani dyrektor postanowiła, że ty i David macie przejść aklimatyzację – wyjaśnił agent. – Musimy dotrzeć na miejsce przed północą.

– Chciałbym najpierw porozmawiać z panią Richter – sprzeciwił się Max, któremu niezbyt podobała się perspektywa czegoś, co Cooper nazwał aklimatyzacją.

– Od wyjazdu więdźmy pani dyrektor przez cały czas

ma ważne spotkania. Nie należy jej przeszkadzać.

– Ale ja od dwudziestu czterech godzin jestem na nogach – oponował chłopiec.

– To nic, prześpisz się w samochodzie – mruknął Cooper bez cienia współczucia. – Gdzie David?

– Nie wiem – prędko odpowiedział Max w obawie, że Cooper mógłby dowiedzieć się czegoś o panu Sikesie. – Niedawno wyszedł.

Cooper zmarszczył czoło.

– To musimy go znaleźć. I to już.

– Hej – zawołał Max do zgromadzonych na dole – muszę gdzieś wyjść z Cooperem.

Dziewczynki wbiegły po schodach, pożegnały się i szybko minęły agenta. Na końcu pojawił się Connor, jedną ręką ciągnąc worek żeglarski, a w drugiej trzymając woreczek z kamieniami.

– Hej, Max – rzekł – wszystko już załatwione i na twoim miejscu bym się nie martwił.

– Dobra, dzięki – odparł Max, przerażony, że Connor już wysłał pana Sikesa na misję.

Connor zniknął w swoim pokoju po drugiej stronie korytarza, a Max pobiegł z powrotem na dół, by chwycić dwie bluzy – dla siebie i Davida. Wszelkie dowody obecności pana Sikesa zniknęły – nie było śladu po lemoniadach, podstawkach i świetlistym kręgu.

Davida nietrudno było znaleźć. Cooper i Max wpadli na niego od razu po wyjściu z Domostwa. Drobnny chłopiec siedział na brzegu fontanny stojącej pośrodku

kolistego podjazdu, podstawił dłoń pod strumień bulgoczącej wody i wpatrywał się w niebo spowite w blade odcienie żółtej i pomarańczowej barwy, zwiastujące koniec dnia. Polecenie Coopera przyjął bez słowa sprzeciwu. Wetknął pod pachę podaną mu przez Maksa bluzę i razem z kolegą czekał, aż długa, czarna limuzyna, po którą poszedł Cooper, podjedzie pod fontannę.

W czasie jazdy nie rozmawiali wiele. Cooper byle czym zbywał pytania Maksa, a David siedział w milczeniu i wyglądał przez okno. Samochód minął przyszczyżone trawniki i zadbane rabaty, potem wjechał w tonący w mroku gęsty las, by wreszcie przemknąć pod nowo wybudowaną łukowatą bramą nad grubymi murami z granitu, który David pomagał wznosić. Potężna, kuta z żelaza brama otworzyła się i pojazd bez uprzedzenia załąło ostre światło reflektorów. Cooper wcisnął gaz. Szybko zostawili za sobą – Rowan i wjechali na szerszą szosę. Sunęli teraz wzdłuż skalistego wybrzeża.

Ponieważ Cooper nie odpowiadał na żadne pytania, Max postanowił mimo wszystko przespać się w czasie jazdy. Wciąż jeszcze drzemał, gdy poczuł, że samochód się zatrzymuje. Silnik zgasł i Max usłyszał, że Cooper wysiada. Jego kroki zachręściły na żwirze. Nagle otworzyły się drzwi od strony Maksa i chłopak został bezceremonialnie wyciągnięty z ciepłego wnętrza i postawiony na nogach. Ziewnął i zaczął mrugać. Ujrzał przed sobą kępę sosen o rzadkich igłach. Chwilę później koło niego stanął David.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Max.

Cooper wzruszył ramionami i zerknął na zegarek.

– To nie pora na pytania – odparł. – Instrukcje są proste jak drut. Macie iść ścieżką na plażę. Kiedy się tam znajdziecie, poczekacie i zaproponujecie pomoc każdemu, kto się pojawi. Nie wolno wam używać mistyki, światła ani ognia. Zrozumiano?

– Tak, ale... – zaczął Max, lecz Cooper już siedział z powrotem w samochodzie. Uruchomił silnik i wycofał auto długim, krętym zwirowym podjazdem, porośniętym gdzieniegdzie trawą.

Chłopcy zostali sami. Wpatrywali się piaszczystą ścieżką, która wyglądała, jakby od dawna nikt nią nie chadzał. Wiodła obok jakiejś opuszczonej chaty z zawalonym dachem i powybijanymi szybami, obrośniętej zielskiem.

– No to chyba idziemy na plażę – rzucił Max, mijając chatę z prawej strony.

David ruszył za nim, chatę jednak ominął wyjątkowo szerokim łukiem. Zbiegli po schodach ze zniszczonych przez słońce i wodę desek, miejscami ledwo widocznych spod pełnego kamyków piasku. Serce Maksa zadrżało, kiedy pokonali niską wydmnę i stanęli na plaży.

Fale odpływały i zostawiały po sobie ślad, lśniący na piasku w mlecznobiałym świetle księżyca. Chłopcy podeszli bliżej wody, opatuleni w bluzy. Oparli się o dużą, ciemną skałę obrośniętą ze wszystkich stron skorupiakami i chłonęli odgłosy wiatru i morza. Wydawało się, że na

plaży nie ma żadnej żywej istoty – ani jednego owada, ani jednej mewy.

Po prawie godzinnym czuwaniu w ciszy Max się zniecierpliwiał.

– Chcesz się rozejrzeć? – spytał Davida, odpychając się rękami od skały.

Jego współlokator pokręcił głową i mocnej obciągnął bluzę. Nie spuszczał oczu z odległej chaty, której kształt rysował się teraz na tle oświetlonych przez księżyc chmur. Szczekał zębami z zimna.

– Na pewno? – dopytywał się Max. – Rozgrzejesz się, jak się przejdziemy.

– Wszystko w porządku – mruknął David i chuchnął sobie na dłonie. – Po co się stąd ruszać?

– Bo mi się znudziło stanie, a poza tym zaraz zamarznę – odparł Max i zaczął przytupywać. – Nie pójdę daleko. Krzyknij, jakby co, dobra?

David kiwnął głową i znów się skulił, by zatrzymać jak najwięcej ciepła. Max schylił się, przeszedł pod skałą i ruszył wzdłuż plaży, wypatrując znaków życia. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by popatrzeć, jak fala zalewa jego ślady. Podniósł kamień i cisnął go w wodę. Wpatrywał się w gładkie, błyszczące fale, gdy nagle usłyszał piskliwy krzyk. Przeszły go ciarki.

To piszczał David.

Max popędził z powrotem, wzbijając pióropusze piasku. David siedział oparty o skałę i gapił się prosto przed siebie. Max odwrócił się i zobaczył, że w oknach

chaty zapalono światła. Wyglądało to tak, jakby na wzgórzu świecił ogromny lampion z dyni.

– Kiedy się zapaliły? – szepnął Max.

David nie odpowiedział. Wskazał tylko ręką przed siebie, przerażony do granic możliwości.

Max zmusił się, by odwrócić wzrok od chaty i spojrzeć na lśniące pasmo piasku przy samym brzegu.

W ich stronę posuwało się plażą maleńkie, chybotliwe światełko. Coś się zbliżało.

Max poczuł, że ogarnia go przeraźliwe zimno, postępujące od czubków palców stóp w głąb ciała. Fala obezwładniającego strachu prawie odebrała mu oddech. Usłyszał, że stojący obok David wymiotuje. Kiedy światełko było już całkiem blisko, Max przekonał się, że to tylko stara kobieta w czepku, z koszykiem w jednej ręce i latarnią w drugiej.

– To tylko staruszka – mruknął.

– Przypatrz się lepiej – syknął David.

Max zamrugnął i wstrzymał oddech. Przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że kobieta jest nieco przezroczyta. Przez jej staroświecką koszulę nocną i szlafrok przeświecały skąpane w księżycowym świetle fale. Staruszka podeszła do nich na odległość paru metrów i zatrzymała się.

Ze spokojną ciekawością poświeciła w ich kierunku latarnią.

– Powiedz coś – szepnął David, niezdarnie kopiąc Maksa w stopę.

– Yyy... dobry wieczór... pani – zdobył się na odwagę Max i niepewnie pomachał w jej stronę ręką, przypomniał sobie bowiem instrukcje Coopera. – Czy możemy pani w czymś pomóc?

– Hmmm – odparła zjawą starczym, ochrypłym głosem. – Może i tak... Próbuję odnaleźć męża, wiecie....

Tak się przejmuję, że nie potrafię zasnąć, zanim nie wróci do domu i się nie położy... Pomożecie mi go poszukać?

– Oczywiście – zapewnił uprzejmie Max. Sięgnął w dół, by podnieść Davida, lecz ten jęknął tylko słabo i machnął ręką, by Max szedł sam. – Dalej – stęknął Max i pociągnął kolegę za rękaw. – Nie jest tak strasznie, daj spokój.

David jeszcze raz zerknął na zjawę. Spojrzał spod oka na Maksa i powoli zaczął gramolić się na nogi. Staruszka podziękowała im uprzejmie i poprawiła sobie kosz na ramieniu. Ruszyli plażą wzdłuż brzegu – ona pierwsza, chłopcy jej migotliwym, niewyraźnym śladem. David nie odzywał się, tylko od czasu do czasu przystawał, by odkaszlnąć i splunąć. Max natomiast postanowił za wszelką cenę pokonać strach.

– Yhm, przepraszam, a jak wygląda pani mąż? – spytał, kiedy duch oddalił się od nich o parę metrów.

– Och, jest mniej więcej twojego wzrostu – usłyszał w odpowiedzi – i pewnie ma na sobie ten niebieski płaszcz, który mu uszyłam rok temu w zimie.

Po tych słowach zatrzymała się, by przyjrzeć się

jakiemuś ciemnemu przedmiotowi wyrzuconemu przez fale na brzeg, lecz okazało się, że to tylko stare wiosło oplątane wodorostami. Westchnęła ciężko i oddaliła się od wody ku łagodnym pagórkom wydm, porośniętym wysoką trawą. Po kolejnych dziesięciu minutach bezskutecznych poszukiwań Max stwierdził, że przestało być mu niedobrze. Poczuł za to, że rośnie w nim niecierpliwość na staruszkę, która wciąż kręciła się po plaży, wpatrzona w ziemię.

– A może byśmy zawołali go po imieniu? – zaproponował.

Zjawa stanęła jak wryta i zaświeciła mu latarnią w twarz.

– A po cóż, na niebiosa, mielibyśmy to robić? – szepnęła z wyrazem irytacji na bladej, przezroczystej twarzy. David prawie zemdlał.

– Tak po prostu – odparł Max, podnosząc ręce w obronnym geście. – Pomyślałem tylko, że gdybyśmy go zawołali, to mógłby nas usłyszeć i...

– Oczywiście, że by nas usłyszał! – syknęła staruszka. – Myślisz, że mam zamiar go budzić?

– Co ma pani na myśli? Jak to budzić? – Max nie rozumiał. – Czy on jest gdzieś w pobliżu? – spytał, ignorując rozpaczliwe gesty Davida, nakazujące mu, by siedział cicho.

– O, tak, wiem, że tu jest – mruknęła staruszka i zaczęła się śmiać. David wsunął się za plecy Maksa. Jej śmiech z dziewczęcego chichotu przeszedł stopniowo w

chrapliwy, niski skrzek. Kobieta zaczęła gmerać w swoim koszyku, a światło latarni oświetliło w tym czasie na chwilę twarze chłopców.

W końcu wyjęła z kosza jakiś ciężki przedmiot i cisnęła go w ich stronę.

Była to głowa mężczyzny. Głowa o bladej twarzy, zastygłej w niemym szoku.

– Max krzyknął. David wyskoczył w powietrze, zasłaniając oczy. Ręce i nogi trzęsły mu się spazmatycznie, gdy bezwładnie osunął się na piasek.

– Ale gdzie jest reszta ciebie, mój kochany? – spytała staruszka, zwracając się do głowy, po czym znowu wpadła w straszliwy chichot. Pstryknęła głowie palcami przed nosem i rzuciła:

– Dalej, daj swojej Mary jakąś wskazówkę!

Powieki głowy nagle zamrugwały, a źrenice łypnęły i spojrzały na ducha.

– Myślisz, że dam ci kiedyś spocząć, nieszczęsna kobieto? – zaskrzeczał głos. – Ha! Szukaj, szukaj, ty zabójcza flądrowo...

Wybuchła upiorna kłótnia. Max skorzystał z okazji, by dźwignąć przerażonego kolegę na nogi. Doprowadzony do pionu David wystartował jak rakietę. Max nigdy dotąd nie widział, by jego współlokator tak pędził – jego małe nogi wręcz młóciły piasek, kiedy wrzeszcząc, gnał przed siebie. Obaj chłopcy zostawili sprzeczące się duchy daleko na plaży i popędzili w stronę opustoszałej chaty.

Samochód już na nich czekał na zaniedbanym podjeździe. Chłopcy rzucili się ku niemu najkrótszą drogą, niemal wyrwali tylne drzwi z zawiasów i dali nura do środka. Warknął silnik, a Cooper zerknął na nich przez ramię. Widać było, że z trudem ukrywa rozbawienie.

3

CIOTECZKA

Kilka godzin później Max garbił się nad miską płatków na mleku w łukowato sklepionej jadalni Domostwa. Przez witraże wpadało do środka poranne słońce. Jadalnia już pustoszała po śniadaniu. Uczniowie pierwszego roku rozchodzili się do swoich zajęć, czyli do Sanktuarium, gdzie czekały na nich powierzone ich opiece mistyczne stworzenia. Starsi uczniowie, zbici w ciasne grupki, porównywali plany zajęć i komentowali zmiany, jakie w lecie zaszły w kampusie. Siedząca naprzeciwko Maksa Cynthia bez powodzenia próbowała odpędzić Connora, który metodycznie, raz za razem, poszturchiwał Davida w wychudzone ramię.

– Daj spokój, przecież on śpi! – syknęła i uciekła się do silniejszej broni, czyli szczypania.

– Przecież widzę, że śpi – odparł niewzruszony Connor. – Tak śpi, że zaraz da nura w owsiankę.

– Max odsunął talerz kolegi na bezpieczną odległość. David dalej chrapał z szeroko otwartymi ustami.

– Ty chyba też cały dzień dzisiaj prześpisz, co? – zagadnął Maksa Connor.

Przysiadły się do nich Lucia i Sara.

– Yhy – odparł Max z buzią pełną owsianki i sięgnął łyżką, by podkraść trochę z miski Davida. – Mam dziś iść

na Trasę i zrobić jakiś scenariusz z agentami.

Connorowi ze zdziwienia łyżka niemal wypadła z ręki, gdy usłyszał, że kolega ćwiczy z agentami na supernowoczesnym, supertrudnym symulatorze treningowym Rowan.

– Co? Robisz scenariusze z agentami? – nie mógł uwierzyć. – Z prawdziwymi agentami? To największa rewelacja, jaką w życiu słyszałem. I na którym jesteś poziomie?

– Chyba na szóstym – mruknął Max i otarł usta.

– Patrzcie, nasz kumpel robi scenariusze szóstego poziomu z agentami! Nie do wiary! – wykrzyknął Connor. Otarł wyimaginowaną łzę z oka i korzystając z okazji, uścisnął Lucię, która wyrwała mu się, protestując głośno. Następnie odwrócił się do drugiego stołu, przy którym siedział piąty rok, i zaczął do nich nawijać. Sara zmrużyła oczy i chrząknęła.

– Czego oni od ciebie chcą? – zwróciła się do Maksa dobitnie.

– Ale o co ci chodzi? – spytał chłopiec i nagle poczuł się bardzo zażenowany pod zjednoczonym, intensywnym spojrzeniem trzech dziewczynek.

– Zacznijmy od aklimatyzacji – rzekła Sara i złożyła ramiona identycznym gestem, jak zwykła to czynić panna Boon, ich nauczycielka mistyki. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Och – jęknął Max. – O tym nie wolno nam tak naprawdę opowiadać.

– I tu cię mam! – krzyknęła Sara, uderzając dłonią w stół. – O to chodzi! Każą ci robić różne rzeczy, niebezpieczne, dodajmy, i każą ci siedzieć cicho i nic nie mówić!

– Aklimatyzacja chyba raczej nie jest niebezpieczna – zapewnił ją Max. – Nie mogę o tym opowiadać, bo lepiej się przez nią przechodzi, jeśli człowiek nie jest z góry na nic nastawiony – wytłumaczył. – Wszyscy ją przechodzą pod koniec szóstego roku...

– Właśnie. Więc dlaczego ty i David przechodzicie przez nią już teraz? – przerwała mu Cynthia. – Jesteśmy dopiero na drugim roku, jeśli ktoś tego przypadkiem nie zauważył.

– Nie wiem. – Max wzruszył ramionami. – Pewnie myślą, że jesteśmy już gotowi.

– Gotowi do czego konkretnie? – spytała Sara. – Max, ty masz dopiero trzynaście lat.

– A co to ma do rzeczy? – uciał. – Czemu nie spytasz tych z szóstego roku, z którymi ćwicyłem przez całe lato? Wszystkim dałem baty!

Nagle zorientował się, że mówi głośniej, niż zamierzał. Kilku uczniów szóstego roku spojrzało na niego zza stołu pod witrażami. Był wśród nich i ten chłopak, którego Max ostatnio dosłownie przepędził z Sanktuarium. Popatrzył teraz na Maksa kwaśno.

– Max – odezwała się znowu Sara, tym razem błagalnie – chodzi mi tylko o to, że... oni cię wykorzystują! Manipulują tobą, ostrzą cię. Jak broń! Czy

twój tata wie o aklimatyzacji?

– Nie – odparł chłopiec. – Nie sędzę.

– Więc zobacz, każą ci gonić innych uczniów, ćwiczyć z agentami, i to wszystko w tajemnicy przed kolegami i przed tatą. Czy to według ciebie jest w porządku?

– Sara, nikt mnie nie wykorzystuje – mruknął Max, wstał od stołu i skierował się do kuchni. Pchnął wahadłowe drzwi, podszedł prosto do najbliższego zlewu i ochlapał sobie twarz zimną wodą. Z następnego pomieszczenia usłyszał muzykę i śpiewy. Głębokiego, wibrującego głosu jego ojca oraz grzmiącego barytonu Boba nie dało się pomylić z niczym innym. Jednego głosu chłopiec jednak nie rozpoznał. Był to mianowicie głos kobiety, głęboki, lecz dźwięczny, lekko jazzujący.

Max zajrzał do środka i zobaczył ojca, nachylonego pod okapem kuchennym i mieszającego w olbrzymim garze coś, co pachniało jak sos pomidorowy. Bob natomiast zsuwał z deski do krojenia klopsiki, które z pluskiem wpadały do sosu, a potem zaczynały bulgotać. Trzecia zaś osoba – Max przypuszczał, że musi to być Mamuśka – kręciła się i podrygiwała między nimi, mieląc równocześnie liście oregano i na całe gardło wtórując Elli Fitzgerald, której miękki, wibrujący głos wydobywał się ze starego radia.

Nie chcę miłości z drugiej ręki.

To dobre dla innych, ale nie dla mnie.

*Nie będę dzielić się tobą z nikim,
Nie będę dzielić się tobą z nikim.*

Max zerknął jeszcze raz i stwierdził, że trzecia śpiewająca postać rzeczywiście przypomina Mamuškę, jest jednak o jakieś dwadzieścia- trzydzieści centymetrów szersza i trochę wyższa. Była wiedźmą o szarawej, jakby pozszywanej z łat skórze, miała jakieś półtora metra wzrostu i brzuch tak nadęty i wydatny, że fartuch kuchenny nosiła niezawiązany, a jego troczki wisiały po bokach i tańczyły w rytm muzyki, gdy wiedźma podrygiwała i ruszała okazałym siedzeniem. Dodała oregano do sosu, a kiedy piosenka się skończyła, klasnęła w ręce.

– O, to było dobre – rzekła. – Doprawdy, ta Ella to dopiero była przepelniona soulem! Oj! Bob, ty przystojny diable, zaprzęgnij to stare dziewczuszyko do roboty. Co dzisiaj mają jeszcze jeść nasze piękne dzieciaczki? Suflet? A może tak bym raz, dwa ukręciła mój – trójwarstwowy tort czekoladowy?

– Możesz zrobić suflet – odparł Bob pod wrażeniem jej umiejętności kulinarnych. – Mamuška czasem próbuje, ale za szybko do niego zagląda i po suflecie!

– A wcale że nie! – rozległ się głos Mamuški z bocznego kredensu. Spoza zasięgu wzroku Maksa wyleciał ziemniak i głucho uderzył Boba w pierś. Ogr westchnął i sięgnął po główkę czosnku. Przy okazji dostrzegł Maksa.

– Max – zahuczał dokładnie w chwili, gdy radio zaczęło nadawać następną piosenkę – chodź, spróbujesz tego!

Tata Maksa nabrał trochę czerwonego, bulgoczącego sosu na kromkę chleba i dał chłopcu do skosztowania. Bez cienia wątpliwości był to najlepszy sos pomidorowy, jakiego chłopiec w życiu próbował – o bogatym, pomidorowym aromacie, z nutką wina, a do tego cudownie pieprzny.

– Pycha – oznajmił i znowu zaburczało mu w brzuchu. – Rewelacyjnie pyszne!

– Hura! Hura! – Zaczęła klaskać potężna wiedźma. – Masz dobry smak, mój chłopcze. Na pewno i dżentelmen z ciebie, i naukowiec!

– Max – odezwał się pan McDaniels – chciałbym ci przedstawić siostrę Mamuśki, Bellagrog. Przybyła do nas dziś rano. Bellagrog, to mój syn Max.

Wiedźma utkwiała małe, czerwone oczka w Maksie, po czym zbliżyła się do niego i złapała go za obie ręce. Podobnie jak uścisk Mamuśki, uścisk jej siostry był miękki i lepki, a jednocześnie mocny jak stal.

– Bellagrog Shrope do twoich usług, kochanieńki. Ale mów na mnie Cioteczka! – pisnęła i zlustrowała chłopca od stóp do głów. – Ale przystojniaczek z ciebie, ho, ho, ho...

– Dziękuję – odparł Max, próbując bezskutecznie wydostać się z jej uścisku. – Bardzo mi miło panią poznać.

Cioteczka poklepała Maksa po rękę i zerknęła w bok, na pana McDanielsa.

– Jaki ojciec, taki syn, najprzystojniejsza para, jaką w ostatnich czasach przyszło mi spotkać – stwierdziła. – A gdzie jest żona, jeśli można spytać?

– Max zerknął na ojca, ciekaw jego reakcji. Bryn McDaniels zniknęła już trzy lata temu, a pan McDaniels wciąż nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że najprawdopodobniej nie żyje. Pan McDaniels chrząknął.

– Nie możemy jej odnaleźć – powiedział ze smutnym uśmiechem, wzruszając bezradnie ramionami. – Jak ją gdzieś spotkasz, daj mi znać.

– A nigdy w życiu! – zaśmiała się głośno Bellagrog i wyzywająco szturchnęła tatę Maksa drewnianą łyką po tylniej części ciała. – Znów jesteś do wzięcia, kochasiu!

Max wyszczerzył zęby, a pan McDaniels oblał się rumieńcem i roześmiał bohatersko.

Nagle z bocznego kredensu wytaszczyła się Mamuśka z wyrazem paniki na twarzy.

Pospiesznie zajęła miejsce między panem McDanielsem a Bellagrog i wspięła się na palce, bezskutecznie próbując spojrzeć wyżej wiedźmie prosto w oczy.

– Miałaś długą podróż, Bel – sapnęła. – Baaardzo długą, i musisz być naprawdę zmęczona. A może byś się tak trochę przespała w moim kredensie, co?

– Ależ ty jesteś troskliwa, moja droga. – Bellagrog uszczypnęła Mamuśkę w policzek. – Chyba jednak bym

się nie zmieściła. Jesteśmy w takim wielkim budynku, a ty się wciskasz do jakiegoś malutkiego kredensiku. U-ha-ha! Szkoda, że babunia nie żyje i nie może tego zobaczyć!

– A co, nie podoba ci się mój kredens? – warknęła Mamuśka, opadając z powrotem na pięty.

– Ależ nie, Beo – zachichotała Bellagrog – on nawet pasuje do twojej osobowości. Mówię szczerze. Żebyś wcześniej wiedziała, że moja mała siostrzyczka mieszka w tych stronach, dawno bym ją znalazła!

– Więc ciężko było odnaleźć Rowan? – spytał Max, lekceważąc przestrogi Davida.

– Eee tam – Bellagrog machnęła ręką. – W Bostonie zlażłam ze statku i dotarłam tutaj. Trochę trzeba było poniuchać po lasach, ale udało mi się, co nie?

– A co cię tu sprowadza? – spytał Bob, myszkując w zamrażarce.

– W dzikich stronach zaczyna się robić nieciekawie. – Wiedźma ponuro pokiwała głową. – Sprytnie zrobiłeś, zwiewając stamtąd, kiedy trzeba! Ludzie nie puszczają dzieci o, tak pobawić się, połazić, jak kiedyś, a... przecież trzeba coś jeść!

Napuchnięta wiedźma zgrzytnęła zębami i zaśmiała się mściwie. Pan McDaniels zrobił się zielony i opiekuńczym gestem objął syna za ramiona. Widząc to, wiedźma wybuchnęła śmiechem.

– Uuu, jak widzę, jest pan dobrym ojcem, panie McDaniels, ale proszę się nie martwić. Wiem, że te dzieciaczki tutaj nie są do jedzenia. W życiu nie

obrazilibym gospodarzy! Złapię sobie coś na obiad w tym małym miasteczku za bramą, tam jest chyba sporo turystów!

Pan McDaniels jęknął.

– A może powinniśmy urządzić drugą ceremonię niuchania – zaproponował Bob. – Zapytam panią dyrektor.

– A co to za „ceremonia niuchania”? – spytała Bellagrog, spoglądając na Mamuškę.

– To po to, żebyśmy... nikogo tu nie zaczepiały – mruknęła cicho Mamuška, spuszczać oczy, by uniknąć spojrzenia siostry.

– I ty się na to zgadzasz? – spytała Bellagrog.

– Uhm – przyznała się niechętnie Mamuška.

– Powinnaś się wstydzić! Tak! – wrzasnęła Bellagrog i zaczęła wymachiwać siostrze przed nosem koślawym, krótkim paluchem. – Jak możesz pozwolić, żeby ktoś o nazwisku Shrope brał udział w czymś tak upokarzającym!

– Jeśli chcesz tu zostać, też będziesz musiała się na to zgodzić – cicho rzekła Mamuška.

– Też mi coś! – prychnęła Bellagrog i gwałtownie potrząsnęła radiem, które zaczęło emitować same trzaski. Zmrużonymi oczami wpatrywała się w potencjometr i kręciła gałką, ale nie mogła złapać żadnego sygnału. – No dobra – mruknęła po chwili. – To by było na tyle, jeśli chodzi o Elle. To jak, Bob, robić te suflety?

– Byłoby bardzo miło z twojej strony – odparł Bob i skierował Cioteczkę w stronę lodówki wypełnionej

jajkami, mlekiem i śmietaną. Bellagrog bezzwłocznie przystąpiła do rozkładania wokół siebie misek, patelni, trzepaczek do jajek i łyżek – a wszystko to w idealnym porządku.

– Ale ja też umiem zrobić suflet – zaprotestowała Mamuśka i zwróciła zapłakaną twarz w stronę Boba.

– Wiem – odrzekł ogr łagodnie – wiem, ale musisz mi pomóc przy pieczeniu. Nie ma nic ważniejszego niż drugie danie, Mamuśko.

– Tak jest! – wykrzyknęła Mamuśka prosto w stronę siostry. – Drugie danie jest najważniejsze! O wiele ważniejsze niż deser! Dzieciaki nigdy nie zapomną, jak smakowało pyszne mięsko!

Mamuśka, z zaróżowionymi z emocji policzkami, chwyciła topór rzeźnicki i poczłapała w kierunku chłodni z mięsem. Max skorzystał z chwili ciszy i rzekł:

– Tato, chciałbym ci powiedzieć, co robiłem zeszłej nocy, żebyś dowiedział się tego ode mnie, a nie od kogoś innego.

Pan McDaniels skinął głową i przykręcił gaz pod sosem.

– Mam wyjść? – spytał Bob.

– Nie – odparł Max – to żaden sekret. Chciałem tylko powiedzieć tacie, że zeszłej nocy przeszedłem aklimatyzację.

Pan McDaniels uniósł brew i zerknął na Boba, który wydał w tym momencie ciężkie westchnięcie.

– A cóż to znowu takiego? – spytał tata. – Czy to

jakaś potoczne określenie bycia na haju? Zapaliłeś sobie skręta czy może zakradliście się do piwnicy z winem? – Pan McDaniels uśmiechnął się niepewnie, a Bob wybuchnął nieopanowanym śmiechem, od którego zaczęły trząść się szyby w szafkach i kredensach z naczyniami.

– Nie, tato – odparł chłopiec. – Nic z tych rzeczy. Pani Richter kazała Cooperowi wywieźć mnie i Davida na pustą plażę, parę godzin jazdy od Rowan.

– Tak?

Uśmiech stopniowo zniknął z twarzy ojca, kiedy Max opowiadał mu o zdarzeniach poprzedniej nocy. Chłopiec nie wdawał się w szczegóły, pominął zwłaszcza te drastyczne, jak głowa męża w koszyku. Ojciec słuchał go uważnie, a na jego twarzy malowała się na zmianę złość i ogromna ciekawość.

– I możesz mi powiedzieć, czemu to wszystko ma służyć? – spytał, gdy syn skończył.

– Cooper mówi, że służy to temu, by uczniowie przyzwyczaili się do zjawisk nadprzyrodzonych – wyjaśnił chłopiec. – Davidowi zrobiło się niedobrze, bo nie był jeszcze wystawiony na działanie czegoś takiego. Na mnie to tak nie wpłynęło ze względu na to, przez co przeszedłem na wiosnę.

W rzeczy samej Maksowi wydawało się, że zdarzenia w krypcie Marleya Augura starczyłyby za sto aklimatyzacji. Aura, jaką roztaczał wokół siebie upiór kowala, była o wiele gorsza i potężniejsza niż powodująca

mdłości obecność kobiety ducha.

– Bob, ty o tym wiedziałeś? – spytał pan McDaniels, patrząc prosto w grubo ciosaną twarz ogra.

– Nie – odparł Bob. – Nie słyszałem do tej pory, by ktoś został – poddany aklimatyzacji w tak młodym wieku.

– Uhm – pospiesznie wtrącił się Max. – Uczniowie przechodzą przez nią zwykle w wieku osiemnastu lat.

– Tuż przed nominacją – dodał Bob, marszcząc się przy siekaniu pomidorów z wielkiego kosza.

– Nominacją do czego? – chciał wiedzieć pan McDaniels.

– Do pełnienia oficjalnej misji – wyjaśnił Bob złowieszczo i zerknął spod oka na Maksa.

– Po moim trupie – wyrzucił z siebie pan McDaniels, raptownie zerwał z siebie fartuch i poszedł w stronę drzwi.

– Tato! – krzyknął Max. – Dokąd idziesz?

– Do dyrekcji – zagrzemiał tata i zniknął za wahadłowymi drzwiami.

Chłopiec jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Z radia nadal wydobywały się trzaski.

* * *

Mimo niezwykle męczącego popołudnia i impulsywnej reakcji ojca, Max nie potrafił oprzeć się wspaniałościom Uczty Powitalnej. Domostwo rozświetlone było od środka jak klejnot. We wszystkich

ozdobnych niszach i wnękach poustawiano świece, których płomyki, drgając łagodnie, rzucały cudowny złoty blask na wypolerowane do perfekcji srebra zastawy stołowej. Uczniowie, klasa za klasą, wlewali się do jadalni. W galowych mundurkach wyglądali równie odświętnie jak srebra. Max usiadł obok Davida marszczącego w skupieniu nos, gdy poprawiał i wygładzał pomięty krawat. Mruknął koledze „cześć” i zaczął wykręcać szyję, by dojrzeć stoły, przy których siedzieli uczniowie czwartego roku, a wśród nich Julie Teller – śliczna dziewczyna z Melbourne, z którą w czasie wakacji Max prowadził ożywioną korespondencję. Żołądek zacisnął mu się jak węzeł, gdy Julie spojrzała na niego przelotnie, po czym szybko odwróciła wzrok, by kontynuować rozmowę z siedzącą obok koleżanką.

– Julie, Julie – mruknął Connor, siadając obok Maksa. – Co się z nią dzieje?

– Nie mam pojęcia – odparł Max. – Myślałem, że... to znaczy pisaliśmy do siebie w czasie wakacji, i tak dalej, ale dziś minęła mnie w holu i nawet się nie przywitała.

– Kobiety – westchnął Connor ze współczuciem. Ja też nie mogę ich zrozumieć. Ni w ząb. Hej, Lucia?

Z drugiego końca stołu błysnęły ku nim czarne oczy Włoszki.

– Lucia, może byś się ze mną wreszcie umówiła na randkę? – zawołał do niej Connor.

– Jesteś świntuchem i fleją – wycedziła Lucia głosem pełnym potępienia, co wzbudziło salwę śmiechu wśród

siedzących wokół niej koleżanek.

Connor wzruszył ramionami i zwrócił się do Maksa:

– Widzisz? A tak przy okazji, popatrz – pan Sikes się wszystkim zajął. Ci z szóstego roku już nic nie wiedzą o żadnej wiedzy. Nawet nie pamiętają, kto to jest Cooper! – zaśmiał się cicho.

Zanim Max zdążył odpowiedzieć, rozległo się stukanie łyżką w kryształowy kielich i do jadalni dostojnie weszła pani Richter, a za nią trzy osoby, których Max do tej pory nie widział. Zajęli miejsca między gronem nauczycielskim a personelem szkoły. Pani Richter, choć wyraźnie zmęczona, w świetle świec wyglądała na dumną i szczęśliwą.

– Proszę wstać – odezwała się mocnym, czystym głosem, który bez trudu wypełnił olbrzymią jadalnię.

Max wstał i zerknął na Davida, który przestał mocować się z krawatem i wcisnął go do kieszeni.

– To jest Dom Nauki – zaczęła pani Richter – a dziś jest Dzień Powrotu, kiedy nauczyciel i uczeń odnawiają więź i ponownie podejmują wspólną wędrówkę.

Nauczyciele i uczniowie wzniesli kielichy.

– To jest Dom Nauki – ciągnęła dalej – a dziś jest Dzień Pamięci, kiedy zbieramy się, by uczcić naszą przeszłość, przyjmując zarówno jej radości, jak i smutki.

Kielichy znów się uniosły.

– To jest Dom Nauki, a dziś jest Dzień Odnowy, kiedy Rowan wita uczniów nowego roku, którzy wnoszą do naszej szkoły nowe życie i nową nadzieję.

Max spojrział na pierwszy rok wiercący się niespokojnie przy stołach nieopodal. Wraz ze starszymi uczniami i gronem nauczycielskim powiedział:

– Witamy ich z otwartymi ramionami. Pomożemy im w potrzebie.

Zgromadzeni wznieśli kielichy w stronę uczniów pierwszego roku. Max, David i Connor stuknęli się kieliszkami, wypili jednym haustem wino i usiedli za stołem. Pani Richter poczekała, aż hałasy ucichną, po czym zaczęła mówić dalej.

– Nowy rok szkolny powinniśmy zaczynać z nowymi zasobami energii, entuzjazmu i zapału do pracy. Mam nadzieję, że każdy z was powrócił do Rowan wypoczęty na ciele i duchu. Wszyscy z wyjątkiem naszych nowych uczniów zauważyli zapewne, że w lecie na terenie kampusu zaszły znaczne zmiany. Chciałabym poruszyć krótko powód owych zmian i stłumić zarazem krążące na ten temat plotki oraz zdementować wszelkie nieprawdziwe informacje.

W jadalni zaszumiało od szeptów. Starsi uczniowie słuchali uważnie i z powagą.

– Jak wielu z was wie, w wyniku tajemnych, od dawna już podejmowanych wysiłków Wroga, na świecie pojawiło się potężne zło. Jest nim Astaroth – ta sama istota, przez którą ponad trzy wieki temu znaleźliśmy się tutaj, na tym wybrzeżu. Nigdy nie mieliśmy do czynienia z potężniejszym wrogiem. Nasze biura terenowe donoszą ostatnio o drastycznym wzroście aktywności Wroga.

Dlatego pewne rzeczy w Rowan w tym roku szkolnym będą wyglądać trochę inaczej niż dotąd. Chciałabym przedstawić wam trzech naszych gości specjalnych, których zapewne od czasu do czasu spotkacie na terenie szkoły. – Tu pani dyrektor wskazała ręką trójkę nieznanym, siedzących przy jej stole. – Pozwólcie, że przedstawię pana Jurija Wiljaka, Dowódcę Czerwonego Bractwa.

Podniósł się wysoki, budzący respekt mężczyzna o siwych włosach i oczach czarnych jak u lalki. Uśmiechnął się do pani Richter, a potem skłonił uczniom, którzy uprzejmie przywitali go oklaskami.

– O co tu chodzi? – szepnął Max.

– Nie mam pojęcia – odparł David – ale widziałem już to nazwisko. Był dyrektorem przed panią Richter. Podobno został odwołany ze stanowiska.

– Pani Amulya Jain, Przewodnicząca Rady Uczonych Prometejskich. – Pani dyrektor przedstawiła kolejną osobę.

Była nią Hinduska w jaskrawoczerwonym sari i okularach w drucianej oprawce. Skłoniła się wdzięcznie przed uczniami. David, mrużąc oczy, wpatrywał się w tę promienną, smukłą kobietę, która zajęła znowu swoje miejsce przy stole.

– Słyszałem o niej – powiedział, spoglądając na Maksa. – Uczni Prometejscy to najlepsi mistycy świata. Musi być naprawdę świetna.

– Nasz ostatni gość nie ukończył Rowan i nie należy

do naszej Organizacji. Zaprosiłam go, ponieważ jest naszym starym przyjacielem, a starych, dobrych przyjaciół będziemy bardzo potrzebowali, by stawić czoła wyzwaniom przyszłości. Oto Jesper Rasmussen, Główny Architekt i Inżynier Warsztatu we Frankfurcie.

Mężczyzna słuchał z rozbawieniem na twarzy, pocierając przy tym dłonią całkowicie łysą głowę.

– Cuda mechaniki – mruknął David. – Tak panna Kraken wyraziła się o Warsztacie we Frankfurcie. Ale chyba niezbyt jej się podoba ich działalność.

– Pannie Kraken nic się nie podoba – odparł Max, zerkając na nauczycielkę, która z wyraźną dezaprobatą wydeła cienkie wargi i obserwowała pana Rasmussena. Cynthia syknęła z tyłu, by uciszyć chłopców, i Max przesiedział dalszą część przemowy pani Richter, wpatrując się w wielokolorowe szybki witraży oraz rozmyślając o ćwiczeniach na Trasie, które odbył tego dnia z agentami. Byli to młodszy agenci – absolwenci Rowan sprzed paru lat – i mimo że mieli jak najlepsze chęci, zanim scenariusz się zaczął, zachowywali się protekcyjnie a w jego trakcie działali strasznie wolno. Niejeden raz w czasie symulowanej misji Max musiał czekać na któregoś z członków swojej drużyny. Zadanie polegało na przebyciu labiryntu tuneli, a celem było podejście więźnia pilnowanego przez zgraję niebezpiecznych, przebiegłych japońskich demonów oni, o olbrzymich kłach. Kiedy drużyna zlikwidowała już strażę i zajęła strategiczne pozycje, Max otrzymał

polecenie, by czekać na sygnał dowódcy. Zanim jednak ten sygnał nadszedł, trafiła się doskonała okazja, którą chłopiec postanowił wykorzystać – wzniecił ogień dywersyjny i wskoczył do komnaty. Tak jak przypuszczali, oni były za wolne. Max odciął je i uwolnił więźnia. Wszystko trwało krócej niż minutę, dzięki czemu drużyna zdobyła znacznie więcej punktów, niż gdyby działała zgodnie z rozkazami dowódcy. Niestety, ten nie docenił inicjatywy Maksa i chłopak musiał wysłuchać nieszczęśliwie miłego wykładu na temat strategii, dyscypliny i niepotrzebnego ryzyka.

Teraz jednak szybko o tym zapomniał, bo na stole pojawiło się jedzenie. Wnosili je na srebrnych talerzach uczniowie piątego roku oraz fauny w uroczystych szatach. Kiedy zaczęli krążyć po jadalni, Connor upuścił serwetkę i dał nura pod stół, żeby ją podnieść. W czasie, gdy kulił się na podłodze, obok przeszła jego podopieczna – normandzki faun Kyra. Po jej delikatnych rysach widać było, że wręcz kipi z oburzenia.

– Czemu się chowasz przed Kyra? – spytał David.

– Ćśśś – syknął Connor, gestykulując, by David się odsunął. – Nie przyciągaj jej uwagi, bo zrobi coś złego z naszym jedzeniem! Groziła mi, że to zrobi!

– Ale dlaczego? – zainteresował się Max obserwując, jak Kyra zwalnia kroku i stawia tacę na stole zachwyconego pierwszego roku.

– Twierdzi, że to poniżej jej godności, żeby nam w ten sposób usługiwać – wyjaśnił szeptem Connor, wyjrzał

ostrożnie spod stołu i powoli usiadł na swoim miejscu. – Fauny normandzkie są strasznie dumne. Próbowałem tłumaczyć, że to tylko dwa razy w roku i że na co dzień to ja jej usługuję, ale ona inaczej to widzi.

– Więc jak sprawiłeś, że w ogóle przyszła? – spytał David. Chłopcy zauważyli, że Kyra rzuca mordercze spojrzenie uczniowi pierwszego roku, który ośmielił się pokazać ręką jej kopytka.

– Przekupiłem ją – rzekł Connor. – Obiecałem, że sprawię jej prawdziwy diadem.

– A jak zamierzasz to zrobić? Ciekawostka. – Spytał Max i w tej samej chwili doznał olśnienia. – Pan Sikes?

Connor roześmiał się chytrze i uderzył pięścią w stół.

– Tak, zgadłeś, przyjacielu! Dzisiaj go dostanie, a mój mały sługa obiecał mi nawet, że zapakuje go i obwiąże różową wstążeczką! To powinno ją udobruchać, nawet ją!

– A wiesz, że chochlik będzie musiał ukraść ten diadem? – spytał David, kiwając do Connora widelcem. – Chochlik nie potrafi stworzyć diademu, tak z powietrza, za pomocą pstryknięcia palców. On musi go skądś wziąć! Nie pomyślałeś o tym?

– Eee, daj spokój, David – poprosił Connor i sięgnął po koszyk z ciepłym pieczywem. – Co ty? Wiesz, co myślę? Żaden właściciel cholernego diademu nie będzie chodził głodny, jeśli mu ten diadem zniknie.

To rozśmieszyło nawet Davida. Bez dalszych komentarzy na temat pana Sikesa i diademu cała trójka

oddała się ucztowaniu.

Ostatnimi czasy Max zauważył, że ma wprost wilczy apetyt. Nie był to już zwykły głód, ale potężna, nieodparta potrzeba nakarmienia ciała, którego zapotrzebowanie na energię było tak wielkie, że niemal nie dawało się nasycić. David i Connor z rosnącym podziwem patrzyli w milczeniu, jak Max pochłania porcję za porcją – polędwicę, kurczaka, fasolkę i kaszę. Kiedy wyczyścił wreszcie ogromny talerz pełen makaronowych muszelek z gęstym, czerwonym sosem przepisu Bellagrog, niepohamowany głód został mniej więcej opanowany.

– Imponujące – podsumował Connor i wytarł usta. – Ale marnujesz strasznie dużo czasu na gryzienie. Pomyśl może o tym, żeby się nauczyć zdejmować szczękę z zawiasów, jak pyton. Może sir Alistair by cię nauczył...

Max wykrzywił twarz, gdy usłyszał o sir Alistairze Wesleyu, nauczycielu etykiety w Rowan.

– Nigdy więcej sir Alistaira – odparł Max. – W tym roku nie chodzę na etykietę ani na dyplomację. Zmienili mi plan lekcji. Zapisali mnie na zaawansowane ćwiczenia bojowe z szóstym rokiem.

– Ty szczęściarzu – westchnął Connor. – Ale na twoim miejscu nie wspominałbym nic Sarze. Pomyśli, że wysyłają cię na front.

Max gorliwie pokiwał głową i zsunął sobie na talerz wielki kawał mięsa z grilla.

Zbierano już naczynia i na stołach zaczęły się pojawiać rozmaite desery, wśród których nie zabrakło

idealnych, jak z obrazka, sufletów Bellagrog. David zamówił u przechodzącego fauna kawę, ignorując jego pogardliwe prychnięcie.

– Od kiedy pijesz kawę? – zaśmiał się Connor.

– Jestem zmęczony, a nie chcę zasnąć – odparł David. Wrzucił do filiżanki kostkę cukru i zamieszał. – Dziś wieczór wybieram się do Archiwum. Kraken załatwiła mi dostęp... to znaczy legalny – dodał szybko, widząc, jak Max unosi brew. – Muszę się dowiedzieć jak najwięcej na temat Księgi Thotha oraz przysięgi Brama. Za parę tygodni wrócą wiedźmy i muszę być gotowy.

– W porządku, ale Richter i Kraken nie miały pojęcia o przysiędze Brama – przypomniał Max. – To jak to możliwe, żeby coś na ten temat było w Archiwum?

– Mimo wszystko warto zajrzeć – mruknął David. – Archiwum to nie mały regalik z książkami. Jest ogromne, ma wiele pomieszczeń. Nikt w Rowan nigdy nie zbadał wszystkiego, co tam jest, a tym bardziej nie zrozumiał ani nie przeanalizował.

– A ty planujesz to zrobić? – zadrwił Connor.

– Mam sposoby – lekko odpowiedział David – i to bez pomocy pana Sikesa.

Odsunął krzesło od stołu i wstał, by rozejrzeć się po jadalni. Przystanął przed połyskującym portretem posepnego mieszczanina. Delikatnym ruchem dłoni, jak stary bywalec kawiarni, kołysał filiżanką, ignorując chichoty trzeciego roku. Chwilę później Max ujrzał, że podchodzi do niego Amulya Jain – wizytująca szkołę

szefowa Rady Uczonych Prometejskich. Chichoty przy sąsiednim stole natychmiast ustały i uczniowie w ciszy zajęli się deserem. David i uczona wkrótce pograżyli się w rozmowie. Max widział, jak David przestępuje z nogi na nogę, co zawsze świadczyło o jego głębokiej koncentracji.

– Ej! – Connor szturchnął Maksa w łokieć. – Chodź, przywitamy się z pierwszym rokiem. Trzeba ich dziś w nocy wyciągnąć z Domostwa. To przecież tradycja. – Mrugnął zadowolony.

– Na pewno nie wyciągniesz ich na „Pustułkę” – zaprotestował Max.

W zeszłym roku starsi uczniowie przekonali pierwszoklasistów, że pierwszą noc w szkole tradycyjnie spędza się na pokładzie starego cumującego przy nabrzeżu statku szkolnego – „Pustułki”. Przygoda skończyła się dla pierwszaków w falach wzburzonego oceanu, kiedy statkiem zaczęło miotać coś, co przerażająco wyło i lamentowało pod wodą. Nie dość, że uczniowie porządnie najedli się strachu, to jeszcze przez cały następny dzień musieli karnie sprzątać stajnie.

– Eee – odparł Connor z lekceważeniem. – To już było. Wymyśliłem coś lepszego, ale nieszkodliwego.

Zaledwie podeszli do rzędu stołów, które zajmowały pierwszaki, Max pożałował swojej decyzji. Do pierwszego roku przysiadło się już bowiem dwoje z trojga starszych uczniów, którzy prześladowali go w zeszłym roku szkolnym: Anna Lundgren i Sasza Iwanowicz. Trzeci, najgorszy z tej trójki, Alex Muñoz, zginął wiosną

pod stertą ziemi i gruzu, kiedy zawaliła się krypta Marleya Augura. Max wiedział, że Anna i Sasza winią go za śmierć przyjaciela.

– O, właśnie przyszli! – krzyknął Sasza na widok zbliżających się chłopców.

– To ci, o których wam mówiliśmy – odezwała się konspiracyjnym szeptem do skulonych pierwszaków Anna. – Connor to ten po prawej. Nim się nie przejmujcie, jest niegroźny. Ale Max... Trzymałabym się od niego z daleka. Max to morderca. Z zimną krwią zabił naszego kolegę.

Max poczuł, że płoną mu policzki. Ci z pierwszego roku patrzyli na niego oniemiałi.

– Chyba żartujesz. – Zaśmiał się największy z chłopców, ten z rudą czupryną.

– Chciałabym żartować – odezwała się Anna. Jej śliczne, niebieskie oczy błyszczały złością. – Ale spytaj, kogo chcesz, a każdy ci powie, że Aleksa Muñoza nie ma, a Max McDaniels jest tym, który ostatni widział go żywego.

– Ale dałeś! – przerwał Connor, zatykając nos, a drugą ręką wachlując powietrze od strony Saszy. Kilkoro pierwszaków zarechotało. – Nie słuchajcie tych gości. To największe dupki w całej szkole! Rowan oddało Maksowi cześć, kiedy wrócił. Zobaczycie jego nazwisko wyryte ognistym pismem pod Rękawicą Beowulfa, czarno na białym!

– Więc to nieprawda? – spytał mały, czarny chłopiec

w okularach.

– Hm – zastanowił się Connor, skrobiąc się po rudej głowie – formalnie to, co słyszałeś, jest prawdą, ale nie powiedzieli wam najważniejszego! Max nie jest mordercą, na miłość Boską. To obłąd!

– O, właśnie – wtrąciła Anna – miałam to na końcu języka. Obłąd! – Dziewczyna przywołała na twarz uśmiech tak sztucznie słodki, że aż robiło się niedobrze. – Obłąd! Słyszałam dziś po śniadaniu, jak ktoś z szóstego roku opisywał Maksa...

Max ugryzł się w język i westchnął. Wiedział, że Anna nie da mu spokoju.

– Witajcie w Rowan – rzekł spokojnie i odszedł od stołu pierwszego roku, zostawiając Connora, by kłócić się z Anną i Saszą. Nagle w olbrzymiej jadalni zrobiło mu się nie do wytrzymania duszno. Przez chwilę rozważał, czy by nie poszukać Julie, ale szybko zrezygnował. Czuł w sobie tę straszną siłę i stwierdził, że to nie jest dobry moment, by pytać, czemu dziewczyna go unika. Zamiast tego stanął i oparł się o kolumnę z szarego, wygładzonego przez wieki kamienia. Zamyślił się nad drzemiącą w nim siłą. Pani Richter nazwała ją Starą Magią, panna Boon i wiedźma – Cúchulainem. Niezależnie od tego, jak ją nazwać, była to siła, za sprawą której Max zaczął być świadkiem rzeczy strasznych i którą za wszelką cenę należało utrzymać pod kontrolą.

– To tylko ja, moja własna osoba – szepnął, drapiąc kolumnę paznokciem. W tej samej chwili Bob

przedstawiał sali siostrę Mamuśki, Bellagrog, którą zebrani powitali entuzjastycznie.

Gdy okrzyki ucichły i uczniowie zaczęli opuszczać jadalnię, Max odwrócił się z nadzieją, że może uda mu się zobaczyć Julie. Zamiast niej jednak ujrzał stojącego tuż obok komandora Wiljaka. Mężczyzna uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały martwe. Długo i poważnie wpatrywał się w Maksa.

– Ty jesteś Max McDaniels – rzekł stanowczo. – Ja jestem komandor Wiljak.

Max uścisnął wyciągniętą dłoń i zauważył, że na wewnętrznej stronie nadgarstka komandora jest coś wytatuowane. Wiljak dostrzegł jego spojrzenie. Uśmiechnął się, odpiął guzik i podwinął mankiet, by chłopiec mógł się przyjrzeć. Max zobaczył wizerunek czerwonej dłoni uniesionej w geście powitania, otoczonej cienką czerwoną nicią.

– To znak Czerwonego Bractwa – wyjaśnił komandor z dumą. – Widziałeś go już może?

– Nie – odparł Max, dziwnie zafascynowany tym prostym symbolem.

– Rzadko się go spotyka – tłumaczył dalej Wiljak – bo nosi go na całym świecie tylko dwunastu czołowych agentów. Jednego z nich jednak znasz na pewno.

– Coopera? – zgađł Max.

– Tak – uśmiechnął się Wiljak. – William Cooper jest członkiem Czerwonego Bractwa. I dużo od niego o tobie słyszałem, młody przyjacielu. Jestem tu specjalnie po to,

by się z tobą spotkać, zwłaszcza że czasy robią się burzliwe. Na szczęście potwierdza się wszystko, o czym mówił Cooper.

– Nie rozumiem, proszę pana – powiedział Max. – Przecież nawet się nie znamy.

– Skorzystałem z okazji i obejrzałem sobie twój dzisiejszy scenariusz – wyjaśnił Wiljak, zmieniając ton na bardziej oficjalny. – W rzeczy samej, obejrzałem go nie raz.

– Och – zaczerwienił się Max – o to chodzi. Wiem, powinienem był słuchać rozkazu...

Wiljak pochylił się i powiedział, podkreślając każde słowo:

– To było genialne.

Po czym klepnął Maksa po ramieniu i mrugnął na pożegnanie.

– Rozkazy nie są dla wszystkich, Max. Nie pozwól, by cię zbyt ograniczały. To nie leży w twojej naturze. Będę z tobą w kontakcie, zgoda?

– Zgoda... to jest oczywiście, proszę pana – rzekł Max, pęczniejąc nieoczekiwanie z dumy.

Wiljak przyłączył się do grupy wychodzących z sali starszych wykładowców odzianych w granatowe togi. Max jeszcze raz wykręcił szyję, usiłując wypatrzeć gdzieś Julie. Potem pobiegł w górę po schodach i wyszedł z Domostwa. Nick mógł już się obudzić, a Max czuł, że w tę ciepłą letnią noc musi się przebiec – szybko i daleko.

Kiedy w tunelu Sanktuarium pojawił się jego

opiekun, Nick był już gotowy. Lymrill przycupnął w wysokiej trawie i wymachując swym miedzianym ogonem, dojadał właśnie wyjątkowo dużego i soczystego szczura. Kiedy Max wkroczył na polanę, stworzenie podniosło wzrok – dwa reflektorki przeszły ciemną zieleń traw w zapadającym zmroku. Nick jeszcze raz szturchnął pyszczkiem szczura, oblizał się do czysta i zaczął rozkopywać zakrzywionymi, śmiercionośnymi pazurami gruby torf. Nagle, z radosnym kwileniem skoczył w bok i odbiegł, wyrywając przy tym kępy trawy. Max ruszył w pościg.

Kiedy po zabawie z podopiecznym chłopak dotarł do Domostwa, w kampusie było już ciemno. Wyjątek stanowiły tylko rozświetlone okna gabinetu pani Richter. Przez wąską przerwę między zasłonami wylewała się na kamienny taras wąska struga światła. W środku poruszały się cienie – wyglądało na to, że w gabinecie jest kilka osób. Nagle ktoś jednym ruchem rozsunał zasłony. W oknie stanął doktor Rasmussen i mówiąc coś gwałtownie, wpatrywał się w sad, po czym z grymasem niezadowolenia na twarzy zaciągnął z powrotem zasłony. Max zerknął na zegarek. Minęła już północ. Ciekawe, co było powodem tak późnej narady w gabinecie pani dyrektor.

Nie musiał długo czekać, żeby się dowiedzieć. W obitym drewnianą boazerią holu Domostwa zgromadziło się ze dwudziestu ubranych w pizamy uczniów. Wszyscy w pełnym zgrozy milczeniu wpatrywali się w duży

telewizor. Była między nimi i Julie Teller. Skulona na skórzanej kanapie, nie odrywała przerażonej twarzy od ekranu. Mówił zmęczony spiker, któremu z trudem udawało się utrzymać spokojny ton głosu.

– Dzisiejsze wydarzenia to tragedia bez precedensu. Dla tych, którzy właśnie zaczęli oglądać nasz program, powtórzę w skrócie: pięciu światowych przywódców nie żyje, a kilkunastu innych zaginęło w podejrzanych okolicznościach. W tej chwili nie znamy jeszcze wielu szczegółów, lecz władze twierdzą, że wszystkie incydenty są ze sobą powiązane, i obiecują podjąć odpowiednie kroki. Czasowo zawieszono wszystkie loty krajowe i międzynarodowe, jak również wstrzymano większość międzynarodowych transakcji handlowych. Prezydent został ewakuowany w nieznane miejsce i wygłosi orędzie do narodu w późniejszym czasie...

Max bez słowa słuchał szczegółów raportu na temat zaginionych lub nieżyjących ministrów, prezydentów i premierów. Wydawało się, że nie mają ze sobą nic wspólnego, jeśli chodzi o sytuację majątkową, popularność lub opcję polityczną. W grę wchodziły osoby różnych narodowości – zarówno z krajów biednych, jak i bogatych, rozsianych po wszystkich kontynentach. Kiedy spiker zaczął powtarzać wiadomości od początku, Max podszedł szybko do Julie i ukląkł obok niej, przy kanapie.

– Kiedy to się zaczęło? – spytał cicho.

Ona jednak obrzuciła go niewidzącym spojrzeniem – patrzyła na niego, jakby był niewidzialny. Nagle twarz jej

zbladła, dziewczyna zeskoczyła z kanapy i skierowała się do wyjścia. Całkowicie zdezorientowany Max poszedł za nią parę kroków i nawet ją zawołał, lecz zignorowała go, szybkim krokiem przeszła przez hol i wbiegła po schodach do skrzydła sypialnego dziewcząt. Max stał w holu, wpatrując się w błyszczącą, świeżo umytą podłogę, na której nikły już ślady jej stóp.

Usłyszał kroki – szybkie i energiczne – dochodzące z korytarza, w którym znajdował się gabinet pani Richter. W holu pojawił się Cooper. Obrzucił Maksa szybkim spojrzeniem i wyszedł w noc.

ZAGADKA I KRYPTA CZERWONEGO BRACTWA

Dwa tygodnie później Bellagrog znajdowała się w centrum towarzystwa – jak miała to w zwyczaju co dzień po południu. Max, który szedł właśnie w kierunku Domostwa, już z daleka słyszał jej zaraźliwy śmiech. Był jesienny dzień, w powietrzu czuć było dym ogniska, a liście przybrały już złoto-pomarańczowy odcień. Obok chłopca człapała wspaniała śnieżnobiała gęś. Od czasu do czasu przystawała, by sprawdzić, czy cała dwunastka gąsiątek podąża za nią w należyтым porządku.

– Więc nic mądrego mi nie powiesz? – spytał Max. – Pisaliśmy do siebie całe lato, a teraz ona nie chce na mnie spojrzeć...

– Nie mam nawet zamiaru próbować zrozumieć żadnej nastolatki – westchnęła gęś. – Za mojej bytności przez tę szkołę przewinęło się ze dwieście klas. I mimo że przecież czasy się zmieniają, nastolatka zawsze pozostaje kapryśną, tajemniczą bestią. Lepiej sobie znajdź jakąś miłą selkie.

Max uśmiechnął się, a Hanna szturchnęła go przyjacielsko skrzydłem.

– Ej, jesteś za młody na złamane serce – przekonywała go. – Zostaw to mnie, wspaniałej, dumnej gęsi, która jest sama jak kołek i ma dwanaście gąb do

wykarmienia! Zapomnij o tej dziewczynie, skarbie.

– Spróbuję – westchnął Max.

Hanna zaczęła powoli zbaczać ze ścieżki w kierunku swojego gniazda, które znajdowało się na skraju sadu. Nie miał ochoty się z nią rozstawać. – Nie chcesz posiedzieć na tarasie? – spytał z nadzieją.

– A po co? – spytała Hanna ostrym głosem. – Po co mam nadskakiwać tej obrzydliwej wiedźmie, która opowiada te swoje głupoty? W życiu! Nie mam zamiaru! Ona ciągle kręci mi się przy gnieździe i nęci gąsiątka. Założę się, że tylko czeka, aż ją na chwilę spuszczę z oczu! Nie zdążyłabym się obejrzeć, a już by mi dzieci pożarła!

I gęś poczłapała dalej, wołając na gąsiątka, które posłusznie potoczyły się za matką. Max przeszedł się po sadzie. Patrzył na rosnące w rzędach jabłonie. Na ich gałęziach tu i ówdzie błyszcząły złote jabłka symbolizujące nieżyjących absolwentów Rowan. W oddali wybuchła salwa śmiechu. Max powoli wyszedł z sadu i zobaczył Bellagrog siedzącą na jednej z ławek na kamiennym tarasie. Kołysała delikatnie kieliszkiem z solidną porcją koniaku i zabawiała grupkę uczniów. Max poczuł dziwny ucisk w żołądku – na kamiennej ławce w towarzystwie dwóch koleżanek siedziała Julie Teller. Gdy tylko dostrzegła Maksa, uśmiech natychmiast zniknął jej z twarzy, opuściła głowę i z uwagą zaczęła wpatrywać się w swoje sandały. Maksowi ścisnęło się serce. Minął całą grupkę, a także Mamuskę, która zbierała opadłe płatki

kwiatów i układała je w równe stosiki na bruku. Twarz wiedźmy wyrażała pełne oburzenie.

– Bel – syknęła. – Może byś mi pottrzymała śmietniczkę, co?

– Nie teraz, Bea. – Machnęła ręką Bellagrog. – Przerywasz mi, opowiadam coś...

Bellagrog uniosła brew i zobaczyła Maksa, który właśnie miał zniknąć za wielkimi szklanymi drzwiami prowadzącymi z patio do Domostwa.

– O, Max! – krzyknęła. – Maksiułek, siadaj z nami, albo dostaniesz w pysiułek! Uahaha! – ryknęła śmiechem. – Opowiadamy tu sobie rozmaite historie przed kolacją! Siadaj, siadaj, a Bea przyniesie w tym czasie siostrzyczce jeszcze jeden koniaczek!

– To już będzie twój czwarty! – kwaśno skomentowała Mamuśka, oparła szczotkę o ścianę i weszła do środka.

– A od kiedy ona umie tak dobrze liczyć? – zaśmiała się Bellagrog i wysączyła ostatnią złocistą kroplę z kieliszka. – Maksiu, tu jest dla ciebie miejsce, koło starej Cioteczki, siadaj, skarbie!

Max ze wszystkich sił starał się robić dobrą minę do złej gry. Wcisnął się na ławkę tuż obok napuchniętej starej wiedźmy, której ciało wydzielало okropny zapach, przypominający połączenie woni mięsa i pleśni. Wszyscy uczniowie zaczęli chichotać, ale Julie wyglądała na potwornie zażenowaną i siedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię. Bellagrog poklepała chłopca po kolanie i mocno

powąchała jego ramię. Na chwilę jakby oderwała się od rzeczywistości i odpłynęła myślami w dal. Ślina zebrała się jej za dolną wargą. Za moment jednak wiedźma mrugnęła i zaczęła gmerać w fałdach szaty w poszukiwaniu kapciucha z tytoniem. Nabrała ogromną porcję tytoniu i wepchnęła sobie do ust właśnie w chwili, gdy nadeszła Mamuśka z kryształową karafką.

– Świetnie, Bea – mruknęła Cioteczka i nadstawiła kieliszek. – Jeszcze trochę... jeszcze... ciut jeszcze... już, to dopiero jest dobrze napełniony kieliszek! – Wiedźma zaczęła niemal mruczeć, kiedy wzięła do ust łyżeczek koniaku. – Jak mówiłam – wróciła do porzuconego wątku – Cioteczka nie pakowała walizek i nie rzuciła się w fale oceanu z byle powodu! Szykują się straszne rzeczy! To mi przypomina lato czterdziestego roku, kiedy Babunia przeczuła kłopoty i zabrała nas do Shropshire, zanim zaczęły z nieba lecieć bomby! Mamuśka była jeszcze wtedy w pieluchach!

– Och! – pisnęła jakaś dziewczyna z trzeciego roku. – Mamuśko, musiałaś być cudownym niemowlakiem!

Mamuśka uśmiechnęła się i zaczerwieniła.

– Kto mówił o niemowlakach? – zarechotała Bellagrog. – Była już cholerną nastolatką!

Dolna warga Mamuśki zatrzęsała się. Uczniowie ryknęli śmiechem.

– Nigdy w życiu nie nosiłam pieluch, kiedy byłam nastolatką! – zagrzmiała.

– Mów sobie, co chcesz, Bea – mrugnęła Bellagrog. –

No to ceratowe majtki, jeśli wolisz...

Wśród kolejnej salwy śmiechu Mamuśka, mruczając pod nosem i trzaskając szczotką o śmietniczkę, zebrała się i poszła. Odchodząc, rzuciła jeszcze siostrze mordercze spojrzenie. Po chwili rozległ się łomot przeszkłonych drzwi, które z impetem zamknęły się za Mamuśką. Max poczuł falę współczucia.

– Zawsze była taka wrażliwa na swoim punkcie, ta Bea, bidulka – rzekła Bellagrog z pobłażliwym uśmiechem. – W każdym razie tam w Shropshire było przecudnie! Mieliśmy mnóstwo jedzenia, bo wszyscy mężczyźni byli na wojnie i... ekhm... zostawili rodziny i... – Bellagrog wymownie wzruszyła ramionami do Maksa, który na nią patrzył. Inni słuchacze zaczęli jednak szeptać między sobą i powoli, grupkami odchodzić. Wiedźma pstryknęła palcami, by odzyskać ich uwagę. Pochyliła się i gardłowym szeptem mówiła dalej:

– No, powiedzmy sobie, że nam, Shrope'om, żyło się łatwo, ale te wiedźmy, które zostały w Londynie, przeżyły straszne czasy. Morał z mojej opowiadki jest taki: każdy głupi widzi, że trzeba wiać, jak zacnie padać, ale trzeba mądrego, żeby zacząć szukać schronienia już w czasie ciszy przed burzą. A teraz, moje skarby, jest cisza przed burzą. W radiu nie nadają piosenek, telefony przez większość czasu nie działają... Niedługo różne ciemne paskudztwa zaczną się chować po piwnicach...

– Ciemne paskudztwa... takie, jak wiedźmy? – zadrwił Connor, wystawiając głowę przez szklane drzwi.

Grupa ryknęła śmiechem, ale najgłośniej śmiała się Bellagrog. Jej ciało aż trzęsło się z rozbawienia i co chwilę ocierała łzę z krokodylego oka.

– Taaa, ciemne paskudztwa, jak więdźmy – wydała z siebie ostatni, ciężki chichot. – Ale też i inne rzeczy. Wieloki, gobliny i inne, których nazw lepiej nie wymieniać.

Max zdawał sobie sprawę, że więdźma pragnie po prostu zastraszyć uczniów, lecz dojrzał równocześnie w jej słowach mądrość i życiowe doświadczenie. Bellagrog była jedną z tych, którym udało się przetrwać. Widać to było po jej małych, czerwonych oczkach, które nieustannie rozglądały się dokoła, filtrując otoczenie pod kątem potencjalnego zagrożenia i możliwości obrony.

– Przepraszam, że przerywam – rzekł Connor – ale pan McDaniels poprosił, żebym cię poszukał.

Potrzebują cię w kuchni, Cioteczko!

– Dobrze – odparła Bellagrog, zakręciła kieliszkiem i jednym haustem pochłonięła jego zawartość. – Miło być potrzebnym, co nie? I strasznie miło być tu z takimi jak wy, w tym zacisznym, przytulnym miejscu, kiedy naokoło robi się ciemno i ponuro. Zostańcie ze mną, moje skarby, a wszystko tutaj przeczekamy. Z plecami wspartymi o solidną ścianę i z kieliszkiem w ręku!

Więdźma podniosła się z wysiłkiem, parsknęła i precisnęła się między uczniami w kierunku drzwi Domostwa. Max poczekał na Julie. Zawołał ją i klepnął lekko po ramieniu. Obrzuciła go tylko przelotnym

spojrzeniem i lekko, jak wiaterek, przemknęła obok.

– Co się z tobą dzieje?! – zawołał Max.

Kilkoro uczniów odwróciło się i spojrzało na niego. Julie – nie. Odeszła z wysoko zadartą brodą, wyprostowana jak struna. Max, purpurowy ze wstydu, otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Obrócił się w stronę Connora. Irlandczyk wzruszył tylko ramionami i podszedł krok bliżej, po czym zbliżył nos do pachy Maksa.

– No, wszystko jasne – podsumował.

– Zamknij się! – wrzasnął Max i zdezorientowany opadł na głęboki, antyczny fotel.

– Wiesz co? – zagadnął go zamyślony Connor. – Można jakoś ją nastraszyć, podrzucić jej na progu płonącą torbę... możliwości jest mnóstwo. Oczywiście są i łatwiejsze sposoby...

Max zrobił głęboki wydech i spojrzał na przyjaciela, który skupił się na planowaniu.

– Mówiłem ci już sto razy – odezwał się Max – że nie chcę mieć nic wspólnego z panem Sikesem.

– To dlatego, że David cię zniechęcił – stwierdził Connor. – A on się tak przydaje...

– Jak będę chciał się napić lemoniady, to ci powiem – rzekł Max.

– Nie – odparł w zamyśleniu Connor – on się potrafi przydać o wiele bardziej. On mnie słucha.

– Jeśli tak, to czemu mu nie powiesz, by sprawił, żeby Lucia się w tobie zakochała? – uśmiechnął się Max.

Connor zamrugnął i pokręcił głową.

– Nie, nie – odrzekł – jeśli bym za każdym razem, kiedy Lucia mi powie, żebym się odczepił, zawracał głowę panu Sikesowi, to przestałby odpowiadać na moje wezwania...

– Ależ on musi odpowiadać na twoje wezwania – zdecydowanie powiedział Max. – Bo jest demonem.

– Cóż. Nie może sprawić, żeby Julie się w tobie zakochała – rzekł szybko Connor, milknąc na czas uderzeń Starego Toma, który wybijał właśnie szóstą. – No, tak, już go prosiłem o jakiś nonsens w tym rodzaju. Ale mam inny pomysł. Rewelacyjny. I wiem, że zadziała.

Max utkwiał w nim niecierpliwe spojrzenie.

– Zapomnij o niej – powiedział Connor.

– To wszystko? To twój superpomysł? – zadrwił Max, odchodząc w stronę jadalni. – Nawet Hanna wymyśliłaby coś lepszego.

– Nie. – Connor pociągnął Maksa za rękaw. – Słuchaj, naprawdę chodzi mi o to, żebyś o niej zapomniał. Po prostu wymaż ją z pamięci.

– Kiedy nie chcę mieć nic do czynienia z tym chochlikiem.

– Dlaczego? – nie mógł zrozumieć Connor. – Przecież on robi tylko to, co mu każesz.

– Nie jestem pewien – odparł Max.

– Pogadaj z nim chociaż – błagał Connor. – Przecież nie musisz od razu czegoś od niego chcieć.

– W porządku – zgodził się w końcu Max. – Dziś po kolacji. Ale nie mów Davidowi.

– O to się nie martw – odparł Connor, zadowolony. – Cieszę się tylko, że zmądrzałeś i w ogóle bierzesz pod uwagę skorzystanie z jego bezcennych usług. Ja tam dzięki niemu w tym roku mam celujące ze wszystkich prac.

– Co? Wykorzystujesz go do ściągania? – Max uniósł brwi ze zdziwienia.

– Co ty – odparł Connor. – Nie nazwałbym tego zaraz ściąganiem. On tylko zagląda mi przez ramię i od czasu do czasu poszturkuje w tę lub tamtą stronę. Pracę wykonuję ja, nikt inny! – wyjaśnił Connor, lecz mina Maksa dalej wyrażała powątpiewanie.

Chłopcy pomknęli na kolację, gdzie okazało się, że Davida znowu nie ma – już siódmy wieczór z rzędu. Przez ostatni tydzień co noc Max słyszał, jak kolega nad ranem wraca z Archiwum i kładzie się spać na godzinę, najwyżej dwie.

Davida nie było widać, ale Julie Teller zdecydowała się usiąść przy stole obok. Spoglądając na nią od czasu do czasu przy posiłku, Max rozmyślał ze smutkiem, że niedługo dziewczyna stanie się dla niego tylko anonimową postacią z tłumu uczniów, jedną z setki osób mijanych każdego dnia w szkole.

W pewnej chwili Max zauważył, że Connor przyłapał go na ukradkowym spoglądaniu na sympatię. Irlandczyk przeżuwał w zamyśleniu szparaga, kiedy Max poczuł, że ktoś z tyłu klepie go po ramieniu. Odwrócił się i ujrzał komandora Wiljaka.

– Dzień dobry – powiedział agent z uśmiechem na cienkich wargach. – Jak tam leci?

– Och, dzień dobry – odparł zmieszany Max, podrywając się, by uścisnąć wyciągniętą dłoń. – Dobrze, dziękuję. Taaak... Komandorze, to mój kolega, Connor Lynch.

Wiljak skinął głową, a Connor wstał, by się przywitać. Max był dumny jak paw, gdy zauważył, że rozmowy przy stole Julie ucichły na widok kogoś tak ważnego jak komandor, zatrzymującego się na pogawędkę z uczniami drugiego roku.

– Connor, pochodzisz z Irlandii? – spytał Wiljak.

– Tak, proszę pana – odparł chłopiec. – Z Dublina.

– No proszę – skłonił się Wiljak. – Max, kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że Czerwone Bractwo wywodzi się z Irlandii. Ten kraj zajmuje w moim sercu szczególne miejsce.

– Ale dlaczego ja, proszę pana? – spytał Max.

– Ponieważ w skład Czerwonego Bractwa wchodzili najmężniejsi wojownicy Ulsteru. A najpotężniejszym z nich był Cúchulain. Jak zapewne określiłaby to panna Boon, jesteś wręcz stworzony do naszej organizacji.

Max zmarszczył czoło, gdy dostrzegł w oczach komandora błysk rozbawienia. Nie spodobało mu się, że nauczycielka mistyki dzieli się z kimkolwiek swoimi przypuszczeniami, iż Max może być odrodzonym Cúchulainem.

– W istocie pomyślałem sobie – podjął komandor –

że miałbym młodemu Psu Rowan coś do pokazania dziś wieczór. W Archiwum.

– Co takiego, proszę pana? – spytał Max.

– Ooooch! – wtrącił się Connor. – Zamierza pan zabrać Maksa do Archiwum?

– Jeśli tylko zechce pójść – odparł Wiljak.

– A ja też mógłbym?

Komandor zaśmiał się i klepnął Connora po ramieniu.

– Podoba mi się twój entuzjazm, chłopcze, ale obawiam się, że i tak naginam już zasady, zabierając Maksa – rzekł z pełnym współczucia uśmiechem. – Bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować.

Connor spuścił nos na kwintę.

– I co ty na to, Max? – chciał wiedzieć Wiljak. – Chciałbyś poznać parę sekretów Rowan?

Connor skrzywił się z zazdrości, kiedy Max ochoczo kiwnął głową.

– Connor, pogadamy później o tamtym – krzyknął do niego Max, wychodząc za Wiljakiem z jadalni. Jeszcze na chwilę przystanął, by ostatni raz spojrzeć na Julie, i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że dziewczyna spogląda na niego zza stołu. Odwrócił wzrok i pospieszył za komandorem, który oddalał się już sprężystym krokiem.

Wyszli z Domostwa i ścieżką przez ogród skierowali się ku Staremu Tomowi i Maggie. Oba budynki wyglądały jak olbrzymie szare głazy wyrzucone na brzeg oceanu.

– Słyszałem, że pan był dyrektorem Szkoły przed

panią Richter – zagadnął Max.

– To prawda – odparł Wiljak. – Przez sześć lat byłem dyrektorem, lecz cieszę się, że mam to już za sobą.

– Naprawdę? – zdziwił się Max. – Dlaczego?

– Nie nadaję się do pracy za biurkiem – wyjaśnił agent, zwracając na Maksa nieruchome, płaskie spojrzenie. – Jestem stworzony do działania w terenie, do ścigania wrogów. Rowan to wspaniałe miejsce, ale stanowi zaledwie maleńką część tego, czym się zajmujemy. Moim prawdziwym powołaniem jest dowodzenie Czerwonym Bractwem.

Max wszedł za Wiljakiem do Starego Toma. Wspięli się na trzecie piętro, a potem skręcili w rzadko uczęszczany korytarz prowadzący do paru sal lekcyjnych, też nieczęsto używanych. Komandor wyjął z kieszeni duży klucz i otworzył nim drzwi z numerem 313. Max zajrzał do środka i zobaczył po prostu zakurzoną salę z dwoma tuzinami ławek, paroma regałami na książki i poplamioną tablicą obrotową na drewnianym stojaku.

– Proszę, wejdź pierwszy – rzekł Wiljak.

– Ale myślałem, że mamy iść do Archiwum. – Max był rozczarowany.

– To droga do Archiwum – wyjaśnił komandor.

Max zawahał się, po czym wszedł do sali. Wiljak wszedł zaraz za nim i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Roześmiał się, gdy zobaczył na twarzy chłopca wyraz podejrzliwości.

– Nie bój się – powiedział z uśmiechem. – Musiałem

zamknąć te drzwi, bo inaczej nie da się otworzyć Archiwum.

Komandor podszedł do tablicy, położył ją płasko na podłodze i sięgnął po kredę, po czym na zakurzonej czarnej powierzchni napisał: *Komandor Wiljak na mocy prawa i w chwili potrzeby prosi o wstęp do Archiwum.* Z uśmiechem wywołanym rosnącą ciekawością Maksa podniósł tablicę z podłogi – jak klapę do piwnicy. Chłopiec pochylił się i zobaczył słabo oświetloną klatkę schodową znikającą gdzieś daleko w dole.

– Ale... – Max urwał, sięgając ręką w przestrzeń, która przed sekundą jeszcze nie istniała.

– Chodź za mną – powiedział Wiljak, stawiając pierwszy krok na schodach. – I nie martw się o tablicę. Sala sama się poustawia z powrotem.

– Czy to my zbudowaliśmy Archiwum? – zapytał Max, schodząc za agentem. Wszyscy uczniowie wiedzieli o dziwnych, tajemniczych początkach Rowan, o tym, że szkoła powstała kilka wieków temu za sprawą sił dawniejszych i bardziej tajemniczych niż te, których byli świadkami dziś – sił zmieniających bieg ścieżek czy błędnych ogników, które pojawiały się w lesie, czemu towarzyszył dziwny, dochodzący z oddali śmiech. Uczniów ostrzegano, by unikali wszelkich nieoczekiwanych lub nieznanych śladów czyjejkolwiek obecności, które mogłyby świadczyć o nagłym przebudzeniu się Starej Magii – mocy leżącej u początków szkoły. Wydarzenia tego rodzaju były nie

tylko nieoczekiwane. Mogły też nieść ze sobą niebezpieczeństwo. Max zdawał sobie sprawę, że wielu kolegów postrzega jego osobę właśnie w taki sposób.

– Nie. My tego nie zbudowaliśmy – odparł Wiljak. Jego głos odbił się echem od marmurowych ścian wąskiej klatki schodowej, którą wciąż szli w dół. – Uczni twierdzą, że Archiwum to najstarsza część tej szkoły, serce całego kampusu. Tu przechowuje się najstarsze i najważniejsze księgi i pamiątki uratowane z Solas bądź zgromadzone od tamtej pory. Uważaj – niektóre stopnie są już bardzo zniszczone.

Max schodził dalej i dalej, aż stracił rachubę stopni. Słyszał, jak Stary Tom wybija ósmą, lecz jego bicie dochodziło z daleka, jak z zaświatów. Powietrze było ciepłe, lecz często zdarzały się nagłe przeciągi. Ściany lśniły od wilgoci. Max wyobraził sobie, że zagłębiają się we wnętrzości jakiegoś żywego organizmu, starego i przedziwnego, przepelnionego magią. Zaczął odczuwać w sobie budzącą się potęgę, siłę, która domaga się działania.

– No, wreszcie jesteśmy na miejscu – rzekł Wiljak. Zszedł z ostatniego schodka i zatrzymał się.

Znajdowali się w sporej sali o ścianach z różowego marmuru. Max wzdrygnął się na widok dwóch potężnych shedu strzegących wysokich drzwi z wypolerowanego mosiądzu z herbem Rowan. Shedu były ogromne – miały dobre pięć metrów wzrostu, ciała byków, ludzkie głowy, na nich zaś korony z brązu. Wyglądały jak posągi, lecz nagle jeden z nich przekręcił głowę w stronę Maksa i

utkwiał w chłopcu puste, nieruchome spojrzenie.

– Nie bój się – rzekł Wiljak i wziął chłopca pod łokieć. – Pierwszy raz masz do czynienia z shedu?

– Nie, proszę pana – szepnął cicho Max. – Jeden z moich kolegów ma podopiecznego shedu, ale o wiele mniejszego.

– Shedu to wspaniali strażnicy – wyjaśnił agent i podniósł rękę, by poklepać jedną z kamiennych istot po piersi. Shedu odstąpił o krok i przepuścił ich przez drzwi. – Nie potrzebują wiele jedzenia ani snu i są bardzo odporne na wszelkie sztuczki i działania mistyczne. Pozwolą ci przejść, kiedy jesteś ze mną, lecz nie radziłbym ci nigdy próbować dostać się do Archiwum na własną rękę. Shedu tego nie zrozumie.

– Jasne. – Max przełknął ślinę i przemknął się obok zatrważających stworów.

Wiljak pchnął ciężkie, mosiężne drzwi i odsunął się na bok, a Max ciekawie wsadził głowę do środka.

– Witaj w Archiwum, Max. To serce Rowan i bogactwo naszego ludu.

Zdumiony Max stał parę chwil bez słowa, przytłoczony ogromem tego miejsca. Archiwum było znacznie większe niż duża katedra. W pomieszczeniu znajdowały się lśniące rzędy stołów, regałów i książek. Książek były tysiące, setki tysięcy. Poustawiano je na galeriach nad główną salą. Galerie te pięły się wysoko, kilkadziesiąt metrów w górę, aż wreszcie wzrok chłopca padł na oświetloną „Szkolę Ateńską” namalowaną na

suficie i wieńczącą pomieszczenie. Za stołami siedzieli przygarbieni lub wręcz skuleni uczeni i przeglądali starożytne księgi bądź stosy sztywnego pergaminu.

Max usłyszał, jak w ogromnym pomieszczeniu odbiło się echem kilka kaszlnięć. Uśmiechnął się, gdy stwierdził, że przy jednym ze stołów, tuż pod posągami Arystotelesa, siedzi znajoma, mała, zgarbiona figurka, a obok niej piętrzy się sterta książek i papierów i paruje kubek kawy.

– To mój kolega z pokoju – szepnął do komandora.

– Aaa, więc to jest sławny pan Menlo. – Wiljak z ciekawością przyjrzał się Davidowi. – Tak, tak, słyszałem. Idź się przywitać, jeśli chcesz, lecz wracaj szybko. Nie mam zbyt wiele czasu.

Max wszedł do sali, ignorując ciekawe spojrzenia i szepty uczonych, którzy podnosili na niego wzrok zza grubych okularów, spoza słabego światła lamp. Podniosła się i mała, skupiona twarz Davida – ale dopiero wtedy, gdy Max klepnął go w ramię. Chłopiec niezręcznie próbował ukryć w dłoni cienką, małą ampułkę wypełnioną srebrzystym płynem.

– Max! – wykrzyknął David, trąc oczy. – Jak się tu dostałeś?

– Przyprował mnie komandor Wiljak. – Max wskazał na czekającego przy drzwiach agenta. Wokół stołu Davida dostrzegł porzucane pudełka po jedzeniu, kubki po kawie, a także małą poduszeczkę na sąsiednim krześle. – Co, przeprowadzasz się tu? – zapytał.

– Chyba powinienem – westchnął David. – Ale

opłacało się. Odkryłem coś. Coś naprawdę ważnego.

Max usłyszał za sobą jakiś szmer. Odwrócił się i stwierdził, że Wiljak niecierpliwie wskazuje na zegarek.

– David, muszę lecieć.

– Przyjdź, jak skończysz – szepnął David.

– Spróbuję – powiedział Max przez ramię i odszedł, mimo błagalnego wzroku kolegi.

– I jak David? – zapytał agent, prowadząc chłopca po obwodzie sali.

– No... w porządku, chyba – odpowiedział Max. – Spędza tu mnóstwo czasu.

– Co robi, jeśli mogę wiedzieć? – spytał Wiljak, unosząc brew.

– Poszukuje obietnicy, którą Bram złożył wiedźmom. Słyszał pan o tym?

– Słyszałem. I nic się nie bój, wy dwaj nigdzie się nie wybieracie – odpowiedział mężczyzna stalowym tonem. – Jesteście dla nas zbyt ważni, żeby was tak po prostu oddać, jak fant na balu. To nie wchodzi w grę i Richter o tym wie.

Wiljak klepnął Maksa w ramię i poprowadził w stronę sali zamkniętej połyskliwymi drzwiami z czarnego granitu, na których widniał czerwony znak – ręka i sznur – ten sam, który komandor miał wytatuowany na przegubie. Max poczuł, jak drgnęły mu palce. Posłał w kierunku drzwi długie, twarde spojrzenie.

Wołał go jakiś wewnętrzny głos.

– Co jest w środku? – spytał cicho.

– Narzędzia i skarby Czerwonego Bractwa – odpowiedział Wiljak. – Do wyłącznego użytku naszych członków.

Agent przyłożył dłoń do wielkiej czerwonej pieczęci na drzwiach. Sekundę później rozległ się stłumiony zgrzyt kamienia kamień i potężne wrota się otworzyły. Z wewnątrz wydobywał się złoty blask.

– Chcesz zobaczyć? – spytał agent.

Max skinął głową i wraz ze swym przewodnikiem wszedł do ciepłej sali o ścianach z jasnego kamienia i posadzce pokrytej perskimi dywanami. Oświetlało ją kilka lamp dających złoty blask, który odbijał się od łagodnych, falujących linii i misternych wygięć zgromadzonej tu broni – broni, jakiej Max nigdy dotąd nie widział. Obok średniowiecznych hełmów i srebrzystych zbroi leżały nanokolczugi o barwie dymu. Max zatrzymał się i wpatrywał w lśniący miecz ze złotą głowicą na rękojeści, który leżał wyjęty z pochwy na czerwonym aksamicie.

– To Joyeuse – uśmiechnął się Wiljak. – Miecz Karola Wielkiego. Są tacy, którzy twierdzą, że został razem z nim złożony do grobu, tacy, którzy twierdzą, że spoczywa w Luwrze, ale my mamy nieco inne zdanie, no nie?

Max wpatrywał się w swoje odbicie w ostrzu słynnego miecza. Nagle kątem oka ujrzał coś innego – ten sam potworny nóż, który widział parę tygodni wcześniej. Leżał na kawałku szorstkiego, wełnianego materiału. Jego karbowane, pofalowane ostrze pokryte było czymś, co

przypominało zaschniętą krew.

– Już go widziałem – szepnął Max. – Miał go przy sobie Cooper, kiedy byliśmy z Davidem spotkać się z Damą Mala.

– To kris Mpu Gandring – wyjaśnił Komandor. – Indonezyjski nóż, pochodzi ze starożytnego królestwa Singasari. Ma złą historię. Osobiście nie wziąłbym go do ręki, ale to ulubiony nóż Coopera. Zawiódł go tylko raz. – Wiljak wskazał na twarz w geście aluzji do szram i blizn, przez które oblicze Coopera wyglądało jak woskowa maska.

– Co mu się stało? – spytał nagle Max. – Nigdy nie miałem odwagi go spytać.

– Jestem pewien, że nadejdzie kiedyś chwila, kiedy sam opowie ci całą historię – odparł Wiljak. – Powiem tylko, że ma to związek z powodem, dla którego dziś wieczór postanowiłem cię tu przyprowadzić. Widzisz, Max, w sali Czerwonego Bractwa mamy wiele przedmiotów, lecz nasza najcenniejsza pamiątka jest zniszczona. Cooper próbował ją naprawić, lecz mu się nie udało. Sądzę, że tobie mogłoby się udać. Kiedyś. Chciałbyś zobaczyć, co mam na myśli?

Gestem wskazał ciemny kąt w samym końcu sali. Max poczuł łaskotanie w brzuchu. To, co go wzywało, bez wątpienia znajdowało się właśnie tam, wśród skrzyń i pudeł.

– Co to jest? – spytał chrapliwym głosem. W ustach całkiem mu wyschło.

– Sam zobacz – odpowiedział agent. – Wiesz o wiele lepiej niż ja.

Max posunął się naprzód. Przecisnął się obok otwartej skrzyni pełnej złotych hiszpańskich dukatów i zobaczył, o czym mówił komandor.

Oparty o strzaskane drewniane koło stał ostry grot włóczni, osadzony na grubym, ułamanym odcinku poszarzałej kości. W mgnieniu oka Max zrozumiał, że właśnie to straszliwe mordercze narzędzie wołało go od samego początku wizyty w sali, nęciło niczym syreni śpiew.

Wiljak stanął za nim.

– To, Maksie, jest pozostałość ulubionej broni Cúchulaina – jego Gae Bolga. To największy skarb Czerwonego Bractwa. Łatwo możesz sobie wyobrazić, że zarówno jego pochodzenie, jak i właściwości sprawiają, że jest bezcenny.

Max przypomniał sobie opowieść o Cúchulainie. Włócznia została wykonana z kości potwora morskiego. Cúchulain otrzymał ją od tych, którzy żyli poza światem ludzi. Jak głosiła legenda, była to broń zabójcza. Zadana nią rana zawsze była śmiertelna.

– Myślisz, że potrafiłbyś czymś takim walczyć? – spytał komandor powoli, jakby ostrożnie.

Max nie od razu odpowiedział. W milczeniu rozważał odpowiedź, która wisiała w nieruchomym powietrzu sali.

– Mówił pan, że bronią stąd mogą posługiwać się tylko członkowie Czerwonego Bractwa – odparł w końcu

i znów zerknął na włócznię. – Musiałbym zostać członkiem, a jak pan mówił, może być ich tylko dwunastu.

– To prawda – cicho odrzekł Wiljak – lecz jeden z nas odchodzi. Jest już zbyt stary, by pełnić zaszczytną służbę. Ty jesteś młody, Max, lecz nie widziałem dotąd nikogo równie utalentowanego. Ponadto zostałeś jużznaczony. Krwią. W szczególnie niebezpiecznych czasach robi się przecież wyjątki z konieczności, prawda?

Max sięgnął po złamaną włócznię. Chciał sprawdzić jej ciężar w ręku.

– Co tu się dzieje, na niebiosy?!

W panujący w nisko sklepionej sali spokój wdarł się podniesiony głos pani Richter. Max cofnął prędko rękę i odwrócił się. W drzwiach zobaczył panią dyrektor z założonymi na piersi rękoma i ogniem w szarych oczach. Jeszcze nigdy nie widział jej tak rozsierdzonej. Komandor odwrócił się w jej stronę.

– Proszę się wytłumaczyć, komandorze – zażądała pani Richter przez zęby.

– Dobry wieczór, Gabrielle – odparł Wiljak spokojnie. – Jak miło cię widzieć. Chętnie odpowiem na twoje pytanie, ale wybacz, do tej sali wstęp mają tylko członkowie Czerwonego Bractwa. Jeśli byłbym służbistą, musiałbym ci zarzucić bezprawne wtargnięcie.

Max otworzył usta ze zdumienia. Pani Richter stała absolutnie nieruchomo, skupiona całkowicie na osobie komandora, który patrzył na nią z cierpliwym uśmiechem.

Jego czarne oczy były niezgłębione i nieruchome. W końcu pani dyrektor chrząknęła.

– Max, proszę, byś natychmiast opuścił tę salę. Komandorze Wiljak, ma pan polecenie natychmiastowego opuszczenia kraju i dołączenia do pańskiego oddziału w Paryżu. Zaginął kolejny polityk. W całej Europie występują przerwy w dostawach energii. Sytuacja coraz bardziej wymyka się spod kontroli. Jeśli czuje się pan na siłach, obejmie pan dowództwo nad oddziałami terenowymi.

– Oczywiście, Gabrielle. – Wiljak wyprostował się i wyprowadził Maksa z sali. Pani Richter odstąpiła parę kroków, kiedy agent zamykał drzwi.

– Dziękuję, że ze mną przyszedłeś, Max – rzekł komandor i poklepał chłopca po ramieniu. – Jeszcze się zobaczymy. Sprawuj się dobrze i ucz się pilnie, dobra?

– Tak jest – wymamrotał Max, kuląc się pod skupionym niczym wiązki lasera, ostrym spojrzeniem pani Richter. Wiljak uśmiechnął się, obrócił na pięcie i skierował do wyjścia, nie zwracając się do pani dyrektor ani słowem i nie patrząc na nią. Pani Richter odprowadziła go wzrokiem, a potem z westchnieniem zwróciła się do Maksa.

– Patrzę i widzę przed sobą ucznia – rzekła. – A kogo widzi komandor Wiljak?

– Nie wiem – odparł Max, patrząc poza nią, prosto na czerwoną pieczęć.

– Myślę, że wiesz, Max.

– Chyba rekruta – odparł chłopiec i zaczęły mu płonąć policzki. – Przepraszam.

Pani Richter uśmiechnęła się łagodnie. Jej szare oczy zaświeciły srebrnym blaskiem, a delikatne kurze łapki zaostrzyły się w wyraźne zmarszczki. Miała taką surową twarz, lecz Max pomyślał, że kiedyś, jako młoda kobieta, musiała być bardzo ładna.

– Ależ ty rośniesz – odezwała się. – Jesteś już prawie mojego wzrostu, a ledwie rok temu musiałam się garbić, żeby na ciebie spojrzeć. Wiele przeszliśmy przez ten rok, prawda? Wiem, ostatnio jestem naprawdę zajęta, ale musimy wreszcie porozmawiać.

– Tak, proszę pani – odparł Max i głęboko odetchnął, gdyż okazało się, że pani dyrektor nie jest na niego wściekła. – Ale muszę najpierw pani powiedzieć, że David odkrył coś ważnego. On tam cały czas siedzi.

Pani Richter uniosła brwi i podeszła do stołu, przy którym tkwił David. Max za nią. David nalewał sobie znowu kawy i jednocześnie oglądał złoty talizman, dyndający mu na palcu.

– David – jęknęła pani dyrektor – ile razy cię prosiłam, żebyś nie pił kawy, a już tym bardziej nie przynosił jej do Archiwum!

– Ale ja uważam – bronił się David, wpatrując się dalej w talizman. – Poza tym, nie mogę przestać. Kawa to najlepszy wynalazek wszechczasów!

– Tak, zgadzam się z tobą w zupełności, ale Max mówi, że coś ważnego znalazłeś...

– Bardzo ważnego – odparł David ponuro. – Myślę jednak, że lepiej byłoby porozmawiać gdzie indziej.

Pani Richter odwróciła się i wąskimi jak szparki oczami zlustrowała brodatych uczonych, zajmujących sąsiedni stół. Widać było, że wyteżają słuch i próbują złowić jak najwięcej z ich rozmowy.

– Masz rację – odpowiedziała. – Chodźmy zatem do którejś czytelni.

Ledwie dostrzegalnym drgnieniem palca pani Richter uniosła książki i papiery Davida w powietrze. Podążyły one za chłopcami, których dyrektorka zaprowadziła do małego, przytulnego pokoiku na tyłach galerii na drugim piętrze. Książki i papiery wleciały za nimi, po czym ułożyły się na dużym stole. Pani Richter wskazała chłopcom wygodne fotele, a sama zamknęła dokładnie drzwi.

– Dobrze – rzekła – więc o co chodzi? Nie wydaje mi się, żebym mogła dziś jeszcze wiele znieść!

– Wiedźmy nie kłamią. Bram rzeczywiście obiecał im trzy osoby – spokojnie powiedział David. – Ale jest coś jeszcze gorszego.

– Tak? – powiedziała pani Richter. Jej usta ułożyły się w prostą, napiętą linię.

– Księga Thotha istnieje i w tej chwili on jej poszukuje – ciągnął David, bawiąc się dziwnym talizmanem, który trzymał na dłoni.

– Kto poszukuje jej w tej chwili? – zapytała pani Richter.

– Astaroth – szepnął David. – Ale jest coś jeszcze gorszego.

– David, czy mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, co jest w tym wszystkim najgorsze? – przynagliła pani dyrektor.

– Bram ukrył księgę, lecz jeszcze jedna osoba wiedziała, gdzie jej szukać...

David zerknął na Maksa, w którego żołądku obudziło się nagle lodowate, zatrważające uczucie.

– Niech zgadnę – rzekł Max. – Marley Augur.

– Marley Augur – potwierdził David z ironicznym uśmiechem. – To zabrzmie dziwnie, wiem, ale powinniśmy podziękować Augurowi. On przecież nam podpowiedział, że księga jest w niebezpieczeństwie. A zrobił to dla Brama. Oczywiście zanim zdradził.

– David wyciągnął przed siebie talizman – złoty dysk na cienkim łańcuszku, z wyrytym ośmiokątym słońcem. Kiedy położył go na dłoni, Max musiał zmrużyć oczy. Słońce świeciło tak mocno, jakby siedział w nim robaczek świętojański.

– Ten talizman pokazuje, czy księdze grozi niebezpieczeństwo ze strony Astarotha – wyjaśnił David.

– Według Brama talizman świeci, jeśli księga jest w niebezpieczeństwie. Widzicie, jak świeci?

– Tak – odparła pani Richter, wpatrując się z uwagą w talizman. – Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

– Odnalazłem list Brama – powiedział David. – Umieszczono go wraz z innymi dokumentami pod hasłem

„Nie do odczytania”.

– Więc jak zdołałeś go rozszyfrować?

– Dzięki Mai – odparł David. Miał na myśli swoją podopieczną, stworzenie podobne do gazeli, zwane ulu. David sięgnął do kieszeni swetra i wyciągnął tajemniczą ampułkę, zawierającą srebrzysty płyn, a także maleńki pędzelek. – To kilka kropel krwi Mai. Za pomocą krwi ulu można wszystko przetłumaczyć, pod warunkiem, że nałoży się krew na tekst i wypowie właściwe zaklęcia. Dlatego ulu są taką rzadkością. Polowali na nie mistycy i uczeni. Skutek jest taki, że gatunek prawie wyginął. Ci, którzy zabijali ulu, nie wiedzieli jednak najważniejszego. Aby czar działał, ulu musi oddać krew dobrowolnie. Jeśli krew została zdobyta siłą, jej skład się zmienia i krew przeistacza się w bardzo silny kwas. Na tyle silny, by spalić każdy, nawet bezcenny tekst, na który się ją nałoży.

– Rozumiem – pani Richter skinęła głową i zapatrzyła się na ampułkę.

David zaczął niecierpliwie grzebać w leżących na stole papierach i mapach. Wyciągnął wreszcie delikatny, pożółkły skrawek papirusu i podał go pani Richter.

– Pani dyrektor – rzekł – niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy z wiedźmami, musimy pierwsi zdobyć księgę. Przed Astarothem. Nie ma nic równie ważnego!

Pani Richter wzięła papirus z rąk Davida. Trzymając go za rogi, kilkakrotnie przebiegła wzrokiem tekst. Machinalnie skinęła głową i podała list Maksowi. Chłopiec mrugnął, by pomóc sobie odczytać symbole

gęsto wypisane czarnym atramentem. Najpierw wydawały się zupełnie nieczytelne, ale powoli, stopniowo, na powierzchnię zaczęły wypływać srebrzyste wyrazy, aż wreszcie cała wiadomość stała się wyraźna.

15 marca 1648

Powód, dla którego niebo i ziemia miałyby wspólnie uknuć coś równie niebezpiecznego leży poza zasięgiem mojego rozumu. Księga Thotha istnieje i na wieki wieków musi pozostać w ukryciu przed tymi, którzy mogliby zdradzić jej tajemnice. Dziś zrobiłem wszystko, by księga była bezpieczna, choć przyszło mi zapłacić za to straszną cenę. Niechaj Bóg wybaczy mi to, że musiałem w zamian oddać życia, które do mnie nie należą!

Mimo wszystko jednak czymże są trzy życia – niezależnie od tego, jak błogosławione – w porównaniu z ludzką wolnością? Byliśmy już na skraju katastrofy, bowiem Astaroth poznał miejsce ukrycia księgi i postanowił nią zawładnąć – podstępem, wojną czy morderstwem. To Demon o niezwyklej przebiegłości. Szukał długo i długo studiował sztuki, dzięki którym można zgłębić jej sekrety. Niechaj szczególnie wszelka myśl o tym, że Astaroth mógłby wziąć ją w posiadanie. Korzystając z jej bogactwa, miałby bowiem możliwość urządzić świat zgodnie ze swą wolą i sprawować rządy nad ludzkością. Nadchodzi chwila mojego osobistego starcia z Demonem. Elias Bram stawia czoła jego niegodziwości.

Modlę się, by ta księga na wieki pozostała w ukryciu. Mogą jednak nadejść przedziwne czasy, w których to, co głęboko ukryte, zostanie odsłonięte. Do mego listu dołączam zmyślny talizman wykonany przez Augura, mojego powiernika w tych sprawach. Powierzchnia talizmanu będzie świecić równym blaskiem, jeśli księga doświadczy zagrożenia ze strony Demona.

Jeśli zdarzy się, że Księga Thotha znów znajdzie się w niebezpieczeństwie, ten, kto rozwiąże moją zagadkę, może ją uratować. Nie mogę wyjaśnić tego w prostszych słowach na wypadek, gdyby mój list dostał się w ręce Wroga. Wówczas wszystko by przepadło. Jeśli komukolwiek uda się odnaleźć księgę, niechaj za żadne skarby świata jej nie używa! Niechaj, idąc ścieżką mądrości, ukryje ją w bezpiecznym miejscu, gdzie będzie mogła spoczywać po wsze czasy...

*Pod miejscem koronacji Teutonów
Leży klucz o czterech szczybinach.
Pośle on konia mego za horyzont.
Bym bezpiecznie zastukał do bram niebios,
Gdzie spoczywa księga razem
Z tym, co śpi pod wzgórzem i pod drzewem.
Pamiętaj, młody Czarnoksiężniku,
Jej tajemnic żadnym nie uwolnisz zaklęciem.
W pośpiechu,
Elias Bram*

Max oddał list pani Richter, a ona ostrożnie włożyła go z powrotem do archiwalnego pudełka. David chciał wręczyć pani dyrektor również i talizman, lecz ona pokręciła głową.

– Nie, Davidzie, na razie ty go zatrzymaj. Spisałeś się świetnie i nie przychodzi mi do głowy nikt, komu chętniej powierzyłabym ten talizman, przynajmniej na razie. Czy znasz list na pamięć?

– Tak, proszę pani – odparł David.

– To dobrze, bo muszę wziąć ze sobą oryginał i pokazać go natychmiast pewnym osobom. Natomiast chciałabym, abyś od razu zaczął pracować nad zagadką Brama i sprawdził, czy uda ci się coś zdziałać. Ja też się tym zajmę. Wiedzmy przybędą za dwa tygodnie. Biorąc pod uwagę okoliczności, zaproszę na spotkanie z nimi również innych.

– Pani Richter, czy naprawdę będziemy musieli odejść z wiedźmami? Mamy już się pakować? – zapytał David, siląc się na humor.

– Jeszcze nie, Davidzie – odparła pani Richter ze zmęczonym uśmiechem. – Chciałabym was prosić, żebyście mieli wiarę. I, Max? – Już od drzwi spojrzała na ciemnowłosego chłopca.

– Tak, pani dyrektor?

– Chciałabym cię prosić o cierpliwość – powiedziała miękko. – Od twojej osoby bije blask tak silny, że widzą go wszyscy. Czerwone Bractwo nie jest jednak odpowiednie dla osób tak młodych jak ty. Zgadza się, są

wybranymi z wybranych i szanujemy ich bardzo, lecz praca, którą wykonują, jest niebezpieczna i skazuje na samotność. Chciałabym oszczędzić ci takiego losu. Do chwili, gdy osiągniesz wiek, kiedy będziesz mógł sam podjąć decyzję. Komandor Wiljak jest świetnym agentem. Jest jednak ambitny, a ambicja może przyćmić nawet najsprawiedliwszy osąd. Nikt prócz ciebie nie będzie władał bronią Cúchulaina. Ona czeka na ciebie. Czeka, aż będziesz gotów. Dobranoc.

Max i David odpowiedzieli, a pani Richter zamknęła za sobą drzwi. David postukał palcem w talizman i zmrużył oczy przed bijącym od złotego słońca blaskiem.

– O co jej chodziło? – spytał.

– A, nic takiego – odparł Max, do którego powoli dochodził sens słów pani dyrektor. – Wiljak pokazał mi salę i trochę broni, a pani Richter myśli, że on chce mnie zwerbować.

– A chce? – spytał David, podnosząc wzrok znad talizmanu.

– Chyba tak – westchnął Max.

– Strzeżcie się tych, którzy wam schlebiają – David pogroził koledze palcem – bo to, co jest muzyką dla uszu, może być trucizną dla duszy.

– Czyje to słowa? – chciał wiedzieć Max.

– Moje – odpowiedział David i z błyszczącymi oczyma sięgnął po książkę o historii Niemiec.

Max potrząsnął głową i wstał od stołu.

– Zostajesz tu na całą noc, żeby rozwiązywać

zagadkę?

– Uhm. Właśnie tak – mruknął David, kartkując książkę. – Będę tu aż do chwili, kiedy przyjadą wiedźmy, wpakują mnie do worka i zawiozą nie wiadomo dokąd.

– Nawet tak nie żartuj – rzekł Max i wystawił głowę z czytelnicy, by spojrzeć na wejście do Archiwum. – Myślisz, że te shedu mnie zjedzą, jeśli będę chciał stąd wyjść sam?

– Eee, nie – odparł David, ziewając ukradkiem. – Bardziej je interesuje, kto wchodzi, niż kto wychodzi. Chcesz, żebym cię odprowadził?

– Nie, dzięki – Max jeszcze raz zerknął na drzwi i na malowidła na ścianach. – Poradzę sobie. Jak coś odkryjesz, powiedz mi od razu. Obudź mnie, jeśli będę spał.

– Dobra – obiecał David, pomachał koledze i wsadził nos w książkę.

Max pospiesznie wyszedł z Archiwum, minął kamienne shedu i po niezliczonych stopniach wspiał się z powrotem do sali nr 313. Kiedy wrócił do swego pokoju, zauważył, że w drzwiach jest maleńka, ledwo widoczna szparka. Wszedł po cichu do środka i zobaczył rozłożonego wśród książek i zeszytów Connora przy kominku na dolnym poziomie. Na stole stał pan Sikes, ubrany nieskazitelnie jak zawsze. Trwał w oczekiwaniu ze złożonymi przed sobą rękami.

OPERACJA CIEMNA MATERIA

Fakt, że Max przemierzał tę trasę już tyle razy, stanowił dla niego ogromne pokrzepienie. Znał na pamięć każdą dziurę w błotnistej drodze, czuł, jak nieznacznie wspina się pod górę łagodnym łukiem zakrętu i wiedział, że za zakrętem jego oczom ukaże się okazałe Domostwo. Tak też było – zobaczył na wzgórzu jego postrzępiony kontur z wąskimi oknami, z których w ciemną noc wylewało się ciepłe światło. Jak zwykle czekał na niego wilczarz. Powoli wyłonił się z krzaków, żeby zastąpić mu drogę – ogromne stworzenie skudłonej sierści, które po prostu stało i przyglądało mu się w mroku.

W momencie, kiedy pies podszedł bliżej, uwagę Maksa zwróciło coś innego. Za pniem olchy kryła się mała, szczupła figurka pana Sikesa. Max skrzywił się, kiedy napotkał spojrzenie jego błyszczących, kocich oczu.

– Odejdź – mruknął. – Nie powinno cię tu być.

– Po prostu nie zwracaj na mnie uwagi – prychnął pan Sikes położył miniaturowy palec na ustach.

Max byłby spierał się dalej, gdyby nie to, że ogromny pies był coraz bliżej – zrobił się jeszcze większy, większy nawet od niego, większy od konia. Śmierdział mokrym futrem i ziemią. Jego wielka, dysząca mordą wisiła tuż nad chłopcem. Max wstrzymał oddech i ze wszystkich sił

przygotował się na pytanie, które wiedział, że prędzej czy później padnie.

– Co zamierzasz? Szybko odpowiadaj albo cię pożrę!
Max się zawahał.

Bestia otworzyła paszczę i, jak zapowiedziała, połknęła Maksa jednym potężnym kłapnięciem. Chłopiec zacisnął oczy, kiedy usłyszał, jak zęby potwora chrupią coś wokół niego. Prze parę straszliwych chwil wydawało mu się, że jego ciało, okaleczone i powolne, prześlizguje się przez przetyk bestii i spada na miękkie, gąbczaste łoże jej żołądka.

Gdy otworzył oczy, stwierdził, że pan Sikes dalej przygląda mu się z bezpiecznej kryjówki za pniem olchy. Z gardła chłopca wydobyło się głucho warczenie. Przekręcił wielki łeb, by móc dokładniej widzieć małego chochlika. Pan Sikes cofnął się jeszcze bardziej w cień.

Przenosząc ciężar ciała, Max zarył łapą w miękkiej ziemi.

Z nagłym cichym trzaskiem pan Sikes zmienił się w polną mysz i umknął ścieżką w zygzakowatych podskokach. Max wydał zajadły ryk i pognął za nim, mknąc na czterech łapach z potworną prędkością. Mysz kierowała się ku światłom Domostwa.

Natrętny chochlik nie był dość szybki. Zbliżał się właśnie do schodków przy wejściu, kiedy Max wyprzedził go, schwycił w szczęki i w tym momencie z całym impetem wpadł na drzwi frontowe. Gramoląc się na nogi, warknął i potrząsnął trzymaną w zębach myszą, po czym

odrzuć ją daleko w moką trawę.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i strumień światła zalał trawę przed domem. Na jej tle wyraźnie widać było nieruchome ciało gryzonia.

– Max, co ty wyprawiasz?

Słyszając głos matki, Max aż się zachwiał. Stała w drzwiach, ramię w ramię z ojcem. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Max poczuł nagle gwałtowne pragnienie, by wejść do środka i być tam z nimi – z rodzicami.

Dostrzegł jednak w rysach matki coś, co go zatrzymało. Jej ciemne oczy rozszerzyły się i drżącą ręką wskazała na coś za jego plecami. Max odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na martwe ciało pana Sikesa, lecz myszy już nie było.

Na trawie leżało zwinięte, okaleczone ciało Aleksa Muftoza.

Max krzyknął.

Obudził się i zobaczył stojącego przy nim Davida z lampą w ręku i wystraszoną miną.

– Coś ci się śniło – rzekł David. – Wszystko w porządku, nie bój się.

– Jasne – wychrypiał Max, mrugając na widok migotliwych gwiazdozbiorów i odbicia lampy w szklanej kopule. Odrzucił mokre od potu prześcieradła i oparł się plecami o ramę łóżka. Okropne szczegóły snu, przed chwilą tak żywe i rzeczywiste, zaczęły powoli blaknąć. Niemniej jednak chłopiec był prawie pewien, że naprawdę

widział pana Sikesa. Nie miał pojęcia, dlaczego chochlik miałby odwiedzać go we śnie, lecz nie wiedzieć czemu nie chciał opowiedzieć snu Davidowi.

– Już po czwartej – szepnął David. – Zaraz przybędą więdźmy. Mam zamiar na nie czekać. A ty? Przyłączysz się?

Max skinął głową, zsunął nogi z łóżka i parę minut później obaj skradali się korytarzem skrzydła sypialnianego, okutani w swetry i owinięci kocami, które miały ochronić ich przed chłodem wczesnego poranka. Znaleźli dogodny punkt obserwacyjny w odludnym zakamarku na trzecim piętrze, gdzie okna o małych szybkach oprawionych w ołów wychodziły na frontowy trawnik i podjazd przed Domostwem. Na dworze nie było śladu słońca. Po horyzont unosiła się siwa mgła. Max oparł czoło o chłodną szybę.

– Jak zagadka? – zapytał, chuchając na szkło.

David wpatrywał się w jakąś małą karteczkę. Wzruszył ramionami.

– Częściowo nic trudnego. „Pod miejscem koronacji Teutonów” to oczywiście chodzi o Frankfurt w Niemczech. Tam wybierano królów niemieckich. Tam mieści się też siedziba Warsztatu. Reszta jest trochę trudniejsza.

– Ale co ma z tym wspólnego Warsztat we Frankfurcie? – zapytał Max.

– Warsztat nie należy do Rowan – mruknął David i pstryknął palcami w karteczkę. – I podejrzewam, że

właśnie dlatego Bram mógł umieścić tam jakąś część rozwiązania zagadki. Bez wątplenia wiedział, że Księga Thotha jest niebezpieczna, i chciał urządzić to tak, żeby nikt – ani żaden człowiek, ani grupa – nie mógł jej odnaleźć samodzielnie. Rozproszenie wskazówek służy temu, by można było odnaleźć księgę tylko dzięki współpracy. A współpraca nastąpi tylko w jednej sytuacji – gdy księga znajdzie się w niebezpieczeństwie. To bardzo sprytne posunię... – David przerwał w pół słowa i wstał, by wyrzucić przez okno. Jego uwagę przykuło kilkanaście wron, które nadleciały nagle od strony bramy. Zatoczyły koło, przemknęły nad trawnikami i usiadły na dachu Maggie. Kilka chwil później z ciemnego lasu wyjechała czerwona ozdobna karoca zaprzęzona w czwórkę karych koni. Gładko toczyła się w szarości mglistego poranka, aż zatrzymała się przy fontannie na podjeździe. Konie rzucały łbami, pokazywały białka oczu i buchały parą, ale z błyszczącej karocy nikt nie wysiadał. Stała z zamkniętymi drzwiami i zasłoniętymi oknami.

– Wygląda jak szkatułka na biżuterię, co? – szepnął David, przyciskając nos do szyby.

Max dostrzegł jakąś postać schodzącą z frontowych schodów Domostwa. Była to owinięta błękitnym szalem panna Boon. Wyglądała mizernie. Stanęła przed karocą i z powagą nisko się ukloniła. W odpowiedzi drzwiczki powozu otworzyły się i wysiadły cztery postaci w kapturach. Za nauczycielką mistyki weszły szybko do budynku. David odwrócił się od okna i pobiegł

korytarzem.

– Szybko! Już są, więc musimy się spieszyć! Chodź ze mną! – zawołał.

– Ale dokąd? – zapytał Max.

– Idziemy na wieżę zegarową – odparł David, wciąż się oddalając. – Muszę coś zrobić, a potem może nie być okazji.

– Ale one zaraz po nas przyjdą! – syknął zniecierpliwiony Max.

– Dlatego musimy się spieszyć! – odszepnął David i zniknął za rogiem.

Kilka minut później wyjaśniło się, dlaczego panna Boon wyglądała tak kiepsko. Był mokry, lodowaty poranek i Max dygotał z zimna, strząsał wilgoć z kapci i kulił ramiona przed chłodnymi porywami wiatru wokół Starego Toma. Razem z Davidem stał na balkoniku tuż pod tarczą olbrzymiego zegara ze zniszczonymi od deszczu, wiatru i słońca wskazówkami. Kurczowo trzymali się poręczy, bo wysokość robiła spore wrażenie. Znajdowali się mniej więcej pięćdziesiąt metrów nad szarzielonymi trawnikami Rowan.

– Ale co my tu robimy? – spytał Max, szczękając z zimna zębami.

David nie zwrócił na niego uwagi i wygiął się tyłem przez barierkę, spoglądając na ostro zakończony dach wieży.

– Podsadzisz mnie tam? – spytał.

Max wykrzywił szyję i spojrzał na spadzisty dach

pokryty śliskim, mokrym gontem, po czym przeniósł wzrok na niezdarnego, chudego kolegę.

– Oszalałeś? – spytał. – Zlecisz!

– Chyba masz rację – zamyślił się David. – Im wyżej, tym lepiej, ale widzę, że tu będzie musiało wystarczyć.

– Wystarczyć do czego? – nie mógł pojąć Max. Owinął się jeszcze szczelniej kocem, bo znad morza powiało szczególnie paskudnym zimnem.

David nie odpowiedział. Zamiast tego wychylił się daleko za balkonik, wysunął rękę w stronę oceanu, którego stalowe fale, rozbijając się o brzeg, wysyłały w poranne lodowate powietrze pióropusze piany. Ku zdziwieniu Maksa David zaczął śpiewać łagodną piosenkę.

Max nie słyszał dotąd podobnej. Słowa były tak dziwne jak melodia, która nieoczekiwanie wznosiła się i opadała lub przeskakiwała na zupełnie inną tonację. Max nie zwracał uwagi na wiatr, który wirował i szalał wokół niego. Poczul się nagle przyjemnie rozgrzany i zadowolony, dał się ponieść tej dziwnej pieśni, która rozluźniała go i usypiała tak, że odczuł przedziwne pragnienie, by dać się porwać burzliwym prądom życia jak kamyk morskimi falami.

Znad oceanu zaczęła się powoli unosić mgła. Jej strzępy urywały się i błędziły niczym strumienie między drzewami i ścieżkami ogrodów. Wkrótce warstwa mgły, bielusienka i delikatna jak jagnięca wełna, okryła cały teren szkoły, zahaczając się na czubkach drzew. Kiedy

głos Davida ucichł, Max dosłyszał głosy wielu ludzi zgromadzonych u stóp Starego Toma. David, wybudzony z transu, otworzył oczy i nagłym ruchem uniósł ręce, jak dyrygent. Rozległ się grzmot i mgła zaczęła wirować, formując olbrzymi lej, wąski na dole, a górą szeroki na podobieństwo cyklonu.

Max słyszał z dołu zdziwione krzyki, odległe trzaskanie okien i drzwi. Zebrani pod wieżą ludzie rozbiegli się. Mgła, rozpychana na boki ku murom kampusu, podnosiła się coraz wyżej, aż w końcu zdawało się, że Rowan oderwało się od ziemi, wzleciało w niebo i zawisło w chmurach, ukryte przed całym światem.

Z klatki schodowej Starego Toma dały się słyszeć czyjeś pospieszne kroki. Była to panna Boon. Młoda nauczycielka mistyki wpadła na balkonik bez tchu. Jej krótkie, brązowe włosy przylepiły się do okrągłej twarzy. Zerknęła na Maksa, a po chwili utkwiała spojrzenie w Davidzie.

– Co zrobiłeś? – spytała ostro.

– Ukryłem nas – odparł David zmęczonym tonem. – Stare zaklęcia zaczęły już blaknąć. Teraz nie odnajdzie nas już żaden wróg. Ani na mapie, ani na ziemi, ani na morzu. Rowan zniknęło.

Panna Boon podeszła do barierki. Spojrzała na teren szkoły, na wznoszącą się na dziesiątki metrów kopułę z białej mgły, przez którą usiłowały się teraz przebić ostre promienie wstającego słońca.

– David, zejdz, proszę, na dół – westchnęła panna

Boon, wycierając parę z okularów. – Później o tym porozmawiamy. Max, ty również. Obaj macie się przebrać w galowe mundurki i czekać w swoim pokoju, aż przyjdzie po was Cooper. Do tego czasu nie wolno wam nic robić. Bóg jeden wie, jak więdźmy zechcą wykorzystać to wydarzenie.

Max i David z opuszczonymi głowami weszli do wieży i zaczęli schodzić po schodach. Minęli mechanizm zegara i wahadła, które pachniały smarem i starością. Na zewnątrz, przy wyjściu, zebrał się spory tłum.

– Coś ty zrobił? – krzyknął jeden z uczniów, bardzo rozgniewany.

– Teraz to sprzątaj! – dodał drugi.

– To ich trzeba sprzątnąć! – wrzasnęła Anna Lundgren, celując palcem prosto w Maksa.

– Dostyc – odezwała się ostro panna Boon, eskortując chłopców przez ciżbę zdumionych uczniów, nauczycieli i uczonych. Max poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Była to jakaś ładna piegowata dziewczyna z ciemnymi włosami i aparatem fotograficznym na szyi. Max nie zdążył się jej dokładniej przyjrzeć, bo już odciągnęła go panna Boon, a zamykający się z tyłu za nimi tłum wchłonął dziewczynę. Weszli po szerokich schodach Domostwa, a potem korytarzem ruszyli do swojego pokoju. W środku czekał na nich pan McDaniels.

Pukanie do drzwi usłyszeli prędzej, niż oczekiwali. Max podszedł do drzwi – świeży i odświeżony w

wyprasowanym galowym mundurku szkolnym. W drzwiach stał Cooper. David i tata Maksa wyszli mu na spotkanie.

– Pora się zbierać – odezwał się agent łagodnie. – Dyrektor prosi, żebyście przez całe spotkanie nie zabierali głosu. To ważne, byście wyrazili na to zgodę. Czy dyrektor może mieć wasze słowo?

– Trzeba mieć nerwy ze stali – sapnął pan McDaniels. – Mamy siedzieć jak myszy pod miotłą, kiedy reszta, w tym banda wieźm, będzie decydować o naszych losach?

– Otóż to – potwierdził Cooper i spokojnie kiwnął głową. – Jeśli nie odpowiadają wam takie warunki, możecie poczekać tutaj, a po spotkaniu ktoś przyjdzie i zda wam relację.

– Nie – szybko zareagował David. – Chcemy iść. Potrafimy milczeć.

– Niezależnie od wszystkiego? – spytał Cooper.

– Niezależnie od wszystkiego – potwierdził Max.

Cooper poprowadził obu McDanielsów i Davida w dół po wielu, wielu schodach, głęboko pod jadalnię i kuchnię Domostwa, aż doszli do długiego korytarza zastawionego wypolerowanymi zbrojami z różnych epok i cywilizacji. Ku swemu zdumieniu Max zobaczył, że przy lśniących drewnianych drzwiach obok agentów Rowan kręcą się pracownicy urzędu ochrony państwa w czarnych garniturach. Wszyscy odstąpili na bok, kiedy nadszedł Cooper.

– Pamiętajcie, co obiecaliście – ostrzegł chłopców i

tatę Maksa agent i gestem wskazał, by weszli do środka.

Max poczuł pokrzepiający ciężar ręki ojca na ramieniu. Stał na progu dużej, oświetlonej kandelabrami sali o wysokim sklepieniu. Pośrodku stał olbrzymi okrągły stół z malachitu. Siedziało już wokół niego dwadzieścia kilka osób, a o wiele więcej zajęło miejsca z tyłu. Wszyscy wpatrywali się w Davida i Maksa. Cooper poprowadził ich do trzech krzeseł pod tylną ścianą sali, między panną Boon i Nigelem Bristowem – pracownikiem Rowan, który rekrutował Maksa do szkoły. Chłopak starał się odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech, lecz nie mógł się do tego zmusić. Czuł się zupełnie odrętwiały. Pani Richter wstała, by rozpocząć spotkanie. Wkrótce okazało się, że do udziału w nim zostali zaproszeni nie tylko przedstawiciele szkoły i wiedźmy, lecz także członkowie Warsztatu we Frankfurcie oraz członkowie kilkunastu rządów świata.

– Minęło już niemal tysiąc lat od czasu, gdy trzy organizacje spotkały się przy wspólnym stole – zaczęła pani Richter. – Jestem wdzięczna tym, którzy przybyli. Zwołaliśmy to spotkanie w obliczu poważnego zagrożenia. Mam nadzieję, że zdołamy dziś wyjść poza stare waśnie i urazy i zjednoczyć siły we wspólnym celu, jakim jest stawienie czoła nadciągającej katastrofie. Elias Bram ostrzega nas o niej zza grobu. Dziś martwi mnie nie jego przysięga, która przywiodła tu z tak daleka nasze siostry, lecz jego zagadka.

Stara wiedźma w czarnej szacie, o skórze pokrytej

takimi samymi dziwnymi symbolami jak skóra Damy Mala, podniosła się zza stołu. Była starsza od Damy Mala, miała stalowoszare włosy i ametystowe oczy, wąskie teraz jak szparki i utkwione w pani Richter.

– A to co za sztuczka? – zapytała ochryplym głosem, celując jednocześnie zdobnym w pierścienie palcem w dyrektorę. – Przybyliśmy tu po to, co nam się prawnie należy, i byle czym nie damy się zadowolić!

– Oczywiście, Damo Malo – odparła pani Richter. – Aby zatem przejść do dalszej części obrad, do spraw większej wagi, jestem gotowa w tej chwili wyrazić nasze stanowisko w tej kwestii.

Scott McDaniels ścisnął ramię syna. Max wstrzymał oddech i pochylił się lekko w przód w oczekiwaniu, a cała sala zamarła. Zapadła śmiertelna cisza.

– Po konsultacjach z doradcami, potwierdziwszy autentyczność przysięgi Brama, zobowiązuję się niniejszym do wypełnienia jego obietnicy i wydania Wiedźmom ze Wschodu Maksa McDanielsa i Davida Menlo.

W sali zawrzało.

– Co?! – wrzasnął pan McDaniels, zrywając się z krzesła. – Po moim trupie!

Zaraz jednak został unieszkodliwiony przez Mamuskę, która porzuciła przenośny barek z kawą, i swoją niską, krępą figurą zablokowała mu drogę. W sukurs przyszli jej Nigel i panna Boon. Wspólnymi siłami zdołali posadzić pana McDanielsa z powrotem na miejscu.

Prawdziwe zamieszanie rozpełtało się jednak tuż przy pani Richter. Komandor Wiljak wstał od stołu i pochylił się ku niej. – Jego twarz była purpurowa, a potężne dłonie zaciśnięte w pięści. Max nie słyszał, co Wiljak mówił, lecz pani dyrektor stała niewzruszona.

– Agenci Cooper i Yamato, proszę wyprowadzić komandora Wiljaka z sali obrad.

– Nie masz prawa mnie wypraszać! – rzucił ostro Wiljak i uderzył dłonią w stół. – To skandal, to absolutne nadużycie stanowiska dyrektora!

– Dziękuję, komandorze – odpowiedziała spokojnie pani Richter. – Na tym skończmy.

Wiljak obejrzał się przez ramię. Stał za nim Cooper i jakaś agentka. Powoli komandora ogarnął lodowaty spokój, oczy z powrotem stały się zimne i obojętne jak u lalki. Wiljak zerknął na Maksa, a potem odwrócił się do Coopera – swego towarzysza z Czerwonego Bractwa. Max odniósł wrażenie, że odbyła się między nimi bezgłośna wymiana zdań. Po chwili Wiljak pozwolił się wyprowadzić z sali. Drzwi zamknięto i z powrotem zapanował spokój. Wtedy dopiero do Maksa dotarło znaczenie słów pani Richter.

Mieli opuścić Rowan.

Chłopiec spojrzał na spowite w szaty staruchy przy stole. Z nietajoną satysfakcją szeptały coś do siebie, od czasu do czasu obdarzając Maksa i Davida uśmiechami pełnymi czegoś, co przypominało matczyną troskę. Nie mógł jednak oderwać wzroku od ostrych zębów, które

błyskały im w ustach przy owych uśmiechach. Tata Maksa był blady i słał się na krześle. Nawet David wyglądał na zdruzgotanego.

– Rozumiem, że dla niektórych osób jest to nieoczekiwane – podjęła pani dyrektor, nie spoglądając nawet przelotnie w kierunku samych zainteresowanych. – Jesteśmy głęboko poruszeni tym, że musimy pożegnać się z naszymi uczniami. Okoliczności wymagają, by zerwali oni więź ze szkołą. Mamy jednak nadzieję, że pan Scott McDaniels także otrzyma pozwolenie, by zamieszkać z synem wśród wieźm.

– Oczywiście – odparła Dama Mako, kłaniając się uprzejmie panu McDanielsowi. – Przyjmiemy go z szacunkiem.

– W takim razie wyruszą oni z wami jutro o poranku – rzekła pani Richter. – A teraz przejdźmy do pilniejszych spraw, czyli do eskalacji zła, które rozpanoszyło się na świecie po uwolnieniu Astarotha.

Oszołomiony Max siedział bez słowa, podczas gdy ministrowie i senatorowie szeleścili papierami i składali raporty o wydarzeniach w swoich państwach. Był to ponury ciąg zabójstw, katastrof lotniczych i kolejowych oraz klęsk nieurodzaju. Przed budynkami rządowymi gromadziły się wzburzone tłumy, a zdesperowani uchodźcy próbowali przedostać się do bogatszych państw świata. Elektrownie płonęły z niewyjaśnionych przyczyn. Stało się oczywiste, że Wróg już od dłuższego czasu musiał infiltrować rządy wielu państw. Liczby były

zatrważające – miliard ludzi bez prądu, dwa miliardy bez dostępu do radia i telewizji. Ze słów niskiego czarnoskórego mężczyzny w szarym garniturze wynikało, że ponad sześćdziesięciu rządów na świecie grozi upadek, a ich krajom wojna domowa. Panna Kraken, jakby czytając w myślach Maksa, przerwała wypowiedź jakiegoś senatora z pokaźnym brzuchem i południowym akcentem:

– Te raporty nie mogą być prawdziwe! – powiedziała.
– Na pewno sytuacja wygląda źle, lecz gazety nie donoszą o niczym, co choć trochę przypominałoby tak ogromną katastrofę!

Senator zerknął na zegarek i odchrząknął.

– Przez ostatnie sześć tygodni wszystkie programy telewizyjne, radiowe oraz doniesienia prasowe zawierały jedynie wiadomości zaaprobowane przez rząd.

– Wprowadziliście cenzurę? – spytała panna Kraken z niedowierzaniem.

– Działamy w jak najlepiej pojętym interesie naszych obywateli – odparł senator. – Przypominam pani, że w tym kraju nie połała się dotąd krew tylko dlatego, że nie podajemy prawdziwych informacji do wiadomości publicznej. Gdybyśmy to uczynili, od razu wybuchłaby panika.

– My działamy podobnie – odezwał się jakiś urzędnik z Moskwy. – Z prowincji dochodzą przerażające wieści. Przerażające! Nie są to wiadomości, których ludzie chcieliby słuchać, a co dopiero je oglądać! Dwa dni temu

w okolicach Leńska została spustoszona cała wieś. W lasach widziano potworne postacie. Chodzą pogłoski, że to ogry i wilkołaki. Mimo że robimy wszystko, by uspokoić społeczeństwo, grozi nam poważny kryzys. Pustoszeją gospodarstwa rolne i wsie. Ludzie masowo uciekają do miast. Miast, gdzie nie ma prądu i żywności. Zbliża się zima. Nasza Matuszka Rosja nie była w podobnych tarapatkach od czasu drugiej wojny.

Słuchając dalszych mrożących krew w żyłach raportów i opowieści, Max wiercił się na krześle. Jego problemy wydawały się niczym w porównaniu z tym, co działo się za murami Rowan. Może Bellagrog miała rację – nadeszły czasy, w których należało znaleźć sobie jakiś zaciszne, bezpieczne schronienie i przeczekać w nim światową zawieruchę.

Potem wstał Jesper Rasmussen – łysy, niezwykle chudy mężczyzna, reprezentujący Warsztat we Frankfurcie. Głos miał suchy i metaliczny. Od czasu do czasu zwilżał sobie wargi niemal bezbarwnym językiem.

– Proszę wybaczyć moją niewiedzę – rzekł – lecz wydaje mi się, że obecną... hm... niefortunną sytuację przypisujemy w całości działaniom Astarotha. Warsztat jednak nie ma dotąd całkowitej pewności, czy Demon powrócił, a tym bardziej, czy obecną sytuację można wiązać z jego aktywnością. Wydaje się, że kryzys nadszedł zbyt gwałtownie i dramatycznie, by przypisywać go działaniu kogoś, kto plecie swoje sieci długo i cierpliwie.

– Tak też było, doktorze Rasmussen – odparła pani Richter. – Na tym właśnie został przyłapany. Astaroth rzeczywiście czekał na właściwy moment, lecz zanim zdążył w pełni zrealizować swe zamiary, Elias Bram uświadomił sobie, że wydarzeniami dyryguje jeden niegodziwy umysł. Zdemaskowaliśmy więc Astarotha i zdołaliśmy pokrzyżować część jego planów. Teraz będzie mądrzejszy. Będzie działał szybciej, o ile zdoła.

Doktor Rasmussen pokręcił na te słowa głową.

– O ile zdoła. To nie byle co. Nie mamy nawet dowodu na to, że Demon jest w stanie przyjąć ludzką postać.

– Na to akurat mamy dowód – przerwała Dama Mako i przejechała ostro zakończonym paznokciem po stole. – Widziałam go.

W sali zapadła martwa cisza. Max usłyszał, jak zgrzytnęły paznokcie Damy Mako, kiedy złożyła wychudzone dłonie w gwałtownym, jakby błagalnym geście.

– Dwa tygodnie temu złożył nam wizytę – rzekła. – Może powinniśmy były rozesłać o tym wieści, lecz uznaliśmy, że mądrzej będzie zaczekać i przekonać się, czy Rowan dotrzyma słowa i wypełni przysięgę Brama. Demon przybył do nas, kiedy zebrałyśmy się przy ogniu na naradę.

– Po co przyszedł? – spytała pani Richter ostrożnie. Jej twarz niezwykle poważna była koloru popiołu.

– Pozdrowić nas – odparła Dama Mako. –

Przypomniał nam o tym, że darzył szacunkiem naszych przodków. Powiedział, że chciałby utrzymać w mocy zawarte niegdyś między nim a nami zawieszenie broni. Jego sługi przywiozły nam wiele darów – klejnoty, skóry zwierząt i olej na zimę.

– Spodziewam się, że ich nie przyjęłyście – powiedziała pani Richter.

– Ha! Nie jesteśmy tak bogate jak wy tutaj – roześmiała się wiedźma. – Oczywiście, że przyjęłyśmy! I przyjmujemy więcej pod warunkiem, że dostaniemy je za darmo i że Demon zostawi nas w spokoju!

– On niczego nie daje za darmo – odparła pani Richter. – By odwiedzić szacowne wiedźmy, trzeba przebyć długą drogę. Astaroth nie szukał was tylko po to, by was szczerze obdarować i złożyć wyrazy szacunku.

Dama Mako z uwagą przysłuchiwała się słowom pani Richter. Potem naradziła się krótko z towarzyszącą jej zasuszoną wiedźmą i wodząc płonącym wzrokiem po twarzach zebranych w sali polityków, agentów i mistyków, wykrzyknęła:

– Demon pożąda księgi, której niegdyś poszukiwał! Tej samej księgi, którą Bram zabrał od nas i dla której powierzył nam te oto Błogosławione Dzieci. Poszukuje Księgi Thotha.

– A dlaczego Demon miałby jej poszukiwać? – zapytał doktor Rasmussen.

Dama Mako spojrzała na przedstawiciela Warsztatów frankfurckich piorunującym wzrokiem.

– Wszystko ma swoje prawdziwe imię – wychrypiała.
– Każdy człowiek, ptak, zwierzę i kwiat ma takie imię. Imię to jest tajemne. Ono nadaje rzeczom kształt i ducha oraz wiąże je z tym światem. Legenda mówi, że Księga Thotha jest niczym innym, jak tylko zapisem wszystkich prawdziwych imion wszystkich rzeczy od początku świata.

Jesper Rasmussen zadrwił głośno:

– Coś takiego jak książka telefoniczna? Spis wszystkich prawdziwych imion w historii? A jaką to może mieć wartość?

I klepnął Mamuszkę, by podała mu jeszcze jedną kawę.

Dama Mako chmurnie spojrzała na wysokiego, chudego mężczyznę, patrzącego z pogardą zza okularów w metalowych oprawkach.

– Jest bezcenna dla tego, kto potrafi ją rozszyfrować – odparła powoli. – Jeśli posiada się właściwe zaklęcia, znajomość prawdziwego imienia rzeczy lub bytu daje pełną władzę nad tą jednostką. Górę, człowieka czy nawet myśl można przekształcić, zniewolić lub zmieść z tego świata tak, jak gdyby nigdy nie istniała. W Księdze Thotha zapisane są wszystkie wzorce przeszłości, teraźniejszości i przyszłości tego świata.

– Ach, więc to coś w rodzaju DNA, tak? – zakpił znowu Rasmussen z błyskiem w oku. – Trochę tego, trochę owego i możemy przekształcić świat w to, co nam się podoba? Jak cudownie!

– Niemądry człowieku – rzuciła wiedźma. – Jeśli Astaroth zdobędzie księgę, będziemy całkowicie zdani na jego łaskę i niełaskę.

– A więc to broń – podsunął Rasumussen.

– Księga jest tym, czym chcesz, aby była – odparła cicho Dama. – Zawiera tajemnice życia, śmierci i czasu, doktorze. Rozumie pan?

Max próbował wyobrazić sobie coś takiego, ale nie potrafił. Zerknął na Davida, który bardzo uważnie śledził rozmowę, pijąc drugą filiżankę kawy. Doktor Rasmussen obdarzył wiedźmę kwaśnym spojrzeniem i zdawał się rozważać kilka odpowiedzi.

– Ba! – wykrzyknął wreszcie, zdejmując okulary i zabierając się do wycierania szkieł ściereczką. – Któż widział tę księgę lub próbował jej użyć? Nikt nie potrafi jej odczytać, a jednak ma ona moc zniweczyć nasze życie, zmienić nasze losy? Cóż za cudowne udogodnienie dla tego, kto ją zdobędzie. Wystarczy tylko potrząsnąć paroma stronicami przed nosem wrogów, a już się zlecą pod twoje sztandary, ze strachu, że wykreślisz ich z listy istot żywych? Nic dziwnego, że Astaroth chce wiedzieć, gdzie ona jest! Ta księga jest jak zły duch, który straszy nawet wysoko postawionych i potężnych! Nie sądzę, pani dyrektor, by pani wierzyła w istnienie tego dzieła!

Pani Richter spokojnie czekała, aż Mamuśka napełni kubek Rasmussena. Kiedy wreszcie przemówiła, jej słowa były wyważone, a ton spokojny.

– Nie mam wątpliwości co do tego, że księga

rzeczywiście istnieje, że należy się jej obawiać i że znalazła się w niebezpieczeństwie. Jeśli chodzi o dwie pierwsze sprawy, to ufam przekazom historycznym i ostrzeżeniom Eliasa Brama. Jeśli chodzi o trzecią – podpieram się słowami Damy Mako i odkryciami naszego ucznia Davida Menlo. Doktorze Rasmussen, czy słyszał pan o opowieściach księcia Neferkeptah?

– Nie, nie słyszałem – westchnął Rasmussen i potarł ręką skroń.

– Był to ostatni ze śmiertelników, który miał księgę w posiadaniu. Księga go zniszczyła. Astaroth jednak nie należy do śmiertelników i jestem przekonana, że trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy, by księga nigdy nie trafiła w jego ręce.

– Więc gdzie dokładnie znajduje się teraz to straszne dzieło? – spytał jeden z ministrów brytyjskich.

– O to samo miałem zapytać – dodał jakiś senator.

– Nie wiem – odparła pani Richter.

– Dlaczego więc tracimy czas, rozprawiając o tym? – zdenerwował się rosyjski urzędnik. – Mam samoloty, które stoją na lotniskach, bo nie ma paliwa. Ktoś lub coś zerwało tysiące kilometrów torów kolejowych, a ja mam rozprawiać o jakiejś książce? Książce, która nie wiadomo nawet, gdzie się znajduje?

– Zdaję sobie sprawę, że wszyscy mamy troski wymagające natychmiastowej interwencji – odezwała się pani Richter. – Lecz jeśli Astarothowi uda się zdobyć księgę, nasze obecne zmartwienia będą się nam wydawać

naprawdę trywialne.

– Dobrze – rzekł doktor Rasmussen. – Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby Astarothowi udało się zdobyć księgę. Było nie było, to wasi ludzie mieli ją w posiadaniu jako ostatni, a nawet wy sami nie wiecie, gdzie może być.

Rasmussen wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, dopóki pani Richter gestem nie pokazała Davidowi, żeby wystąpił. Kolega Maksa stał się obiektem uwagi setek osób, lecz niespeszony powoli podszedł do pani dyrektor i zajął miejsce obok niej.

– Panie i panowie, pozwólcie, że przedstawię Davida Menlo. To jemu musimy podziękować za odnalezienie i rozszyfrowanie kilku listów Brama na ten temat. Kiedy Bram ukrył księgę, tajemnicę tym, gdzie się znajduje, powierzył jednej osobie. Był nią Marley Augur, członek rady zarządzającej naszej szkoły. Zatrważa mnie fakt, że Augur zdradził naszą organizację i rok temu odegrał fundamentalną rolę w uwolnieniu Astarotha. Musimy zatem zakładać, że Astaroth poznał wszystkie sekrety Augura. W listach Brama David odkrył natomiast dalsze dowody na to, że księga jest zagrożona.

Pani Richter poleciła obsłudze przygasić nieco światła, a David rozpiął górne guziki koszuli i sięgnął po talizman, który wisiał na łańcuszku na jego szyi. W ciemnej sali talizman zaświecił jak płomień, o wiele jaśniej niż wtedy, gdy Max widział go ostatnio.

– Jeszcze przed zdradą Marley Augur wykonał ten oto talizman, który miał ostrzec Brama, jeśli księga

byłaby zagrożona. Odkąd go odnaleźliśmy, codziennie świeci coraz jaśniejszym światłem.

Max wpatrywał się w talizman bujający się swobodnie na palcu kolegi. W sali zapadła cisza.

– Sytuacja jest poważna – spokojnie powiedziała pani Richter. – Zagrożone są nie tylko organizacje i państwa, których przedstawiciele zgromadzili się w tej sali, ale każdy mężczyzna, kobieta dziecko na ziemi. Musimy zebrać wszystkie dostępne siły i musimy działać już. Chciałabym teraz poprosić wszystkich zgromadzonych, którzy nie siedzą przy stole, o opuszczenie sali, aby starsi członkowie rady mogli podjąć decyzje o trybie postępowania.

Max poczuł, że znaczy tyle, co pyłek na wietrze, kiedy wraz z Davidem i tatą został wyproszony z sali wraz z obsługą, agentami, uczonymi i niższymi rangą urzędnikami. Stracił orientację wśród zapachu wilgotnych ubrań, poważnych rozmów zszokowanych urzędników i błysków oczu wiedźm, które także wyszły z sali. Kiedy znaleźli się na korytarzu, okazało się, że czeka na nich Nigel. Wyglądał, jakby z trudem hamował łzy.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzekł, bezradnie składając ręce. – Szczerze, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może dojść do czegoś takiego. Tak mi przykro, Scott.

Pan McDaniels kiwnął głową, przyjął wyciągniętą rękę Nigela i uścisnął ją. Kruchy blondyn wyjął z kieszeni marynarki jedwabną chustkę i wydmuchał nos. Potem

zaśmiał się dla rozładowania sytuacji i przetarł chustką oczy.

– Może mógłbym chociaż pomóc wam się pakować?
– zapytał. – Będzie różnie. I wysłałbym chętnie jakiegoś agenta po ciasteczka Braci Bedford...

– To miło z twojej strony – uśmiechnął się Max i przypomniał sobie tę dziwną, a zarazem wspaniałą noc, kiedy testy Nigela potwierdziły jego wyjątkowe zdolności. – Spotkamy się w naszym pokoju. Muszę tylko iść po Nicka.

– Max, nie sądzę, by to było możliwe – wtrąciła panna Boon, stojąca z tyłu. – Nick i Maya to bardzo rzadkie okazy. Być może nawet ostatnie w swoich gatunkach. Nie mogą z wami odejść.

Max raptownie odwrócił się w stronę młodej nauczycielki mistyki, która przyjęła jego rozwścieczone spojrzenie ze spokojnym dystansem.

– Myślałem, że my też należymy do rzadkich okazów – syknął.

Kilku stojących obok uczonych i dyplomatów, widząc zamieszanie, przerwało rozmowy. Panna Boon uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Max, decyzja pani dyrektor jest dla mnie ciosem – odezwała się kojącem tonem – lecz i ja byłam zaangażowana w prace nad zbadaniem klątwy, jaka spadłaby na nas, gdybyśmy nie wywiązali się z przysięgi Brama. Bardzo mi przykro.

– Nie ma sprawy – warknął Max, ignorując fakt, że

Nigel delikatnie ciągnie go za rękaw. – Ale nie ruszymy się stąd bez Nicka i Mai. My również złożyliśmy przysięgę, prawda?

– Porozmawiam z panią dyrektorką – obiecała panna Boon. – A teraz możecie zacząć się zbierać. Niestety nie wolno wam rozmawiać o dzisiejszym spotkaniu z nikim z uczniów. Dotyczy to również sprawy waszego jutrzejszego wyjazdu.

– Ma pani na myśli to, że nie możemy pożegnać się z kolegami? – zapytał David.

– Bardzo mi przykro – odparła panna Boon, unikając jego wzroku. – Biorąc pod uwagę bardzo delikatną sytuację, to wykluczone.

– Delikatną? – prychnął pan McDaniels. – Trzeba mieć spory tupet, żeby użyć tego słowa.

Panna Boon wyprostowała się i z godnością skinęła głową całej grupie.

– Nigel, mam nadzieję, że odprowadzisz Maksa i Davida do pokoju. Dobranoc i powodzenia.

– Do widzenia, panno Boon – cicho odparł Max i zwiesił głowę. Nagle jego złość całkiem wyparowała. Zastąpiła ją fala smutku.

Młoda nauczycielka mistyki odeszła korytarzem, rozpraszając po drodze grupki podekscytowanych uczonych oraz ochroniarzy o szerokich karkach.

Tego wieczoru Max obserwował, jak Nick sięje spustoszenie w torebce kruchych ciasteczek Braci

Bedford, a Nigel i pan McDaniels usiłują domknąć przeładowane walizki. Davida wciąż nie było – poszedł do Archiwum oddać kilka magicznych ksiąg, a potem do Sanktuarium pożegnać się z Mayą. Mimo że pani Richter wyraziła zgodę, by podopieczni odeszli wraz z nimi, David zdecydował, że Maya powinna zostać. Osądził, że delikatna i krucha ulu nie jest przystosowana do życia w górskich obozach wiedźm.

Wrócił już po północy. Wyglądał na zmęczonego i smutnego. Nie zwracał uwagi na wysiłki Nigela, który za wszelką cenę starał się go rozśmieszyć. Poszedł po prostu się pakować – składał ubrania i chował lekarstwa do plastikowych torebek.

Godzinę później Max siedział przy kominku i słuchał, jak jego tata z bolesną wręcz dokładnością opisuje Nigelowi po kolei każde zdjęcie w ich rodzinnym albumie fotograficznym. Powieki Nigela już opadały, kiedy chłopcu wydało się, że słyszy, jak na górnym poziomie otwierają się drzwi do ich pokoju. Zerknął na Davida, lecz kolega walczył teraz z resztą książek, które zamierzał wziąć ze sobą, choć jego magiczny plecak i tak był już wypchany do granic możliwości.

– Słyszałeś? Drzwi się otworzyły – szepnął.

Nigel mrugnął i z ulgą oderwał wzrok od albumu. – Co mówiłeś? – spytał.

– Chyba ktoś jest na górze – wyjaśnił Max.

Nigel zmarszczył czoło, zeskoczył z kanapy i podszedł do schodów.

– Co, na niebiosa, pan tu robi? – spytał, zwracając się do kogoś, kto stał na podeście powyżej.

Max zauważył wysoką, chudą jak szkielet postać Jespera Rasmussena schodzącego właśnie ze schodów.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – ostro powiedział Nigel.

Doktor Rasmussen wyciągnął z kieszeni płaszcza wąski pistolet i skierował lufę w Nigela. Broń nie wydała prawie odgłosu, lecz Max usłyszał stłumiony, zdziwiony okrzyk mężczyzny i zobaczył, że Nigel osuwa się na ziemię. Zszokowana i przerażona grupka wpatrywała się w małą kropelkę krwi, która pokazała się na koszuli Nigela nad jego sercem i rozszerzała się z każdą sekundą, przypominając otwierającą płatki pąsową różę.

Max skoczył na nogi.

– Nie bądź głupcem – ostrzegł go cicho Rasmussen. Max podążył za jego wzrokiem i dostrzegł małą kropkę czerwonych promieni, skupionych na czole pana McDanielsa. – Wiem, że jesteś szybki, ale zanim zdążysz mnie dotknąć, zastrzelę twego ojca. Jeśli ty i David nie będziecie stosować się do moich wskazówek, zginie. Zrozumiałeś?

David kiwnął głową. Usta miał szeroko otwarte ze strachu i zdziwienia. Max po prostu gapił się na Rasmussena, którego ze złości widział ostrzej niż zwykle. Odwrócił wzrok od triumfalnego, pogardliwego uśmiešku doktora i przeniósł go na bezwładne ciało rozciągniętego na podłodze Nigela. Ręce zaczęły mu się

trząść.

– Max – jęknął jego ojciec – błagam, nie.

– Bardzo mądrze z pana strony – odezwał się Rasmussen. – Jak na razie udało się panu ocalić życie syna. Jeśli pragnie pan dalej pozostać wśród żywych, musi pan podejść bliżej.

Tata Maksa kiwnął głową i na sztywnych nogach podszedł do chudego jak patyk oprawcy o ciężkich powiekach. Okrągła twarz McDanielsa błyszczała od potu. Uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Proszę tylko nikogo nie krzywdzić – poprosił. – Nie ma potrzeby nikogo krzywdzić.

– To ja o tym decyduję – warknął Rasmussen. – Proszę to połknąć.

Z kieszonki na piersi wyjął mały, srebrny krążek i rzucił go w stronę McDanielsa. Ojciec Maksa złapał go, zdezorientowany.

– Co to? – zapytał, podejrzliwie przyglądając się krążkowi.

– Pańskie lekarstwo – wyjaśnił Rasmussen. – Proszę być grzecznym i to połknąć. Ma pan trzy sekundy.

– Tato, nie! – wykrzyknął Max. – To trucizna!

Czerwona wiązka promieni znów powędrowała na czoło Scotta McDanielsa. Rasmussen zaczął liczyć.

– Trzy... dwa...

– Tato!

McDaniels przymknął oczy i połknął metalową kapsułkę. Skrzywił się, bo nie chciała mu przejść przez

gardło. Po paru sekundach złapał oddech:

– Ono coś ze mną robi!

– Owszem – odparł Rasmussen, kiwając głową. – Dyskomfort jednak szybko minie. Proszę uważnie słuchać tego, co mam do powiedzenia. Panie McDaniels, połknął pan ładunek wybuchowy. W tej chwili związuje się on z tkanką wyściełającą pański żołądek po to, by nie można go było wydalić ani usunąć, nie zabijając pana w wyniku takiej operacji. Ładunek jest zaprogramowany tak, że detonacja nastąpi wówczas, gdy z komputera w moim mózgu nie zostanie wysłany specjalny kod wstrzymujący ją o dwie minuty. Jeśli nie będę mógł lub chciał co dwie minuty wysyłać kodu, umrze pan. Na pańskie szczęście jestem rozsądny. Będę w dalszym ciągu pana oszczędzał, pod warunkiem, że wy, chłopcy, wykonacie moje polecenia co do słowa. Zrozumiano?

– Tak – odparł pan McDaniels. Cały ociekał potem i nagle zebrało mu się na wymioty.

– Ale co z Nigelem? – zapytał, spoglądając na bezwładne ciało egzaminatora.

– Już po nim – mruknął doktor. – A do tego mamy mało czasu. Max i David, macie zapakować tylko tyle, ile dacie radę nieść. Same ciepłe rzeczy. Szybko. Wychodzimy za pięć minut.

– Ale co z moim tatą? – jęknął Max. – Jemu też potrzebne będą jakieś rzeczy.

– Zobaczymy – Rasmussen wzruszył ramionami. – Czas leci, młody przyjacielu.

Trzy minuty później Max i David stali już gotowi, ciężko dysząc, z plecakami wypchanymi wełnianymi swetrami, skarpetami i flanelową bielizną. Rasmussen głową wskazał Nicka, którego lśniąca postać przycupnęła za donicą z palmą.

– To ciekawe – rzekł z miną, jakby oglądał coś przez mikroskop. – Lymrilla też weźcie – dodał, sięgając ręką do kieszeni. Wydobył z niej złożoną w kostkę płachtę z dziwnego, połyskliwego materiału. Zwinnym ruchem nadgarstka rozłożył ją – była wielkości ogromnego prześcieradła. Niemal w tej samej chwili zniknęła, jakby stała się zupełnie przezroczysta.

– To urządzenie, które łamie widzialne spektrum światła – wyjaśnił Rasmussen. – Dzięki niemu staniemy się niewidzialni, wychodząc ze skrzydła mieszkalnego. Kiedy zejdziemy na dół, do holu, ja będę widzialny i opuszczę budynek jak zwykle. Kiedy zaś mój kierowca otworzy drzwi do samochodu, wy wskoczycie szybko przede mną. Urządzenie, którym się okryjemy, tłumi również dźwięki, lecz wierzcie mi, proszę, że i tak dowiem się, jeśli spróbujecie krzyknąć, zasygnalizować coś czy uchylić się w jakikolwiek sposób od wykonania planu. Konsekwencje będą oczywiste i natychmiastowe.

Kilka minut później szli już szybko korytarzem, przyciśnięci do ściany przeciwnej, niż ta, pod którą stało i gadało dwoje uczniów z trzeciego roku. Pazury Nicka wpiły się boleśnie w pierś Maksa. Zdezorientowany lymrill trząśł się i mocno przywierał do ciała opiekuna.

Max zacisnął zęby i ze wszystkich sił trzymał swego podopiecznego za nasadę ogona, by pohamować jego ruch i grzechotanie. Dziwna ta procesja poruszała się naprzód w trwodze, wstrzymując niemalże oddech, aż zeszła na dół po schodach. Wtedy doktor Rasmussen ostrzegawczym gestem podniósł palec do ust, wysunął się spod płachty i poszedł dalej, w stronę Mamuśki, która mrużąc sobie coś pod nosem, zmywała terakotę zamaszystymi pociągnięciami mopa. Zerknęła na doktora, który skierował się w stronę drzwi.

– O, dzień dobry panu – rzuciła uprzejme powitanie.

Rasmussen zerknął na nią przelotnie, jakby była czymś równie nieważnym jak paproch, który trzeba strząsnąć z ubrania.

– Jesteś wiedźmą posługującą, czy tak? – spytał sucho, otwierając podwójne drzwi.

– Tak, proszę pana. Ja i moja siostra – odparła Mamuśka, pociągając gwałtownie nosem, jakby nagle dostała kataru. Na chwilę przerwała i spytała: – Czy mogę coś dla pana zrobić?

– Tak – odpowiedział Rasmussen, zatrzymując się przy otwartych drzwiach, podczas gdy David, Max i jego tata przez nie wychodzili. – Naucz się parzyć porządną kawę.

Tymi słowy Rasmussen zakończył konwersację, zamknął za sobą drzwi i zbiegł po schodach, mijając Maksa i resztę. Na podjeździe czekała już czarna, elegancka limuzyna, a przy jej tylnych drzwiach stał

umundurowany kierowca. Max wstrzymał oddech, gdy zza Domostwa wyłoniła się jak gdyby nigdy nic para agentów.

– Już pan odjeżdża, doktorze Rasmussen? – spytał jeden z nich.

– Niestety – odparł doktor – na mnie pora. – I gestem wskazał kierowcy, by otworzył drzwi.

– Nie chce się pan zobaczyć z panią dyrektor? – spytał drugi. – Chyba nie wiedziała, że planuje pan wyjazd dziś wieczorem.

Doktor Rasmussen obdarzył agentów lodowatym uśmiechem i zatrzymał się na chwilę przy otwartych drzwiach samochodu. Max, David i pan McDaniels wcisnęli się do limuzyny przed nim, siadając jeden na drugim, bo na głębokich, skórzanych fotelach trudno było szybko się usadowić.

– Proszę nie przerywać pani dyrektor – rzekł Rasmussen z nutą lekceważenia w głosie, jak człowiek, który ma ważniejsze sprawy na głowie. – Jest bardzo zajęta, ja też jestem zajęty, no i czasy nie należą do spokojnych. Jutro się z nią skontaktuję. Dobranoc, panowie.

Rasmussen wślizgnął się do środka. Kierowca zatrzasnął drzwi. Sadowiąc się na fotelu, Max przez moment ujrzał Mamuśkę, która stała na frontowych schodach Domostwa, wsparta na mopie, ze zdezorientowaną miną. Limuzyna odjechała.

„Mamuśka wie, że tu jesteśmy” – pomyślał Max.

Przypomniał sobie, jak w holu nagle zaczęła węszyć. Jej nos był czulszy niż powonienie psa myśliwskiego! Max zerknął na siedzącego sztywno jak kołek tatę. Do Mamuśki zbliżyło się dwóch agentów. „O Boże – jęknął w myśli Max i serce mu załomotało. – Mamuśko, nie wzniecaj alarmu!”. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć, lecz limuzyna znalazła się za fontanną i stracił wiedźmę z pola widzenia.

– Zostać pod płachtą, dopóki nie wyjedziemy za bramę – mruknął Rasmussen i zerknął na zegarek z uśmiechem zadowolenia. – Jesteśmy o czasie... dobrze, dobrze...

Samochód objechał rozległy podjazd i pomknął w stronę oceanu, gdzie, jak powietrzna kurtyna, wisiała mgła usnuta przez Davida. Max wykręcił szyję, by jeszcze raz zerknąć na ciepłe, żółte światła w oknach Domostwa, Starego Toma i Maggie. Po chwili zniknęły za ścianą lasu, do którego wjechała limuzyna, by przez masywną bramę opuścić teren szkoły otoczony grubym kamiennym murem.

– Dokąd nas pan zabiera? – spytał Max, wpatrując się w Rasmussena.

– Cicho bądź – mruknął doktor, pisząc coś na klawiaturze ustawionego na kolanach laptopa.

Parę minut później limuzyna zatrzymała się przed białym drewnianym kościółkiem na peryferiach miasteczka Rowan. Rasmussen kazał im wysiąść. Max zauważył, że choć kierowca zgasił światła, to nie wyłączył

silnika.

– Szybciej – rzucił doktor. – Ktoś może nas śledzić.

Poprowadził ich ścieżką wokół kościoła na mały cmentarzyk. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął niewielki, metalowy krążek, który umieścił u podstawy zniszczonego kamienia nagrobnego.

– Poczekać tutaj – polecił. – To jest automatyczny detonator, precyzyjnie ustalający lokalizację obiektu. Jeśli pan McDaniels przesunie się o więcej niż dziesięć metrów, ładunek w jego żołądku wybuchnie. Jasne?

– Tak – rzekł Max, zajmując miejsce między Rasmussenem a ojcem. – A co mamy robić?

– Czekać tu – odparł doktor i rzucił długie spojrzenie w stronę Nicka. – Ktoś po was przyjdzie. Teraz muszę już iść. Daj mi lymrilla.

Max cofnął się o krok. Nick zaczął się kręcić w ramionach chłopca. Jego kolce zeszywniały.

– Proszę go nie dotykać – ostrzegł Max.

– Nie masz tu nic do gadania – mruknął zamyślony doktor i wyciągnął dłoń w ochronnej rękawicy.

Nick poruszył się błyskawicznie. Jego pazury załśniły przez moment w świetle księżyca. Rasmussen zaklął, a na trawę zaczęła kapać krew. Doktor złapał się za rękę rozharataną od nadgarstka po łokieć.

– Durne zwierzę! – syknął. Pogrzebał w kieszeni płaszcza i wyciągnął jakieś nieduże urządzenie, które łagodnie brzęczało, kiedy przesuwiał je nad raną. Krew szybko przestała lecieć.

– To nie jego wina – szepnął Max. – Proszę nie robić mu krzywdy.

Napięta twarz doktora wykrzywiła się w złym grymasie. Rasmussen powoli odzyskał panowanie nad sobą. Rana na jego przedramieniu zasklepiła się na podobieństwo zamykającego się suwaka. Doktor wstał i obrzucił lymrilla nienawistnym spojrzeniem.

– Nigdzie nie odchodźcie – rzekł lodowatym tonem i odszedł ścieżką prowadzącą wokół kościoła. Max usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu i oddalający się warkot silnika. Zostali sami.

– Tato – Max odwrócił się do ojca – nie oddalaj się od tego czegoś!

Pan McDaniels postąpił według polecenia syna – wsparł się ciężko na kamieniu nagrobnym i złożył ręce na brzuchu. Max przekazał Nicka Davidowi i podszedł do taty.

– Wszystko będzie w porządku – uspokajał go, ścierając krople potu, które co chwilę występowały na jego czoło. – Coś wymyślimy, żeby to z ciebie wyjąć.

Pan McDaniels jęknął i ścisnął syna za rękę.

– Biedny Nigel – powiedział pod nosem David. Pogłaskał Nicka i postawił go na ziemi, gdzie lymrill zwinął się w kłębek i zaczął skubać ogon.

Max starał się zignorować słowa Davida. Wszystko, co się wydarzyło, tak go oszołomiło, że nie potrafił skupić myśli na niczym poza tym, co się działo tu i teraz. David pociągnął nosem i pochylił się nisko nad grobem, by

przyjrzeć się dziwnemu okrągłemu przedmiotowi pozostawionemu tam przez Rasmussena.

– Nie dotykaj – syknął Max i odsunął kolegę.

– Nie dotykam – odparł David. – Ja tylko...

Trzask łamanej gałązki przerwał mu w pół słowa.

Max odwrócił się w stronę szpaleru brzoź rosnących zaraz za ogrodzeniem cmentarza. Coś zza nich wyjrzało, a potem schowało się głębiej w lesie.

– David, zostań tu z moim tatą – rozkazał Max ledwie słyszalnym szeptem i delikatnie popchnął ojca, żeby schował się za nagrobek. Wyprostował się i wolno podszedł do drzew.

– Kto tam? – zawołał, wypatrując jakiegoś ruchu między pniami.

Cisza.

Max podszedł do ogrodzenia i świdrował wzrokiem ciemność. Natrafił na parę mrugających, zdziwionych oczu. Błyskawicznym ruchem przesadził płot i zanurkował między drzewa, by dopaść krępej postaci, która wrzasnęła i upadła na ziemię.

– Nie rób mi krzywdy! – jęknął znajomy głos.

Max przetoczył postać na plecy i zmrużył oczy, ze zdumieniem wpatrując się w wijące się pod nim ciało.

Była to Mamuśka.

– Co tu robisz? – sapnęła i pomógł wiedźmie wstać.

Ta wytrząsnęła z włosów liście i podniosła z ziemi zgnieciony wiklinowy kosz.

– Chciałam się dowiedzieć, co tu robicie. –

Wciągnęła powietrze i cisnęła zniszczony koszyk w krzaki. – Wyczułam ciebie, twojego pysznego tatusia i to coś ohydneho, co się wymknęło razem z niedobrym człowiekiem. Mamuśka chciała się dowiedzieć, co to za tajemnica.

Max zniżył się, by spojrzeć wiedźmie w oczy.

– Ktoś wie, że tu jesteś? – spytał, chwytając ją za ramiona.

– Strażnicy przy bramie – mruknęła z wahaniem. – Eee, ale myślą, że wybrałam się na grzybki.

– Często wychodzisz z Rowan na grzyby? – spytał Max w panice.

– Nie tylko na grzyby – przyznała Mamuśka, wpatrując się w swoje paznokcie. – Lubię się też schować i powęszyć tu i ówdzie za turystami. Co roku są coraz tłusciejsi...

Max jęknął i wypuścił ją.

– Mamuśka, wracaj szybko do domu i nikomu nic nie mów – westchnął i skierował się z powrotem w stronę cmentarza. – Obiecujesz?

– Nie! – wrzasnęła, idąc za nim. – Widziałam, że macie bagaże! Jedzicie gdzieś na wycieczkę i ja chcę jechać z wami!

Max zlekceważył ją i bez wysiłku przeskoczył przez ogrodzenie. Wiedźma chrząknęła i przerzuciła ciało na drugą stronę, przetaczając się jak beczka i padając z trzaskiem w chwasty po drugiej stronie.

– Kto to? – spytał David, wystawiwszy głowę zza

nagrobka.

– To ja, ty wstrętne, przebrzydłe stworzenie – syknęła Mamuśka, idąc krok w krok za Maksem, który nadal ją ignorował. – Przydałyby mi się wakacje, więc jadę z wami.

– Ale my nie jedziemy na żadne wakacje – zdecydowanym tonem poinformował Max.

– Naprawdę? – zapytała, dotykając plecaka Davida stopą w masywnym buciorze. – To co właściwie robicie?

– Nie wiemy – odparł Max, na dobre rozzłoszczony. – Mamy tu czekać, nie możemy się stąd ruszyć, bo inaczej mojemu tacie może się stać coś złego. A od kiedy ty jeździsz na wakacje?

Mamuśka zamilkła. Oczy jej zaszyły łzami.

– Nigdy nie musiałam jeździć na urlop – powiedziała roztrzęsionym głosem – dopóki ona kompletnie nie zrujnowała mi życia!

– Kto ci zrujnował życie? – wychrypiał pan McDaniels, który usiłował podnieść głowę znad tłustych włosów wiedźmy, bo łaskotały go strasznie w nos.

– Jak to kto? Bellagrog! – zaskrzeczała Mamuśka i zaczęła zapalczywie drapać się po zalanych łzami policzkach. – To ona wszystko zniszczyła! – załkała znowu i wtuliła się w pana McDanielsa, próbując ukryć twarz pod jego pachą.

– Próbowłaś z nią o tym porozmawiać? – spytał David.

– Rozmawiać? Z nią? – Mamuśka raptownie

podniosła głowę i przewróciła oczami, by spojrzeć na Davida. – Z nią się nie da rozmawiać. Ona nie słucha. I nie można się jej pozbyć, co gorsza! Wszystko wywachuje, wszystkie moje pułapki i trucizny, wstrętne babsko!

– Mamuśka, ty próbowałaś otruć własną siostrę? – spytał Max z niedowierzaniem.

– Ech, takimi tam ludzkimi truciznami – odparła wiedźma z pogardliwym niuchnięciem. – Jeśli tylko zeszlaby mi z drogi, wszystko wróciłoby na swoje miejsce. Tylko ja, Bob i twój tatuś, wszyscy weseli i zadowoleni, bez żadnego robienia ze mnie pośmiewiska!

Po tych słowach Mamuśka pogrzyła się w jeszcze rzewniejszym łkaniu, przerywanym tylko nagłą potrzebą pozbycia się zalegających w trzewiach gazów.

– O mój Boże – jęknął pan McDaniels, który w dalszym ciągu – usiłował wyswobodzić się z uścisku wiedźmy.

– Taaaa – zamyśliła się Mamuśka i zaczęła intensywnie węszyć. – Będę chyba musiała iść do lasu coś przekąsić.

– Idź, idź – zachęcił ją Max, który przez cały czas starał się oderwać jej ciało od ojca. Uważał przy tym, by przypadkiem nie potrącić urządzenia do detonacji. Gdy Mamuśka zniknęła z pola widzenia, Max nachylił się nad ojcem i Davidem.

– Musimy się jej pozbyć – szepnął. – Mogłaby ci coś zrobić, tato.

Pan McDaniels kiwnął głową.

– Żal mi jej – rzekł David obronnym tonem.

– Nic jej nie będzie – usłyszeli jakiś męski głos.

Max okręcił się na pięcie. Tuż przy kościele stał Cooper, ubrany cały na czarno, z dużym plecakiem na plecach. Obok niego zaś panna Boon owinięta ciemnym szalem. Oboje podeszli ostrożnie, od czasu do czasu oglądając się na drogę.

– Co tu robicie? – spytał Max. Ogarnęła go gorąca fala ulgi, a zarazem zdumienia.

– Ratujemy was – odparła panna Boon sucho. Uklękała przy urządzeniu Rasmussena.

– Proszę tego nie dotykać – syknął Max. – To...

– Wiem, co to jest – odparła – i twojemu ojcu nic nie grozi.

Zanim Max zdążył coś jeszcze powiedzieć, panna Boon przycisnęła błyszczący w ciemnościach wyświetlacz urządzenia, który zaczął stopniowo przygasać, aż zrobił się zupełnie ciemny. Pan McDaniels ciężko odetchnął. Nie krył ulgi.

– Czy już po wszystkim? – spytał. – Czy to, co połknąłem, ciągle może we mnie wybuchnąć?

Cooper przyklęknął obok McDanielsa.

– Połknął pan tylko osłonkę – wyjaśnił spokojnie. – Była pusta. Zostanie u pana w żołądku, ale nie jest szkodliwa.

– A co z Nigelem? – spytał McDaniels z wyraźną ulgą na twarzy.

– Nic mu nie będzie – odparła panna Boon, uśmiechając się pod nosem. – Stracił tylko przytomność i przez jakiś czas poboli go głowa, ale to wszystko.

– Więc o co chodziło Rasmussenowi? – zapytał Max, tuląc w ramionach Nicka.

– Miał was porwać – odpowiedział Cooper.

– Aha – mruknął David. – Świetny pomysł.

– Dlaczego świetny? – wychrypiał tata Maksa.

– Rasmussena nic nie łączy z Rowan – zaczął tłumaczyć David z błyskiem podziwu w oku – i jeśli wbrew naszej woli zabrał nas z terenu szkoły, to pani Richter nie może wziąć odpowiedzialności za to, że Przysięga Brama nie została dotrzymana. Sprytny sposób, by uniknąć klątwy.

– Taką właśnie mamy nadzieję – potwierdziła panna Boon i schowała kciuki w pięści.

W tej samej chwili w pewnej odległości od nich rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Maksowi dreszcz przeszedł po plecach. Krzyk stopniowo przycichał, przybierając raczej ton żalostnej skargi. Z lasu wypadła rozdygotana Mamuśka, podciągając ogromne majty pod kwiecistą suknią.

– Co to było?! – krzyknęła. Oczy miała okrągłe i białe z przerażenia.

– Wiedźmy – cicho odpowiedział Cooper i poprawił uprząż plecaka. – Dowiedziały się, że Max i David zniknęli. Poczekaj tu do świtu, Mamuśko, a potem wracaj do szkoły.

– W życiu tu nie zostanę z tymi wiedźmami! – zaprotestowała. – Albo bierzecie mnie ze sobą, albo wszystkim rozpowiem, co zrobiliście!

Wiedźma w akcie protestu założyła na piersi swe mięsiste ramiona i czekała. Cooper przez chwilę się zastanawiał, a potem rzekł głosem bez wyrazu:

– Nie mamy na to czasu.

Zmiana tonu Coopera zaalarmowała Maksa. Agent doszedł najwyraźniej do wniosku, że Mamuśka przeszkodzi mu w planowym wypełnieniu misji, a każdą przeszkodę należy skutecznie i bez skrupułów usunąć z drogi. Wiedźma parsknęła z uporem, nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa.

– Pójdzie z nami – szybko powiedział Max i zajął miejsce między wiedźmą a agentem.

– Właśnie – potwierdziła Mamuśka i znów parsknęła.
– Ja też jadę pod namiot!

– To nie wycieczka pod namiot – uciał ostro Cooper, spoglądając kątem oka na Maksa. – To operacja Ciemna Materia.

– Oooh! – ucieszyła się Mamuśka i klasnęła w ręce.
– To nawet lepiej!

W tej samej chwili gdzieś nad nimi głośno zakrakał ptak. Max podniósł oczy i zaniemówił z wrażenia.

Na spadzistym dachu kościoła siedziały setki czarnych wron, ściśniętych jedna przy drugiej. Rząd za rzędem świeciły w ciemności oczy i połyskiwały dzioby. Łebki się kiwały, a pazury skrobały o dach. Z każdą

chwilą ptaków przybywało.

– Max i David, plecaki na plecy – szepnęła panna Boon. – Teraz już szybko.

Max zrobił, co mu kazano, nie spuszczał jednak wzroku z ptaków. Cooper pomógł jego tacie się podnieść. Jedna z wron sfrunęła na skraj dachu i kiwając łebkiem, przyglądała im się uważnie. Kiedy zaczęła krakać, Max aż się skrzywił. Sekunda po sekundzie, przyłączały się do niej inne, aż ich przeraźliwe, ogłuszające krakanie szaleńczym chórem wdarło się w noc.

Wtem nagły lodowaty powiew przygiął drzewa do ziemi. Max zamarł, bo od Rowan znów dobiegł do nich mrozący krew w żyłach krzyk.

Wiedźmy nadchodziły.

6

„ERASMUS”

– Isatu! – syknął Cooper i dach kościoła stanął w płomieniach. Oślepiające fale ognia i gorąca buchnęły wysoko w ciemność i pochłonęły stado wron. Kilkanaście z nich zdążyło się poderwać i uciec, szaleńczo machając skrzydłami, podczas gdy reszta smażyła się na stosie palonego mięsa i piór. Dach zaczął skrzypieć, aż w końcu się zawalił, a iskry wzleciały wysokim słupem niczym robaczki świętojańskie.

– No i co ty zrobiłeś? – pan McDaniels nie wierzył własnym oczom. – Przecież to je tu od razu ściągnie!

– Te wrony to ich pomocnice – mruknął Cooper. – Każda wiedźma widzi również oczyma swojej pomocnicy. Nie możemy dopuścić, by nas śledzono.

Ledwie agent skończył mówić, dookoła rozległy się potworne krzyki, przerażające wycia wściekłości, bólu i rozpacz. Mamuśka zatkała uszy rękami i trzęsąc się, upadła na kolana. Mocno wystraszony David uczeplił się rękawa Coopera.

– Cooper, jeśli każda z wron to pomocnica, w takim razie...

– W takim razie wokół nas są setki wiedźm – potwierdził agent z powagą. – Musimy ruszać. W tej chwili.

Max biegł przy boku taty. Cała grupa przemykała pod kierunkiem Coopera przez las w stronę wybrzeża, omijając Rowan. Nick trzymał się Coopera, choć od czasu do czasu stawał i posyłał swemu opiekunowi zdziwione spojrzenie. Max natomiast nie oddalał się od ciężko dyszącego taty. Tyłów pilnowała panna Boon, pospieszając Davida i Mamuszkę. Biegli jakąś krętą dróżką, gałązki, drapały ich po twarzy, pod stopami szeleściły liście. Wierzchołki drzew poruszały się na wietrze.

Po dwóch kilometrach biegu pan McDaniels zatrzymał się i ciężko oparł o pień starej brzozy. Daleko za nimi w lesie słyhać było zatrważające wrzaski. Maksa ogarnęła panika. Złapał tatę za rękę.

– Tato – poprosił – no, chodź.

– Nie mogę – zaświszczał pan McDaniels. Zamknął oczy i zaczął mocno kasłać. – Nie mogę już dalej biec. Idźcie.

– Nie! – krzyknął Max i pomachał na Davida i Mamuszkę. Panna Boon zatrzymała się i uklękła przy panu McDanielsie.

– Nie możemy tu stanąć – wy dyszała.

– Ja muszę – zaprotestował tata Maksa i z rezygnacją pokręcił głową. Powoli uniósł wzrok, lecz zdawało się, że nie widzi panny Boon, tylko patrzy przez nią na wylot gdzieś daleko w las. Nagle oczy mu się rozszerzyły. Dziesięć metrów za nimi stała wiedźma.

Z rozpostartymi szeroko rękami błędziła ślepo po

lesie, przeszukując pustą przestrzeń między drzewami i mrużąc cały czas pod nosem. Jej wytatuowana skóra była przerażająco blada, a oczy zalepione ciemną, zakrzepłą krwią.

– Jesteście blisko – jęczała, zbliżając się ku nim. Rękami łapała powietrze i posuwistymi krokami poruszała się naprzód. Max zerknął na pannę Boon, lecz nauczycielka mistyki stała bez ruchu i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ohydny, trupią postać. Wiedźma była coraz bliżej.

– Już blisko – wychrypiała znowu, trąc swe ślepe oczy i głucho jęcząc. – Nie ruszajcie się z miejsca – wyszeptała i przywlokła się jeszcze bliżej. Z oddali dochodziły krzyki jej sióstr.

– Panno Boon – szepnął Max.

Nauczycielka nie odpowiedziała. Pan McDaniels wydał z siebie dziwny gulgot i ścisnął rękę syna. Wiedźma była już tylko dwa kroki od nich i wyciągała ku nim ręce, uśmiechając się przy tym wstrętnie, łakomie.

Wtem rozległ się głuchy trzask.

Twarz wiedźmy wykrzywił grymas szoku. Potknęła się i upadła na ziemię. Jeszcze przez chwilę mechanicznie drapała rękami zimną ziemię, lecz z każdą sekundą jej ruchy stawały się coraz słabsze, by w końcu zmienić się w lekkie drgania i ustać. Max poczuł nagły przypływ współczucia. Wiedźma drgnęła ostatni raz i przewróciła się na bok, usta gwałtownie jej się otworzyły, jakby szczeka nagle się obluzowała. Max dostrzegł czarny,

matowy trzonek noża, wystający z jej gardła.

Z pobliskich krzaków wyszedł Cooper, szybkim krokiem podszedł do ciała wiedźmy i wyciągnął z niego swój nóż. Z nieskrywaną pogardą spojrzął na pannę Boon, po czym zwrócił się do pana McDanielsa:

– Da pan radę biec dalej?

Ojciec Maksa zdołał tylko bezmyślnie zamrużyć. Nie odrywał oczu od zwiniętego bezwładnego ciała na ziemi. Cooper bez słowa zdjął swój plecak i rzucił go Maksowi. Sam pomógł panu McDanielsowi wstać i zarzucił sobie ciało o wiele od siebie potężniejszego mężczyzny na plecy, jak wypchany worek ziarna. Max dźwignął plecak Coopera i złapał za rękaw pannę Boon. Ta wymamrotała coś niezrozumiałego i oszołomiona, podreptała za nim. Przyspieszyli, by dotrzymać kroku agentowi, który zdążył się już znacznie oddalić.

Po kilkuset metrach dołączyli do Davida, Mamuśki i Nicka. Cała trójka siedziała w zaroślach w miejscu, gdzie las się kończył, a zaczynała otwarta przestrzeń porośnięta tu i ówdzie kępami wydmowej trawy. Ocean był blisko. Max wyraźnie słyszał głucho uderzenia fal. W lesie krzyczały wiedźmy. Cooper zerknął na mknące po czarnym niebie jaśniejsze obłoki. Max zgadł, o czym myśli. Kiedy wbiegną na wydmy, będą całkowicie widoczni w świetle księżyca.

Powietrze znów wypełniło się mrozącymi krew w żyłach krzykami. Cooper potrząsnął głową.

– Nie możemy czekać – rzucił jakby do siebie. Potem

zwrócił się do grupy: – Wszyscy w porządku? Ty, Mamuśka, jak?

Mamuśka była bliska łez, lecz dzielnie kiwnęła głową.

– Dobrze – pochwalił agent. – W takim razie za mną. Ale szybko, najszybciej jak możecie.

Wypadli na otwartą przestrzeń. Nick trzymał się koło nóg Maksa. Chłopiec raz po raz spoglądał za siebie, sprawdzając, czy na niebie lub na ziemi nie widać odzianych w czarne szaty wiedźm. Zbiegli z łagodnego zbocza na wąską plażę, gdzie na niewielkiej piaszczystej łasze pełnej białych muszelek czekała łódź wiosłowa. Cooper postawił tatę Maksa na piachu, a sam wszedł do wody i skierował dziób łodzi ku otwartemu morzu, po czym niecierpliwie zaczął machać na resztę, by podążyła za nim.

Pierwszy ruszył lymrill. W podskokach pokonał morską pianę i przybrzeżną płyciznę, po czym wskoczył z impetem do łodzi. Wydawało się, że traktuje to jako część wielkiej przygody, która właśnie się zaczyna. Max pomógł tacie, a panna Boon, odzyskawszy wewnętrzną równowagę, podała rękę Davidowi, by drobny chłopiec mógł wdrapać się za burtę. Gramoląc się na pokład za ojcem, Max zdał sobie nagle sprawę, że na brzegu została Mamuśka.

– Mamuśka – syknął Cooper – do łodzi!

– Kiedy ja się boję wody! – pisnęła wiedźma i zaczęła rwać sobie włosy z głowy. Już, już zamierzała z rozpaczy

upaść na kolana.

– Zrobisz, jak zechcesz – rzekł Cooper i zaczął wypychać łódź na głębszą wodę.

– Nie dam rady jej przenieść – odezwała się panna Boon, sadowiąc się w łodzi.

– Nie – szybko odpowiedział agent. – Mistycy pozostawiają po sobie ślady. Dowiedzieliby się, że tędy uciekliśmy. Albo wchodzi do łodzi sama, albo zostaje.

Mamuśka bezradnie patrzyła, jak Cooper popycha łódź przez płyciznę. Jej spuchnięte, duże powieki mrugały w niemym zdumieniu. W oddali znów rozległy się upiorne krzyki. Mruczając pod nosem nieprzyzwoite słowa, Mamuśka zakryła oczy i rzuciła się za nimi do wody. Agent złapał ją i wciągnął na podkład, gdzie natychmiast przywarła do pana McDanielsa niczym do wielkiego, niewzruszonego koła ratunkowego. Zepchnąwszy łódź z płycizny, Cooper wskoczył do środka i zaczął wiosłować. Pasażerowie, którzy dopiero teraz zaczęli trząść się z zimna, przywarli do siebie nawzajem. Wiatr szumiał, morze burzyło się, o dziób łodzi rozbryzgiwały się fale i pryskały pióropusze piany.

Z drzemki wyrwało Maksa zimne chłapnięcie fali. Leżał wciśnięty między mokre bagaże, obejmując się ramionami, żeby zatrzymać przy sobie jak najwięcej ciepła. Nick spał na nim, lecz nagle miauknął i strząsnął wodę z łusek. Max zamrugał i ocknął się na dobre. Na horyzoncie nie widać już było linii brzegu. Wydawało się,

że w rozległym, pustym świecie oceanu nie istnieje nic prócz ich łódeczki. Nie słychać było nawet skrzeczenia mew. Jedyne dźwięki wydawało wiosło, rytmicznie zanurzone przez Coopera w ciągnącej się po horyzont pofalowanej toni.

Mniej więcej godzinę później panna Boon wstała i syknęła, co zakłóciło hipnotyczny rytm skrzypienia wiosła. Cooper spojrział przez ramię. Przed nimi piętrzył się jakiś ciemny, niezgrabny kształt. Stopniowo wyłaniał się z mgły, którą naraz przeciął snop białego światła, skierowany prosto na nich.

Pannę Boon ogarnął niepokój, lecz Cooper wiosłował miarowo ku owemu ciemnemu kształtowi i bijącemu z niego oślepiającemu światłu. Maksowi wydawało się, że to jakiś olbrzymi stwór morski opuścił głębiny, by jednym spojrzeniem okrągłego, złowrogiego oka oszacować, co też za posiłek płynie prosto do jego paszczy. Kiedy jednak się zbliżyli, okazało się, że to nie potwór, a stary, zniszczony kuter. Na burcie widniał wytarty biały napis „Erasmus”. Z pokładu rozległy się wypowiedziane niskim głosem słowa powitania. Cooper podprowadził łódkę bliżej. Spuszczono drabinkę sznurową, agent wspiął się na nią i wrzucił pierwszy z plecaków za reling.

W chwilę później wszyscy byli już na pokładzie. Zbici w ciasną grupkę stali z boku, podczas gdy Cooper rozmawiał z kapitanem – krępy męczyzną z bokobrodami, odzianym w wełnianą czapkę i kurtkę. Max z Nickiem w ramionach stał tuż przy ojcu, spoglądając

spode łba na pytające twarze rybaków, którzy ciekawie im się przyglądali, pociągając od czasu do czasu po łyczku czegoś rozgrzewającego ze stalowych termosów. Nie świtało jeszcze. Panował lodowaty ziąb. Cooper wcisnął w dłoń kapitana jakąś płaską paczuszkę i po chwili wskazano im drogę do kajuty kapitańskiej.

Sprowadziwszy ich na dół, Cooper zamknął za sobą pokrywę luku i wydobył z marynarskiej skrzyni kilka wełnianych koców. Kajuta miała ściany wyłożone ciemnym drewnem, ławki przymocowane do podłogi i okrągły stół, nad którym wisiała lampa. Było tu ciepło i przytulnie. Pan McDaniels wraz z Mamušką padli ciężko na wąską koję. David, pociągając nosem, rozdawał koce, a Cooper postawił czajnik na małej kuchence elektrycznej.

– Co tu robimy? – zapytał David, sadowiąc się na skrzyni i trzęsąc mimo ciepłego koca.

– Płyniemy autostopem – odparł Cooper, wciskając długie nogi pod stół. – Korzystałem już z uprzejmości tego statku. Znam kapitana. Można mu ufać.

– Cooper – odezwała się panna Boon, która dotąd siedziała wyprostowana, a teraz nagle zrobiła gwałtowny gest. – Naprawdę myślę, że powinniśmy się w tej sprawie porozumieć z panią dyrektor...

– Nic takiego nie zrobimy – mruknął agent i sięgnął po swój plecak. W świetle lampy jego pokryta bliznami twarz przypominała woskową maskę. Ignorując pannę Boon, utkwił spojrzenie swych niebieskich oczu w Maksie.

– Dobrze, Max, teraz, kiedy już jesteśmy na pokładzie, muszę cię o coś zapytać.

– O co takiego? – spytał chłopak.

– Czy mogę na ciebie liczyć? – zapytał Cooper po prostu.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział zdziwiony chłopiec.

– Przeraziłeś się. No wiesz, wtedy – wyjaśnił Cooper ze zmarszczonym czołem. – To się nie może powtórzyć.

– Ja... to jest... myślałem, że panna Boon... – zaczął Max obronnym tonem.

– Max, Panna Boon jest na-u-czy-ciel-ką – przerwał mu Cooper, wyrażając się o wykładowczyni mistyki tak, jak gdyby znajdowała się nie z nimi przy stole, ale daleko w Rowan, pochłonięta ustawianiem równo ławek po zajęciach. – Nie jesteśmy na lekcji. To nie jest Trasa ani żadne ćwiczenie. To się dzieje naprawdę. Nigdy nie wolno ci tak się wahać w niebezpieczeństwie. Rozumiesz?

– Nie miałem nawet broni – usprawiedliwiał się Max, a policzki mu płonęły.

– Tym się zaraz zajmiemy – rzekł Cooper, sięgając do plecaka. Z jednej z jego głębokich kieszeni wydobył jakiś przedmiot zawinięty w miękki czarny materiał. Max poczuł w żołądku niespokojne łaskotanie, kiedy agent pchnął zawiniątko w jego stronę. Materiał rozwinął się i odsłonił kawał złamanej kości zakończony lśniącym, czarnym ostrzem.

– Co to? – zapytał David, wyciągając szyję jak żółw i

mrużąc oczy, by lepiej widzieć.

– Włócznia Cúchulaina – cicho odpowiedział Max, wpatrując się w złamaną zabytkową broń.

Przez to, że trzon był złamany, włócznia bardziej przypominała sztylet o długiej rękojeści. Jej ostre jak brzytwa ostrze świeciło niczym nowe, a końce wyszczerbionej kości budziły grozę – widać było, że są śmiertelne. Była to straszliwa broń. Ten, kto jej używał, na pewno nie stosował półśrodków. Nie została stworzona po to, by obezwładniać przeciwników, ale by zadawać im śmierć. Max z trudem oparł się silnemu pragnieniu, by podnieść ją ze stołu.

– Nie życzę sobie, żeby mój syn brał do ręki coś takiego – odezwał się srogo pan McDaniels, zerkając na włócznię z wąskiej koi, na której siedział. Przemówił po raz pierwszy od chwili, kiedy zobaczył wiedźmę. – Sam ją sobie weź, Cooper.

– Chciałbym – odparł agent – ale nie mogę. Nie pozwala mi nawet wziąć się do ręki.

Z posępnym uśmiechem sięgnął po złamaną włócznię gołą ręką. Broń natychmiast przesunęła się po blacie, jakby odpychana silnym magnesem. Zachwiała się na skraju stołu, przechyliła i byłaby spadła na podłogę, gdyby Max odruchowo nie wyciągnął ręki i jej nie złapał.

Była znacznie cięższa, niż się spodziewał. Zdawało się, że jej środek ciężkości nie leży w ostrzu, lecz poza nim. Kiedy Max trzymał włócznię w ręku, poczuł, że broń się rozgrzewa, niczym włożony w żar pogrzebacz. Gorąco

przypęłzło najpierw do jego nadgarstka, a potem zalało go całego i rozkwitło w nim. Chłopak zadrżał. Nigdy dotąd nie zaznał podobnego uczucia, nawet wtedy, gdy odkrył gobelin. Poczul się nagle dziki i potężny jak burza. Niezwyciężony.

Panna Boon odetchnęła głęboko i rzuciła Cooperowi pytające spojrzenie.

– To ty popchnąłeś ją na skraj stołu? – spytała ostrym tonem.

– Max – odezwał się stanowczo pan McDaniels – odłóż to tam, skąd wzięłeś.

Cooper zlekceważył pytanie panny Boon i utkwil spojrzenie swoich bladych oczu w chłopcu.

– Panie McDaniels, Max jest jeszcze młody, ale potrzebujemy go – rzekł. – Rowan go potrzebuje. Czerwone Bractwo go potrzebuje. To nie zabawa. Potrzebujemy uruchomionego Maksa.

– Uruchomionego? – powtórzył z niedowierzaniem pan McDaniels. – To chłopiec, nie robot.

– Zgadza się – potwierdził Cooper – Max to nie robot. Ale możliwe, że jest największym bohaterem naszych czasów. I jedyną szansą na odzyskanie Księgi Thotha. A David jest naszą jedyną szansą na jej odnalezienie.

– To nonsens – przerwała ostro panna Boon. – Max, w tej chwili odłóż broń.

Max napotkał jej wzrok i pokręcił głową.

– Ona jest moja – odpowiedział wyraźnie i

machinalnie. – Jest moją prawą ręką, jest postrachem moich wrogów. Ponieważ jestem Psem mego ludu, a dzień mego gniewu jest bliski.

Krew odpłynęła z twarzy nauczycielki mistyki. Cooper kiwnął głową sam do siebie. David patrzył na kolegę ze smutnym uśmiechem zrozumienia. Ciszę, która potem nastąpiła, przerwał dopiero pan McDaniels. Odezwał się, powoli i z wahaniem cedząc słowa:

– Synu, co powiedziałaś?

– Słucham? – spytał Max, kręcąc się niespokojnie.

– Max – rzekła cicho panna Boon – mówiłeś w języku staroirlandzkim. Czy się mylę, twierdząc, że nigdy się go nie uczyłeś?

Max przytaknął. Otworzył tylko usta i słowa już tam były, równie naturalne i oczywiste jak to, że się oddycha. Nieufnie spojrział na czarne ostrze.

– Oboje to słyszeliśmy, Boon – mruknął Cooper. – On musi ją mieć.

Młoda nauczycielka zamrugnęła. Po sekundzie na jej twarz wróciły normalne kolory.

– Jediną rzeczą, jaka musi się stać, agencie Cooper, jest to, że mamy chronić Maksa i Davida przed wiedźmami – ucięła swoim szczególnie suchym i nieprzyjemnym tonem, jaki stosowała do najmniej pojętych uczniów. – Odstawimy całą trójkę do biura terenowego w Londynie i poczekamy na dalszy rozwój wypadków tak, jak było zaplanowane.

– Plany się zmieniły – rzekł Cooper, po czym wstał,

podszedł do luku i wspinał się po paru stopniach na górę. Ostrem tonem rzucił jakiś rozkaz po duńsku i wrócił na dół, zamykając za sobą właz. Rozległo się głucho warczenie, a stół zaczął się lekko trząść. Kuter włączył silniki i popłynął przez ciemne, wzburzone morze. – Do Londynu można się dostać, ale inną drogą – kontynuował Cooper. – Amerykanie wstrzymali wszystkie loty, a ten trawler płynie do Niemiec. Za dwa tygodnie przybijemy do Hamburga, więc radzę wygodnie się urządzić tu, na dole.

– Ach, jeśli zawiniemy do Anglii, będę mogła odwiedzić Zakątek Shrope'ow – pisnęła radośnie Mamuśka.

– Mamuśka, proszę cię, bądź cicho – rzekła panna Boon, która nagle wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po kajucie, pocierając skronie. W pewnej chwili zatrzymała się i oskarżycielskim ruchem wyciągnęła palec w stronę Coopera. – To Wiljak cię tak urobił?

Agent obdarzył ją ponurym spojrzeniem, lecz nic nie powiedział.

– Lepiej odpowiedz – domagała się nauczycielka lodowatym tonem, z precyzją wymawiając każde słowo.

W kajucie zapanowała pełna napięcia cisza. Przez jakiś czas Cooper niewzruszenie wpatrywał się w pannę Boon, co sprawiło, że Max zaczął się już wiercić z niepokoju i zażenowania, a Mamuśka cofnęła się pod ścianę. Minęła minuta i dopiero wtedy Cooper sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną kartkę papieru. Wręczył ją

pannie Boon, a ona niemal wyrwała mu ją z ręki i dosłownie wpiła się swoimi dziwnymi oczami – jednym brązowym, drugim niebieskim – w dokument. Kilka razy przebiegła go wzrokiem od góry do dołu, a potem kilka razy zamrugowała.

– Chcesz sprawdzić autentyczność? – spytał Cooper.

– Nie – odparła spokojnym już głosem. – Widzę, że jest autentyczny.

– Co to takiego? – chciał wiedzieć pan McDaniels. Wychylił się do przodu i zmrużył oczy w szparki. – Co tam jest napisane?

Panna Boon zmarszczyła czoło i odchrząknęła.

– Ja, Gabrielle Richter, upoważniam agenta Williama Coopera z Czerwonego Bractwa do podejmowania wszelkich decyzji związanych z działaniami w ramach operacji Ciemna Materia BO11 i A002. Wszystkie decyzje w ramach tych operacji będą osobistymi decyzjami agenta. Ani dyrektor, ani Rada Zarządzająca Rowan nie ponoszą za nie odpowiedzialności ani nie dysponują wiedzą na temat planów i działań agenta. Wszystkie biura terenowe oraz ich cały personel mają obowiązek udzielić agentowi Cooperowi wszelkiej pomocy, o jaką poprosi. Ktokolwiek sprzeciwi się temu zarządzeniu, będzie podlegał akcji dyscyplinarnej zgodnie z artykułem COC47.

– Więc on rządzi? – spytał McDaniels.

– Na to wygląda – mruknęła panna Boon i zwróciła Cooperowi dokument. – Choć nie mogę pojąć, dlaczego

dyrektor miałyby pójść na coś takiego...

Max jeszcze raz przyjrzał się broni, którą trzymał, i odłożył ją na czarny materiał. Ciepło powoli i jakby niechętnie opuszczało jego ciało.

– A dlaczego Cooper nie miałby rządzić? – spytał.

Panna Boon zerknęła na włącznię Cúchulaina. Nawet nie próbowała ukryć potępienia w głosie.

– Ponieważ agent Cooper to zawodowy zabójca, który nie powinien podejmować absolutnie żadnych decyzji dotyczących twojej osoby, ponieważ zupełnie nie obchodzi go twoje dobro. To byłoby niezgodne z jego naturą. Faktem jest, że w tym układzie nie sposób zaakceptować tylu elementów, że nie wiem nawet, od czego zacząć.

Cooper złożył czarny materiał, osłaniając nim z powrotem Gae Bolga. Ukrył pakunek w plecaku i mocno zaciągnął sznurek.

– Proszę tylko robić to, co do pani należy, panno Boonr a wszystko będzie w porządku.

– A co do mnie należy? – zapytała nauczycielka z drętym uśmiechem. – Bo wydaje mi się, że zostałam wprowadzona w błąd, jeśli chodzi o cel tej małej wycieczki.

– Na pewno nie walka z wiedźmami – burknął Cooper, po czym wyciągnął się na podłodze i zdjął buty. – Ma się pani zająć kształceniem tych chłopców.

Panna Boon parsknęła z niedowierzaniem.

– Co takiego? Więc Richter wysłała mnie jako ich

osobistą guwernantkę? – spytała. – A czemuż to spotkał mnie taki zaszczyt?

– Kraken jest za stara na podróż – ziewnął agent, naciągnął sobie czapkę głęboko na oczy i tym samym zamknął dyskusję. Jego pierś zaczęła wznosić się i opadać równym rytmem.

Mamuśka zachichotała w kącie i zarobiła wściekle spojrzenie od panny Boon.

– Mamuśko, wydaje mi się, że woda się zagotowała, a w tej nieskromnej puszcze w syreny jest jakaś ohydna herbata. Bądź tak dobra i przygotuj trzy kubki. Ty i pan McDaniels zapewne będziecie chcieli trochę się przespać.

– Nie lubię herbaty – zaprotestował David.

– To polubisz – ucięła panna Boon, zgarnęła ze stołu kartki z jakimiś wykresami i wydarła parę czystych stron ze swego oprawionego w skórę notesu. Z mocno zaciśniętymi ustami i pieczołowitą dokładnością nakreśliła na jednej z nich idealny trójkąt, po czym poprzekreślała go wieloma liniami.

– Dobrze, Max, podejdź, proszę, i wskaż linię Eulera. Natomiast David na pewno bez trudu przypomni nam jej równanie.

– Czy to geometria? – wychrypiał z koi pan McDaniels.

– Tak, proszę pana. Może zechce pan się do nas przyłączyć?

Tata Maksa szybko wsunął się pod koc.

Przez cały następny tydzień nikt nie wspomniał ani o włóczni Cúchulaina, ani o dziwnym wybuchu Maksa po staroirlandzku. Statek płynął w stronę Niemiec. Cooper i panna Boon zdołali wypracować formułę lodowatej uprzejmości, z którą się nawzajem traktowali. Max i David odrabiali lekcje albo grali w karty z Mamušką i panem McDanielsem. Choć tylko paru rybaków z załogi trawlera mówiło po angielsku, wielu z nich było, jak się okazało, świetnymi towarzyszami podróży i szybko przywykło do dziwnego „ładunku”, który przyszło im przewozić. Wspólnie z chłopcami bawili się w łapanie szczurów i obstawiali zwycięzcę – Mamuška zawsze oszukiwała, Nick zawsze wygrywał. Gdy kurtyna szarych, lodowatych chmur choć na chwilę się otwierała i przepuszczała wąską wiązkę promieni słońca, wybuchali gromką, radosną pieśnią. W takich chwilach Max zawsze wychylał się daleko za reling i obserwował swój cień na szmaragdowej wodzie, zanim słońce znów nie schowało się za chmury, a morze z powrotem nie przybrało stalowoszarej barwy. Właśnie po jednym z takich słonecznych przerywników Max dostrzegł siedzącego samotnie Davida, który w za dużym, pożyczonym od kogoś z załogi swetrze wyglądał bardzo mizernie.

Usadowiony na zwoju liny, przeglądał jakąś grubą, oprawioną w czerwoną skórę książkę. Max podszedł do niego. Przed chwilą zobaczył słońce i zrobiło mu się lżej na sercu.

– Hej, wyglądasz, jakbyś coś kombinował – rzekł i

wymierzył zwojowi liny zaczepnego kopniaka.

David uśmiechnął się i stuknął palcem w okładkę.

– A tak, kombinuję, rzeczywiście.

Max usiadł obok kolegi i chciał zerknąć do książki, lecz David zakrył ją ręką, bo przechodziło kilku członków załogi, palących papierosy. David odmachnął do nich, lecz nie powiedział ani słowa, " dopóki nie zniknęli z zasięgu wzroku.

– Ten jeden mówi po angielsku – szepnął i ruchem głowy wskazał szczupłego mężczyznę z rudą brodą. – Nie wiem dlaczego, ale stara się to ukryć. Złapałem go już na tym, że nas szpieguje. Wczoraj wieczorem, po kolacji, przyszedł do kajuty posłuchać radia.

– Ale przecież radio nie działa. – Max zmarszczył czoło. – To czego chciał słuchać?

– Coś mi się nie wydaje, żeby chciał słuchać radia – odparł David i zerknął w bok. – Myślę raczej, że chciał coś nadać. No, wiadomość do kogoś.

Max odwrócił się, by spojrzeć na mężczyznę, który akurat wychylił się przez reling. Od razu jednak tego pożałował, bo natychmiast napotkał świdrujące spojrzenie pary małych, zielonych oczu. Mężczyzna szybkim ruchem wrzucił papierosa do wody i oddalił się w kierunku dziobu.

– Mówiłeś już Cooperowi? – zapytał Max.

– Nie – odparł David. – Wolę się najpierw dowiedzieć, o co mu chodzi. Nie chcę, żeby Cooper obudził w nim jakieś podejrzenia. Tak czy siak, nie

musimy się już martwić tym, że nadaje przez radio jakieś poufne informacje. – I chłopiec wyjął z kieszeni garść czerwonych i żółtych kabelków. Z zadowoloną miną położył je na zwoju lin.

– To super – odparł Max – ale co będzie, kiedy my będziemy musieli skorzystać z radia? Sytuacja w Europie jest chyba kiepska i Cooper musi śledzić bieg wydarzeń.

– My mamy inne źródło informacji – powiedział David, stukając palcem w książkę.

Max podparł się ręką, kiedy trawler przechylił się na fali. Spojrzał na ręcznie wykaligrafowany złotymi, gdzieś znikającymi literami tytuł.

KODEKS CZARODZIEJSKICH WEZWAŃ
TOM XI: ZŁE DUCHY
ZEBRANE I PRZETŁUMACZONE
PRZEZ MAGDALENĘ KOLB, 1901.

– Wygląda groźnie – niepewnie wymamrotał Max.

– Korzystałem już z niebezpiecznych ksiąg – odparł David, wzruszając ramionami. – A poza tym ta jest szczególnie cenna.

– Co w niej jest? – spytał Max, wpatrując się w dziwne symbole i przyprawiające o gęsią skórkę ryciny, które migąły mu przed oczami, gdy kolega kartkował tom.

– Zaklęcia – szepnął David, rozglądając się po pokładzie. – Potężne zaklęcia, którymi można przywołać duchy.

– Demony i tak dalej? – spytał Max, marszcząc nos. – Myślałem, że nie przepadasz za panem Sikesem.

David niecierpliwie potrząsnął głową i znowu rzucił spojrzenie w stronę dziobu.

– Nie, nie takie jak pan Sikes. Jego może wezwać byle mistyk, trzeba tylko znać właściwe zaklęcie.

Te zaklęcia wzywają inne duchy. Stare duchy. Duchy, takie jak...

– Astaroth? – przerwał mu Max głośniej niż zamierzał.

David skinął głową i przyłożył palec do ust. Otworzył książkę na – stronie z ryciną przedstawiającą w centralnej części mężczyznę o pięknej, sennej twarzy, otoczonej burzą czarnych loków. Postać siedziała na ustawionym na podwyższeniu tronie i z lekkim rozbawieniem przysłuchiwała się prośbom petentów, którzy stali w długiej kolejce. Petentami byli królowie w koronach, brodaci uczeni z wózkami wypełnionymi przyrządami astronomicznymi i alchemicznymi.

Twarz Astarotha wyglądała tu o wiele młodziej niż ta, która przypatrywała się Maksowi z obrazu Rembrandta. Po namyśle chłopiec stwierdził jednak, że jest coś, co łączy obydwie wizerunki. Oczy. Wiedział, że nigdy nie zdoła zapomnieć spojrzenia owych czarnych, bezdennych oczu, wyzierających z obrazu w połączonej ramie. Były wieczne i uderzająco nieludzkie. Max z trudem oderwał wzrok od ryciny i przeczytał tekst wypisany małym drukiem na sąsiedniej stronie.

Ze wszystkich Złych Duchów najmądrzejszy i najsprytniejszy jest Astaroth. Ukrywa swą perfidię pod piękną szatą. Wzywać go nie należy, chyba że temu, kto mocny, świadom swej siły i nosi srebrny pierścień prawdy. Demon bowiem będzie próbował go usidlić i uwięzić aż do godziny duchów, kiedy moc jego będzie wzrastać wraz z księżycem i przyływem tak, że może wedrzeć się do kręgu. Kiedy go wezwiesz, pamiętaj, że różną przyjmuje postać. Demon może być obecny, a ten, kto wzywa, może o tym nie wiedzieć! Pojawiał się jako kogut, jako wilk o złowrogich oczach i jako żmija – czarny i zwinięty. Mądry Czarnoksiężnik wezwie go tymi słowami: „Czcigodny Astarocie, udziel temu, kto cię wzywa, łaski i mądrości spod gór, spoza gwiazd i z największych głębin morza”, Demon bowiem kocha uprzejmość i chlubi się znajomością sztuki, pisma i wszelkich tajemnic. Odśloni się tedy i odpowie na twe pytania. Lecz uważaj! Choć Astaroth nigdy nie kłamie, to prawdę mota i zwodzi nieświadomych na manowce, bo jest to mistrz wśród demonów...

Na stronicę padł cień. David zatrzasnął książkę. Chłopcy podnieśli głowy i zobaczyli stojącego nad nimi rudobrodego rybaka. Na jego surowej twarzy pojawił się porozumiewawczy uśmiech. Mężczyzna głęboko zaciągnął się papierosem.

– Ćśś, ćśś – syknął, odsłaniając rząd żółtych zębów.

David skulił się, gdy mężczyzna wyciągnął w ich stronę rękę w rybackiej rękawicy.

Zamiast jednak wyrwać chłopcu książkę, złapał zwój drucików, który ciągle leżał na linach. Zdjął rękawice i zaczął je rozplątywać.

– Należą do wyposażenia „Erasmusa” – rzekł z twardym akcentem. – Może źli chłopcy nie wiedzą, ale w Europie jest niedobrze. Prawda? Radio mówi, gdzie można płynąć. Rozumieją? Żadnych oszustw, bo Karl patrzy, tak?

Pogroził im palcem i z wyrazem satysfakcji na twarzy odszedł, dudniąc buciorami po pokładzie.

– Przynajmniej wyglądało na to, że nie wie, co to za książka. – Chwilę później Max głęboko odetchnął. – I teraz już wiemy, że mówi po angielsku.

David kiwnął głową w milczeniu. Zaciął usta, kiedy zapinał klamrę na książce i wcisnął ją sobie pod sweter.

– I co masz zamiar z tym zrobić? – chciał wiedzieć Max.

– Na razie nic – odparł David wyraźnie zły. – Będę musiał poczekać, bo właśnie się dowiedzieliśmy, że Karl nas obserwuje. W każdym razie, to nie jest właściwe miejsce, by to zrobić.

– Co zrobić? – spytał Max i poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przechodzą mu lodowate ciarki.

– Wezwać Astarotha, oczywiście – wyjaśnił David i zaparł się nogą, bo dziób trawlera uniósł się właśnie na

szarozielonej fali.

Późnym wieczorem Max został przygnieciony do ściany sterówki, gdy cała załoga „Erasmusa” próbowała za wszelką cenę wcisnąć się do środka. Kapitan poprosił o spokój, a Karl gmerał przy radiu i minimalnymi ruchami potencjometru przeglądał zakres fal krótkich. Przez kilka minut z maleńkiego głośnika dochodziły same trzaski. Marszcząc się, marynarze siorbali z misek resztki ostrej zupy rybnej zagęszczanej mąką.

Wtem Max usłyszał niespodziewany wrzask Mamuśki. Jeden z marynarzy jęknął, kiedy wiedźma wymierzyła mu kuksańca łokciem. Torując sobie w ten sposób drogę, przepychała się do przodu.

– Coś słyszałam! – krzyczała piskliwie. – Zamknijcie się wszyscy, zamknijcie się!

Max przymknął oczy i z całej siły nasłuchiwał. Spomiędzy trzasków naprawdę dochodził czyjś głos. Słyszeli go jakby z zaświatów. Był to kobiecy głos z angielskim akcentem. Mówił wolno i w bez emocji. Trzaski ustąpiły i głos stał się wyraźny i donośny.

– ... z tymczasowej nadzwyczajnej siedziby poza Londynem. Wszyscy obywatele Unii Europejskiej mają się stawić w najbliższej placówce rządowej celem rejestracji, pobrania paczki na wypadek sytuacji nadzwyczajnej oraz wysłuchania dalszych instrukcji. Obowiązuje zakaz przekraczania granic. Osoby, które uchylą się od rejestracji bądź będą usiłowały przedostać

się do innego kraju członkowskiego, zostaną aresztowane. Za próbę ukrywania osób niezarejestrowanych grozi areszt. Przestrzeganie nakazów władz jest w tym dla wszystkich trudnym czasie najważniejsze. Wiadomość tę nadaje BBC z tymczasowej siedziby poza Londynem.

Kiedy komunikat powtórzono, kajutę wypełnił szum głosów. Ci, którzy rozumieli angielski, tłumaczyli go kolegom. Max zauważył, że Cooper precyzyjnie się przez tłum, by na uboczu zamienić słowo z kapitanem.

Karl dalej grzebał coś przy radiu, lecz Max widział, że co chwila zerka spod oka na Coopera i kapitana, jak gdyby chciał podsłuchać, o czym mówią. Chłopiec podszedł do drzwi, gdzie stali panna Boon i jego ojciec.

– Co to ma znaczyć, tato?

– Nie wiem – odpowiedział pan McDaniels i ścisnął ramię syna. – Ale na pewno nic dobrego.

Max zwrócił się do nauczycielki:

– Co Cooper mówi kapitanowi?

– Chciałabym wiedzieć – mruknęła panna Boon. – Ale na pewno wkrótce się dowiemy. A tymczasem, do łóżka. Jest późno. David już dawno się położył.

– Ale może będzie więcej wiadomości! – zaprotestował Max. Zerknął na Karla, po czym zniżonym głosem powiedział: – Nie ufam temu facetowi przy radiu. Myślmy z Davidem, że nas szpieguje.

Panna Boon wspięła się na palce i przygryzła język.

– I ja tak myślę – mruknęła. – Jeśli będą jeszcze jakieś wiadomości, na pewno ci przekażę. A teraz zmykaj

do łóżka, bo będziesz jutro nieprzytomny na lekcjach.

Max chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nauczycielka rzuciła mu spojrzenie, które uniemożliwiało wszelki protest. Tata ziewnął i otoczył ręką jego ramiona.

– I ja się położę – oznajmił. – Lepiej zająć koję, zanim zaanektuje ją Mamuśka!

Kiedy McDanielsowie weszli do kajuty, David jeszcze nie spał. Rozebrany do pasa stał przed małym lustrem przytwierdzonym śrubami do ściany. W rękę trzymał lampę, przez co lustrzane odbicie jego twarzy wydawało się upiorne. Owo odbicie przeniosło na nich wzrok, kiedy weszli.

– Co ty robisz, David? – spytał pan McDaniels, spoglądając na zwinięte w kłęb koce w rogu, gdzie sypiał David. – Nie możesz zasnąć?

– Nie – odparł blady chłopiec i sięgnął po koszulę. Jego głos brzmiał dziwnie obojętnie, jakby dochodził gdzieś z dala. – Dziś minęły trzy lata od dnia, kiedy miałem ostatnią operację, wiecie?

– W ogóle nie wiedziałem, że miałeś operację – odpowiedział tata Maksa, zganiając Nicka z koi.

David uśmiechnął się.

– Operację serca – wyjaśnił i odwrócił się, by zaprezentować długą, różową szramę idącą od środkowej części klatki piersiowej w dół. – A dokładniej, przeszczep serca – dodał. – Trzy lata temu... drugi przeszczep.

– Nie miałem pojęcia! – wykrzyknął pan McDaniels i

pochylił się nad chłopcem, by z bliska przyjrzeć się szramie.

W tym czasie Max ułożył Nicka w miękko wyściełanej skrzyni. On sam widział już szramę, lecz wiedział również, że jego współlokator zawsze stara się ją ukryć. Teraz zaś David stał obnażony i w zadumie przyglądał się bladej linii blizny. Przeciągnął po niej palcem.

– Żeby ja mógł żyć, dwie osoby musiały zginąć – westchnął. – Czasem martwię się z tego powodu.

– Nie – sprzeciwił się pan McDaniels. – To nie tak, synu. Czas tych biednych ludzi po prostu dobiegł końca. Na pewno byliby szczęśliwi, wiedząc, że podarowali ci szansę na życie. Przez ciebie i oni w pewnym sensie żyją! Ja to widzę tak, że wyświadczyliście sobie nawzajem przysługę.

David uśmiechnął się z wdzięcznością i przykręcił lampę tak, by dawała tylko nikłe światło, po czym otulił się z powrotem kocami. Max nic nie powiedział. Zrzucił buty i ułożył się na swoim prymitywnym pościeli obok kucharki.

– Tyle się dzieje – rzekł David cichym głosem, który nawet w ciasnej, przytulnej kajucie wydawał się bardzo zagubiony. – Czasami myślę, że dłużej już tego nie wytrzymam. Wiem, co usłyszeliście przez radio. To samo zaczyna się dziać w Ameryce. To zbyt okropne, żeby nawet o tym myśleć.

– Skąd możesz wiedzieć, skoro cię tam nie było? –

Nie zrozumiał tata Maksa.

David nie odpowiedział.

Max, wsłuchany w monotony szum silnika statku, zastanawiał się, do kogo właściwie mówi David. Rozejrzał się po kajucie w poszukiwaniu czerwonej książki, lecz nigdzie jej nie zobaczył. Za jakiś czas David odezwał się znowu:

– Próbuję nie myśleć o mamie, ale nie mogę się powstrzymać. – Jego głos był cieniutki i napięty jak struna. – Chciałbym wiedzieć, że jest zdrowa i cała.

Max przestał rozglądać się za czarodziejskim tomem i podparł głowę na łokciu. Kolega wspomniał o swojej mamie pierwszy raz od czasu, gdy rok wcześniej wyprowadziła się i nie zostawiła mu żadnego adresu.

– Na pewno jest zdrowa i cała, David – rzekł pan McDaniels pocieszająco.

– Dorośli zawsze mówią, że coś jest w porządku, nawet, gdy nie są pewni – westchnął chłopiec. – Wolałbym wiedzieć, że coś jest nie w porządku, niż po prostu wierzyć, że jest.

Pan McDaniels westchnął.

– To ciekawe. Wygląda na to, że ty i Max jesteście podobni jak dwie krople wody. A ja? Ja po prostu wolę wierzyć w najbardziej optymistyczną wersję. Może i jestem głupi, ale to mnie trzyma przy życiu.

Max usłyszał brzęk kluczy i drobnych pieniędzy – znak, że ojciec sięga po portfel.

– Odkręć trochę tę lampę, Davidzie, i podejdź tu do

mnie. Max, ty też.

Chłopcy przysiedli na koi pana McDanielsa. W żółtym, miękkim świetle tata Maksa wyglądał jak olbrzymi, senny niedźwiedź, cierpły i zadowolony we flanelowej piżamie w paski. W palcach delikatnie trzymał małe zdjęcie.

– Chcę wam pokazać moją Bryn, chłopaki – rzekł miękko.

– Ale ja już widziałem zdjęcia pani McDaniels – sprostował David, obejmując ramionami kolana. – Max w Rowan ma zdjęcia całej waszej rodziny.

– Nie – powiedział pan McDaniels. – Max ma zdjęcia naszej Bryn McDaniels. Mojej żony, swojej mamy. A tu... tu jest moja Bryn.

Z tymi słowami wręczył Davidowi, który przesunął się, by zrobić miejsce koledze, wyblakłą fotografię mamy Maksa. Chłopiec do tej pory nigdy jej nie widział. Mama na zdjęciu była bardzo młoda, młodsza nawet od panny Boon. Ciemne, roześmiane oczy zerkały znad gazety. Siedziała w jakiejś ulicznej kawiarence. Czuło się, że jej postać, podobnie, jak postać jej syna, promieniuje jakąś niepojętą, dziwną dumą. Miała takie same wystające kości policzkowe i lśniące, czarne włosy.

– Oto kobieta, w której się zakochałem – rzekł pan McDaniels – i która mnie pokochała, mimo że zupełnie się dla niej nie nadawałem. Najpiękniejsza istota, jaką w życiu widziałem. A jaka mądra! Przysięgam, David, ona wiedziała wszystko! O, przy niej nie można było łatwo

sprzedać skóry!

I kajuta zatrzęsała się od śmiechu pana McDanielsa. Max wpatrywał się w tatę, któremu oczy błyszczały jak szczęśliwemu małemu chłopcu. W końcu ojciec westchnął i po kumplowsku uderzył Davida po kolanie.

– Nie widziałem mojej Bryn już od dawna. Gdzieś głęboko w sercu wiem jednak, że jeszcze ją zobaczę. To mi daje nadzieję, a dzięki nadziei żyję dalej.

– Nie wiem... – powiedział David powoli. – Nadzieja wydaje mi się taka niebezpieczna, panie McDaniels. Wydaje mi się, że mógłbym od niej zwariować albo nie pozwalałaby mi się skupić na tym, co mam do zrobienia.

Pan McDaniels chciał odpowiedzieć, lecz nie zdążył, bo usłyszał odgłos zamykanej klapy i kroki na schodkach. Na ostatnim przystanął Cooper. Ręce miał pełne puszek z jedzeniem.

– Pakujcie się – rzekł spokojnie. – Wzięliśmy kurs na ląd. Wstrzymują ruch wszelkich jednostek pływających po kanale La Manche. Musimy dostać się do Frankfurtu drogą lądową.

– A gdzie nas wysadzą? – zapytał tata Maksa.

– W Hiszpanii – mruknął Cooper i wrzucił konserwy do otwartego plecaka.

– W Hiszpanii? – jęknął pan McDaniels. – Ale to tysiące kilometrów od Niemiec! Nie mogą podwieźć nas gdzieś bliżej? To kompletnie bez sensu!

Cooper zdecydowanym krokiem podszedł do koi i wyciągnął spod niej kapitański kuferek.

– Właśnie dlatego tam nas wysadzają – mruknął, wydobywając z prywatnych zapasów kapitana podejrzenie wyglądający ser i wędzony udziec jakiegoś zwierza. Następnie podniósł się na nogi i niecierpliwie spojrział na całą trójkę wciąż zagrzebaną w koce. Jego wzrok padł na fotografię, którą David wciąż trzymał w dłoni. Agent przekrzywił głowę, żeby lepiej widzieć.

– Ach! – wykrzyknął pan McDaniels i rysy natychmiast mu się rozjaśniły. – Podziwiasz moją ślicznotkę, co, Cooper? To moja żona. Mama Maksa.

Cooper mrugnął. Jego zimne, niebieskie oczy przesunęły się z twarzy na zdjęciu na twarz Maksa.

– Uderzające podobieństwo – rzekł po dłuższej chwili i uprzejmie skinął głową.

Po paru chwilach pojawiły się panna Boon i Mamuśka. Cała szóstka zajęła się zbieraniem swoich rzeczy – swetrów, książek, naczyń i jedzenia. Kiedy się pakowali, Max zawziął się i starał się odsunąć na bok pytania, które wprost cisnęły mu się na usta. Niejeden raz przyłapał Coopera na tym, że ten badawczo mu się przygląda. Teraz potwierdziło się coś, o czym Max już wiedział: to nie był pierwszy raz, kiedy agent Cooper widział Bryn McDaniels.

HISZPAŃSKI SPRZEDAWCA KSIĄŻEK

Prawie świtało, kiedy kapitan zapukał do drzwi kajuty, by im oznajmić, że czas ruszać. Max ziewnął, wziął Nicka na ręce i za Cooperem wspiął się po schodkach na pokład. Większa część załogi już się tam zebrała. Rybacy stali oparci o reling i wpatrywali się w morze. Na ich twarzach tańczyło dziwne światło. Przyciskając mocno lymrilla, Max wkręcił się pomiędzy dwóch z nich i z wrażenia przestał oddychać. Morze stało w ogniu.

Przechylony na bok olbrzymi statek towarowy kołysał się na bladej wodzie i roztaczał w rześkim porannym powietrzu oślepiający blask płomieni i chmurę czarnego jak smoła dymu. Widok przypominał ilustracje przedstawiające wielorybników, które Max widywał w książkach jako dziecko: gigantyczny ssak z wbitym harpunem leżał na boku i wydawał z siebie ostatnie tchnienie. Po powierzchni wody pływały – jak liście lilii wodnych po sadzawce – płonące kałuże ropy. Wyglądały strasznie, a zarazem pięknie, kiedy migotały na falach raz w górze, raz na dole. Max rozglądał się za pasażerami bądź załogą statku, lecz nikogo nie było widać.

Za płonącym wrakiem ciągnęło się ku północy ciemne skaliste wybrzeże, w oddali rozmywające się w

błękitnawej mgiełce. Gdzieś daleko płonął inny statek. To, co musiało być szalejącą pożogą, z oddali wydawało się małe i niegroźne, jak chybotący się na wietrze płomyk świecy.

Cooper zamienił parę słów z kapitanem, a potem zwrócił się do swoich podopiecznych.

– Tu wysiadziemy – rzekł i zaczął wkładać plecak na ramiona. – Kapitan niepokoi się, że natrafi na minę, i nie mogę go o to winić. Mamuśka, proszę mu pozwolić wykonać swoją robotę!

Wiedźma zawyła i puściła ramię rybaka, którego szczególnie sobie upodobała. Na twarz młodego człowieka powróciły naturalne kolory. Kiwnął z wdzięcznością do Coopera i przyłączył się do reszty załogi, która z trudem opuszczała za burtę ciężką, niezgrabną szalupę ratunkową. Max i jego towarzysze zgramolili się do niej po chwiejnej drabince sznurowej. Niewielka łódź kiwała się na łagodnych falach i objęła o burtę trawlera.

Max pomógł tacie odepchnąć szalupę od burty „Erasmusa”. Potem usadowił się z powrotem na ławeczce. Nagle usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Zerknął w górę i zobaczył, że przez reling przechyla się rudobrody marynarz. Na jego twarzy pojawił się szyderczy, wszystkowiedzący uśmiech i mężczyzna pomachał im na pożegnanie. Max odwrócił wzrok, a Cooper chwycił za wiosła i skierował łódź w stronę brzegu. Szerokim łukiem wyminęli płonący statek i wkrótce „Erasmus” zniknął za

zasłoną czarnego, tłustego dymu, rozwiewanego przez wiatr nad wodą.

– Cooper, ten z rudą brodą... – zaczął Max.

– ... właśnie rysuje plan, żeby natychmiast zameldować swojemu szefowi, gdzie przybijemy do brzegu – wszedł mu w słowo agent. – Szpiedzy będą już na nas czekać w Lizbonie.

David wiercił się na ławeczce.

– Dlaczego miałyby im mówić, że jesteśmy w Portugalii? Chyba nie jest po naszej stronie?

– Bynajmniej – odparł Cooper. – Nie mam wątpliwości, że to wysłannik Wroga. Lub wiem. Powie im, że trzeba nas szukać w Lizbonie, bo panna Boon dała mu do zrozumienia, że tam właśnie przybijamy. Sam prawie w to uwierzyłem. Nie ma co, wasza nauczycielka potrafi być niezwykle sugestywna.

– O? Wzięła go pani na urok osobisty? – spytał pan McDaniels.

– Cóż, można tak to ująć – odparła panna Boon, która siedziała prosto jak struna pomiędzy bagażami. – Owszem, zamieniłam z nim parę słów, kiedy wy poszliście spać. Wstrętny człowiek.

– Do Lizbony nie jest zbyt daleko – mruknął pan McDaniels. – Nie lepiej mu było powiedzieć, że mamy wylądować w Chile?

– Wiarygodność jest podstawą skutecznej perswazji, panie McDaniels – wyjaśniła nauczycielka. – Słyszeliście, chłopcy?

– Tak, panno Boon – odparli chórem David i Max.

– Ej, zapomnijcie o tych głupich naukach – prychnęła Mamuśka, opatulając się szczelniej szalem. – Wy tu sobie gadu-gadu, a ja mam złamane serce. Nigdy nie zapomnę tego pięknego chłopca, przenigdy! Był tak cudownie głupi i taki przystojny! Błagał w zasadzie, żeby mu pozwolili ze mną odejść...

Cooper miarowo wiosłował w stronę pustego wybrzeża.

– I z czym byś go podała, Mamuśko? – spytał.

– Och! Niech pomyślę! – zawołała wiedźma, wyprostowała się i z podniecenia klasnęła w ręce. – Pachniał pysznie, jak... jak wielki, ogromny kotlet schabowy! Podałabym go z młodymi ziemniaczkami albo z łyżką mojego przepysznego szpina... Przerwała nagle w pół słowa. – Oczywiście, mówię tylko teoretycznie...

Panna Boon uniosła brew.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że opowieści Mamuśki obudziły we mnie wilczy głód – odezwał się tata Maksa. – Jaki mamy plan, gdy już dobijemy do brzegu? Na tym całym „Erasmusie” załoga była w porządku, ale żarcie, szkoda gadać.

– Mamy zapas konserw. Powinno nam wystarczyć aż do Salamanki – odparł agent.

– A jak to daleko? – spytał McDaniels.

– Ze sto mil – odpowiedział Cooper, wymijając jakiś dryfujący pień.

Pan McDaniels jęknął.

– Musimy unikać miejsc, w których kazaliby nam się zarejestrować – tłumaczył agent. – Jesteśmy zbiegami, panie McDaniels.

– Ale czyimi? Oto jest pytanie – wymamrotał David.

Max odwrócił wzrok ku spokojnej linii brzegowej, gdzie piętrzyły się ciemne skały, a pomiędzy nimi lśniły małe kałuże morskiej wody. Ponieważ byli już bliżej brzegu, Max dostrzegł na klifie niewielkie kwadratowe domki. W oknach było ciemno.

– Kto by tu mieszkał? – zdziwił się. – Przecież to pustkowie.

– Rybacy – wyjaśnił Cooper, spoglądając na domy nad ramieniem Maksa. – W tych stronach mieszka ich trochę. Najbliższe miasto to Santiago de Compostela.

Max przeszukał plecak w poszukiwaniu atlasu geograficznego, który wzięła ze sobą panna Boon. W spisie rzeczy odnalazł Hiszpanię, otworzył książkę na właściwej stronie i w północno-zachodnim koniuszku kraju odnalazł Santiago de Compostela. Salamanka zaś leżała na południowym wschodzie.

– Dlaczego idziemy do Salamanki? – zapytał. – Przecież mamy się kierować do Niemiec. Nie powinniśmy iść wzdłuż północnego wybrzeża?

– Dobre pytanie – skomentowała panna Boon, też nachylając się nad mapą.

– Są dwa powody – mruknął Cooper. – Po pierwsze, musimy unikać wybrzeży i granic, bo te rejony będą pod szczególną obserwacją. Po drugie, muszę się z kimś

spotkać w Salamance.

– A któż to taki? – chciała wiedzieć nauczycielka.

– Stary znajomy – odparł agent obojętnie. – David, jak tam twój talizman, co wskazuje?

David sięgnął pod koszulę i wyciągnął złoty talizman Brama. Niezależnie od tego, z której strony go chwycił, w mroku poranka talizman świecił jak moneta, na którą pada promień słońca.

* * *

Przez kilkanaście dni wędrowali polnymi drogami, rozdzielającymi pola na wpół skoszonej pszenicy. Krajobraz był spokojny i przywodził na myśl atmosferę średniowiecza – wszędzie stare drzewa, ruiny, surowe granitowe skały sterczące jak zęby z pokrytych wypłowiałą zielenią wzgórz. Okolica była piękna, lecz bezludna. Pierwszego dnia ujrzeli wyglądających ze złocistego lasu dziewczynkę i chłopca, lecz na widok wędrowców dzieci uciekły i od tego czasu nie napotkali nikogo. Zabudowania, które mijali, były opustoszałe – od spichlerzy na słupach i starych kamiennych chat, po domy o dachach pokrytych czerwoną dachówką rozrzucone tu i tam na pagórkach. Łodygi roślin gięły się od podmuchów zimnego, listopadowego wiatru. Ciszę przerywał tylko rytmiczny śpiew Davida, który w kółko recytował zagadkę:

*Pod miejscem koronacji Teutonów
Leży klucz o czterech szczybinach.
Pośle on konia mego za horyzont,
Bym bezpiecznie zastukał do bram niebios.*

– Czy pani rozumie tę zagadkę? – zapytał Max pannę Boon.

– Mam pewne podejrzenia – odparła nauczycielka, pociągając łyceczek z manierki. – Zgadza się z Davidem, że Bram prawdopodobnie powierzył klucz Warsztatowi. Choć w rzeczywistości królów germańskich tylko wybierano we Frankfurcie, zaś koronowano w Aachen.

– Więc po co w ogóle potrzebny nam ten Warsztat? – dopytywał się Max. – Nie powinniśmy kierować się prosto do Aachen?

– I gdzie byśmy szukali? – spytała z uśmiechem panna Boon.

Max zastanawiał się przez chwilę. Wydawało się, że klucz to coś małego, a małą rzecz można ukryć niemal wszędzie – w skrzyni, w książce, pod brukiem ulicy.

– Nie wiem – przyznał.

– Dlatego musimy zacząć poszukiwania od Warsztatu – rzekła panna Boon.

– Ale na spotkaniu Rasmussen nie chciał nawet uwierzyć, że Księga Thotha w ogóle istnieje – przypomniał Max. – Czy byłby tak sceptyczny, gdyby wiedział, że w jego Warsztacie ukryty jest klucz do jej znalezienia?

Panna Boon przystanęła i spojrzała na Maxa pytająco. Odpowiedź spłynęła na chłopca w jednej chwili.

– Kłamał! – zawołał, przypominając sobie suchy, sarkastyczny wyraz twarzy mężczyzny. – Tylko udawał, że nic o tym nie wie. Pewnie ci w Warsztatach chcieliby sami znaleźć księgę!

– Jest to jakaś możliwość – rzekła panna Boon. – I dlatego musimy zachować wielką ostrożność, kiedy już tam dotrzemy. Rasmussen pomógł nam ocalić was z rąk wiedźm tylko dlatego, że miał w tym osobisty interes.

– Ale co go może obchodzić David albo ja? – zapytał Max, przyglądając się dużemu ptakowi, który krążył wysoko nad dalekim gospodarstwem.

– O, bardzo go obchodzie – zaczęła tłumaczyć nauczycielka. – Związek Rowan i Warsztatu jest kruchy. Współpraca jest okresowa, choć spokojna. Wiedźmy natomiast to zupełnie inna historia. Wiedźmy są zaciekłymi wrogami Warsztatu, Max. Rasmussen doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że David i ty możecie zostać potężnymi czarnoksiężnikami, jeśli tylko wiedźmy się wami posłużą.

Max usłyszał za plecami jęk. Odwrócił się i zobaczył, że tata opiera się ciężko o duży przydrożny kamień. Podczas ich długotrwałego marszu Mamuśka często narzekała, lecz pan McDaniels walczył dzielnie, z zacięciem i cichą determinacją. Max podziwiał go za to, lecz wiedział, że przebyte kilometry w końcu podkopią siły ojca. Max skrzywił się, gdy zobaczył, że pulchna

stopa taty, gdy zdjął skarpetę, jest cała w pęcherzach. Cooper zatrzymał się i zawrócił ku nim.

– Przepraszam – sapnął ciężko pan McDaniels, kiedy agent podszedł, by sprawdzić przyczynę postoju. – Wiem, zatrzymywaliśmy się już parę godzin temu.

Cooper kiwnął głową i wyciągnął z plecaka mały słoiczek jakiejś żółtej maści.

– Balsam moomenhoven – mruknął – uśmierzy ból i wygoi rany.

Nabrał trochę maści i wsmarował ją delikatnie w stopę pana McDanielsa i ten od razu odetchnął z ulgą. Zmarszczył czoło i zaczął przebierać palcami stóp.

– Znakomite! – wykrzyknął zdumiony, a jego policzki się zaróżowiły. – Te moomenhoveny zrobiłyby fortunę, gdyby wypuściły coś takiego na rynek!

Mamuśka z westchnieniem ulgi opadła na głaz obok McDanielsa.

– Ja też chcę trochę maści – zawiadomiła, ściągając ciężki bucior i odsłaniając szarozieloną stopę o trzech ostro zakończonych palcach. David z ciekawością spoglądał na tę zniekształconą kończynę. Nick natomiast powąchał ją i miauknął. Cooper potrząsnął głową i mocno zakręcił pokrywkę.

– Wszystkich bolą nogi, moja droga – rzekł. – Wkładaj z powrotem but. Maść stosujemy tylko w razie konieczności.

Max nie słuchał już daremnych protestów więdźmy, bo coś innego przykuło jego uwagę. Daleko na drodze

wznosił się mały obłoczek kurzu. Coś się zbliżało.

– Cooper – rzekł Max ostrzegawczo.

Agent szybko odwrócił głowę i spojrzał tam, gdzie wskazywał palec chłopca.

– Z drogi – rzucił i sięgnął po plecak. – Z drogi, szybko!

Prędko zeszli z traktu i pobiegli przez ściernisko ku następnemu polu, gdzie zboże nie zostało skoszone. Max, dysząc, rzucił się płasko na ziemię i pomiędzy kiwającymi się na wietrze łodygami patrzył, co się dzieje. Słychać było niski warkot silnika Diesla. Po chwili na drodze pojawiła się biała ciężarówka w obłoku kurzu. Zwolniła i zatrzymała się przy samotnym dębie. Z paki wyskoczyło kilkunastu mężczyzn w roboczych ubraniach i powłócząc nogami, podeszło do drzwiczek szoferki. Każdy z nich niósł na ramieniu strzelbę, a na przedramieniu miał jaskrawoczerwoną opaskę. Jeden z mężczyzn wskazał na coś, co leżało nieco dalej na drodze. Max usłyszał, jak Cooper klnie pod nosem.

Na skraju drogi leżał bowiem czarny, nieforemny but Mamuśki.

Został podniesiony i wręczony mężczyźnie w szoferce.

Drzwiczki otworzyły się i z wozu wyskoczył wysoki mężczyzna. Choć na rękę miał także czerwoną opaskę, ubrany był raczej formalnie – w oliwkowy płaszcz i czarny kapelusz. Sprężystym krokiem podszedł do miejsca, w którym przed chwilą leżał but Mamuśki, i

przykucnął, by przyjrzeć się śladom. Następnie wyprostował się i zaczął bacznie przyglądać polu, na którym leżeli.

Zawołał jednego z mężczyzn, który szybko do niego podszedł. Kiedy rozmawiali, podmuch zimnego wiatru zakołysał łanem pszenicy. Metaliczne łuski Nicka zadrżały. Max dostrzegł buszującego w zbożu szczura.

– Nie – szepnął, schwycił lymrilla i przyciągnął go do siebie. Nick prychnął gniewnie i przez moment próbował wyrwać się z objęć opiekuna w sposób, mówiąc oględnie, nieco dla niego bolesny. Max zacisnął zęby i głaskał miedziane łuski na brzuchu Nicka, dopóki szczur nie odszedł, a lymrill nie uspokoił. Max wstrzymał oddech i znowu wyjrzał na drogę.

Człowiek w kapeluszu przyglądał się okolicy przez lornetkę. Upłynęło wiele minut, zanim schował ją do kieszeni płaszcza, odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu. Parę sekund później ciężarówka powoli zawróciła i odjechała.

– Niech nikt się nie rusza – syknął Cooper. – Leżcie tu, dopóki nie wrócę.

Kiedy agent czołgał się przez pole pszenicy, Max leżał na twardej ziemi, oddychał głęboko i powoli i starał się nie zwracać uwagi na tępy ból ręki, w którą ugryzł go Nick. Zanim wrócił Cooper, minęła prawie godzina. Nawet Mamuśka nie śmiała w tym czasie ani razu zakłócić ciszy.

– Możecie wstać – oznajmił Cooper cichym głosem.

– Zatrzymali się trochę dalej, ale już ich nie ma.

Agent dźwignął swój plecak i zarzucił go sobie na ramiona.

Reszta zaczęła gramolić się na nogi, strzepywać kurz i źdźbła słomy z ubrań. Mamuśce było wyraźnie głupio.

– Przepraszam za ten but – zaskrzypiała. – Wpakowałam nas w kłopoty, co?

– Zobaczyli ślady – rzekł agent. – Wiedzą, że ktoś tu był, a ten facet w kapeluszu to bez wątpienia ktoś ważny.

– To był wielok, wiecie o tym? – spytała Mamuśka.

– Skąd wiesz? – nerwowo zapytał David.

Wiedźma donośnie pociągnęła nosem, ustawiła swoje duże, wilgotne nozdrza pod wiatr i przez dłuższą chwilę tak je trzymała.

– Wszyscy byli wielokami? – chciał wiedzieć Max.

– Nie, tylko ten wysoki – odparła autorytatywnie Mamuśka. – Nie czuliście, że ci inni się go strasznie boją?

Max potrząsnął głową.

– Nie wiem, jak możesz tego nie czuć. – Wiedźma prychnęła i obrzuciła chłopca pogardliwym spojrzeniem.

– Jeśli był wielokiem, to dlaczego nas nie wyczuł? – spytała panna Boon.

– Bo byliśmy pod wiatr, nie z wiatrem, oczywiście – wyjaśniła Mamuśka. – A do tego jego węch jest słabutki w porównaniu z moim.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co to takiego wielok? – domagał się pan McDaniels, rozcierając ramiona i nerwowo spoglądając na drogę.

– Istota, która potrafi zmieniać postać – wyjaśnił Cooper. – Niezwykle inteligentna. W zwierzęcej postaci wygląda jak wilkołak.

– Ale wieloki są z reguły większe – dodał Max.

– I mają okropne, zezowate oczy – dorzucił David.

Na twarz McDanielsa wyszedł grymas.

– Wszystko to prawda – podsumował Cooper. – Jeśli to rzeczywiście były wieloki, to nie mam wątpliwości, że szukały właśnie nas. Zapewne ktoś nas widział i doniósł o tym.

– Te dzieci? – zapytała panna Boon.

– Bardzo możliwe – odparł agent, uważnie rozglądając się po okolicy, która szybko ciemniała w zapadającym zmierzchu. – Nie trzeba było ich puszczać.

– Ale to były tylko dzieci, Cooper – ostrzegawczym tonem zaprotestowała panna Boon.

– Nie, panno Boon. Przyjeliśmy, że były to dzieci – odparował Cooper, po czym wręczył Mamuśce grubą skarpetę, by mogła ochronić gołą stopę, i poprowadził ich daleko od drogi.

Pięć dni później Max stał na brzegu rzeki Tormes i przyglądał się Salamance. Miasto błyszczało jak brylant. Po wielu dniach i nocach wędrówki przez ciemną hiszpańską prowincję przyciągało wzrok eksplozją złotego światła.

Tętniło w nim nie tylko światło, ale i muzyka. Chłodne nocne powietrze doskonale niosło odległe

dźwięki trąbek, rogów i bębnów.

Cooper kazał im okrążyć miasto tak, żeby mogli do niego wejść z drugiej strony. Max uznał, że było to mądre posunięcie, lecz teraz okazało się, że aby dostać się do Salamanki, muszą przejść przez wąski most z czasów starożytnego Rzymu, z pewnością pilnie strzeżony.

– Jak myślicie, dlaczego to miasto jest tak bardzo oświetlone? – zapytał David. – Wygląda, jakby coś świętowali.

– Nie wiem – odparł Cooper. Postawił na ziemi plecak i zaczął grzebać w jego kieszeniach. Po chwili wyciągnął czarne aksamitne zawiniątko zawierające włócznię Cúchulaina.

– Max, czy możesz to sobie wsunąć do rękawa? – spytał.

Chłopiec zerknął na swego wymęczonego wędrowką tatę. Pan McDaniels posepnie spojrział na czarne zawiniątko, lecz mimo wszystko skinął głową. Max wsadził dłoń między warstwy materiału i wyciągnął włócznię.

– Teraz uważaj – ostrzegł go Cooper – bo wciąż jest bardzo ostra.

Max odpiął guziki mankietu koszuli i wsunął broń do rękawa, wzdłuż wewnętrznej strony prawego ramienia. Mimo że złamana, włócznia była trochę za długa – sięgała mu powyżej łokcia. Będzie musiał trzymać prawą rękę sztywno. Zimne ostrze zaczęło wydzielać przyjemne dla skóry ciepło.

Cooper napisał jakiś adres na skrawku papieru i podał go pannie Boon.

– Zmienimy wygląd za pomocą mistyki – wyjaśnił grupie. – Ja wejdę pierwszy, przed wami, na wypadek, gdyby umieli wykrywać iluzje. Jeśli coś się wydarzy i zostaniemy rozdzieleni, proszę poprowadzić ich pod ten adres. Czy będzie pani w stanie to zrobić, panno Boon?

– Oczywiście – odpowiedziała młoda nauczycielka. Przełknęła z trudem ślinię i spojrzała przez rzekę na miasto.

– Panie McDaniels, pan będzie musiał wziąć Nicka.

Chwilę później tata Maksa jęknął, wzięwszy na ręce okropnie ciężkie stworzenie wielkości wydry.

– Ależ on waży chyba z pięćdziesiąt kilo! – sapnął, po czym zamilkł, ponieważ usłyszał Coopera. Agent niskim głosem mruczał jakieś słowa w nieznanym języku. Strzępy mgły znad rzeki uniosły się i szczelnie ich spowiły. Złote światła Salamanki zniknęły na chwilę, ale pojawiły się znowu, gdy tylko mgła rozeszła się po czystym, rozgwieżdżonym niebie.

– Nie odzywajcie się, chyba, że będzie to absolutnie konieczne – rozkazał Cooper. – A teraz za mną.

Kiedy tak sunęli wzdłuż brzegu rzeki, Max czuł się całkowicie obnażony. Cooper szedł sporo przed nimi, wysoki i budzący grozę w swojej czarnej wełnianej czapce naciągniętej na białą, pokrytą bliznami twarz. Przy wejściu na most stało dwóch Hiszpanów z czerwonymi opaskami na ramionach. Podawali sobie właśnie butelkę,

gdy Cooper swobodnie przeszedł obok nich, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich pistolety. Gdy ich mijął, pomachał przyjaźnie.

Panna Boon otarła perlisty pot z czoła.

– Za mną – szepnęła i poprowadziła grupę na most.

– *Buenas noches, abuelita* [(hiszp.) – Dobry wieczór, babciu.] – odezwał się jeden ze strażników i kiwnął do panny Boon głową.

Był bardzo młody – nie więcej niż rok, może dwa starszy od Maksa i Davida. Uchylił czapki i pomachał im, gdy mijali bramę miasta. Przechodząc, Max zerknął na opaskę, którą chłopak miał na ramieniu, i zobaczył, że nie była ona po prostu czerwona. Widniał na niej czerwony okrągły znak, zawierający gwiazdę i kilka dziwnych symboli, które przypominały mu ilustrację z Kodeksu czarodziejskich wezwań. Nie śmiał jednak patrzeć na opaskę dłużej. Idący przed nimi Cooper był już w połowie mostu. Jego czarna sylwetka ostro rysowała się na tle złocistej ściany światła. Kiedy Max przekroczył rzekę, oniemiał. Zobaczył coś, czego nie widział nigdy dotąd.

Miasto wypełnione było ludźmi – i młodymi, i starymi, a wszyscy tańczyli w takt muzyki, która istną kakofonią zalewała ulice. Na każdym bowiem rogu grała grupa muzykantów. Była już prawie północ, lecz małe dzieci, chichocząc, ganiały się po ulicach. Nie tylko dzieci biegały. Max zobaczył również wysokie postaci w przebraniach i maskach z wymalowanymi twarzami – jedne uśmiechnięte, inne z wąsami, o różowych

policzkach. Przebierańcy nosili wysokie, spiczaste kapelusze, które chwiały im się na głowach, kiedy te budzące grozę postaci biegły niczym fala przez tłum.

Cooper zatrzymał się nagle i przywitał z jakimś zamaskowanym przechodniem, po czym skierował się prosto w stronę szerokiej alei z obu stron zabudowanej domami z piaskowożółtego kamienia. Max ruszył za agentem, lecz nagle tuż przy nim ktoś zadał w trąbę i chłopiec instynktownie podniósł ręce, by zatkać uszy. Natychmiast spostrzegł, że tym gwałtownym ruchem zwrócił na siebie uwagę jednego z przebierańców, który właśnie przebiegał obok. Ów ktoś zatrzymał się jak wryty i przechylił głowę, by przyjrzeć się chłopcu.

– Spokojnie – odezwała się panna Boon, ściskając Maksa za rękę, kiedy maska o martwych oczach pochyliła się ku niemu.

– *Es tu hora de acostarte, muchacha?* [(hiszp.) – O tej porze zwykle chodzisz spać, mała?] – zagdakała osoba w masce wysokim głosem i wyciągnęła rękę w rękawiczce, by poklepać Maksa po ramieniu drewnianą pałką. Obok przebiegła z chichotem zgraja dzieciaków i przebieraniec bez zastanowienia przyłączył się do nich. Max patrzył, jak znikają w bocznej uliczce. Jego wzrok padł na grupę mężczyzn w płaszczach i kapeluszach, którzy przyglądali się całemu zajściu spod płóciennej markizy ulicznej kafejki.

Panna Boon pociągnęła chłopca za rękaw. Max poszedł za nią ulicą, w której zniknął Cooper. Przebijali

się pod prąd rozhulanego tłumu.

Poruszali się w bezpiecznej odległości za Cooperem. Mijali właśnie potężny gmach uniwersytetu. Jego wyrwane z zawiasów drzwi leżały połamane i powyginane pod łukiem wejściowym. Idąc dalej, Max stwierdził, że wiele budynków zniszczono, spalono lub ogołoco z wyposażenia. Wszędzie leżało potłuczone szkło, widać też było ślady ognia na murach. Za to niektóre domy pozostały nietknięte i chłopiec szybko zauważył, że były to te, na których widniał taki sam symbol jak na czerwonych opaskach strażników. Niektóre z owych znaków narysowano z pieczołowitością, inne zaś nabazgrano byle jak nad drzwiami czy oknem, najwyraźniej w szalonym pośpiechu.

Minęli jeszcze kilka przecznic i Cooper wreszcie zatrzymał się przed małą księgarnią mieszczącą się w budynku z tak popularnego w mieście żółtego kamienia. W oknach było ciemno. Nad drzwiami widniał starannie wymalowany znak Astarotha.

Agent spojrział w górę ulicy i gestem nakazał grupie się pospieszyć. Max zatrzęsł się i zaczął rozcierać ręce, gdy Cooper nacisnął dzwonek. Nikt nie otwierał. Cooper zmarszczył czoło i zadzwonił znowu. Kolejna fala przebierańców przebiegła koło nich przy akompaniamencie talerzy, na których grało na rogu ulicy kilku wesołych grubasów. Cooper patrzył za mężczyznami w maskach, a kiedy zniknęli, znowu zadzwonił do drzwi.

W oknie na górze zapaliło się światło. Kilkadziesiąt sekund później drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna o białych włosach i inteligentnych oczach za grubymi okularami. Na jego twarzy widać było irytację. Sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu drobnych, żeby rzucić je za drzwi pukającym. Spojrzał na nich – Z wyraźną dezaprobatą i odwrócił się, by zamknąć drzwi.

– Potrzebujemy schronienia, bracie Lorca – szybko powiedział Cooper.

Oczy mężczyzny szeroko się otworzyły, jakby zobaczył ducha.

– Który z was to William? – zapytał szorstko, przenosząc wzrok z twarzy na twarz.

– Ja – rzekł Cooper i skłonił głowę.

– Co jest moją jedyną miłością? – zapytał mężczyzna i niecierpliwie pstryknął palcami.

– Masz ich dwie – odparł Cooper. – Wina z Rioja i niezrównaną Marię.

Nieprzyjazny wyraz twarzy starszego pana zmienił się w jednej chwili w jasny, promienny uśmiech. Drzwi szeroko otworzyły się przed przybyszami.

Wszyscy wcisnęli się do małego holu, a mężczyzna zamknął i zaryglował ciężkie drzwi. Gdzieś z eleganckiej klatki schodowej, która prowadziła w górę i zniknęła w mroku, kobiecy głos zawołał:

– *Quién está allí? Envielos lejos!* [(hiszp.) – Kto tam jest? Odeślij ich stąd precz!]

– Ej, ej! – zbeształ niewidoczną kobietę señor Lorca i

zaśmiał się ostro. – Mario, zejź na dół. Przyszedł William z przyjaciółmi, choć wygląda teraz o wiele piękniej niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem.

Cooper kiwnął głową. Uwagę całej grupy przyciągnęło stojące nieopodal barokowe lustro. Zobaczyli w nim: dwóch starzejących się mężczyzn, pulchną zakonnice, starszą kobietę w brązowym szalu oraz dwie dziewczynki mniej więcej pięcio- sześćoletnie. Pulchna zakonnica wyciągnęła palec wskazujący:

– To niby ja? – spytał pan McDaniels.

– W całej okazałości – odparł Cooper.

Pan McDaniels odwrócił się od lustra i zaczął lustrować się od stóp do głów.

– Przecież wyglądam normalnie – wykrzyknął, dotykając palcami ubrania.

– Lustra odbijają iluzje – wyjaśnił Cooper. – Warto wiedzieć.

Max pomachał do zwierciadła. Odmachała mu owinięta chustą czarnowłosa dziewczynka o okrągłej twarzy. Wszyscy nosili na ramionach czerwone opaski.

– Czy ktoś was śledził? – spytał señor Lorca, ryglując drzwi.

– Nie – odpowiedział Cooper i wyjrzał na moment przez okno księgarni, po czym zasunął ciężkie, purpurowe story.

Hiszpan mruknął coś z uznaniem i poprowadził grupę przez duży, dwupoziomowy pokój, w którym na regałach za błyszczącymi szklanymi drzwiami stały rzędy starych

manuskryptów, tekstów i tabliczek. Kiedy minęli ów pokój, Max stwierdził, że tylko frontowa część budynku mieściła księgarnię, natomiast pomieszczenia z tyłu pełniły rolę mieszkania. Weszli do obszernej, wygodnej kuchni o ścianach ozdobionych freskami, wiszącymi roślinami i lśniącymi miedzianymi rondlami.

– Och! – tyle zdołał z siebie wydusić pan McDaniels, gdy zobaczył sporych rozmiarów ser i wiszącą na haku szynkę.

Señor Lorca zapalił kilka świec i postawił je na masywnym stole z wypolerowanego dębu, po czym opadł na krzesło i przyglądał się grupie, która nadal stała ściśnięta w drzwiach kuchni.

– William, dość tych sztuczek, chcę zobaczyć twoje prawdziwe oblicze – zagrzmiał.

Cooper mruknął parę słów pod nosem. Max nie odczuł żadnej różnicy, lecz starszy pan wyprostował się i z wrażenia głośno złapał oddech. Jego uwaga natychmiast skupiła się na Maksie i Davidzie.

– Przyprowadziłeś ich tutaj? – nie mógł uwierzyć. – To dziwny omen – powiedział pod nosem i spojrzał w stronę starych, zniszczonych schodów.

– Znasz ich? – zapytał cicho Cooper. – Ich twarze?

Señor Lorca kiwnął ponuro głową i podniósł się.

– Tak. I witam was, Davidzie Menlo i Maksie McDaniels. Jestem zaszczycony. – Señor Lorca podszedł do nich z wyciągniętą dłonią. Miał w sobie jakąś spokojną powagę i elegancką pewność siebie w ruchach. Jego profil

był zarazem ostry i urodziwy, nietknięty wiekiem. Kiedy Lorca podał Maksowi rękę, chłopak zobaczył na jego pergaminowej skórze kilkanaście szram. Señor cmoknął Mamuškę w policzek, a potem nachylił się nad Nickiem, który przysiadł na tylnich łapach i zapalczywie wwąchiwał się w cudowne aromaty kuchni.

– Na niebiosa – rzekł – czyżby to był lymrill?

– Tak, proszę pana – odparł Max.

– Cudowna istota. – Starszy pan wyciągnął rękę, by pogłaskać Nicka po łuskach. Ogon lymrilla zagrzechotał i zwierzak wysunął straszliwe, zakrzywione pazury, by rozprostować je z zadowoleniem. Pazury zaczęły drapać czerwone zniszczone płytki kuchennej podłogi.

– Nick! Nie! – zganił go Max i w tej samej chwili u stóp schodów ukazała się starsza pani w jedwabnym niebieskim szlafroku. Była wyraźnie zdezorientowana i spoglądała raz na Nicka, raz na resztę przybyszów.

– Ech! – zakrzyknął señor Lorca i machnął ręką na szkodę wyrządzoną przez Nicka. – Nie każdy ma szczęście, by gościć lymrilla we własnej kuchni. Oto moja Maria, poznajcie się.

Kobieta uśmiechnęła się uprzejmie, lecz witała się ze wszystkimi pospiesznie, dopóki nie doszła do Coopera.

– Mój William – powiedziała tkliwie. Ściągnęła mu czarną czapkę i wzięła jego głowę w dłonie. Wpatrywała się z czułością w twarz agenta, powodując, że jego blade, zniekształcone bliznami rysy wykrzywiły się w coś, co można by nazwać uśmiechem. Kobieta poklepała go

delikatnie po twarzy, a potem szturchnęła w brzuch. – Za chudy – orzekła kategorycznie i zmarszczyła brwi. – Ktoś mi głodzi chłopaka.

– Ćśśś, Mario – uciszył ją Cooper. – Gotuje Mamuśka.

Señora Lorca spojrzała na wiedźmę, która stała z miną tak pochmurną, że można było się jej przestraszyć. Starsza pani roześmiała się, wzięła Mamuśkę pod rękę i poprowadziła w stronę przylegającej do kuchni spiżarki.

– Więc jesteś kucharką, tak? W takim razie pomożesz mi go trochę podtuczyć!

Pół godziny później nawet pan McDaniels machnięciem ręki podziękował za kolejną dokładkę potrawy o nazwie fabada, czyli sycącego gulaszu z wieprzowiny, kiełbasy oraz fasoli w aromatycznym rosole. Señor Lorca z wyraźnym zadowoleniem na pokrytej zmarszczkami twarzy co chwila uzupełniał kieliszek taty Maksa mocnym czerwonym winem.

– To pańska pierwsza porządna kolacja od dłuższego czasu, prawda? – spytał.

– Wyborna – sapnął McDaniels i wytarł usta serwetką.

– Dobrze – rzekł señor Lorca. – Lubię patrzeć, jak pan je. Przypomina mi to czasy mojej młodości. Teraz już tylko dziobię jedzenie, jak ptaszyna. – Tu wzniósł oczy w górę i westchnął. – Przyjacielu, musisz być zmęczony – odezwał się po chwili.

Pan McDaniels, nieco oszołomiony, kiwnął głową.

– I ja jestem śpiąca – wychrypiała Mamuśka, która siedziała przy stole na kilku dodatkowych poduszkach na krześle. – Tęsknię już za swoim kredensem.

– Mamy w domu wiele łóżek i kilka łazienek, lecz niestety kredensu gościnnego nie – zaśmiała się Maria. – Ale mam za to bieliźniarkę, może ci się spodoba. Chodźmy.

Pan McDaniels i Mamuśka wyszli za señorą Lorca z kuchni. Jej mąż odprowadził wychodzących błyszczącymi oczami, po czym westchnął i poklepał Coopera po ręku.

– William, jak dobrze cię widzieć. A teraz może mi wytłumaczysz, po co przyprowadziłeś do mnie tę dwójkę.

– Cooper – zaprotestowała panna Boon – może nie powinniśmy poruszać pewnych tematów.

– Bez obaw, panno Boon – łagodnie uspokoił ją agent. – Antonio już nie raz ocalił mnie z tarapatów.

– Czyli jest pewny? – dopytywała nauczycielka, mieszając czarną kawę.

Señor Lorca spojrział na pannę Boon z rozbawieniem. Odsunął się z krzesłem od stołu i zdjął z małego antycznego stolika obok oprawioną fotografię, a następnie podał ją młodej nauczycielce. Panna Boon spojrzała na zdjęcie i od razu przeniosła zdumiony wzrok na zmieszanego Coopera.

– Tak – potwierdził gospodarz – to nasz William i ja, parę lat temu.

Max pochylił się w stronę panny Boon, by rzucić

okiem na zdjęcie. Przedstawiało señora Lorcę, któremu pani Richter wręczała medal w jakiejś wielkiej sali. Włosy señora były wtedy ciemniejsze, a linia podbródka ostra i zdecydowana. Lecz nie na młodszą wersję pana Lorki zapatrzył się Max. Chłopiec nie mógł wprost oderwać wzroku od Coopera.

Max rozpoznał go na zdjęciu tylko po charakterystycznej postawie – ręce złożone, głowa przechylona w zamyśleniu. Max mrugnął i spojrział raz jeszcze. Na fotografii nie było blizn, nie było łąt błyszczącej, napiętej skóry ani zeszpeconych rysów. Młody człowiek stojący u boku señora Lorki miał wyraziste, męskie rysy twarzy, nos boksera i lśniące niebieskie oczy, które z zadowoleniem patrzyły na wręczany mu właśnie medal.

– Antonio, to stare zdjęcie – rzekł Cooper i łagodnie wyjął je z rąk panny Boon, po czym ustawił z powrotem na stoliku.

Señor Lorca chrząknął i podwinął rękaw. Max pochylił się i dostrzegł na nadgarstku czerwony tatuaż, niewyraźny i wyblakły niczym stary siniak. Widział już ten znak. Nie raz.

– Cudownie – westchnęła panna Boon, przyjmując ton cierpkiego sceptycyzmu. – Kolejny członek Czerwonego Bractwa. Czy mam to odbierać jako potwierdzenie, że to komandor Wiljak kieruje naszą misją?

– Nie wiem nic na temat waszej misji, panno Boon –

odezwał się starszy pan. – Lecz nie jesteście pierwszymi gośćmi, których przyszło mi dziś przyjmować.

– Kto tu był? – chciał wiedzieć Cooper.

– Hiszpańskie przedstawicielki rodu wiedźm – odparł stary agent i nalał sobie kawy. – Dziś rano. Myślałem, że to znowu te rozkrzyczane dzieciaki albo idioci w maskach, *los peliqueiros*, [(hiszp.) – rodzaj maski karnawałowej.] pukają do drzwi i chcą, żebyśmy się przyłączyli do festiwalu. Odkąd Demon odwiedził to miasto, schodzą się z okolicy i zachowują tak, jakby co dzień trwał karnawał. Salamanka oszalała.

– Był tu Astaroth? – spytał David, wyprężając się na krześle jak struna.

– Tak, mój chłopcze. Trzy tygodnie temu. Przybył i przemówił do ludu na Plaza Mayor. Mamy jeszcze elektryczność tylko dlatego, że obdarzył miasto swoim „błogosławieństwem”. Obchody mają trwać sto dni.

David zrobił zagadkową minę, przeprosił i wstał od stołu. Po chwili wrócił z *Kodeksem czarodziejskich wezwań* i położył książkę przed osłupiałym agentem.

– Czy tak wyglądał? – pokazał na rycinę.

– Tak – powiedział señor Lorca i przetarł chustką okulary. – Może nie aż tak młodzieńczo, ale widzę wielkie podobieństwo. Skąd masz tę księgę?

– Z Archiwum – odparł David. – Z działu ksiąg zakazanych.

– Spryciarz z ciebie – powiedział gospodarz, wpatrując się w rysunek.

Panna Boon jednym ruchem porwała książkę sprzed nosa señora Lorki i rzuciła okiem na okładkę, po czym zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

– David – zaczęła – mam nadzieję, że niczego nie... zrobięś.

– David milczał. Max pomyślał o tajemniczym sposobie, w jaki David uzyskał informacje o sytuacji na świecie jeszcze na pokładzie „Erasmusa”.

– Davidzie Menlo – powtórzyła panna Boon. – W tej chwili mi obiecuj, że nie będziesz próbował wypowiadać żadnych wezwań z tej książki.

David milczał. Złożył po prostu ręce na brzuchu i wpatrywał się w żółtą strużkę stearyny, która ściekała ze świecy.

– Davidzie, przyrzeknij – powtórzyła nauczycielka jeszcze raz, stukając paznokciem w blat stołu.

– Nie mogę, panno Boon – miękko odpowiedział David, unikając jej wzroku. – Tam jest napisane, że Astaroth musi mówić prawdę i...

– W takim razie ja tego dopilnuję – przerwała panna Boon, jednym ruchem zatrzasnęła książkę i umieściła ją sobie na kolanach.

David poderwał głowę. Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, lecz po chwili zamknął je powoli. Cooper pochylił się, by spojrzeć na tytuł, a potem przeniósł wzrok z powrotem na starego przyjaciela.

– Czego chciały wiedźmy? – zmienił temat.

– Tych dwóch. – Señor Lorca gwałtownie machnął

łyżeczką w stronę Davida i Maksa. – Podejrzewają, że Rowan spróbowało chytrej sztuczki i powierzyło opiekę nad nimi jakiemuś agentowi odszczepieńcowi. Nic o tym nie wiedziałem i tak też im powiedziałem. Myślały wcześniej, że jesteś w Portugalii, lecz teraz wiedzą, że w Hiszpanii. Obiecały mi dozgonną wdzięczność, jeśli będę na ciebie uważał. – Señor potrząsnął głową i upił łyżeczek kawy.

Panna Boon poruszyła się niespokojnie na krześle. Max rozejrzał się nerwowo po starym domu.

– A skąd więdźmy wiedziały, gdzie mieszkaś, Antonio? – cicho zapytał Cooper.

– W przeszłości pomagaliśmy sobie nawzajem – odparł señor Lorca. – Na starość były mi pomocne.

– Wpuściłeś je do domu? – chciał wiedzieć agent.

– Wiem, co masz na myśli, lecz bądź spokojny, na pewno nie ma w tym domu ich pomocnic. Po kątach nie kryją się żadni mali szpiedzy – uspokoił go Lorca. – Jestem stary, to prawda, lecz jeszcze nie na tyle głupi, by się nabrać na ten prymitywny trik, Williamie.

Cooper przytaknął, lecz wstał i długimi krokami zaczął przemierzać kuchnię.

– To był błąd, przychodzić tutaj! – wybuchnął. – Ten dom będzie obserwowany. Miałem nadzieję, że parę dni tu odpoczniemy, ale to niemożliwe.

Max westchnął w duchu. Był zmęczony wędrówką i spaniem w namiocie. Perspektywa paru nocy w ciepłym, miękkim łóżku była taka kusząca. Wiedział jednak, że

Cooper ma rację.

– Więc gdzie pójdziecie? – spytał señor.

– Do Niemiec – odrzekł Cooper.

– Hmm. – Lorca złożył dłonie tak, że palce stykały się ze sobą. – Uważaj, Williamie. Nie czeka cię tam nic lepszego niż więdźmy. Lecz jeśli rzeczywiście musicie ruszać, to może chociaż na coś się przydam.

Cooper patrzył na towarzysza z wyczekiwaniem.

– Chodzą niektóre pociągi – powiedział señor Lorca.

– Rządowe. Tylko dla najwyższych urzędników. Za dwa dni bylibyście w Niemczech.

– Możesz nam to załatwić? – zapytał Cooper.

– Mam dobre kontakty. A z twoim talentem do iluzji... Tak, powinno się udać – doszedł do wniosku stary agent. – Jutro rano popytam. Jeśli dopisze nam szczęście, to wieczorem będziecie już – w pociągu do Paryża, a stamtąd do Niemiec. Zgoda?

Cooper zerknął na pannę Boon, po czym powoli skinął głową.

– Musimy wiedzieć do południa – rzekł. – Jeśli nic nie będzie wiadomo, ruszymy piechotą.

– A więc mam dziewięć godzin – rzekł gospodarz. – A póki co odpocznij, przyjacielu.

Señor Lorca zgasił świece i tylnymi schodami poprowadził swych gości na drugie piętro, do ozdobnego holu zawieszzonego obrazami hiszpańskich artystów. Minęli drzwi, zza których dochodziło powolne, ciężkie chrapanie pana McDanielsa. Jeden but Mamuński

spoczywał przed stojącą w holu bieliźniarką z ciemnego drewna. Max i David dostali przestronny pokój we frontowej części domu, z oddzielną łazienką i dwoma niewielkimi łóżkami, zaopatrzonymi prócz pościeli w niebieskie piżamy i komplet białych ręczników. Gdy David nalewał wody do wanny, Max ułożył włącznie Cúchulaina na swojej poduszce i podszedł do łukowatego okna. Przez szparę w zasłonach patrzył na przemykające brukowaną uliczką postaci w maskach. Wyglądały jak szczerzące zęby szczury w wielkim labiryncie z kamienia i światła.

CZERWONA PRZYSIĘGA

Następnego dnia rano Max zajrzał do kuchni, w której señora Lorca i jego tata opróżniali spizarkę gospodarzy z szynek, serów i chlebów. Pakowali to wszystko do zniszczonego, lecz absolutnie bezdenne go plecaka Davida, który rok wcześniej stał się plecakiem magicznym. Mamuśka zawijała kanapki w woskowany papier, a Nick wyciągnął się jak sfinks na terakocie i delektował się kompletem starych łyżek stołowych. Max nie mógł znaleźć sobie miejsca. Przeszedł przez jadalnię, gdzie David sprzeczał się z panną Boon. Kodeks czarodziejskich wezwań leżał na stole, palce nauczycielki spoczywały spokojnie na jego purpurowej obwolucie.

– Gdzie Cooper? – zapytał Max.

Żywe oczy panny Boon, każde innego koloru, łypnęły na niego.

– Od świtu go nie ma – odrzekła. – Przypuszczam, że wyszedł, by zdobyć jakieś wieści. Przy okazji, chciałabym po śniadaniu odbyć z wami krótką lekcję.

– A gdzie señor Lorca? – spytał Max, odsuwając od siebie perspektywę zajęć z nauczycielką.

– Sprawdza połączenia kolejowe – odparła panna Boon. – Zaczynamy lekcję za kwadrans.

– Hmm – mruknął Max i wyszedł z jadalni do

niewielkiego gabinetu wyłożonego ciemną boazerią w żółty rzucik. Przyjrzał się małemu posążkowi z brązu i paru zdjęciom, po czym wymknął się przez drzwi prowadzące z pomieszczeń prywatnych do księgarni.

Z ulicy dochodziły nadal takie same jak w nocy odgłosy rogów i uderzeń w talerze. W pomieszczeniu było ciemno, przez wąziutką szparę w purpurowych storach wpadała tylko cienka smuga światła. Max wolno przeszedł się dookoła pokoju i zatrzymał przy wysokim regale oznaczonym mosiężną tabliczką z napisem: INDEX LIBRORUM PROHIBITORUM.

– Znasz łacinę? – spytał ktoś za jego plecami. To señor Lorca stał w drugim końcu pokoju i zdejmował czarny płaszcz. Siwe włosy miał zebrane do tyłu, a policzki zaróżowione od chłodu listopadowego poranka.

– Tak, proszę pana – odparł Max. – To znaczy, że te książki są zakazane.

– I takie też były – wyjaśnił stary agent. Podszedł do Maxa i zapatrzył się na tomy za szklanymi drzwiami. – Wieki temu Kościół postanowił sporządzić listę książek – indeks ksiąg zakazanych. Były to herezje, bluźnierstwa! Ten, kto taką księgę posiadał, wiele ryzykował. Więzienie, ekskomunikę... i jeszcze gorsze rzeczy. W czasach inkwizycji wszystko było możliwe.

– Ale ja słyszałem o tych autorach – rzekł Max, wbijając ręce głęboko w kieszenie. – Kant, Voltaire, Locke... co w nich takiego niebezpiecznego?

Señor Lorca zaśmiał się. Jego oczy zabłysły jak dwa

małe miedziane pieniądze.

– Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż idea. Idee niosą ze sobą zmianę, a ludzie strasznie boją się zmian. – Señor Lorca otworzył szklane drzwi, by wydobyć jakiś oprawiony delikatny manuskrypt o tytule *De revolutionibus orbium coelestium*. – Czy wiesz, co powiedział Goethe o naszym przyjacielu Koperniku? Tym samym, który stwierdził, że nasza maleńka ziemia nie jest, broń Boże, centrum Układu Słonecznego?

– Nie – rzekł Max.

– Mgła i dym – szepnął señor Lorca i ruchem palców starego karciarza wyczarował unoszący się w powietrzu krąg białej pary. Dmuchnął nań delikatnie, a jego oddech zakrzywił brzegi orbity, aż rozwiała się w nicość. – Tyle rzeczy rozwiała się niczym mgła i dym! Co się stało z naszym Edenem, naszym światem niewinności, pobożności i poezji, świadectwem zmysłów, z naszą poetyczno-religijną wizją wiary? Rozumiesz, co miał na myśli Goethe?

– Chyba tak – odparł Max. – Kopernik zmienił sposób, w jaki ludzie widzieli świat.

– Świat, a przez to siebie samych – dodał señor Lorca i postukał w manuskrypt palcami, po czym schował go z powrotem za szybę. – To przerażało, Max. A przerażeni ludzie gotowi są dokonywać rzeczy strasznych. Astaroth bardzo dobrze to rozumie. Dowody masz na ulicach tego miasta.

Rozległo się pukanie do drzwi i śmiechy.

– Nie zwracaj na to uwagi – szepnął Lorca i podniósł palec do ust. – To te głupie dzieci łążą po domach i wyciągają ludzi, żeby przyłączyli się do zabawy. Zaraz sobie pójdą.

Pukanie powtórzyło się i dziecięcy głosik zawołał coś po hiszpańsku. Potem Max usłyszał dźwięk oddalających się kroków, który zmieszał się zaraz z hałaśliwą muzyką ulicy.

– W mieście jest okropnie? – spytał Max.

– Tak – odparł señor Lorca, posepnie kiwając głową.
– Zniszczyli mój piękny, stary uniwersytet. Zamieszkało w nim coś, o czym lepiej nie mówić. Profesorów aresztowano. Zawsze tak się dzieje w niespokojnych czasach. Jestem już wystarczająco stary, żeby mieć pewność. Na szczęście moja przechadzka nie była daremna. – Agent westchnął i pokazał chłopcu gruby plik podstemplowanych dokumentów i papierzysk.

– Z tym dostaniemy się do Niemiec? – spytał Max.

– Mam nadzieję – odpowiedział Lorca. – Poprosiłem dziś o niejedną przysługę. Jeśli coś się nie powiedzie, zajmie się wami William. Nie znam nikogo solidniejszego i pewniejszego niż on.

– To zabawne – rzekł Max, przywołując na myśl Coopera. – Nigdy nie myślałem o Cooperze, że może mieć inne imię lub...

– Inną twarz? – zgadł señor Lorca z uśmiechem pełnym zrozumienia.

Max kiwnął głową.

– Wiem – odparł starszy pan, podchodząc do regału, na którym w równiutkich rzędach stały pierwsze wydania ksiąg. – Młodym trudno sobie wyobrazić, że starzy byli kiedyś piękni i głupi, co? – Lorca schylił się, by wygładzić frędzle dywanika tkanego w ozdobny wzór. – Nasz William był najznakomitszym młodym agentem, jakiego widziało Rowan przez długie, długie lata. Wspominał, że to tobie powierzona została włócznia Cúchulaina.

– Tak. Leży na górze – potwierdził chłopiec.

– Okropna rzecz – oparł Lorca, podnosząc się ze zmarszczoną twarzą. – Oszpeciła naszego Williama.

– Ona? Ma coś wspólnego z Cooperem? – zapytał Max i podszedł bliżej.

Stary Hiszpan utkwiał spojrzenie w odbiciu chłopca w szybie regału.

– Włócznia jest złamana – powiedział. – Owszem, budzi grozę, lecz nie jest jeszcze w pełni sprawna. Cooper szukał kogoś, kto mógłby ją naprawić i spowodować, żeby znowu stała się magiczną całością.

– Kto to był? – chciał wiedzieć Max.

– Fomorianin – wymawiając to słowo señor Lorca pozwalał powoli spłynąć ze swego języka każdej sylabie. – Starożytny gigant, kryjący się po dziś dzień na Wyspie Man. Ostatni. Wszystkich innych wybiliśmy. Fomorianin to niezrównany rzemieślnik i świetnie zna się na Starej Magii. Rozumie tajemnice powstawania takich przedmiotów.

– I Cooper zabrał do niego włócznie? – cicho spytał Max.

– Właśnie – westchnął señor Lorca. – Wiesz, z jakim skutkiem. To ja go znalazłem. Nie przypuszczaliśmy, że przeżyje. – Starszy pan potrząsnął głową na to wspomnienie.

– Fomorianie muszą być potworni – rzekł Max.

– Ich obecność jest najstraszniejsza ze wszystkiego, czego w życiu doświadczyłem. – Lorca zamknął oczy. – Nie widziałem potwora, lecz on widział mnie. Bardzo dziwne uczucie, Max. – Nagle zdajesz sobie sprawę, że Śmierć jest tuż, tuż i twój czas na ziemi właśnie dobiegł końca. Nigdy się nie dowiem, dlaczego pozwolił nam odejść.

– Poszliście tam z innymi agentami? – dopytywał Max.

– Nie. Są pewne sprawy, które trzeba załatwić samemu.

Señor Lorca otworzył oczy i badawczo spojrzął na Maksa, jakby nagle sobie przypomniał, że chłopiec wciąż tam stoi.

– Chciałbym ci coś podarować – powiedział gwałtownie.

Przeszedł przez pokój i zbliżył się do jednego z regałów, z którego wyciągnął dawne wydanie Don Kichota. Otworzył je na, wydawałoby się, przypadkowej stronie i wodził po niej delikatnie palcami, jakby studiował Biblię. Regał wsunął się w ścianę i odsłonił

mały pokoik.

– Co tam jest? – zapytał Max, zainteresowany błyskami złota i zapachem starości, dochodzącym ze środka.

– Wszystko, prócz mojej Marii – roześmiał się stary agent i wślizgnął się do środka. Max usłyszał brzęk metalu i odgłosy gmerania w pudle ze szpargałami. Chwilę później pojawił się señor Lorca ze stalowoszarą koszulą w rękę. Wydawało się, że powierzchnia koszuli połyka światło dzienne, zagładające spoza zasłon. Lorca napiął materiał i Max dojrzał w splocie tkaniny delikatne białe znaki runiczne i symbole przypominające oświetlone światłem księżyca pajęczyny.

– To nanokolczuga? – spytał zafascynowany i dotknął ręką tkaniny o powierzchni gładziej niż mydło.

– Tak – odparł señor Lorca i przymierzył koszulę do chłopca. – To moja druga skóra. Ma szczególne pochodzenie. Wpleciono w nią stal z Damaszku, jedwab pajęczy i wiele innych, cennych substancji. Będzie cię chronić, Max. Pobrałem ją z krypty Czerwonego Bractwa dawno temu. Przysługiwała mi. Teraz przekazuję ją tobie, jak towarzyszowi broni.

– Ale... ale ja nie należę do Czerwonego Bractwa – wyjąkał Max.

– Ale masz należeć – wyjaśnił señor Lorca. – Starzeję się. Moja służba dobiega końca. Nie przez przypadek Cooper przywiódł cię do mnie, Maksie McDaniels. To ty masz zająć moje miejsce pośród dwunastu. Urodziłeś się

w marcu, czy tak?

– Skąd pan wie? – spytał Max i spojrzał na agenta zwięzionymi oczami.

– Ponieważ ja również urodziłem się w marcu – odparł señor Lorca. – Każdy z dwunastu członków Czerwonego Bractwa urodził się w innym miesiącu. Dlatego ich moc wzmacnia się i słabnie w czasie różnych pór roku. Ty jesteś dzieckiem marca – miesiąca burz i wojny w dawnych kalendarzach. Wybrali cię dla siebie ci sami bogowie, którzy sprzyjali Cúchulainowi.

Starszy pan wpatrywał się w Maksa niczym popękany, sponiewierany deszczem, mrozem i słońcem posąg. Nagle chłopiec wyczuł jeszcze czyjąś obecność w pokoju. W drzwiach stał Cooper.

– Mam to zrobić? – zapytał Max.

Cooper nic nie odpowiedział, po prostu patrzył na nich, domyślając się, co musiało zajść.

– Będę podlegał Wiljakowi?

– Ostatecznie wszyscy podlegamy głównodowodzącemu – wyjaśnił Lorca. – Nasi członkowie to wędrowcy na tym padole. Nie są przypisani do żadnego oddziału terenowego, nie mają też prawdziwego domu z wyjątkiem Rowan, a zdarza się i tak, że przez długie lata nie wiedzą, co to powrót do domu. Jesteś gotowy na taką służbę?

W ustach Max miał sucho jak na pustyni. Kiwnął głową. Señor Lorca chwycił go za nadgarstek długimi, mocnymi jak stal palcami.

– W imię świętego Michała i Conchobara Mac Nessy ja, Antonio de Lorca, mianuję Maksa McDanielsa moim następcą w szeregach Czerwonego Bractwa i na jego ręce składam mój tytuł, moją własność i moje obowiązki. Niechaj będzie prawdziwym i miłosiernym bojownikiem. Niech nosi się z godnością, sędzi sprawiedliwie, a dla wrogów Rowan niech będzie postrachem. Czy przyjmujesz ten zaszczyt?

Max odczekał chwilę. Dźwięki ulicy ucichły. Skupił się całkowicie na ledwie słyszalnym tykaniu stojącego obok zegara. Odezwał się głosem mocnymi i stanowczym:

– Tak, przyjmuję.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, poczuł w prawym nadgarstku straszny ból, jakby odciskano tam gorące piętno. Mimo bólu nie odezwał się przez całą, długą minutę. Gdy Señor Lorca wypuścił jego rękę, chłopiec zobaczył na swojej skórze czerwony, wyblakły znak Czerwonego Bractwa – dłoń otoczoną delikatnym sznurem. Señor Lorca uśmiechnął się do niego i zdjął okulary, by otrzeć z oka łzę wzruszenia.

– Nosilem ten znak tak długo, że czuję się bez niego zupełnie goły – powiedział i podwinął mankiet, odsłaniając chudy, biały nadgarstek. – Max, wyświadczyłeś mi ogromną przysługę. Jestem już stary i gotowy, by odejść.

– Nie rozumiem – rzekł Max.

– Teraz, po przekazaniu znaku, señor Lorca umrze – wyjaśnił – Cooper. – Ma już ponad dwieście lat. Jego los

się wypełnił.

Zdumiony chłopiec spojrział na señora Lorcę, który uśmiechnął się zwyczajnie i kiwnął głową.

– Urodziłem się w tym roku, w którym do mego kraju wkroczył Napoleon. Urodziłem się w czasach wojny i w takich czasach odejdę. Byłem członkiem Czerwonego Bractwa przez ponad sto sześćdziesiąt lat. Ci, którzy noszą ten znak, muszą być gotowi na wiele wyrzeczeń, Max, lecz przynosi on również radości. Gdyby nie on, nigdy nie poznałbym mojej Marii, ot co.

Max pomyślał o pulchnej, miłej kobiecie, która właśnie przygotowywała w kuchni kanapki. Jeśli to, o czym mówił señor Lorca, było prawdą, ona wkrótce zostanie wdową. Chłopiec poczuł, że, ogarnia go panika.

– Nnnie... nie wiedziałem – wyjąkał, trąc nadgarstek.

– Nie żałujesz chyba? – zapytał Lorca i wręczył Maksowi nanokolczugę. – Włóż ją. Możesz ją nosić pod swetrem.

Max spełnił polecenie, naciągając długą nanokolczugę na swoje silne, gibkie ciało. Skurczyła się i przylgnęła do niego, tak ciepła i idealnie dopasowana, że czuł, jakby otoczyła go warstwa żywej tkanki. Skręcił tułów i nanokolczuga skręciła się wraz z nim, gładka i elastyczna. Potem wciągnął przez głowę swój czarny sweter. Z wycięcia pod szyją wystawał tylko wąski skrawek srebrnoszarej tkaniny.

– I tak oto zostałeś agentem Rowan i członkiem Czerwonego Bractwa – rzekł señor Lorca, oglądając

chłopca od stóp do głów. – Daj, niech cię uścisknę jak brata.

Starszy pan schylił się z trudem i uściskał chłopca, odgarniając z jego czoła czarne loki tym samym ruchem, jakim robiła to mama Maksa, gdy ten był młodszy.

– Idź teraz po swoją broń, chłopcze – rzekł i zamknął drzwi do sekretnego schowka. – Długo czekała na prawowitego właściciela. Powiedz wszystkim, żeby zaczekali w piwnicy. Tam jest tajne przejście. Poproś Marię, żeby je otworzyła, a ja tymczasem zamienię dwa słowa z Williamem.

Max pospieszył więc przez mały pokój biurowy na schody, a potem na górę do pokoju, gdzie czekała włócznia. Kiedy pojawił się znowu w kuchni, stanął twarzą w twarz z panną Boon, która nie wyglądała na zadowoloną.

– Wydaje mi się, że powiedziałam „piętnaście minut” – rzuciła zgryźliwie.

– Przepraszam – odparł Max. – Zatrzymano mnie. Señor Lorca już wrócił. Cooper też. Mamy bilety – dodał, unikając przenikliwego wzroku nauczycielki. – Señora Lorca?

Starsza pani krzątała się gorączkowo między kuchnią a spizarką. Kiedy Max ją zawołał, gwałtownie się zatrzymała. W rękach miała kilka bochenków chleba.

– *Si?* – spytała z uśmiechem pełnym wyczekiwania.

– Señor Lorca prosił, żeby pani otworzyła przejście w piwnicy – powiedział Max. – Mamy tam czekać.

Hiszpanka mrugnęła z niedowierzaniem, lecz uśmiech pozostał na jej miłej twarzy jak przyklejony.

– Jesteś pewien? – spytała powoli. – Mój Antonio ci to powiedział?

– Tak – powtórzył Max, zdezorientowany jej reakcją. Poczuł w żołądku dziwne uczucie, gdy zobaczył, że uśmiech starszej pani zastyga, a ona sama czyni znak krzyża i skrapia twarz zimną wodą.

– Chodźcie prędko – rzuciła i porwała ze spizarki lampę naftową.

– O co chodzi? – szepnęła panna Boon.

Max z tatą znosili ich bagaże po schodkach do piwnicy. David, Mamuśka i Nick zniknęli już za zakrętem. Ich kroki brzmiały głucho i donośnie na starej kamiennej posadzce.

– Nie wiem – rzekł Max. – Jest jakieś tajne...

Bums!

Cały dom zatrzęsł się w posadach. Zamarli, jak sparaliżowane ze strachu myszy.

– Co to było?! – krzyknął Max.

– Szybko, szybko! – wołała gdzieś z dołu señora Lorca. – Za mną, szybko!

Max położył rękę ojca na ramieniu panny Boon i przecisnął się obok nich.

– Idę zobaczyć, co się dzieje – powiedział.

– Max! – syknął tata. – Wracaj tu!

– Zaraz wrócę. Idźcie! – odparł Max i pobiegł na górę.

W korytarzu wpadł na Coopera. Twarz agenta była poważna. Dźwięków, które dochodziły sprzed domu, nie dało się z niczym pomylić – były to odgłosy walki.

– Zawracaj – rozkazał agent.

– Gdzie señor Lorca? – zapytał Max bez tchu.

– Osłania nas – odrzekł Cooper, chwycił Maksa za nadgarstek i popchnął w kierunku kuchni.

– Nie! – jęknął chłopiec, wyrwał rękę z uścisku Coopera i pomknął ku frontowej części domu.

Nie był przygotowany na to, co zobaczył.

Na środku księgarni stał señor Lorca. Otaczały go roześmiane dzieci, które trzymały starszego pana za ręce i nogi, podczas gdy on starał się odeprzeć atak bandy szczerzących złośliwie zęby peliqueiros, wymachujących dziko wielkimi, ciężkimi pałami. Kilkanaście postaci w maskach leżało już na podłodze, lecz przez otwarte na oścież drzwi na ulicę wdzierały się do środka nowe. Stary agent ryknął i wzniecił dokoła siebie jaskrawoniebieski krąg ognia. Dzieciarnia pierzchła. Niebiesko-czerowone płomyki zaczęły pełgać po ścianach, aż wpełzły na sufit. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła – to na podłogę runęło kilka ciężkich, przeszklonych regałów. Señor Lorca odpierał atak rozwścieczonych peliqueiros, a Max dostrzegł w głębi korytarza potężną, wilczą postać.

Na ramieniu chłopca zacisnął się od tyłu żelazny uchwyt.

– Słuchaj rozkazów! – rzucił przez zęby Cooper, z potworną siłą odwrócił Maksa i pociągnął w stronę

kuchni. W powietrzu unosił się zapach dymu. Od strony drzwi wejściowych dochodziły krzyki. Kiedy dostali się do kuchni, Cooper zabarykadował drzwi ciężkim drewnianym stołem i kredensem, czemu towarzyszył straszny brzęk tłuczonej porcelany i innych naczyń kuchennych. Wypchnął Maksa przez drzwiczki do piwnicy, zamknął je za sobą, odwrócił się i cicho mrużąc, zaczął wodzić rękami po ich obrysie. Max nie wiedział, jakiego agent użył zaklęcia, lecz kontur drzwi po chwili zabłysnął głębokim, fluorescencyjnym światłem o morskim odcieniu.

Zbiegli po schodkach do chłodnej, suchej piwnicy, wypełnionej leżakującym winem i nagromadzonymi przez wiele pokoleń rupieciami. Z przodu widać było słabe światełko latarni Marii, która teraz cofnęła się, przeszła obok Maksa i Coopera i stanęła przed ciemną klatką schodową, z której wyszli. Cooper delikatnie położył jej ręce na ramionach.

– On nie przyjdzie, Mario. Nie tędy. Jak tylko będzie mógł, to cię znajdzie.

Señora Lorca była zdezorientowana. Na jej twarzy malowały się różne emocje, kiedy słuchała dudniących na górze ciężkich kroków. Sufit jęknął pod ciężarem czegoś potężnego, czegoś, czego upadek wprowadził cały dom w drżenie.

– Co to? – zapytał pan McDaniels, przyciskając do siebie Maksa i Davida.

Cooper zignorował pytanie.

– Mario, proszę – odezwał się do Hiszpanki. – Antonio życzyłby sobie, żebyś stąd odeszła.

Mrugając przez łzy, señora Lorca szybko skinęła głową i poprowadziła ich w stronę jednego z regałów na wina w końcu piwnicy, po czym włożyła rękę w zarośniętą pajęczynami przestrzeń między półkami. Nad nimi rozległa się kolejna seria kroków i wrzasków. Piwnicę zaczął zasnuwać dym.

– Mario, jesteś pewna, że to tu? – zapytał Cooper głosem wręcz upiornie spokojnym.

– Chyba tak – odparła, marszcząc brew. – Antonio mi pokazał i chciał, żebym zapamiętała.

Mamuśka zaczęła szlochać. Panna Boon szeptała do niej uspokajająco. Cooper cofnął się na korytarz, by spojrzeć na schody. Señora Lorca wyteńczyła siły i głębiej wepchnęła rękę między półki. Dał się słyszeć zgrzyt i regał wyjechał metr do przodu po kamiennej posadzce. Otworzyła się za nim pusta przestrzeń. Krótkie, strome schodki prowadziły w dół do ciemnego tunelu. Maksowi zebrało się na wymioty – z tunelu śmierdziało ściekami.

– Wchodźcie szybko! – krzyknęła señora Lorca. – Za minutę się zamknie!

Cooper przybiegł z powrotem i wszyscy wcisnęli się w wąskie przejście. Señora Lorca patrzyła na nich z góry, z piwnicy.

– Mario – przynaglił ją Cooper. – Chodź!

– Idę poszukać Antonia – powiedziała Hiszpanka i odwróciła się do nich plecami. Mechanizm ciężkiego

regalu zaczął ze zgrzytem zasuwac się z powrotem. Twarz Coopera pociemniała. Jak strzała pomknął po schodkach na górę, schwycił Marię niczym drapieżny pajak i pociągnął do kanału. Señora Lorca zawyła i zaczęła się wyrywać, lecz nie minął ułamek sekundy, a uległa. Gdy machina zamknęła przejście, łkała już tylko cicho w ramionach agenta, a jej ciało szarpały tłumione spazmy.

Przez ponad godzinę chwiejnie, z trudem brodzili w burej, przyprawiającej o nudności brei. Panna Boon wyczarowała niewielki, połyskliwozielony krąg, który unosił się w powietrzu przed nimi niczym błędny ognik, oświetlając przy tym mniejsze kanały doprowadzające do głównego zimną wodę. Wreszcie Cooper zatrzymał się przy zardzewiałej żelaznej drabince prowadzącej pięć metrów w górę, na ulicę. Pan McDaniels wsparł się w milczeniu o ścianę. Nawet Nick prychnął z pogardą na parę szczurów, które przemknęły obok. Agent przyglądał się mapie, którą miał między dokumentami, przepustkami i biletami.

– To tu – mruknął i zerknął na zegarek. – Następny pociąg odjeżdża do Bilbao za godzinę. David, czy nasze rzeczy wejdą do twojego plecaka?

David zdołał na chwilę przestać kasłać.

– Chyba tak – odparł, przyglądając się z niepokojem sfatygowanemu już plecakowi.

Cooper wepchnął ich bagaże jeden po drugim do cudownego plecaka, zapiął go i przerzucił sobie przez

ramię. Wspiął się cicho po skorodowanej drabince, podniósł ciężką pokrywę kanału i wyjrzał na zewnątrz.

Przez twarz przemknął mu wyraz zniecierpliwienia. Agent podniósł palec do ust, by pokazać im, że mają być cicho. Następnie wyczołgał się z kanału i zniknął z pola widzenia. Dziesięć sekund później jego twarz ukazała się w otworze.

– Możecie wychodzić.

Wspięli się po drabinie i dławiąc się i krztusząc, wyszli na powietrze. Było jasne, pogodne popołudnie. Znajdowali się na niewielkiej uliczce. Nieopodal leżało na ziemi dwóch nieprzytomnych *peliqueiros*. Cooper trzymał pod pachą jedną z ich masywnych drewnianych pałek. Wskazał na pobliski hydrant i zaczął szperać wśród dokumentów.

– Umyjcie się jak najszybciej – zarządził i czujnie zerknął w dół uliczki.

Kiedy kolejno myli się pod kranem, zlewając zimną wodą buty i nogawki spodni aż do chwili, gdy nawet Mamuśka była zadowolona z rezultatu, w oddali wciąż słychać było muzykę. Biedny Nick kulił się pod strumieniem lodowatej wody, zziębnięty i drżący, a Max przeczesywał ręką jego gęste łuski. Uważał, by nikt nie dostrzegł przypadkiem czerwonego piętna wewnątrz jego nadgarstka.

– Proszę, wasze papiery i paszporty – rzekł Cooper. – Zapamiętajcie swoje imiona, nazwiska i wygląd. Towarzyszycie ambasadorowi Niemiec. Jesteście jego

doradcami i wracacie z konferencji dyplomatycznej. Ambasadorem jestem ja i tylko ja zabieram głos w imieniu grupy. Zrozumiano?

Kiwnęli głowami, a agent rozdał dokumenty. Potem podszedł do señory Lorki i powiedział:

– Musimy cię jakoś wydostać z Salamanki, Mario.

– Nic podobnego – mruknęła señora, zajęta wciąż wyciskaniem wody ze spódnicy. – Nigdzie nie jadę.

– Proszę – rzekł agent.

Starsza kobieta zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Więc dokąd pójdziesz? – chciał wiedzieć Cooper.

– Do siostry.

Cooper zerknął na mężczyznę, który wciąż leżał bez ruchu u jego stóp. Przez chwilę milczał. Señora delikatnie ujęła go za rękę.

– Idźcie już – ponagliła. – Williamie, nie winię cię za to, co się stało.

– Postaram się wrócić i cię odnaleźć, Mario – powiedział Cooper i pocałował ją w czoło, po czym wszedł między towarzyszy i zaczął mówić coś szybko po łacinie, klepiąc przy tym każdego po kolei w ramię. Gdy iluzja była w pełni gotowa, zarzucił sobie plecak Davida na ramię i szybkim krokiem ruszył ulicą.

– *Vaya con Dios* [(hiszp.) – Idź z Bogiem.] – szepnęła señora Lorca i pomachała im na pożegnanie, gdy pospiesznie odchodzili za agentem.

Dwadzieścia minut później Max siedział w

luksusowym przedziale pociągu przeznaczonego wyłącznie dla urzędników państwowych. Wyglądał przez idealnie czystą szybę. Wśród kłębiącego się na peronie tłumy przemykały spowite w czarne szaty wiedźmy. Robotnicy w czerwonych opaskach na rękach uwijali się jak mrówki przy wysokim rusztowaniu, które skrywało piedestał jakiegoś nieukończonego jeszcze pomnika. Ich pracę nadzorowali urzędnicy o wąskich, zaciętych ustach i naciągniętych na czoło kapeluszach, gryzmołąc przy tym pilnie w swych notesach. Małe gobliny o niebieskich twarzach, długich dziobach i czerwonych dziąsłach spieszyły w sobie tylko znanych sprawach. Grube, przysadziste staruchy przyglądały się towarom na straganie ulicznego sprzedawcy. A na ostatnim piętrze bloku mieszkalnego przez wybitą szybę w oknie wyglądało coś o białych oczach larwy. Trąbki trąbiły, głosy śpiewały, bębny waliły. Oni zaś siedzieli w milczeniu.

– Dobrze się czujesz, Cooper? – spytała panna Boon z wahaniem, gdy pociąg wreszcie ruszył.

Agent siedział naprzeciwko niej. Jego twarz była jak kamień.

– Księga, panno Boon, księga – odparł cicho. – Teraz tylko ona się liczy.

Pociąg nabrał prędkości i pomknął na wschód jak długi, srebrny wąż.

CUDA MECHANIKI

Pociąg toczył się pośród opuszczonych gospodarstw i szos, wspinając się coraz wyżej i wyżej na zbocza Pirenejów. Max nie zauważył, by Cooper choć na chwilę się zdrzemnął. Agent siedział wyprostowany z oczami jak odłamki lodu i nasłuchiwał, czy nie nadchodzi konduktor, policja lub może jakiś inny z niezliczonych urzędników. Udawało mu się jak na razie prowadzić rozmowy z nimi na korytarzu, za drzwiami przedziału, gdzie odwarkiwał im w rozmaitych językach oficjalnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Przekroczyli granicę z Francją, czemu towarzyszyło długotrwałe stemplowanie dokumentów. W Bordeaux pociąg zaatakowała gromada brudnych wyrostków. Rzucali w okna kawałkami betonu, poszło kilka szyb. Pociąg stanął na jakiś czas w Paryżu. Centrum miasta było rozświetlone niczym gwiazda pośród opustoszałych, pełnych zgliszcz i dymu przedmieść. Do pociągu wsiadło tu wiele osób; w korytarzach rozbrzmiewał tupot ciężkich butów. Przez okienko przedziału widać było tylko szare i brązowe kapelusze przechodzących. Pociąg ruszył.

– Nie rozumiem – rzekł Max, obserwując topniejące na szybie małe płatki śniegu. – Wszystkie te państwa... wojsko, policja, wszystko... tak jakby w ogóle nie

próbowali walczyć. To się nie mieści w głowie.

– Wojsko, policja, rząd są mocne tylko na tyle, na ile mocni są ludzie w ich szeregach – odparła panna Boon. – Wróg zawsze przenikał tego typu struktury, lecz szczerze mówiąc nikomu nie przyszło do głowy, że aż na taką skalę.

– Myśli pani, że Wróg przeniknął i do Warsztatu? – spytał Max.

– To możliwe – odpowiedziała nauczycielka. – Skoro udało mu się wdrzeć nawet do Rowan i omamić pana Morrowa? Niewiele wiem o Jesperze Rasmussenie, lecz wątpię, żeby współpracował z Wrogiem.

– A co zaszło między Rowan i Warsztatem? – chciał wiedzieć Max. – Wydawało mi się, że byliśmy częścią tej samej organizacji?

– Dawno temu nie było ani Rowan, ani Warsztatu, ani klanów więdźm – zaczęła panna Boon. – Razem było nas tysiące, dziesiątki tysięcy, biorąc pod uwagę historię i rachuby Yayı. W średniowieczu naszą działalność ostro kwestionowano. Pojawiały się wciąż nowe wynalazki: młyny wodne, zegary, kompasy, armaty...

Max kiwał głową. Zauważył, że robiąc wykład, panna Boon wyraźnie się relaksuje. Nauczycielka westchnęła i zdjęła sobie z rękawa jakiś włos, po czym ciągnęła:

– Niektórzy obawiali się, że nadejdzie chwila, gdy nauka i technologia wyprą naszą sztukę i staniemy się niewolnikami tych, którzy je opanowali. Twierdzili, że to tylko kwestia czasu. Musimy zdobyć technologię, mówili,

musimy zbadać jej tajniki, inaczej czeka nas ruina. Byli też inni. Ich zdaniem takie podejście było herezją, przeczyło Starej Magii, a przecież to jej znajomość wyróżniała nas spośród rodzaju ludzkiego. Wydzieliły się więc frakcje, które zaczęły między sobą rywalizować. Ekstremiści obu opcji, zgromadzeni w odległych zakątkach świata, dowodzili swoich racji i z pasją realizowali własne cele. Zwolennicy technologii zbudowali Warsztat, a wiedźmy osiadły w górach. Ani jedni, ani drudzy nie wybaczyli nam do końca, że wybraliśmy trzecie wyjście – kompromis. Do siebie nawzajem zaś żywią prawdziwą nienawiść.

– Była pani już w Warsztacie? – spytał Max.

– Nie, lecz proponowano mi tam staż – odpowiedziała panna Boon. – Co roku proponują jedno miejsce najlepszemu absolwentowi Rowan. Ja odmówiłam. Nie mówię tego bynajmniej, żeby się chwalić...

– A ty, Cooper? Byłeś tam? – zwrócił się Max do agenta.

Cooper kiwnął głową. Głowa panny Boon odwróciła się gwałtownie.

– Dobry Boże, tylko nie mów, że też byłeś najlepszym absolwentem w swoim roczniku...

– Nie, panno Boon – odparł Cooper i podrapał się po błyszczącej skórze na głowie. – Daleko mi było do tego, niestety. Pani jest tutaj jedyną prymuską.

– Całe szczęście! – panna Boon założyła ręce i z

satysfakcją usadowiła się na miejscu.

Max usłyszał jakieś stłumione sapnięcie, po chwili drugie. Cooper się śmiał. Ramiona mu się trzęsły. Panna Boon poczerwieniała, lecz udała, że się nie przejmuje, i przybrała minę lekkiego rozbawienia. Pan McDaniels zaczął się dławić. Sekundę później cała czwórka śmiała się razem. Mamuśka otworzyła swoje krokodyle oko i zerknęła na nich. Tylko David się nie obudził.

– Z czego się śmiejecie? – odezwała się wiedźma, gramoląc się na nogi. – Może ze mnie?

– Nie, Mamuśko – odparła panna Boon. – Właśnie śmiejemy się ze mnie.

– A mi się śnił taki miły sen. – Mamuśka była zła. – Razem z Bellagrog robiłyśmy w wielkiej kadzi napój korzenny na święta. Trzy miarki burbona na jedną miarkę koncentratu korzennego, wedle jej przepisu...

– Coś mi się zdaje, że się za nią stęskniłaś, Mamuśko – odezwał się zaczepnie Max i dźgnął wiedźmę palcem pod żebra.

– Za tą bestią? Też coś! – zaprotestowała wiedźma i pacnęła chłopca w dłoń. – Ale stęskniłam się za moim kredensem, gotowaniem i nawet za tym piekarnikiem, który kiepsko działa.

– A za Bobem? – podpuszczał Max.

– Tak, tak, za Bobem też... za tym głupim, niezdarnym prostakiem – mruknęła. – Pół szkoły pewnie już zagłodził na śmierć! Nic nie potrafi zrobić beze mnie, chyba wiecie...

– Wiemy, wiemy – powiedzieli zgodnym chórem.

Cooper zaczął grzebać w plecaku Davida i wyciągnął dużą tabliczkę czekolady, którą wziął jeszcze z „Erasmusa”.

– Myślałem, że wszystkie zjedzone! – wykrzyknął pan McDaniels, który rozbudził się już na dobre.

– Jedną przed wami ukryłem – oparł Cooper. – Na czarną godzinę.

Agent połamał czekoladę na kostki i rozdał towarzyszom. Nawet Nick dostał swoją część, którą podejrzliwie obwąchał przed połknięciem.

– A pani, panno Boon? – zagadnął Cooper, delektując się czekoladą. – Za czym pani tęskno?

– Lepiej zapytać, za czym mi nie tęskno – westchnęła nauczycielka mistyki. – Tęsknię za uczeniem.

Za ogniem w kominku w wielkiej sali. Za czytaniem na schodach Maggie. I, mój Boże, za wanną gorącej wody!

– A ja za przyjaciółmi – zwierzył się z kolei Max. – Za Hanną i małymi gąskami. Rety, nie miałbym nawet nic przeciwko lekcji z Renardem!

– Z monsieur Renardem – poprawiła go panna Boon.

– Ja tęsknię za Mayą i za Archiwum – odezwał się David, wyglądając spod ramienia, które zasłaniało mu twarz.

– A ty, tato? – zapytał Max.

Pan McDaniels oblał się rumieńcem. Zabębnił palcami na pękatej klatce piersiowej i wyznał:

– Za SznycloMasterem 2000.

Max i David zawyli ze śmiechu.

– Ciekawe, czy ciągle dostaję comiesięczne dostawy mięsa – powiedział Max.

– W każdym razie powinieneś – fuknął ojciec obruszony – bo opłaciłem wszystko z góry.

– Przykro mi, panie McDaniels – zachichotał David – ale coś mi się wydaje, że dostawca może mieć pewne trudności z trafieniem do Rowan.

Max przypomniał sobie potężny parasol mgły, który David wyczarował ostatniego dnia w szkole. Próbował wyobrazić sobie, co też mogło się dziać w Akademii Rowan od czasu ich wyjazdu. Czy odbywały się zajęcia, czy uczniowie byli bezpieczni. Zastanawiał się, jak jego kraj radzi sobie z nagłymi zawirowaniami na świecie. Tak ciężko było o wiarygodne wiadomości. Nie wiedział nawet, czy prezydent nadal urzęduje w Białym Domu.

Rozległo się pukanie do drzwi, a w okienku na korytarz ukazał się ciemny kształt.

Do przedziału zaglądał wielok. Wodził żółtymi, zwierzęcymi oczami od twarzy do twarzy.

– O Boże! – zachłysnął się pan McDaniels i chwycił rękami za fotel.

– Scott, on cię nie widzi – kamiennym głosem powiedział Cooper. – Widzi sześciu niemieckich dyplomatów. Siedź spokojnie.

Cooper podszedł do drzwi i otworzył je.

– Guten Abend [(niem.) – Dobry wieczór.] – powiedział,

patrząc wprost na wieloka.

– Guten Abend – odpowiedział atramentowoczarny stwór. Nachylił się, by zmieścić się w drzwi.

Cały czas przyciskał do płaszcza podkładkę z klipsem na notatki. Jego matowe futro było wilgotne, jedna z łap zakończonych ostrymi pazurami owinięta zakrwawionym bandażem. Max wstrzymał oddech. Czuł się całkowicie obnażony, tak jakby próbował się ukryć przed napastnikiem na gołym polu, gdzie nic go nie osłania. Wydawało mu się, że to niemożliwe, by wielok go nie widział – jego, trzynastolatka trzymającego na kolanach lymrilla, który instynktownie zwinął się w obronną kulkę pokrytą lśniącymi łuskami.

Max wyczuł ręką ostrze włóczni, którą cały czas nosił w rękawie. Pod wpływem dotyku broń zaczęła się rozgrzewać, a nawet cichutko mruzczeć. Gdy wielok spojrział na niego, chłopiec niespokojnie poruszył się na miejscu i zakasłał. W tej samej chwili Cooper odwrócił uwagę potwora, pstrykając mu przed nosem palcami, i władczym tonem wyrzucił z siebie potok słów w jego kierunku. Wielok obnażył czarne dziąsła, w których tkwiły wielkie kły, i przez kilka długich sekund wpatrywał się w agenta. Cooper założył ręce na piersi i tupał ze zniecierpliwienia. Z gardła wieloka wydobył się głuchy warkot i stwór zaczął szukać czegoś w kieszeniach płaszcza. Dokumenty grupy zostały podstemplowane i zwrócone. Wielok mruknął coś do Coopera, po czym wyszedł z przedziału i głośno zamknął za sobą drzwi.

– Naprawdę poszedł? – spytał pan McDaniels.

– Naprawdę – odparł Cooper i włożył dokumenty z powrotem do kieszeni.

– To najohydniejszy stwór, jakiego w życiu widziałem – wysapał tata Maksa.

– Dlaczego nie był w ludzkiej postaci? – chciał wiedzieć Max.

– Bo czują się już bardzo pewnie – odparł Cooper. – Wieloki nie lubią swojej ludzkiej formy. Swędzą je w niej oczy. Powiedziałem mu, że to, iż zostaliśmy przestraszeni, jest nie do przyjęcia i że będę chciał na ten temat porozmawiać z jego przełożonym.

– Żartujesz – nie mógł uwierzyć pan McDaniels.

– Nie – odpowiedział Cooper, wyglądając przez okno. – Dobrze, że ta wizyta miała miejsce. Przypomniała nam, że należy wzmóc czujność. Właśnie minęliśmy Strasburg i wjechaliśmy na terytorium Niemiec. Przed świtem będziemy we Frankfurcie.

Agent zobaczył porzucone na podłodze opakowanie po czekoladzie. Kucnął, podniósł je, wepchnął sobie do kieszeni i zajął miejsce przy samych drzwiach.

Świt odsłonił stalowoszare niebo i przyniósł śnieg z deszczem, który od czasu do czasu zacinał w okna i postukiwał w dach pociągu. Z oddali wydawało się, że Frankfurt jest niezniszczony – nie było ani śladu wiszącego w powietrzu czarnego dymu, który widzieli i nad Bilbao, i nad Tours. Pociąg zajechał na dworzec

kolejowy zbudowany w całości ze szkła i stali, zwieńczony ogromną kopułą. Nick miauknął rozpaczliwie, kiedy Max upychał go do plecaka Davida. Cooper stał przy drzwiach i patrzył na nich.

– Trzymajcie się wszyscy blisko mnie. Do nikogo się nie odzywajcie. Placówka Warsztatu, która ma nas odebrać, znajduje się niedaleko. Musimy się spieszyć i starać się nie zwracać niczyjej uwagi.

Wyszli gęsiego za Cooperem, przeciskając się wąskim korytarzem obok urzędników o zamglonych oczach. Dworzec był prawie pusty, tylko przy wózku na bagaże stało parę osób i pod znudzonym wzrokiem stojących w niedbałych pozach policjantów popijało kawę.

Cooper zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku wyjścia z dworca, a jego podopieczni za nim niczym potulni pomocnicy. Kiedy byli już blisko jednego z wyjść, jakaś kobieta w średnim wieku podbiegła do agenta.

– Oskar! – krzyknęła i objęła go. – *Wie geht's Ihnen?*
[(niem.) – Jak się pan ma?]

– Danke, gut – odparł Cooper sztywno i uwolnił się z jej uścisku. – Es tut mir leid, aber wir sind spat. [(niem.) – Dziękuję, dobrze. Przepraszam, ale jesteśmy spóźnieni.]

Uśmiech na twarzy kobiety zbladł. Ze zdziwioną miną odwróciła się i patrzyła, jak odchodzą. Gdzieś na dalszym planie Max zauważył policjanta, który wyprostował się i z ciekawością przyglądał się ich grupie.

– Cooper – syknął chłopiec.

– Nie zatrzymuj się, spokojnie – powiedział agent, nie zwalniając kroku.

Wyszli z dworca prosto w szary, zimny poranek. Minęli kilku przechodniów i za Cooperem skierowali się w stronę pasów. Tam byli zmuszeni zatrzymać się i poczekać na zmianę świateł. Po przeciwnej stronie przejścia stał niezamaskowany wielok, który wyglądał zupełnie nie na miejscu wśród samochodów i budynków centrum.

Po ich lewej stronie zatrąbił nagle samochód. Max odwrócił się i zobaczył elegancką limuzynę, podjeżdżającą do krawężnika. Kierowca wysiadł i zwrócił się do nich.

– *Guten Tag* [(niem.) – Dzień dobry.] – rzekł i otworzył przed nimi drzwi.

Cooper wpatrywał się w niego. Światła zmieniły się i wielok wszedł na pasy.

– *Doktor Rasmussen sendet Grusse* [(niem.) – Doktor Rasmussen przesyła pozdrowienia.] – powiedział kierowca i spoglądając nerwowo na zbliżającego się wieloka, zrobił zapraszający gest w stronę otwartych drzwi.

Cooper uprzejmie kiwnął głową i szybko poprowadził ich do samochodu. Max wsiadł zaraz za tatą. Drzwi się zamknęły i limuzyna ruszyła. Wielok co prawda wpatrywał się w tablicę rejestracyjną, lecz bez zatrzymywania poszedł dalej w kierunku dworca.

– Witajcie we Frankfurcie – powiedział kierowca i przyspieszył, by minąć kilka innych aut na

dypłomatycznych numerach. – Mówię po angielsku i zapewniam was, że przebrania nie są już potrzebne.

– Skąd wiesz, kim jesteśmy? – spytał cicho Cooper.

– Nie wiem – odpowiedział kierowca. – Z całą pewnością mogę jedynie stwierdzić, że w tym samochodzie znajduje się Scott McDaniels. Przypuszczam, że reszta z was również pochodzi z Rowan.

– Tabletki – mruknął David, szturchając pana McDanielsa łokciem. – Tabletki, którą Rasmussen kazał panu połknąć... to musiało być...

– Urządzenie naprowadzające – dokończył kierowca z satysfakcją w głosie. – Tak, już od jakiegoś czasu śledzimy waszą wędrówkę.

W mgnieniu oka Cooper pochylił się do przodu i przyłożył nóż do gardła kierowcy.

– Dzieliliście się z kimś tą informacją? – szepnął.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi – odparł kierowca zrównoważonym tonem. – Do tej pory pomogliśmy wam już dwukrotnie. Doktor Rasmussen z niecierpliwością oczekuje waszego przybycia.

Cooper milczał, lecz nie odsuwał noża. Kierowca za wszelką cenę starał się zachować spokój, lecz Max zauważył, że na jego czoło wystąpiły maleńkie krople potu. Cooper zaczął coś cicho mamrotać. Max poczuł delikatne łaskotanie i iluzja rozmyła się – chłopak zerknął z tylnego siedzenia na swoje odbicie w lusterku wstecznym.

– Spójrz na mnie – rzekł Cooper.

Kierowca zerknął na agenta i oczy otworzyły mu się szeroko ze zdumienia, gdy zobaczył woskową, pociętą bliznami twarz centymetry od swojej. Głos Coopera był zatrważająco spokojny. Jego akcent cockney stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Jeśli okaże się, że to Warsztat odpowiada za śmierć Antonia de Lorki, na ciebie spadnie bezpośrednia odpowiedzialność. Czy mnie rozumiesz?

Kierowca z trudem przełknął ślinę i skinął głową. Panna Boon dotknęła ręki agenta i łagodnie odsunęła jego dłoń z nożem od gardła kierowcy.

– Mówi pan, że doktor Rasmussen nas oczekuje? – spytała.

– Tak, proszę pani – odparł kierowca i spojrzał na nią z wyraźną wdzięcznością. – Będziecie jego gośćmi honorowymi.

Mamuśka wykrzywiła twarz, by okazać niedowierzanie, lecz panna Boon nie pozwoliła jej się odezwać.

Max otworzył plecak Davida. Nick wystrzelił mu prosto w twarz, po czym ugryzł go mocno w palec i zwinął się w rozzłoszczoną kulę.

– Czy to lymrill? – zapytał kierowca, próbując zerknąć na Nicka w lusterku wstecznym.

– Skąd pan wie, że Nick jest lymrillem? – dopytywał Max.

– Doktor Rasmussen go opisywał – wyjaśnił

kierowca. – Nadzwyczaj interesujące stworzenie.

Limuzyna minęła budynek rządowy i ruszyła okrężną drogą przez miasto. Po jakimś czasie okazało się jednak, że wjeżdżają na podziemny parking oddalony zaledwie o parę przecznic od dworca. Kierowca dał znak strażnikowi, który spiesznie otworzył szlaban. Samochód wjechał w mrok i serpentynami zjeżdżał na coraz niższe poziomy. Kiedy znalazł się na ostatnim, najniższym, przyspieszył i ruszył gładko w stronę ślepego zaułka – ściany z szarego betonu. Prędkość wbiła Maksa w fotel, silnik jednak nie wydawał najmniejszego nawet odgłosu.

Cooper poruszył się niespokojnie na swoim miejscu i złapał ręką za oparcie fotela kierowcy.

– Co robisz? – warknął i pochylił się ku niemu.

– Proszę zachować spokój – odpowiedział kierowca.

– Duża prędkość jest konieczna.

Mijali grube betonowe filary i rzędy drogich samochodów. Wskazówka prędkościomierza przekroczyła już 120 km/godz. Limuzyna przyspieszała tak gładko, że wydawało się, że to nie ona się porusza, a ściana przybliża się ku niej. Mamuśka wrzasnęła i zasłoniła oczy. Pan McDaniels przytulił syna i jego przyjaciela.

Z olbrzymią prędkością wjechali w ścianę.

Na krótką chwilę samochód pograżył się w ciemności. Kiedy znowu zaczęło być coś widać, Max odwrócił się i zobaczył, że ściana parkingu ginie gdzieś z tyłu za nimi.

– Więc to była iluzja – rzekł Cooper i opuścił się z

powrotem na oparcie fotela.

– Ależ nie, proszę pana – rzekł kierowca. – Ta ściana jest wystarczająco twarda, by zatrzymać czołg.

– Wobec tego nie rozumiem – odezwała się panna Boon, spychając z siebie Mamuškę.

– Nanotechnologia – wyjaśnił kierowca. – Przystosowaliśmy ścianę do tego, by przepuszczała jedynie przedmioty poruszające się z odpowiednią prędkością. Odrobinę wolniej i po tobie.

– Super! – wykrzyknął David i przyłączył się do Maksa, który wyglądał cały czas przez tylną szybę. Samochód zjeżdżał teraz stromo w dół po czymś, co przypominało czteropasmową autostradę, prowadzącą głęboko do środka ziemi. Skalne ściany były delikatnie podświetlone rozmieszczonymi w regularnych odstępach wąskimi, dającymi niebieskie światło lampami.

– Wam, chłopcy, na pewno spodoba się w Warsztacie – rzekł z uśmiechem kierowca. – Dużo tam można zobaczyć, a poza tym Jason Barret nie może się was doczekać.

– Jason? Co u niego? – Max ucieszył się, że zobaczy kolegę, zeszłorocznego absolwenta Rowan.

– Wszystko w najlepszym porządku – powiedział kierowca. – Bardzo obiecujący z niego młody człowiek. Pracuje wraz z naszymi inżynierami w Dziale Zastosowań. Jest bardzo, bardzo dokładny w swoich badaniach.

– Więc zajmujecie się badaniami? – z

niedowierzaniem zapytała panna Boon. – Teraz? Nie dotyka was w żaden sposób to wszystko, co się dzieje na świecie?

– Naszym hasłem jest samowystarczalność – odpowiedział kierowca. – Nie potrzeba nam ani ziemskiego jedzenia, ani elektryczności, ani sieci komunikacyjnych. Już rozwiązaliśmy tego typu problemy.

– Zastanawia mnie, dlaczego doktor Rasmussen miałby z niecierpliwością oczekiwać naszego przybycia – panna Boon uśmiechnęła się sztucznie – skoro Warsztat ma wszystko, czego potrzebuje.

– Jesteśmy samowystarczalni, lecz nie nieuprzejmi – rzekł kierowca, z mistrzowską sprawnością zjeżdżając po stromych, łukach serpentyn.

Kiedy limuzyna wjechała na równy teren, przyspieszyła do prędkości, z jaką Max nigdy dotąd nie jechał. Niczym rakietę pomknęli przez tunel, widząc za szybami tylko rozmazane skały i światła zlewające się w drgającą smugę. Prędkościomierz wskazywał 350 km/godz, kiedy przebili się przez kolejną ścianę, tym razem z czarnego, błyszczącego metalu. Następnie samochód zwolnił i podjechał do potężnej piramidy z litej skały, która stała pośrodku olbrzymiej groty.

Max w szczerym zdumieniu przyglądał się rozmiarom wszystkiego, co się wokół niego znajdowało. Podstawa piramidy musiała mieć z półtora kilometra szerokości. Po stronie, gdzie się zatrzymali, znajdowała się para ogromnych srebrnych drzwi. Do groty wpadało

kilkanaście innych tuneli. Niektóre z nich miały po kilkadziesiąt metrów średnicy. Kierowca zatrzymał samochód wśród wielu identycznych, które parkowały przy monumentalnym wejściu do piramidy.

– Jak nisko jesteśmy? – wychrypiął pan McDaniels, wysiadłszy za synem z limuzyny. Stał teraz obok niej i kiwając się na piętach, ogarniał wzrokiem otaczającą go przestrzeń.

– Mniej więcej siedem kilometrów poniżej poziomu morza – wyjaśnił kierowca. – Prawie dwa razy głębiej, niż sięga przeciętna kopalnia diamentów. Lecz dysponujemy obszarami położonymi jeszcze niżej.

Panna Boon machnęła ręką w powietrzu, po czym zaczęła rozcierać dłonie.

– Ale tu zimno – stwierdziła – a powinno być gorąco. Gorąco nie do zniesienia, na tej głębokości.

– Dawno już nauczyliśmy się, jak okiełznać wysoką temperaturę i ciśnienie na takich głębokościach – zaśmiał się kierowca i poprowadził ich w kierunku piętrzących się nad głowami srebrnych wrót. – Tam, gdzie wy widzicie zagrożenie, my dostrzegamy szansę. Energia geotermiczna, którą stąd pozyskujemy i przekształcamy, mogłaby zasilić prądem ogromne miasto.

– Założę się, że Vincenti wiele by dał, by to zobaczyć – szepnął Max do Davida. Miał na myśli specjalistę do spraw technologii w Rowan.

– Wasz Joseph Vincenti nie byłby zbyt zainteresowany tym, co tu robimy – odezwał się jakiś głos

przed nimi.

Na progu małego otworu wejściowego obok gigantycznych wrót stał Jesper Rasmussen. Jego kościstą, pozbawioną najłżejszego zarostu twarz rozjaśniał uśmiech. – Widzicie, wasz Joseph Vincenti zajmuje się budowaniem urządzeń. My natomiast robimy maszyny. Sądzę, że wiecie, czym jedno różni się od drugiego – zaśmiał się i podszedł, by się przywitać. – Przepraszam, ale nie otworzą się przed wami – wskazał na kolosalne, srebrzyste wrota. – To nie lada widok, lecz nie mogę sobie pozwolić na niepotrzebne zużycie energii. Koledzy pomyśleliby, że zaczynam się robić próżny.

Zatrzymał się i uklonił lekko w stronę Davida oraz McDanielsów. – Miło mi was widzieć w nieco mniej nieprzyjemnych okolicznościach. Witajcie w Warsztacie.

– Hmph – powiedział pan McDaniels i potrząsnął wyciągniętą do niego rękę.

– I co sądzicie o naszym małym domku? – zapytał Rasmussen, gestem wskazując na piętrzącą się nad nimi budowlę. – To, co przed sobą widzicie, jest dziesięć razy większe niż piramida w Gizie. A widzicie tylko połowę.

Max wyobraził sobie ogrom, jaki musi się rozciągać pod gładką skałą, na której właśnie stał. Poczul się maleńki jak mrówka.

– Chodźmy więc, pora was rozlokować – rzekł Rasmussen. Odprawił kierowcę i poprowadził Davida naprzód. Mamuśka wyciągnęła rękę i wczepiła się w dłoń Maksa. Razem weszli za doktorem w małe boczne

wejście, które przy olbrzymich wrotach wyglądało jak szparka w ulu.

Znaleźli się w słabo oświetlonym, białym pomieszczeniu, na przeciwległym końcu którego znajdowały się stalowe drzwi.

– Jeszcze tylko chwilę – odezwał się Rasmussen i zamknął drzwi zewnętrzne. – Najpierw sterylizacja. Bardzo uważamy na zanieczyszczenia mikroorganizmami. Nic nie poczujecie.

Kiedy tylko doktor zamknął drzwi, pokój wypełniło światło pulsujące tak szybko, jakby tysiące aparatów fotograficznych błyskały naraz fleszami. Przed oczami Maksa pojawiły się dziwne kształty. Nick zawył i jak szalony zaczął biegać dookoła pomieszczenia. Błyski skończyły się równie nagle, jak się zaczęły, a na klamce stalowych drzwi zapaliło się zielone światełko.

– Oczy za chwilę się przyzwyczają – uspokoił ich Rasmussen. – Bardzo przepraszam, że tak długo to trwało, lecz nigdy dotąd nie musieliśmy sterylizować nikogo z jej gatunku. – Wskazał na Mamuškę. – Mam nadzieję, że wiedźma to rozumie.

– Och, oczywiście, proszę pana, że rozumiem! – zawołała Mamuška, klaszcząc w ręce i kłaniając się uprzejmie. – Z nas, wiedźm, prawdziwe brudasy! Jestem niezwykle wdzięczna, że napędził mi pan stracha!

– Nie ma za co – rzekł Rasmussen, podchodząc do urządzenia skanującego tęczówkę.

Kiedy wyszli z pokoju, Max zobaczył, że Mamuška

zapalczywie dłubie w nosie. Kiedy wyjęła wreszcie z niego palec, przejechała nim po ścianie, zostawiając błyszczący ślad. Wzruszyła ramionami, do Maksa i poszła za resztą grupy, mrużąc coś pod nosem z satysfakcją.

– Najpierw was rozlokujemy – powiedział Rasmussen i poprowadził ich krótkim korytarzem, który kończył się w rozległym atrium.

Max zamrugał i wymienił z tatą porozumiewawcze spojrzenia – mógłby przysiąc, że są na dworze.

Zobaczył przed sobą kilkudziesięciometrowe sekwoje dające cień przed ciepłymi promieniami słońca, które wpadały przez szklane panele wysoko w górze i przenikały przez gałęzie drzew niczym przez filtr.

Przy okrągłych stolikach siedzieli ludzie i rozmawiali przy herbacie bądź dyskutowali w grupach nad rozłożonymi schematami i rysunkami. Przy otwartym oknie przytulnej kafejki z kamienia o różowym odcieniu ustawiono w równym rzędzie kosze świeżych owoców. Max głęboko odetchnął bogatym w tlen powietrzem, od czego natychmiast wyostrzyły mu się zmysły.

– Te drzewa są prawdziwe? – spytał pan McDaniels.

– Oczywiście, że tak – odparł z dumą Rasmussen. – Tylko światło słoneczne jest symulacją.

– Można tu kupić sobie kawę? – chciał wiedzieć David, który już kierował się w stronę kawiarenki.

– Oczywiście, mamy ją we wszystkich dostępnych gatunkach – odpowiedział doktor. – Ale nie kupić. W Warsztacie niczego się nie kupuje. Powiedz po prostu

Natalii, czego byś się napił.

– Więc można sobie brać te wielkie, czerwone jabłka? – zapytała Mamuśka.

– Oczywiście.

– A tamte rogaliki? Czy to oznacza, że mogę ich wziąć, ile chcę?

– Tak, jeśli sobie życzysz.

Małe, czerwone oczka wiedźmy łypały ciekawie po atrium.

– A tamten przystojniaczek, co siedzi pod krzakiem róży? W takim razie mogę sobie po prostu...

– Mamuśka! – syknęła panna Boon. – Opamiętaj się.

Doktor Rasmussen zaczął się śmiać.

– Wiem, że macie za sobą ciężką i długą podróż. Dopilnuję, by przysłano wam przekąski do pokojów.

– Pokoju – poprawił go Cooper. – Jeden pokój nam wystarczy.

– Cooper – jęknęli chórem chłopcy.

– Tyle czasu gnieździliśmy się razem – powiedział pan McDaniels, wyginając szyję – że może nie byłoby tak źle dać nam teraz trochę się wyciągnąć.

– Jeden pokój – ostro powtórzył Cooper, ignorując ich prośby. – I będziemy wdzięczni, jeśli pozwolicie nam nieco odpocząć. Jak pan powiedział, nasza podróż była długa.

– Oczywiście – odparł Rasmussen z uprzejmym uśmiechem. Skinieniem przywołał wysoką kobietę w dopasowanym, szarym stroju. – Bardzo proszę

zaprowadzić naszych gości do apartamentu dla VIP-ów.

– Oczywiście – odrzekła kobieta. – Proszę za mną.

Poprowadziła ich do szeregu wind, jakich Max nigdy dotąd nie widział. Kabina przypominała opływową, owalną gondolę, która poruszała się bez żadnego dostrzegalnego tarcia. Pochyłym torem pojechali w górę, po czym wyrównali poziom i sunęli – miękko wzdłuż białej, plastikowej rury z rzędami lśniących srebrnych dysków przypominających przyssawki na macce ośmiornicy. Z ukrytego głośnika rozbrzmiewał koncert skrzypcowy.

– Yhm, czy pani jest sekretarką Rasmussena? – zapytał pan McDaniels.

– Jestem fizykiem – chłodno odpowiedziała kobieta.

Pan McDaniels zaczerwienił się i kaszlnął w pięść.

– Widziała pani, co dzieje się na górze? – odezwała się panna Boon.

– Osobiście, nie – odparła kobieta. – Nigdy nie byłam na powierzchni.

Maksowi opadła szczeka. Nawet Cooper zerknął na kobietę z zainteresowaniem.

– To znaczy nigdy nie opuściła pani Warsztatu? – upewniła się panna Boon.

– Wyobrażam sobie, że może to być niezrozumiałe – odparła kobieta – lecz nigdy nie miałam powodu, by wyjść poza Warsztat.

– Więc nigdy nie widziała pani więdźmy? – zapytała Mamuśka i odwróciła się królewskim ruchem, by

zaprezentować swój gruszkowaty profil.

– Oczywiście, że widziałam – odpowiedziała kobieta i zerknęła na zegarek. – W Muzeum Biologicznym stoi wypchany okaz, no i mamy kilkanaście próbek genetycznych w zbiorach.

Oczy Mamuśki rozszerzyły się w szoku. Jej dolna warga zaczęła drżeć.

– Macie wypchaną wiedźmę w jakiejś zakurzonej sali muzealnej?

– W muzeum panuje idealna czystość.

– Ty mała, cherlawka...

Panna Boon zatkała Mamuśce usta dłonią, na skutek czego szara twarz wiedźmy zrobiła się zielona. Max był pod wrażeniem, że młoda nauczycielka w ten sposób okiełznała Mamuśkę, która mimo swego niskiego wzrostu była przecież silna. Po paru bojowych sekundach wiedźma dała za wygraną.

– I co, będziesz grzeczna? – zapytała panna Boon stanowczo.

Mamuśka łypnęła na nią spode łba, lecz pokiwała głową. Ręka została odjęta i wiedźma podskoczyła jak oparzona.

– To była moja kuzynka Gertruda! – ryknęła. – Gercia dwadzieścia lat temu pojechała na wakacje i...

Panna Boon westchnęła i pstryknęła palcami tuż przed ustami Mamuśki. Wiedźma pluła i syczała, lecz jej krzyki i oskarżenia przestały być słyszalne, jakby ktoś wyłączył dźwięk.

– Dziękuję – powiedziała kobieta, a gondola łagodnie się zatrzymała. – Proszę za mną do apartamentu.

Mimo że Warsztat wydawał się w zasadzie nierozzerwalnie związany z maszynami i mechaniką, apartament był urządzone bardzo przytulnie – kolorystyka była jasna, faktury naturalne, a łuki przyjemnie łagodne. Całość składała się z dwóch dużych pokoi z łazienkami i wspólnego salonu z kominkiem, w którym nawet trzaskał ogień. Kobieta dotknęła ekranu wbudowanego w wyłożoną drewnem ścianę.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebować, powiedzcie to tylko do monitora – poinstruowała. – Ja tymczasem wracam do swych zajęć.

Cooper skinął głową i zamknął za nią drzwi.

– Przypuszczam, że wszystko, co robimy i mówimy, jest obserwowane i podsłuchiwane – mruknął i otworzył plecak Davida, z którego zaczął wyciągać ich bagaże. Potem ze swoją torbą w ręku skierował się do jednej z łazienek, by wziąć prysznic. Max i David poszli za panem McDanielsem do sypialni i padli na olbrzymie łoże okryte zieloną, pikowaną kapą o przyjemnej fakturze. Nick też się tam wdrapał i uwił sobie przytulne gniazdko między obydwoma McDanielsami. Drapiąc jedwabiste uszy lymrilla, Max zamknął oczy i zapadł w pierwszy od miesiąca porządny sen.

Obudził go głos Mamuśki, dochodzący z ich salonu. Chłopak zerknął na zegarek – przespał pięć godzin.

Kiedy podszedł po cichu do drzwi, okazało się, że Mamuśka stoi przed ekranem komputera obok wózka kelnerskiego załadowanego ogryzionymi kośćmi i chrząstkami. Wiedźma najwyraźniej wyszła przed chwilą z kąpeli; mokre włosy związała w ciasny koczek i włożyła ogromny biały szlafrok, który ciągnął się za nią po podłodze, gdy dreptała w tę i z powrotem.

– Tak, zgadza się – potwierdziła. – I do tego sześć szynek z kością. Glazurowanych miodem.

– Czy to będzie wszystko, proszę pani? – spytała z ekranu kobieta o znękanej minie.

– Jeszcze perfumy – zagrzmiała Mamuśka, celując palcem w sufit. – Coś dro...

Cooper podszedł do ekranu i gwałtownie go wyłączył.

– Nie przerywaj mi! – syknęła Mamuśka.

– Ubieraj się – rzekł agent. – Nie jesteśmy na wakacjach.

Nie zwracając uwagi na przekleństwa, narzekania i groźby Mamuśki, wciągnął nanokolczugę. Wyglądał na zmęczonego – pod zdrowym okiem utworzył mu się jasnoczerwony obrzęk.

– Cooper, dobrze się czujesz? – zapytał Max.

Agent kiwnął głową i sięgnął po swój sztylet o falistym ostrzu. Naoliwił je za pomocą czarnej szmatki, a potem zawiesił pochwę na pasku na plecach. Wziął do rąk swój czarny sweter i powąchał go.

– W szafach jest pełno czystych ubrań – rzucił Max.

– Tak, a wszystkie na pewno ponadziewane mikrofonami i ukrytymi kamerami – odpowiedział Cooper. – Lepiej zostańmy przy tym, co nasze, dobra? Nawet, jeśli wymagałoby prania.

Agent zerknął na drzwi pokoju, w którym spali David i pan McDaniels. Podszedł i zamknął je, po czym usiadł przy niewielkim stole obok kominka. Kiwnął na Maksa, by przywołać go do siebie.

– I jak się czujesz? – zapytał Cooper.

– Dobrze – odparł Max. – Głodny jestem, ale poza tym w porządku.

– Nie mieliśmy za dużo czasu na ćwiczenia – mruknął agent. – Czujesz się w pełni sił? Bystry?

– Tak – odpowiedział chłopiec, zdziwiony szczerym tonem rozmowy.

– To dobrze. – Cooper zatarł ręce. – To bardzo dobrze.

– Cooper, co się dzieje?

Bładoniebieskie oczy agenta odwróciły się od Maksa i wpatrzyły w ogień. Wydawało się, że Cooper koncentruje się na tym, by odpowiednio dobrać słowa.

– Każdy z nas ma jakieś przeznaczenie – zaczął. – Kiedyś myślałem, że moim przeznaczeniem jest samotność. Samotnie polować na wrogów Rowan i dbać o to, by ciemne sprawy trzymały się tam, gdzie ich miejsce. Myliłem się. Moim prawdziwym przeznaczeniem było i jest zapewnić wam bezpieczeństwo. Tobie i Davidowi, twojemu ojcu i pannie Boon. Nawet Mamuśce.

Max chciał coś powiedzieć, lecz Cooper podniósł rękę, by go uciszyć.

– Być może nadejdzie taki czas, gdy nie będę mógł was wszystkich ochronić. Jesteś niedoświadczony, lecz zostałeś zaprzysiężony jako członek Czerwonego Bractwa. Przeszedłeś nawet próbę krwi. W tej chwili przydzielam ci twoje najważniejsze zadanie. – Wyrzekłszy te słowa, agent wyciągnął w stronę Maksa wąski skrawek papieru. Widniały na nim tylko trzy słowa, lecz wystarczyły, by chłopcu przeszły ciarki po plecach.

CHROŃ DAVIDA MENLO

– Wrzucić to do ognia – polecił Cooper.

Obaj patrzyli, jak kartka czernieje, zwija się, po czym zamienia w popiół.

– No dobrze, przynajmniej wszystko jasne – rzucił Max, by rozluźnić trochę atmosferę.

– Jasne, tak – rzekł Cooper. – Jasne, ale nie proste. To ma być sens twojego istnienia. Nic nie może stać pomiędzy tym celem a tobą.

Cooper zwrócił głowę w stronę jednej z łazienek, skąd dochodził odgłos lejącej się z prysznicza wody i gromki baryton taty Maksa. Chłopiec wyobraził sobie kilka scenariuszy.

– Masz na myśli, że gdybym miał wybierać...

– Nie masz żadnego wyboru – przerwał mu agent i pokręcił głową. – Nie ma ani chwili wahania. Twój cel

jest jeden. Jest jasny.

Max spojrzał na agenta spode łba.

– Będę się nim opiekował, Max – zaręczył Cooper. –

Wiesz o tym.

Max kiwnął głową i spojrzał twardo na agenta.

– Tak, wiem. Lecz jest jeszcze coś, co chcę wiedzieć.

– Co takiego?

– Znałeś moją mamę? – spytał Max wprost.

Cooper mrugnął parę razy, lecz siedział niewzruszony. Przez kilkanaście sekund wpatrywali się w siebie w milczeniu.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – zapytał agent powoli i równocześnie wstał, żeby wyjąć ze zgrabnej, srebrnej lodówki butelkę wody.

– Patrzyłem na ciebie, gdy tata pokazał ci jej zdjęcie – wyjaśnił Max. – Widziałeś ją już, prawda?

Na czole Coopera pojawiła się napięta żyłka. Powoli sącył wodę z butelki.

– Tak – odparł cicho. – Widziałem już twoją mamę.

– Gdzie? – chciał wiedzieć Max.

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– Gdzie ona teraz jest? – Max żądał odpowiedzi.

– Nie mogę powiedzieć – powiedział Cooper głosem bez wyrazu.

– Nie wiesz, czy nie wolno ci powiedzieć? – zapytał Max, a do twarzy zaczęło napływać mu gorąco. Wycelował w agenta palec – Nie żyje, prawda?

– W to nie wierzę – odpowiedział Cooper.

Rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi. Cooper wstał, by otworzyć, lecz Max przytrzymał go za rękę.

– Odpowiedz mi.

Twarz agenta pociemniała. Wyprostował się, odwrócił i mocno chwycił Maksa za ramiona.

– Myślę, że żyje, ponieważ jej jabłko nie jest złote. I tylko tyle się ode mnie dowiesz, rozumiesz?

Jego słowa wywarły na chłopcu takie wrażenie, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę. Cooper puścił go i podszedł do drzwi. Maksowi zaczęły się trząść ręce. Ogromna, przerażająca wprost fala energii niemal ścięła go z nóg.

Głęboko oddychając, chłopiec przymknął na chwilę oczy i postarał się uspokoić.

Jego mama żyje! Jego mama uczyła się kiedyś w Rowan!

Umysł chłopca w sekundę wypełnił się wspomnieniami. Nigdy nie był świadkiem, by mama robiła coś niezwykłego. Nic, co wskazywałoby, że ma jakieś zdolności mistyczne. Na pewno nigdy też nie wspominała o Rowan. Otworzył oczy i zobaczył stojącego na progu doktora Rasmussena, który ciekawie mu się przyglądał.

– Źle się czujesz, chłopcze? – zapytał. – Nie za dobrze wyglądasz.

– Nie, wszystko w porządku – wychrypiał Max.

– Mam nadzieję, że wam tu wygodnie – powiedział Rasmussen, z rozbawieniem przyglądając się brudnemu

ubraniu Coopera. – I widzę, że już nawet trochę podjedliście – dodał na widok resztek po uczcie Mamuśki.

– Nie – westchnął Cooper. – Tylko Mamuśka.

– A, wiedźma – zmarszczył czoło Rasmussen. – Co za dziwna towarzyszka podróży. Jeśli jesteście gotowi, chciałbym oprowadzić was pobieżnie po Warsztacie. A potem będzie nam miło zjeść kolację w waszym towarzystwie.

Parę minut później wchodzili do jednej z powietrznych gondoli, która, mknąc gładko i bezszelestnie, obwiozła ich po terenach Warsztatu. Widzieli podziemne pola pszenicy, sady i szklarnie oświetlone sztucznymi promieniami słońca, obsługiwane przez rolników-roboty o długich, pajęczych rękach bądź przez ludzi, których cieszyło tego rodzaju zajęcie. Szybowali wśród potężnych hut, stacji przekaźnikowych energii i szczelnie zamkniętych laboratoriów badawczych, które sterczały niczym występy skalne" w pustym ogromie starej kopalni soli. Powierzchnie były czyste, ludzie poruszali się niespiesznie, lecz celowo, a wszędzie słychać było niski jednostajny biały szum.

– Ilu ludzi mieszka na terenie Warsztatu? – zapytał Cooper, gdy gondola zwolniła, by przepuścić przechodzącą właśnie grupę naukowców.

– To tajna informacja, mam nadzieję, że pan to rozumie – odparł doktor Rasmussen.

Gondola wzniosła się o parę poziomów i przyspieszyła w kierunku dobrze oświetlonej hali

wielkości hangaru lotniczego. Max zaczął się wiercić i niespokojnie spoglądać na Mamuškę, mijali bowiem eksponaty biologiczne. W ogromnych szklanych gablotach wisiały potężne szkielety wielorybów i dinozaurów z szeroko rozwartymi paszczami. W pełnej okazałości można było podziwiać czy to równiutkie fiszbiny, czy kilkunastocentymetrowe zębiska. Kiedy minęli trzy leniwce, kałamarnicę, marmozetę i bawoła wodnego, Mamuška przycisnęła twarz do szyby kabiny.

Doktor Rasmussen kontynuował swój pozbawiony emocji komentarz:

– Oczywiście, wiele gatunków wyginęło, lecz zachowaliśmy cały dostępny materiał genetyczny w pojemnikach kriogenicznych, które znajdują się pod każdym z eksponatów. Z jego pomocą jesteśmy w stanie odtworzyć i przywrócić do życia dowolny gatunek. Każdy, którego ponowne pojawienie się na ziemi uznalibyśmy za właściwe. Na przykład...

– Gdzie wiedźma? – przerwała Mamuška.

– Przepraszam?

– Wiedźma, wiedźma!!! – wrzasnęła Mamuška. – Chcę ją zobaczyć!

– Oczywiście – odparł Rasmussen i gondola, szumiąc cichutko, pomknęła ku szerokiemu skrzydłu budynku, nad którym widniał napis: EGZOTYCZNE.

W tej części hali było mroczno. Mrok ten rozświetlały tylko same eksponaty – szklane gabloty, w których je umieszczono, promieniowały światłem.

– No, no, robi się ciekawie – mruknął David i wyprostował się.

Max zapatrzył się na rdzawo upierzonego bazyliuszka, którego straszliwe oczy zostały wyłupione. Cętkowany chochlik z Okinawy gapił się wprost przed siebie z ustami zamrożonymi w złośliwym uśmiechu odsłaniającym ostre jak brzytwy zęby. Minęli ogra bałtyckiego i węzowatą nagę. David i Max wykręcali szyje, by dokładniej przyjrzeć się skrytej w cieniu twarzy jakiegoś olbrzyma odzianego w ciężkie skóry. Miał dobre dziesięć metrów wzrostu, splecione w warkocze czarne włosy i kilkanaście oczu, które wзираły spod wyrazistych brwi niczym półszlachetne kamienie. Głowa i kończyny giganta były masywne i bulwiaste, jakby stwór wyczołgał się z kadzi z pierwotnym wrzącym błotem i ostygł, zanim go ostatecznie uformowano. Max stwierdził, że to najwstrętniejsza istota, jaką dotąd widział.

– Co to takiego? – zapytał David i przeszedł szybko na koniec gondoli, by zdążyć jeszcze zerknąć na podpis pod gablotą.

– Gigant fomoriański, Fomorianin – odparł obojętnie doktor Rasmussen. – Bardzo brutalny i na szczęście wymarły. Ten okaz nabyliśmy w Solas w szesnastym wieku.

Max zerknął szybko na Coopera, lecz ten stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Minęli kilkanaście gablot z różnymi gigantami, ogrami i trollami, gdy nagle panna Boon wykrzyknęła:

– Przepraszam, czy ta lamia właśnie mrugnęła?

– Ach, Lilith? To ulubienica wszystkich dzieci – zaśmiał się Rasmussen i zatrzymał gondolę. Drzwi rozsunęły się i doktor zrobił krok w bok, by ich przepuścić. Zatrzymali się w rozsądnej odległości od sześciennego gabloty o rozmiarach trzy na trzy metry. Lamia wpatrywała się w nich z pogardą oczami o opadających powiekach. Miała twarz jak z porcelany i pierś pięknej kobiety, lecz dolna część jej ciała przypominała zielonoskórego boa dusiciela i zwinięta w kilka grubych zwojów poruszała się leniwie.

– Trzymacie tu żywe okazy? – zapytał Cooper.

– Niektórych gatunków, owszem – odpowiedział Rasmussen obronnym tonem. – Są niezwykle ważne dla naszych badań. Bez tych badań nie mielibyście Trasy, moi mili.

– Więc Trasa do wasze dzieło? – spytał Max.

– Oczywiście – z dumą odparł Rasmussen. – Cóż, od dawna już stać nas na znacznie więcej, lecz jak na wasze potrzeby, nawet biorąc pod uwagę waszych najlepszych agentów, chyba wystarczy, prawda?

Cooper kiwnął głową i zbliżył się do szyby. Oślizgły korpus lamii był teraz owinięty wokół jej ciała.

Krwistoczerwone kobiece wargi rozchyliły się i odsłoniły białe, trójkątne zęby.

– Czy coś wam kiedykolwiek uciekło? – zapytał Cooper.

Doktor Rasmussen prychnął.

– Nigdy. Pas bezpieczeństwa jest nie do przejścia. Zresztą lamia nie stanowi dużego zagrożenia. Trzymamy w podobnych gablotach i afryty, i maridy i wszelkie gatunki diaboli minora.

– Żartuje pan – rzuciła panna Boon, a twarz jej przybrała odcień popiołu.

– Bynajmniej – odparł Rasmussen i wskazał gestem odległe rzędy gablot, których szyby były przyciemnione na brązowo. – Przecież to wasi Uczni w połowie dziewiętnastego wieku opracowali pentagramy chroniące przed złymi duchami.

– Dostyc już o tym! – przerwała rozmowę Mamuśka, machając z niecierpliwością rękami. – Gdzie jest wiedźma?!

– Dwie alejki dalej, trzecia gablota – mruknął doktor.

Mamuśka pogalopowała naprzód, omijając świecący jasno eksponat młodej chimery.

Minutę potem rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, podobny do wycia zepsutej syreny. Osiągał coraz wyższe tony, aż w końcu ucichł i przeszedł w żalosne łkanie. Cała grupa pospieszyła w tamtym kierunku i znalazła Mamuśkę zwiniętą w kłębek u stóp jasno oświetlonego eksponatu. W gablocie znajdowała się szczególnie szara wiedźma z rozwartymi ustami, ubrana w kwiecistą letnią sukienkę, z płócienną torbą w dłoni. Na jej twarzy zastygł wyraz rozpaczliwego sprzeciwu, szok i przerażenie. Max przeczytał podpis: PEDIVORE TERRIBLIS.

– Mordercyyy! – zawyła Mamuśka. – Och, moja biedna Gertrudo. Tak skończyłaś, w kwiecie wieku.

– Wyrazy mojego współczucia – pociągnął nosem Rasmussen.

Mamuśka z trudem podniosła się na nogi i przypuściła atak na doktora. Na szczęście pan McDaniels szybko powstrzymał plującą, wściekle przeklinającą wiedźmę.

– Lepiej zabrać ją z powrotem do pokoju – odezwała się panna Boon.

– Transport już w drodze – powiedział doktor i postukał we fluorescencyjną tarczę swojego zegarka. Rzucił Mamuśce, wtulonej teraz w tatę Maksa jak niepoczyszony koala, spojrzenie pełne irytacji. Przez następną minutę stali w pełnym skrępowania milczeniu, czekając na przyjazd eleganckiej, bezszelestnej gondoli.

– Zabiorę ją – zaofiarował się pan McDaniels i wtaszczył ciężki, łkający ładunek do pojazdu.

Twarz Mamuśki odkleiła się od ramienia McDanielsa.

– Dorwę cię jeszcze, Rasmussen – syknęła wiedźma z furją i głośno pociągnęła nosem. – Wiedźmy tak łatwo nie zapominają!

Drzwi zasunęły się i gondola zgrabnie wyjechała z alejki.

– Urocza istota – skomentował Rasmussen, po czym odwrócił się na pięcie. – Idziemy dalej?

– Mam nadzieję, że nie ma tu wypchanego lymrilla –

szeptał Max do Davida. – Nick chyba by oszalał.

– Nie zobaczy tu lymrilla, bo nie mamy żadnego w zbiorach – zawołał doktor Rasmussen z przodu. – Twój Nick to jedyny przedstawiciel gatunku, którego widziałem. Jest naprawdę bezcenny.

Max zmarszczył czoło i pobiegł po Nicka, który stał na tylnych łapach i przyglądał się tłustym okazom szczurołaka. Parę sekund później ich gondola zawróciła, wyjechała z muzeum i dołączyła do jednej z otoczonych dyskami rur.

Sunęli przez kilkanaście minut, aż wreszcie pojazd się zatrzymał. Wysiedli na polanie, na której stała grecka świątynia, a przed nią znajdował się niewielki, wpuszczony w ziemię amfiteatr. Wokół szumiał gaj oliwny. Na stopniach amfiteatru siedziało kilkadziesiąt dzieci i słuchało starszej kobiety, która pokazywała im jakieś starożytne urządzenie przypominające imadło. Kobieta pociągnęła za uchwyt, w wyniku czego obróciła się duża śruba, która z kolei obniżyła drewniany klocek, przyciskając go mocno do pergaminowego arkusza. Następnie kobieta wyjęła pergamin i zademonstrowała dzieciom powstały na nim nadruk. Dzieci zaczęły klaskać.

Max zagapił się na nie. Wszystkie wyglądały niemal identycznie – ciemnooliwkowa skóra, jasnoniebieskie oczy i krótko przycięte, czarne włosy.

– Nasi najmłodszy uczniowie. Poznają podstawy – rzekł Rasmussen i wystąpił naprzód.

– Są klonami? – zapytała panna Boon, mrużąc oczy, by lepiej przyjrzeć się dzieciom.

– Ależ nie – odparł Rasmussen. – Oczywiście stosujemy czasem eugenikę, lecz do natury podchodzimy ze zdrowym rozsądkiem. Kontrolujemy niektóre cechy genetyczne, lecz inne są całkowicie przypadkowe. Naszym zdaniem zwiększa to częstotliwość występowania cech pozytywnych, a jednocześnie nie hamuje postępu ewolucyjnego.

Uśmiechnął się i z szacunkiem skłonił głowę w stronę Maksa i Davida.

– Lecz pan nosi okulary – odezwała się panna Boon.
– I jest pan...

– ... łysy – uśmiechnął się Rasmussen. – Zupełnie pozbawiony owłosienia. *Alopecia universalis*. To wada wykształcona w przebiegu ewolucji, wiem, lecz tu, w Warsztacie obowiązuje prawo, że niektóre stopnie starszeństwa osiągnąć mogą tylko ci, w których rozwój nie ingerowała inżynieria genetyczna. To ważny czynnik bezpieczeństwa. Chroni nas przed pokusą całkowitej optymalizacji, która mogłaby z kolei doprowadzić do niebezpiecznych konwergencji genetycznych, czyli do tego, co w ewolucji zakazane.

Poprowadził ich na skraj amfiteatru, ku otoczonej kolumnami świątyni.

– Dzień dobry, doktorze Rasmussen – rozległy się dźwięczne głosy dzieci.

– Witajcie, dzieci – odpowiedział doktor, machając

do nich przyjaźnie. – Co tam macie?

– Prasę Gutenberga – odpowiedziała jedna z dziewczynek i z dumną miną podniosła kartkę ze świeżym nadrukiem.

– A co w niej takiego specjalnego? – pytał dalej Rasmussen.

– Wykorzystywała ruchome, trwałe czcionki do mechanicznego procesu drukarskiego – odpowiedziała dziewczynka.

– I? – Rasmussen prowokacyjnie wzruszył ramionami.

Dziewczynka spiekła raka i usiadła. Wstała jej najbliższa sąsiadka i dokończyła:

– Mechaniczny proces drukarski był o wiele bardziej wydajny niż przepisywanie ręczne. Dzięki niemu łatwiej można było rozpowszechniać informacje i idee. W ten sposób nastąpiła demokratyzacja wiedzy i wytworzyła się prymitywna sieć jej rozprowadzania.

– Doskonale – rzekł Rasmussen i zaklaskał. – Dzięki czemu taki postęp był możliwy?

– Dzięki maszynie – chórem odpowiedziały dzieci.

– A co to jest maszyna? – pytał dalej, udając, że nie wie.

– Maszyna jest to każde urządzenie, które przetwarza bądź przesyła energię, by wykonać pożyteczną pracę – wyrecytowały dziecięce głosiki.

– Uczcie się dalej, dzieci – powiedział Rasmussen i pomachał im na pożegnanie, po czym powolnym krokiem

odszedł w stronę świątyni.

Max i David ruszyli za nim, oglądając się co chwila na dzieci, które powchodziły na górne stopnie amfiteatru i przyglądały się gościom z otwartymi ze zdziwienia i ciekawości buziami.

– Doktorze – powiedziała w pewnym momencie panna Boon. – Proszę się na chwilę zatrzymać.

– Co się stało, panno Boon?

– Zwiedzanie jest doprawdy pouczające, lecz ciekawi mnie, że ani razu nie spytał pan nas o cel naszej wizyty.

– Ja znam cel waszej wizyty, panno Boon. Szukacie czegoś, co ukrył u nas Elias Bram. Czegoś, co ma związek z Księgą Thotha.

– Tak, w istocie – odparła nauczycielka, mrugając szybko. – Lecz myślę, że to, czego szukamy, znajduje się raczej w Aachen. Widzi pan, grobowiec Karola Wielkiego znajduje się właśnie tam i być może...

– Nie znajduje się w Aachen – przerwał jej Rasmussen z lekceważącym machnięciem ręki. – Jest tu. Znaleźliśmy komnatę, którą zbudował Bram.

– Więc macie księgę? – cicho spytał Cooper.

– Nie – odpowiedział Rasmussen. – Choć próbowaliśmy, nie udało nam się otworzyć komnaty.

– Jak to możliwe? – zapytała panna Boon. – Przecież potraficie zbudować dowolną maszynę.

Doktor Rasmussen uśmiechnął się chłodno. Jego małe, gadzie oczka przesunęły się z nauczycielki na Davida Menlo.

– Tu nie trzeba maszyny, panno Boon – rzekł. – Tu
trzeba Czarnoksiężnika.

KLUCZ BRAMA

Weszli za Rasmussenem do świątyni. Przeszli przez perystyl o sześciu kolumnach do czystego, marmurowego wnętrza. Pośrodku stał bogato zastawiony stół, przy którym siedziało dwunastu pracowników Warsztatu. Wśród nich rzucała się w oczy jedna postać i już po chwili Max machał do Jasona Barretta, który wraz z innymi podniósł się z krzesła, by powitać gości. Jason wyglądał o wiele dojrzalej niż ostatnim razem, kiedy Max go widział. Był już dorosłym mężczyzną. Odszedł od stołu i zbliżył się do wchodzących.

– Panno Boon, Max, jak miło was widzieć! – powiedział z południowym akcentem, przy czym uściśnął wyciągniętą dłoń nauczycielki i zwichrzył włosy Maksa. – O, rety, ależ ty rośniesz – powiedział i palcem dźgnął chłopca w ramię, spoglądając jednocześnie z ciekawością na wystającą spod swetra nanokolczugę.

Nadszedł czas, by wszyscy się przedstawili. Z tytułów można było wywnioskować, że Warsztat podzielony był na trzy główne działy: Energii, Materii i Zastosowań. Goście z Rowan uściśnęli dłonie trzech dyrektorów oraz ich sekretarzy i wszyscy zasiedli do stołu. Kiedy podano posiłek, Max z zadowoleniem stwierdził, że pomyślano nawet o Nicku – stanęła przed

nim głęboka waza pełna wąskich sztabek metalu, którymi lymrill natychmiast hałaśliwie się zajął. Jego opiekun grzebał podejrzliwie w daniu z tofu, które udawało mięso, a Rasmussen rozpoczął konwersację.

– Jesteśmy dłużnikami Rowan, ponieważ złożyliście nam wizytę w samą porę – rzekł i podniósł kieliszek czerwonego wina. – Muszę przyznać, że nasz problem zaczął nam już spędzać sen z powiek.

– A konkretnie, co to za problem? – zapytała panna Boon.

– Komnata Brama – odparł szef Działu Energii. – Drzwi do niej są nie do rozpracowania. To niewytłumaczalne.

– Nie do ugryzienia – wtrącił Jason Barrett i podał Maksowi półmisek z curry. – Przez te drzwi zniszczyło się już dużo sprzętu. Otwiera się je za pomocą magii, lecz zaklęcie wykracza poza moje możliwości. Chyba nawet stara Kraken miałaby tu niezłą zagwozdkę.

– Panna Kraken – poprawiła go lodowato panna Boon i chłopak natychmiast przeprosił. Następnie nauczycielka zwróciła się do Rasmussena: – Ciekawi mnie, że tak po prostu natknął się pan na tę komnatę, doktorze. O ile dobrze pamiętam, to przecież wyrażał pan jasno swoje wątpliwości co do samego istnienia Księgi Thotha.

Doktor Rasmussen podniósł obie ręce w geście poddania się.

– Bo cóż innego mogłem robić, panno Boon? Rzeczywiście byłem sceptyczny, nie przeczę, lecz czy nie

jest to dziedzina, w której mam prawo się pomylić? Jeśli księga nie istnieje, to szukamy wiatru w polu. Jeśli natomiast istnieje, pozwalamy Astarothowi ją zdobyć ku jego radości, a potem dajemy się ogarnąć lenistwu. Jako przywódca nie mogę przyzwolić na to ostatnie. Po owej naradzie w Rowan zasięgnąłem opinii moich doradców. Odkryliśmy, że Elias Bram rzeczywiście spędził tu sporo czasu w 1646 roku. Gdy przestudiowaliśmy stare projekty, okazało się, że pomagał w wydrążeniu kilku z niższych poziomów, łącznie z szybami, które później odcięto od całości i dawno temu zamknięto. Otworzyliśmy je i odkryliśmy coś zupełnie niezwykłego.

– Komnatę Brama – spuentowała panna Boon.

– W rzeczy samej.

– Będziemy chcieli ją obejrzeć – rzekła nauczycielka mistyki.

– Po kolacji, bardzo proszę – powiedział Rasmussen i otworzył następną butelkę wina. Skierował rozmowę na inne tory, przede wszystkim na tematy związane ze statusem największych miast i migracją ludności na kontynencie. Max jadł spokojnie i starał się nadążać za różnymi relacjami inżynierów. Jednocześnie Jason wprost bombardował go pytaniami o wiedźmy i o Rowan. Jego pytania były miłe, lecz zarazem zastanawiające, chłopak wydawał się bowiem dziwnie oderwany od sytuacji na powierzchni.

– Jason, a twojej rodzinie nic się nie stało? – zapytał Max, zostawiając na talerzu kawałek tofu w sosie.

– Wiesz, są ze mną tutaj – odparł Jason i dobrał się do misy z sałatą. – Wszyscy, cała rodzina. Nawet ciotki i wujkowie. Kiedy tylko na górze zaczęło źle się dziać, Warsztat ich tu ściągnął.

– Uuu! – Max był pod wrażeniem. – To super.

– Przystosowali się do warunków tutaj łatwiej niż do tego, co się dzieje na zewnątrz. – Jason gorzko pokiwał głową. – W domu, znaczy na górze, zaczynało się już robić dziwnie. Mój wujek miał gospodarstwo i przysięga, że coś nawoływało go ze studni.

Max wzdrygnął się na samą myśl. Biura terenowe musiały już pracować na pełnych obrotach, jeśli zajmowały się nawet tak drobnymi zjawiskami. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy komnatę Brama. Gdy wreszcie podano deser, westchnął z ulgą. A gdy David dopił w końcu piątą filiżankę kawy, nastąpił długo oczekiwany koniec posiłku. Gdy wszyscy zaczęli wstawać od stołu, Jason wykorzystał rozgardiasz, przysunął się na chwilę do Maksa i szepnął mu do ucha:

– Nie spuszczaaj Nicka z oka.

– Jak to? – nie zrozumiał Max, lecz Jason jak gdyby nigdy nic zaczął rozmawiać ze starszym specjalistą do spraw Materii o najnowszych testach przewodności cieplnej. Zaniepokojony Max spojrzał na Nicka, który drzemał sobie teraz w wazie z brzuchem tak wypchanym, jakby połknął dynię.

– Wiesz, jak on to robi? – zapytała smukła kobieta, która przy posiłku siedziała po prawej stronie Maksa.

- Przepraszam, nie rozumiem?
- Pytam o lymrilla – wyjaśniła, wskazując na Nicka.
- Jak to możliwe, że jego ciało metabolizuje i metal, i pokarmy organiczne w ten sam sposób.
- Nie mam pojęcia – odparł Max.
- To fascynujące – rzekła. – Pomyśleć tylko, że posiada jakiś proces lub enzym, dzięki któremu przekształca zwykły metal w coś niezwykłego. Próbowaleś może kiedyś oderwać jedną z jego łusek?
- Nie – odparł zatrwożony chłopiec. – Nie sądzę, żeby mu się to podobało.
- Hmm – zastanowiła się kobieta, badawczo przyglądając się lymrillovi.
- I boję się pomyśleć, co by się stało, gdyby ktoś spróbował zrobić coś takiego – dodał Max zdecydowanym tonem. – Nick potrafi być jak czołg.

Kobieta uśmiechnęła się i odeszła w głąb świątyni, w stronę Rasmussena, wokół którego gromadziła się już grupa osób czekających na przyjazd gondoli. Po chwili nadpłynęła, a za nią kilka następnych. Sztuczne promienie słoneczne odbijały się od płytkiej fontanny, kładąc na srebrzystej, gładkiej obudowie gondoli roztańczone złote błyski. Max spojrział w górę na greckie maski i posągi, które ozdabiały wnętrze świątyni. Dźwignął Nicka i przewiesił sobie jego ciężkie cielsko przez ramię niczym myśliwy zwierzynę, co rozbawiło doktora Rasmussena.

Gondole startowały jedna po drugiej i kierowały się wzdłuż długiej rury biegnącej, jak się wydawało, na

peryferie piramidy. Skręciły łagodnie w prawo i niespodziewanie zanurkowały w głąb szerokiego, surowego szybu kopalni, między ciemne skały pełne błyskających tu i tam kryształów. Max poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. David zamknął oczy i nucił coś pod nosem.

Przybywszy do groty wielkości mniej więcej połowy sali gimnastycznej, gondole zwolniły. Tu i ówdzie fluorescencyjne światło oświecało kunsztownie wykonane konstrukcje podpór i zastrzałów. Z boku stały ogromne maszyny wydobywcze i świdry. Max zauważył, że niektóre z tych masywnych, wydawałoby się niezniszczalnych, narzędzi były starte, zużyte niczym gumki do ścierania. W grocie kręciło się już ze dwudziestu inżynierów, gorączkowo przeglądających projekty i diagramy na ekranie komputera i projektorze hologramowym, zainstalowanym na prowizorycznym stanowisku roboczym. Wszyscy wyglądali na wykończonych i zdenerwowanych. Kiedy ujrzeli nowo przybyłych, odwrócili się i patrzyli na nich pustym wzrokiem. Maks zauważył wbudowane w skałę okrągłe kamienne drzwi.

– Coś nowego? – zapytał z optymizmem Rasmussen.

– Nie, proszę pana – odparła zmęczona kobieta o króciutkich, białych włosach.

– Taaak. Przywiozłem wam nowe narzędzia – rzekł Rasmussen. – Proszę, zdajcie naszym gościom relację ze wszystkiego, czego się do tej pory dowiedzieliśmy.

Kobieta założyła ręce na krzyż.

– Proszę bardzo – powiedziała lekko. – Więc mamy tutaj drzwi. Drzwi bez klamek i bez widocznych zawiasów. Drzwi, które według wskazań naszych czujników wykonane są z litego granitu, lecz mimo to kruszą nasze najtwardsze świdry jak próchno. Jeśli w ogóle uda nam się zbliżyć narzędzia do drzwi na tyle, by ich dotknęły.

– Dlaczego trudno zbliżyć wiertło do drzwi? – zapytał Cooper.

– Miałam właśnie nadzieję, że pan mi to wyjaśni – powiedziała opryskliwie kobieta, po czym wyjęła z kieszeni metalowy bolec i rzuciła go w kierunku drzwi. Zatrzymał się w locie i upadł na ziemię, jakby nagle uderzył w niewidzialną ścianę.

– A laser? – zapytała panna Boon.

Kobieta spojrzała na nią wilkiem.

– Tak, też udało nam się na to wpaść – odpowiedziała po pełnej napięcia chwili. – W wyniku eksplozji, która nastąpiła po użyciu lasera, zginęło trzech inżynierów i omal nie zawalił się tunel. A może przywiozła pani ze sobą otwieracz do puszek?

Panna Boon westchnęła i zwróciła się do Rasmussena:

– Możemy spojrzeć?

– Oczywiście – odpowiedział. – Proszę wybaczyć doktor Braden. Nie zwykła napotykać na przeszkody trudniejsze do pokonania niż ona sama.

Kobieta kiwnęła sztywno głową, a panna Boon wysunęła się do przodu. Za nią David. Max poczuł podziw dla młodej nauczycielki za to, że zachowanie doktor Braden w żaden sposób jej nie speszyło ani nie uraziło. On wraz z Cooperem zostali z tyłu. David nagle się zatrzymał. Zdjął z szyi talizman Brama i podał go Maksowi.

– Ciągnie mnie za szyję – wyjaśnił. – Jeśli masz przy sobie coś z metalu, musisz zostać tutaj.

Max i Cooper spojrzeli po sobie – obaj byli w nanokolczugach, a do tego Cooper zawsze nosił przy sobie kilka rodzajów broni.

Obszar wokół drzwi oświetliła nagle para wyczarowanych przez pannę Boon białych świetlistych pierścieni. Nauczycielka wraz z Davidem stanęli przed okrągłymi drzwiami. Miały one około trzech metrów średnicy i wykonane były z szarzielonego kamienia, upstrzonego tu i tam czarnymi cętkami. Pośrodku drzwi widniał profil postaci z głową ibisa. Max wiedział, że to wizerunek egipskiego boga Thotha. Na obwodzie drzwi wyrzeźbiono dwanaście mrówek wielkości mniej więcej kota, zastygłych w marszu. Pomiedzy mrówkami a wizerunkiem Thotha znajdowały się tysiące wypisanych z wielką precyzją hieroglifów.

Podczas gdy David i panna Boon stali pogrążeni w cichej rozmowie, Rasmussen wraz z resztą starszych urzędników zgromadzili się za Maksem i Cooperem, tuż poza strefą zasięgu oddziaływania drzwi. Panna Boon

uniosła się parędziesiąt centymetrów w górę, żeby zbadać wyżej położone napisy. David, chcąc objąć wzrokiem całość, wycofał się nieco. Kiedy badanie drzwi zakończyło się i zapadła tajemnicza cisza, doktor Braden zaczęła utyskiwać. Nagle David klasnął w ręce. Jego młody głos zabrzmiał dźwięcznie w grocie.

– Mała mrówko, mała mrówko, zbudź się! Przybył Czarnoksiężnik, który przywoła cię do życia.

Nic nie nastąpiło.

– Też mi czarnoksiężnik – prychnęła doktor Braden.
– A może teraz przeniesiemy się do krainy...

– Ćśśś – syknął Rasmussen i podniósł palec. – Coś się dzieje.

Rzeczywiście, coś zaczynało się dziać. Z górnej części drzwi strużkami sypał się pył. Max zmrużył oczy i patrzył, jak otaczający rzeźbione mrówki kamień rozplywa się, odsłaniając tuzin błyszczących, czarnych mrówczych ciał. Gigantyczne owady strząsnęły z siebie resztki pyłu i zaprawy, pokiwały czułkami, otworzyły żuchwy i zgodnie z ruchem wskazówek zegara ruszyły miarowym marszem po obwodzie drzwi. Doktor Rasmussen przygryzł język i odwrócił się do doktor Braden ze tryumfalnym uśmiechem.

– Widzi pani? Mówiłem, że ten mały jest bardzo poważny. Panno Boon, czy drzwi się otwierają?

Panna Boon podeszła, zostawiając przed drzwiami Davida w pełnej skupienia pozie.

– Nie, doktorze – powiedziała. – Te drzwi zostały

związane wieloma zaklęciami. David tylko zasygnalizował, że ktoś życzy sobie wejść do środka. Są jednak wciąż zamknięte.

Doktor Braden spojrzała wilkiem na Jasona Barretta.

– Dlaczego ty nie mogłeś tego zrobić? – warknęła.

– To nie wina Jasona – wyjaśniła panna Boon. – Zaklęcie może być proste jak dziecięca rymowanka, lecz wszystko zależy od tego, kto je wypowiada. Drzwi nie chciały mnie słuchać. Nie sądzę, by posłuchały kogokolwiek innego prócz Davida.

– Przecież to tylko dziecko – prychnęła Braden.

– Doktor Braden – odezwała się panna Boon – jestem pewna, że osobie tak wykształconej jak pani nie trzeba wyjaśniać, że w rzeczach małych może tkwić potężna siła.

– Oczywiście – przytaknęła Braden.

– Ma więc pani właśnie okazję oglądać najpotężniejszego mistyka, jakiego widział świat na przestrzeni ostatnich czterystu lat. A konkretnie, od czasów Eliasa Brama. Osobiście uważam, że David nie jest nawet mistykiem. Jest prawdziwym Czarnoksiężnikiem.

– A co to za różnica? – spytała Braden, pocierając szyję.

– Mistycy to ci, którzy potrafią rzucać zaklęcia – powiedziała po prostu panna Boon. – Czarnoksiężnicy raczej nie zwracają sobie głowy wyuczonymi formułkami. Ich energia i instynkt są tak potężne, że potrafią zaimprovizować to, czego akurat potrzebują. Są

istotami niezwykle rzadkimi.

Doktor Braden otworzyła usta, lecz nie zadała następnego pytania.

– Czy to za jego sprawą Rowan zniknęło? – zapytał Rasmussen.

– Tak – odparła Boon.

– Rozumiem – rzekł doktor z podziwem.

David odwrócił się na pięcie i podszedł do nich z rękami wbitymi głęboko w kieszenie. Jego dziecięca buzia była spokojna i skupiona. Z tyłu za nim mrówki kontynuowały swój niestrudzony marsz.

– Będę potrzebował trochę spokoju, więc byłoby najlepiej, gdybyście wszyscy teraz odeszli – rzekł ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Doktor Rasmussen się zaśmiał.

– Rozumiemy, rozumiemy. Zachowujemy się za głośno. Dobrze, za chwilę będziesz miał tu absolutną ciszę, młody człowieku.

David potrząsnął głową.

– Nie. Potrzebuję tylko samotności i książki. Panna Boon wie, której.

Nauczycielka utkwiała spojrzenie w Davidzie.

– Jesteś tego absolutnie pewien? – zapytała ostrożnie.

– Absolutnie.

– David, nie chcę, żebyś został sam tu na dole – cicho powiedział Cooper.

– Niech Max ze mną zostanie – odparł chłopiec i znowu podszedł do drzwi. – A, i poproszę kawy. Dużo

kawy, jeśli można. Z cukrem i śmietanką.

Doktor Braden zaczęła protestować, lecz Rasmussen uspokoił ją jednym wściekłym spojrzeniem.

– Nauczyłem się respektować wszystko, jeśli wymaga tego geniusz – rzekł. – Oczywiście David dostanie to, czego potrzebuje. Zostawimy go samego. – Doktor wyjął z kieszeni urządzenie komunikacyjne i podał je Maksowi. – Naciśnij tu w razie potrzeby. Mam nadzieję, że dacie znać natychmiast, kiedy drzwi się otworzą?

Max spojrzał na Coopera, który kiwnął z przyzwoleniem.

– Wszyscy do wyjścia – zarządził Rasmussen, ponaglając inżynierów.

– Powiedz tacie, żeby się nie martwił – poprosił Max i podał Cooperowi Nicka oraz talizman.

Panna Boon mocno złapała Maksa za ramię i przysunęła twarz blisko do jego twarzy.

– Max. Nie wiem, co zamierza David, lecz ta książka jest ogromnie niebezpieczna.

Cooper położył dłoń na dłoni nauczycielki i delikatnie zdjął ją z ramienia Maksa.

– Musimy ufać Davidowi, panno Boon – powiedział cichym głosem. – Dajmy mu to, o co prosi.

Gryząc paznokieć, panna Boon obdarzyła małego chłopca spojrzeniem pełnym macierzyńskiej troski, po czym odwróciła się i odeszła za Cooperem.

Gondola odjechała. Max przysiadł na ziemi i wsparł się plecami wielkie wiertło. David stał skąpany w

upiornym, białym świetle pierścieni wyczarowanych przez pannę Boon. Mały Czarnoksiężnik nie poruszył się, dopóki gondola nie przywiozła kawy i Kodeksu. Nawet wtedy wydawał się zupełnie nieświadom czyjejkolwiek obecności. Posłodził kawę w termosie, dolał do niej mleka, pomieszał i zaczął krążyć w tę i z powrotem, mrużąc coś bezgłośnie przeglądając czerwoną książkę w taki sposób, jakby po prostu wertował ją pobieżnie w księgarni. Max ziewnął i spojrzał na rząd termosów z kawą. W uszach szumiało mu od rytmicznego tupotu nóg maszerujących owadów. Odwrócił się od Davida, by przyrzeć się ciemnej grocie, oświetlonej tylko gdzieś tam miękkimi, fluorescencyjnymi aureolami. Kiedy David zaczął monotonicznie skandować zaklęcia, Max powoli odpływał w sen.

Gdy się obudził, grotę oświetlona była znacznie jaśniej. David stał pośrodku ochronnego kręgu z jaskrawoniebieskiego światła, które przypominało iskry powstające przy spawaniu. Stał pochylony tuż przy drzwiach i oglądał je skrupulatnie. Do piersi przyciskał otwartą książkę. Po obu stronach miał dwa świecące czerwonym, fosforowym światłem pentagramy. Mrówki maszerowały teraz szybciej. Max się podniósł.

– Nie zbliżaj się! – rozkazał David, nie odwracając się do kolegi. – Stój za linią.

Max spojrzał w dół i zobaczył bladą, chwiejną linię na podłodze, tuż za metalowym bolcem, rzuconym przez

doktor Braden.

– I co? Jak ci idzie? – szepnął.

– Idzie, idzie – odpowiedział David zmęczonym głosem. – Rozwiązanie nie jest aż tak złożone, raczej męczące i zaklęcia nakładają się na siebie, jeśli nie jesteś wystarczająco sprytny, by... Tu gwałtownie przerwał i zniecierpliwiony wybuchnął potokiem słów po egipsku. – Przepraszam – mruknął, po czym opowiadał dalej: – Muszę wypowiadać odpowiednie rozkazy w ściśle określonym momencie, jakbym przekręcał klucz w zamku. Inaczej polecenia nakładają się na siebie.

– A co to za czerwone światła?

– W grocie znajdują się dwa bardzo potężne demony. Pentagramy są oczywiście po to, żeby je unieruchomić. Ten krąg ma chronić mnie, a ta linia ciebie.

David wystawił palec do góry i kiwał głową, odliczając coś po cichu. Potem rzucił komendę po grecku.

– Nie widzę żadnych demonów – powiedział Max i zaczął rozcierać sobie ramiona, bo przeszedł go lodowaty dreszcz.

– Możesz ich nie widzieć – rzekł David. – Ale one widzą ciebie. Zostań tam, gdzie stoisz.

– Po co te demony? – nie rozumiał Max.

– Odwalają czarną robotę – odparł David. – Rozpracowują co trudniejsze zaklęcia wiążące i rozbierają na części pierwsze ostateczne komendy tak, bym mógł we właściwym momencie je wypowiedzieć. Są bardzo użyteczne, naprawdę.

Max zamilkł i obserwował, jak David co chwila podnosi drobne pięści i wypowiada na wpół zrozumiałe słowa. Kiedy tak się przyglądał, zaczął powoli dostrzegać subtelne ruchy nad obydwojma pentaklami. Powietrze nad nimi wydawało się drżeć i co jakiś czas przesuwając, jak fale, które w upalny dzień unoszą się nad rozgrzanym asfaltem. Chłopcu zdawało się, że słyszy nadchodzące z daleka niezrozumiałe szepty i pomruki – upiorne, bełkotliwe głosy, które bawią się jego zmysłem słuchu. Mrówki przyspieszyły. Ich marsz nabrał szaleńczego tempa.

– Chodź tutaj – odezwał się nagle David spokojnym, rozkazującym tonem. – Teraz będę potrzebował twojej pomocy.

Max zrobił krok do przodu, lecz zatrzymał się gwałtownie tuż przed bladą linią, drżącą na kamiennej posadzce.

– Ale myślałem...

– Zostań tam! – wrzasnął nagle David, a jego ciało podskoczyło zniechęta w górę jak pociągnięta za sznurek marionetka. Gdy opadł z powrotem na ziemię, jego stopy wylądowały niebezpiecznie blisko ochronnego kręgu. David zachwiał się i przez pełną grozy sekundę Max myślał, że się przewróci i wypadnie poza bezpieczny teren. Max stał bez ruchu. David zamknął oczy, wygiął ciało i po chwili je wyprostował, jakby chciał zebrać całą energię. Władczym ruchem zadarł podbródek i lodowatym wzrokiem wpatrywał się w coś, co

najwyraźniej znajdowało się w obrębie jednego z pentagramów. Spojrzawszy do Kodeksu, mocnym głosem odczytał jego fragment:

– Twoja służba zakończona, więc odsyłam cię do miejsc poza tą planetą, gdzie pozostaniesz, dopóki znowu nie usłyszysz wezwania. Jeśli nie wypełnisz rozkazu, odeślę cię w Zapomnienie.

Max, który na chwilę wstrzymał oddech, wypuścił teraz powietrze. Pentagramy zaczęły blednąć, szeptania cichnąć, aż wszelkie dowody obecności przerażających gości znikły. David oddychał ciężko. Jego twarz lśniła od potu. Odwrócił się do drzwi i wydawało się, że śledzi drogę jednej z maszerujących mrówek. Kiedy owad znalazł się na szczycie drzwi, chłopiec wyszeptał ostateczne zaklęcie. Mrówki posłusznie pozeskakiwały z kamienia i skłębioną masą wylądowały u stóp Davida.

Wielkie kamienne drzwi zadrżały.

– David, odsuń się od nich! – krzyknął Max.

David spojrzał na kolegę. Zataczał się w miejscu jak pijak, którego popchnięto i który nie może złapać równowagi.

Ważąca setki ton kamienna płyta pochyliła się morderczym nawisem tuż nad bezbronną postacią Davida.

Max skoczył.

Z ogłuszającym hukiem drzwi zwały się na kamienną podłogę, wysyłając na boki grad ostrych odłamków granitu i siejąc spustoszenie wśród mrówek. Maksa i Davida odrzuciło na bok, gdzie leżeli i kasłali w

chmurze dławiącego pyłu, który podniósł się jak grzyb atomowy. Kiedy Maksowi przestało dzwonić w uszach, chwycił Davida i postawił go na nogi, strzepując kurz i odłamki z oszołomionego kolegi.

– Tylko nie mów panie Boon, co się stało – zdążył wyszeptać David, zanim nogi się pod nim ugięły i runął na ziemię. Max chwycił zimny, giętki jak guma nadgarstek Davida i próbował wyczuć puls. Ułożył kolegę na ziemi i włożył mu pod głowę swój sweter. W panice odnalazł urządzenie, które dał mu Rasmussen, i raz po raz zaczął naciskać przycisk.

– Witam. Co się dzieje? – odezwał się głos doktora.

– Potrzebujemy lekarza – wysapał Max.

– Czy drzwi są otwarte? – zapytał Rasmussen.

– Tak! Ale potrzebujemy lekarza, w tej chwili! – wrzasnął Max.

– Oczywiście – usłyszał opanowaną odpowiedź.

Max cisnął urządzenie na bok i zaczął nerwowo krążyć po grocie w poczuciu całkowitej bezradności. Patrzył tylko, jak pierś Davida unosi się i opada w powolnym, ciężkim oddechu. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim pierwsza gondola przywiozła grupę rozentuzjasmowanych inżynierów z doktor Braden włącznie. Lekarz wraz z asystą nadjechali zaraz po nich.

Lekarka była kobietą o kruczoczarnych włosach i miłej twarzy. Pochyliła się nad Davidem, by sprawdzić jego funkcje życiowe, a w tym czasie jej asystenci

umieszczali czujniki na przegubach, piersiach i skroniach chłopca.

– Gdzie Cooper i panna Boon? – wykrzyknął Max, kiedy zobaczył Rasmussena.

– W pokoju. Śpią zapewne – odpowiedział beztrósco.
– Jest czwarta nad ranem. Co stwierdziłaś, Patricia?

Kłęcząca przy Davidzie lekarka ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w monitor.

– Ma nieregularny rytm serca. Bardzo słaby – odparła.

– Miał przeszczep – wtrącił się Max – a właściwie dwa.

– Hmmm – mruknęła lekarka i wymieniła poważne spojrzenie ze swym asystentem.

– Zróbcie coś! – ryknął Max.

– Na miłość boską, chłopcze, kontroluj się! – syknął niecierpliwie Rasmussen, po czym przeszedł parę kroków i stanął na przewróconej bryle skalnej. Siła, która wcześniej odpychała wszystko od drzwi, po złamaniu zaklęcia wygasła. Inżynierowie pospiesznie przetaczali maszyny i monitory ku czarnemu otworowi w ścianie przypominającemu wejście do grobowca . W tym czasie pani doktor wydawała szybkie polecenia asystentowi, który wybrał jedną spośród kilkunastu długich, wypełnionych szarawą substancją strzykawkę i na znak lekarki wbił ją mocno prosto w pierś Davida.

– Co to?! – krzyknął Max i podbiegł do nich. Noga Davida kopnęła powietrze i głucho opadła na ziemię.

– Lekarstwo – wyjaśnił jeden z asystentów. – Mikroskopijne roboty, które uzupełnią strukturę serca i wzmocnią je.

– Czy to go boli? – dopytywał się Max.

– Jeśli byłby przytomny, to tak, odczuwałby ból – wyjaśniła cierpliwie lekarka – lecz na szczęście jest nieprzytomny. Normalnie w takim przypadku podalibyśmy znieczulenie, lecz w tych okolicznościach się na to nie odważę. Dobrze zrobiłeś, że nas wezwałeś.

Max usłyszał nad sobą głos Rasmussena.

– Patricia, jeśli chłopak ci przeszkadza, możemy go stąd zabrać.

Pani doktor nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy Maks, owładnięty wściekłością, rzucił się na Rasmussena. Sekundę później mężczyzna, powalony na kolana oszołomiony i przerażony patrzył na trzymającego go za gardło chłopca.

– R-ratunku! – wychrypiał. Z każdą sekundą twarz coraz bardziej mu siniała.

– Ten „chłopak” może w każdej chwili skrócić panu kark – wysyczał Max. Moc, którą się w nim kłębiła, zarazem przerażała go i wycieńczyła. Gdzieś w oddali widział poruszające się postaci. Jednak to, co się działo na drugim planie, znaczyło w tej chwili tyle samo, ile mrówki przygniecione przed chwilą przez walącą się skałę. Równocześnie Max czuł i słyszał jakieś stłumione uderzenia. To pociski odbijały się od nanokolczugi, nie wyrządzając mu krzywdy. Wtem poczuł tępy ból w nodze.

Zerknął na nią i stwierdził, że w udo ma wbite kilka niewielkich strzałek. Znów uderzenie. I jeszcze jedno.

Odwrócił się i zobaczył inżyniera o twarzy białej jak mąka, który z palcem na cynglu celuje w niego z jakiejś broni. Zanim mężczyzna zdążył się zorientować, Max puścił swą ofiarę i dopadł go w dwóch błyskawicznych susach. Wyrwał mu broń i zgniótł jej obudowę jak aluminiową puszkę. Mężczyzna zemdłał.

Naraz w grocie rozszalała się druga wersja Maksa, wzbudzając świsty, podmuchy i szalone okrzyki, odbijające się od skał. Nie minęła sekunda, a pojawiła się druga zjawą, za chwilę – trzecia. Kiedy wszystkie sobowtóry chłopca siały chaos i przerażenie wśród zdezorientowanych inżynierów, on sam po cichu ukrył się za którąś z maszyn, by zasadzić się na największe skupisko pracowników Warsztatu. Zanim jednak zdążył wprowadzić swój zamiar w czyn, ponad ogólny harmider wybił się jeden mocny głos:

– Przestań! Proszę, przestań!

Była to lekarka. Zwracała się do jednej z iluzorycznych postaci Maksa, która cały czas krążyła wokół niej i Davida. Zjawy zatrzymały się i odwróciły w jej stronę, po czym rozwiały się nagle w kłaczki ciemnego dymu.

– Niech wszyscy odłożą broń – rozkazała lekarka i pospieszyła do Rasmussena, który dławiąc się, leżał na ziemi. – Gdzie jesteś? – krzyknęła do Maxa.

– Tutaj – wydyszał chłopiec i wyszedł ze swej

kryjówki.

Stojący obok inżynierowie niemal nie wyskoczyli z butów. Jak jeden mąż tyłem wycofali się w drugi koniec grotu.

Lekarka z niepokojem wpatrywała się w udo Maksa i nieprzyjemnym tonem wydała polecenie asystentom, którzy ukryli się za wielkim świdrem.

– Co się stało? – spytał Max.

– Trzeba... trzeba natychmiast zawieźć cię do szpitala – wyjąkała. – Dostałeś śmiertelną dawkę środków uspokajających. Nie rozumiem, jak to możliwe, że jeszcze stoisz na nogach.

– Nic mi nie jest – odparł Max i wyrwał sobie jedną ze strzykawek z uda. – Proszę się zająć Davidem.

Rasmussen usiadł i zaczął masować sobie szyję. Ku zdziwieniu Maksa, był rozbawiony.

– Niezła nauczka – wysapał i kilkakrotnie odkaszlnął. – Nie miałem pojęcia, że ty... cóż, szkoda gadać, teraz rozumiem, dlaczego więdźmy tak się tobą interesują. Szczerze przepraszam, jeśli cię obraziłem. Brak taktu to moja wada, zgadzam się.

– Doktorze Rasmussen – wtrąciła lekarka. – Musimy w tej chwili zabrać go do szpitala.

– Patricia, czy on wygląda na chorego? – uciął Rasmussen i otrzepał pył ze spodni, po czym podszedł do zgniecionego kawałka metalu, który jeszcze przed chwilą był doskonale działającą bronią. Chwycił go w dwa palce i intensywnie się mu przyglądał.

– Czy mogę w takim razie wziąć chociaż tego pacjenta do szpitala? – zapytała zrozpaczona lekarka.

– Oczywiście – odpowiedział rozkojarzony Rasmussen. – Dziękuję ci, Patricia.

– Jadę z Davidem – rzekł Max, pamiętając polecenie Coopera. Zaledwie wczoraj agent powierzył mu opiekę nad kolegą, a już okazało się, że Max nie potrafi sprostać zadaniu. Spojrzał na rozwartą ciemną paszczę komnaty Brama, niechętnie zostawiając jej spenetrowanie inżynierom, którzy wprowadzali do niej ciężki sprzęt. Chwycił tylko Kodeks i za noszami z Davidem poszedł do gondoli medycznej.

Parę godzin później panna Boon gotowała się z wściekłości. Czerwony jak burak Max splatał nerwowo palce i słuchał surowej reprimendy nauczycielki za to, że stracił panowanie nad sobą. Panna Boon chodziła w tę i z powrotem wyprostowana jak struna i w regularnych odstępach czasu powtarzała słowa: „Nierozważny, dziecinny, mentalnie niedojrzały...”. Obok, na drugim końcu kozetki, siedziała Mamuśka i skręcała się wprost z zachwyty, gdy Max zmuszony był opowiedzieć o całym zajściu od początku do końca.

– Jaki miał wyraz twarzy, kiedy go dusiłeś? – spytała, przerywając śledztwo pannie Boon.

– Nie teraz – mruknął Max.

– Trzeba było go trzepnąć głową o ziemię – powiedziała wiedźma autorytatywnie i zademonstrowała

ruch, jaki Max powinien był według niej wykonać. – To ma natychmiastowe działanie!

– Mamuśka, dość – ucięła panna Boon, odwracając się do wiedźmy, która jak z procy wypadła z pokoju i uciekła do sypialni.

Zanim panna Boon zdążyła skończyć swoją wychowawczą tyradę, drzwi do apartamentu otworzyły się i stanęli w nich Cooper i pan McDaniels, prowadząc między sobą Davida, który słańiał się na nogach.

– O, i jeszcze jedna sprawa – przypomniała sobie panna Boon. – Chcę się dowiedzieć, co dokładnie zrobił David, że doprowadził się do takiego stanu.

– Nie wiem dokładnie, co zrobił – rzucił Max. – Zasnąłem.

– Ha! – prychnęła nauczycielka, wierząc obcasem dziurę w podłodze.

– Jest dobra nowina – ogłosił Scott McDaniels. – Davidowi raczej nic nie będzie. Pani doktor mówi, że wskutek ogromnego wysiłku jego serce na chwilę zaniemogło. Ale przyjmie trochę pigułek, trochę zastrzyków, trochę odpocznie i będzie jak nowo narodzony!

David uśmiechnął się niewyraźnie.

– To jedyna dobra nowina, jaką mamy wam do przekazania – odezwał się Cooper, zawieszając Davidowi na szyi talizman i wsadzając mu go za sweter. – Warsztat stwierdził już, co kryła komnata Brama. Był tam golem. Zdołano go obezwładnić i zniszczyć. Rasmussen zechce

zapewne zorganizować spotkanie, żeby przedyskutować sytuację.

– O czym tu dyskutować? – zdenerwowała się panna Boon i zaczęła gwałtownie mrugać. – Nie ma żadnych wątpliwości, że klucz należy do nas. Gdyby nie David, dalej staliby przed zamkniętymi drzwiami, na miłość boską!

– W każdej chwili może się pani skontaktować ze swoim prawnikiem – zakpił Cooper. – Niech wszyscy się spakują i schowają rzeczy do plecaka Davida. Być może będziemy musieli zwijać się stąd w pośpiechu.

– Ale... – zaczęła nauczycielka.

– To rozkaz, panno Boon – powiedział ostro agent. – Max, weź broń. Masz ją cały czas nosić przy sobie.

– Tak jest – odpowiedział chłopiec i od razu poszedł do sypialni. Tam, wzorując się na Cooperze, umocował sobie włócznię na plecach, a potem upchnął swoje rzeczy do sfatygowanego plecaka Davida. Nick miauknął i złapał w zęby poduszkę, by za chwilę zacząć machać nią jak terier.

– Cisza – mruknął Max. – Nakarmimy cię później.

Lymrill ziewnął i wyciągnął pazury, łypnął niechętnie na swego opiekuna i poczłapał do salonu. Parę minut później do drzwi zapukał urzędnik. Wraz z nim pojechali jedną z superszybkich rur transportowych.

Urzędnik zaprowadził ich do sali o bardzo oficjalnym wyglądzie. Nie było tam uroczych fontann, kolumn ani uczniów. Starsi rangą inżynierowie zasiadali przy długim,

błyszczącym stole z ciemnego drewna. Pod ścianami, też wykładanymi ciemnym drewnem, stali uzbrojeni żołnierze. Pośrodku stołu, niczym makabryczna ozdoba, leżała odcięta głowa strażnika komnaty Brama – niewidząca kamienna bryła, której grube, proste rysy mogłoby wyrzeźbić dziecko. Doktor Rasmussen siedział u szczytu stołu i uśmiechał się zza połyskujących okularów.

– Witajcie, przyjaciele – powiedział i wskazał im puste krzesła. Max usiadł obok taty, na kolanach ułożył sobie Nicka. Jason Barrett zajmował miejsce naprzeciwko. Wyglądał na bardzo skrepowanego.

– Jak się wam podoba nasza nowa rzeźba? – Rasmussen machnął ręką w stronę głowy golema. – Doktor Braden zabrała już ciało do muzeum. Co za toporne, bezmyślne stworzenie, prawda? Byliśmy nieco rozczarowani, że komnata kryła coś takiego.

Cooper skinął głową.

– Rozumiem, że kryła jednak również coś interesującego – rzucił.

– Tak, rzeczywiście – odrzekł doktor. – Coś niezwykle intrygującego.

Rasmussen podniósł z podłogi jakiś ciężki przedmiot i postawił go na stole przed Cooperem.

Zagadka Brama mówiła o kluczu o czterech szczyrbach, lecz ten przedmiot niczego takiego nie przypominał. Była to kula złożona ze srebrnych ruchomych pierścieni na gładkiej drewnianej podstawie.

Rasmussen nonszalancko zakręcił jednym z nich.

– Wiecie, co to jest? – zapytał.

– To sfera armilarna – odparła panna Boon. – Wynaleziona przez Eratostenesa w trzecim wieku przed Chrystusem. Narzędzie służące do nauki astronomii.

– Zgadza się – potwierdził Rasmussen. – Ale ciekaw jestem, czemu ono służy w tym przypadku?

Zapadła cisza. Max spojrzał na Coopera i policzył stojących pod ścianą żołnierzy, zgodnie z tym, czego go uczono. Rasmussen zastukał długim, szczupłym palcem w lśniący blat.

– Rozumiem. – Zmarszczył czoło. – Zastanawia mnie jednak to, że Rowan oczekuje współpracy ze strony Warsztatu w rozmaitych sprawach, wielkiej i małej wagi, lecz jeśli prosi się was o prostą odpowiedź na proste pytanie, milczycie jak grób.

Cooper zdjął czapkę i odsłonił znaczoną szramami, króciutko ostrzyżoną głowę. Przez chwilę przyglądał się czarnej wełnianej czapce, po czym zdjął z niej jakąś białą nitkę. Max poczuł, że Nick się trzęsie. Gdy agent przemówił, jego głos był spokojny, przerażający i zupełnie pozbawiony emocji.

– Ten przedmiot jest własnością Rowan. Jego przeznaczenie jest ściśle tajne. Nie zamierzamy stąd bez niego odejść.

Napięcie wokół stołu stało się wręcz namacalne. Doktor Rasmussen wyglądał na całkowicie zdezorientowanego. Zamrugał oczami i przesunął dłonią po swoim gładkim jak skóra niemowlaka policzku.

– Z pewnością pana intencją było, by zabrzmiało to jak prośba, a nie jak swego rodzaju prymitywna groźba, agencie Cooper. Nie mieści mi się w głowie, by Rowan pukało do naszych drzwi z takim żądaniem, biorąc pod uwagę wszystko, co dla nich zrobiliśmy. Tego typu groźba byłaby bowiem doprawdy nie na miejscu. Znajduje się przecież wśród nas dwóch młodych dżentelmenów, którzy, gdyby nie interwencja Warsztatu, wiedliby teraz marny żywot w towarzystwie wiedźm.

– Jest własnością Rowan – powtórzył Cooper.

– Jeśli jest własnością Rowan, to dlaczego Bram powierzył go opiece Warsztatu? – zapytał Rasmussen. – Być może, jeśli znalibyśmy jego przeznaczenie, moglibyśmy zrobić z niego lepszy użytek niż Rowan.

– To klucz – odezwał się David. Jego cienki głos zabrzmiał w sali niczym niewinny dzwoneczek. Chłopiec był całkowicie wyczerpany. – Tyle wiemy z zagadki, którą pozostawił Bram. Bram umieścił go tutaj z jednego, bardzo poważnego powodu: pragnął, by był bezpieczny i by poszczególne gałęzie dawnego Starego Zakonu dalej ze sobą współpracowały. To dlatego nie mogliście go wydobyć bez mojej pomocy. Musimy współpracować. W przeciwnym razie nikt z nas nie zdobędzie księgi i wpadnie ona w ręce Astarotha.

Panna Boon skinęła głową. Rasmussen, zdawało się, uważnie słuchał słów Davida.

– O ile sobie przypominam, panie Menlo, nosi pan talizman, który wskazuje, czy księga znajduje się w

niebezpieczeństwie?

David przytaknął.

– I cóż mówi ten cudowny mały wisiorek?

David sięgnął pod sweter, wyciągnął talizman i położył go na stole. Był ciemny i zimny jak ołów.

– W takim razie może klucz powinien pozostać tutaj – rzekł Rasmussen i wzruszył ramionami. – Wydaje się, że Demon nie jest bliższy tego, by zdobyć księgę, niż my.

– Na to nie wolno nam liczyć – prędko odpowiedziała panna Boon. – O ile nam wiadomo, Księgę Thotha można zdobyć na różne sposoby. Demon miał na służbie Marleya Augura, a Augur wiedział o wszystkich poczynaniach Brama.

– A ten Augur – rzekł powoli Rasmussen, składając dłonie tak, że czubki palców złączyły się ze sobą – był jednym z waszych, prawda? Jeśli dobrze pamiętam? Był kimś wysokim rangą, tak?

– Tak – odpowiedziała panna Boon i połączyła dłonie w bezgłośnym klaśnięciu.

– Hmm – zastanowił się Rasmussen. – To kłopotliwe. Biorąc pod uwagę prawdopodobieństwo nielojalnej postawy w waszych szeregach, ciężko mi będzie utwierdzić się w przekonaniu, że w rękach Rowan księga byłaby bezpieczna.

– To absurd! – Panna Boon pochyliła się nad stołem.

– Czyżby? – zapytał Rasmussen. – Jeśli informacje, które posiadam, są prawdziwe, to zaledwie rok temu wśród ludzi Rowan znajdował się zdrajca, Byron Morrow,

czyż nie?

Panna Boon spojrzała na Jasona, który poczerwieniał i odwrócił wzrok.

– Czy ów Morrow nie był wykładowcą? – ciągnął Rasmussen z niewinnym uśmiechem.

– Do czego pan zmierza? – przerwał mu Cooper.

– Czy panna Boon również nie jest wykładowcą?

– Proszę jej nie obrażać – ostrzegł agent i rzucił doktorowi lodowate ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie przyszłoby mi do głowy nikogo obrażać – rzekł Rasmussen. – Jestem przekonany, że nauczyciele Rowan są najzdolniejszymi i najbardziej moralnymi ludźmi, jakich można sobie wyobrazić. O to mi właśnie chodzi, panie Cooper. Jeśli nawet wysoko postawionego, zaufanego nauczyciela da się przekupić, to co można powiedzieć o reszcie waszej organizacji? Bardzo niepewna ręka dla takiego arcydzieła, muszę z przykrością stwierdzić.

Max spojrzał wilkiem na doktora. Pomyślał, że niezależnie od tego, jakich argumentów czy słów by użyli, uśmiechnięty Rasmussen tak je przeinaczy, żeby obrócić je na własną korzyść. Panna Boon wzięła głęboki oddech i ułożyła dłonie równo na stole.

– Co pan wobec tego proponuje? – zapytała zmęczonym głosem.

Doktor wychylił się do przodu.

– Przedyskutowaliśmy już tę sprawę i jesteśmy gotowi oddać wam to ustrojstwo czy klucz, czy cokolwiek

by to było, w zamian za lymrilla.

– Co takiego?! – wykrzyknął Max, przyciskając do siebie Nicka.

Jason Barrett odchrząknął i zabrał głos:

– Doktorze Rasmussen, musi pan zrozumieć, że Nick nie jest po prostu zwierzątkiem Maksa. Między nimi dwojgiem istnieje szczególna więź. Max złożył przysięgę...

– Panie Barrett, proszę nie przerywać, chyba że życzy pan sobie, by cała pańska rodzina powróciła na powierzchnię.

Twarz Jasona pociemniała. Zamknął usta i wbił wzrok w blat stołu.

– Dodatkowo – ciągnął Rasmussen – żądamy próbek krwi i tkanki młodego McDanielsa. Kiedy je otrzymamy, prześlemy wam ten przedmiot. Uwzględniając wielką wagę, jaką Rowan przywiązuje do tego, by go odzyskać, uważam, że nasza cena jest całkiem rozsądna.

– To nie własna potrzeba kieruje Rowan – odparła natychmiast panna Boon, dając znak Maksowi, by zachował spokój – ale potrzeba ludzkości, doktorze Rasmussen.

– Wszystko jedno, jak to pani ujmie – Rasmussen z lekceważeniem machnął ręką. – My jednak całkiem dobrze mamy się tu, gdzie jesteśmy. Jeśli nawet Wróg podbije wszystkie kontynenty, nam nic nie grozi.

– Czy to oznacza, że nie będziecie walczyć? – ze zdumieniem zapytała panna Boon.

– Zgromadziliśmy ogromną ilość danych i przeanalizowaliśmy mnóstwo możliwych scenariuszy, panno Boon – odpowiedział Rasmussen i wzruszył ramionami. – Obawiam się, że i tak już przegraliście. Ponad siedemdziesiąt procent ludności świata żyje w tej chwili w krajach, gdzie władzę sprawują rządy marionetkowe. Pozostałe trzydzieści wkrótce spotka to samo. W szeregach rządzących roi się od sług Wroga. Nawet ci, którzy początkowo nie współpracowali z Wrogiem, teraz ulegają. Jeśli zaś chodzi o zwykłych ludzi, to za bardzo obawiają się głodu, wojen domowych lub dobijających się do ich drzwi potworności, żeby zorganizować jakąkolwiek formę masowego sprzeciwu. Dzięki waszej sztuce Rowan może przez jakiś czas pozostać w ukryciu, lecz i wy prędzej czy później upadniecie. Według naszych najbardziej optymistycznych przewidywań macie rok.

– Czy pan tego nie rozumie – perswadowała panna Boon – że właśnie dlatego powinniście nam pomóc? Jeśli wszystko, co pan mówi, jest prawdą, właśnie księga jest jedyną nadzieją, by zniszczyć Astarotha!

– Dlaczego pani sądzi, że zniszczenie Demona leży w naszym interesie? – zapytał Rasmussen i jeszcze raz zakręcił pierścieniem srebrzystej kuli.

Panna Boon wybałuszyła na niego oczy.

– Bo Astaroth jest straszliwym złem.

– Kto tak twierdzi? – pytał dalej Rasmussen, czerpiąc wyraźną satysfakcję z tej wymiany zdań. – Teologowie?

Księża? Wasi Uczni Prometejscy? Ha! Jestem gotów się upierać, że rodzaj ludzki jest złem jeszcze gorszym. Proszę tylko spojrzeć na dowody – coraz szybsze tempo wymierania poszczególnych gatunków flory i fauny, straszliwe marnotrawstwo cennych surowców naturalnych, katastrofalne zanieczyszczenie atmosfery i wpływ na klimat... To wszystko skutki ludzkiej działalności na naszej planecie. Jesteśmy gorsi od szarańczy, panno Boon. Zmniejszenie liczebności ludzkiej populacji i ograniczenie jej zgubnego wpływu na Ziemię jest właśnie tym, czego w tej chwili potrzebujemy.

Cisza. Panna Boon wydeła wargi, a gdy wreszcie przemówiła, jej głos aż drżał z gniewu.

– Doktorze Rasmussen, czy pan chce, by Astaroth zwyciężył?

– Warsztat zajmuje w tym konflikcie neutralną pozycję – odparł stanowczo Rasmussen. – Życzymy Rowan powodzenia w walce i bylibyśmy wdzięczni za szybką decyzję w sprawie, o której dziś rozmawialiśmy.

Max zerknął na Nicka, którego mordka podobna do pyszczka wydry była dziś niespotykanie poważna i skupiona. Max wiedział, że lymrill zrozumiał zasadniczą treść rozmowy. Ostre pazury zakrzywiły się i wbiły w sweter opiekuna. Stworzenie stanęło na tylnych łapach, a przednie oparło na ramionach chłopca i wyciągnąwszy szyję, patrzyło przez stół na Rasmussena.

– Nie mogę! – wybuchnął chłopiec i błagalnie spojrzął na pannę Boon i Coopera. – Przecież nie mogę

oddać tym ludziom Nicka! Wsadzą go pod mikroskop albo przeprowadzą na nim sekcję. Wolę sam zginąć.

– A ja nie pozwolę, żeby ci ludzie dostali próbki tkanek mojego syna – oznajmił pan McDaniels, krzyżując ramiona na piersi. – Najpotworniejsza rzecz, o jakiej w życiu słyszałem! I co zamierzacie zrobić? Sklonować go jak owcę, czy co?

– Weźcie mnie! – wrzasnęła Mamuśka i gwałtownie wyskoczyła ze swego krzesła, kierując się ku szczytowi stołu. Szybko zastąpił jej drogę żołnierz i mocno chwycił za ramiona. – Weźcie zamiast ich mnie! Zostawcie chłopaka i to biedne, głupie stworzenie w spokoju!

Sala rozbrzmiała śmiechem. Doktor Rasmussen także się uśmiechnął i mrugnął porozumiewawczo do swoich współpracowników.

– Dziękujemy bardzo za hojną ofertę, lecz niestety jesteśmy zmuszeni odmówić. Mamy już jedną wiedźmę i to nam wystarczy.

– Ale ja jestem niepowtarzalna! – nalegała Mamuśka. – I potrafię gotować!

– Moje gratulacje – westchnął Rasmussen i skinął na żołnierza, by ten odprowadził wiedźmę na miejsce. Max zauważył, że w ciągu całego zajścia David ani drgnął. Wpatrywał się tylko w leżący na stole talizman.

Śmiechy powoli ucichły. Rasmussen wstał i położył dłonie płasko na stole.

– Chodźcie, przyjaciele – powiedział. – Wszyscy jesteśmy zapracowani. Umowa zawarta?

Nikt z przedstawicieli Rowan się nie odezwał. Wszyscy, z wyjątkiem załzawionej, nieświadomej niczego Mamuśki, wpatrywali się w talizman Brama.

Talizman świecił.

„Świecił” jest słowem za mocnym. Blask był słaby i drżący niczym żarówka, która za chwilę ma zgasnąć. Lecz z chwili na chwilę stawał się coraz jaśniejszy.

– A cóż to za tania sztuczka? – zadrwił rozbawiony Rasmussen.

– Nic z nim nie robię – odparł David, wpatrując się z bliska w talizman, który świecił teraz bladym, intensywnym światłem niczym księżyc w pełni. Kilku inżynierów podniosło się, by lepiej widzieć, lecz jedno skinienie Rasmussena wystarczyło, by posłusznie wrócili na miejsca.

Nagle rozległy się trzy głośnie sygnały. Rasmussen spiorunował wzrokiem Davida, sięgnął do kieszeni i wyciągnął małeńki telefon. Przyłożył go do ucha i po chwili jego twarz wykrzywił grymas poirytowania. Niecierpliwym gestem przywołał dowódcę straży i spokojnym tonem wydał mu kilka poleceń. Inżynierowie patrzyli w milczeniu. Dowódca pospiesznie wyszedł z sali, a za nim dwudziestu żołnierzy. Rasmussen zdjął okulary i pomasaował sobie powieki.

– Bardzo przepraszam – rzekł – ale mamy niewielką przerwę w dostawie prądu w sektorze północno-zachodnim.

– Zawsze wysyła pan żołnierzy, kiedy zdarza się

przerwa w dostawie prądu? – zapytał Cooper.

– Normalnie nie, agencie Cooper, lecz fakt, że zdarzyło się to w sektorze północno-zachodnim, nastęcza szczególnych kłopotów. Widzi pan, w tym sektorze mieszczą się muzea. Otóż wszystko wskazuje na to, że uciekło kilka żywych eksponatów – mruknął Rasmussen. – Doktor Friedman?

Poderwała się wiotka kobieta, z którą Max rozmawiał przy obiedzie.

– Słucham, doktorze?

– Proszę zebrać swój zespół i odnaleźć doktor Braden. Natychmiast. Wygląda na to, że urządzenie naprowadzające doktor Braden się popsuło i nie możemy jej zlokalizować. Proszę się upewnić, czy nic się z nią nie dzieje, i przyjąć jej wyjaśnienia.

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta i sztywnym krokiem opuściła salę narad. Max przebiegł wzrokiem po twarzach inżynierów. Wszyscy wyglądali na przerażonych.

Światła w sali mrugnęły zniecka i zgasły. Natychmiast zapaliły się lampki awaryjne, dzięki którym wnętrze wypełniło się ciepłym, stłumionym pomarańczowym światłem. Doktor Rasmussen wydał kolejny rozkaz, lecz nikt się nie poruszył. Oczy wszystkich obecnych wpatrzony były w talizman, który płonął teraz gorącym, jaskrawym płomieniem, jakby leżał w palenisku rozdmuchiwanym miechem kowalskim.

CZŁOWIEK NA PROGU

Pięć minut później usłyszeli pierwszy krzyk. Był słabo słyszalny, a jednak niezwykle przejmujący. Początkowo brzmiała w nim nuta zdziwienia, która w chwilę później przeszła w histeryczny pisk i ucichła. Drzwi były zamknięte. Uzbrojeni żołnierze poprzykładali do ścian urządzenia do podsłuchu i trwali przy nich w pełnej koncentracji. Doktor Rasmussen cicho rozmawiał przez telefon, a światło rozżarzonego talizmanu odbijało się w szklach jego okularów. W pewnej chwili doktor skrzywił się i odłożył słuchawkę na stół.

– Na razie zostaniemy tutaj – powiedział. – Wygląda na to, że musimy wziąć pod uwagę pewne kwestie bezpieczeństwa, zanim dostaniemy się do głównego centrum dowodzenia.

– Potrzebuje pan pomocy? – spytał Cooper.

– Bardzo to miło z pańskiej strony, agencie Cooper, ale damy sobie radę – odparł doktor, po czym nacisnął jakiś guzik pod stołem i rozsunęły się panele ścienne. Ukazał się ogromny ekran, a na nim podgląd z dwudziestu różnych miejsc na terenie Warsztatu. Max zobaczył opustoszałą teraz kawiarenkę pośród sekwoi, puste korytarze oraz laboratoria, gdzie rozgrzane do białości metale bulgotały w ciemnych tyglach. Rasmussen

odchylił się do tyłu i wydał w stronę ekranu kilka zwięzłych poleceń, wskutek czego niektóre ze scen przesunęły się, inne zbliżyły lub oddaliły, aż w końcu stały się niezrozumiałym zlepkiem ruchomych obrazów.

– Victor – powiedział Rasmussen, wywołując natychmiastową reakcję ze strony pulchnego brodacza, który zasiadał wraz z innymi przy stole – proszę poprzez podskórne czipy przesłać naszym mieszkańcom regulamin awaryjny numer sześć. Kod autoryzacji brzmi w tej chwili: 49653C8625. Zrozumiano?

– Tak jest – odparł mężczyzna i zaczął prędko stukać palcami w klawiaturę.

Jednocześnie na jednym z ekranów pojawiło się coś dziwnego.

Rasmussen rzucił komendę i obraz zajął teraz połowę całego ekranu. Po marmurowej posadzce poruszała się jakaś postać. Kształtem przypominała człowieka, lecz uformowana była z żywego płomienia. Sponad jej ramion unosiły się kłęby białego dymu, a na ziemi zostawały czarne, wypalone ślady stóp.

– Afryt – rzekł Cooper ponuro.

– To źle? – zapytał Scott McDaniels.

Cooper, David i panna Boon jak na komendę kiwnęli głowami.

– Duch ognia – wyjaśnił Cooper. – Twardy, niezłomny. Założę się, że nasi przyjaciele otrzymali go od wieźm. Pewnie przez pośredników. Może z Iranu, może z Arabii Saudyjskiej.

Doktor Rasmussen zmarszczył czoło, posłał Cooperowi pełne irytacji spojrzenie i powiedział coś cichym głosem do telefonu. Odłożył słuchawkę na stół, stuknął palcami w blat, a kamera w tym czasie najechała na afryta, który zatrzymał się na chwilę przed gablotą z narwalem. Na dole ekranu ukazało się teraz kilkanaście gondoli, z których jak szerszenie wyroili się ubrani na czarno żołnierze. Afryt początkowo ich zignorował – przyglądał się spokojnie stojącemu obok niedźwiedziowi polarnemu. Wśród nerwowych komend i zamieszania żołnierze ustawili się w końcu w szyku. Skierowali w stronę zaabsorbowanego eksponatami ducha rząd różnego rodzaju złowrogiej broni. Buchające z afryta płomienie syczały głośno i pękały z trzaskiem.

Żołnierze wypalili.

Z luf wystrzeliły w stronę pleców afryta błyski. Ognisty potwór zachwiał się od uderzenia i, oparłszy się o szklaną gablotę z niedźwiedziem, stopił ją, jakby była z wosku. Rasmussen uśmiechnął się, a żołnierze ruszyli naprzód, wyrzucając w stronę skulonego afryta następną serię pocisków.

– Z tego czy nie z tego świata, ale wygląda na to, że ból odczuwa – zaśmiał się doktor.

– Zatkajcie uszy – mruknął Cooper, naciągając głęboko na uszy czapkę i postępując według własnej rady.

Max i reszta zrobili to samo.

Afryt zatrzymał się i odwrócił w stronę atakujących.

Krzyknął.

Choć Max zatkał uszy, krzyk potwora był niemal ogłuszający – wysoki, nieludzki wizg przeraźliwego gniewu. Szklane gabloty rozprysnęły się na miliony błyszczących odłamków, marmurowe płytki posadzki popękały, a niektóre powyskakiwały ze swoich miejsc, rażone falą potwornego hałasu i gorąca. Żołnierze padli na ziemię i zakryli uszy. Afryt posuwał się do przodu. W powietrzu dziko latały wiązki energii. Kiedy pierwszy z żołnierzy stanął w płomieniach, Rasmussen szybko przełączył ekran na inną kamerę. Strzykając śliną, syczał do słuchawki:

– Przerzucić wszystkie siły z sektora północnego do Muzeum Biologii.

– Posyła ich pan na pewną śmierć – rzekł Cooper. – Nic nie działają.

– Dziękuję za pańską opinię, agencie Cooper!

– Idę do mojej rodziny – oznajmił nagle Jason i wstał od stołu.

– Nie ruszaj się z miejsca. Obowiązuje regulamin awaryjny numer sześć – warknął Rasmussen.

Jason zignorował go i podszedł do drzwi.

– Zatrzymać go – rozkazał Rasmussen, nie odrywając wzroku od ekranu.

Max patrzył, jak jeden z żołnierzy zagradza Jasonowi drogę i prawie natychmiast pada nieprzytomny na ziemię, podczas gdy mocny chłopak o blond włosach silnym szarpnięciem otwiera drzwi i znika w korytarzu. Kilku żołnierzy rzuciło się za nim, lecz Rasmussen krzykiem

wydał im rozkaz pozostania na miejscach i zablokowania drzwi.

– Trudno – mruknął i przybrał spokojny wyraz twarzy. – Niech idzie. Nie możemy ponosić odpowiedzialności za to, że przez własną głupotę naraża się na niebezpieczeństwo. – Z niesmakiem spojrzął na leżącego żołnierza. – Obawiam się, że nasze oddziały nie są przystosowane do standardów Rowan. Kładliśmy nacisk na inne spawy. Lecz zapewniam, że to nadrobimy – dodał, zerkając na Maksa.

Przed jedną z kamer pojawił się oślepiający blask. Przed drugą ociężałe gramoliło się coś brązowego, nakrapianego cętkami.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle będziecie mieć na to szansę – odezwała się panna Boon.

Doktor Rasmussen przybliżył obraz z drugiej kamery, która ukazywała coś, co powoli pełzło po szerokich schodach. Była to lamia Lilith. Jej węzowy korpus wił się gładko za nią, gdy zaglądała przez otwarte przejście pod łukowatym sklepieniem. Parę sekund później zniknęła w nim.

– T-t-tam są pokoje dzieci – wyjąkała jedna z kobiet.

– Wiem o tym, doktor Bhargava!

Doktor Rasmussen przełączył widok na inną kamerę, umieszczoną we wnętrzu łuku. Max aż podskoczył na widok wypełniającej cały ekran i patrzącej wprost na nich pięknej twarzy o ciężkich powiekach. Między ostrymi zębami wił się rozwidlony język węża. Czerwone wargi

rozchyliły się w powolnym, porozumiewawczym uśmiechu. Obraz nagle zniknął. Zabrzmiał wysoki pisk a po nim szum i ekran zrobił się czarny.

Rasmussen wydzwaniał gorączkowo, próbując wydać rozkaz o przerzuceniu sił z północnego sektora. Nie udało mu się jednak nawiązać ani jednego połączenia.

– Gdzie są pokoje dzieci? – zapytał Cooper, wyciągając z pochwy kris o falistym ostrzu.

– Sektor północno-zachodni, dwudzieste piętro – wymamrotała doktor Bhargava. – Ale rury nie działają. Trzeba iść pieszo.

– Proszę szybko dać mi mapę.

Roztrzęsiona pani inżynier postukała w klawiaturę i podała agentowi palmtopa. Cooper wyrwał jej z ręki urządzenie i rozkazał:

– Zostańcie na miejscu. – Po czym wymknął się przez drzwi. Max słyszał jego pospieszne kroki na korytarzu, zanim drzwi zamknęły się i zarygłowały.

– Jak to daleko? – zapytała panna Boon.

– Przynajmniej ze dwa kilometry – odpowiedziała kobieta i zrobiła głęboki wdech. Drżała na całym ciele.

– No tak – westchnęła panna Boon i milcząc, z niepokojem przyglądała się obrazom, które przesuwał po ekranie Rasmussen. Nagle ekran wypełniły czarno-białe prostokąty. Obraz nadawany z kamer obserwacyjnych zamigotał i zgasł.

Po gładkiej skórze na głowie Rasmussena stoczyła się wielka kropla potu i wylądowała na kołnierzyku jego

koszuli. Mężczyzna chwycił za telefon.

– Doktor Friedman, gdzie jest doktor Braden?

– Odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła, bo cisnął słuchawką o wypolerowany blat stołu. Talizman Brama lśnił jak gwiazda. Rasmussen oskarżycielskim ruchem wcelował palec najpierw w talizman, potem w Davida.

– To ty za tym wszystkim stoisz, prawda? To twoja sprawka!

David wzdrygnął się, słysząc te słowa.

– Oczywiście, że nie – odparł spokojnie.

– Ha! – Doktor walnął ręką w stół. – Afryty, demony i czarnoksiężnicy! Wszyscy jesteście tacy sami.

Wszystkich się powinno wytępić.

– Ćśśś – syknęła doktor Bhargava, bo na ekranie ukazującym, schody prowadzące na piętro dzieci pokazała się jakaś ciemna postać. Cooper.

Max nie mógł wytrzymać oczekiwania. Chodził w tę i z powrotem wzdłuż sali i wpatrywał się w migoczący ekran. Za drzwiami słyhać było tupot wielu nóg – to przerażeni inżynierowie szukali schronienia. Rasmussen ignorował to, skupiając się całkowicie na sytuacji w skrzydle dziecięcym.

Coś poruszyło się w cieniu pod łukowatym przejściem.

Na korytarzu pojawił się zwój grubego węzowego cielska, a chwilę później Cooper, dźwigający je w dół po schodach. Lamia była bezwładna. Agent rzucił ją na ziemię, gdzie spoczęła jak niechlujny kłęb włosów, łusek i

ciała. Cooper odwrócił się i cofnął do drzwi wejściowych, które starannie zabezpieczył wirującym obłokiem pyłu, rozciągającym się w przejściu jak cienka warstwa tłustej cieczy. Zatrzymał się na chwilę, by zerknąć na mapę w komputerze, i pomknął w dół po schodach, znikając z zasięgu kamery.

– Dzięki Bogu – jęknął Rasmussen i sięgnął po butelkę z wodą.

– Dokąd on idzie? – chciała wiedzieć doktor Bhargava, przeszukując obrazy z poszczególnych kamer.

– Pewnie znaleźć afryta – szepnęła panna Boon. Siedziała sztywno i wpatrywała się w prymitywne rysy golema.

– Owszem, bez wątpienia cechuje go wybitna odwaga – zauważył Rasmussen. – To trzeba mu przyznać. Choć nie rozumiem, w jaki sposób zamierza skorzystać z tego noża w starciu z afrytem. Nigdy nie pojmem, dlaczego wy z Rowan tak sobie upodobaliście tego rodzaju narzędzia.

– To proste – odparł Max, patrząc z niechęcią na doktora. – Każdy potrafi wystrzelić z broni, każdy potrafi nacisnąć spust, doktorze Rasmussen. Ale nóż? Żeby użyć noża, trzeba podejść blisko. To wymaga prawdziwej odwagi. I nie tylko odwagi, ale i umiejętności. Panu ani o jednym, ani o drugim niewiele wiadomo.

– Nie pouczaj mnie, chłopcze.

– Cooper miał rację – warknął Max, wodząc wzrokiem po twarzach zgromadzonych w sali inżynierów i żołnierzy. – Klucz Brama należy do nas i bez niego się

stąd nie ruszymy. Teraz Cooper naraża życie, by posprzątać wasz bałagan, a wy siedzicie tu i nic. Nie rozumiem nawet, czemu się jeszcze z wami cackamy. Mógłbym go sobie wziąć już, w tej chwili.

W Maksa skierowało się dwadzieścia luf.

– Niech pan im każe skierować broń gdzie indziej – rzekł spokojnie chłopiec.

– Max! – krzyknął Scott McDaniels i poderwał się na równe nogi.

– Zostań na miejscu, tato – ostro rozkazał Max. Powolnym ruchem sięgnął za plecy, po swoją Gae Bolga i wyciągnął ją spod swetra. Włócznia rozgrzewała się pod wpływem dotyku i brzęczała cichutko jak kamerton. – Odważny doktor zaraz im rozkaże opuścić broń. W przeciwnym razie wpakuje się w nie lada kłopoty.

Rasmussen patrzył na Maksa z autentycznym strachem na napiętej twarzy. Spojrzawszy na kolegów, chrząknął i powiedział chrapliwie:

– Odłożyć broń.

Lufy poszły w dół.

– Proszę, mamy więc ugodę – wycedził Max, zbliżając się do Rasmussena.

Szef Warsztatu skrzywił się, a kilku strażników zaczęło się niespokojnie wiercić, kiedy chłopiec uniósł Gae Bolga na wysokość piersi. Przeciągnął sobie ostrym jak brzytwa ostrzem po przedramieniu; na stół spadły trzy krople krwi. Rasmussen patrzył przez chwilę, jak rozplływają się po gładkiej powierzchni, po czym warknął

do sąsiada:

– Nie siedź tak! Zbierz ją do pojemnika!

Max podniósł sferę i wycofał się za swój koniec stołu, po czym ustawił ją przed panną Boon niczym zdobycz. Usiadł z powrotem na swoim miejscu, zgarnął Nicka na kolana i przytknął zranioną rękę do ust.

– Co z lymrillem? – zapytał jakiś inżynier, zamykając niewielką ampułkę z krwią.

Max spojrzał na niego wilkiem i, nie odpowiedziawszy, skupił uwagę na ekranie. Coopera nie było widać. Nagle zapaliły się wszystkie światła i wrócił wszechobecny biały szum. Telefon Rasmussena wydał trzy krótkie sygnały.

– Tak? – zgłosił się doktor. – Dobrze, dobrze. Później jej poszukamy. Zapewne coś się zdarzyło na terenie muzeum. Sprawdźcie jeszcze raz gablotę z golemem. W każdym razie sytuacja się poprawia.

Wyłączył telefon i upił wielki łyk wody.

– Włączono z powrotem zasilanie – rzekł z westchnieniem ulgi. – Unieszkodliwiono kilka okazów, które zbiegły, i sytuacja wraca pod kontrolę. Sądzę, że teraz można już bezpiecznie wprowadzić rozkaz centralny.

– Co z agentem Cooperem? – zapytała ostrożnie panna Boon. – Czy wspomniano coś na jego temat?

Doktor Rasmussen otworzył usta i za moment je zamknął.

– Cóż, ekhm, o niego nie pytałem – odparł

zmieszany.

– Zadziwiająco – warknęła panna Boon i gwałtownie wstała. Popchnęła srebrzystą kulę po blacie w stronę Maksa i oznajmiła: – Idę szukać Williama. Jeśli nie wrócę w przeciągu godziny, macie jak najszybciej opuścić to fatalne miejsce i próbować dostać się do naszego biura terenowego w Berlinie. Jeśli ten gad będzie próbował wam w tym przeszkodzić, Max, twoim zadaniem jest zrobić wszystko, co konieczne, by wydostać stąd twojego tatę, Davida i Mamuśkę. Zrozumiałeś?

– Tak jest, panno Boon – odpowiedział Max.

– Hazel, uważaj na siebie, kochana – poprosiła żalnym głosem Mamuśka i ścisnęła pannę Boon za rękę.

– Wszystko będzie dobrze, Mamuśko – odparła nauczycielka mistyki i pocałowała wiedźmę w czubek głowy. Uśmiechnąwszy się na pożegnanie do Davida i McDanielsów, podeszła do drzwi. Otworzyła je i stanęła jak wryta, bowiem na progu stał Cooper z ręką na klamce. Z jego nadpalonych butów leniwie unosiły się kręte smugi dymu, a na twarzy zastygły strużki krwi. Zamrugął zdziwiony, gdy stanął twarzą w twarz z panną Boon.

– J-ja właśnie szłam cię szukać – zająknęła się nauczycielka.

– Misja skończona.

Cooper zachwiał się, a panna Boon go objęła. Przez chwilę wydawał się całkowicie dezorientowany, lecz zaraz jego pokryte bliznami policzki zaczerwieniły się i

agent uspokajająco poklepał pannę Boon po plecach. Ramiona nauczycielki zatrzęsły się od tłumionego płaczu.

– I co, udało się panu opanować to coś? Tego afryta?
– zapytał Rasmussen.

– Tak – odparł Cooper i wszedł do środka, witany gromkimi triumfalnymi okrzykami Mamuśki.

– Taaak, więc jesteśmy ogromnie wdzięczni, oczywiście – mruknął szef Warsztatu.

Cooper kiwnął głową, a wielu inżynierów obeszło stół, by podejść do agenta i uścisnąć mu rękę w podziękowaniu za uratowanie dzieci. Agent były wyraźnie skrępowany całym tym zamieszaniem wokół jego osoby.

– No, to możemy stąd ruszać – orzekła panna Boon, prostując się i wycierając twarz chusteczką. – Mamy klucz. Będziemy państwa informować o naszych dalszych poczynaniach.

Cooper rzucił spojrzenie na sferę, a potem na rozżarzony talizman.

– Dobrze – rzekł i odszedł na bok, by schować klucz do plecaka Davida. – Mam nadzieję, że możemy poprosić o wywiezienie nas stąd?

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedział Rasmussen i jeszcze raz spojrział na srebrzystą sferę, zanim agent zdążył zaciągnąć wiązanie plecaka i zapiąć klapę. – Przynajmniej tyle możemy dla was zrobić. Dokąd chcecie się udać? Mamy do wyboru różne możliwości, dzięki tunelom.

– A konkretnie? – zapytał Cooper, wycierając z

twarzy zaschniętą krew.

Doktor Rasmussen wyliczył je na palcach:

– Bezpośrednie: do Pragi, Wenecji, Budapesztu, Amsterdamu, Brukseli, Londynu i Berlina.

– Które miasta jeszcze stawiają opór?

– Większość już została opanowana. Bronią się jeszcze tylko Bruksela i Praga.

– W takim razie Amsterdam – zdecydował Cooper i przewiesił sobie plecak Davida przez ramię. – Uwaga Wroga będzie skupiona raczej na tych miejscach, które jeszcze walczą. – Agent odwrócił się i wymierzył palec w Rasmussena.

– Ach, i chciałbym, żeby usunięto z pana McDanielsa to urządzenie lokalizacyjne. Natychmiast.

Max zerknął na tatę. Rasmussen zmarszczył czoło.

– Nie ma sprawy – odparł i wykonał parę operacji na komputerze.

Panu McDanielsowi odbiło się przeciągle, głęboko i najwyraźniej zupełnie nieoczekiwanie.

– Przepraszam – mruknął i pomasował się po brzuchu. Następnie mrugnął kilkakrotnie i gwałtownie zwymiotował, łapiąc się za kant stołu.

– Tato! – krzyknął Max i podbiegł do ojca.

– Nic mu nie będzie – zapewnił Rasmussen. – Usuwanie urządzenia jest rzeczywiście nieprzyjemne, lecz nieszkodliwe.

Pan McDaniels skrzywił się jak małe dziecko po przyjęciu gorzkiego lekarstwa.

– To pełźnie – jęknął. – Wypełza z mojego żołądka!

Z jego wnętrzości dobiegł rozgłośny bulgot. David odsunął się na bezpieczną odległość. Pan McDaniels czknął potężnie i w tej samej chwili z impetem wyskoczyła z niego srebrna ampułka, przeleciała imponującym łukiem i bezceremonialnie uderzyła w głowę golema. Małeńkie haczyki wsunęły się z powrotem do urządzenia, a słabe, zielone światełko powoli przygasło.

– Uuu! – odetchnął pan McDaniels i poluzował pasek. – Napiłbym się teraz piwa.

– Gdyby nie to, że bardzo się spieszycie, byłoby nam niezmiernie miło pana poczęstować – powiedział Rasmussen i odwrócił się twarzą do monitorów. Wyłączył pozostałe obrazy tak, że pozostał tylko jeden. Przedstawiał mężczyznę w średnim wieku w ogromnej sali pełnej komputerów. W tle kręciło się wielu inżynierów.

– Witaj, Sunil – przywitał się Rasmussen. – Dziękuję za objęcie dowodzenia podczas mojej nieobecności. Chciałbym poznać straty, o ile jakieś są.

Mężczyzna skinął głową. Miał zatroskaną minę.

– Dziewięćdziesiąt siedem ofiar śmiertelnych, pięćdziesiąt dwie osoby ranne i jedna zaginiona.

– Doktor Braden, jak rozumiem?

– Tak jest. Czy mogę zapytać, z jakiego powodu zdecydował pan otworzyć główne drzwi, doktorze?

Nikły uśmiech na twarzy szefa Warsztatów zgasł.

– O czym ty mówisz?

– Główne drzwi, doktorze. Właśnie się otwierają, w tym momencie.

– Więc je zamknij! – rozkazał Rasmussen.

– Przykro mi, ale równie dobrze jak ja zdaje pan sobie sprawę, że zanim będzie można je zamknąć, muszą się otworzyć na całą szerokość.

Rasmussen zaklął i podzielił ekran, by otrzymać podgląd z kamery w głównym holu przy wejściu do piramidy. Tu widać było, że wielkie wrota otwierają się na zewnątrz. Każde ze skrzydeł miało około trzydziestu metrów wysokości i powoli sunęło po lśniącej od smaru szynie. Max nie mógł się nadziwić, jak gładko się otwierają – przecież każde musiało ważyć z pięćset ton, a mimo to poruszały się bez najmniejszego nawet zgrzytu czy skrzypnięcia.

– Co to jest? – zapytał Rasmussen i zmrużył oczy na widok morza światła falującego za wrotami piramidy.

Max z wrażenia wstrzymał oddech.

– Pochodnie – odparł Cooper. – Tysiące pochodni.

– O mój Boże – mruknął szef Warsztatu. – Sunil, nadaj regulamin awaryjny numer dziesięć. Całkowita ewakuacja Warsztatu. Wszyscy mają się udać natychmiast do schronów sejsmicznych.

Sunil kiwnął głową i jego postać zniknęła z ekranu.

– Nasz kordon ochronny został przerwany – szepnął Rasmussen. – Jesteśmy bezbronni.

Max gapił się na falujące morze pochodni, które

rozciągało się po horyzont. Słyszeć było odgłosy trąbek i dudnienie bębnow. To ustawione w ogromnym półkolu wokół otwierających się wrót chochliki o pazurach ostrych jak igły, uskrzydłone homunkulusy i długorękie gobliny hałasowały, gadały i wznosiły okrzyki. Z tyłu za nimi stały tysiące wieloków – niektóre w płaszczach, inne w mundurach wojskowych. Wszystkie miały tę samą wilczą posturę i matowe, skołtunione futro. W gęstym mroku za wielokami, poza zasięgiem reflektorów, których światła przesuwwały się jak szalone po rozpasanej, wyjącej rzeszy, poruszały się jakieś olbrzymie kształty.

Kiedy drzwi się zatrzymały, naprzód, przed swych niższych braci, wysunęły się dwadzieścia cztery szarobrzuche ogry w hełmach z rogami, uzbrojone w stalowe piki wyższe od człowieka. Poszły w ruch olbrzymie, drewniane młoty, które unosiły się rytmicznie i opadały w chmurze iskier. Chwilę potem otwarte wrota były już zablokowane i przygwożdżone do budynku tuzinem grubych pik niczym żelaznym szwem. Wrzawa zgromadzonej przed piramidą cizby stała się tak potężna, że obraz kamer zaczął drżeć.

Rasmussen osunął się na krzesło tak nisko, że głowa prawie schowała mu się pod blat stołu.

– Dlaczego nie wtargną do środka? – wybełkotał. – Na co czekają?

Wrzaski, grzmoty i huki sięgnęły zenitu. Wtem morze pochodni rozstało się, by uformować przejście środkiem złowrogiej masy. Coś posuwało się powoli ku wrotom.

Max podbiegł do ekranu. Chciał jak najprędzej rozpoznać tę postać.

Był to Marley Augur.

Kował zdrajca sunął przejściem pośród tłumu na ogromnym rumaku w zbroi. Na pasku u siodła zwisał, bujając się jak zabawka, ten sam czarny młot, który pogruchotał kości Petera Vargi i o mały włos nie pozbawił życia Maksa. Na czaszce Augura widniała budząca grozę żelazna korona, a długie, giętkie kończyny, które czas pozbawił ciała, okrywała bogata, czarna kolczuga. Upiór trzymał głowę wysoko. Na ramiona opadały mu cienkie warkocze siwych włosów. W pustych oczodołach odbijało się światło pochodni.

Zjawa zatrzymała konia u progu Warsztatu i przyglądała się ogromnemu otworowi wejścia. Obraz na ekranie stawał się coraz ostrzejszy w miarę, jak hałas przycichał. Odezwał się znany już Maksowi, głęboki, straszliwy głos.

– Wyjdź i złóż pokłon!

Wszystkie oczy w sali narad skierowały się na Rasmussena. On sam dziko wodził wzrokiem od twarzy do twarzy.

– Chyba nie myślicie, że zamierzam do nich wyjść!

– Ktoś musi – odparł Max, który właśnie zauważył samotny cień, zbliżający się ku otwartym wrotom.

W zasięgu kamery pojawiła się doktor Braden. Kiedy przechodziła między szeregami uzbrojonych ogrów wspartych na dzidach, wydawała się nie większa od

dziecka. Augur, siedząc cierpliwie na niespokojnym rumaku, patrzył, jak kobieta się zbliża. Powitał ją niskim ukłonem i przepuścił dalej. Zniknęła pośród rozszalałej hordy, która zamknęła się za nią, wchłonęła ją. Głos Augura zagrzemiał raz jeszcze.

– W imię Astarotha Mądrego, wzywam oto Jespera Rasmussena, by wyszedł i przywiódł ze sobą synów i córę Rowan.

Rasmussen jęknął i ukrył twarz w dłoniach, a Augur mówił dalej:

– Jeśli przybędziesz prędko, mój pan będzie łaskawy. Nikt z nas nie przekroczy tego progu i nie naruszy waszego spokoju. Jeśli będziesz zwlekać, weźmiemy każdego pierwородnego spośród twoich ludzi. Stchórzysz, a zgnieciemy was na miazgę, do ostatniej duszy i ostatniego kamienia.

Efekt był prawie natychmiastowy. Rasmussena poderwali na nogi jego inżynierowie i żołnierze, których paniczny strach przeobraził w histeryczną, rozdrażnioną bandę. Nie szczędząc kopniaków i uderzeń, popychali teraz swego zwierzchnika do drzwi. Cooper przecisnął się między nimi i odciągnął Rasmussena na bok, osłaniając go.

– Wychodź! – wrzasnął jeden z inżynierów, patrząc na doktora dzikim wzrokiem. – Wychodź, zanim nas wszystkich pozabijają!

Max popchnął Nicka w stronę drzwi. W samą porę uchylił się przed ciśniętym czyjaś ręką laptopem, który

roztrzaskał się o ścianę nad jego głową. Pan McDaniels osłaniał Davida i pannę Boon, usiłujących przedostać się do wyjścia. Max rzucił się powstrzymać Mamuszkę. Wiedźma obrzucała przekleństwami doktor Bhargavę, od której przed chwilą otrzymała cios tęczką, i za wszelką cenę starała się przy dusić ją do ściany. Wszyscy bezładnie wysypali się na korytarz. Mężczyzna imieniem Sunil, z którym Rasmussen porozumiewał się wcześniej za pomocą ekranu, podjechał właśnie jedną z lśniących gondoli.

– Wsiadajcie i uciekajcie – rzekł, wyskakując z pojazdu.

– Sunil, ratuj – jęknął Rasmussen i kurczowo uczeplił się ręki kolegi.

Mężczyzna z bezwzględny wyrazem twarzy minął doktora, zdecydowanym krokiem wszedł do sali kontroli bezpieczeństwa i cicho zamknął za sobą drzwi. Zszokowany Rasmussen zdążył tylko mrugnąć, kiedy Cooper wepchnął go do gondoli. Gdy wszyscy po kolei wsiadali za nimi, Max pociągnął tatę za rękaw.

– Tato, może ty nie jedź – szepnął.

Scott McDaniels odwrócił się do syna i uśmiechnął się do niego oczami błyszczącymi jak szafiry.

– Oczywiście, że jadę.

– Wejście główne – mruknął Cooper i stuknął w biały ekran dotykowy. Jego rozkaz przeszedł jednak bez echa. Sterował ktoś inny. Gondola pomknęła korytarzem, by za chwilę przyłączyć się do białej rury, wzdłuż której z

ogromną prędkością skierowała się do głównego wejścia.

W gondoli panowała grobowa cisza. Cooper z nienaturalnym spokojem przełożył sobie kris z pleców na pierś, a potem zaczął metodycznie poprawiać sznurówki i zapięcia plecaka Davida. Ścisnął paski plecaka mocniej i podał go Maksowi.

– Miej go cały czas przy sobie – powiedział cicho – i nikomu nie oddawaj.

– Co zamierzasz? – zapytał tata Maksa chrapliwym głosem.

– Nie wiem – odparł agent, po czym wyjrzał przez okno i głęboko odetchnął.

Gondola pokonała łagodny zakręt rury, po czym zawinęła ostro i zatrzymała się na przystanku w ogromnym holu wejściowym Warsztatu. Sekwoje pięły się tu w górę ku generatorom sztucznego światła słonecznego. Stoliki, ławki i kawiarenka były opustoszałe. Tylko z ekspresu do kawy buchały kłęby pary. Daleko przed nimi znajdowały się główne wrota – wysoki prostokąt wypełniony falującym światłem pochodni, z odległymi ogrami wielkości zapalek opartymi o monumentalne srebrzyste drzwi.

Ogry okazały się znacznie większe, kiedy gondola podjechała bliżej. Miały około czterech metrów wzrostu, zdeformowane, powykręcane kończyny, opuchnięte brzuchy i wilgotne oczy, które ze świńskim sprytem spoglądały spod gladiatorских hełmów. Wzdłuż

otwartych wrót stało ich dwadzieścia cztery. Wszystkie uważały, by nawet czubkiem palca nie przestąpić progu budowli. Za nimi czekał Augur na wierzchołku, który, jak się z bliska okazało, nie był żywym stworzeniem, ale upiorem z bladych kości i ścięgien pod kunsztowną zbroją.

Upiorny koń dreptał w miejscu i zgrzytał zębami na wędzidle, kość ocierała się gładko o kość, podzwaniając zbroją, uprzężą i strzemionami. Nick zerknął w jego puste oczodoły i wydał z siebie dziwny syk, jakiego Maks dotąd u niego nie słyszał. Grube i ostre pazury wysunęły się z łap lymrilla i stworzenie zaczęło jak szalone drapać okno gondoli.

– Nie patrz na nich – rzekł Max i ścisnął rękę taty. Gondola się zatrzymała.

Pan McDaniels próbował coś powiedzieć, lecz nie udało mu się wydobyć głosu.

Max zaczął odczuwać to samo przeraźliwe zimno, jakie pamiętał z pobytu w krypcie Marleya Augura zaledwie rok wcześniej. Było to nienaturalne uczucie – trupi chłód lodowatych trzęsawisk i zamarzniętych grobowców, rozchodzący się po ciele od czubków palców i przesywający na wskroś, głęboko, do szpiku kości.

– Nie mogę oddychać – wychrypiał tata.

Max nie miał wątpliwości. Wiedział, że tata wytrzyma, musi wytrzymać. Bardziej bał się o Davida. Drobnny chłopiec był bowiem małą, bladą, roztrzęsioną kupką nieszczęścia wciśniętą w kąt gondoli. Mimo całej

swej mądrości i wiedzy David do tej pory nie doświadczył niczego równie przerażającego. Samotnemu duchowi kobiety, którego spotkali podczas aklimatyzacji, daleko było do makabrycznego kowala.

Cooper wysiadł z gondoli pierwszy. Kiedy wysiadała reszta, agent nie spuszczał nieufnych oczu z ogrów. Kowal rzeczywiście przedstawiał sobą straszny widok. Górował nad nimi, dumny i poważny niczym starożytny król. Za jeźdźcem roztaczało się morze strzelających iskrami pochodni i błyszczących zębów, które czekały w martwej ciszy na sygnał do ataku.

– Uczyniliśmy tak, jak kazałeś – rzekł Cooper. – Dlatego usuńcie barykadę, aby mogli zamknąć wrota.

– Nie ty tu wydajesz rozkazy – odezwał się Marley Augur głosem głębokim i zimnym. – Oto warunki: złożycie broń oraz klucz Eliasa Brama, który, jak nam wiadomo, jest w waszym posiadaniu. Dwóch synów kraju Sidh odejdzie z wiedźmami, jak obiecano. Reszta opuści to miejsce i powróci do Rowan, by uzgodnić warunki dobrowolnej kapitulacji.

Pan McDaniels spojrział na stojącą za plecami Augura horde.

– Wiedźmy są chyba o niebo lepsze – szepnął, zerkając na Davida i Maksa.

David odkaszlnął i potrząsnął głową.

– Rozważymy warunki dopiero, gdy usłyszymy je od samego Astarotha – powiedział cienkim głosem.

Max zobaczył, że ogry trzęsą się ze śmiechu,

usłyszawszy głos i żądanie Davida.

Złowieszcze blaski w oczodołach Augura zalśniły mocniej.

– W imieniu jego wysokości przemawiam ja, ty marny pisklaku.

– Zdradziłeś swój lud – powiedział David i postąpił krok do przodu, by stanąć przed samym upiorem. – Jesteś stracony i na wieki wzgardzony.

Ogry przestały się śmiać. Pan McDaniels przeżegnał się i zamknął oczy. Nawet Cooper wpatrywał się w swego drobnego podopiecznego, który nieugięty i poważny stał przed upiorem.

Powoli postać Augura zaczęła spowijać zielona mgiełka. Max wiedział, że to niedobry znak. Szybko ruszył w stronę kolegi i stanął u jego boku dokładnie w chwili, gdy upiór podniósł wielki młot.

– Opuść go.

Rozkaz zabrzmiał gdzieś z dala, z tyłu groty. Wydany był dźwięcznym tenorem, wyróżniającym się spomiędzy ujadania zgrai obrzydliwych wieloków i chochlików o haczykowatych nosach. Augur na sekundę zamarł, po czym obejrzał się do tyłu. Przejściem w tłumie zbliżała się niewielka procesja, której towarzyszył wesoły dźwięk dzwoneczków. Zabrzmiał róg, potem następny i następny, aż cała grotka rozbrzmiała ich trąbieniem. Armie poczęły wiwatować i wróciły do żłopania zrabowanego wina. Procesja była już dobrze widoczna.

Oczom Maksa ukazała się delikatna, złocona karoca,

zaprzężona w dwa czarne wilki wielkości koni pociągowych. Toczyła się naprzód, asekurowana przez czterech upiornych rycerzy. Sprawiali wrażenie, że wyrwano ich z długiego, kamiennego snu, by stawili się na służbie u pana, który siedział ukryty za purpurowymi zasłonkami. Marley Augur prychnął gniewnie, spiął konia i odsunął się od Davida. Tymczasem na długich pikach wzniesiono flagi podbitych państw. Zgromadzone hordy podniosły straszny krzyk.

Był ogłuszający. Utonęło w nim i brzęczenie dzwonek u karocy, i przekleństwa Mamuśki. Dyszące wilki przyciągnęły karocę do celu i ustawiły ją szerokim, zasłoniętym oknem na wprost wrót Warsztatu. Maksowi zebrało się na wymioty. Od karocy dolatywał wstrętny powiew – mieszanina odoru śmierci, choroby i siarki. Zabrzmiały trąbki. Tłum wzniosł pochodnie w szalonym hołdzie, po czym jak na komendę – wszystko ucichło.

We wnętrzu karocy zabrzmiał lekki śmiech. Odezwał się miękki tenor:

– Wybaczcie te hałasy.

Powierzał twoje imię stokom wzgórz,
Tak aby Echo, ta nimfa – ploteczka,
Zdwajała okrzyk...

[W. Szekspir, Wieczór trzech króli, przeł. Stanisław Barańczak.]

– Co takiego? – spytała Mamuśka, przygryzając dolną wargę.

– To z Szekspira – cicho rzekła panna Boon.

– Zgadza się, Hazel Benson Boon – odezwał się rozbawiony głos. – Założę się, że doskonale znane ci są wszystkie jego dzieła. Żałuję, że nie było cię ze mną na starym Globie, byśmy się mogli wspólnie nimi radować. Występowałem w jednym czy dwóch przedstawieniach, lecz niestety wieszcz nie był ze mnie zadowolony. Twierdził, że źle interpretuję rolę Jagona... Zresztą, pewien jestem, że on wiedział najlepiej... A ty jak się masz, Maksie McDaniels?

Maksa zmroziło, gdy usłyszał swoje imię w ustach tego, kto siedział w karocy.

– Bardzo jestem rad, że mogę cię poznać i osobiście ci podziękować za to, że mnie wyzwoliłeś – powiedział głos.

– Nie wyzwoliłem cię – szepnął Max.

– Ależ oczywiście, że tak – sprzeciwił się głos. – Gdyby nie ty, do dziś byłbym uwięziony w tym ponurym Rembrandcie. W mroku, w grozie. W nagrodę zostaniesz uhonorowany. Kiedy już zakończysz służbę u wiedźm, zostaniesz moim adiutantem. Damo Mako, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Z głębi powozu Max usłyszał głos wiedźmy. Brzmiał, jakby starucha była przerażona.

– Oczywiście, że nie, mój panie.

– Jestem niezmiernie wdzięczny – powiedział głos. – Max, ten przy tobie to człowiek, który twierdzi, że jest twoim ojcem? Wystąp do przodu, pocziwcze, niech ci się

przyjrę.

Po twarzy Scotta McDanielsa strużkami ciekł pot. Ojciec Maksa zrobił w kierunku karocy dwa niepewne kroki. Lekka czerwona draperia odchyliła się i odsłoniła bladą twarz.

Po raz drugi w życiu Max ujrzał Astarotha. Demon był biały jak widmo; promieniował w ciemnym wnętrzu karocy słabym, luminescencyjnym światłem. Czarne włosy spływały mu z ramion na białe szaty niczym zwoje jedwabiu. Twarz miał piękną, lecz wydawała się zimna i martwa jak maska. Czarne oczy wygięły się w dwa rozbawione półksiężyce. Astaroth zastukał wężowym biczyskiem w drzwi karocy.

– Blżej – szepnął, wabiąc przymilnym uśmieszkiem.

Scott McDaniels postąpił jeszcze jeden chwiejny krok i stanął zaledwie półtora metra od otwartego okienka karocy.

– Hmmm – zastanawiał się Demon, spoglądając na niego. – Max musi więc być podobny do matki. Tak to zwykle bywa – dodał tonem znawcy. – A ten drugi do David Menlo?

– Tak, panie – przytaknęła Dama Mako z siedzenia naprzeciwko, skulona pośród obfitych szat.

Astaroth przysunął się bliżej okienka i lustrował drobnego chłopca od stóp do głów.

– No, no, więc uważasz, Davidzie, że masz prawo mnie wzywać? – skarcił go. – To niebezpieczna zabawa, młody przyjacielu. Widzisz Damę Mako, która tu ze mną

siedzi?

David kiwnął głową. Ręce miał zaciśnięte w trzęsące się piąstki.

– Nie jest jej za dobrze, jak widzisz. O wiele bardziej by wolała, żebym siedział zamknięty w pentagramie. Ale, w przeciwieństwie do ciebie, wie, że to niemożliwe. – Pogroził Davidowi palcem o długim paznokciu. – Wstydzilibyś się. Naprawdę myślałeś, że uda ci się mnie zmusić, żebym się zjawił na twoje wezwanie? To się nie udało nikomu już od dawna, przyjacielu. Czy nie sądzisz, że powinieneś zostać ukarany za swoją arogancję?

– Nie – szepnął David.

– Mów głośniej, dziecko.

– Nie – powtórzył David i z furją otarł łzy rękawem.

– Ćśś – rzekł Astaroth. – Nie ma powodu płakać.

Podejdź bliżej.

David stał w miejscu jak przymurowany.

– Myślałem, że dostrzeżesz w swoim postępowaniu błąd, ale ty pozostałeś uparty i samowolny. Czy uważasz za słuszne, żeby twoi przyjaciele cierpieli teraz za twoją arogancję?

David gwałtownie potrząsnął głową. Tłumiąc szlochanie, krok po kroku podchodził bliżej. Max, trzęsąc się z gniewu, chwycił za włócznię, lecz chmurne spojrzenie Coopera powstrzymało go. Pan McDaniels podszedł do syna i mocno go objął.

Filigranowa figurka Davida podsunęła się pod samo okienko, przez które wyglądała biała twarz. Potężne

czarne wilki zbliżyły do chłopca wilgotne nozdrza, wieloki pochyliły się naprzód z wyrazem oczekiwania na pyskach. Demon wyciągnął przez okienko białe ręce, jakby chciał pobłogosławić chłopca. Ten, dygocząc, bez kontroli nad własnym ciałem, umieścił swoje dłonie pomiędzy nimi.

Przez chwilę cicho rozmawiali, a potem Demon uścisnął i poklepał ręce chłopca. Max próbował dosłyszeć, co mówili, lecz nie mógł. Naraz Astaroth się zaśmiał.

– Oczywiście, że spełnię twoją prośbę, młody Davidzie – wykrzyknął. – Jesteś słodki i czuły jak niewinny, nowo narodzony baranek! Augur, wyjmijcie kliny i pozwólcie tym strachliwym rzemieślnikom zamknąć wrota.

Na rozkaz Augura ogry chrząknęły, naprężyły mięśnie i nacisnęły na trzonki swych młotów, by wyrwać piki ze skały. Zarzuciły je potem na ramiona i, szerokim łukiem omijając zaprzężone do karocy wilki, weszły w tłum chochlików i wieloków. Niemal natychmiast olbrzymie srebrne wrota zaczęły się zamykać – popis idealnej, bezszelestnie działającej maszyneryi. David i Astaroth rozmawiali dalej na boku ku wyraźnemu zadowoleniu Demona.

– Och, oczywiście, że zostawimy ich w spokoju! – wykrzyknął nagle Astaroth. – Moglibyśmy nawet nie zamykać drzwi! Nawet gdyby zostały otwarte, nie musielibyście się o to martwić. Ja zawsze mówię prawdę, jak już się dowiedziałeś z tej nieszczęsnej książki. Czyż to

nie jest niewiarygodne, ta twoja żądza wiedzy?

David skinął głową i wziął długi, świszczący wdech.

– Zamierzasz mnie skrzywdzić? – zapytał, skręcając się w nagłym szlochu.

– Oczywiście, że tak – odparł Astaroth i jego delikatne palce rozpoczęły wędrówkę po dłoni Davida. – Zachowałeś się źle i dumnie, zatem prawdziwą krzywdą byłoby pozostawić to bez kary. A teraz odpowiedz na moje pytanie... Czy to jest ręka, która przewracała te straszne stronice?

David skinął głową.

– I czy to są oczy, które czytały te okropne litery?

– Tak – pisnął chłopiec.

– I, jak przypuszczam, to ten język wypowiadał owe nieszczęsne słowa?

Ramiona Davida zatrzęśły się gwałtownie, kiedy chłopiec wymamrotał coś niewyraźnie.

– Tak, to ta ręka – stwierdził ostatecznie Demon, podniósłszy ją do oczu i poddawszy dokładnym oględzinom. – Zostaniesz moim świadkiem! Pochłonę twoje grzechy, lecz zostawię ci oczy, które będą widzieć moje dobro, i język, który będzie głosił o mej łaskawości.

Demon ziewnął nadspodziewanie szeroko, jak wąż otwierający paszczę by pożreć ofiarę. David odwrócił się.

Szczęki zamknęły się ze straszliwą siłą. Max wrzasnął. David runął na ziemię jak martwy. Wyrwawszy się z uścisku taty, Max podbiegł do kolegi i ukucnął przy nim. Ręka Davida była odcięta w nadgarstku.

Astaroth w głębokim zamyśleniu spojrział na nieprzytomnego Davida.

– Czyn dokonany, rana jest czysta, a on mądrzejszy o moje dary – powiedział. – Jego grzechy zostały wybaczone.

Demon zaśmiał się, a Max w panice oglądał rękę kolegi. W miejscu, gdzie znajdowała się dłoń chłopca, nie było krwawej rany, lecz po prostu blady kikut zakończony pomarszczoną skórą. Nie spłynęła z niego ani jedna kropla krwi.

– Nie złość się, Max – powiedział Astaroth uspokajająco. – Pomóż koledze wsiąść do karocy i przynieś ów intrygujący klucz. Wszyscy z wyjątkiem Rasmussena mogą odejść i w spokoju dotrzeć do Rowan.

– Ale dlaczego ja mam zostać? – chrapliwym głosem zapytał Rasmussen.

– To życzenie doktor Braden – wyjaśnił Astaroth z chytrym uśmiechem. – Choć nie darzę jej szczególnym szacunkiem, to należy jej się trochę uznania, czyż nie?

Max poczuł, że ktoś ściska go za rękę. David patrzył na niego oczami, które przypominały wąskie szczeliny bólu. Wszeptał gorączkowo:

– Odsuń mnie od niego.

Max zrobił to, o co poprosił kolega – odciągnął go od karocy. David podniósł się, z trudem łapiąc powietrze z bólu i wysiłku. Astaroth obserwował ich z okienka powozu – uśmiech na jego białej twarzy powoli zniknął.

– Kończ te głupoty i wsiadaj do środka.

David chmurnie spojrział na Demona. Oparł się o Maksa, a okaleczoną rękę trzymał przy sobie, zgiętą w łokciu.

– Solas!

Choć jego głos był ledwie słyszalny, to efekt – natychmiastowy. Podziemna czeluść rozświetliła się nagle blaskiem miliona żarówek. Światło oślepiło wszystkich – wieloki zawyły, ogry wydały ryk wściekłości. Koń Augura stanął dęba, prawie zrzucając swego upiornego jeźdźca z siodła. Monstrualne wilki obnażyły kły i szarpnęły misterną karocą. Przed oczami Maksa ukazały się barwne plamy. Chłopiec zaczął szybko mrugać i gdy odzyskał ostrość widzenia, zobaczył setki wyjących wieloków, na oślep rozszarpujących się nawzajem pazurami.

– Brać ich – rzucił Astaroth głosem, w którym lekceważące rozbawienie zastąpił lodowaty chłód.

Zanim stojący najbliżej ogr zdążył postąpić krok w przód, David wyciągnął palec w kierunku gniewnego Demona w karocy i na jednym oddechu wypowiedział serię dziwnych, straszliwych słów:

– *Ea bethu gaea volk gabar!*

Max stracił równowagę, kiedy ziemia pod nim gwałtownie się zatrzęsała. Podłoga skalnej groty rozstała się, tworząc szczelinę, która oddzieliła ich od Wroga. Kilkanaście ogrów rycząc przeraźliwie runęło w przepaść, która stawała się coraz szersza i szersza. Ziemia nie przestawała się trząść.

David krzyknął i z otchłani wytrysnęły złoto-zielone płomienie, a za nimi fontanna gorącej lawy. Wzniosły się wysoko, wysoko, by runąć niczym ogromna fala na karocę i otaczające je hordy. Powietrze wypełniły ryki i wrzaski rannych. Maxa i resztę odrzucił do tyłu impet rozgrzanego powietrza, które przypiekło im oczy i zapaliło ubrania.

Cooper nie tracił czasu.

– Na nogi! – wrzasnął, podrywając do góry pana McDanielsa i pannę Boon. Nauczycielka z kolei szarpnęła leżącą na ziemi roztrzęsioną Mamuškę. Max zawołał biegnącego obok Nicka i z Davidem na rękach, popędził w kierunku rzędu srebrnych samochodów zaparkowanych przed wrotami Warsztatu.

– Co ty robisz?! – ryczał Rasmussen. – On wszystkich pozabija!

Cooper zawrócił i obezwładnił zszokowanego mężczyznę, po czym pociągnął go w kierunku jednego z samochodów i wepchnął na tylne siedzenie, na którym siedzieli już inni. Zatrzasnął drzwiczki i spróbował uruchomić samochód.

– Gdzie kluczyki? – ryknął.

– Jest na kod – wybełkotał Rasmussen.

– Podaj go! – wrzasnął Cooper i walnął w deskę rozdzielczą.

Max wyjrzał przez tylną szybę. Ściana ognia już znikła – z otchłani wзираły tylko od czasu do czasu pojedyncze płomienie. Za szczeliną widać było wyjąca,

kłębiącą się masę ciał, lecz karoca wydawała się nienaruszona. Marley Augur i upiorni jeźdźcy odjechali na pewną odległość od rozpadliny i galopowali teraz w jej stronę.

– Cooper... – zaczął Max.

Cooper odwrócił głowę. Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, gdy jeźdźcy smugą płonących grzyw i dymiących zbroi przesadzili otchłań. Agent szarpnął Rasmussena.

– Podaj ten cholerny kod!

– Zero, zero, sześć, pięć, dziewięć – wybełkotał histerycznie doktor.

Cooper szybko wystukał podane cyfry na desce rozdzielczej i silnik zapalił.

Max zmusił Davida i tatę, by schylili się na siedzeniu. Jeźdźcy byli tuż, tuż. Marley Augur podniósł młot i wychylił się z siodła.

– Szybciej! – zawołał Max.

Limuzyna wyrwała naprzód dokładnie w momencie, gdy młot Augura opadł na jej bagażnik. Tylne osie jęknęły, a pasażerowie powpadali na siebie od siły uderzenia. Cooper zaklął i gwałtownie skręcił kierownicę, by w pędzie wyminąć kolumnę zaparkowanych wozów. Jeźdźcy siedzieli im na plecach. Max wrzasnął, gdy zbrojna pięść walnęła w okno, roztrzaskując szybę na milion drobnych kawałków. Cooper szarpnął w prawo i samochód uderzył w jednego z koni, zrzucając jeźdźca. Zaraz skręcił kierownicę z powrotem w lewo i pognał po

obwodzie piramidy. Max patrzył na prędkościomierz, którego wskazówka jednostajnie przesuwała się do przodu. Prędkość wciskała pasażerów w chłodne skórzane fotele. Jeźdźcy zniknęli w lusterku wstecznym, gdy samochód znalazł się na tyłach piramidy, po przeciwnej stronie niż główne wrota. Wojsk Astarotha tu nie było, za to otwierały się trzy potężne tunele.

– Którym jechać? – spytał Cooper i zredukował bieg.

Rasmussen zamrugnął zaczerwienionymi oczami za popękkanymi okularami.

– Na lewo do Amsterdamu – mruknął. – Na prawo do Berlina.

– A po środku? – zapytał agent.

– Do Schwarzwaldu – odparł Rasmussen. – Mamy tam bazę awaryjną.

– Uwaga! Z tyłu! – krzyknął pan McDaniels, z twarzą białą jak kreda wpatrując się w tylną szybę.

Za nimi gnali jeźdźcy i karoca Astarotha ciągnięta przez toczące pianę wilki.

Cooper wrzucił bieg i wcisnął gaz, przyspieszając w stronę środkowego tunelu.

Max zobaczył wychyloną z okna karocy białą twarz Demona. Astaroth zachłannie wyciągnął ku nim rękę. Jednocześnie samochód wyskoczył i uniósł się, podbity w górę i zakręcony jak dziecinny bączek czyjąś niewidzialną ręką, po czym z piskiem opon i chrzęstem metalu runął z powrotem na ziemię. Kolebał się dziko na boki, podczas gdy Cooper walczył z kierownicą, by utrzymać pojazd

pod kontrolą. Niewiele brakowało, a nie udałoby mu się wprowadzić limuzyny do tunelu. Wjechała tam, szorując prawym bokiem o ścianę i posyłając w powietrze fontannę białych iskier.

Panna Boon potrząsnęła otępiałym Rasmussenem.

– Jaka jest prędkość wyjściowa?

– Co?

– Prędkość wyjściowa! – warknął Cooper. – Żeby się przebić przez barierę.

– Trzysta na godzinę! – wychrypiał Rasmussen. – Trzeba uważać, musi być dokładnie trzysta!

Max patrzył, jak olbrzymia czarna ściana rośnie w oczach, kiedy Cooper zmienia bieg i wciska gaz.

Karoca i jeźdźcy wpadli za nimi do tunelu – w ciemności skrzyły się płonące grzywy i błyskało złoto.

Silnik limuzyny wył coraz głośniejsze. Max widział, jak wskazówka zegara przesuwa się ku żądanej prędkości. Z pogruchotanego tyłu samochodu buchał dym i pryskały skry. Pojazd trząsał się i jęczał.

– Trzymajcie się – mruknął Cooper, walcząc z kierownicą, by utrzymać zniszczony samochód pod kontrolą i trafić w czarną ścianę. Silnik zawył rozpaczliwie – wskazówka prędkościomierza doszła do 280 kilometrów na godzinę – wydawało się, że osiągnęła maksimum i nie drgnie ani milimetra dalej. Cooper zmarszczył czoło i z całej siły dodał gazu. Jednocześnie kabinę coś od tyłu oświetliło. Max obrócił się i ujrzał, że tunel za nimi pogrążony jest w ogniu. Płomienie

błyskawicznie rozchodziły się po jego ścianach. Wydawało się, że lada chwila ogarną rozpędzony samochód.

Czarna ściana wypełniła przednią szybę. Max krzyknął i zamknął oczy.

Zderzenia nie było.

Pojazdem lekko zatrzęsło i na chwilę zrobiło się zupełnie ciemno. Kabinę wypełnił głuchy ryk przypominający odległy huk wzburzonego morza, lecz płomienie nie zdołały pokonać betonowej ściany. Rozpędzona limuzyna z piskiem opon i szorowaniem tylną częścią podwozia o asfalt pokonała zakręt i po długiej, łagodnej pochylni zaczęła wyjeżdżać z podziemnego parkingu na światło dzienne.

LATAJĄCA FORTECA

Samochód zdołał przejechać jeszcze trzydzieści kilometrów, zanim silnik zaczął przeraźliwie ryczeć, a układ kierowniczy szwankować, na skutek czego pojazd zataczał się jak pijany. Na drogach nie było żywego ducha, ani razu nie napotkali nawet przechodnia czy mieszkańca którejś z mijanych wsi. Na drodze wylotowej z Frankfurtu mijali przeróżne zabudowania – domy mieszkalne i lokale usługowe. W żadnym z nich w to zimne, szare popołudnie nie paliło się światelko, z komina nie leciał dym. Cooper szarpnięciem kierownicy skierował pojazd z powrotem na właściwy pas ruchu i czujnie spojrzął w lusterko.

– Widać tam kogoś? – wychrypiał pan McDaniels.

– Nie – odparł agent. – Wątpię, żeby ktoś nas gonił.

– Ale doktor Braden wie przecież, dokąd mogliśmy pojechać – mruknął ponuro Rasmussen.

– Wątpię, czy wyszła z tego cało – mruknął Cooper i potrząsnął głową. – A bez niej Warsztat będzie bezpieczny, jak obiecał Astaroth. Nie wejdą do środka.

Rasmussen prychnął, burząc się w duchu.

Samochód toczył się z mozołem przez wiejski krajobraz w stronę Schwarzwaldu, a Max co chwila z niepokojem spoglądał na kolegę. David leżał skulony jak

kot na kolanach panny Boon. Zranioną rękę miał zgiętą i schowaną pod policzek, a mocno zaciśnięte powieki drgały mu od gorączki. Mamuśka wpatrywała się z napięciem w zablizniony kikut, posmarowany teraz grubo maścią moomenhoven.

– Czy on jest chory? – spytała, wężąc w stronę Davida.

– Nie wiem, Mamuśko – odparła panna Boon, gładząc chłopca po jasnych włosach. – Doznał strasznego urazu, a do tego stracił potworną ilość energii. Powinien jak najszybciej znaleźć się w domu.

– A więc tam jedziemy? – zapytał Max chrapliwym głosem. – Wracamy do Rowan?

– Chyba tak – odpowiedziała nauczycielka mistyki. – Musimy oddać Davida w ręce uzdrowicieli, a poza tym nie wiemy, co zrobić z kluczem Brama. Zgadzasz się, Cooper?

Agent skinął głową.

– Ale czy nasz powrót do Rowan nie wywoła klątwy więdzm?

– Nie wiem – westchnęła panna Boon i odsunęła rozszerzone nozdrza Mamuśki od Davida.

Trzy kilometry dalej przestał działać układ chłodzenia – z limuzyny ulatywały w głąb ciemnego lasu białe kłęby pary. Podłoga samochodu pod stopami Maksa wibrowała od tarcia metalu o metal. Rasmussen jęknął i próbował rozhuścić przedni fotel, jakby chciał zmusić samochód do przejechania jeszcze kawałka. Zatrzymali się kilkanaście

metrów dalej. Pojazd zadrżał jak w konwulsji i wypuścił w niebo ogromny kłęb srebrzystej pary.

– Jak daleko jeszcze do tej bazy? – zapytał Cooper.

Rasmussen popatrzył na przydrożną tablicę.

– Co najmniej dwadzieścia kilometrów.

Agent jeszcze raz zerknął na migoczące na tablicy rozdzielczej wskaźniki i zmęczonym ruchem przetarł oczy.

– Musimy iść pieszo – powiedział.

– Co, nie możecie czegoś wyczarować? – rzucił zirytowany Rasmussen.

– Nie znam okolicy i nie wiem, czy ktoś nas nie śledzi – powiedział Cooper. – Wiedźmy i inne stworzenia są w stanie wytropić wszelkie ślady zostawiane przez mistyka. Idziemy.

Parę minut później Max czekał na poboczu, podczas gdy jego tata wraz z Cooperem spychali samochód z szosy. Pojazd przestał już dymić i leżał teraz ukryty pod stosem gałęzi na dnie płytkiego jaru. Cooper odebrał Davida z rąk Mamuśki i panny Boon i przewiesił go sobie przez ramię. David był bezwładny i nieruchomy. Leniwie padał mokry śnieg. Powłócząc nogami, poszli ku ciemnej ścianie świerków.

Max szedł bez słowa, zatopiony w myślach. Trzymali się krętej drogi, a wiatr zwiewał igły z drzew. Nick włókł się obok. Od czasu do czasu wyprzedzał grupę i stanąwszy na drodze przed nimi, patrzył wyczekująco, czy nadchodzą. Późne popołudnie zmieniło się w zmierzch,

zmierzch – w noc. Na niebo wyszedł wąski sierp księżycy. Las wokół nich stał zupełnie nieruchomo. Nie słyhać było ptasich głosów, kroków zwierząt w zaroślach ani szelestów między gałęziami. Kiedy mijali samotną chatę z wyważonymi drzwiami, Cooper zajrzał do środka.

– Nie ma tu nic interesującego – powiedział szybko, po czym kaszlnął w rękaw.

Na niebie pojawiło się kilka odległych, słabo widocznych gwiazd, kiedy Rasmussen przerwał wreszcie ciszę, zakłócaną dotychczas tylko ich monotonnym krokiem.

– Prawie jesteśmy na miejscu – sapnął i dla rozgrzewki zaczął przytupywać nogami. Wskazał zagrodzoną szlabanem leśną drogę skręcającą w prawo między drzewa. Kiedy podeszli, Max zauważył obsypane delikatnym śniegiem tablice ostrzegawcze zakazujące wstępu na ten teren. Rasmussen pchnął furtkę, która otworzyła się bez trudu. Nogą natknął się na coś, co leżało w śniegu, schylił się i podniósł końce łańcucha. Był przecięty na pół.

– Ktoś już tu był – mruknął i mrużąc w ciemności oczy, badał przecięty metal.

Przez kilkanaście sekund stali przed otwartą bramą. W powietrzu czuć było bogaty aromat sosen i zapach lekkiego mrozu. Max przyjrzał się Davidowi. Z jego ciała buchało gorąco jak z pieca. Nagle Mamuśka wgramoliła się z powrotem na drogę i czujnie popatrzyła w ciemność tam, skąd nadeszli.

– Jada ciężarówki! – wyszeptała donośnie. – Duże!

– Za bramę! – rozkazał Cooper. Przekazał Davida panu McDanielsowi i zgonił ich z drogi w czarny jak atrament cień pod drzewami. Max usłyszał niski warkot silników Diesla. Płatki śniegu opadały łagodnie, jak w szklanej kuli, w białym świetle odległych jeszcze reflektorów.

– To wieloki – syknęła Mamuśka, wężąc w zimnym powietrzu.

– Doktorze, proszę poprowadzić ich dalej – rozkazał Cooper. – Dogonię was.

Czmychnęli w las za Rasmussenem, który zdawał się płynąć poprzez gęstą ciemność, odpychając się od niej białymi, delikatnymi dłońmi. Pan McDaniels sapał i dyszał, dźwigając Davida. Las zamknął się za nimi. Nie widzieli już świateł samochodów, nie słyszeli odgłosów z drogi.

Kilometr dalej ścieżka kończyła się na dużej polanie, która wydała się Maksowi skądś znajoma. Na czarnym niebie ćmiły odległe zamglone gwiazdy. Pośrodku polany stał hangar dla samolotów – długa, ciemna konstrukcja ze szkła i stali. Tu i tam stały baraki dla obsługi, a między nimi płonęło kilkanaście ognisk, wokół których kuliły się rozgadane, rozchichotane postaci.

– Oj, musi być już bardzo źle, skoro gobliny ośmielają się wychodzić z ukrycia – szepnęła panna Boon.

– Cholerne tchórze – zgodziła się Mamuśka – tylko w stadzie się nie boją.

Max zagapił się na przysadzistego goblina z zapadłym grzbietem, haczykowanym nosem i niespokojnymi uszami kozy. Stwór odszedł od ogniska za szopę, żeby się załatwić. Nad ogniem nadziany na rożen obracał się i skwierczał korpus jakieś biednej szkapy, a zebrane wokół goblina śpiewały i piły, rzucając przedziwne cienie na śnieg.

– Czy są na służbie Astarotha? – szepnął Max i pociągnął pannę Boon za rękaw.

– Chyba nie – odparła mistyczka i zmarszczyła brew.
– Przypuszczam, że po prostu wyszły z gór lub spod jakiegoś wzgórza.

– O czym śpiewają? – zapytał chłopiec, który od dłuższego czasu próbował rozszyfrować pojedyncze wyrazy z pieśni goblinów.

– O podstępach, oszustwach, ciemnych bogach i zemście – wyjaśniła nauczycielka i odwróciła głowę, gdy rozległ się głos fujarki. Kilka goblinów zaczęło niezgrabnie tańcować wokół ognia. Unosiły przy tym małe, rogate głowy, by piszczeć i wyc w stronę sierpa księżyca. Czy był to krzyk strachu, zachwytu czy modlitwy – tego Max nie wiedział. Utworzyły teraz wielkie koło wokół ognia i chór ich głosów wypełnił całą polanę. Max spojrzął za siebie, w las, lecz Coopera nie było widać.

– Co jest w środku? – szeptem zapytała Rasmussena panna Boon.

– Baza transportowa. Samoloty, rozmaite.

– Można lecieć nimi do Ameryki? – pytała dalej nauczycielka.

– Tak, tak, oczywiście – mruknął doktor. – Jeśli nie zostały zniszczone.

– Będziemy musieli się tam podkraść, nic innego nie wymyślimy.

– O nie – jęknęła nagle Mamuśka i ścisnęła pannę Boon za ramię. – Wiatr się zmienia i te wstrętne gobliny zaraz mnie wyniuchają i pogonią!

Mówiła prawdę. Max poczuł na szyi chłodny podmuch. Wraz z nim na polanę dostał się ich zapach – mocny i gęsty niczym rozlana zupa.

Śpiew goblinów ustał.

Stworzenia odwróciły się od ogniska i wlepiły w przybyszów ślepią, jak hieny, które hipnotycznie wpatrują się w przyszłą ofiarę.

– No, raczej ciężko będzie zrobić coś ukradkiem – mruknęła panna Boon. – Biegiem!

Gdy biegli przez polanę, Max kurczowo trzymał swoją Gae Bolga. Gobliny najpierw przyglądały im się w bezruchu, mrugając małymi, świecącymi w ciemnościach oczkami. Jeden z większych podbiegł parę kroków do przodu i oparł ciężar ciała na rękach jak pawian z nadętym brzuchem. Podrapał się w skórzaną czapkę na głowie i zawył w kierunku biegnących, otwierając szeroko paszczę pełną wyszczerbionych zębów, po czym wystartował z gardłowym krzykiem. W jego ślady poszły tuziny innych i ze wszystkich stron ruszyły ku uciekającej do hangaru

grupie.

Otoczyły ich w momencie, gdy dopadli do drzwi. Rasmussen gorączkowo usiłował wystukać kod dostępu na terminalu przy wejściu, a reszta ustawiła się plecami do ściany. Panna Boon starała się wyskandować zaklęcie, lecz przerwał jej rzucony przez któregoś z goblinów kamień, przed którym musiała się uchylić. Stwory, bełkocząc i obnażając zęby, podchodziły coraz bliżej. Ich kościste ręce z coraz większą śmiałością wyciągały się do struchlałych pod drzwiami ludzi.

Wtem przed szereg goblinów wynurzyła się spiczasta, napuchnięta twarz ich przywódcy, który utorował sobie przejście przez ciżbę. Długoręki stwór odezwał się do Mamuśki drażniącym uszy głosem w niezrozumiałym języku. Szczeknął jeszcze parę razy, by ponaglić ją do odpowiedzi, a potem pogroził wiedźmie paluchem zakończonym ostrym pazurem i przemówił łamaną angielszczyzną:

– Trzech dla ciebie i trzech do zupy. Sprawiedliwe, co, głupia wiedźmo?

– Co on ma na myśli? – chciał wiedzieć Scott McDaniels, kopniakiem odpychając od siebie jakiegoś wyjątkowo bezczelnego młodego goblina.

Nick syknął i najeżył się, a stwór cofnął się do szeregu.

– Gobliny i wiedźmy czasem współpracują – wydyszała Mamuśka, z obawą spoglądając na przywódcę stworów. – Stare przymierze. Chce coś wytargować.

Oczywiście myśli, że ja jestem tu szefem. Jeśli oddamy im troje z nas, to resztę puszczą wolno. Nazywa się Bnuublik i pochodzi z Feldbergu.

– Wszystko jedno, skąd pochodzi! – wrzasnął pan McDaniels.

– A co zrobią z tymi, których mamy im oddać? – ostrożnie zapytał Max.

– Armia Astarotha poczyniła spustoszenie w promieniu dziesiątków kilometrów stąd – wyjaśniała wiedźma i ze współczuciem wzruszyła ramionami.

– Powiedz mu, żeby o tym zapomnieli – rzucił Max i machnął włócznią.

Przywódca goblinów zerknął na niego, podniósł rękę i znowu powiedział coś szybko do Mamuśki.

– Czekaj! – krzyknęła. – Jest gotów złożyć inną propozycję człowiekowi ze złym nożem! Mówi, że nas wypuści, jeśli oddamy im Tego-Kto-Wygląda-Jak-Góra-Sera i jeśli ja zgodzę się... Nie – zmarszczyła czoło. – Nie, tak nie może być.

Goblin powtórzył spokojnie swoją kwestię.

Twarz Mamuśki pociemniała.

– Nie jestem taka, jak myślicie! – wrzasnęła i rzuciła się na goblina. Ten pokoziołkował do tyłu ku zachwytowi swoich towarzyszy. Ryknął i, siedząc w kucki, masował sobie plamiasty policzek.

Nagle w oddali rozległ się dźwięk klaksonu, długi i nieprzerwany, jakby urządzenie się zacięło. Z daleka dały się słyszeć krzyki. Światła reflektorów przeszyły ciemny

las. Parę sekund później na polanę wypadł Cooper. Uskoczył w ostatniej chwili – ciężarówka przemknęła obok niego i, wpadłszy w poślizg, zatrzymała się na śniegu. Z lasu wyjechało więcej ciężarówek wypełnionych wielokami w płaszczach i czerwonych opaskach na rękach. Agent podniósł się i co sił w nogach pognął ku hangarowi.

Gobliny rozpierzchły się z wrzaskiem. Niczym stado przerażonych pawianów rzuciły się w stronę bezpiecznego schronienia, jakie dawał las. Rasmussen, wyrwany ze stanu otępienia, na nowo podjął próbę wprowadzenia odpowiedniego kodu. W końcu drzwi otworzyły się do wewnątrz, odsłaniając tonące w mroku ogromne pomieszczenie.

– Do środka! – wrzasnął doktor, chwytając pana McDanielsa za rękaw i machając na resztę. Cooper przesadził dystans dzielący go od towarzyszy, ścigany przez wieloki na czterech łapach. Wyglądały jak szarobure, rozmyte pociski na białym śniegu. Agent dopadł hangaru, wbiegł do środka, zatrzasnął drzwi i całym ciężarem oparł się o nie plecami. W tej samej chwili dopadł do nich pierwszy wielok. Stalowe zawiasy jęknęły, framuga lekko zadrżała. Obok Coopera ustawili się natychmiast Rasmussen i McDaniels. Drzwi wyginały się do środka pod naporem wieloków, które atakowały je wściekle, rzucając się na nie z impetem, wśród wrzasków i przekleństw.

– Hazel, zapieczętuj te drzwi! – wychrypiał Cooper,

wykręcając owłosione łapsko, któremu udało się wcisnąć w szczelinę przy framudze. Rozległ się ohydny trzask i mrozące krew w żyłach wycie. Wielok wyrwał zranioną łapę ze szpary i drzwi się zatrzasnęły.

Max obserwował ciemne kształty za oknami – tu i ówdzie sylwetka wilka, przyciśnięta do zamarznętego okna, drapała gorączkowo pazurami pancerną szybę. Pomógł Mamuśce odciągnąć Davida od drzwi, wokół których panna Boon pospiesznie kreśliła w powietrzu niewidzialne symbole. Wspierających wrota mężczyźni odrzuciła nagle siła uderzenia czegoś potężnego i ciężkiego, najwyraźniej jakiegoś pospiesznie zaimprovizowanego taranu. Cooper jeszcze raz zaparł się plecami o drzwi, które zaczęły się wybrzuszać.

– Już! – krzyknęła panna Boon.

Obwód drzwi zaczął łagodnie szumieć i błyszczeć miękkim, opalizującym światłem.

– Jest tu jakieś inne wejście? – zapytał Rasmussena Cooper.

– Po drugiej stronie – sapnął doktor. – I oczywiście wrota do hangaru.

Max odwrócił się i spojrzał na rysujące się za nim w ciemności tajemnicze, potężne kształty. Rasmussen pospiesznie włączył światła i kształty te w jednej chwili przeobraziły się w najrozmaitsze jednostki floty powietrznej minionych epok – swego rodzaju muzeum lotnictwa. Były tam i bombowce o okrągłych brzuchach, i delikatne dwupłatowce, i szerokonose samoloty

towarowe, a także samoloty transportowe, ustawione w równe szeregi matowej zieleni i błyszczącego niklu. Walenie w drzwi nagle ustało. Cooper spojrział na nie czujnym okiem.

– Idę zabezpieczyć drugie drzwi. Rasmussen, niech wszyscy wsiadają do tego, którym mamy lecieć. Ale już!

I pobiegł na drugi koniec hangaru, schylając głowę pod skrzydłem myśliwca z czasów II wojny światowej. Rasmussen ruszył szybkim krokiem wzdłuż szeregu samolotów. Zatrzymał się przed bombowcem o szerokich skrzydłach, ustawionym na strategicznej pozycji w hangarze – nic nie stało na jego drodze do wrót. Inżynier mruknął do siebie i policzył coś na palcach.

– Bierzemy ten – zdecydował.

– Ile osób mieści? – zapytała panna Boon.

– Dziewięć lub dziesięć – odparł Rasmussen, kątem oka spoglądając na McDanielsa.

– Zmieścimy się – rzekła mistyczka. – Czekamy na Coopera.

Na podłogę posypały się okruchy zbitej szyby.

– Nie ma czasu! – wykrzyknął Rasmussen. Przez okienko na drugim piętrze po przeciwnej stronie hangaru wciskały się już trzy wieloki. Zeskoczyły z pochyłego parapetu na podłogę i na czterech łapach, drapiąc pazurami posadzkę, błyskawicznie pokonywały odległość dzielącą ich od ludzi. Przez okno przełaziły już inne śliniące się, głucho warczące potwory.

Hangar wypełnił się nagłym dudnieniem – metal

zgrzytał o metal, turkotały koła. To rozsuwały się potężne wrota. W osaczonych uderzył powiew świeżego nocnego powietrza, a z nim krzyk Coopera nakazujący im wsiadać na pokład.

Otworzył się właz do samolotu. Rasmussen już zniknął w jego wnętrzu. Mamuśka wrzasnęła i pomagając sobie rękami, wgramoliła się do środka. Za nią wskoczył Nick i bez wahania zajął miejsce strzelca – małą, szklaną kopułkę, wystającą pod brzuchem samolotu. Pan McDaniels wraz z panną Boon wtaszczyli do środka Davida.

Zakręciły się śmigła i samolot drgnął, lecz zatrzymywały go drewniane klocki ustawione pod kołami.

Cooper podbiegł do bombowca i wyrwał kliny spod kół.

Do samolotu, który trzęsąc się, toczył powoli naprzód, dopadło już kilka wieloków. Zabłyśło faliste ostrze noża Coopera – pierwszy napastnik zawył i upadł na ziemię, trzymając się kurczowo za ranę na brzuchu.

Max chciał pomóc agentowi, lecz ten machnął na niego wściekle i krzyknął:

– Zabierz stąd Davida!

Agent poruszał się z niezwykłą precyzją. Na ziemię runęły trzy kolejne wieloki, a on zajął pozycję między włazem do bombowca i zbliżającymi się następnymi wilkami ogromnych rozmiarów. Rasmussen wrzasnął z kokpitu:

– Zablokowali wyjazd!

Max schylił głowę przed toczącym się wolno bombowcem i zobaczył, że wieloki zabarykadowały wyjazd z hangaru dwoma ciężarówkami. Na dworze, pośród nocy błyskały płomienie, a do wnętrza hangaru napływały kłęby białego dymu. Max usłyszał, jak Cooper jęknął, gdy wielok wbił zęby w jego nogę. Kris błysnął w zabójczym ciosie. Agent uwolnił się od bezwładnego ciężaru u nogi i spojrzał do tyłu. Najpierw oszacował wzrokiem barykadę z ciężarówek, a potem skierował się do Maksa.

– Co robimy? – zawołał chłopiec bez tchu.

– To, co mówiłem – sapnął agent, po czym bezceremonialnie złapał Maksa wpół i siłą wcisnął w otwór wejściowy samolotu. W progu wjazdu stanęła panna Boon.

– Szybko, wchodź do środka, William – poprosiła.

Cooper zatrzymał się na chwilę, która wystarczyła, by przez jego oszpeconą twarz przemknął uśmiech.

– Mam jeszcze coś do załatwienia, Hazel. Powodzenia – rzekł, po czym zatrzaskał pokrywę wjazdu i walnął w nią dwa razy. Max precyzyjnie przesunął się obok taty i przepchnął do kokpitu, gdzie siedział Rasmussen i ostrożnie przeprowadzał samolot obok szeregu myśliwców. Kształty ciężarówek rysowały się w świetle otwartych wrót. Do hangaru wpadało coraz więcej wieloków. Max zmrużył oczy, oślepiiony nagłym ostrym błyskiem.

– Co to? – krzyknął Rasmussen i zasłonił oczy.

– Cooper – wyjaśnił Max. Wzrok już przyzwyczaiał mu się do ciemności. Chłopiec mrugnął jeszcze raz i spostrzegł biegnącego przed nimi pośród oślepionych wieloków agenta, który dopadł do jednej z blokujących im drogę ciężarówek i wsiadł do środka. W tej samej chwili przez przednią szybę samochodu wyleciał wielok, przekoziółkował po masce, padł na ziemię i znieruchomiał. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt metalu o metal. To Cooper najechał na drugą ciężarówkę i, taranując ją, starał się ją zepchnąć z drogi.

– Co się dzieje? – zapytała niecierpliwie panna Boon za ich plecami.

– Toruje nam drogę – mruknął Max, przybity widokiem następnych wieloków pędzących w stronę ciężarówki Coopera, wpijających się pazurami w drzwiczki i wskakujących na maskę w desperackim samobójczym pędzie.

Pomimo nieustannego naporu wieloków Cooper wśród idących w górę iskier i przeraźliwego zgrzytu blachy zepchnął ciężarówkę na bok. Dym wypełnił już cały hangar tak, że powietrze stało się nieprzejryste. Rasmussen gładko prowadził samolot do przodu.

– Damy radę? – zawołał do niego McDaniels.

– Nie wiem, niewiele tu widzę – mruknął doktor, mrużąc oczy za potrzaskanymi okularami.

Naraz jakiś ciemny kształt zasłonił im widok. To potężnemu wielokowi udało się wdrapać na przednią szybę samolotu. Przyłgął do niej kurczowo, wykrzywił

pysk w szkaradnym uśmiechu i ciężką łapą uderzył w szybę, tworząc na niej pajęczynę drobniutkich pęknięć. Rasmussen wrzasnął i cofnął się, kiedy wielok odchylił się, by zadać jeszcze jeden, tym razem ostateczny cios.

Cios nie nadszedł.

Jakaś siła zepchnęła wieloka z maski, zawiesiła na moment w powietrzu niczym bezradnego, przewróconego na grzbiet żółwia, po czym raptownie odrzuciła na stojący obok samolot. Max odwrócił się i zobaczył za sobą pannę Boon z twarzą skupioną z wysiłku.

– To pani? – zapytał, lecz nauczycielka mistyki po prostu precyzyjnie się koło niego i weszła do kokpitu. Tam przyłożyła dłoń do pogruchotanej szyby, a Rasmussen znowu chwycił za drążek sterowniczy. Samolot potoczył się naprzód. Pęknięcia na szkle stawały się coraz cieńsze, a potem zaczęły znikać, aż w końcu na szybie nie pozostał żaden ślad.

– Wszyscy na miejsca i zapiąć pasy! – wrzasnął Rasmussen.

Max wgramolił się do kopułki strzelniczej, w której ułożył się Nick. Wślizgnąwszy się na miejsce obok lymrilla, chłopiec patrzył na kłębiące się wokół wieloki. Spojrzał dalej i stwierdził, że Cooperowi udało się już prawie odciągnąć drugą ciężarówkę z drogi. Jeszcze parę sekund i...

– Naprzód! – krzyknął Max, uderzając w znajdujący się nad nim właz do kokpitu. – Naprzód, teraz, teraz!

Samolot przyspieszył. Po bokach migwały myśliwce i

samoloty towarowe. Wieloki pierzchały z drogi, a samolot przez plamy płonącego oleju i kłęby dymu wytoczył się na zewnątrz.

Parę sekund później w skrzydłach bombowca zaszumiało powietrze. Potężna maszyna lekko się zakołysała, lecz za moment uspokoiła i zaczęła się równomiernie wznosić ponad polaną usianą dziwnymi konstelacjami ognisk. Max spojrzął w dół i zobaczył, że ciężarówka Coopera, cała w płomieniach, pędzi jak szalona w stronę lasu, a tuziny wieloków galopują za nią po śniegu. Samolot podniósł lot i łagodnym łukiem skręcił w prawo. Schwarzwald skrył się za warstwą postrzępionych chmur jak za utkanym z siwej koronki welonem. Cooper znikł im z oczu.

Max siedział nieruchomo na miejscu strzelca, ścisnął kurczowo Nicka i patrzył, jak wokół niego przesuwiają się rozpędzone strzępy mgły. Zanurzył dłoń w plecaku Davida i natknął się na chłodny metal sfery armilarnej. Wyciągnął ją i oparł sobie na kolanie. Lymrill zaczął dokładnie obwąchiwać urządzenie.

– Widzisz? – zapytał Max cicho. – Tyle przeżyliśmy dla kawałka metalu i drewna. Klucz i Brama.

Nie przypomina żadnego klucza. I dużo kosztował, prawda, Nick? Señor Lorca... David... i teraz może Cooper...

Nick miauknął i ugryzł opiekuna w palec.

– Niedługo będziemy w domu – szepnął Max, drapiąc delikatnie miedziane łuski.

Szklana kopuła pod jego stopami zaczęła zachodzić szronem. Tata z góry podał mu koc. Chłopiec przyjął go z wdzięcznością. Spowił siebie i Nicka w ciepły, zielony kokon i zastygł, wsłuchany w jednostajny huk silników bombowca. Noc była czarna, a gwiazdy jasne, kiedy lecieli na zachód ponad oceanem chmur.

* * *

Zbudziły go odgłosy sprzeczki panny Boon i Rasmussena. Pod nogami przemykały mu teraz strzępy błękitnego nieba, przetykane kępami chmur. Od czasu do czasu w dole prześwitywał ocean. Max ziewnął, mocniej opatulił się kocem, a potem jak larwa wygramolił z legowiska. Kiedy wszedł do kokpitu, zerknął na zegarek i zrobiło mu się gorąco.

– Co z tankowaniem? – zapytał niespokojnie.

– No właśnie – odparł jego tata, który właśnie płukał usta wodą z metalowego kubka. – Nasz dobry doktor twierdzi, że silniki wszystkich samolotów, które stały w hangarze, zostały przerobione tak, że można lecieć do Ameryki i z powrotem. Czego oczywiście sobie nie życzę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Max.

– Chyba już blisko – odparł tata. – To znaczy, jeśli w ogóle trafimy. David być może trochę przesadził, ukrywając Rowan.

Max spojrzał na kolegę, który spał pod stosem koców, lekko pochrapując. Siedząca obok Mamuśka

wymamrotała coś i naciągnęła sobie koc po same uszy. Max przesunął się do przodu i wsadził głowę do kokpitu.

– Mówię przecież, że jesteśmy za bardzo na północ – narzekał purpurowy ze złości Rasmussen i machał pannie Boon mapą przed nosem. Sprzeczali się tak, od czasu, gdy widzieli Cape Cod.

– Ale Rowan leży nad samym oceanem – powiedział Max i sięgnął po mapę. – Nie możemy po prostu lecieć wzdłuż wybrzeża, aż je zobaczymy?

– Właśnie to robimy – rzucił ostro Rasmussen. – Widzieliśmy doskonale Kennebunkport, ale nie Rowan. Rowan jakby nie istniało! Zniknęło! Kamfora!

Max otworzył usta i znowu je zamknął, postanowiwszy raczej czujnie obserwować poszarpaną linię brzegową, która od czasu do czasu wyłaniała się spoza chmur i mgły. Nagle mrugnął. Rowan leżało dokładnie przed nimi. W słońcu pobłyskiwała miedziana chorągiewka na dachu Starego Toma!

– Tu! Tu jest! – wykrzyknął, wskazując palcem.

Panna Boon i Rasmussen przestali się sprzeczać i zamilkli, patrząc na lśniąca w słońcu wieżę i pobielone śniegiem trawniki Rowan. Ciemna sylwetka „Pustułki” zakotwiczonej na szaroniebieskich falach oceanu wydawała się nie większa od zabawki. Obydwoje przycisnęli nosy do szyby i zaniemówili.

– To niemożliwe – szepnął Rasmussen i postukał w kompas. – Przecież jesteśmy przynajmniej sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Rowan.

– Trzydzieści na południe – mruknęła panna Boon, zerkając na mapę.

Rasmussen skierował nos bombowca ku oceanowi, zawracając jednocześnie tak, że przez chwilę znaleźli się tuż nad falami i wydawało się, że celują prosto w ostrą ścianę klifu.

– Spodziewam się, że pas startowy nie jest przygotowany? – zapytał.

Maksowi stanęły przed oczami wypielęgnowane trawniki, ogrody w stylu angielskim i doskonale przystrzyżone żywopłoty.

– A niech to – jęknęła nauczycielka mistyki. – Nolan nas zabije!

– Na miejsca, zapiąć pasy! – ostro zakomenderował doktor Rasmussen. – Będzie trzęsło.

Max pospieszył na swoje miejsce, pozostawiając innych trosce Mamuśki i swego taty. Wślizgnął się do kopułki strzelca i zapiął pas dokładnie w momencie, gdy zaczęło się lądowanie. Daleko w przodzie dziko chybotąło się Domostwo, podczas gdy Rasmussen starał się wyrównać lot. Max wstrzymał oddech. Nos samolotu minął klif i rąbnął w mokry śnieg.

W tej samej chwili bombowiec stęknął i, pędząc, kolebał się na boki, wznecając pióropusze śniegu zmieszanego z błotem i wyrwanymi z ziemi kępami trawy. Ludzie pierzchali w panice, szukając schronienia w szarych kamiennych budynkach. Piszczwały hamulce. Szybę kopułki strzelniczej ochlapało śniegowe błocko.

Domostwo przybliżało się w zastraszającym tempie.

– Rąbniemy, jak nic! – krzyknął Max, kiedy rozchwiany samolot sunął naprzód. Marmurowa fontanna była już zaledwie pięćdziesiąt metrów przed nimi. Max zamknął oczy i zakrył rękami głowę.

Nagle samolot zwolnił. Zrobił to tak gładko i płynnie, jak gdyby powietrze zmieniło gęstość i przybrało postać galarety. Przez wnętrze samolotu przeniknęła siła tak potężna, że Maksowi zjeżyły się włosy na karku. Otworzył oczy, by zerknąć, co się dzieje, i stwierdził, że toczą się już bardzo powoli. Marmurowe konie na fontannie wpatrywały się w niego pustym wzrokiem, wyrzucając z siebie strumienie lśniącej, pieniającej się w zimowym powietrzu wody. Samolot szarpnął i zatrzymał się. Na schodkach Domostwa stała pani Richter i mierzyła przybyszów ciekawym, spokojnym wzrokiem.

W GODZINĘ DUCHÓW

Następnego ranka obok Maksa przemknęła moomenhovena z nieśmiałym uśmiechem i machnięciem krowiego ogona. Rękę Davida zawinięto w coś koloru morskiej piany. Chłopiec leżał opatulony ręcznie szytą patchworkową kołdrą, na którą padały teraz przez zamarznąłą szybę promienie porannego, zimowego słońca. Przytulne ciepło rozchodziło się od kominka zbudowanego z wydobytych z rzeki, wygładzonych przez jej nurt kamieni. Siedziały przy nim trzy pulchne moomenhoveny w fartuchach, z kuchennymi ściereczkami rozpostartymi na kolanach i miażdżyły w moździerzach składniki na balsamy i maści, a gotowe już mikstury ostrożnie umieszczały w słoikach. Max lubił na nie patrzeć. Moomenhoveny były nieme i na pierwszy rzut oka wydawały się identyczne, lecz subtelne różnice w rysach ich twarzy zdradzały indywidualne cechy charakteru. Jedną cechę miały jednak wspólną – promieniały troską, życzliwością i humorem.

Max przeniósł wzrok na kremowe ściany pomieszczenia, a potem na resztę pacjentów oddziału leczniczego. Nie znał wśród nich nikogo. Jak powiedziała pani Richter, były to w większości rodziny uczniów Rowan. Ci, na których patrzył teraz Max, stanowili tylko

niewielki ułamek grupy uchodźców, która znalazła w szkole schronienie, przywieziona przez agentów – ostatnio bardzo przepracowanych – i stłoczona na każdym wolnym metrze kwadratowym Domostwa, Starego Toma oraz Maggie. Rowan stało się ulem wszelkiej aktywności.

Mimo to na oddziale panował spokój. Słyszeć było jedynie trzaskanie płonącego drewna i łagodne stukanie móżdżerza, w którym moomenhoveny ucierały zioła, korzenie i jagody. Nagle do tych odgłosów dołączyło się głośnie, warczące chrapanie. Max wyciągnął rękę ponad stopami Davida, by szturchnąć tatę, który leżał na starym fotelu obitym brązową skórą. Pan McDaniels pokręcił się niespokojnie, strzepnął okruszek z brody i podjął chrapanie dźwięcznym barytonem. Max cicho złożył szachownicę i podniósł nadgryzioną kanapkę, która wypadła tacie z ręki. Ciche postukiwanie móżdżerza ustało. Moomenhoveny odłożyły swoje zajęcia i odwróciły głowy w stronę drzwi. Dochodził zza nich głośny, stanowczy głos.

Przez dwuskrzydłowe drzwi wpadła Bellagrog, a za nią Connor, Sara i niespokojna Mamuśka. Odkąd Max ostatni raz widział Bellagrog, wiedźma strasznie napuchła. Wtoczyła się na oddział za swoim pękatym brzuchem, który sterczał do przodu bardziej niż broda. W jednej chwili omiotła oddział spojrzeniem swych bystrych oczek. Gdy zobaczyła obu McDanielsów, na jej szare policzki wystąpił rumieniec.

– Oo, tu są! – ryknęła, zapiiała z radości i pomachała

do nich. Pan McDaniels ocknął się, chrząknął i zamrugął, a wiedźma zbliżyła się do nich w radosnym podnieceniu. – Nie dzwonicie, nie piszecie, ale przed Cioteczką nie umkniecie! – wychrypiała, po czym porwała Maksa z krzesła i przycisnęła go sobie do tłustego biodra. – Są tacy, co mówili, żeście przepadli, ale kazałam im się zamknąć. Moje chłopaki niedługo wrócą, tak mówiłam, i to w dodatku ze skarbem! Uahahahaha!

Przed Bellagrog ustawiła się moomenhovena z palcem przytkniętym do ust. Wiedźma zerknęła na nią wilkiem.

– A co? Za głośna jestem? No co, po prostu się cieszę, że widzę moich McDanielsów i małego Davida też. Przewróciła oczami i wycelowała palec w jakąś drżącą pacjentkę, która wyglądała ukradkiem z bezpiecznej kryjówki pod namiotem z prześcieradła. – Ej, ty! Przeszkadzam ci? Co? Przeszkadzam ci zdrowieć? Uahahahaha!

Pacjentka szybko potrząsnęła głową i ukryła się pod kocem. Wiedźma z gardłowym śmiechem obeszła dookoła moomenhovenę i otoczyła jej ramiona mięsistą łapą.

– Widzisz? Odpocznij sobie, dziewczyno, trzymam wszystko pod kontrolą. Klapnij sobie z powrotem na swój fotelik, o, a ja niech się napatrzę na moich chłopaków. – Jej krokodyle oczy zwężyły się, gdy tłustymi, obandażowanymi palcami masowała szyję moomenhoveny. – Mieszkasz na czwartym piętrze, co

kochanieńka? Jak się minie to malowidło z chudymi mleczarkami i drzwi z zepsutym zamkiem, który aż się prosi, żeby go naprawić?

– Bel – odezwała się prosząco Mamuśka.

Moomenhovena rozejrzała się po wszystkich zebranych i przełknęła ślinę.

– Tak myślałam – powiedziała Bellagrog i podrapała się po obfitym brzuszysku. – Wy, moomenhoveny, lubicie sobie pospać, oj, lubicie...

Przerażona uzdrowicielka czym prędzej podreptała ku bezpiecznemu schronieniu w ramionach sióstr. Prychnąwszy z satysfakcją, Bellagrog klapnęła na łóżko Davida, w przelocie niuchnęła śpiącego chłopca, po czym miłośnie uścisnęła stopę pana McDanielsa.

– Próbowałam ją powstrzymać – powiedziała Mamuśka pogodnie.

– Słyszałam, że znalazłaś kuzynkę Gertrudę – zagadnęła Bellagrog. Wypuściła stopę taty Maksa i zaczęła natarczywie przyglądać się opatrunkowi Davida. – Oj, nie mogę powiedzieć, żebym nie przeczuwała, na co się zanosi z tą Gertrudą. Sama nie wiedziała, gdzie ma głowę, a gdzie nogi, taka była głupia! Uahahahaha!

– Bardzo... bardzo nam przykro z powodu waszej kuzynki – wyjąkał pan McDaniels.

– A, co tam. – Bellagrog lekceważąco machnęła ręką. – Nie ma powodu, żeby ci było przykro, kochanieńki. To nasza Bea powinna się wstydzić. Pomyślcie tylko, jedyna z rodziny, była tak blisko sprawcy i nawet nie podniosła

na niego palca!

– Próbowałam – przerwała jej Mamuśka. – Ale tyle się działo, że nie było kiedy!

– No, ale teraz już nie musisz się tym przejmować, co, moja droga? – chłodno rzuciła Bellagrog.

– Wiesz, że nigdy byśmy sobie bez Mamuśki nie poradzili? – zabrał głos Max.

– To prawda – odparł pan McDaniels, wstając. – Wzniuchwała wieloka w Hiszpanii!

– A w Schwarzwaldzie usłyszała, że zbliżają się ciężarówki – dodał Max.

– No i pogadała z goblinami – dodał McDaniels.

– Nie bujacie? – zdziwiła się Bellagrog i spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

– Nie! Tak właśnie było! – wykrzyknęła Mamuśka, kiwając z entuzjazmem głową. Zaczęła chodzić w tę i z powrotem, nerwowo wykręcając palce. – Szkoda, że mnie nie widziałaś, Bel! Zewsząd nas otaczali, to znaczy wieloki! I gobliny! I przystojni marynarze! I co robiłam, kiedy zaczynali jęczeć? No, dawałam im z główki i niech wiedzą, że ze mną żartów nie ma!

Podczas, gdy podekscytowana Mamuśka krążyła, gestykulując, Sara i Connor przysunęli sobie bliżej krzesła. Connor klepnął Maksa po plecach i zaczął zasypywać jego tatę pytaniami.

– Czy David wyzdrowieje?

– Skąd wzięliście ten samolot?

– Co się dzieje poza Rowan?

– Naprawdę widzieliście Astarotha?

McDanielsowie starali się odpowiadać najlepiej, jak tylko mogli. Sara siedziała zasłuchana z łokciami na kolanach. Connor za to był niecierpliwy. Tak bardzo chciał się wszystkiego dowiedzieć, że co chwila przerywał im, by coś wyjaśnić lub zadać dodatkowe pytanie. W końcu Sara szturchnęła go w żebra.

– E, daj im złapać oddech – powiedziała i wzruszyła przepraszająco ramionami. – Tak się zachowuje od czasu, gdy wystawiono nam stopnie za pierwszy semestr – wyjaśniła. – Wydaje mu się, że jest jedynym człowiekiem, który potrafi rozwiązać każdy problem. Connor, daj spokój, pilnuj lepiej swoich spraw.

– No, to jest chyba nasza wspólna sprawa, co? – odpowiedział Connor z oburzeniem. – Słyszałem na przykład, że szukaliście czegoś, co należało do Eliasa Brama. To prawda?

– No. Ale początkowo chodziło tylko o to, żeby zwać przed wiedźmami. Chyba nie wiecie za dużo, co?

– A widzisz? – Connor spojrzał spode łba na Sarę. – I co, znaleźliście to, co chcieliście?

– Tak – odparł Max. – Chyba.

– I gdzie to jest? – chciał wiedzieć Connor.

– Oddaliśmy pani Richter. Myślę, że teraz uczeni zastanawiają się w Archiwum, co z tym dalej zrobić – wytłumaczył Max.

– Tam, gdzie „to” zanieśli – dodał Connor kwaśno i rzucił Maksowi niechętnie spojrzenie. Irlandczyk był zły

od czasu, gdy Max wspomniał mu o swojej wizycie w tajemniczym Archiwum w towarzystwie komandora Wiljaka.

Bellagrog nadstawiła uszu i odwróciła się od rozentuzjasmowanej Mamuśki.

– Mówicie o tym sekretnym miejscu, gdzie jest dużo książek i siedzą faceci z brodami? – spytała.

Connor się odwrócił.

– Byłaś tam? – zapytał. – Wiesz, gdzie to jest?

– Jasne, że tak – prychnęła wiedźma, skubiąc bandaż na palcach. – Zakradłam się raz za jednym nauczycielem. Mogłam mu dać w łepetynę, nawet by się nie zorientował, a wylądowałby w garnuszku! Uahahahaha! Nie mogłam wejść do środka, ale chociaż zajrzałam!

– Nie mogłaś wejść? Dlaczego? – zapytał ciekawie Connor.

– Bo jakieś wielkoludy zastąpiły mi drogę, kiedy próbowałam się precyzyjnie – odparła. – Myślałam, że to pomniki. Wystraszyły mnie, jak nie wiem, mało nie narobiłam w gacie!

– Bel – syknęła Mamuśka – nie powinnaś się tak szwendać po kampusie. Do Archiwum wstęp jest wzbroniony.

– O, proszę, jakie z ciebie słodkie, grzeczne dziewczę – zaczęła się z nią drażnić Bellagrog. – Bea Shrope nie opuszcza kredensu! Nie wychodź przypadkiem ze swego ukochanego mebelka, moja droga! Bo jeszcze dostaniesz burę! O raju, aż nie mogę uwierzyć, że cię nie złapali i nie

zamknęli za szybą jak Gertie!

– Bellagrog, co ci się stało w rękę? – zapytał Max, by zmienić temat.

Wiedźma spojrzała spode łba i wyciągnęła obandażowane palce, żeby wszyscy zobaczyli.

– Ta cholerna kaczka mnie podziobała! I to jak! Tylko pilnowałam, żeby te jej małe nie zawędrowały za daleko w las, a ona wyleciała na mnie zniecka, nie wiadomo skąd, cała napuszczona i z dziobem na mnie! Głupie ptaszko.

– Aa – odparł Max, a w duchu pogratulował Hannie.

– Tak czy inaczej – przerwała Sara – przyszliśmy tu, żeby was wszystkich zobaczyć i żeby spytać, czy Max będzie z nami dalej chodzić na lekcje.

– Miło z waszej strony – odparł pan McDaniels. – I chyba to jest dobry pomysł. Idź, Max, ja zostanę przy Davidzie.

– W rzeczy samej, kochanieńki – zaskrzeczała mu nad uchem Bellagrog i puściła do niego oko – to ty jesteś potrzebny w kuchni. Dużo mamy gąb to wykarmienia. Co godzinę przybywa nowych, a to jacyś uciekinierzy, a to nie wiadomo kto jeszcze. Bob mnie wysłał, żebym cię spytała, czy byś nam nie pomógł. Śniadania, obiady, a do tego przecież zbliżają się święta!

– Och – odparł pan McDaniels. – No, nie wiem...

– Przecież mały David się nigdzie nie wybiera – rzekła Bellagrog i podeszła bliżej, żeby zajrzeć w spokojną twarz śpiącego chłopca. Grubymi paluchami

podniosła mu powieki i wpatrywała się w jego jasnoniebieskie tęczęwki. – Chyba się nigdzie nie wybierasz, co, kochanieńki? Nie? To dobrze, bądź grzeczny i zostań tutaj. Uahahahaha! – Pogładziła Davida po włosach i parę razy go poniuchała, uszczypnęła lekko w policzek, po czym zniemacka, szybkim krokiem służbistki odeszła w stronę drzwi. – Więc do zobaczenia w kuchni! – krzyknęła przez ramię. – Jeśli się pospieszysz, zdążysz na bułeczki z marmoladą, jak nie – na wymiatanie popiołu!

Mamuśka z uprzejmym, przepraszającym ukłonem w stronę zbitych w kupkę moomenhoven, spieszenie ruszyła za siostrą.

W łazience na trzecim piętrze Max schylił głowę pod mocnym strumieniem gorącej wody. Poprzez jej szum słyszał wesołe podśpiewywanie Jimmy'ego – dziwnego niziutkiego lokaja łazienkowego, który sprzątał na półkach i uzupełniał na nich przybory toaletowe.

Max spojrział w dół na swój nadgarstek, na którym widniał wypalony niczym krwawe piętno znak Czerwonego Bractwa. Obawiał się chwili, kiedy nie zdoła go już dłużej ukrywać – czy to przed ojcem, czy przed Sarą, czy resztą kolegów. Pani Richter jak na razie nic nie powiedziała, tylko posłała mu spojrzenie pełne ponurego zrozumienia. Przed oczami stanęli mu Cooper i señor Lorca. Max namydlił rękę i zaczął szorować nadgarstek. Skrobał i skrobał, coraz szybciej i mocniej, aż delikatna w

tym miejscu skóra zaróżowiła się, lecz znak pozostał.

Kiedy jakiś czas później Max wyszedł ze swojego pokoju, Connor czekał na niego w holu. Max zapiął kurtkę i wytrząsnął resztki wody z włosów. Nanokolczugę i włócznie Cúchulaina ukrył pod łóżkiem, w ręku trzymał teraz tekst o mistykach.

– Gotowy? – zapytał Connor. – Trochę się spóźnimy. Zakradniemy się tak, żeby nikt się na ciebie od razu nie rzucił. Zresztą Cynthia i Lucia już wszystkim mówiły, że mają cię zostawić w spokoju.

– W porządku.

– Wszystko dobrze? Coś jesteś taki... cichy, co?

– W porządku – powtórzył Max. Myślał o swojej mamie, o klątwie wiedźm i kluczu Brama. – Dużo się działo i mam tyle pytań.

Na twarzy Connora pojawiło się nietypowe dla niego zamyślenie.

– Słyszałem, że ludzie zaczynają się pytać o Coopera. Że podobno nie wrócił. Jakoś zawsze się go bałem, ale cieszyłem się, że jest z nami, wiesz?

Max nie odpowiedział, tylko szedł dalej za Connorem.

Na dworze było pogodnie, lecz kolory zdawały się jakby trochę przytłumione z powodu wiszącej nad Rowan ogromnej zasłony z mgły, która mieniła się i drżała w słońcu jak osadzona na ziemi zorza polarna. Spadło troszkę śniegu. Na ścieżkach lśniły czarną ziemią ślady kroków. Samolot już usunięto, zrytą trawę wygładzono,

koleiny wyrównano. Chłopców minęło pędem paru spóźnialskich uczniów, którzy okrążyli Domostwo i przez sad pobiegli w kierunku Kuźni. Na policzkach Maksa topniały płatki śniegu, kiedy chłopiec przystanął i zapatrzył się na grupę nieznanym dzieci i dorosłych, którzy ucinali gałązki ostrokrzewu z przyprószonego śniegiem żywopłotu. Jakaś mała Chinka rzuciła w niego czerwoną rękawiczką, a Stary Tom wybił dziewiątą. Max uśmiechnął się i popędził za Connorem w stronę Maggie – wysokiego budynku z szarego kamienia, z kominem, z którego wydobywały się chmury dymu.

Nauczycielem mistyki na drugim roku był pan Tavares – niski mężczyzna ze szpakowatą brodą i w kwadratowych okularach o grubych szklach. Stał przed trzydziestką uczniów, którzy, zgromadzeni w dolnych rzędach sali wykładowej, przepisywali z zakurzonej tablicy diagram. Salę wypełniał ciężki zapach kadzidła i mokrych butów, a ściany wypełnione były dziwnymi, cichutko szumiącymi energią symbolami. Max zobaczył, że ktoś do niego macha, odwrócony tyłem do wykładowcy. Cynthia, Lucia i Sara, gestykulując, starały się przywołać tego ucznia do porządku.

Pan Tavares zerknął na Maksa, co spowodowało, że wszyscy uczniowie też wykręcili szyje, żeby go zobaczyć. Nauczyciel chrząknął i szybko podjął wykład:

– Jeżeli przerysowaliście już krąg Salomona, to może ktoś mi powie, do czego on służy?

Ręka Rolfa Lugera wystrzeliła w górę.

– Do ochrony przed duchami elementarnymi, większymi chochlikami i mniejszymi demonami. Jest krótkotrwały, działa tylko przez godzinę, lecz wzywający nie musi utrzymywać kontaktu wzrokowego z wezwaną istotą.

– Bardzo dobrze, panie Luger – odpowiedział zadowolony nauczyciel. – A po co ktokolwiek miałby wzywać któregoś z wymienionych duchów?

– Dla nieskończenie wielu powodów – odpowiedziała dziewczynka z czarnymi warkoczami. – Aby wysyłać wiadomości, zdobywać informacje lub związać je z jakimś przedmiotem i w ten sposób wzmocnić jego cechy.

– Wspaniale – odparł nauczyciel. – A minusy?

– Duch może czasem zawładnąć tym, kto go wzywa. Wykorzystanie wezwanego ducha do niecznych celów zwiększa prawdopodobieństwo takiego rezultatu. Pochopnie zawarte umowy również mogą doprowadzić do bardzo złych rzeczy. Słynne przykłady nieopatrzego przyzywania duchów to: Faust, Madame Lurie i Szalony Dej z Oranu.

Max zmarszczył czoło i pomyślał o leżącym w sali szpitalnej Davidzie. Zastanawiał się, czemu koledze nie udało się wezwać Astarotha, za co spotkała go kara. Wydawało się przecież, że David potrafi wszystko. Podniósł rękę. Nauczyciel spojrział na niego zdziwiony.

– Tak, panie McDaniels?

– W jaki sposób wzywa się większego ducha? – zapytał. – Ducha Złowrogię?

– Hmmm – nauczyciel w zamyśleniu zaczął skubać sobie brodę. – A skąd znasz to stare określenie? O ile mi wiadomo, nikt od wielu, wielu lat nie próbował. Nazywano je Duchami Złowrogimi nie bez powodu. Ostatnim, który je przyzywał, ale tylko te słabsze, był, jak sobie przypominam, Elias Bram.

– Dlaczego? – dopytywał się Max, ignorując utkwione w sobie liczne spojrzenia. – To znaczy, jeśli istnieją zaklęcia i właściwe instrukcje, dlaczego nikt nie jest w stanie tego zrobić?

– Ach – odparł pan Tavares – opuścił pan większość zajęć w tym semestrze, panie McDaniels. Może ktoś z uczniów odpowie na to pytanie?

– Zaklęcie służy tylko do nawiązania kontaktu z duchem – wyjaśniła Cynthia cierpliwie. – Ostatecznie jednak to moc przyzywającego zmusza ducha do przyścia. Jeśli się go nie zmusi...

Poderwał się Connor, przerywając dziewczynce.

– Jeśli się go nie zmusi, to albo sam przylezie i popędzi tego niedorajdę, co go wzywa, albo go w ogóle oleje. Większość duchów nie przejmie się jakimiś tam durnymi wezwaniami, bo rzadko je na ten świat przynosi i jeśli by się pokazały, to by się kiepsko dla nich skończyło.

Rozległy się chichoty. Pan Tavares westchnął i tupnął lekko nogą, a szelmowskie oblicze Connora rozpromienił szeroki uśmiech.

– Po ludzku, proszę, panie Lynch.

– Oczywiście – odparł Connor, usiadł i odchrząknął.

– Większość duchów nie pochodzi z tego świata, proszę pana, i nie zechce zadawać sobie trudu odpowiadaniem na nierozważne wezwania. Ich pojawienie się bowiem mogłoby spowodować znaczne zamieszanie i narazić kogoś na cierpienie.

Na sali rozległo się jeszcze więcej chichotów.

– Dziękuję, panie Lynch – odparł niewzruszony pan Tavares i przeszedł do tematu oddalania prawidłowo wezwanego ducha.

Chociaż Max miał jeszcze wiele pytań, zostawił je na później, a tymczasem pożyczył kartkę i długopis od Cynthii i starannie przerysował diagram z tablicy.

Zanim tego dnia skończyły się zajęcia, Max pożyczył jeszcze wiele kartek. Lekcje na drugim roku były bez wątpienia o wiele większym wyzwaniem niż na pierwszym. Przez te kilka tygodni nieobecności chłopiec pozostał daleko w tyle za kolegami ze wszystkich przedmiotów – od geometrii, przez chemię, do cywilizacji starożytnych i poezji. Przez całe popołudnie usiłował skupić się na zajęciach, lecz często wzrok uciekał mu na deski podłogi. Gdzieś głęboko pod nimi znajdował się tajemniczy klucz Brama i poddawany był zapewne bez przerwy dogłębnej analizie całkowicie na nim skupionych przygarbionych i szepczących uczonych. Wyobrażał sobie jego srebrne kształty i skomplikowany system gładko obracających się pierścieni. Ten przedmiot był mistrzowskim dziełem rzemiosła. Zastanawiając się, do jakiego zamka taki klucz mógłby pasować, Max raz po raz

powtarzał sobie w myślach zagadkę Brama.

Connor, pogwizdując cicho, szedł obok niego. Właśnie zapalały się lampy gazowe, by oświetlić niknącą w gęstniejącym mroku krętą, oblodzoną ścieżkę. Śnieg padał powoli, lecz nieprzerwanie. Jego płatki przypominały małe, spadające z niebios gwiazdki.

– Niedługo święta – odezwał się nagle Connor.

– Co? – zapytał Max, oderwany od swych myśli.

– Święta – powtórzył Connor i kopnął podstawę latarni, z której zsunęła się warstwa śniegu. – Cieszę się. Cieszę się na napój korzenny, kolędy i mrugające lampki. Wiem, że to głupie, ale tak mam.

– Ee – powoli odpowiedział Max – to nie jest głupie. Co chciałbyś dostać na gwiazdkę?

– Całusa od Lucii – zażartował Connor. – Bez pomocy tej głupiej żaby!

Max roześmiał się i nagle poczuł, że cała beznadzieja, rozpacz, troski i smutek ulotniły się z jego serca. Wziął głęboki oddech, aż na chwilę zatkało go zimne powietrze. Odchylił do tyłu głowę i zapatrzył się na ciemniejące niebo z bladymi jeszcze gwiazdami. Poczuł gwałtowną potrzebę, by unieść się i znaleźć między nimi.

– A ty, Max? Co chciałbyś dostać od starego, dobrego Mikołaja?

Max pomyślał na moment o mamie, o Cooperze i białej twarzy Astarotha oszpeconej złośliwym uśmiechem. Pomyślał o srebrnej sferze w Archiwum i o ukrytej Księdze Thotha.

– Odpowiedzi – odparł.

– Wiesz, że mogę ci w tym pomóc – rzucił Connor ściszone głosem, bo mijali właśnie na schodkach Domostwa grupkę nauczycieli. Nad ogromnymi, głęboko rzeźbionymi drzwiami zawieszono srebrne dzwoneczki, które dzwoniły, gdy się je otwierało. Max pociągnął za klamkę i obaj chłopcy zanurzyli się w ciepłym powietrzu holu, gdzie królowało światło, hałas i obietnica pysznego obiadu.

Tego samego dnia wieczorem, gdy Max przeglądał swoje notatki z zajęć z panem Tavaresem, spostrzegł dziwną zmianę w sposobie tykania zegara Davida. Zauważył, że odstępy pomiędzy kolejnymi tik-takami trwają jakby o ułamek sekundy dłużej. Spojrzał na komodę kolegi – jej szuflady były wciąż na wpół otwarte tak, jak zostawił je David tamtej nocy, kiedy pakowali się gorączkowo na muszce Rasmussena. Przypomniało mu to ostro i dotkliwie o nieobecności przyjaciela, więc wstał, by jedną po drugiej pozamykać szuflady, wycierając przedtem kurz z ich brzegów. Odwróciwszy się z powrotem do stołu, napotkał spojrzenie bladożółtych oczu pana Sikesa.

– Dobry wieczór, paniczu McDaniels – odezwał się chochlik i nisko się pokłonił.

– Skąd się tu wzięłeś?! – wybuchnął Max, zwięzając oczy.

– Wzywałeś mnie przecież – odpowiedział duch,

polerując jednocześnie swój mały złoty zegarek kieszonkowy.

– Nie, nie wzywałem – odparł Max.

– Z żalem, ale muszę wyrazić odmienne zdanie – obstawał przy swoim chochlik. – Myślałeś o biednym paniczu Menlo, o waszych przygodach w Warsztacie i o tym, czy agentowi Cooperowi znany jest los twojej matki. Z wieloma troskami musi się zмагаć twoja młoda dusza. To naturalne, że potrzebny ci towarzysz, który wysłucha twych zmartwień i... oto jestem.

– Jest mnóstwo ludzi, którym mógłbym się zwierzyć, gdybym chciał – rzucił obronnym tonem Max.

– O, to wielkie szczęście – odpowiedział pan Sikes. – Ale z pewnością nie masz na myśli swego biednego ojca. Nie mogę sobie wyobrazić, abyś chciał go poinformować, że agent Cooper, człowiek, którego on obdarzył bezgranicznym zaufaniem, ukrywa być może przed nim informacje o losie jego zaginionej miłości.

– Nie – rzekł chmurnie Max. – Przenigdy bym...

– I z pewnością nie myślisz też o moim wielmożnym paniczu Lynchu – przerwał mu pan Sikes, przewidując następną osobę, którą mógłby wymienić Max. – Mój panicz ma wiele wspaniałych zalet, lecz chyba zgodzimy się obaj, że dyskrecja jest... hm, jakby to ująć... cechą, nad którą powinien jeszcze popracować.

Max westchnął i kiwnął głową. Pan Sikes przechadzał się po blacie stołu, poklepywał się po szyi i proponował kolejnych kandydatów, a następnie

błyskawicznie podważał ich kandydatury.

– Pani Richter! – wykrzyknął Max z triumfem.

Chochlik uprzejmie skinął głową, lecz Max wyczuwał jego krytycyzm. Poczzerwieniał.

– Doprawdy, pomysł trafiony – zaczął chochlik nieprzekonywającym głosem – lecz miałbym kilka zastrzeżeń. Jednym z nich jest fakt, że pani dyrektor ma i bez tego wiele trosk na głowie i jej cierpliwość mogłaby zostać wystawiona na poważną próbę, gdybyś poprosił ją, żeby odsunęła wszystkie zmartwienia tego świata na bok i zajęła się potrzebami jednego trzynastolatka. Musimy też, paniczu Max, stawić czoła jednej mało przyjemnej prawdzie. Pani Richter nigdy dotąd ci nie zawierzyła...

– Nieprawda! W zeszłym roku przecież pokazała mi tajne mapy i tak dalej...

– Pokazała tobie? – wycedził pan Sikes. – Czy Davidowi Menlo?

Max zamilkł i zastanowił się nad słowami chochlika. To prawda, pani Richer często zasięgała rady i opinii Davida, a Max odgrywał wtedy rolę milczącego świadka. Pan Sikes musiał zauważyć jego rosnącą frustrację, bo szybko przeszedł do następnej kwestii.

– Nieważne – rzekł. – A prócz tego, jeśli zgodzimy się, że agent Cooper ukrywa informacje o twojej matce, to z tego wynika, że dyrektorka również jest wtajemniczona. – Głos chochlika stał się miękki i współczujący, bowiem na twarzy Maksa rysował się wyraźny ból. – Nie pokładaj aż takiej wiary w dorosłych, Max. Żaden dorosły tak

naprawdę nie słucha dziecka. To nie leży w ich naturze.

Max usiadł przy stole i zaczął bębnić palcami w blat.

– Jeśli nikt nigdy nie słucha dziecka, to dlaczego ty miałbyś słuchać mnie? – wybuchnął gwałtownie.

– Ach, powiedziałem, że żaden dorosły, dorosły człowiek nie potrafi wysłuchać dziecka. Ja jednak nie jestem człowiekiem. Jestem chochlikiem. Słuchanie leży w mojej naturze, młody paniczku. To moja rola: słuchać i służyć.

– Ty nic nie możesz dla mnie zrobić – mruknął Max.

– Doprawdy? – zapytał pan Sikes i oczy mu zapłonęły. – A co byś zrobił, gdybym ci powiedział, że dzisiejszego wieczoru mogę ocalić ci życie?

– Myślisz, że dziś wieczór zginę? – zapytał Max, prostując się na krześle.

– Nie jestem pewien – odpowiedział chochlik, kiwając z powagą głową. – Chyba, że mnie posłuchasz...

– Mów – rzekł Max, niewzruszony pewnością siebie bijącą z małej, zadbanej figurki.

– Zamierzasz sprawdzić, w czym leżał błąd Davida, i wezwać Astarotha – ciągnął chochlik. – Choć będziesz wzywał w sposób niedoskonały, Demon pojawi się z własnej woli. A kiedy się pojawi, zabije cię, Maksie McDaniels. Zarznie cię na miejscu i przeczesze całą tę szkołę. Nie sądzisz, że on czeka właśnie na taką szansę?

– Ale skąd ty to możesz wiedzieć? – zapytał cicho chłopiec.

– Max – westchnął pan Sikes – przecież sytuacja jest

jasna. Młody człowiek z trudnymi pytaniami, pospieszne notatki dotyczące przyzywania duchów i kusząca obietnica Ducha Złowrogię, który zna wiele tajemnic i ma obowiązek mówić prawdę. Czyżby mój instynkt mnie zawodził?

– Nie – odparł ciężko Max, ze wstydem patrząc na swoje nagryzmolone naprędcę notatki.

– Nie wstydz się – odpowiedział pan Sikes i uśmiechnął się ze zrozumieniem. – To był szlachetny impuls, choć nierozważny. Jeśli pozwolisz, chciałbym cię odwieść od tego zamiaru, a w zamian za to skierować całą naszą energię na to, by pan Menlo jak najszybciej wyzdrowiał.

Po tych słowach pan Sikes postawił przed Maksem kubek kakao. Chłopiec pił je powoli, a chochlik przysunął się do niego i mówił o księżycach, runach i mandragorze lekarskiej.

Max spędził przy łóżku Davida kilka tygodni i stosował działające powoli zaklęcie uzdrawiające, które sporządził wraz z panem Sikesem. Przez większość czasu trzymał się z dala od reszty uczniów, sporadycznie tylko bywał na zajęciach i skupiał uwagę prawie wyłącznie na wąskiej, jedwabnej wstążce. Stojąc w świetle księżyca na szczycie wieży Starego Toma, wypisywał na niej atramentem jeden po drugim znaki runiczne. Atrament był trującą mieszanką kilku wstrętnych składników przygotowaną własnoręcznie przez Maksa pod czujnym

okiem pana Sikesa. Co rano Max obwiązywał wstążką chorą rękę Davida i co wieczór ją zdejmował, by nocą znowu przydać jej mocy wysoko nad kampusem. Moomenhoveny nie zwracały większej uwagi na wizyty Maksa. Skupione były całkowicie na stanie Davida, który, mimo ich usilnych starań, nie poprawił się.

Pewnego wieczora, gdy po uroczystej świątecznej kolacji Max poszedł do przyjaciela, by zdjąć wstążkę, zastał przy jego łóżku Boba. Zwyczajem owego zreformowanego rosyjskiego ogra stało się odwiedzanie nieprzytomnego chłopca i czytanie mu, przy czym jego basowy głos rozchodził się po całym oddziale powoli, jak kojące wołanie dalekiego rogu. Max nie chciał przerywać wielkoludowi i usiadł w stojącym obok starym fotelu, gdy tymczasem ogr w bursztynowym świetle lampy wpatrywał się przez monokl w tekst. Próbował odczytać jakieś nieznane słowo i z gardła wydobywały mu się odgłosy zniecierpliwienia.

– Co tu jest napisane? – zapytał w końcu Maksa, marszcząc czoło i podając książkę chłopcu.

– Więclaw – ziewnął Max, zerknąwszy do starej księgi z kolędami.

– Aha – mruknął Bob i zaczął szukać miejsca, w którym przerwał czytanie.

Nagle dał się słyszeć cichy szelest pościeli i David podniósł się, z ciekawością spoglądając na podłączoną do swego przedramienia kroplówkę i zawiązaną na opatrunku wstążkę.

– Tost cynamonowy – wypalił nagle. – Jak myślicie, mógłbym zjeść parę tostów?

– David – wyjąkał Max, prostując się na fotelu.

Bob upuścił książkę. Jego bezzębne usta otworzyły się. Nachylił się nad Davidem i poklepał chłopca po uśmiechniętym policzku swoją twardą, chropowatą dłonią.

– Tostów? Bob zaraz zrobi ci tyle tostów cynamonowych, że nie dasz rady ich wszystkich zjeść!

Po czym zerwał się na równe nogi i popędził do moomenhoveny, która drzemała nad kłębkim włóczki i talerzem świątecznych łakoci. Pulchna istota otworzyła jedno oko i spojrzała na długi, kościsty palec Boba, a potem powoli przeniosła wzrok na kierunek, który ten palec wskazywał. David wiercił nogami i przyglądał się swojej szpitalnej piżamie. Moomenhovena zerwała się z fotela, chwyciła jakiś przedmiot i podbiegła do chłopca.

– To chyba nie termometr – powiedział łagodnie David, wskazując na srebrzystą rurkę.

Moomenhovena pokryła się rumieńcem i pospieszyła z powrotem w poszukiwaniu termometru.

– Jak się czujesz? – zapytał Max.

David zerknął tam, gdzie niegdyś znajdowała się jego prawa dłoń.

– Dobrze – odpowiedział po chwili. – Musiałem dojść do siebie. To zakłęcie omal mnie nie wykończyło. – Uśmiechnął się i zaczął gmerać przy opatrunku. Zwój po zwoju nawijał go sobie na palec, aż materiał razem ze

wstążką Maksa zsunął się, odsłaniając gładki, błyszczący kikut.

– Nie ma na co patrzeć – mruknął i wziął z rąk stropionej moomenhoveny właściwy termometr. Podziękował jej i zapewnił, że zaraz zacznie mierzyć temperaturę.

– Boli cię to? – zapytał Max.

– Nie – odparł David. – Ale ciągle wydaje mi się, że mam tam. dłoń... Czuję, jak mnie palce swędzą – westchnął i zamknął kikut w drugiej dłoni. – Co się tu w tym czasie działo?

– Dużo – odparł Max. – Coopera nie ma. Został, żeby utorować nam drogę. Nie wiem, co się z nim stało, ale za dobrze to nie wyglądało. Próbowałem znaleźć w sadzie jego jabłko, lecz go nie ma. Ktoś z szóstego roku mi powiedział, że kiedy zostajesz przydzielony do operacji Ciemna Materia, to usuwają twoje jabłko, żeby nikt nie wiedział, czy żyjesz, czy nie. – Max zmarszczył czoło i pomyślał, które z wielu jabłek w sadzie należało do jego matki. – Jest tu Rasmussen – kontynuował. – Ma pokój w południowym skrzydle, koło mojego taty. Czasem go widać, jak stoi w oknie, albo słyszeć, jak domaga się jedzenia. Szkoda, że nie ma Coopera, to by się od razu zamknął...

David objął rękami kolana i przerwał koledze.

– Klucz Brama, Księga Początku. Tylko to się liczy.

Max spojrzał na niego wilkiem.

– Cooper...

– Robił to, co do niego należało – przerwał David. – Nikt nie był bardziej skupiony na naszym celu niż Cooper. Chciałby, żebyśmy dokończyli robotę. Gdzie jest teraz klucz?

– W Archiwum – odpowiedział Max z ciężkim sercem. – Wczoraj wieczorem rozmawiałem z panną Boon. Wciąż nie wiedzą, do czego służy.

David skinął głową.

– A wiemy?

– Wiemy nic. Nikt się tu nie pokazuje prócz uciekinierów i agentów, którzy zwiali z oddziałów terenowych – odparł Max grobowym głosem. – Richter angażuje wszystkie nasze siły w to, żeby ratować ludzi, sprowadzać ich tutaj. Wiljak jest wściekły, mówi, że to ona jest odpowiedzialna za upadek połowy z naszych biur terenowych. Chce, żeby uchwalić wobec niej wotum nieufności. Sam chce zostać dyrektorem.

– Co to, to nie. Po trupie Boba – warknął ogr, który nagle objawił się nad chłopcami. Przyniósł srebrną tacę, a na niej stos świeżutkich, pachnących tostów cynamonowych z masłem. Postawił ją Davidowi na kolanach, po czym zajął miejsce obok. David ugryzł tost i zaczął mówić z pełnymi ustami.

– Mówiłeś komuś...

– Jeszcze nie. – Ogr mrugnął do niego. – Bo potrzebujesz odpoczynku, a nie gości.

– Bob, proszę, nikomu nie mów do jutra, że się obudziłem – poprosił David.

Ogr zmarszczył brew.

– Coś knujesz? – zapytał ostrożnie.

– Nie – odparł David. – Chcę mieć po prostu trochę czasu, zanim wszyscy zaczną mnie zamęczać.

Pierwsza rzecz, jaką zrobią, to poślą mnie tam, na dół, do uczonych, żebym pomógł przy tej sferze.

– Ale... myślałem, że to jest sprawa pierwszej wagi – rzekł Max.

– W istocie – odpowiedział David i rzucił mu ostre spojrzenie. – Ale odpowiedź, której szukamy, nie znajduje się w Archiwum...

Ogr potrząsnął głową i wstał z fotela.

– Im mniej Bob wie, tym lepiej. Powiem pani dyrektor jutro przy śniadaniu.

David podziękował ogrowi i patrzył, jak wielkolud, odchodząc, schyla się, by zmieścić się w otwór drzwi, i jak ich rozhuśtane skrzydła się za nim zamykają. Następnie chłopiec znów spojrzał na Maksa i niecierpliwym szeptem spytał:

– Masz mój plecak?

– Mhm – odparł Max ostrożnie. – W naszym pokoju.

– Dobrze. Spakuj tam nasze ubrania. Dużo ubrań, na długo. Weź swoją włócznię i koszulę od señora Lorki. Spotkamy się na głównej ścieżce między sadem i Kuźnią. Zgoda?

– Jasne – rzekł Max i w jednej chwili zmęczenie i przygnębienie go opuściły. Poczł nagłą potrzebę, by skonsultować to z panem Sikesem. – Dokąd się

wybieramy?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział David. – Ale niedługo się dowiem. Do zobaczenia na ścieżce!

David wsunął termometr pod język, a Max wybiegł z pokoju szpitalnego.

Kiedy wykradł się z Domostwa i jak cień przemykał posypanymi solą ścieżkami, ściskając kurczowo zaczarowany plecak Davida i starając się nie wchodzić w plamy ciepłego światła lamp gazowych, była już prawie jedenasta. Kampus skąpany był w świetle księżyca – pasy jasnego śniegu i skrzącego się lodu, obramowane falbaną ciemnych, pachnących sosen. Gdzieś daleko słychać było wesołe, jasne tony skrzypiec Nolana. Max zszedł ze ścieżki pod osłonę sadu i cicho wędrował między drzewami poszczególnych roczników, by wreszcie zniknąć pod delikatnym, pełnym szeptów okapem gałęzi, wyznaczającym granicę między sadem a lasem. Max zauważył, że zza jednego z drzew wydostaje się biały obłoczek oddechu. David już czekał.

Drobny, blady chłopiec, wciąż jeszcze w szpitalnej piżamie i z narzuconą na ramiona kołdrą, krzyknął z przestachu, gdy Max podkradł się z drugiej strony drzewa i klepnął go znienacka w ramię, po czym uśmiechnął się i spytał, czy Max przyniósł wszystko, czego będą potrzebować.

– Chyba tak – wyszeptał Max i pokazał plecak. – Wrzuciłem tu wszystkie twoje rzeczy, które były w

pokoju.

– Dobrze – odparł David i zerknął na ścieżkę. – A teraz pomóż mi czegoś szukać. Jestem pewien, że to gdzieś tutaj.

– Ale co?

– Moneta, którą tu zakopałem w zeszłym roku.

– Pamiętam – powiedział Max i pomyślał o pierwszym dniu w Rowan i o tym, że zobaczył wtedy, jak mały kolega nie wiadomo czemu zagrzebuje w ziemi monetę w pobliżu miejsca, gdzie od głównej ścieżki odchodziła boczna. Spojrzał uważnie pod nogi tam, gdzie David zrył już butem śnieg i dogrzebał się do twardej, zamarznętej gleby. – A nie zakopałeś jej przy bocznej ścieżce? – zapytał, zauważywszy zarośniętą zielskiem dróżkę parę metrów dalej.

– Tak – odparł David – ale ścieżki przecież zmieniają miejsca. Dlatego zakopałem monetę. W tych lasach jest Stara Magia. Czujesz ją?

Max potrząsnął głową i przebiegł palcami po korze starej brzozy. Nic nie czuł, ale wiedział, że lasy te miały w sobie coś szczególnego, dziwnego. Sam widział tu kiedyś tajemnicze światła i słyszał odległe śmiechy. Od tego czasu wolał nie zbaczać z wydeptanych ścieżek.

– No, pomóż mi szukać – sapnął David. – Wiem, że to było gdzieś tutaj.

Max przykucnął obok kolegi i zarył rękami w lodowatym śniegu, szerokim łukiem zagarniając zmrożoną skorupę, pod nią liście, a pod liśćmi ziemię.

Szukali tak przez dobre dziesięć minut, aż zupełnie zgrabiały im palce.

– Nie możesz rzucić jakiegoś zaklęcia czy coś? – mruknął zniecierpliwiony Max.

– Jeszcze nie – kaszlnął David. – Muszę oszczędzać siły.

– Na co? – chciał wiedzieć Max. – Nawet mi nie powiedziałaś, co zamierzamy.

– Wiem, specjalnie! – wyszczerzył zęby David. – Gdybym ci to zdradził, nie poszedłbyś ze mną... Aha, jest.

I wyciągnął w stronę kolegi dłoń z brudną monetą. Wyczyścił ją starannie palcami i ustawił w świetle księżyca tak, by odczytać wyrytą na niej datę, po czym, zadowolony, opatulił się szczelniej kołdrą i zanurkował między drzewa dokładnie w tym miejscu, gdzie znalazł monetę. Max pospieszył za nim.

Las ich pochłonał. Powietrze stało się chłodniejsze. David milczał, a Max przeciskał się za nim między drzewami, odsuwając na bok gałęzie. Wydawało się, że zaszli już dość daleko. Max nie miał pojęcia, że lasy rozciągają się na aż tak dużym terenie. Wydawało mu się, że do tej pory powinni już dawno dotrzeć do głównej drogi do miasteczka. Jednak z odległościami w Rowan bywało różnie.

Kiedy tak szli, Max wyczuł w lesie jakąś zmianę. Robiło się coraz cieplej. Drzewa, oblane malowniczo światłem księżyca, rozpiwały nad nimi dach z gęstwiny poplątanych gałęzi. Nagle powietrze wypełniło się

nieoczekiwanym zapachem róż. Max zatrzymał się, zobaczywszy przed sobą szeroką polanę otoczoną letnimi kwiatami. Strząsnął śnieg z butów. Nie mógł oderwać wzroku od gęstej, zielonej trawy i robaczków świętojańskich latających leniwie w blasku księżyca. Na polanie ułożone w krąg leżały pradawne głazy, szare i spękane. Piętrzyły się wysoko nad Davidem, kiedy chłopiec podszedł do nich ostrożnie, z kołdrą opadającą z ramion i ciągnącą się po trawie niczym królewski płaszcz.

– Co to za miejsce? – zapytał ledwo słyszalnym szeptem Max.

– Która godzina? – szepnął David, ignorując pytanie kolegi. Zajęty był odliczaniem kroków w poprzek kamiennego kręgu. Max zerknął na zegarek.

– Dochodzi północ.

– Musimy się spieszyć – rzekł David. Kołdra ześlizgnęła mu się z ramion.

Max stwierdził teraz, że David chodzi po niewielkim kręgu z kamieni. Miał on około trzech metrów średnicy, znajdował się w obrębie stojących głazów, a otaczały go wysokie trawy i muchomory. David zmiotł z powierzchni kamieni źdźbła trawy i grudki ziemi, po czym wyszedł z kręgu i wycelował weń palec wskazujący.

Przez kamienie przebiegł zielony płomień, cienki jak wiązka lasera, i powoli wyznaczył wokół nich precyzyjny okrąg. Następnie pomiędzy kamieniami i na wskroś nich zaczęły powolny taniec zielonozłote grzywy układające się w magiczne runy o mocy odpędzającej złe duchy. Max

w milczeniu patrzył, jak powstaje krąg wzywającego. Działo się to powoli i pięknie. Na ciemnym tle połyskiwały zielone i złote delikatne kształty. To nie był krąg Salomona, stwierdził od razu Max. Ten miał służyć do innych celów.

– Wejdź do środka – polecił David.

Obaj przekroczyli świecący obręb zaklętego kręgu. Noc była przerażająco nieruchoma. Nawet drzewa wydawały się wstrzymywać oddech, zasłuchane. Wtem coś błysnęło w ciemności i Max dopiero teraz zauważył, że David ma na palcu srebrną obrączkę.

– David – Max w jednej chwili uzmysłowił sobie zamiary kolegi. – Jest za wcześnie. On cię znowu skrzywdzi.

– Nie tutaj – szepnął David i gorączkowo zacisnął żelazny uchwyt na nadgarstku Maksa. – Tym razem musi przyjść. Odchrząknął, przymknął oczy i zawołał w ciemność:

– Czcigodny Astarocie, udziel temu, kto cię wzywa, łaski i mądrości spod gór, spoza gwiazd i z największych głębin morza!

Max usłyszał, jak w oddali dzwon Starego Toma wybija północ. Powiał ciepły wiaterek. Gałęzie zacisnęły się w pięści, wiaterek przerodził się w jęczący wicher. Max z trudnością przełknął ślinę, a palce Davida jeszcze mocniej wczepiły się w jego nadgarstek. Serce Maksa zaczęło dudnić. W panice odwrócił głowę i dostrzegł między gałęziami jakiś ruch.

– Connor? – wychrypiał na widok zdumionej twarzy kolegi wychylającej się zza drzewa.

– Co robicie? – zawołał Irlandczyk z całkowitym niezrozumieniem wymalowanym na twarzy.

W krzaskach zaszeleściło i wynurzyły się z nich Cynthia, Sara i Lucia.

– Co wy robicie? – syknął Max.

– Śledziliśmy cię – odparł Connor z dumą. – Wiedziałem, że się na coś zanosi. Bez powodu byś tak nie przekopywał swojego pokoju.

– Wynoście się stąd szybko. Wszyscy! – błagał Max, spoglądając na zastygłą w transie twarz Davida. – Za chwilę zdarzy się coś strasznego!

Max odwrócił się, by spojrzeć na las z tyłu. Stary Tom wybił właśnie ostatnie, dwunaste uderzenie i zamilkł. Zapadła cisza. W powietrzu zapanował bezruch. Na polanę napływał powoli wstrętny zapach trucizny. Odór ten był chorobliwie słodki. Przywodził na myśl mieszaninę zapachu padliny, siarki i słodkich perfum. Przerażony Max potrząsnął Davidem, aż ten gwałtownie otworzył oczy. Rozkojarzony mrugał, aż wreszcie dojrzał kolegów między drzewami.

– Wejdźcie do kręgu – rzekł miękko.

W lesie nieopodal trzasnęła gałązka. Max dojrzał zbliżający się ku nim mrugający w gęstwinie drzew ogienek.

– Wejdźcie do kręgu!!! – wrzasnął David.

Sara odepchnęła Connora i ruszyła w stronę

magicznych płomieni. Jej zdecydowana reakcja sprawiła, że inni też się poderwali. Wybiegli zza drzew i z szeroko otwartymi ze strachu oczami popędzili w stronę ochronnego pierścienia.

Po przeciwnej stronie polany coś wypadło z lasu. Serce Maksa zamarło z przerażenia na widok zamaskowanego peliqueiro, identycznego, jakich setki biegały po Salamance. Ubrany był w purpurowy strój, a oczy w kształcie wąskich półksiężyców błyszczały mu z rozbawienia, kiedy w pogoni mknął przez polanę.

Przez płomienny próg magicznego pierścienia pierwsza przeskoczyła Sara, która z całym impetem wpadła na Maksa i Davida. Zaraz za nią rzucił się Connor, potem Lucia. Cynthia była tuż za nimi. Zamaskowana postać pędziła po polanie niesłychanie zwinnie i szybko, nie po ludzku. Cynthia krzyknęła i dała susa. W ostatniej chwili obleczona w rękawicę dłoń złapała ją za włosy i wyrwała kilka rudych pasem. Dziewczynka ciężko pacnęła na ziemię u stóp Davida i Maksa. Ochronny krąg buchnął jaśniejszym płomieniem i oświetlił całą polanę złotym światłem. Sześcioro dzieci, trzęsąc się ze strachu, skuliło się obok siebie i odwróciło, by stanąć twarzą w twarz z Astarothem.

Demon milczał. Stał poza obwodem kamiennego kręgu i przypatrywał im się lodowato czarnymi oczami maski. Po chwili zaczął nawijać sobie włosy Cynthii na palec i ruszył powoli wokół pierścienia, badawczo mu się przyglądając. Kiedy się zbliżał, runy i symbole wrzały i

syczały.

– *Bene* [(wł.) – Dobrze.] – rzekł w końcu i przytakująco kiwnął głową. Okręcił się na pięcie, by przyjrzeć się wysokim głazom. – Trochę w tym oszustwa, ale chyba się udało. Oto jestem. Czy wiesz, Davidzie, skąd pochodzą te głazy?

– Nie – cicho odparł David.

– Z Orkanów – wyjaśnił Astaroth, drżąc i migocząc w świetle księżyca, po czym uderzył w megalit pięścią. – Stare głazy. Mówią starymi głosami. Lecz moją uwagę przykuł głos bardzo młody... – Astaroth zdjął maskę peliqueiro i zwrócił do dzieci swoją białą złośliwą twarz. Spojrzał na rękę Davida. – Czegóż to młodzieniec ode mnie żąda? – zapytał słodkim głosem. – Wyznam, że jestem nieco zdziwiony, Davidzie. Nie spodziewałem się po naszej ostatniej rozmowie, że jeszcze się do mnie odezwiesz. Czy wzywasz mnie, żeby się poprawić po tym, jak wymordowałeś tylu moich sług?

– Nie – odpowiedział David, drżąc.

– To szkoda – odrzekł Demon i znowu ruszył na powolną przechadzkę wokół kręgu płomieni. Buchający od jego postaci smród był obezwładniający. Lucia zatkała sobie usta i nos rękawem. Astaroth uśmiechnął się. – Kiepski z ciebie gospodarz, Davidzie. Powinieneś przynieść srebrne obrączki dla wszystkich. Max jeszcze jakoś to zniesie, jak sędzę, lecz inni nie zostali stworzeni do spraw tak poważnych.

– Nie miało ich tu być – odparł David, z niepokojem

zerkając na kolegów.

– Ale są – odparował Astaroth. – I widziałem ich. Znam ich twarze. Znam ich imiona. I mam nawet w ręku fant tej młodej damy, prawda? Mogę narobić szkody, oj mogę.

Cynthia wstrzymała oddech. Demon odwinął sobie z palca jeden z jej włosów i naciągnął go jak strunę. Dziewczynka osunęła się na ziemię i skrzyła z bólu.

– Przestań – wysyczał David przez zęby.

– Sama mnie musi poprosić – nalegał Demon, jeszcze bardziej naprężając włos.

– Proszę, przestań – jęknęła Cynthia, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

– Oczywiście – rzekł Astaroth i wypuścił włosy z ręki. – Och, nie gniewaj się na mnie – powiedział, gdy Cynthia gramoliła się z powrotem na nogi. – To twój przyjaciel powinien odczuć siłę twego gniewu. Naraził cię na niebezpieczeństwo, Cynthia. Masz szczęście, że robi na mnie takie wrażenie wasza naiwna ciekawość...

– Obiecuj, że już jej nie skrzywdzisz – zażądał David i wcelował w uśmiechniętą białą twarz palec. – Obiecuj, albo zrobię ci krzywdę.

– Ojoj – odparł Demon z zimnym błyskiem w oku. – Czyżby moja lekcja nauczyła cię, jak być okrutnym? Miałem co prawda nadzieję, że ten niewielki incydent w Warsztacie ostudzi trochę twój zapał, ale widzę, że się myliłem. Jesteś okrutną, bezlitosną sztuką, Davidzie Menlo! Dobrze, dobrze... Wezwałeś mnie, a to zmusza

mnie do spełnienia trzech twoich życzeń. Czy obietnica, bym nie krzywdził więcej panny Gilley, ma być jednym z nich?

David się zawahał. Mijały długie sekundy. Astaroth, znudzony, przechadzał się wokół kręgu. Płomienie sypały iskrami i pulsowały. Max niepewnie spojrzął na pierścień.

– Jak długo wytrzyma? – szepnął do Davida.

– Godzinę – odparł chłopiec.

– Nie zapominaj, co było napisane w Kodeksie – syknął Max. – Astaroth będzie próbował nas omamić, rozkojarzyć. On już to robi, David!

David mrugnął i zerknął na Maksa. Demon uśmiechał się cierpliwie. W rękę trzymał delikatne czarne berło w kształcie żmii.

– Dalej, Davidzie! – powiedział karcącym głosem. – Wiesz, że nie mam czasu. Wasz kraj ma właśnie wciągnąć moją flagę na maszty i nie chcę się spóźnić na ceremonię. Czy pannie Gilley ma być oszczędzona moja uwaga?

– Tak – wypalił David. – Obiecuj, że nigdy nie skrzywdzisz Cynthii i nie pozwolisz, by skrzywdziła ją inna siła pozostająca pod twoim wpływem. Zgoda?

– Zgoda – odparł Astaroth i ziewnął.

– W jaki sposób należy użyć klucza Brama, by odnaleźć Księgę Początku? – padło drugie pytanie Davida.

– Ach – odparł Demon, znowu ruszając spacerem wokół kręgu kamieni. – Wreszcie doszliśmy do sedna, czyż nie?

I Demon zanucił sobie pod nosem zagadkę Brama melodyjnym, rozbawionym głosem. – Wielce szanowny Elias Bram wielkim poetą nie był, lecz cel udało mu się osiągnąć. Czy wiesz, czym są szczyrbiny klucza?

– Tak – odparł David. – Chyba tak.

– Więc? – dopytywał Demon z gestem przynaglenia.

– To współrzędne – odparł David. – Współrzędne przestrzeni i czasu.

– Brawo – zawołał Astaroth i złożył przed chłopcem niski pokłon. – Trzy szczyrbiny jako współrzędne miejsca i jedna czasu. Tam znajdziecie księgę! Czy chociaż wiecie, czego naprawdę szukacie?

– Przestań mnie zagadywać! – uciął David. – Pytanie brzmiało: jak skorzystać z klucza?

– To proste – odparł Demon. – Klucz steruje koniem Brama, głupcze.

– Ale Yaya jest za stara – myślał na głos Max, zastanawiając się, w jaki sposób sfera armilarna mogłaby pokierować matroną Rowan.

– Przecież nie chodzi o ki-rin – znużonym głosem odparł Astaroth. – Max, ty się lepiej nie odzywaj. Znasz przecież to powiedzenie: lepiej trzymać buzię na kłódkę, żeby inni myśleli, że jesteś głupi, niż ją otwierać, by to udowodnić. Prawda?

Policzki Maksa poczerwieniały. Na moment zapomniał o strachu i rzucił Demonowi wściekłe spojrzenie.

– Oszczędź sobie gniewu. – Astaroth lekceważąco

machnął ręką. – Żadna złamana włócznia nie wyrządzi mi krzywdy, nawet ta w twoim ręku.

– Okręt! – wykrzyknął nagle David. – „Pustułka”! Zbudował ją Bram, czyż nie? To ona jest koniem z zagadki!

Astaroth zaklaskał. Dźwięk tego klaśnięcia był zimny i pusty. Światło ognia błędziło po gładkich rysach Demona.

– Umieścisz, Davidzie Menlo, klucz na jej zaklętej figurze dziobowej. Będzie cię prowadzić jak drogowskaz. Uwważaj jednak, młody Czarnoksiężniku. Miejsce, w które cię zawiedzie, nie jest dla małych chłopców. Być może wybierzesz jednak moje towarzystwo.

– Milcz – rozkazał David.

– Czy to twoje trzecie żądanie? – jadowitym tonem spytał Astaroth i pokazał trzy palce.

Maksa ogarnęła panika. Nie mógł pozwolić, by przepadła taka szansa. Pytanie dzwoniło mu po prostu w uszach.

– Co się stało z moją mamą?

David odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. Na ułamek sekundy jego drobna twarz wykrzywiła się w złości.

Astaroth się zaśmiał.

– Czyż nie jesteś stały niczym gwiazda polarna? – syknął. – Prawie udało ci się mnie wzruszyć. Mały chłopiec, który usycha z tęsknoty za mamusią, bo go zostawiła, tak? I ciekawe, gdzie ona teraz jest? Schwytana

w sidła proroka, obawiam się. I pomyśleć, że to ten sam człowiek, który nasłał na ciebie wiedźmy. Peter Varga mu na imię, choć podejrzewam, że chętnie nazwałbyś go teraz inaczej, o wiele mniej przyjaźnie.

– Co ma z tym wszystkim wspólnego Peter? – krzyknął Max. – Gdzie ona jest?

– Jest daleko – odparł Demon, a jego głos, w miarę, gdy Astaroth zbliżał się do magicznego kręgu, zmieniał się w jedwabisty szept. – Daleko, daleko, Maksie McDaniels. Nim zaczniesz jej szukać, musisz odnaleźć Księgę Thotha. Jeśli zaś chodzi o Petera, to widzi przyszłość tylko jednym okiem, czyż nie? Lichy z niego prorok, obawiam się. Kasandra by się powstydziała. Max, twoja matka na próżno szukała krainy Sidh i omal nie zapłaciła za to ostatecznej ceny.

– Co to ma znaczyć? – pytał Max z szaleństwem w głosie. – Jak mam ją odnaleźć?

– Nie ujrysz matki, dopóki nie wejdiesz pod Brugh na Boinne – odparł Astaroth z przymrużonymi oczami. – Przypuszczam, że przyjmą cię tam jak swego, młody Psie, ale nie wystarczy, że po prostu zastukasz w drzwi o danej godzinie. Musisz szukać innej drogi. Trzeba ci się spieszyć, bowiem Sidh może się stać jej grobem. Czas płynie rozmaicie, więc nie należy się ociągać...

– W jaki sposób odnajdziemy księgę, kiedy już dotrzemy na miejsce, w które mamy się udać? – przerwał mu ostro David.

– Zaraz, zaraz. – Astaroth pokiwał palcem. – Już

wypełniłem swoją część układu. Zastosowałem się do pradawnych zasad i teraz was opuszczam. Mam własne sprawy, moje dzieci, i nie mogę tracić czasu na wymianę uprzejmości. Dobranoc. Zapewne wkrótce znowu się spotkamy.

Po tych słowach włożył maskę i powoli odszedł od zaklętego kręgu ognia, przeszedł pomiędzy olbrzymimi głazami i zniknął wśród drzew.

– Musimy się spieszyć – wydyszał Max i zrobił krok w kierunku lasu.

David błyskawicznie złapał go za rękaw.

– Nie! – syknął. – Nikt nie opuści tego pierścienia, dopóki Stary Tom nie wybije pierwszej. Dopiero bicie dzwonu oddali Astarotha. Wcześniej nie możemy być pewni, że odszedł. Może się gdzieś na nas czaić.

Max zamarł i wlepił wzrok w ścianę lasu. Czuł, jak ze strachu ściska mu się żołądek. Czy Demon jeszcze tam czyha w ciemności, poza płomieniem? Czekali w pełnym napięcia milczeniu. Sara, Lucia i Cynthia stały przytulone do siebie w środku kręgu, nie śmiały nawet ruszyć palcem w jego stronę. Connor, pogrążony w cichej modlitwie, przeżegnał się i zacisnął szczelnie powieki.

Gdy rozbrzmiał głos dzwonu, odległy i pusty, płomienie magicznego pierścienia zaczęły trzaskać i gasnąć. Drzewa przygiął nagle do ziemi wściekły powiew wichru, a drżące dzieci zbiły się w ciasną kupkę niczym przerażone króliki na pustkowiu. Wiatr szalał po polanie, w powietrzu fruwały powyrywane z ziemi kwiaty i

strzępy kory. Max poczuł, jak Sara przyciska swoje czoło do jego czoła. Jej ręce drżały. Max lekko je ścisnął.

– Już poszedł, Saro – powiedział i zmusił się do uśmiechu.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie powinniśmy byli tu przychodzić... Wiedzieliśmy, że coś kombinujesz i po prostu nie chcieliśmy cię znowu stracić. – I wybuchła płaczem. – Szeptał do mnie – szlochała – przez cały czas, kiedy z wami rozmawiał, słyszałam, jak mówi mi do ucha. Prosił, żebym wypchnęła was z kręgu. Żebym was popchnęła, kiedy byliście odwróceny do mnie plecami. Obiecywał wiele rzeczy. A ja słuchałam! Tak się wstydzę. – I Sara rozszlochała się na dobre.

– Do was też mówił? – zapytał Max.

Lucia i Cynthia kiwnęły głowami. Connor milczał, i tylko obejmując rękami kolana, kiwał się w przód i w tył.

– Connor?

– Przepraszam, że za tobą poszliśmy – odparł Irlandczyk chrapliwym głosem. – To wszystko moja wina i w dodatku straciliście przeze mnie jedno pytanie.

– Możesz to odpracować – rzekł David. Wyjął z rąk przyjaciela swój plecak i zarzucił go sobie na ramiona.

– Jak? – zapytał Connor, unikając stanowczego spojrzenia małego kolegi i wpatrując się w zimny, kamienny krąg.

– Zawsze chciałeś zobaczyć Archiwum – wyjaśnił spokojnie David. – Więc oto nadeszła wielka chwila. Dziś wykradniemy stamtąd klucz Brama tuż sprzed nosów

uczonych.

Connor mrugnął i zagapił się na odchodzącego w las Davida, po czym roztarł sobie ramiona i ruszył za nim.

Max pomógł Sarze zejść z kamieni i cała czwórka podążyła za Davidem i Connorem. Zatrzymali się tylko na chwilę, by rzucić pożegnalne spojrzenie ponurym głazom, które niczym wyszczerbione zęby sterczały na polanie w świetle połowy księżyca.

ZA WELONEM NIEBA

Z otwartych drzwi oświetlonego pokoju spoglądała na nich ostra, drapieżna twarz doktora Rasmussena. Mimo późnej godziny szef Warsztatu we Frankfurcie, obecnie na wygnaniu w Rowan, wciąż ubrany był w wymięty strój roboczy. W rękę trzymał fajkę.

Spojrzał na Davida.

– Co tam, znowu myszkujecie? – spytał i przywołał na twarz wyraz chłodnego dystansu, żeby zamaskować zdziwienie. Kiwnął do Maksa, a resztę dzieci zignorował, choć zerkwały na niego ciekawie ze schodów, które kończyły się przed drzwiami jego pokoju. – Nie powinniście przypadkiem spać? – Uśmiechnął się ponuro. – No tak, przecież to Wigilia – dodał.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy – odezwał się David.

– Jasne. – Doktor zmarszczył czoło. – Czegóż innego mógłbym się spodziewać. Czekam właśnie na tę wiedźmę usługującą.

– Ma na imię Mamuśka, na wypadek, gdyby pan zapomniał. – Max zerknął wilkiem na wyniosłego doktora.

– Nie na nią – prychnął Rasmussen – tylko na tę drugą. Jeszcze bardziej odrażającą, jeśli w ogóle może być

coś jeszcze bardziej odrażającego, ale robi niezły cydr. Zaraz się pojawi, więc lepiej zmykajcie, zanim was przyłapie. Mam dużo pracy.

I zrobił krok do tyłu, żeby zamknąć drzwi, lecz Max zastawił je stopą.

– To zajmie tylko chwilkę – nalegał. Na siłę pchnął drzwi i wszedł do pokoju. Reszta wsunęła się za nim i niewyraźnie wymamrotała słowa powitania do zdumionego i gniewnego inżyniera.

– Okropny szczeniak – mruknął Rasmussen i z trzaskiem zamknął drzwi. Szybkim krokiem minął dzieci, podszedł do ustawionego pod oknami biurka i zgarnął z niego stertę papierzysk i rysunków. Max ze zdziwieniem stwierdził, że w pięknym apartamencie, który zajmował doktor, panował straszny bałagan. W kątach piętrzyły się stosy brudnych talerzy i kubków po kawie, wszędzie leżały w nieładzie ubrania i panował kwaśny zapach.

– Uuu – skomentował Connor, wskazując na zwisającą z oparcia krzesła czarną skarpetę.

– Nikogo się nie spodziewałem – powiedział doktor obronnym tonem, zerwał skarpetę z krzesła i cisnął ją na stos brudnych ubrań w kącie, po czym założył ręce i spojrzał na dzieci wilkiem. – Czego chcecie?

– Pańskiego wynalazku, który pozwala się niezauważenie przemieszczać – odparł Max. – Tego, który załamuje fale świetlne.

Rasmussen pociągnął się za nos.

– I ciekawe, po co to wam?

– To nie pańska sprawa – uciął David. – Prosimy tylko o przysługę. Przecież mamy do tego prawo. Wiele pan nam zawdzięcza.

– Ha! – prychnął Rasmussen. – Co za arogancja! Ja? Zawdzięczam wam? To przez was jestem tutaj, wśród nieudolnych idiotów – i śmierdzących wiedźm! To przez was zmarnowałem dorobek życia! Nic wam nie zawdzięczam!

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Rasmussen jeszcze bardziej spochmurniał.

– Oczywiście, musiała przyleść właśnie teraz – powiedział wściekłym głosem. Podszedł do starej skrzyni, którą ledwo było widać spod stosu brudnych ręczników, sięgnął do środka i wyciągnął niezwykłą tkaninę. Rzucił ją do Maksa, a chłopiec złapał ją w locie i błyskawicznie okrył nią kolegów, po czym sam wślizgnął się pod spód. Rasmussen ostrzegawczo podniósł palec do ust i podszedł do drzwi. Za nimi stała Bellagrog z wózkiem kelnerskim.

– Dobry wieczór panu – powiedziała przymilnie i wepchnęła wózek do środka. – Gorący cydr i grzanki, jak pan zamawiał. Niech pan sobie naleje troszkę więcej, święta są i tak dalej.

Rasmussen wciągnął powietrze i zerknął w kierunku dzieci.

– Ee, tak. Dziękuję, wiedźmo. To wszystko.

Bellagrog zignorowała doktora. Ustawiła na biurku srebrną tacę i szybkimi, zdecydowanymi ruchami smarowała tost masłem.

– Sam sobie posmaruję! – wrzasnął czerwony jak burak Rasmussen i zaczął na siłę wyjmować nóż z rąk spuchniętej wiedźmy.

– Dobra, dobra – Bellagrog podniosła ręce w poddańczym geście. – Myślałam, że pan lubi, jak to robię, zawsze tak było. Nigdy pan sobie sam nie smarował, prawda?

– Tak, ale teraz się to zmieni – burknął Rasmussen, zmrużył oczy i zaczął sam, niepewnymi, chaotycznymi ruchami dźgać grzanekę. W powietrzu fruwały okruchy, a grzanka po chwili ledwo przypominała to, czym była przed chwilą.

Bellagrog przez chwilę z rozbawieniem obserwowała doktora. Lustrowała jego tyczkowatą postać od stóp do głów krokodylim spojrzeniem. Nagle oczy zaszyły jej mgłą i zapytała chrapliwie:

– Ma pan jakąś rodzinę, doktorku?

– Nie – mruknął Rasmussen, porzucił jedną zmasakrowaną grzanekę i zabrał się za maltretowanie następnej.

– A ja tak – ciągnęła wiedźma w zamyśleniu. – Oczywiście mam tu pod bokiem moją młodszą siostrę, ale zawsze w święta myślę o reszcie. Co prawda, to prawda, rodzina może doprowadzić cię nieraz do szału, ale jednak co krew, to krew.

– Bardzo wzruszające – rzucił Rasmussen, nieświadomy ostrożnych ruchów Bellagrog.

Max wziął gwałtowny, wręcz bolesny oddech.

Wiedźma błyskawicznym ruchem wyjęła spod fartucha rzeźnicki topór. Bez chwili wahania podniosła go nad głowę i...

Topór zamarł w górze jak gotowa do uderzenia gilotyna nad niczego się niespodziewającą ofiarą.

Bellagrog nastawiła nozdrza i zaczęła czujnie węszyć. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia. Wpatrywała się w miejsce, gdzie ukrywały się dzieci. Równie błyskawicznym ruchem opuściła topór, ukryła go w fałdach fartucha i prychnęła gniewnie.

– O, proszę! – wykrzyknął uradowany Rasmussen ze względnie przyzwoicie posmarowaną grzanką w ręku.

– Brawo, brawo! Naprawdę nieźle! – zaskrzeczała wiedźma i zaczęła bić brawo doktorowi, który nalewał sobie teraz do kubka wonnego cydru.

– No, tak, tamte były wadliwe, nie da się zaprzeczyć – powiedział, zerkając na mały stosik połamanych tostów na tacy. – Będziesz musiała zrobić mi jeszcze parę.

– Się robi – wiedźma złożyła przed nim uprzejmy ukłon. – Ostatnia grzanka była chyba trochę bardziej przypieczona. Postaram się, żeby następne były takie same.

– Mam nadzieję – rzucił Rasmussen i machnięciem ręki zwolnił wiedźmę.

– Czy jutro zrobimy pańskie pranie? – zapytała jeszcze, pchając wózek do drzwi.

– Tak – rzekł apodyktycznie. – Tak, myślę, że tak.

– Jak pan każe. Proszę zaufać Bel, a ona już się

wszystkim zajmie. Wesołych świąt.

– Tak, tak. Wesołych świąt – mruknął Rasmussen i jednym haustem wychylił kubek cydru.

Z pożegnalnym spojrzeniem w kierunku ukrytych dzieci wiedźma wytoczyła się za wózkiem z pokoju. Rasmussen zamknął drzwi i obrócił się na pięcie.

– No, to macie, czego chcieliście, tak, czy nie? – rzucił ostro, szperając w kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Kiedy je znalazł, zapalił fajkę i z miną lorda wydmuchnął ku dzieciom kłęb dymu. – Oczekuję jej pod drzwiami, ładnie złożonej, kiedy skończycie. I nie myślcie, że nie jesteście mi nic dłużni.

– Jasne – odparł Max i wyslizgnął się spod płachty. – Mogę nawet od razu panu coś poradzić, za darmo.

– Cóż takiego? – warknął Rasmussen i odsunął się z przejścia, by wypuścić ich do holu.

– Niech pan nigdy więcej nie wpuszcza tu Bellagrog. Ani nie zostaje z nią sam na sam. Niech ktoś inny przywozi panu posiłki. Ta wiedźma jest przebiegła i niczego nie pragnie bardziej, niż pańskiej głowy na talerzu. Dosłownie.

Rasmussen prychnął gniewnie i wydmuchnął słodkawy kłęb dymu prosto w twarz chłopca.

– Ojoj, czyżbyś chciał mnie przestraszyć? – fuknął. – To Boże Narodzenie, nie Halloween, mój chłopcze. Miłego myszkowania lub czegokolwiek. Nie wiem, co zwykli robić uczniowie Rowan o drugiej nad ranem. Zjeżdżajcie.

Max pomyślał, że muszą przypominać dziwnego owada – dwanaście niezsynchronizowanych nóg, sześć wpadających na siebie ciał pod płachtą z załamującej promienie światła tkaniny. W kampusie panowała cisza, jednak środki ostrożności, które podjęli, były w pełni uzasadnione. Od czasu do czasu trzeba było przepuścić agenta lub któregoś z niemogących spać rodziców. Wbiegli po schodach Starego Toma. Pokonali kilka krętych klatek schodowych i korytarzy, aż dostali się do sali 313. David, zanim położył dłoń na klamce, rozejrzał się ostrożnie po korytarzu.

– Czekaście – syknęła Lucia. – Dlaczego nie możemy po prostu poprosić o klucz Brama czy jak to się tam nazywa? Przecież to wy dwaj go zdobyliście!

– Lucia, czy ty musisz właśnie teraz tchórzyc? – jęknął Connor.

– Cicho – szepnęła Sara. W korytarzu nad nimi słyhać było czyjeś kroki.

– Będzie mnóstwo pytań i żadnej gwarancji, że go nam dadzą – odparł Max. – Słyszeliście, co powiedział Astaroth. Mojej mamie nie zostało wiele czasu. Nie możemy zwlekać.

– Ale... – zaproponowała Lucia.

– Czego się boisz? – szepnął Connor z niedowierzaniem. – Że dostaniesz karę? Lucia, cały świat pogrąża się w ciemności. Nie zauważyłaś? Nie sądzę, żeby miało wielkie znaczenie to, że będziesz miała

obniżoną ocenę z zachowania.

Kroki słyhać było już na klatce schodowej. Ktoś nadchodził.

– *Vola, vola* [(wł.) – Leć, leć.] – syknęła Lucia, marszcząc czoło i dając Connorowi kuksańca.

David coś mruknął i trzy razy zastukał w klamkę. Drzwi otworzyły się na dobrze naoliwionych zawiasach i chłopiec wszedł do środka, po czym szybko skierował się do tablicy. Następna komenda – i kreda uniosła się w powietrze, aby wyraźnymi literami wypisać: *David Menlo na mocy prawa i w chwili potrzeby prosi o wstęp do Archiwum.*

Max przesunął tablicę w dół, a potem jeszcze raz w górę i odsłonił ciemne schodki pod podłogą. Cichym, spokojnym głosem David wydał grupie szereg poleceń. Kiedy Connor usłyszał plan, zmarszczył nos i potrząsnął głową.

– Przecież na pewno nas złapią! – zaprotestował.

– I oto chodzi – mruknął David.

– Ale ja też chcę iść z wami – naciskał Connor.

– Ja też – dołączyła się Sara. – Nie możecie tego wszystkiego robić sami.

David przez jakiś czas milczał. Kiedy się odezwał, oczy błyszczały mu od łez.

– Nie robimy tego sami – rzekł. – Właśnie nam pomagacie. Ale nie możecie pójść z nami. Nikt z was. Nie ma żadnej gwarancji, że wrócimy.

Max milczał. Sara wbiła w niego wzrok. Już

wcześniej zaczął podejrzewać tę straszliwą prawdę, którą przyjaciel właśnie wypowiedział na głos. Ścisnął dłoń Sary i ucałował ją. Cynthia zdjęła naszyjnik z pereł i mocno objęła Davida.

– Co to jest? – zapytał, kiedy wcisnęła mu naszyjnik do ręki.

– Należał do mojej babci – wyjaśniła. – Jak mi go nie oddasz, to cię zabiję!

Cała szóstka wybuchnęła śmiechem i uścisnęła się raz jeszcze. Cynthia hałaśliwie wytarła nos rękawem.

– Będziecie z nas dumni – rzekła, powstrzymując łzy.

Max poprawił sobie plecak Davida na ramionach. Po ciepłych, wilgotnych schodach zaczęli schodzić ku bijącemu sercu Rowan.

Na dole, na straży wejścia do Archiwum stały dwa shedu, równie potężne i wyniosłe jak wtedy, gdy Max widział je po raz pierwszy. David wymknął się spod płachty i podszedł do nich. Zaczął coś łagodnie mówić i zgiął się w pełnym uszanowania ukłonie. Stwory, mrużąc basem, schyliły się w jego kierunku, lecz mimo wszystko piętrzyły się nad nim niczym góry. Max wstrzymał oddech. W każdej chwili mogły zgnieść małego chłopca jak muchę. Po chwili shedu zamknęły oczy i złożyły głowy na czystej kamiennej podłodze.

– Co zrobiłeś? – chciał wiedzieć Max, prowadząc kolegów naprzód.

– Zasugerowałem im, żeby się zdrzemnęły – odparł David po prostu. – Są pod wpływem potężnego zaklęcia,

które sprawia, że cały czas czuwają. Biedne stworzenia od wieków nie zmrużyły oka.

Przez podwójne drzwi Max zajrzał do Archiwum. Pośrodku głównej czytelni stał klucz Brama, wypolerowany tak, że srebrne jego części błyszczały z daleka. Wszędzie wokół przy stołach zarzuconych wykresami, dokumentami i pergaminami tłoczyli się uczeni. Max zmrużył oczy i dostrzegł Wiljaka, który, popijając kawę, rozmawiał z dziewięciorgiem agentów w nanokolczugach.

– Czerwone Bractwo – szepnął. – Najlepsi agenci na świecie.

Connor gwizdnał cicho, przeciągle.

– To wszystko zmienia – wyszeptała Cynthia. – To nie uczeni. Przecież w życiu nie damy rady ich przechytrzyć!

– Bynajmniej nie zamierzamy ich przechytrzyć – powiedział David. – Trzeba tylko na chwilę odciągnąć ich uwagę. To wszystko. Kto chce być tym szczęściarzem, który zacznie całe zamieszanie?

– Ja mogę – zgłosiła się Sara.

– Może lepiej ja – zaproponował Connor.

– Proszę – rzekła Sara – jestem od ciebie szybsza, ciebie złapią w mgnieniu oka.

– Jeśli was złapią, nie protestujcie – polecił im Max, dalej wpatrując się w członków Czerwonego Bractwa. – Nawet nie próbuj kombinować, Connor. Nie żartuję. Od razu się poddaj i żądaj rozmowy z panią Richter. Z tymi

agentami nie ma żartów. Za nic w świecie nie stwarzajcie im powodu, żeby zrobili wam krzywdę.

Lucia zabawnie zaskomlała. Connor z trudem przełknął ślinę.

David sięgnął w czeluść plecaka i wydobył zrolowaną parę skarpetek. Zmiał je w dłoni. Skarpetki natychmiast zaczęły rosnąć i przybrały odcień błyszczącego metalu. Sekundę potem David – trzymał w ręku kopię srebrnej sfery armilarnej.

Sara, Max i David wślizgnęli się pod płachtę, a reszta została przed drzwiami. Ukryta trójka powoli weszła w głąb Archiwum i bezszelestnie zbliżała się do stołu, na którym stał klucz. Po drugiej stronie przejścia Wiljak rozmawiał ze swymi towarzyszami z Czerwonego Bractwa.

David podał Maksowi kopię klucza. Chłopcy zerknęli na Sarę. Śliczna Nigeryjka kiwnęła głową i mocno zacisnęła szczęki.

Tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym ruchem wyskoczyła spod płachty i porwała klucz Brama.

Nastąpiło ogólne poruszenie. Naukowcy nagle wyprostowali się na krzesłach. Czarne, płaskie oczy Wiljaka skierowały się na Sarę. Zanim jednak ktokolwiek zdążył wykonać konkretny ruch, David wyciągnął przed siebie napięte palce, a Sara zacisnęła powieki.

– Solas!

Sala rozbłysła światłem. Uczni z krzykiem popadali na ziemię. Wiljak i reszta agentów, klnąc, zerwali się i

zaczęli brnąć przed siebie po omacku. Sara przemknęła obok Maksa i płynnym ruchem umieściła na stole replikę klucza. Max i David, przyciśnięci do regałów, czekali, aż gromada uczonych i agentów przebiegnie koło nich w pogoni za Sarą, która popędziła do drzwi, a potem w stronę schodów.

Kiedy droga była już wolna, chłopcy cichcem przedostali się na drugi koniec ogromnej sali. Szli szybko, noga w nogę pod osłoną niewidzialnej płachty. W tyle za nimi słyhać było krzyki. Connor, Lucia i Cynthia wbiegli do sali. Ponad ogólny rozgardiasz wybił się krzyk Sary:

– Łapcie!

A po nim triumfalne piski Connora, krzyki innych i łomot przewracanych mebli.

Kiedy dostali się do ogromnych, kręconych schodów prowadzących ku górnym poziomom zbiorów, chłopcy odwrócili się i zobaczyli, że ich koledzy leżą na wznak na ziemi, każdy pod opieką dwóch agentów z Czerwonego Bractwa, nad nimi zaś góruje purpurowy na twarzy Wiljak i ostrym tonem zadaje pytania, które w ogromnej, akustycznej sali odbijają się głośnym echem. Oszołomieni uczeni ustawiają stoły i lampy na miejsca, omijając połamane krzesła i potrzaskaną wazę.

David pociągnął Maksa za ramię i obaj ruszyli po schodach, które pięły się spiralą po obwodzie głównej sali Archiwum. Zdyszani, zatrzymali się wreszcie na samej górze, przy zapomnianym stosie zakurzonych tomów i związanych wstążkami papierzysk.

– To tu – sapnął David i schował sferę do plecaka na ramionach Maksa. – Tajne przejście, którego używałem w zeszłym roku.

– Myślałem, że mówiłeś, że ja nie dam rady tędy przejść – przypomniał Max.

– Musimy spróbować – odparł David, łapiąc oddech.

Gdzieś w dole odbijał się echem i wypełniał ogromną przestrzeń rozszoszczony głos Wiljaka. – Pójdę pierwszy i otworzę przejście – podjął David. – Nie będę od razu przechodził na drugą stronę, tylko postaram się zostać i przytrzymać je dla ciebie. Idź zaraz za mną.

Max kiwnął głową. David wyslizgnął się spod tkaniny i podszedł do stosu książek na temat wróżbiarstwa. Książki rozstały się bez najmniejszego szmeru i pozwoliły mu przejść. Max wstrzymał oddech i poszedł za nim.

Poczuł, że jego ciało ściska nagle niesamowite ciśnienie, i w panice zaczerpnął powietrza. W szczękach odezwało się pulsowanie. Coś naciskało na niego z taką siłą, jakby jakiś potężny, zachłanny potwór próbował przecisnąć go przez słomkę. Ciśnienie stawało się coraz większe. Przed oczami Max zobaczył dziwne, ruchome plamy. Bał się, że za chwilę pęknie mu czaszka.

W ciągu ułamka sekundy – jakby strzelił balon – ból minął.

Max otworzył oczy i stwierdził, że stoją z Davidem na ścieżce między Domostwem a Starym Tomem. David szczykał zębami. Było jeszcze ciemno, ale w ten

bożonarodzeniowy poranek kampus wyglądał czysto i dziewiczo. Padał śnieg, zimny i czysty. Chłopcy przecięli trawnik, minęli mrugające lampki i kępy ostrokrzewu i dotarli do stromych, śliskich schodków prowadzących w dół, nad morze.

Ciemna sylwetka „Pustułki” wydawała się groźna i potężna na tle szarówki. Solidne deski skrzypiały, kiedy statek kiwał się w tył i do przodu na wzburzonych falach, obryzgujących burty pióropuszcami lodowatej wody. Chłopcy spiesznie przecięli plażę i jak dwóch wygnańców weszli na pomost. Max jednym susem pokonał przestrzeń między pomostem a pokładem. Wyrzucił trap przez burzę i popchnął go ku Davidowi, który czekał cierpliwie na nabrzeżu, wciąż w pizamie. Chwilę później i on dostał się na pokład. Policzki miał różowe z podniecenia.

– Musimy się spieszyć – rzekł, odbierając Maksowi klucz Brama.

Bum!

„Pustułka” jęknęła, jakby nagle owładnęła nią niewidoczna siła. Statek uniósł dziób niczym koń, który staje dęba, po czym z powrotem runął w odmęty. Chłopcy stracili równowagę i sfera wypadła Davidowi z ręki. Max na czworakach rzucił się za srebrzystą kulą, a ona toczyła się i podskakiwała ku prawej burcie, ponieważ statek właśnie przechylił się mocno na prawo. Udało mu się chwycić drogocenne urządzenie za podstawkę, ale uderzył się boleśnie o reling.

Z czarnej głębinie oceanu podniosło się znane już chłopcom przeraźliwe wycie. Statek zaczął się gwałtownie trząść i miotać. Chłopcy wiedzieli już od zeszłego roku, że „Pustułka” ma niewidocznego, ale bardzo uciążliwego strażnika. Od jego wycia niemal pękały bębenki. Trudno było w takiej chwili zachować trzeźwe myślenie.

Chłopcy kurczowo uchwycili się statku, który wierzgał niczym nieokiełznany ogier i miotał się jak oszalały. Przez pokład przelewała się lodowata woda. Wkrótce obaj byli całkowicie przemoczeni. Maks prawie na oślep czołgał się w stronę figury dziobowej. Po twarzy cięły go drobiny lodu i zmrożony śnieg. Zerwała się gwałtowna burza. Wycie strażnika zmieniło się w nieznośny, ogłuszający krzyk.

– Trzymaj się! – wrzasnął Max w nadziei, że przekrzyczy i krzyk, i łomot fal. David owinał sobie linę pokładową wokół nadgarstka i tak uczepiony dał się miotać po pokładzie. Max przelazł przez beczkę, która wypadła z mocowań i wspinał się po pokładzie wznoszącym się przed nim jak stroma skała. Wiatr szalał w żaglach i olinowaniu. Max parł do przodu. W pewnej chwili udało mu się złapać za reling i podciągnąć na rękach.

Figura dziobowa – rzeźbiony w ciemnym drewnie drapieżny ptak o srogim spojrzeniu – była już na wyciągnięcie ręki. Max skoczył i uczepił się go dokładnie w chwili, gdy statek łupnął o wodę, niemal przerzucając

go przez dziób. Coś na wygiętym grzbiecie figury skaleczyło Maksowi rękę. Chłopak wyczuł pod palcami metalową nasadkę zakrywającą otwór w drewnie – jak pokrywka na lampionie z dyni. Chwycił za nią, by ją wyciągnąć, lecz siedziała mocno, zasklepiona wżartym brudem i solą morską. Max zacisnął zęby i pociągnął z całej siły. Okrągła pokrywka wyskoczyła i chłopak z całym impetem poleciał do tyłu.

Upadł plecami na deski pokładu i błyskawicznie zaparł się nogami i rękami, żeby nie wyrzuciło go za burtę. Nic się jednak nie stało. Potworne wycie przeszło w ciche westchnienie i „Pustułka” wróciła na swoje stanowisko kotwiczne potulnie jak kura do gniazda. O jej burtę rozbiło się jeszcze kilka niewielkich fal, a potem na oceanie zapanowała niezmacona cisza. Max prędko poderwał się na nogi. W rękę ścisnął klucz Brama. Rozejrzał się w poszukiwaniu Davida i zobaczył, że kolega leży bezsilnie, całkowicie zaplątany w sieć.

– Czemu się uspokoiła? – zapytał Max. Śnieg znowu spokojnie, płatek za płatkim padał mu na ramiona.

– Nie wiem – odpowiedział David, wyplątując się z sieci.

– Nie wiem – odpowiedział David, wyplątując się z sieci.

Nagle statek omiotła smuga jasnego światła, jakby zwrócono nań dziesiątki reflektorów. Max zasłonił oczy i podszedł do relingu, by sprawdzić, co się dzieje.

Na plaży, między unoszącymi się w powietrzu

pierścieniami światła, stała pani Richter, a przy niej komandor Wiljak i reszta członków Czerwonego Bractwa. Po kamiennych schodkach schodzili następni ciekawscy, pozawijani w koce, szlafroki i co kto miał pod ręką. Max zobaczył wśród nich swego tatę. Razem z trzymającym latarnię Bobem zbiegał w dół.

– Max! – zawołał pan McDaniels. – Co robisz? Czy to David?

– Dzień dobry, panie McDaniels. – David słabo pomachał ręką.

– Davidzie Menlo, w tej chwili wszystko wyjaśnisz – rozkazała pani Richter. Wyglądała na smutną i zmęczoną.

– Przepraszam za wszystkie kłopoty – odezwał się David. – Ale my z Makssem musimy odpłynąć. Proszę nie gniewać się za bardzo na Connora i innych. Oni tylko nam pomagali.

– McDaniels! – krzyknął ostro Wiljak. – Natychmiast opuść statek! To rozkaz!

– Max! – zawołał tata z twarzą wykrzywioną z przerażenia. – Proszę cię, chodź tu.

– Tato, przepraszam – powiedział Max, ignorując zupełnie rozkaz Wiljaka i przekazując Davidowi klucz Brama. – Jadę znaleźć mamę.

– Więc pozwól mi płynąć z tobą! – krzyczał Scott McDaniels ochrypłym głosem. Przeciskał się przez tłum, wydmuchując kłęby białej, od razu zamarzającej pary.

– Nie możesz. – Max potrząsnął głową. – Tym razem nie możesz ze mną jechać, ale znajdę ją. Obiecuję!

Opiekuj się Nickiem!

Pan McDaniels zatrzymał się. Zaniemówił i tylko wpatrywał się w syna.

Wiljak szczechnął coś do reszty agentów, którzy zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę pomostu.

– Stać! – zawołała nagle pani Richter. Na jej komendę agenci się zatrzymali, popatrując raz na nią, raz na Wiljaka. Pani Richter odwróciła się od nich i utkwiała wzrok w Maksie. Uśmiechnęła się ze smutkiem, lecz i ze zrozumieniem. W zimowym powietrzu jej głos niósł się mocno i wyraźnie.

– Od ciebie zależy los nas wszystkich. Dajemy ci nasze błogosławieństwo na drogę. Opiekuj się Davidem. Musisz być jego strażnikiem.

Max kiwnął głową i pomachał na pożegnanie. Za jego plecami David umieścił podstawę klucza Brama w otworze w grzbiecie rzeźby dziobowej. Kiedy tylko to uczynił, rozległ się piękny, czysty, pojedynczy dźwięk, jak uderzenie dzwonu. Zdawało się, że zawisł w powietrzu, napięty i drżący w nagłej ciszy.

Max szybkim krokiem podszedł do Davida. Obaj patrzyli, jak pierścienie sfery zaczynają wirować. Każdy z nich przyspieszał coraz bardziej, aż w końcu cały przyrząd przybrał wygląd gładkiej świetlistej kuli. Przez statek przeszło drganie. Na pokład spadł deszcz lodowych sopli, które oderwały się od masztów i olinowania, gdy „Pustułka” zaczęła rozwijać ogromne żagle. Liny rozwijały się same, ciągnione przez mocne niewidzialne

ręce. Cumy trzasnęły.

Na plaży rozległo się zbiorowe westchnienie, kiedy „Pustułka” uniosła się z powierzchni oceanu i zawisła w powietrzu. Twarz Davida płonęła podnieceniem. Na rzęsach osiadły mu płatki śniegu. Chłopiec nie mógł oderwać oczu od żagli, które, załopotawszy, już po chwili wypełniły się wiatrem.

Max dostrzegł, że coś lata mu koło ucha. Kiedy się odwrócił, zobaczył ćmę z nadpalonym skrzydłem, chybotliwie wirującą, by wylądować na jego ramieniu.

– Przydam ci się! – pisnęła. Czułki drżały jej na zimnie.

Rzuciwszy prędkie spojrzenie na Davida, który jak zahipnotyzowany przyglądał się poczynaniom „Pustułki”, Max porwał pana Sikesa i wepchnął do ciepłej kieszeni wełnianej kurtki. Ćma zerkała na niego z nowej, przytulnej kryjówki.

Z leciutkim kolebaniem statek zaczął się obracać, aż skierował dziób na pełne morze. Max podbiegł do burty i spojrzał na zgromadzony na plaży tłum. Wypatrzył tatę, pomachał do niego i uśmiechnął się przez łzy, a „Pustułka” ruszyła przed siebie ponad czarną taflą oceanu, łagodnie wznosząc się na spotkanie nieba.

W KRAINIE SIDH

Chłopcy stali na dziobie. David grzebał w plecaku w poszukiwaniu ciepłych ubrań, a Max spoglądał w dół, na migoczący ocean. Nie mógł znaleźć słów, by opisać to, co widzi i co się wydarzyło. Statek żeglował ku gwiazdom i Księżycowi, który przypominał teraz wielką, lśniącą perłę. David wciągnął rybacki sweter, a na to granatową wełnianą budrysówkę i trudził się z zapinaniem jej kołków lewą ręką.

– David, dokąd lecimy? – zapytał Max.

– Nie wiem – odparł jego kolega sennym głosem, po czym odetchnął głęboko i zapatrzył się na wysoki maszt i białe żagle bez jednej zmarszczki.

Max ziewnął i próbował odnaleźć na niebie znajome gwiazdozbiory. Statek wznosił się coraz wyżej i wyżej. Zajrzawszy do kieszeni, chłopiec stwierdził, że pan Sikes, teraz pod postacią polnej myszy, zwinął się w ciepłą kulkę i śpi. Wyobraził sobie, że on też zwija się w kłębek w swoim przytulnym, wysokim łóżku i przez szklaną kopułę ich pokoju w Rowan patrzy na rozgwieżdżone niebo. Żeglowali dalej. Ziemia wydawała się już miniaturką. Widział miasta rozrzucone po kontynentach niczym klocki po podłodze, a oświetlone blaskiem księżyca chmury przypominały stada migrujących ptaków.

Powietrze było zimne, a gwiazdy – niewiarygodnie jasne. „Pustułka” wzięła kurs na Oriona.

– O, jest Betelgeza – David wskazał na dużą, czerwonawą gwiazdę. – I Bellatrix, i Rigel. Czasami pas Oriona nazywają Trzema Magami, wiesz?

Max sennie kiwnął głową i ciasniej otulił się kurtką.

Gwiazdy urosły teraz do wielkości dyni, a Księżyc stał się nie do poznania. Oświeślał pokład i żagle mlecznym, rozproszonym blaskiem. Max znowu spojrzął za burtę. Pod nimi nie było już widać nic – ani chmur, ani lądów, ani nawet czarnej tafli oceanu. W głowie zaczęła mu kiełkować straszna myśl, że może będą tak żeglować przez wieki. Zerwali przecież wszelkie więzi z własnym światem i dryfowali w eterze.

Nie wiedzieli, czy podróż trwała godziny, dni czy lata. Max był świadomy tylko tego, że niebo staje się coraz rzadsze, jego materia rozciąga się ponad wytrzymałość, aż w delikatnej, czarnej przedzy widać – gotów był przysiąc – maleńkie dziurki. Zaśmiał się, mocno wczepił w reling i wychylił za burtę, a pasma kolorów rosły mu przed oczami, ukazując zamglony, zielononiebieski odcień.

Noc zmieniła się w dzień. „Pustułka” szybowwała nad prądami powietrza i strzępami chmur, które niczym proporce powiewały nad dziobem. Daleko w dole pojawił się krajobraz – szmaragdowe wzgórza, pola uprawne i rzeki wijące się przez tę olśniewającą krainę. Wokół

wysokich, smukłych zamków, jakich Max dotąd nie widział, tłoczyły się małe miasteczka. Wiatr nabrał prędkości i statek zaczął się chwiać i kolebać.

Uczepili się relingów. „Pustułka” trzęsła się i jęczała, wydawało się, że belki jej konstrukcji zaraz trzasną jak zapałki. Zielone plamy na lądzie przybrały kształty lasów, lasy – drzew, a w chwilę potem ich czubki zaczęły szurać po dnie statku. Rozległ się dźwięk dartego płótna i Max ujrzał, że wielkie żagle przestają się wydymać i, podarte, wpadają w łopot niczym suszące się na wietrze prześcieradła. David coś krzyczał, lecz Max nic nie słyszał przez ogłuszające wycie wiatru i wściekły trzepot żagli. Statkiem zakołysało. „Pustułka” wyleciała znad lasu i opadała coraz niżej, wprost na pola jakiegoś gospodarstwa. Max pchnął Davida na pokład i zasłonił rękami ich głowy.

Żaglowcem szarpnęło, potem jeszcze raz i jeszcze. „Pustułka” wylądowała i odbijała się od ziemi jak płaski kamień od wody. Rozległ się straszny trzask i Max poczuł, że główny żagiel opada na nich i układa się na połamanych masztach jak namiot. Statek sunął teraz po polu, rozbryzgując wokoło szczątki główek kapusty i wilgotną, tłustą ziemię. Jęcząc, „Pustułka” zatrzymała się, przechyliła na burtę i chłopcy zsunęli się z pokładu.

Leżeli przez chwilę, ciężko oddychając i dochodząc do siebie. Max z trudem stanął na nogach i odsunął się parę metrów od statku, by oszacować straty. Potrzaskane drewno, postrzępione liny i podarte żagle wyznaczały jego

szlak na polu. „Pustułka” była wrakiem. Max zajrzał do kieszeni. Pan Sikes wprawdzie trząśnięty z przerażenia, lecz najwyraźniej nic mu się nie stało. Kurczowo tylko wczepiał się w materiał kurtki. Max pokuśtykał na obchód statku. Stwierdził, że kadłub został prawie w całości odarty z desek. Pozostał tylko drewniany szkielet, resztki pokładu i połamane maszty. David wstał i przyłączył się do oględzin. Masował sobie potężnego guza na czole.

– Coś mi się zdaje, że będziemy musieli innym sposobem wrócić do domu – rzekł.

Max kiwnął głową i przesunął dłonią po wyszczerbionym kawałku deski.

– Ciekawe, czyje to pola – powiedział, rozglądając się dokoła. Nie było widać ani ludzi, ani zabudowań. – Chyba lepiej nie dociekać – dodał. Zastanawiał się, jak mogliby wyjaśnić nagłe pojawienie się wraku na kapuścianym polu.

– Gdzie idziemy? – zapytał David.

Max zerknął na poranne słońce, które właśnie wschodziło na bladym niebie. Zdjął kurtkę i wepchnął ją do plecaka. Korzystając z tego, że David rozglądał się po okolicy, ostrożnie przełożył pana Sikesa do innej kieszeni. Wyprostował się i podążając za wzrokiem kolegi, spojrzął na odległe wysokie wzgórze, które wznosiło się nad okolicą.

– Może byśmy tam poszli – zaproponował. – Przynajmniej będzie się można rozejrzeć.

Zarzucił plecak na ramiona i ruszył przez pole

kapusty, stąpając ostrożnie, by nie narobić większej szkody. Weszli na ubitą polną drogę, która niczym wstążka wiła się wśród porośniętych dzikimi kwiatami wzgórz. Przeszli przez wąski mostek nad strumieniem i zaczęli mozolnie piąć się pod coraz bardziej stromą górę. Za ich plecami słońce też pięło się coraz wyżej. Maksowi zaburczało w brzuchu i dopiero wtedy oprzytomniał:

- Zapomniałem o jedzeniu!
- O – odparł zamyślony David i pomasował guza.
- Ale ze mnie idiota – jęknął Max i mocno kopnął przydrożny kamień.

David szedł dalej w milczeniu. Max dźgał palcem żołądek i rozkazywał mu, by zamilkł.

Okazało się, że cel, który sobie wybrali, znajdował się dalej, niż się początkowo wydawało. Męczący marsz trwał już kilka godzin, kiedy wreszcie szczyt wzgórza znalazł się przed nimi. Wyglądało na to, że wzniesienie pełniło rolę znaku orientacyjnego dla całej okolicy – zbiegały się tu różne drogi, a na szczycie coś chybotąło się na wietrze. David musiał kilka razy przystawać, żeby złapać oddech, zanim krętą jak serpentyna drogą wspięli się na sam czubek.

Tam Max przekonał się, że dobrze zrobili, obierając ten cel. Chwiejący się na słupie przedmiot okazał się bowiem drogowskazem, a samo wzgórze – skrzyżowaniem traktów. Z tak dużej wysokości widać było całą okolicę, czyli ciągnące się po horyzont zielone pagórki i ogrodzone białymi płotami pola uprawne. Przez

parę minut chłopcy stali w milczeniu i czytali dziwne nazwy wymalowane na zniszczonych przez słońce, wiatr i deszcz deskach wskazujących osiem kierunków.

SIDH FIONNACHAIDH

SIDH BODB

SIDH BRI LEITH

SIDH AIRCELTRAI

SIDH RODRUBÂN

SIDH EAS AEDHA RUAIDH

SIDH MEADHA

SIDH BRUGH NA BOINNE

– Co wybieramy? – zapytał David.

– Nie mam pojęcia – odparł Max i przysunął się bliżej do drogowskazu, żeby jeszcze raz przyjrzeć się nazwom. Utkwił wzrok w napisie „Brugh na Boinne”. Tę nazwę dobrze zapamiętał, gdyż Astaroth powiedział, że tam znajdzie matkę. Max już miał otworzyć usta, gdy poczuł, że coś łaskocze go w ramię. Pan Sikes szeptał coś gorączkowo. Jego wąsiki łaskotały Maksa w ucho.

– Zbliża się niebezpieczeństwo, paniczku McDaniels!
– pisnął chochlik.

Max odwrócił się w stronę, z której przyszli. Coś poruszało się w oddali – szło tą samą drogą, którą przyszli i oni. Z nieznaney przyczyny coś w tej dalekiej postaci przejęło Maksa odrazą. Szturchnął Davida w ramię i pokazał mu ich domniemanego prześladowcę. Zbliżał się

już do mostku, który chłopcy przekroczyli godzinę wcześniej.

– Musimy ruszać – rzekł.

– Zgoda. – David zadrżał na wietrze. – Ale w którą stronę?

Max znowu miał się odezwać, lecz gorączkowy szept chochlika znowu go powstrzymał.

– Tylko nie Brugh na Boinne! – błagał pan Sikes. – Jeszcze nie! Musicie najpierw iść do Rodrubân!

Max przesunął dłoń po desce wskazującej drogę do Brugh na Boinne. Poczuł, jak maleńkie pazurki na znak protestu skubią go w ucho.

– Jestem za Sidh Rodrubân – powiedział powoli, idąc za radą pana Sikesa.

– Czemu? – chciał wiedzieć David.

– Z jednego powodu – odparł Max – bo idąc tą drogą, uciekamy przed tym kimś. Jak tu wejdzie, nie będzie nas widać.

David spojrział na wijącą się wśród drzew ścieżkę, która trochę niżej znikwała w lesie. Zerknął do tyłu na nieznaną postać, która przekroczyła już mostek i jednostajnym ruchem zbliżała się do szczytu.

Skinął głową i cmoknął z aprobatą. Chłopcy zbiegli z pagórka ścieżką prowadzącą do lasu pełnego wysokich brzóz i powykręcanych ze starości dębów.

Letni deszczyk szemrał delikatnie wśród liści, gdy Max i David przekradali się przez las. Wydawało im się,

że wędrówka trwa już wiele godzin. Spieszyli się co prawda, ale od czasu do czasu przystawali, by rozejrzeć się po okolicy. Powietrze było czyste i wonne, a kolory bardziej nasycone, niż Max kiedykolwiek widział. Chłopiec czuł się tak, jakby po raz pierwszy w życiu przyszło mu doświadczać obecności drzew, trawy, kwiatów i chmur, pięknych kształtów i tętniących życiem kolorów. Kiedy wyszli z lasu na zielone łagodne pagórki porośnięte soczystą trawą, na której pasły się stada białych owiec, droga gruntowa zmieniła się w brukowaną.

Słońce było już w zenicie, gdy chłopcy weszli na szczyt wzgórza porośniętego kwitnącymi wiśniami. Na łące stał na tylnych łapkach królik, poruszał wąsikami i przyglądał się im. Max spojrzał na niego głodnym wzrokiem i zwierzątko szybko uciekło do nory.

– Jak myślisz, jak daleko może być do Sidh Rodrubân? – spytał Max z myślą o jedzeniu.

– Nie mam pojęcia – odparł David. – Zauważyłeś, jak mylące są tu odległości? Albo może czas płynie inaczej. Nie mam pojęcia.

Max zerknął na zegarek. Jego wskazówki – tak się przynajmniej wydawało – poruszały się bez sensu. Raz się cofały, raz szły do przodu. Odwrócił się, by ocenić odległość, którą już przebyli. Spojrzał w kierunku zachodnim, gdzie w dolinach kładła się już srebrzysta mgła.

I nagle go zmroziło – na szczycie wzgórza stała ta sama ciemna postać.

Gwałtownie pchnął Davida na ziemię i sam jak długi runął obok niego.

– Co... – zaczął David, wyciągając sobie z nosa płatek wiśni.

– Tam – wysapał Max. – Na tamtym wzgórzu. Myślisz, że nas widział?

David zapatrzył się na tajemniczego wędrowca, który teraz wsparł się na długiej lasce. Po chwili dobiegł do nich niesiony wiatrem lekki śmiech. Postać pomachała do nich i szybkim krokiem ruszyła w dół. David zrobił się błydy jak ściana.

– Wiem, kto to jest – szepnął.

– Kto?

– Astaroth – wychrypiał David i podniósł się.

– Ale skąd on się tu mógł wziąć? – pytał dalej Max.

David nie odpowiedział, tylko odwrócił się i zaczął biec tak szybko, jak tylko był w stanie na swoich krótkich nogach. Max ruszył za towarzyszem, który ciężko dyszał i bełkotał coś nerwowo, niewyraźnie. Biegli drogą tak długo, że wydawało im się, iż musieli pokonać ładnych parę kilometrów. Nagle drobny chłopiec upadł i zaniósł się gwałtownym, ciężkim kaszlem.

– Dalej nie mogę – rzeził. – Muszę odpocząć.

Max skinął głową i równocześnie z obawą obejrzał się za siebie. Czuł, że strach wypełnia go powolną, ohydą falą. Zerknął na szczyt ostatniego pagórka, który pokonali. Demon jeszcze się na nim nie pojawił, lecz Max nagle zdał sobie sprawę, że ptaki zamilkły, a łagodne

owieczki pierzchły z okolicznych pastwisk i pojawiły się po chwili w postaci małych kremowych punkcików gdzieś na linii horyzontu.

– Zejdźmy chociaż z drogi – szybko zaproponował chłopiec i pomógł Davidowi dojść pod pień wielkiej wierzby, która zwieszała gałęzie nad niedużym stawem o zielonej wodzie. David oparł się plecami o pień i wziął długi, głęboki wdech.

– To mi przypomina staw w Sanktuarium – powiedział z bladym uśmiechem.

Max sięgnął do plecaka po ręcznik. Zanurzył go w zimnej wodzie, wyjął i położył koledze na czole. Tak zawsze postępował jego tata, kiedy Max chorował.

– Pięć minut – zarządził – i ruszamy dalej.

David potrząsnął głową.

– I tak mu nie uciekniemy – szepnął i zamknął oczy.
– Równie dobrze możemy zostać tutaj.

Maksowi nie spodobał się ten pomysł. Chłopiec wyjrzał zza grubego pnia i niespokojnie zerknął na drogę.

Pozwolił Davidowi odpoczywać, a sam nasłuchiwał jednostajnego grania świerszczy i kumkania żab w stawie. Strach wypełniał go coraz bardziej – zupełnie jakby ktoś wpuścił do jego krwi kroplę trucizny i substancja rozchodziła mu się teraz po całym ciele. Poczul nagłą potrzebę, żeby się ukryć, wykopać w ziemi norę, wejść do niej i przeczekać, aż przechodzień ich minie. Spojrzał na Davida, który właśnie zasypiał. Poczul wściekłe drapanie na ramieniu. To pan Sikes domagał się uwagi, w panice.

– Musimy iść – pisnął. – To miejsce jest niebezpieczne.

– Czemu? – Max potarł oczy.

– On nadchodzi! Demon was śledzi!

Max potrząsnął głową.

– David musi odpocząć – mruknął. – A ja stoję na straży.

Zacisnął palce na Gae Bolga, oparł się ciężko o pień i wbił wzrok w pustą drogę. Pan Sikes zawahał się chwilę na jego ramieniu, po czym z piskiem dezaprobaty wcisnął się z powrotem do kieszeni. Wśród gałęzi wierzby zaszumiał łagodny wiatr. Rozległo się delikatne pluśnięcie. Max wyobraził sobie, że to skoczyła do stawu żaba i teraz płynie wśród wodorostów w bezpiecznym, zielonym, podwodnym świecie.

Kiedy się obudził, z nieba spoglądał na niego sierp księżycy. Nawet świerszcze przestały już grać. Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że David śpi spokojnie pod drzewem – leży na boku pośród traw i omszałych korzeni. Uwagę chłopca przyciągnęło coś jasnego. W spokojnej wodzie stawu odbijały się płomienie. Nagle ogarnęła go panika – przypomniał sobie o groźącym im niebezpieczeństwie. Odszedł parę kroków od wierzby i zbliżył się do drogi.

Na kocich łbach siedział po turecku Astaroth. Nad ogniskiem, nadziane na rożen, piekły się dwa obdarte ze skóry króliki. Błada twarz Demona odwróciła się do

Maksa, w jego czarnych oczach błysnęło rozbawienie. Max czuł, jak w kieszeni dygoce pan Sikes.

– Co za spotkanie, mały Psie. Rzeczywiście przyszedłem tu do was, ale nie mogę opuścić drogi.

– A to dlaczego? – zapytał Max, zaciskając dłoń na włóczni Cúchulaina w rękawie.

– To warunek mojej podróży – odparł gładko Astaroth. – Może zjesz ze mną, co? Mam tu dwa tłuste króliki, a ty mi wyglądasz na wygłodzonego.

David obudził się i podszedł na czworakach, a potem stanął obok kolegi. Oczy Astarotha zwięziły się w szparki. Jego orle rysy wyostrzyły się w nienawistnym uśmiechu. Postukał berłem w kolano i odezwał się miękim, syczącym głosem:

*Na wzgórzu skwarem lata odurzonym i sennym,
Gdy wśród szmeru strumieni w sen zapadam błogi,
Słyszę gdzieś bębnów bicie natrętne, niezmiennie,
Jak hałas, co ze snu zrywa i stawia na nogi.*

[A. E. Housman, przeł. Jerzy A. Nowakowski]

– Już się obudziłeś, mały Davidzie? Dobrze, dobrze. Właśnie zapraszałem Maksa do stołu.

David nie odpowiedział. W milczącym przerażeniu wpatrywał się w rozbawionego Demona. Astaroth, jakby odgadując jego myśli, klasnął w dłonie i roześmiał się.

– Wiem, wiem. Nie ma magicznego kręgu, który by nas odgradzał. Tak, gdybym tylko chciał, mógłbym na

tym ognisku piec nie króliki, a was. – Oczy mu się zwężyły. – Ale nie zmieniałbym swoich planów ani nie ryzykował podróży do Sidh tylko po to, żeby ukarać dwóch niedobrych chłopaków.

– Więc po co tu jesteś? – zapytał David.

– Tu jest księga – odparł Astaroth spokojnie i dalej zajmował się królikami na roźnie. – Zamiast mnie zamęczać pytaniami, Davidzie Menlo, powinieneś raczej mi podziękować. Spałbyś snem wiecznym, gdybym cię nie wezwał. Już cię ostrzegałem, Davidzie, że to miejsce jest niebezpieczne dla takich jak ty.

Kraina Sidh przemawia wieloma głosami, a słuchanie leży w twojej naturze. – Astaroth zaśmiał się bezgłośnie. Króliki skwierczały na ogniu. – Chodźcie zjeść – zaprosił. – Choć dążymy do tego samego celu, na tej drodze nic wam z mojej strony nie grozi. Macie moje słowo. Cenię uczciwe współzawodnictwo.

David powoli zbliżył się do Demona i zajął miejsce naprzeciwko niego. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie przez płomienie. Astaroth uśmiechnął się i sięgnął ręką w ogień, by zdjąć z rożna pieczeń.

– Króliki z rożna pod rozgwieżdżonym niebem Sidh – zaśmiał się. – Och, moja romantyczna dusza niemal rozpływa się z rozkoszy.

Demon rzucił króliki do Maksa, który nieufnie usiadł obok Davida. Mięso pachniało wspaniale i chłopcy zaczęli rozdzierać je palcami. Astaroth przyglądał im się bez słowa, z twarzą zastygłą i gładką niczym porcelanowa

maska. Siedzieli tak we trójkę w ciszy, wokół nich krajobraz ciemniał, a trawy poruszały się na wietrze. Po dłuższej chwili Demon rzekł:

– Dokonałeś najmądrzejszego wyboru, jeśli chodzi o drogę, Davidzie.

– Nie ja ją wybrałem – rzekł David. – To Max.

– Naprawdę? – wykrzyknął Demon. – Być może powinienem był się domyślić, że nogi cię tu przyniosą, Maksie McDaniels. Czy wiesz, kim jest pan na Rodrubân?

Max potrząsnął głową.

– Ach, więc będzie to spotkanie zarówno słodkie, jak i pełne goryczy. – Astaroth uśmiechnął się porozumiewawczo. – Niechaj David wędruje w poszukiwaniu swojego celu, ty zaś przyłącz się do mnie, a oszczędzę ci wielu bolesnych chwil. Osiągniesz wiele. Kiedy staniesz się wystarczająco silny, możesz zostać dowódcą moich zastępów.

Teraz z kolei zaśmiał się Max.

– Wolałbym umrzeć.

– Są o wiele gorsze rzeczy niż śmierć – rzekł Demon i dołożył do ognia. – Może przyjdzie czas, kiedy się namyślisz.

Max nie odpowiedział.

– Spójrz tylko na siebie – ciągnął Astaroth z uśmiechem. – Taki zły i taki mściwy. Tętni w tobie Stara Magia. W tobie, szlachetnym księciu! A ty nie poznałeś nawet najprostszej prawdy o sobie samym? Kim jesteś?

Max rzucił Demonowi szybkie, chmurne spojrzenie, a

potem wbił wzrok w ogień. Słowa Astarotha przypomniały mu wilczarza, – który często nawiedzał go we śnie: „Co zamierzasz? Szybko odpowiadaj, bo cię pożrę!”.

– Jestem Max McDaniels – odezwał się cicho.

– Ba! – zarechotał Demon, a jego głos odbił się echem w ciemności. – Cóż to jest, jeśli nie puste imię! Fałszywe imię po fałszywym ojcu! Ty nie masz więcej z Maksa McDanielsa niż ja! Max McDaniels nie istnieje! Nigdy nie istniał!

Chłopcu zaczęły drżeć ręce.

– Cicho bądź! – syknął przez zęby. – Jesteś kłamcą.

– Nie – prychnął Demon. – Nie jestem. Nie kuszę cię, Maksie McDaniels, po prostu ci współczuję. Ile już żalonych dusz odeszło z tego świata, nie wiedząc nawet, kim są i po co istnieją naprawdę. To niesprawiedliwe! Całkowicie niesprawiedliwe. Rowan myli się, sądząc, że poszukuję Księgi Thotha, by wykorzystać ją do własnych celów. Szukam jej dla waszych celów! Któż, jeśli nie ja, będzie potrafił zgłębić księgę i podzielić się jej sekretami z ludzkością? Los waszego, ludzkiego, rodzaju jest okrutny. Darowano wam świadomość, lecz odebrano zdolność prawdziwego rozumienia. Kim jesteś, Max? Dopóki nie poznasz swego prawdziwego imienia, nigdy nie zaznasz spokoju. Twoje życie będzie fałszywą i bezsensowną egzystencją i skończysz tak samo jak wielu innych przed tobą.

Ogień strzelił i wysłał w noc snop iskier.

– Ale po co ta zagłada? – miękko zapytał David. – Po co rozszalały się wieloki, gobliny i inne stwory ciemności? Dlaczego wszystkie państwa muszą giąć się w pokłonach?

Astaroth wzruszył ramionami:

– To niestety ponura konieczność. Nie wątpię, że zdarzyło się wiele złego i wielu przeklina me imię, lecz to wszystko dla wyższych celów, dla wyższego dobra. Za jedno, góra dwa pokolenia nastąpi samozagłada ludzkiego rodu. Ludzie potrzebują jednego silnego głosu, jednego przywódcy, który posiadałby zarówno wiedzę, jak i mądrość, by uporządkować sprawy, zanim będzie za późno. Nie szukam zdobyczy, szukam uspokojenia. Przyznaję jednak w pełni, że księga jest lepszym rozwiązaniem, bardziej wykwinnym, powiedziałbym. Powstrzymując mnie, Davidzie Menlo, przedłużasz po prostu cierpienie ludzkości. Tylko tyle.

David potrząsnął głową i uśmiechnął się do Demona.

– *Flectere si nequeo superos, Achaeronta movebo.*

[(łac.) – Jeśli nie nakłonię niebios, poruszę piekło (Wergiliusz, Eneida).]

Uśmiech Astarotha zbladł. Usta zacisnęły mu się w wąską linię.

– *Post tenebras Lux.* [(łac.) – Po ciemnościach światłość.] – szepnął w odpowiedzi. – Nic nie wiesz o piekle, Davidzie. Ale możesz się dowiedzieć, zanim ta historia dobiegnie końca. A na razie chętnie trochę się pobawię i nie pozwolę, by zgubiły was niebezpieczeństwa tej krainy. Zanim odejdę, posłuchajcie: dzieli was od Rodrubân

jeszcze wiele rozstajów. Zawsze wybierajcie drogę wiodącą w prawo, inaczej będziecie zgubieni. Nawet gdy pragnienie stanie się nie do zniesienia, nie pijcie wody ze strumieni. Nie róbcie tego, dopóki nie dojdziecie do Rodrubân i nie otworzą się przed wami jego podwoje.

Płomień wystrzelił w górę i zasłonił Demona. Max mrugnął i zobaczył wielkiego czarnego wilka o bladożółtych ślepiach i czerwonym wywieszonym języku. Jednym susem przesadził on ognisko, wylądował między Davidem i Maksem, wprowadzając ich w przerażenie, po czym uciekł drogą pogrążoną w ciemności. Chłopcy przysunęli się do ognia i w milczeniu patrzyli na jasną tarczę Księżyca i nieruchomy krajobraz pagórków i cieni.

* * *

Słońce wstało trzy razy i trzy razy zaszło, a chłopcy wciąż szli. Żywili się jeżynami porastającymi rowy i zbocza. Pomni rady Astarotha, powstrzymywali straszne pragnienie i nie pili ze strumyków. Ich radosny szmer i bulgotanie były jak śpiew syren dla suchych gardła i spierzchniętych warg wędrowców. Na każdym rozstaju chłopcy wybierali drogę idącą na prawo. Nocami obozowali w wydrążonych pniach sędziwych drzew, które stanowiły doskonałą osłonę przed wiatrem. Astaroth nie dał już więcej znaku życia, a zadowolony pan Sikes drzemał w kieszeni Maksa. Czwartego dnia chłopcy usłyszeli odległy dźwięk rogu. Zapominając o głodzie i

pragnieniu, dziarsko weszli na pagórek, by jak najprędzej zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy byli już blisko szczytu, coś długimi susami pokonało wzgórze i przemknęło obok nich. Był to jeleń ze zmierzwioną rudą sierścią i przerażonymi oczami o przekrwionych białkach. W chwilę po nim nadbiegł drugi jeleń, a za nim następny i jeszcze jeden. Wszystkie po kolei mijały Maksa i Davida i czmychały, by znaleźć bezpieczne schronienie w gęstwinie lasu.

Znowu zabrzmiał róg. Chłopcy podkradli się pod sam wierzchołek i stamtąd wyjrżeli na przeciwną stronę wzgórza.

Pod nimi, na szerokiej równinie, gdzie droga znowu się rozwidła, stały naprzeciwko siebie dwie armie. Na wietrze łopotały czerwone i zielone sztandary, błyszcząły hełmy, lśniły w promieniach porannego słońca długie włócznie. Gdy róg zadał po raz trzeci, rozpoczęła się zaciekle bitwa. Minęła godzina, a Max, przerażony i oniemiały, dalej obserwował to niezwykle widowisko. Piechurów tratowano, konie nabijano na włócznie, po pobojowisku toczyły się głowy rycerzy. Z pola bitwy dobiegały okrzyki grozy i rozkazy dowódców. Soczyście zielona trawa równiny zmieniła się w czerwone błocko.

W końcu gdzieś pomiędzy kłębiącymi się żołnierzami znowu zabrzmiał róg. Ci, którzy utrzymywali się na nogach i nosili zielone barwy, wzniesli broń w geście zwycięstwa, zaś ci w czerwonych zwiesili głowy na znak porażki. Potem obie armie uformowały się w szyk i

odmaszerowały w dwa przeciwne końce pola bitwy.

David syknął i pokazał palcem sam środek pobojuwiska.

– Patrz! Patrz, co się dzieje!

Pole bitwy zaczęło się marszczyć i poruszać, jak gdyby roilo się na nim od pełzających owadów. Zabici rycerze i piechurzy podnosili się z wolna na nogi, kręcili w poszukiwaniu zagubionej broni, kończyn i głów, po czym odchodzili za towarzyszymi. Kiedy pole było już puste, a szeregi wojska uzupełnione, róg zabrzmiał po raz piąty i ostatni.

Czerwona armia wycofała się w szyku drogą, która na rozstajach odchodziła w lewo. Zielona armia po odejściu czerwonej podniosła zwycięski harmider, uderzając mieczami i włóczniami w ogromne tarcze, po czym triumfalnie odmaszerowała drogą na prawo i znikła między wzgórzami. David i Max poszli za nimi w bezpiecznej odległości. Wspinali się na pagórki i zsuwali w dół zadrzewionymi wąwozami, aż wreszcie ich oczom ukazał się cudowny widok – Rodrubân.

Zamek zbudowany był z białego kamienia i stał na rozległym zielonym wzgórzu. Wyciągał smukłe wieże prosto do nieba. Siedem baszt błyszczało srebrem. Z murów zwisały takie same zielone proporce, jakimi powiewała zwycięska armia – białe słońce na zielonym tle. Na ogrodzonych białymi płotami pastwiskach spokojnie pasły się stada bydła i owiec. W sąsiedniej dolinie błyszczały złotem dorodne łany pszenicy, tu i

ówdzie poprzecinane sadami, w których czerwieniły się jabłka. Z odległych wzgórz spływały do doliny i nawadniały pola trzy wijące się strumienie. Powracająca z bitwy armia maszerowała brukowaną drogą między rzędami czystych, krytych strzechą domów, aż doszła do zwodzonego mostu nad przepaścią ziejącą przed zamkową bramą. Zabrział róg, most opuszczono i armia zniknęła na dziedzińcu zamku.

Chłopcy pospieszyli do doliny. Trzymali się drogi. Z dala omijali przezuwające trawę byki o długich, zakrzywionych rogach. Kiedy doszli do pierwszej chaty w wiosce, zobaczyli kobietę. Widać ją było przez otwarte drzwi chaty. Siedziała przy krosnach i szybkimi, ledwo widocznymi ruchami tkala kremową tkaninę. Na widok chłopców przerwała pracę, wstała ze stołeczka, podeszła do drzwi i wpatrzyła się w nich jaskrawozielonymi oczami. W oknach i drzwiach chat zaczęły się pojawiać inne twarze – niektóre piękne, inne zwykłe, a wszystkie spokojne i w nieokreślonym wieku. Ucichły dźwięki kowalskiego młota. Kolejne drzwi otwierały się i coraz to nowe twarze wyzierały na ulicę.

– Przepraszam – odezwał się David, przystając na chwilę, by zwrócić się do mężczyzny z wydatnym brzuchem, w szewskim fartuchu. – Kto mieszka w tym zamku?

Nikt nie odpowiedział. Mężczyzna tylko patrzył.

– Czy ktoś słyszał o Bryn McDaniels? – zawołał Max, rozglądając się na próżno po twarzach

zgrupowanych.

– Lepiej chodźmy – szepnął David i pociągnął Maksa za rękaw. Ruszyli przez wioskę, a za nimi w dziwnej cichej procesji jej mieszkańcy.

Doszedłszy do mostu, chłopcy zadarli głowy i zapatrzyli się na wyniosłe, białe ściany, które się przed nimi piętrzyły. Wysoko na niebie wokół srebrnych wieżyczek krążyły kruki, od czasu do czasu nurkując w dół i kracząc chrapliwie. Mieszkańcy wioski ustawili się w szerokim półkolu w cieniu uginających się pod ciężarem owoców gałęzi jabłoni.

– Chodź – powiedział Max i wszedł na most.

Most natychmiast zareagował. Stanął dęba jak żywy, a z przeciwnego końca zerwał się potężny podmuch i porwał Maksa w powietrze. Przez moment chłopiec myślał, że fruwa, ale zaraz zaczął spadać, z przerażeniem stwierdzając, że widzi pod sobą bezdenną przepaść. Desperacko złapał się barierki mostu i zawisł na niej, trzymając się samymi koniuszkami palców. Most wierzgnął i zrzucił go na twardą ziemię, pod nogi Davida.

– Nic ci nie jest? – zapytał David.

Max kiwnął głową i spojrzał na milczących, nieruchomych tubylców.

Z zamku dobiegł śmiech. Szyderczy kobiecy śmiech. Chłopak dostrzegł postać stojącą na blankach. Była to młoda kobieta z czarnymi, dziko potarganymi włosami, które powiewały na wietrze.

– Przejść mogą tylko bohaterowie – zaśmiała się. – A

nie chłopcy o gładkich buziach. Oni niech lepiej uciekają do domu, żeby nie dostać bury.

Max poczerwieniał i szybko podniósł się na nogi. Wbił wzrok w most – sto metrów grubych desek, chwiejących się lekko na wietrze. Zacisnął zęby i wszedł na pierwszą z nich. Kurczowo trzymał się barierki. Udało mu się dojść prawie do połowy, kiedy most znowu wierzgnął i zaczął miotać nim jak owadem, którego ktoś chce spędzić ze swojego rękawa. Kolejne ostre szarpnięcie mostu i Max puścił się barierki, by z głuchym łomotem wylądować na plecach. Most uspokoił się, a chłopak jak krab wyczołgał się na miejsce startu. Z murów znowu popłynął srebrzysty śmiech.

– Cóż to za stworzenie, które chodzi do przodu na dwóch nogach, a do tyłu na czterech? – zadrwiła kruczowłosa dziewczica. – Będziemy musieli dodać ten gatunek do listy!

– Daj już spokój, chłopcze – odezwał się jakiś głos za plecami Maksa. Ten raptownie odwrócił głowę i zobaczył, że z szeregu wieśniaków wystąpił brodaty szewc. – Most pochłonął już wiele istnień. Jesteś odważny, że próbujesz, ale nie rób tego więcej.

– Czy pan próbował? – wydyszał Max.

– Wszyscy próbowaliśmy – odpowiedział szewc. – Mądrości Najwyższego Króla szuka wielu, lecz tylko nielicznym udaje się przedostać za bramę. Dlatego tu, na progu czekamy na dzień, kiedy on zechce wysłuchać naszych próśb. Znajdziesz tu dom i pracę, chłopcze.

– Nie mogę czekać – odparł Max. Jego złość wzmogła się, gdy odnalazł wzrokiem postać na murach. – Przejdę przez ten most – wycedził przez zęby i nienawistnie spojrzął na kiwające się lekko przesło.

– Tylko słabi przechwalają się bezmyślnie! – zawołała panna. – Lepiej służyło ci milczenie.

David chciał coś powiedzieć, lecz Max go nie słuchał. W skroniach zatętniła mu krew i zaczął drzeć na całym ciele. Targnęła nim straszliwa siła. W dwóch susach wybił się wysoko w powietrze. Most, falując jak wąż, przygotował się na jego przyjęcie. Max po mocnym wyskoku wylądował daleko, tylko na ułamek sekundy dotknął stopami desek i wyskoczył jeszcze raz. Wysokim łukiem poleciał poza złowrogi zasięg mostu i bezpiecznie wylądował po drugiej stronie.

– Otwierać bramę! – ryknął i trzy razy grzmotnął w masywne drewniane wrota. Kilka sekund później rozległ się powolny zgrzyt żelaza i zamkowa brama stanęła otworem. Max odwrócił się do Davida, który obserwował to wszystko bez słowa.

– Przechodź – zawołał.

David potrząsnął głową.

– Nie mogę.

Max w jakiś sposób pojął, że to prawda. David nie mógł wejść do zamku. Zajrzał do kieszeni, lecz pana Sikesa nie było. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie widać gdzieś małej burej myszki lub czy nie słyszczyć słabego furkotania skrzydełek ćmy, lecz nic nie dostrzegł.

Pan Sikes zniknął. Max pomachał Davidowi, odwrócił się i przeszedł pod białym łukiem bramy Rodrubân. Wyjął włócznię, którą ukrywał do tej pory pod swetrem.

Pośrodku rozległego dziedzińca rósł samotny prastary dąb. Wokół jego pnia szumiała fontanna z czystą, świeżą wodą. Przed fontanną stała kobieta o kruczoczarnych włosach, wysoka i dumna. Postąpiła kilka kroków do przodu, zatrzymała się przed Maksem i zerknęła na Gae Bolga w jego dłoni.

– Skąd to masz? – zapytała, nie odrywając wzroku od uszkodzonej broni.

– Dostałem ją – odparł lodowato Max. – I mam ją mieć.

– Jestem Scathach – przedstawiła się kobieta, delikatnie ujęła Maksa za rękę i wyprowadziła z dziedzińca. Wspinali się po wielu schodach i minęli wiele sal. Nie było widać ani śladu armii, która wygrała bitwę. Zamek przenikała głęboka cisza. W końcu doszli do długich, marmurowych schodów zwieńczonych złotymi drzwiami. Scathach otworzyła je i pchnęła Maksa do wielkiej sali obwieszanej gobelinami. Na końcu komnaty stał tron, a na tronie siedziała osoba skąpana w takim blasku, że Max natychmiast zaczerpnął powietrza i padł na kolana, przysłaniając oczy.

Przez dłuższy czas panowała cisza. Max pokłonił się nisko. Słyszał tylko łomot serca w swojej piersi. Nagle salę wypełnił czysty głos:

– Scathach, kogo przyprowadziłaś?

– Nie wiem, mój panie – odpowiedziała.

– Spójrz na mnie, chłopcze – rozkazał głos.

Max zmusił się, by podnieść głowę, i poprzez całą długość sali spojrzął na mówiącego. Oczy piekły go i bolały, lecz nie był w stanie odwrócić wzroku. Na tronie siedział przystojny młody mężczyzna. W rękę trzymał ciężką włócznię, a u jego stóp drzemał wielki, szary wilczarz. Ogromny pies patrzył na Maksa. Kiedy wstał i podszedł to niego, chłopiec omal nie zemdłał. To było stworzenie z jego snów.

Pies zatrzymał się kilkanaście centymetrów od twarzy Maksa i wydał gardłowy warkot. Chłopiec przywołał całą swą odwagę, wstał na równe nogi i wbił wzrok w wilczarza. Pies i chłopiec trwali, mierząc się wzrokiem.

– Z pewnością należy do mego rodu – orzekł w końcu mężczyzna głosem cichym i spokojnym.

– Nosi to, mój panie. – Scathach podniosła rękę Maksa, by zademonstrować złamaną włócznię.

– Przynieś mi to – rozkazał głos.

Ponaglony przez dziewczynę, Max niechętnie ruszył naprzód, walcząc z przemożną chęcią, by odwrócić wzrok od rażącego blasku. Pies dreptał przy nim. Kiedy zatrzymali się u stóp tronu, mężczyzna wyciągnął rękę po broń.

– Potężny i sprawiedliwy był ten, kto nosił ją w dawnych wiekach – odezwał się, oglądając z uwagą grot.

– Czy jesteś tego godzien?

– Jestem – odparł Max i spojrzął w beznamiętne oczy

władcy.

– Jak cię nazywają? – zapytał mężczyzna.

Max nie odpowiedział od razu. Przez dłuższą chwilę patrzył na stojącego obok wilczarza.

– Jestem Max McDaniels.

Mężczyzna schylił głowę w ukłonie.

– Stoisz przed Lughiem Długorękiem, Najwyższym Królem Rodrubân. Przychodzisz szukać tego, co zostało mi powierzone. Jesteś moim synem.

Słowa mężczyzny długo dźwięczały w uszach Maksa. Zalała go fala emocji. Spojrzał na zalaną blaskiem postać i wiedział, że król nie kłamie. Scott McDaniels nie był jego ojcem. Całe życie Maksa i jego tożsamość były kłamstwem, oszustwem. Lugh podniósł się z tronu i stanął obok chłopca, który sięgał mu zaledwie do piersi. Na twarzy Najwyższego Króla nie było widać ani ciepła, ani miłości, zaledwie chłodną ciekawość. Lugh oddał potrząskaną włócznię Maksowi i zacisnął wokół niej jego dłonie.

– Scathach sprawdzi, czy jesteś jej godzien – oznajmił.

– Ja nie mam czasu na próby – zaprotestował Max ze łzami w oczach. – Mam tak dużo do zrobienia!

– Nie jesteś jeszcze gotów – orzekł Lugh. Gestem rozkazał dziewczynie wyprowadzić chłopca z sali.

Audiencja dobiegła końca. Zanim Max odszedł, spojrział raz jeszcze na ułożonego u stóp tronu psa. Kiedy Scathach zamknęła drzwi, Najwyższy Król wydał ostatni

rozkaz:

– Złamać go.

Minęło wiele pełni i nowiów Księżyca, pory roku zmieniały się jedna po drugiej, a Max, uwięziony w zamku, ćwiczył i cierpiał dozorowany przez Scathach. Dzięki jej naukom opanował wiele umiejętności, lecz zapłacił za to wysoką cenę.

Spoglądał na wioskę ze swej komnaty na szczycie najwyższej wieży. W oknach chat wśród czarnych, ponurych pól paliły się światła. Gdzieś tam był David. Przez chwilę Max nie potrafił przypomnieć sobie twarzy kolegi i bardzo się zawstydził. Odszedł od okna i zapatrzył się w swoje odbicie w lustrze z polerowanego srebra. Spoglądał na niego przystojny młodzieniec o twardym spojrzeniu. Przejechał szorstkim, pełnym odcisków palcem po cienkiej, białej szramie na twarzy. Ciągnęła się od kości policzkowej aż do brody. Jedna z pamiątek po naukach, które pobierał w Rodrubân.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi.

Max się odwrócił. Weszła Scathach. Miała na sobie haftowaną, białą lnianą suknię, a w ręku zawiniątko z zielonego jedwabiu, które położyła na łóżku.

– Jutro masz opuścić Rodrubân – rzekła, nie patrząc mu w oczy.

– Dokąd pójdę? – zapytał Max.

– Wiedzą to inni – odpowiedziała. – Będą na ciebie czekać przed bramą o świcie.

Max skinął głową i podszedł do łóżka, by sprawdzić, co jest w zawiniątku. Rozwinął je i ujrzał złamaną włócznię oraz nanokolczugę señora Lorki. Na niej leżało jednak coś jeszcze – broszka ze srebra i kości słoniowej w kształcie słońca. Max obejrzał ją dokładnie przy świecy.

– Co to? – zapytał.

– To abyś o nas nie zapomniał – odpowiedziała miękko i pocałowała go w policzek, po czym odwróciła się i bezszelestnie wyszła z komnaty. Na progu zatrzymała się jeszcze na chwilę i powiedziała:

– Nie zapomnij nigdy, że jesteś synem króla.

– Czy jeszcze go zobaczę? – chciał wiedzieć Max.

– Nie – odpowiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Rano Max czekał na dziedzińcu, aż otworzy się przed nim brama wjazdowa. Wyszedł na próg, a potem na mokrą trawę. Po drugiej stronie mostu czekał David. Opierał się o wóz zaprzężony w jakąś starą szkapę o posiwiątych nozdrzach. Lejce trzymał zgarbiony, okutany po czubek nosa woźnica. Z kuźni dochodziło stukanie młota. Max przeszedł przez spokojny most na spotkanie z uśmiechniętym od ucha do ucha kolegą.

– Jesteś wyższy – zauważył David, osłaniając oczy przed słońcem.

– A ty wyglądasz tak samo jak przedtem – rzekł Max i klepnął Davida w ramię.

Woźnica niecierpliwie postukał w wóz kijem.

– Musimy jechać – zaskrzypiał stareńkim głosem.

Max odwrócił się i stwierdził, że woźnicą jest siwa staruszka o twarzy poranej zmarszczkami, wpatrująca się w niego spod brązowego kaptura.

– A ty kto jesteś? – zapytał.

– Caillech – mruknęła, rzuciła mu gniewne spojrzenie, po czym utkwiała wzrok w bruku.

David wzruszył ramionami, zdziwiony jej opryskliwością, i wspiął się na wyłożony słomą wóz. Max jeszcze raz spojrział na Rodrubân. Miał nadzieję, że na blankach zobaczy smukłą, kruczowłosą postać, lecz nikogo nie było. Tylko kruki szybowały na wietrze.

ŚCIEŻKI LOSU I POTĘGA WŁADZY

Wóz ciągnięty przez starą, zmęczoną szkapę podskakiwał na bruku. Podniosły się poranne mgły, słońce było już wysoko na niebie, a oni ciągnęli się przez pola, sady i wioski. Minęli zrujnowaną smukłą, białą wieżę. Caillech milczała, tylko od czasu do czasu, gdy szkapa zatrzymywała się, by powąchać jakiś kwiat czy poskubać przydrożną trawę, cmokała językiem. David miał wiele pytań i z ogromną ciekawością słuchał opowieści Maksa o jego przeżyciach i naukach w Rodrubân. Max nie krył przed nimi wielu rzeczy, lecz na temat króla Lughy zdradził niewiele, a kwestię rzekomego ojcostwa, która go bardzo trapiła, pominął zupełnie.

– A ty? – zapytał. – Co ty robiłeś przez cały ten czas?

– Prace gospodarskie i rzemiosło – uśmiechnął się David. – Umiem nosić wodę ze studni, czyścić stajnie, karmić zwierzęta, farbować wełnę i nawet potrafię od biedy sklecić parę butów!

– Okropność – skomentował Max.

– Co ty, dla mnie to były najszczęśliwsze chwile w życiu – zaprotestował chłopiec i poczęstował Maksa jabłkiem z koszyka. – I wcale się nie przechwalam, gdy mówię, że jestem najlepszym jednorękim szewcem w całym Sidh!

Max się uśmiechnął.

– Co z Astarothem? – zapytał. W gorącym, południowym słońcu Demon wydawał się odległym, błahym wspomnieniem.

– Tylko plotki – wzruszył ramionami David. – Od czasu do czasu przybywali wędrowcy i mówili coś o dziwnych stworzeniach, które na rozstajach żartowały sobie z przechodniów. W każdym razie nie wiem, skąd Astaroth pochodzi, ale na pewno nie stąd. Wydaje mi się, że nawet tu, w Sidh, się go boją.

– A skąd... – szepnął Max i ruchem głowy wskazał na dziwnego, zgarbionego woźnicę.

– ... się wziął nasz woźnica? – dokończył David z uśmiechem. – Wczoraj wieczorem, gdy sprzątałem w warsztacie, zapukała do drzwi. Nawet nie usłyszałem dzień dobry. Tylko: „Jutro rano odbieramy twoją nagrodę”, i bez pytania położyła się spać w moim łóżku! Dziwne, wiem, ale tu wszystko jest dziwaczne. Wszyscy tylko chodzą tam i z powrotem w swoich tajemniczych sprawach.

– A dokąd ona nas wiezie? – spytał Max.

– Brugh na Boinne – chrapliwie odpowiedziała Caillech, odganiając końską muchę.

Max wyprostował się i popatrzył na staruszkę. Od chwili, kiedy na rozstajach zdecydował o celu ich podróży, ta nazwa prześladowała go bez przerwy. Astaroth przecież powiedział, że tam znajdzie matkę.

– Jak to daleko? – zapytał.

– Daleko – odparła.

– Nie możemy jechać trochę szybciej? – zapytał Max, patrząc, jak łeb kobyły porusza się miarowo z każdym niespiesznym krokiem.

Caillech zaśmiała się, a raczej wydała z siebie niski, pozbawiony radości rechot.

– Był sobie raz człowiek, który na targu zobaczył wpatrującą się w niego Śmierć – mruknęła. – Przestraszył się, ukradł konia i jak najszybciej uciekł do innego miasta. Tam wynajął pokój w karczmie i zaryglował drzwi. A Śmierć czekała na niego przy kominku. „Jak to możliwe? – zawołał. – Jak możesz tu być?”. Śmierć się uśmiechnęła. „To samo pytanie zadałam sobie na targowisku, bo właśnie tu miałam się z tobą spotkać” – odpowiedziała.

Caillech zaśmiała się znowu i potrząsnęła głową. Max nic nie powiedział. Spojrzał za to na Davida. Jego kolega wydawał się zatopiony w myślach. Siedział zapatrzony w omszałe resztki jakiegoś starego muru.

Wóz toczył się tak przez wiele dni. Świeciło słońce, padały deszcze, wiały wiatry, a oni jechali białą drogą, wijącą się między wzgórzami. Od czasu do czasu widzieli różnokolorowe armie maszerujące gdzieś daleko w szyku niczym mrówki. Chłopcy pytali o to Caillech, ale ona powiedziała tylko, że armie królestw Sidh często ze sobą walczą. Tempo podróży doprowadzało Maksa do szału. Caillech spała w nocy jak zabita, a bywały dni, gdy nie dało się jej dobudzić przed dwunastą w południe. Kiedy

wreszcie wstała, nie była zbyt rozmowna – siedziała cały czas cicho na koźle, gryzła wargę i mrukliwie, monosylabami odpowiadała na pytania chłopców.

Pewnego dnia wczesnym popołudniem coś wyrwało Maksa z sennego zamyślenia. Mianowicie wóz się zatrzymał. Caillech podrapała się w głowę i odwróciła, by oszacować drogę, którą już pokonali. Zachmurzyła się i splunęła na bruk.

– Co się stało, Caillech? – zapytał ostrożnie David.

– To nie jest droga do Brugh na Boinne – odparła powoli, nie patrząc na chłopców.

Max wybuchnął.

– Co masz na myśli?! – wrzasnął i walnął otwartą dłonią w deski wozu, po czym wstał i rozejrzał się dokoła. Ich droga była jedyną drogą widoczną aż po horyzont.

– To nie jest droga do Brugh na Boinne – powtórzyła.

– I dopiero teraz zdałaś sobie z tego sprawę? – zapytał z niedowierzaniem Max. Ukrył twarz w dłoniach.

– Czy ty w ogóle wiesz, dokąd zmierzasz?

Caillech wbiła wzrok w Maksa. Jej ciemne oczy zwęziły się w szparki.

– A ty? – zapytała.

Max przełknął ślinę i powstrzymał się od odpowiedzi. Poskromienie emocji wiele go kosztowało.

– Sam bierz wodze albo siedź cicho, zuchwałe dziecko! – syknęła stara.

Max stał, nie odrywając od niej wzroku, i czuł, jak kipi w nim złość. Po chwili łagodnie odezwał się David:

– Ona nie chciała przecież wybrać złej drogi. Siadaj, Max.

Max skinął głową, lecz nie spuszczał oczu z Caillech. Ona zaś odpowiadała mu równie gniewnym spojrzeniem. Chłopiec opadł na słomę, zaplótł ręce pod głową i zapatrzył się w niebo. Szkapa prychnęła i rozpoczęli powolny, znojnny proces zawracania na wąskiej drodze.

Kilometry wlokły się powoli. Był już prawie zmierzch, a jeszcze nie dojechali do krzyżówki. Już nawet wesołe pogwizdywanie Davida grało Maksowi na nerwach. Przekręcił się na bok i pstrykając palcem w deski wozu, próbował powstrzymać zalewającą go irytację. Westchnął. Zmęczona szkapa cicho zarżała i wóz jeszcze bardziej zwolnił. Max zerknął na niebo i stwierdził, że słońce jeszcze do końca nie zaszło.

– Jeszcze się nie zatrzymujemy – rzucił ostro, po czym zamknął oczy i zaczął rozcierać sobie skronie.

– Już dojechaliśmy – wychrypiała staruszka, gdy wóz się zatrzymał.

– Dojechaliśmy gdzie? – warknął Max.

– Do Brugh na Boinne – odpowiedziała Caillech.

Max ociężale otworzył jedno oko i zobaczył, że David stoi już na wozie i wypatruje czegoś w oddali. Chłopiec podniósł się i zamrugał. Droga kończyła się raptownie i przechodziła w tunel pod ogromnym wzgórzem, którego zbocza zavalone były glazami i powyrywany korzeniami drzew. Max zszedł z wozu i

rozejrzał się.

– Przecież nie jechaliśmy tędy wcześniej – powiedział i rzucił Davidowi ostre spojrzenie. – 1, wracając, nie zjeżdżaliśmy na inną drogę.

David kiwnął głową i zadrżał. Ostatnie promienie słońca ginęły za horyzontem. Krajobraz wokół nich stopniowo pogrążał się w ciemności, lecz z otworu pod wzgórzem świeciło blade światło. Początkowo było słabe i drżące, jednak z każdą chwilą nabierało mocy, jakby zapraszając ich do wnętrza. Najwyraźniej płonęło tam ognisko.

Max poczuł dziwne mrowienie w szyi i palcach. Uczucie było identyczne jak wtedy, kiedy odkrył gobelin w muzeum.

Caillech zeszła z kozła i pokuśtykała ku wejściu do tunelu.

– Na co czekacie, głupcy? – syknęła, po czym zgarbiona, przygięta niemal do samej ziemi, weszła do środka. Max odebrał koledze plecak, zacisnął palce na włóczni Cúchulaina i ramię w ramię chłopcy zaczęli schodzić do środka ziemi.

Okazało się, że droga ciągnie się w głąb góry. Kroki wędrowców na bruku odbijały się echem od ścian tunelu, kiedy schodzili łagodnie w dół, pokonując jednocześnie długi zakręt. Na ścianach błyskało ciepłe światło ognia, złamane tylko zniekształconym, ogromnym cieniem Caillech, która szła przed nimi i mruzczała coś pod nosem.

Droga wreszcie skończyła się w dużej, głębokiej

jaskini wewnątrz góry. Na ścianach wisiało wiele gobelinów. Oświetlał je ogień płonący na masywnym otwartym palenisku pośrodku groty. Pod jej tylną ścianą stał alabastrowy postument, na którego gładkiej powierzchni leżało kilka przedmiotów.

– Patrzcie! – wychrypiała Caillech. – Cztery Skarby Tuatha Dé Danann, a wśród nich ten, którego szukacie!

Okrążywszy za Caillech palenisko, chłopcy podszli do postumentu. Staruszka wyciągnęła kościsty palec w stronę olbrzymiego kotła z trawionego brązu, z którego wystawało masywne drzewce.

– Kocioł Dagdy – mruknęła. – Mówią, że potrafi nakarmić armię i podnieść z grobu umarłych. A w nim włócznia Lugha, śmiercionośna dla wszystkich, prócz tych, którzy pochodzą z jego rodu, i tak straszliwa, że spoczywa w wodzie z dodatkiem wyciągu z maku. A oto miecz Nuada, Claiomh Solais – sapnęła, wskazując lśniący srebrem miecz. – Obok niego Lia Fail, dawny kamień nominacyjny, przepołowiony przez Cúchulaina!

Max podszedł do kamienia i pociągnął dłonią po jego szorstkiej powierzchni aż do ostrego kantu, za którym zaczynała się gładka jak stół powierzchnia cięcia. Spojrzał na broń, którą nosił przy sobie, i zastanowił się, czy to rzeczywiście ten sam grot przeciął skałę wieki temu. David minął go i podszedł do ostatniego przedmiotu na postumencie.

Tam, zawieszona w szklanej gablocie, znajdowała się Księga Thotha. David i Max przyjrzeni się jej z bliska.

Dmuchane szkło zniekształcało widok, lecz można było dostrzec obwolutę z matowego złota, na której wytłoczone były hieroglify oraz profil egipskiego boga – mężczyzny z głową ibisa. David wziął gwałtowny wdech i spróbował podnieść gablotę. Ani drgnęła.

– Pomogę ci – zaofiarował się Max. Objął oburącz gablotę i spróbował ją dźwignąć.

– Gablota jednak tkwiła na miejscu jak przymurowana. Chłopcy stali i patrzyli na księgę, zupełnie jakby to był tort, którego nie da się zjeść. Nagle David syknął i nerwowym ruchem włożył rękę pod koszulę. Za delikatny łańcuszek wyciągnął talizman Brama.

Wisior płonął tęnym, czerwonym blaskiem, który jednostajnie się nasilał. Było to dostrzegalne gołym okiem, nawet w tak krótkim czasie.

– Musimy się pospieszyć – mruknął David, ściągając łańcuszek z szyi i odrzucając gorący talizman na bok. – Księga jest w niebezpieczeństwie.

Max odsunął się, a David zaczął nucić. Podziemną grootę wypełniły dziwne słowa i potężne zaklęcia. Wydawało się, że cała ziemia zamarła w bezruchu i nasłuchuje. Nic się jednak nie zdarzyło. Max czuł, że David zaczyna się denerwować. Słowa, które wymawiał, zmieniły się w pieśni, potem znów w śpiewną, monotonną inkantację, która tak nasyciła powietrze magią, że niemal brzęczało. A jednak szkło nie pękało. Teraz pieśni przerodziły się w szeptanie. Powolnie wypowiedane

straszliwe słowa odbijały się od ścian i szeptem do nich wracały, odległe i szydercze. David zwiesił głowę. Szepty umilkły. Podniósł brwi i zmęczonym wzrokiem spojrzał na Maksa.

– Przepraszam – westchnął – ale chyba musiałem coś stracić.

Max nagle doznał olśnienia.

– Niczego nie straciłeś – krzyknął podniecony i potrząsnął przyjacielem. – Pamiętasz zagadkę Brama? Pamiętasz? – I jak szalony, na jednym oddechu, wyrecytował drugą zwrotkę wiersza:

*Gdzie spoczywa księga razem
Z tym, co śpi pod wzgórzem i pod drzewem.
Pamiętaj, młody Czarnoksiężniku,
Jej tajemnic żadnym nie uwolnisz zaklęciem.*

– Masz rację – rzekł David, wolno mrugając. – Czary tu nie pomogą.

– Cokolwiek macie robić, musicie się szybko decydować – mruknęła Caillech. – Wejście na górze jest otwarte.

Jej słowa zadziały na chłopców jak trzaśnięcie z bicia. Max odwrócił się i spojrzał na talizman.

Topił się, równomiernie wydając fale gorąca.

Chłopiec poczuł, że coś gwałtownie łaskocze go w szyję. To pan Sikes trzepotał skrzydełkami tuż przy jego uchu.

– Włócznia! – pisnął chochlik. – Czarodziejska włócznia uwolni księgę, paniczu McDaniels! Demon nadchodzi! Och, pospieszcie się, albo będzie po nas!

Max przełknął ślinę i znowu zerknął na wejście do groty, jakby się spodziewał, że zobaczy tam wyłaniającą się z ciemności uśmiechniętą twarz Astarotha. Caillech zamknęła oczy i szybko wykonała ręką gest odganiający złe duchy. David nie mógł oderwać wzroku od topiącego się talizmanu.

– Już! – błagał pan Sikes słabiutkim głosem myszki. – Daj z siebie wszystko, mierz celnie, uderz mocno!

Max zacisnął dłonie na drzewcu Gae Bolga i odwrócił się przodem do księgi. W jednej chwili zrobił szybki krok do przodu, uniósł włócznię nad głowę i opuścił jej grot, ostrzem prosto na szklaną gablotę. Rozległ się grzmot przypominający uderzenie pioruna. Maksa przeszył nagły ból i odrzuciło go do tyłu, pod samo palenisko. Chłopiec usiadł i złapał się za odrętwiałą rękę, po czym wstał, nie odrywając wzroku od Księgi Thotha, która dalej wisiała nieruchomo w gablocie. David i Caillech patrzyli na niego bez słowa, z oczami szeroko rozwartymi z przerażenia. Max odwrócił się, by podnieść włócznię Cúchulaina i doznał szoku.

Gae Bolga leżała potrzaskana na sto ostrych odłamków, rozrzuconych po całej jaskini. Max stał i przez jakiś czas przyglądał się im ~w milczeniu, wciąż nie mogąc uwierzyć. Bez słowa przeszedł przez grootę, zerwał ze ściany jeden z gobelinów i rozłożył go na ziemi. Ani

staruszka, ani David nie śmieli się odezwać, gdy czarnowłosy chłopiec chodził po grocie na czworakach, zbierając każdy najmniejszy odłamek metalu i kości, aż zgromadził niewielki stosik na gobelinie. Kiedy uznał, że to już wszystko, zrobił z gobelinu zawiniątko.

– Nic ci nie jest? – zapytał David.

– Nic – skłamał Max i podszedł do plecaka, żeby ukryć gobelin w jego czeluściach. Potem rzekł głosem miękkim i spokojnym: – Po prostu byłem za słaby. To była głupia pomyłka.

Caillech nic nie powiedziała.

– Nie – odezwał się David z namysłem. – Nie sędzę, żeby to była głupia pomyłka. Zrobiłeś tak, jak trzeba było. Przecież to nie ty rozsypałeś się w drzazgi, tylko włócznia. To ona była za słaba.

Max spojrzał na resztę drogocennych przedmiotów na alabastrowym postumencie i nagle doszedł do piorunującego wniosku. Przecież w grocie znajdowały się dwie włócznie. Widocznie wybrał niewłaściwą.

Zmarszczył czoło i zdecydowanym krokiem podszedł do kadzi, po czym sięgnął po włócznię Lughy.

– Nie! – wrzasnął David i zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami. – Nie dotykaj jej! Weź miecz.

Caillech powiedziała, że ta włócznia cię zabije!

Max zawahał się na chwilę. Wrócił pamięcią do krótkiej audiencji w sali tronowej w Rodrubân. W słowach Lughy tkwiła cicha i spokojna prawda. Kiedy o tym pomyślał, od razu porzucił wszelkie obawy. Był

synem Najwyższego Króla. Gdy spłynęło na niego to olśnienie, kątem oka zobaczył, że David błaga go, by nie ruszał włóczni, do połowy zanurzonej w magicznej cieczy.

– Nie zrobi mi krzywdy, Davidzie – mruknął Max i zamknął oczy, po czym wydobył włócznię z kotła. Woda zaczęła bulgotać i syczeć. Z samego czubka grotu włóczni spłynęła powoli po drzewcu, aż na palce Maksa, strużka krwi. David wzdrygnął się i wycofał, a Max odwrócił się ku księdze. Jeszcze raz zamachnął się włócznią i opuścił ją na szklaną gablotę. Tym razem nie poczuł bólu.

W ramieniu odczuł jedynie satysfakcjonującą moc, kiedy włócznia Lugha z błyskiem białego światła roztrzaskała szkło na tysiąc małych odłamków, które rozsypały się po całej grocie. Księga Thotha wisiała dalej w powietrzu, a włócznia wiła się i syczała w ręku Maksa. Chłopiec podszedł do kadzi, zataczając się z oszołomienia, i zanurzył straszliwe narzędzie w cieczy. Ta zaczęła parować i pienieć się, co trwało jeszcze chwilę, lecz potem się uspokoiła.

– Udało ci się – westchnęła Caillech i oparła się bezsilnie o postument, a potem powoli osunęła na ziemię. Oparła się plecami alabaster i głęboko odetchnęła.

– Bardzo dobrze, mój chłopcze. Długo na to czekałam.

Max starł krew z dłoni i uśmiechnął się do niej. Po raz pierwszy zobaczył, że staruszka odpowiada mu uśmiechem. Odwróciła się potem w stronę Davida, który

właśnie chwycił zawieszoną w powietrzu księgę i przytulał ją do piersi.

– Co teraz? – Max był zdezorientowany.

– Teraz musicie wracać do domu – powiedziała chrapliwie Caillech. – Zabierzcie tę księgę z Sidh, bo nie należy do tej krainy. Nie tu ją napisano i nie może tu zostać.

– Ale jak? – Max przypomniał sobie, że „Pustułka” już jest wrakiem. – Jak mamy się dostać do domu?

– Za pomocą tego – sapnął David i pogładził dłonią złocistą okładkę księgi. – Księga nas poprowadzi.

Usiadł po turecku przy Caillech, otworzył Księgę Thotha i dotknął czubkami palców jej cieniutkich papirusowych kartek. Kiedy przeglądał strony pełne dziwnych, kunsztownych symboli, trwała – przejmująca cisza. Słyszeć było tylko trzask płomieni.

Max chodził po jaskini i patrzył, jak jego cień pełza po ścianach gobelinach. Od czasu do czasu rzucał też wzrokiem na medalion, który wydawał teraz jasny, pulsujący blask. David jednak się nie spieszył. Lekceważył ponaglenia kolegi i całą uwagę poświęcił księdze. Wylał zawartość fiolek z cudowną krwią Mai na kartki księgi, by odczytać jej zawartość. Krew połączyła się w krople, jak rtęć, i toczyła się po kartkach, dopóki papirus jej nie wchłonął. David przewrócił jedną z delikatnych stronic i z oczami pełnymi łez przemówił:

– Jest taka piękna. O wiele prostsza, niż oczekiwałem.

– Więc je rozumiesz? Te wszystkie symbole? – spytał Max.

– To nie same symbole – rzekł poruszony do głębi David. – Chodzi o ich sekwencje, ich kształt, chodzi o wszystko razem! Tak, rozumiem! Rozumiem to!

Jego głos wibrował zdumieniem. David podniósł rękę i przemówił:

– *Mllthias braga cibil fah.*

Max mrugnął. David zaśmiał się. Na jego dłoni siedziała para ptaszków! Były niewielkie i miały gładziutkie, jaskrawoniebieskie piórka z żółtymi plamkami oraz długie dzioby. Ćwierkając, wskoczyły na ramię Davida, by zajrzeć mu w twarz.

– Co to za ptaki? – zapytał Max.

– Nie wiem – szepnął David w uniesieniu. – Jeszcze nie mają nazwy, a przynajmniej powszechnej. Max, one wcześniej nie istniały! To pierwsza para tego gatunku!

Max podszedł i schylił się, by przyjrzeć im się bliżej. Były prześliczne, delikatne, miały lśniąca, czarne oczka, które patrzyły na niego bez strachu. Oczywiście, przecież nie mają powodu się bać, zdał sobie sprawę. Nie mają żadnych wspomnień, nie wykształciły jeszcze instynktu ani wiedzy o świecie i jego mieszkańcach. Wszystko było dla nich całkowicie nowe. Powstały po prostu ze słów Davida, ukształtowały się z nicości. Caillech zaniemówiła. Nieufnie patrzyła na ptaszki, kiedy jeden z nich wskoczył Maksowi do rąk.

– Jak je nazwiemy? – zapytał David. – Max, ty

zdecyduj.

Max przeniósł wzrok na Davida, a potem znowu na jaskrawoniebieskie stworzonko w swej dłoni. Czuł się jak przyrodnik na wyspach Galapagos upojony faktem, że jest jeszcze tyle nowych, dotąd nieznanych rzeczy do nazwania. Właśnie w chwili, kiedy miał się odezwać, nieoczekiwanie rozbłysło światło.

Talizman Brama wybuchnął jaskrawym płomieniem.

Z topiącego się metalu szedł w górę czarny dym. Serce Maksa zaczęło bić jak oszalałe. W jaskini rozległ się głos:

– A może Folly i Hubris, i będzie z głowy?

Max odwrócił się i zobaczył stojącego na końcowym fragmencie bruku Astarotha. Demon uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Ptaszki sfrunęły z nienacka z rąk Maksa i Davida, gibkie i szybkie jak kolibry, i wylądowały na jego otwartej dłoni. Oczy Astarotha zwęziły się w wąskie, rozbawione szparki.

– Pięknie, Davidzie, pięknie – rzekł, przyglądając się z bliska stworzeniom. – Nie bądź jednak zachłanny i nie zatrzymuj tak kruchych istot tylko dla siebie. Podziel się nimi z mieszkańcami Sidh! Będą zachwyceni!

Następnie Astaroth powiedział coś do ptaszków i pogłaskał każdego z nich po główce. Szybko zeskoczyły z jego dłoni i wyleciały z groty. Demon patrzył za nimi. Ich ćwierkanie cichło w miarę, jak się oddalały. Potem odwrócił się do Davida, pochylił się do przodu, nie zstępując jednak z ostatnich kamieni bruku, i wyciągnął

ręce.

– A teraz, Davidzie, bądź grzeczny i przynieś mi księgę, zanim zdążysz jeszcze bardziej narozrabiać.

– Nie – odparł David i przycisnął cudowny przedmiot do piersi.

– Jesteś mądry i potrafisz odczytać jej sekrety, ale nie rozumiesz w pełni ani samej księgi, ani jej możliwości. Żaden śmiertelnik tego nie potrafi. Twoje życie to tylko krótki błysk, chłopcze, a ja płonę płomieniem wiecznym. Księga Thotha nie jest przeznaczona dla kogoś takiego jak ty. Jej władza nie leży w twojej naturze. Nawet w tej chwili Elias Bram pomstuje na twoją głupotę.

– Elias Bram nie żyje – odpowiedział David.

– Jego ciało, ale nie jego istota – rzekł Astaroth i powolnym ruchem pokręcił głową. – Wtedy, pod komnatami Solas, ostatkiem sił pochłonąłem go. Iskra Brama, jego dusza, żyje we mnie i jest świadkiem mojego zwycięstwa. Dla Brama prawdziwą torturą musi być świadomość, że zniweczyliście jego mozolną pracę i odzyskaliście dla mnie to, czym nigdy o własnych siłach nie zdołałbym zawładnąć.

– Ale przecież... list Brama! – krzyknął David. – Talizman! On sam nam kazał szukać księgi i strzec jej przed tobą! Ja, ja to odkryłem!

– Mylisz się, Davidzie – rzekł Astaroth. – To ja kazałem wam szukać księgi i strzec jej przede mną. I list, i talizman są moim dziełem, zostały przygotowane przez moich podwładnych, a ty tańczyłeś, jak ci zagrałem,

wesoła, mała kukielko!

Astaroth klasnął w swe delikatne dłonie i w jaskini rozbrzmiało echo oklasków. Jego oczy błysnęły w stronę Maksa i Demon rozbawiony uniósł brew.

– Widzisz, Max? Los bywa czasem bardziej okrutny niż śmierć. A teraz przekonaj swojego przyjaciela, żeby oddał mi księgę. Inaczej będę musiał cię skrzywdzić.

Strach Maksa przerodził się w gniew i chłopiec z impetem wyciągnął palec wskazujący w stronę Demona.

– Obiecałeś, że nas nie skrzywdzisz, dopóki jesteśmy tutaj, w Sidh, więc skłamałeś! Obiecałeś, że pod Brugh na Boinne znajdę mamę, i znów skłamałeś!

– W żadnym razie – zaprzeczył Demon i z chytrym uśmiechem pokręcił głową. – Nie zasypuj mnie fałszywymi oskarżeniami, Maksie McDaniels, w nadziei, że obudzisz Starą Magię. Nie kłamałem. Dopóki jesteście w Sidh, nie tknę was palcem. A twoja matka, Max, siedzi za tobą, choć nie jest już tak piękna jak dawniej. To ona najbardziej odczuje mój gniew. Będzie błagać o śmierć, lecz śmierci nie zazna! I to właśnie, mój chłopcze, ci obiecuję!

Max odwrócił się raptownie, by spojrzeć na Caillech. Była stara i całkowicie załamana, gdy tak siedziała oparta o postument. Jej wzrok napotkał spojrzenie chłopca i uśmiechnęła się, łagodnie potakując. Max pospieszył ku niej.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – zapytał, starając się uchwycić choć ślad rysów matki na pociętej

zmarszczkami, obwisłej twarzy staruszki.

– Zabroniono mi – odparła Bryn McDaniels. Ścisnęła mu rękę i zaczęła mrugać, by spędzić z oczu łzy.

– Czy chciałbyś, żeby cierpiała jeszcze bardziej, Max? – zawołał Demon. – Mogę zedrzeć skórę z jej ciała i połamać jej golenie, by wyssać z nich szpik, a ona i tak nie umrze.

Max podniósł się na nogi i spojrzał na Davida, który ciągle obejmował księgę i przyciskał ją do piersi.

– Max – błagał jasnowłosy, drobny chłopiec – nie mogę! Nie mogę dać Astarothowi księgi!

– David ma rację – odezwała się mama Maksa. – Nie przejmuj się mną. Moje życie jest już przeżyte.

– David pozwoliłby mi cisnąć ją w ogień, Max! – syczał Demon. – On nie zważa ani na ciało, ani na krew, ani na więzy rodzinne. Jedyłą jego prawdziwą miłością jest wiedza!

Max odwrócił się i wlepił wzrok w kolegę. Ręce trzęsły mu się coraz bardziej.

– Max... – szepnął David i ostrożnie postąpił krok do tyłu.

Max zignorował jego błagalny szept i podszedł do kotła Dagdy, w którym drzemała straszliwa włócznia. Chwycił ją, jeszcze raz spojrzał w oczy Davida i w mgnieniu oka podjął decyzję.

Kiedy wyciągał włócznię Lughy z magicznej cieczy, broń wydała przejmujący odgłos. Max, z rozszerzonymi z wściekłości oczami, wykonał potężny skok i z całej siły

cisnął nią w Astarotha. Krzycząca włócznia niczym błyskawica przeleciała przez grootę i przeszła Demona, zanim zdążył ruszyć się z miejsca.

Astaroth zawył z bólu i obiema rękami chwycił wbitą w swój brzuch włócznię. Grota zaczęła się walić, jakby magia, która ją podtrzymywała, nagle prysła. Z sufitu jaskini posypał się gruz i odłamki skały, a jej ściany zaczęły zapadać się do środka.

David trzymał przed sobą otwartą księgę i wykrzykiwał niezrozumiałe słowa. Palenisko przewróciło się, a płonące węgle rozsypały się po całej jaskini, zupełnie jakby ktoś ciągnął je za niewidzialne sznurki. Zajął się jeden z gobelinów. Wyobrażony na nim sielski krajobraz zaczął w mgnieniu oka czernieć pod wpływem pożerających go jaskrawych płomieni.

– Do gobelinu! – wrzasnął David, podbiegł do Maksa i jego mamy i pociągnął ich za sobą. – Szybko, zanim się spali!

Nie było czasu na dyskusje. Max chwycił plecak Davida i dźwignął z ziemi drobną, słabowitą kobietę.

Konanie Astarotha było ogłuszające. Max odwrócił się i stwierdził, że Demon powoli wyciąga sobie włócznię z trzewi. Ich oczy spotkały się na moment i Max omal nie oszalał ze strachu. Odwrócił wzrok ku płonącemu gobelinowi i mógłby dać głowę, że poza zasłoną dymu widzi zarys wieży Starego Toma. Złapał mocno matkę, wstrzymał oddech i skoczył w płomienie.

HISTORIA DEIRDRE FALLOW

Gdy skoczyli w płonący gobelin, jak obuchem uderzyło w nich lodowate powietrze. Stali na otoczonym żywopłotem trawniku przed Starym Tomem. Na jego wieży białą, luminescencyjną tarczą świecił zegar. Max obejrzał się za siebie i jego oczom ukazał się przerażający widok. W obramowaniu płomieni widać było jeszcze grotę w Sidh, a w niej, poprzez dym i pył – Astarotha. Demon trzymał się za straszliwą ranę w brzuchu i intensywnie wpatrywał w płonące przejście, jakby próbował się domyślić, dokąd uciekli. Z groty dobiegł potworny, nieludzki krzyk. Słyszając go, Max ledwo powstrzymał się przed tym, by nie paść na ziemię i nie zasłonić uszu. Płomienie przesłoniły widok i po chwili przejście się zamknęło. Zostali sami – pośrodku trawnika w cichą, spokojną zimową noc w Rowan.

Ze schodków i ścieżek zaczęły powoli dochodzić do nich stłumione głosy i okrzyki. Max ostrożnie postawił mamę na nogi. Zapanowało ogólne poruszenie – zewsząd schodzili się zdumieni uczniowie i nauczyciele, ciekawi, co się dzieje. Bryn McDaniels złapała syna kurczowo za ramię i powoli osunęła się na ziemię, siadając na zmrożonym śniegu. Max kucnął przy niej.

– Tata tu jest – szepnął, tuląc ją mocno do siebie,

żeby ją ogrzać. – Wkrótce go zobaczysz.

– Tak się cieszę – odparła i dalej przyglądała się wnikliwie otoczeniu.

Pojawiły się nad nimi cienie – ciemne i postrzępione na jaskrawobiałym śniegu. Max podniósł oczy i zobaczył komandora Wiljaka wraz z kilkoma członkami Czerwonego Bractwa. Wszyscy byli uzbrojeni, a miny mieli poważne.

– Jesteście – mruknął Wiljak i poświecił im po twarzach.

– Tak jest – odparł Max. – Musimy zaprowadzić ją do domu.

Wiljak milczał przez chwilę. Przyglądał się tylko stojącemu przed nim chłopcu, wyższemu niż ten, którego pamiętał, i o twarzy poznaczonej szramami. Był wyraźnie zdezorientowany, lecz równocześnie zadowolony. Spojrzał na panią McDaniels i zapytał:

– A to kto?

– Bryn McDaniels, moja mama, proszę pana – wyjaśnił Max i pomógł się jej podnieść. – Też skończyła Rowan.

Pani McDaniels wpatrywała się w komandora.

– Jestem Deirdre Fallow – powiedziała.

Max nie zareagował, gdy usłyszał nieznane imię i nazwisko. Patrzył tylko w śnieg. Pomyślał, że widocznie czeka go jeszcze więcej niespodzianek.

– Deirdre Fallow? – spytał Wiljak z niedowierzaniem, po czym zbliżył się, by oświetlić latarnią jej twarz. – Jak

to możliwe? Gdzie byłaś przez te wszystkie lata?

– To długa historia – odparła pani McDaniels. – Nie mogę teraz opowiadać. Jestem taka zmęczona...

– Zabieram ją do uzdrowicielek – powiedział Max i pomógł mamie przejść obok agentów, którzy rozstąpili się, by zrobić im miejsce. – Proszę przekazać pani Richter, że David musi się z nią natychmiast zobaczyć.

– To, co masz do powiedzenia pani dyrektor, możesz równie dobrze przekazać mnie. Ona jest naprawdę zajęta – odezwał się Wiljak.

– Jeśli chodzi o mnie, wolałbym porozmawiać z nią samą – rzekł David i mocno się rozkaślał.

– A jeśli chodzi o mnie, wolałabym usłyszeć wszystko bezpośrednio od Davida – rzekła pani Richter, szybko idąc przez śnieg w białym szalu na ramionach. Przywitała komandora Wiljaka skinieniem głowy i zatrzymała się przy Maksie i pani McDaniels. Kiedy na nią spojrzała, przez twarz przeszedł jej łagodny, pełen zrozumienia uśmiech.

– Witaj, Deirdre – powiedziała. – To nieoczekiwane, ale jakże przyjemne spotkanie. Nie sądziłam, że jeszcze cię ujrzymy. Kiedy odpoczniesz i będziesz gotowa, mam nadzieję, że sobie porozmawiamy.

Pani Richter podeszła do Davida i otoczyła go opiekuńczo ramieniem, po czym cała czwórka ruszyła pomiędzy gapiami ku szerokim schodom Domostwa.

– Pani Richter? – zaczął David, kiedy pani dyrektor oddaliła grupkę uczniów pierwszego roku. – Jak długo nas

nie było?

– Ponad trzy tygodnie – odpowiedziała. – Zaczynaliśmy już tracić nadzieję. Ufam, że misja zakończyła się sukcesem?

– Nie jestem pewien – powiedział David, tuląc do siebie księgę, i w ślad za panią Richter poszedł korytarzem w stronę jej gabinetu.

Max odprowadził mamę do skrzydła szpitalnego. Co kilka kroków musieli się zatrzymywać, żeby mogła złapać oddech.

Podczas gdy moomenhoveny układały panią McDaniels w miękkim łóżku i przykrywały pikowaną kołdrą, Max pobiegł w górę po schodach do pokoju ojca. Pan McDaniels otworzył drzwi po drugim pukaniu i, słaniając się na nogach, tarł oczy. Przez ostatnich parę dni się nie golił i wyglądał fatalnie. Przez kilka sekund stał jak zamurowany. Max pomyślał sobie, że to pewnie dziwne uczucie, patrzeć na ukochaną osobę, którą widziało się ostatnio, gdy żaglowcem szybowiała po niebie.

– Czyżbym śnił? – zapytał w końcu.

– Nie, tato – odparł Max. – Jestem. Wróciłem.

Scott McDaniels wyciągnął rękę i mocno objął syna za szyję, oczy zaś wędrowały mu po jego blednących już bliznach.

– Wyglądasz jakoś inaczej, Max – rzekł ojciec – jakbyś był starszy.

– Bo jestem starszy, tato – odpowiedział Max delikatnie. – Nie było mnie dużo dłużej niż trzy tygodnie.

– Jak to możliwe? – dziwił się pan McDaniels z pełnym wahania uśmiechem. – Gdzie byłeś? Gdzie byłeś przez ten cały czas?

– Daleko – odpowiedział chłopiec. – Pod wzgórzami, w innym czasie. W dziwnym miejscu.

– Chciałem jechać z tobą – przypomniał pan McDaniels chrapliwie. – Chciałem. To okropne patrzeć, jak twój syn odpływa gdzieś w nieznane.

– Wiem, tato – kiwnął głową Max – ale wejdźmy do środka. Chcę ci coś powiedzieć.

W pokoju usiedli na skraju wciąż ciepłego, wygniecionego łóżka. Max wziął do ręki oprawione zdjęcie ich rodziny z czasów, gdy miał osiem lat. Patrzył na twarz matki i szukał w niej potwierdzenia tego, że staruszka śpiąca w sali szpitalnej i ona to rzeczywiście ta sama osoba. W jednej chwili opadły z niego wszystkie wątpliwości i cichym, cierpliwym głosem wyjaśnił ojcu, że mama się znalazła, żyje i wypoczywa teraz w Domostwie. Żołądek ścisnął mu się jednak w bolesny węzeł, kiedy zobaczył, jak przez twarz taty przemyka najpierw jedna radosna iskierka, a potem cała twarz rozświecła się promiennym blaskiem.

– Ale... jest coś, o czym musisz wiedzieć – powiedział Max szybko. – Mama nie jest już taka, jaką ją pamiętasz.

Pan McDaniels spojrział na syna badawczo i uśmiech

znikł mu z twarzy.

– To znaczy? Coś jej jest? – spytał.

– Nie – odpowiedział Max. – Nic jej nie jest. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Jest po prostu... stara.

– O czym ty mówisz? – zaśmiał się pan McDaniels. – Przecież twoja matka ma tylko czterdzieści dwa lata!

– Już nie – delikatnie sprzeciwił się Max. – Tam, w Sidh, czas płynie inaczej. Odkąd wyruszyliśmy z Davidem, tutaj minęły tylko trzy tygodnie, ale my byliśmy w podróży o wiele dłużej. Tato, od zniknięcia mamy tutaj minęły trzy lata. Jest teraz bardzo stara...

– Idę do niej – zdecydował pan McDaniels gwałtownie i wstał z łóżka. Zawiązał pasek od szlafroka, podszedł szybko do lustra i podrapał się po zaroście. – Nie, tak nie pójdę – mruknął, po czym napełnił umywalkę wodą i szybkimi ruchami zaczął mydlić twarz.

Świeżo ogolony, z policzkami zaróżowionymi z podniecenia, tata Maksa włożył swoją najlepszą koszulę, przetaił buty i ruszył za synem w stronę oddziału szpitalnego. Kiedy szli, Max wyjaśnił tacie, że mama też uczyła się w Rowan i że w szkole znana była jako Deirdre Fallow.

– Żartujesz! – przerwał mu ojciec. – Przecież twoja mama nazywa się z domu Bryn Branson Cabot i skończyła Szkołę St. Mary's w New Hampshire. Widziałem jej świadectwo urodzenia i jej papiery ze szkoły, na Boga!

– Tato, powtarzam ci tylko to, co słyszałem – rzekł

Max. – Mnie też jest trudno to wszystko pojąć.

– Wiem, wiem – mruknął Scott McDaniels – przepraszam.

Cichutko jak myszki podreptali na oddział, gdzie moomenhoveny przygotowały już krzesła i rozłożyły łóżko polowe. Pan McDaniels stał przez dłuższą chwilę bez ruchu, z rękami w kieszeniach. "W końcu usiadł i, zamyślony, zapatrzył się w spokojną twarz żony. Siedzieli tak we dwóch w słabym świetle palących się w kominku drew. Moomenhoveny robiły na drutach, a mróz malował wzory na szybach.

* * *

Mama Maksa obudziła się o świcie. Pan McDaniels uśmiechał się, i poklepywał ją po rękę, podczas gdy jej oczy powoli badały jego twarz – od bladoniebieskich tęczywek po głęboki dołek na brodzie.

– Nie bardzo jest na co patrzeć, co? – szepnęła.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie – odpowiedział jej mąż i pochylił się, by ucałować jej policzek.

Westchnęła i uśmiechnęła się do niego jeśli nie z niedowierzaniem, to z rozbawieniem. Wyciągnęła kruchą rękę i złapała go za palec.

– Wiele mam wam do wyjaśnienia – powiedziała z trudem. – Obaj musicie być na mnie bardzo źli.

– Bryn, co się wtedy stało? – zapytał Scott

McDaniels. – Dlaczego zniknęłaś?

– Ktoś złożył mi wizytę – mruknęła. – Ktoś z czasów, które myślałam, że na zawsze zostawiłam za sobą.

Scott McDaniels kiwnął w zamyśleniu głową. Twarz miał poważną, niemal ponurą. Jedną z moomenhoven przydreptała z gorącą herbatą, więc Max z tatą podnieśli nieco мамę i podparli jej plecy wysoko ułożonymi poduszkami. Kiedy upiła parę ostrożnych łyčzków, jej głos trochę się wzmocnił.

– Człowiek, który mnie odwiedził, był jasnowidzem. Poznałam go za czasów mojej nauki w Rowan – opowiadała. – Powiedział, że mój syn kiedyś się zgubi. Zgubi w głębi Sidh, chyba że ja tam będę i że zaprowadzę go do domu. Tego dnia było przesilenie letnie, a dodatkowo zaćmienie Księżyca. To się zdarza niezwykle rzadko, moi drodzy, i jest to dzień, w którym można znaleźć przejście do Sidh. Nie było czasu do stracenia! Przenieśliśmy się do Irlandii, a tam on zaprowadził mnie do sekretnego przejścia na brzegu rzeki Boyne. Ociągałam się przez jakiś czas, bo wiedziałam, że moje nagłe, niewyjaśnione zniknięcie stanie się przyczyną waszego bólu i cierpienia. Wraz ze świtem przejście zaczęło niknąć i wtedy się zdecydowałam. Przeszłam i żyłam tam, w Sidh, czekając na dzień, kiedy będę potrzebna. Tęskniłam za wami bardziej, niż możecie sobie wyobrazić.

– A Deirdre Fallow? Kto to jest? – zapytał Scott McDaniels.

– Ja nią byłam – odparła pani McDaniels. – Do

chwili, kiedy opuściłam Rowan i zostałam twoją Bryn. Bryn to był mój wybór, Scott. Wybór życia z tobą i z dala od tego wszystkiego. Odnalazłam szczęście jako Bryn McDaniels.

– Więc nigdy nie uczyłaś się w St. Mary's? – zapytał jej skołowany mąż.

– Nie – odparła. – Nowe życie wymagało, abym przybrała nową tożsamość. Przepraszam.

– Mamo, czy znałaś Williama Coopera? – zapytał Max, który nagle przypomniał sobie, jak dziwnie Cooper zareagował, kiedy zobaczył zdjęcie mamy wtedy, na statku.

– Tak – odpowiedziała nieco zdziwiona. – Był rok starszy ode mnie i był moją sympatią tu, w Rowan, jeśli możesz sobie to wyobrazić. Wspaniały człowiek. Poważny, ale cudowny. Od razu po skończeniu szkoły przeniesiono go do służby czynnej i straciliśmy kontakt.

– Opiekował się nami, wiesz? Davidem, mną, tatą i resztą w trakcie naszej wyprawy – powiedział Max.

– A teraz, gdzie jest? – zapytała z uśmiechem pani McDaniels. – Chętnie go znowu zobaczę. William zawsze potrafił mnie rozśmieszyć!

– Nie wiem, mamo – westchnął Max. – Rozdzieliliśmy się w Niemczech.

– Och – rzekła cicho. – Jaka szkoda.

Podczas całej tej rozmowy pan McDaniels się nie odzywał. Tęgawy mężczyzna, pochylony do przodu, z zamyśloną twarzą. Teraz gwałtownie się podniósł.

– Musisz być bardzo głodna – rzekł. – Na co masz ochotę?

– E, nie jestem taka głodna – odpowiedziała jego żona. – W tym wieku nie ma się już apetytu. – I zaśmiała się, by rozładować napięcie, ale nie bardzo się to udało.

– Nie, nie. – Pan McDaniels wykręcał niespokojnie ręce. – A co byś powiedziała na gofry? Uwielbiałaś je, a założę się, że tam w Sii, czy jak tam zwą tę dziwną krainę, ich nie było. Przecież nie odmówisz przyrumienionego, ciepłutkiego gofra ze świeżym syropem klonowym?

– Nie odmówię – uśmiechnęła się Bryn McDaniels. – Niech będzie! Śniadanie w łóżku. Oj, bo mnie zepsujecie!

– Zaraz wracam – zakrzyknął Scott, pocałował ją w czoło i dziarskim krokiem wyszedł z sali. To, że miał coś do zrobienia, sprawiało mu wyraźną przyjemność. Kiedy zniknął za drzwiami, mama Maksa westchnęła.

– Dusza człowiek, nie ma na świecie lepszego – szepnęła. – Ależ za nim tęskniłam. – Zwróciła teraz badawcze spojrzenie na syna. – Max, wiem kto rządzi w Rodruban – rzekła w końcu. – I domyślam się, że teraz już wiesz, jaki związek łączy was obu.

Max kiwnął głową i wlepił wzrok w czerwony szew na kołdrze.

– Tak. Niezręcznie mi z tobą o tym mówić, ale wiedz, że nigdy nie byłam niewierna mężowi. Zanim się urodziłeś, Lugh przyszedł do mnie we śnie i powiedział, że urodzę cudownego chłopca. Będzie to syn Sidh, odrodzony Cúchulain. Oczywiście potraktowałam to jak

jakiś dziwny sen. – Oczy jej zaświeciły. – A ty byłeś takim ślicznym dzieckiem! Pielęgniarki nie mogły się nadziwić, a mnie omal serce nie pękło z dumy, że mam takiego syna. A Scott! Kiedy cię kołysał na rękę, tak mocno ścisnąłeś mu palec, że zrobił się fioletowy!

Zaśmiali się i Max sięgnął po drobną, powykręcaną dłoń, która leżała na kołdrze. To było zaledwie parę drobnych kosteczek, obleczonych w cienką, pergaminową skórę. Chłopiec poklepywał tę dłoń delikatnie, kiedy mama mówiła, świadomy, że od chwili, gdy odnaleźli księgę, stawała się coraz słabsza.

– W miarę, jak rosłeś, wiedziałam już, że to nie był żaden sen – ciągnęła. – Tak mnie strasznie bolało, że cierpiałeś, siłując się ciągle z tą potworną iskrą, która się w tobie tliła. Max, ty łączysz dwa światy: śmiertelny i nieśmiertelny. Czułam, jak rozwija się w tobie Stara Magia, jak spala cię od środka i czeka na właściwy moment. Pamiętasz te okropne czasy?

– Tak – odparł cicho Max. – Nie mogłem spać. I te bóle głowy... myślałem, że umrę.

– Ale nie umarłeś. – Potrząsnęła głową. – Dałeś sobie radę, przetrwałeś. A teraz muszę cię poprosić, żebyś sobie poradził z czymś jeszcze.

– Z czym? – Max pochylił się, bo głos matki, choć cichy, był naglący.

– Nigdy nie zdradź Scottowi okoliczności, w jakich przyszedłeś na świat – szepnęła. – Jesteś dla niego wszystkim, synu! Kochał cię jeszcze zanim się narodziłeś.

Nie byłoby dobrze zdradzić mu taką tajemnicę.

Max szybkim ruchem otarł łzę.

– Już wiem, jak powinienem to traktować – rzekł i przywołał na twarz uśmiech. – Mój ojciec mieszka w Rodruban, a mój tata w Rowan.

Matka nie wyrzekła ani słowa, tylko z całej siły, na jaką mogła się zdobyć, ścisnęła go za rękę.

– Jesteś świetnym młodym człowiekiem, synu – szepnęła.

Kilka minut później wrócił pan McDaniels, niosąc nakrytą ściereczką tacę.

– *Voila* – krzyknął i postawił tacę na łóżku. Na talerzu parowały cztery pięknie wypieczone gofry, stał mały dzbanuszek z syropem klonowymi i szklanka świeżego soku.

– O rety – westchnęła pani McDaniels – to chyba niemożliwe. Nie są... hm...

– Spalone! – z triumfem dokończył Scott McDaniels.
– Tak, tak, nauczyłem się tu czegoś, moja droga. Bob jest superkucharzem!

– Jak się miewa Bob? – zapytała Bryn McDaniels. – Tyle się z nim nagadałam w kuchni, aż do czasu, kiedy pojawiła się ta okropna wiedźma. Nie mówcie mi, że ona ciągle tu jest! Udało jej się przekonać jakiegoś pierwszaka, żeby wskoczył do kotła! Biedny dzieciak myślał, że to jakaś nowa zabawa, aż się zorientował, że pływa w rosoli między marchewkami. Dzięki Bogu, że przyszła Kraken i przerwała te figle! Jak też ona się

nazywała?

– Nazywała się Mamuśka i wszystko słyszy! – odezwał się głos wiedźmy zza drzwi.

– Miałem ci coś powiedzieć, przepraszam – odezwał się Scott McDaniels, łamiąc żonie gofry na drobne kawałeczki. – Będiesz miała gości – wielu gości, kiedy tylko powiesz, że jesteś gotowa. Jeżeli chcesz, odeślę ich.

– O nie! – nie zgodziła się pani McDaniels. – Wszystkich chcę zobaczyć, nawet Mamuśkę!

Wszedł Bob, a za nim nachmurzona wiedźma. Za nimi panna Awolowo, pan Vincenti oraz Nolan z czarnym, jedwabistym kłębkem w ramionach. Na końcu weszła pani dyrektor.

– Deirdre Fallow! – wykrzyknął Nolan i schylił się, by ucałować jej głowę. – Kiedy się dowiedziałem, nie mogłem uwierzyć! Deirdre Fallow po tylu latach, a do tego jest mamą Maksa! Nie do wiary!

Wszyscy zaczęli się śmiać i witać ją ostrożnymi uściskami i dobrymi słowami. Nolan położył na kołdrze czarny kłębek. Kłębek się poruszył i Max stwierdził, że to kot – kot tak czarny, że jego sierść mieniła się odcieniami nieprzeniknionych nocnych ciemności. Mrugnęły żółte ślepia, gdy stworzenie przebudziło się z drzemki.

– Isis! – ucieszyła się pani McDaniels i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać aksamitną sierść. – Nie wiem, czy...

– Czy ciągle drapie? – dokończył Nolan z żartobliwym błyskiem w oku. – Tak, tak. Chociaż przesypia już prawie całe dni.

Isis odwróciła łebek i powąchała mamę Maksa, po czym, mrucząc głęboko, wstała, przeszła przez kołdrę i ułożyła się na jej piersi, wciskając łebek pod jej brodę.

– Isis to moja podopieczna, Max – wyjaśniła mama, nie przestając głaskać błyszczącego futerka kotki. – Nie byłam pewna, czy jeszcze żyje, a już tym bardziej, czy mnie pamięta.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają – uśmiechnął się Nolan.

– A niektóre tak! – zapewniła Mamuśka i przepchnęła się łokciami przez zgromadzonych, by bliżej przyjrzeć się mamie Maksa. – Chcę, żebyś wiedziała, że jestem już od dawna wiedźmą zreformowaną, cywilizowaną i absolutnie niezbędną w tej instytucji! – Mamuśka raptownie przerwała tyradę i poniuchala nadgarstek pani McDaniels. – Tak, tak, teraz cię pamiętam – wymamrotała sama do siebie. – Chuda dziewczyna z czarnymi włosami, bardzo podejrzliwa – wciąż obserwowała. Tak, tak, hmm... – rzekła, niuchając jeszcze raz, po czym spojrzała na Maksa, bez uprzedzenia porwała jego nadgarstek, przysunęła sobie do nosa i mocno wciągnęła powietrze. – To, że nigdy was ze sobą nie skojarzyłam absolutnie nie mieści mi się w głowie! – wykrzyknęła. – Matka i syn, to jasne jak to, że ja i Bel jesteśmy siostrami! Chyba muszę iść do lekarza, żeby mi nos zbadał...

Bob masywną ręką odciągnął Mamuśkę od łóżka, sam zajął jej miejsce i położył na kołdrze bukiet róż.

– Witaj w domu, Deirdre – rzekł, klepiąc lekko jej

przykrytą kołdrą stopę. – Bob tęsknił za małą Fallow. Czy może Bob ma cię nazywać Bryn?

Pani McDaniels zerknęła na Maksa i na męża.

– Bryn – odparła zdecydowanie. – Jestem teraz Bryn McDaniels.

Max, zafascynowany, patrzył i słuchał, jak poszczególni nauczyciele przysuwają sobie krzesła bliżej łóżka i zaczynają opowiadać historię jego matki, historię jaka nigdy nie przysłaby mu do głowy. Deirdre była, jak się okazało, znakomitą uczennicą. Wygrała Pióro Macona za wyniki w nauce, dostała propozycję pracy w dowolnym z biur terenowych. Chłopcu trudno było sobie wyobrazić, że mama chodziła po szkole tymi samymi ścieżkami co on, brała udział w takich samych zajęciach, a nawet że uczyli ją ci sami nauczyciele.

– Czy sir Alistair przeszedł na emeryturę? – zapytała Bryn McDaniels, mając na myśli specjalistę do spraw etykiety i dyplomacji.

– Nie – odparła panna Awolowo.

Pani McDaniels nie skomentowała tego, ale ku rozbawieniu wszystkich przewróciła oczami.

Rozmowa wkrótce przeszła na tematy związane z Sidh. Pani McDaniels opowiadała, jak spędziła sporo czasu, włócząc się tu i tam, ucząc się dziwacznych zasad panujących w tej krainie, jej praw i obyczajów. Musiała się dowiedzieć, które rzeki są niebezpieczne, jak unikać przemarszów wielu armii, do których królestw nie wolno się zbliżać w czasie jakich miesięcy i faz księżyca.

Opowiadając, tak bardzo się ożywiła, że w Maksie zatrzepotała nagle nadzieja, iż może następstwa przebywania w Sidh ustąpią, a przeżyte tam lata złuszczą się niczym warstwy farby, odsłaniając postać mamy, którą pamiętał z dzieciństwa.

Z rojeń tych wyrwało go gwałtowne pukanie do drzwi.

W progu stał Peter Varga.

Był jeszcze chudszy niż wtedy, gdy Max widział go ostatnio, lecz jego jasnowidzące oko wciąż świeciło białym, upiornym blaskiem w ciemnym oczodole. Poza tym jego twarz można było nazwać przystojną, cerę jednak miał ziemistą. Od poprzedniej wiosny przechodził rehabilitację po strasznym ciosie, jaki zadał mu swym młotem Marley Augur. Peter, kulejąc, wszedł do sali. Ciężko opierał się na solidnej lasce. Prawą stopę ciągnął za sobą.

Na jego widok Maksowi włosy zjeżyły się na głowie.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał, wstając.

Peter spojrzał na mamę Maksa i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia na widok jej siwych włosów i pomarszczonej skóry.

– Przyszedłem przywitać Deirdre – rzekł cicho.

– Nazywa się Bryn McDaniels – rzekł ostro Max – i jest moją mamą, a to wszystko stało się przez ciebie.

Peter się skrzywił. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

– Mam wyjść? – zapytał po chwili.

– Nie – odparła pani McDaniels, przyzywając go gestem. – Nie jesteś niczemu winny, Peter. Twoja wizja się sprawdziła. Rzeczywiście byłam potrzebna w Sidh.

– Jak to, nie jego wina? – syknął Max. – To przez niego jesteś stara! To przez niego więdźmy chcą dostać Davida! To pewnie on pomagał Astarothowi zdobyć księgę!

– Max – powiedziała ostrzegawczo pani Richter i potrząsnęła głową.

– Ale kiedy to prawda! – Max wytknął Petera palcem. – Czy David już pani mówił, pani dyrektor? Jest wśród nas drugi zdrajca! Ktoś, kto ma dostęp do Archiwum! Zdrajca podłożył list i talizman, więc zaczęliśmy szukać księgi na zamówienie Astarotha!

– Max! – powtórzyła pani Richter, stanowczym gestem domagając się ciszy.

Max spojrział po kolei na swoich rodziców, po czym strząsnął z ramienia uspokajającą dłoń Nolana i wypadł z pomieszczenia, wściekle trzasnąwszy drzwiami. Kiedy biegł na oślep korytarzem, minął zdziwioną Hannę z gąsiątkami, które człapały w stronę szpitala.

– Max, kochanie? – krzyknęła zaniepokojona Hanna.

– Nie zatrzymał się, by jej odpowiedzieć.

* * *

Wybiegł z Domostwa w jasny, pogodny poranek. Omal nie roztrącił grupy uczniów i nie wpadł na

spacerujących z psem starszych państwa. Pognał przez sad, a potem ścieżką do Kuźni. W biegu wstukał kod dostępu na Trasę.

Kiedy znalazł się w sali trofeów, zerknął pobieżnie na Pióro Mąconą, a potem pospieszył do wind, którymi zjeżdżało się na poszczególne poziomy. Kilku uczniów z szóstego roku otworzyło szeroko oczy ze zdumienia, kiedy w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi, wpadł do windy. W środku oparł się o mosiężną barierkę i zamknął oczy. Winda wciąż pachniała tak samo – pastą do pielęgnacji drewna, potem i smarem.

– Ej, na który chcesz poziom? – rzucił wysoki Południowoafrykańczyk.

– Dziewiąty – spokojnie odparł Max.

– A teraz serio! – Chłopak zareagował nerwowym śmiechem. Na poziom dziewiąty nigdy się nie zjeżdżało. Rzymska cyfra na przycisku błyszczała ostrym konturem w porównaniu z sąsiednimi, zużytymi i pościeranymi przyciskami.

– Poziom dziewięć – powtórzył Max ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Chodź lepiej z nami – zaproponował uczeń szóstego roku i cofnął się krok od panelu.

Max nachylił się i nacisnął guzik. Z głośnika pod sufitem rozległ się damski głos:

– Wymagana autoryzacja głosem.

– Max McDaniels – warknął i cofnął się z powrotem na swoje miejsce przy barierce.

– Udostępniono.

Winda jak strzała zjechała w dół, osiągając takie przyspieszenie, że wszyscy poczuli się nieswojo, po czym stanęła na poziomie piątym. Ci z szóstego roku wysiedli wśród szeptów, chichotów i spojrzeń.

– Na razie – rzucił Max, podnosząc wzrok, lecz uczniowie po prostu stali i gapili się na niego do chwili, aż drzwi się zasunęły.

Jechał w dół i w dół, całkowicie pogrążony w myślach, aż winda wreszcie się zatrzymała. Kiedy drzwi się otworzyły, Max znalazł się oko w oko z jakimś wymiętym analitykiem, który odkaszlnął, poprawił okulary na nosie i przygładził włosy, a wszystko po to, by zataić fakt, że spał.

– Agent specjalny Max McDaniels? – zapytał i uprzejmie skinął chłopcu głową.

– Uhm – odburknął Max, choć zdziwił go tytuł. Zerknął na czerwone piętno na nadgarstku. – Chyba tak.

– Nazywam się Jürgen Mosel – przedstawił się mężczyzna – i jestem analitykiem na poziomie dziewiątym. Mam zaszczyt w końcu cię poznać i od razu przepraszam, że nie byłem przygotowany na tę wizytę. To dlatego, że... na moim poziomie nikt nigdy nie ćwiczy.

Max minął go i znalazł się w małym, ośmiokątym pokoju wyposażonym w biurko, komputer i kanapę, na której układ poduszek zdradzał, co przed chwilą robił rozczochrany pracownik.

– Gdzie panel programowania? – zapytał chłopak i

zerknął na pojedyncze srebrne drzwi naprzeciw windy. Nie było przy nich żadnych przycisków ani napisów.

– Tu się nic nie programuje. – Jürgen wzruszył ramionami. – Scenariusze poziomu dziewiątego tworzone są losowo. Trenujący przed wejściem na Trasę z założenia nie może mieć żadnych konkretnych oczekiwań. Słyszałem, że zadania poznaje się już w czasie trwania scenariusza. Zanim jednak wejdiesz do środka, moim obowiązkiem jest ostrzec cię, że...

Słuchając w rozkojarzeniu wyjaśnień analityka, który zrzekał się "odpowiedzialności za ucznia w scenariuszu na najtrudniejszym poziomie, Max skoncentrował się na piętrzącej się w nim fali emocji i energii. Kiedy Jürgen skończył monolog, chłopiec uchylił drzwi i zajrzał do środka, w próżnię i ciemność. Pustka przed nim była niemal namacalna. Wszędzie panował paralizujący, ogłupiający mrok. Max wyrzucił naprzód rękę i patrzył, jak zanurza się w otchłani – jakby włożył ją do kadzi z atramentem. Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Poczuł, jak jakaś siła łagodnie, lecz stanowczo wciąga jego ciało w pustkę, aż palce zsunęły mu się z klamki i odpłynął w nicość.

Gdy dwie godziny później Max wyszedł z sali, w pokoiku analityka zastał tłum ludzi. Jurgena oddelegowano na mało zaszczytne miejsce z tyłu na kanapie, a członkowie Czerwonego Bractwa cicho ze sobą rozmawiali. Za biurkiem siedział komandor Wiljak i

uważnie wpatrywał się w monitor komputera. Postukał w niego parę razy palcem i skrzywił się.

– Proszę pana – odezwał się do Jurgena – coś tu nie działa. Ekran jest cały biały.

Kiedy Jurgen manipulował przy komputerze, Wiljak wstał zza biurka i okrążył je, by uścisnąć spoconą, drżącą z wysiłku dłoń Maksa.

– Przyszliśmy, jak tylko się dowiedzieliśmy – powiedział szybko. – Kto to słyszał, żeby po kryjomu wybierać się na poziom dziewiąty, i to samemu, bez pomocnika? Ha! Wiedziałem, żeś wart Czerwonego Bractwa.

Mówiąc te słowa, podniósł nadgarstek Maksa, by pokazać go innym, po czym szybko dokonał prezentacji. Max starał się zapamiętać dziewięć nazwisk – było tam sześciu mężczyzn i trzy kobiety – ale ponieważ czuł się wykończony, zdołał tylko bąknąć każdemu słowo przywitania. Mimo że członkowie Czerwonego Bractwa należeli do różnych ras i narodowości, łączyło ich jedno – spokojna, pełna rezerwy postawa. Z wyjątkiem jednej czy dwóch osób, wszyscy byli w średnim wieku. Wszyscy mieli szczupłe, skupione twarze.

– Już pan naprawił? – zawołał Wiljak do analityka.

– Chyba tu się nic nie naprawi, proszę pana – odpowiedział Jurgen.

Wiljak zmarszczył czoło i znowu okrążył biurko, by spojrzeć na ekran.

– Na pewno się da – warknął i wycelował palec w

monitor. – Wcześniej było coś widać, a teraz nic!

– Wiem, proszę pana – odparł Jurgen. – Lecz nic nie wskazuje na to, byśmy mieli niewłaściwy obraz. To, co pan widzi, lub raczej czego pan nie widzi, zdarzyło się właśnie w trakcie scenariusza!

Max podszedł i zerknął na monitor, podczas gdy Wiljak niecierpliwie przewijał ekran wstecz. Pośrodku okrągłego pomieszczenia widać było Maksa. W scenariuszu chłopiec miał zasłonięte oczy, a prawe ramię wykręcone do tyłu i związane. W lewej ręce ścisnął grubą drewnianą pałkę. Otaczali go przeciwnicy. W tym scenariuszu nie występowały ani potwory, ani ponadnaturalni wrogowie. Jego przeciwnikami byli inni agenci z Czerwonego Bractwa, łącznie z Cooperem. Wiljak zwolnił tempo odtwarzania do minimum, kiedy przeciwnicy zamknęli pętlę wokół chłopca.

Max mrugnął. Nawet w zwolnionym tempie jego ruchy były tak szybkie, że wręcz nieuchwytnie. Błyskały noże, lecz pałka gładko odpierała ich ciosy, by po błyskawicznych zamachach i z niespotykaną celnością miażdżyć żebra, kolana, pięści i kości policzkowe. Jej uderzenia wytrącały przeciwnikom broń z ręki, a oni sami padali na podłogę, podnosili się i po chwili uparcie od nowa podejmowali atak. W środku tego zamieszania poruszała się postać Maksa – piękny, harmonijny wir ruchów i pozorowanych ataków, kiedy wyczuwał pozycje przeciwników i skutecznie przewidywał każde ich posunięcie.

Walka wrzała dalej, Max jednak zaczynał być zmęczony. Skrzywił się, gdy zobaczył, jak gałka miecza Coopera uderza go w nasadę szyi. W ułamku sekundy nogi się pod nim ugięły i przeciwnicy rzucili się na niego. Przygnietli go do ziemi i obraz nagle zniknął w błysku białego światła. Na ekranie pojawił się napis:

SCENARIUSZ UKOŃCZONY WYNIK: 92

– To niemożliwe, jakie dziewięćdziesiąt dwa? – zaprotestował Wiljak. – Przecież przegrał.

– Eee... przepraszam pana... – odezwał się nieśmiało Jurgen, przywołując inny ekran i wskazując komandorowi napis na nim – ale Max jako jedyny przeżył.

Wiljak mrugnął i przeczytał raport ze scenariusza, po czym zaczął biegać wzrokiem po ekranie.

– Niesamowite – mruknął i przewinął nagranie, by jeszcze raz prześledzić śmiertelne ciosy zadane przez chłopca i precyzyjne łuki jego ruchów. – Co to za styl walki? Jedno jest pewne, że nie nasz.

– Nie ma nazwy – odezwał się Max. Dla Scathach nazwy nie miały żadnego znaczenia.

– A tu, co się stało? – zapytał Wiljak, kiedy cały ekran zrobił się biały.

– Nie pamiętam – odparł chłopak zgodnie z prawdą.

Wiljak spojrzał na niego ostro. W jego czarnych oczach widać było niedowierzanie.

– Taaak – westchnął i postukał w pusty, biały ekran –

może kiedyś zechcesz podzielić się z nami swoimi sekretami, co? Lecz nie przyszliśmy tu wyłącznie po to, by podziwiać twoje wyczyny, Max. Musisz wziąć udział w ważnym spotkaniu. Za chwilę się zacznie, już na nas czekają.

W ogromnej sali do nauki mistyki w Maggie zebrało się kilkaset osób, stłoczonych na ciasno poustawianych ławkach. Max, który wszedł za Wiljakiem, ujrzał wśród zgromadzonych wielu starszych nauczycieli i uczonych. Wyglądali na zaciekawionych, ale zarazem trochę niespokojnych. Prowadzili ze sobą ciche rozmowy w oczekiwaniu na rozpoczęcie zebrania. W sali znajdowali się też nieznani chłopcu agenci i mistycy, którzy przybyli ostatnio ze zlikwidowanych biur terenowych Rowan. Max zobaczył siedzącego na końcu pierwszej ławki Rasmussena. Doktor udał zdziwienie na widok chłopca, a potem obdarzył go porozumiewawczym, przebiegłym uśmiechem. Max całkowicie go zignorował i zajął miejsce obok innych członków Czerwonego Bractwa. Wiljak podszedł do mównicy.

– Dziękuję państwu za cierpliwość – zaczął. – Zanim jednak rozpoczniemy, muszę prosić każdego z państwa o podpisanie dokumentu, który za chwilę puszcze w obieg. Jest to Umowa Wiążąca. Składając na niej podpis, tracą państwo możliwość dzielenia się jakimikolwiek informacjami na temat przebiegu dzisiejszego spotkania, tego, kto w nim uczestniczy oraz poruszanych tu treści z

osobami trzecimi aż do chwili wypełnienia postanowień, powziętych na tym spotkaniu. Chodzi zarówno o bezpieczeństwo wasze, jak i moje. Czy to jest jasne?

– Jasne – odezwały się głosy zebranych. Max patrzył, jak kolejne osoby przekazują sobie kremowy zwój papieru i podpisują się na nim pod czujnym okiem członków Czerwonego Bractwa. Kiedy lista podpisów doszła do Maksa, chłopiec zawahał się przez moment. Nie rozumiał, dlaczego spotkanie wymaga zachowania aż takich względów bezpieczeństwa. Rozejrzał się w nadziei, że zobaczy twarze najlepiej znanych nauczycieli. Nikogo z nich na sali jednak nie było. Agent nadzorujący składanie podpisów podał mu długopis i wbił w niego spojrzenie bez wyrazu. Max już miał się podpisać, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

– To ten chłopak – rzekł Wiljak. – Wpuście go.

Jeden z członków Bractwa podszedł do drzwi i otworzył. Max nie widział pukającego. Usłyszał tylko okrzyk zdziwienia, a nawet radości. Zgromadzeni wychylili się ze swoich miejsc, by dojrzeć, kto idzie. Max otworzył usta ze zdumienia na widok Connora Lyncha, który pewnym krokiem wmaszerował do sali i zasalutował dziarsko przed Wiljakiem, po czym zajął miejsce w pierwszym rzędzie.

Za Connorem weszła w towarzystwie agenta z Czerwonego Bractwa jeszcze jedna osoba.

Cooper.

Max dłużej się nie zastanawiał – szybko nagryzmolił

swój podpis i przekazał zrolowany papier dalej, a Cooper w tym czasie podszedł bliżej i zamienił parę słów z komandorem, który przygarnął go do piersi jak syna. Przepchnąwszy się przez tłum zebranych, Cooper podpisał się naprędce na dokumencie i zajął miejsce obok Maksa, po czym odwrócił do niego twarz. Szrama na szramie, niektóre całkiem świeże, ułożyły się na moment w grymas przypominający uśmiech.

– Cooper! – szepnął Max i rozpromienił się. Wprost kipiał ciekawością, chciał zadać agentowi tysiąc pytań.

Ten jednak poklepał tylko chłopca po ramieniu i położył palec na ustach. Wiljak zaczął mówić.

– Taki początek to bardzo dobra wróżba – powiedział i ciasno zwinął zwój z podpisami. Przenosił wzrok z twarzy na twarz, a jego władczy głos wypełnił całą aulę. – Będę mówił prosto z mostu. Inaczej nie potrafię. Prosiłem każdego z tu zebranych, aby przemyślał kryzys władzy, który nawiedził Rowan i prowadzi szkołę do niechybnej zguby. Nikt z nas nie ma najmniejszych wątpliwości, że Gabrielle Richter to wspaniała człowiek o wielu, wielu zaletach, lecz nie da się jednocześnie zaprzeczyć, że jej polityka i decyzje jako dyrektora zaprowadziły nas na skraj katastrofy. Od czasu, kiedy podjęła niewłaściwe kroki w sprawie związanej z wiedźmami, żyjemy pod groźbą klątwy, doprowadziliśmy do tego, że wiedźmy przyłączyły się do obozu Astarotha, opuściliśmy nasze biura terenowe i zawiedliśmy Warsztat w potrzebie. Teraz zostaliśmy sami jako zrujnowana, ukryta przed światem

przystań dla uchodźców, a wszystko, co nas otacza, pada na kolana przed Demonem. Jediną nadzieją jest Księga Początku, odzyskana dzięki heroicznym wyczynom agenta McDanielsa, który zastąpił Antonia de Lorcę w szeregach Czerwonego Bractwa. Teraz księga ta odgrywa rolę naszej karty przetargowej. Nadeszła chwila prawdy – wszyscy, którzy kochają Rowan, powinni się za nią teraz opowiedzieć. Znaleźliście się tutaj, gdyż wiem, że jesteście patriotami. Wiecie, że trzeba być lojalnym przede wszystkim wobec szkoły, a nie wobec osoby prywatnej. Nadszedł czas zdecydowanego działania.

– Słuchamy dalej – krzyknęło parę osób.

Podniosła się jakaś starsza mistyczka.

– Co konkretnie ma pan na myśli? – zapytała.

– Trzy rzeczy – wyjaśnił komandor. – Pierwsza i najważniejsza to natychmiastowe usunięcie Gabrielle Richter ze stanowiska dyrektora. Nie mamy czasu na to, by postępować według zwykłego protokołu, więc proponuję, by odebrać jej przy użyciu niezbędnych środków Pierścień Założycieli, a ją samą niezwłocznie zesłać do Podziemia.

– To zdrada! – krzyknęła jedna ze starszych nauczycielek języków obcych.

Zszokowany Max zerknął na Coopera, lecz ten nie okazywał żadnych emocji. Kamiennym wzrokiem wpatrywał się przed siebie.

– Po drugie – ciągnął Wiljak, nie zważając na protesty nauczycielki, które kontynuowała, dopóki nie

uciszyły jej sąsiadki – Pierścień Założycieli w posiadanie wezmę ja i na nowo obejmę stanowisko dyrektora, czyli osoby, która sprawuje całkowitą władzę, jeśli chodzi o zarządzanie szkołą i prowadzenie w jej imieniu wszelkich negocjacji.

A po trzecie i ostatnie – mówił dalej – zorganizujemy spotkanie z wiedźmami, Warsztatem i wysłannikami Astarotha, by wynegocjować porozumienie korzystne dla wszystkich stron. Nawet zanim księga weszła w nasze posiadanie, uzyskałem zapewnienie, że wszelkie nasze propozycje zostaną przychylnie rozważone.

Max pochylił się do przodu, by spojrzeć na Rasmussena, który siedział z założonymi na piersi rękami i przytakiwał słowom Wiljaka. Jeden z agentów, brodaty Szkot z rudą grzywką, podniósł się i zapytał:

– A jakie to propozycje?

– To proste. W zamian za lojalność i posłuszeństwo nasza instytucja zostanie zostawiona w spokoju i będzie mogła w wolny sposób zarządzać swoją domeną, bez żadnej ingerencji z zewnątrz, w tym ze strony Astarotha. Domena ta będzie obejmować całą Nową Anglię i stan Nowy Jork. W miarę możliwości będziemy przyjmować w nasze mury uchodźców z innych stron świata, preferując jednak osoby o konkretnych, bliskich naszemu profilowi zdolnościach czy umiejętnościach. Obecni mieszkańcy, którzy takich cech nie posiadają, zostaną usunięci.

– Usunięci dokąd konkretnie? – zapytała

nauczycielka języków.

– Nie zostało to jeszcze postanowione – chłodno odpowiedział Wiljak i zerknął na pytającą, jakby chciał dobrze zapamiętać jej twarz. – Ale proszę się nie martwić, na pewno zapewnimy im należyłą opiekę i ochronę. O czym to mówiłem? Aha. Jesper Rasmussen wrócił na stanowisko kierownika Warsztatu we Frankfurcie i wspólnie wypracujemy politykę ścisłej współpracy. Równocześnie wyeliminujemy zagrożenie klątwą przez uspokojenie wiedźm i częściowe wypełnienie ich dawnej umowy z Eliasem Bramem. David Menlo zostanie oddany pod ich kuratelę tak, jak powinno to mieć miejsce jesienią zeszłego roku.

Max otworzył już usta, by zaprotestować, lecz poczuł, że twarde palce Coopera wbijają mu się w rękę. Szczęki agenta zacisnęły się i Cooper wykonał ledwo dostrzegalny ruch głową – Max miał siedzieć cicho.

– A co w takim razie z księgą? – zapytał jakiś uczony.

– Księga pozostanie w Rowan – z dumą odpowiedział Wiljak. – Groźba jej mocy sprawi, że Astaroth zgodzi się przestrzegać zawartej z nami umowy. Jej tajemnice umożliwią nam odbudowanie naszej potęgi. Nie tylko zdołamy przetrwać, lecz także osiągnąć z czasem chwałę i wpływy naszych przodków.

– Negocjować z Astarothem? – mruknęła szczupła mistyczka. – To brzmi jak kapitulacja! To wbrew wszystkiemu, za czym się opowiadamy!

– Opowiadamy się, panno Chen – wszedł jej w słowo

Wiljak – za okupionym możliwie jak najmniejszym cierpieniem przetrwaniem rodu ludzkiego. Ja to przetrwanie jestem w stanie zapewnić. I nie zgodzę się z pani definicją słowa „kapitulacja”. Ten, kto kapituluje, ani nie rozszerza swego terytorium, ani nie dyktuje warunków pokoju, ani nie zyskuje autonomii. A ja, jak mówiłem, to właśnie zamierzam osiągnąć. A może wolałaby pani, byśmy ciągnęli dalej tę farsę, jaką jest kulawy opór, aż do chwili, gdy nie będziemy już mieli jakichkolwiek podstaw do sensownych negocjacji? Czy to właśnie pani proponuje, panno Chen?

Kobieta pokręciła głową i potulnie rozejrzała się po twarzach siedzących obok niej. Wiljak westchnął i oparł się obiema rękami o mównicę.

– Moi drodzy, jestem przekonany, że nie możemy się zgodzić na taki nieszczęsny rozwój wypadków. Każdego z nas nauczono, że skuteczne podejmowanie decyzji wymaga najpierw obiektywnej oceny sytuacji. To nie jest czas ani na heroizm, ani na idealizm. To jest czas na przetrwanie. Nalegam, by wszyscy przemyśleli dokładnie to, co powiedziałem. Do jutra rana czekam na państwa odpowiedź.

Wstała wiekowa mistyczka w granatowych szatach.

– Wydaje mi się, że, przedstawiając nam swoją propozycję, pominął pan jeden bardzo istotny szczegół – rzekła. – W jaki mianowicie sposób planuje pan pozbawić panią dyrektor stanowiska? Jest bardzo szanowaną osobą i ma poparcie wielu osób.

Komandor uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Tę sprawę pozostawimy już Czerwonemu Bractwu.

ŁÓDŹ, KTÓRA WYPLYNĘŁA O BRZASKU

Max wyszedł wraz z Cooperem. Ociągali się trochę. Przystanęli na chwilę na kamiennych schodach Maggie i patrzyli na dym gęstymi chmurami unoszący się z wielu kominów Domostwa.

– Cooper, to okropne – rzekł Max. – Musimy jakoś ostrzec panią Richter.

– To niemożliwe – odparł cicho agent. – Umowa Wiążąca nam to uniemożliwia.

– Ale musi być jakiś sposób – nalegał Max.

– Nie rób nic, co mogłoby narazić ciebie lub Davida – chłodno rozkazał Cooper. – Nie zapomnij nigdy tego, co ci powiedziałem: twoją misją jest chronić Davida Menlo i za wszelką cenę utrzymać go przy życiu.

– David i ja już zdobyliśmy księgę – powiedział Max.
– Operacja Ciemna Materia zakończona.

Cooper potrząsnął głową i postawił kołnierz.

– Ale rozkaz zostaje.

Stary Tom wybił południe. Dźwięk jego dzwonu wystraszył parę wron, które, kracząc, zerwały się z dachu. Ku Domostwu ciągnęły szeregi tymczasowych mieszkańców Rowan – wszyscy zdążali na obiad. Max obserwował rodziców, dziadków, uczniów i ich rodzeństwo, których spora gromada zebrała się już przed

szerokimi kamiennymi schodami. Bezradnie spojrział w stronę oceanu, zasnutego po sam horyzont szarą mgłą Davida, wśród której, niczym duchy, pokrzykiwały mewy.

– Cooper, co teraz zrobimy?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział agent – dowiem się więcej, kiedy otrzymam rozkazy. Tymczasem pamiętaj, żeby nie zrobić nic, co wyglądałoby na nielojalność wobec Wiljaka, bo to może być niebezpiecznie. I dla ciebie, i dla twojej rodziny.

– Wiesz, że moja mama tu jest? – zagadnął Max. – Znaleźliśmy ją z Davidem w Sidh. A raczej to ona nas znalazła.

– Tak, słyszałem – odpowiedział Cooper miękko.

– Mówiła, że tu, w Rowan, była twoją sympatią.

– To było dawno – rzekł cicho agent.

– Idę teraz do niej. Pójdiesz ze mną?

Agent się zawahał. Koniuszkami palców pogładził się po bliznach i łątach na napiętej skórze, która tak bardzo szpeciła jego niegdyś urodziwą twarz.

– Pójdę.

Kiedy Max z Cooperem weszli do sali szpitalnej, pani McDaniels wraz z Isis drzemały. Wszyscy goście już wyszli. Został tylko tata Maksa i Peter Varga, pogrążeni w cichej rozmowie. Kiedy pan McDaniels zobaczył Coopera, łyżka od zupy wypadła mu z ręki. Bez namysłu wstał i podszedł do drzwi, by uścisnąć dłoń agenta.

– William Cooper! – wykrzyknął. – Skąd?... Jak?...

– Przed chwileczką i bardzo ostrożnie – odparł agent.
– Dobrze znów cię widzieć, Scott.

– Czy to William? – z łóżka rozległ się głos Bryn McDaniels. Max struchlał. Głos matki brzmiał już tak słabo, że bardziej przypominał westchnienie.

– To ja – odparł Cooper, zdjął czapkę i zaczął miąć ją w palcach, po czym niepewnie podszedł do łóżka i zatrzymał się parę kroków przed nim.

– Podejdź bliżej, wcale cię nie widzę – wychrypiała pani McDaniels, głaszcząc jedwabiste futerko Isis.

Cooper chrząknął i ukląkł przy łóżku.

– Jesteś – powiedziała, przyglądając się oszpeconej twarzy agenta. – Tak się cieszę, że cię widzę, Williamie. Chcę ci podziękować za opiekę nad moimi panami.

– To był dla mnie zaszczyt, Deirdre – odpowiedział i nie odwrócił się, gdy dotykała lekko jego blizn.

– Ależ to było dawno – westchnęła.

– Dwadzieścia pięć lat.

– O wiele więcej – odpowiedziała, spoglądając na swoją słabą, powykręcaną dłoń. – A gdzie mój syn?

– Tu jestem, mamó – rzekł Max i podszedł, by usiąść na miejscu taty.

– Dobrze – powiedziała zadowolona i powoli odwróciła się, by na niego spojrzeć. – Posiedź ze mną trochę, Max. Tata czytał mi przedtem Tennysona, ale zasnęłam jak dziecko. Może by jeszcze trochę poczytał?

– Oczywiście – odparł pan McDaniels, usiadł na brzegu połówki i wziął do rąk książkę w zniszczonej,

skórzanej okładce. Wsunął na nos okulary do czytania i przerzucił parę pożółkłych stronic, aż doszedł do tej, którą zaznaczył zieloną wstążeczką. Zaczął czytać. Jego niski, spokojny głos przywoływał obrazy krzewów mirtu, arabskich nocy i smutnej Lady Shalott. Max trzymał mamę za rękę, a Cooper klęczał u jej wezgłowia. Peter Varga siedział w milczeniu z dłońmi złożonymi na rączce laski, a wiersze plotły się niczym magia. Max obserwował, jak czarne futerko Isis unosi się i opada miarowo wraz z jej oddechem. Minęła godzina odmierzana cichym tykaniem zegara na kominku.

*Ale i starość ma swą cześć i pracę.
Wszystkie zamyka sprawy śmierć, lecz przedtem
Rozbłysnąć jeszcze może czyn szlachetny,
Godny tych, którzy z bogami walczyli.
Migoczą światła pośród skał; powoli
Dzień się pochyla; cichy wschodzi księżyc;
Głębina jęczy wieloma głosami.
Nie jest za późno, moi przyjaciele,
By świata jeszcze innego poszukać.
Odwiążcie cumy, chwycicie wiosła w ręce,
W rozkołysane bruzdy bijcie nimi,
Bo jest mą wola aż na skraj Zachodu,
Aż tam, gdzie gwiazdy się kąpią, żeglować,
Póki nie umrę. Może nas pochłona
Wirów głębokie, a może dotkniemy
Błogosławionych Wysp, gdzie dotąd żyje*

*Wielki Achilles, któregośmy znali.
Wiele minęło, wiele trwa – i chociaż
Już nie jesteśmy mocą tą, co niegdyś
Ziemią i niebem trzęsła, czym jesteśmy,
Jesteśmy: związkiem mężnych serc, osłabłych
Pod ciężkim czasu i losu brzemieniem,
Silnych pragnieniem, by się z losem zмагаć,
Szukać, znajdować, wędrować do końca.*
[Alfred Tennyson, Ulisses, przeł. Zygmunt Kubiak.]

Kiedy zapadła cisza, Max poczuł uścisk dłoni tak lekki, że niemal niewyczuwalny. Spojrzał na twarz mamy. Bryn McDaniels leżała spokojnie z zamkniętymi oczami i łagodnym uśmiechem na twarzy, przytulając do piersi swoją podopieczną. Futerko Isis przestało się miarowo poruszać i w tej samej sekundzie na Maksa spłynęła bolesna, przeszywająca jasność, że odeszły obie. Zdjął dłoń mamy ze swojej dłoni, ucałował ją i delikatnie odłożył na kołdrę, po czym powiedział:

– Ona już odeszła.

– Hmmm? – mruknął jego tata i poślinił palec, by odwrócić kartkę.

– Tato, ona już odeszła – powtórzył chłopiec.

Cooper wstał i ustąpił panu McDanielsowi miejsca. Scott nachylił się nisko nad żoną i delikatnie sprawdził jej puls, po czym odgarnął jej kilka pasm włosów z czoła. Ostrożnie wsunął tom Tennysona pod jej ramię i odwrócił się do reszty. Oczy błyszczały mu od łez, lecz zdołał się

uśmiechnąć.

– Chciałbym... chciałbym wam podziękować, że byliście tu ze mną – wyjąkał. – Tak się cieszę, że moja Bryn mogła odejść w wygodnym łóżku, otoczona ludźmi, których kochała. Sam fakt, że mogłem ją znowu zobaczyć... cóż, otrzymałem więcej, niż to, na co przez ostatnie lata w ogóle liczyłem.

Peter Varga i Cooper podeszli, by złożyć Maksowi i jego tacie wyrazy współczucia. Agent przed wyjściem z sali zatrzymał się na moment w drzwiach, spojrzał po raz ostatni na Bryn McDaniels i uniósł dwa palce do skroni w pożegnalnym salucie.

Scott McDaniels mocno uścisnął syna i szepnął mu, że może teraz iść. Max kiwnął głową i cicho podszedł do drzwi. Zobaczył, że tata siada ciężko w nogach łóżka, a moomenhoveny już krzątają się wokół zmarłej, znosząc bandaże i olej kamforowy.

Kiedy Max wszedł do swojego pokoju, David siedział po turecku na łóżku i zgłębiał Księgę Początku.

– Był tu przed chwilą ten facet po ciebie – powiedział.

– Kto?

– Wiljak – odparł David. – Gdzie byłeś?

– U mamy – szepnął Max. – Właśnie umarła.

David zamknął księgę i spojrzał na kolegę. Jego mała, delikatna buzia wydawała się teraz bardzo dorosła. Przyglądał się Maksowi z troską i współczuciem.

– Tak mi przykro, Max – powiedział.

– Dzięki.

– Powiesz mi coś więcej?

– Nie – odparł czarnowłosy chłopiec i poszedł w drugi koniec pokoju, gdzie czekało na niego wysokie łóżko. Na narzucie leżało zawiniątko z gobelinu kryjące w sobie roztrzaskaną włócznię Cúchulaina. Max przesunął je w nogi łóżka, zdjął nanokolczugę de Lorki i wsunął się pod kołdrę. Naciągnął ją wysoko pod brodę, po czym zapatrzył się w gwiazdozbiory. Wiedział, że spogląda na niego z góry jedna gwiazda więcej.

Obudziło go pukanie do drzwi. Zerknął na zegarek – zbliżała się pora kolacji. Usłyszał, że David idzie otworzyć.

– Jeśli to Wiljak, powiedz mu, że mnie nie ma – zawołał i nakrył głowę poduszką.

David otworzył drzwi i Max słyszał, jak rozmawia cicho z kimś na korytarzu, po czym zamyka je i idzie w jego stronę.

– To Connor i reszta – powiedział. – Przynieśli ci kolację. Mam ich odesłać?

– Nie – odpowiedział Max i usiadł, a za chwilę wstał z łóżka i narzucił sweter. Ochlapał twarz wodą i spojrzał hardo na swoje odbicie w lustrze. Dopiero wtedy podszedł do drzwi. Stali w nich Connor, Sara, Cynthia i Lucia.

– Hej – przywitał ich.

– Przyszliśmy, jak tylko się dowiedzieliśmy – powiedziała Sara i mocno uścisnęła Maksa. Reszta

wsypała się za nią z talerzami, torbami i sztuccami w rękach. Cynthia nakryła do stołu, a Connor raz dwa rozpałił w kominku.

– Jak się czuje twój tata? – zapytała Sara i otarła dłonią łzę.

– W porządku – odparł Max.

– To piękne, że mogliście się z nią jeszcze zobaczyć – zdecydowanym tonem powiedziała Lucia.

– Uhm – uśmiechnął się Max.

David podszedł do Cynthii i podał jej naszyjnik, który mu podarowała, zanim wykradli klucz Brama z Archiwum.

– Ha! – zakrzyknęła dziewczynka, ucałowała rodowy klejnot i włożyła go na szyję. – Wiedziałam, że dostanę go z powrotem! A może mi powiecie, gdzie się cały ten czas podziewał?

– I jak długo go nie było? – dodała zamyślona Sara, która już zauważyła, że Max w czasie swojej nieobecności wyraźnie ją przerósł, choć była wysoka.

Max poczuł się skrępowany, gdy uwaga kolegów skoncentrowała się na jego osobie – nie tylko na wzroście, lecz i na blednących już, ale wciąż świeżych bliznach na jego doroślejszej teraz twarzy.

– O, daleko i bardzo długo – odpowiedział David, przybywając na odsiecz przyjacielowi. – Zostalibyśmy tam pewnie na zawsze, gdyby nie pani McDaniels.

– To prawda? – zapytała Sara.

– Tak – spokojnie odpowiedział Max. – Bez niej nie

znaleźlibyśmy ani księgi, ani drogi do domu.

– Czy księga jest u Richter? – zapytał Connor, rzucając Maksowi szybkie spojrzenie. – Ta cenna księga, o której wszyscy tak szepcą?

– Nie – odparł David. – Pani dyrektor powierzyła ją mojej opiece.

– Więc trzymasz ją tutaj? – z niedowierzaniem zapytał Connor.

David skinął głową i wskazał na łóżko, gdzie złota oprawa księgi wystawała zza fałd kapy. Connor gwizdnął przeciągle i pokręcił głową.

– Wszystkie brudne sekrety świata i proszę bardzo, leżą sobie po prostu na wymiętolonej kołdrze.

– Nic w nich nie ma brudnego – obronnym tonem zaprotestował David. – Są przepiękne.

– Oj, David, ty idealisto – zażartował Connor i mrugnął. – Chodźmy już jeść, dobra?

Dzieci zeszły na dolny poziom pokoju i zjadły razem kolację przy kominku. W trakcie jedzenia chłopcy opowiedzieli przyjaciołom o Sidh. Max rozluźnił się i zaśmiewał z innymi, gdy David wspominał pracę u szewca. Najlepsza była historia o człowieku, na którego rzucono zapewne klątwę niepamięci. Dzień w dzień o poranku człowiek ten przybywał do szewskiego warsztatu i upominał się głośno o buty, za których naprawę rzekomo zapłacił i których nigdy mu nie zwrócono. Problem polegał na tym, że dawno już odebrał swoje buty, a dokładniej – miał je właśnie na nogach. Connor zakrztusił

się kawałkiem ziemniaka.

– I co, przychodził codziennie?

– Tak, dzień w dzień – odparł znużonym głosem David. – Był niezwykle punktualny. Co dzień rano z szewcem zgadywaliśmy, czy tego dnia obrzuci nas tymi samymi przekleństwami, czy wymyśli jakieś nowe.

– A co mu mówiliście, kiedy się pojawiał? – zapytał Connor.

– Że doskonale rozumiemy jego poirytowanie, jesteśmy jednak przekonani, że szanowny pan jest w błędzie i zapomniał, że odebrał już buty, za które zapłacił. Że mamy na to pokwitowanie z jego własnoręcznym podpisem, a bezpośrednie dowody znajdują się na jego nogach.

– A on co na to? – zapytała Cynthia, sięgając po miskę zielonej fasolki.

– Zaczynał się śmiać i pytał, czy myślimy, że jest na tyle głupi, żeby dać się wykiwać pierwszemu lepszemu przebiegłemu szczeniakowi, który na pewno jest szpiegiem Złego (bo mam tylko lewą rękę). „Złe lichy, to się wie!” – krzyczał i czynił znaki przeciw złemu... Ooo! – wykrzyknął nagle David, spojrzawszy bowiem na resztę przysmaków, które koledzy przynieśli ze sobą. – A nie przynieśliście przypadkiem kawy?

Sara z trumfem wyciągnęła termos.

– Ach! – rzekł David, przebierając z radości palcami, gdy dziewczynka nalewała mu gorącego napoju do kubka.
– Niechaj słońce świeci nad twą cudowną piersią we

wszystkich ośmiu królestwach, Saro, ukochana!

– David! – krzyknęła Cynthia, a Sara ze zdziwienia otworzyła buzię. David nagle spiekł raka.

– Przepraszam – pisnął. – To tylko moje nieudolne tłumaczenie jednego ze zwrotów używanych po dziś dzień w Sidh.

– Hmm – mruknęła Sara, unosząc brew, po czym pogardliwie spojrzała na Connora, który ze śmiechu zjechał z krzesła na podłogę.

– Oj, David – wydusił, gdy się trochę uspokoił – ale będzie cię nam brakować.

Max rzucił mu przeszywające spojrzenie.

– Ale ja jestem tu, Connor i nigdzie się nie wybieram – zdziwił się David. – Nie ma szans, żeby ci mnie brakowało.

– Miałem na myśli to, że strasznie nam cię brakowało, jak cię nie było – poprawił się Connor, wstał z podłogi i sięgnął po ciastko. – Super, że rzuciłeś to zaklęcie, dzięki któremu Rowan jest cały czas tak świetnie ukryte – zręcznie zmienił temat.

– I tak będzie, dopóki nie rozproszę mgły – oznajmił David i radośnie upił łyczek kawy. – Nawet jeśli będę nie tu, a gdzie indziej.

– To musi być skomplikowana sprawa – zagadnął Connor, gryzmołąc coś na serwetce.

– Rzucić zaklęcie, tak – rzekł David. – Ale nie zdjąć. Kiedy przyjdzie właściwy czas, zdejmę czar jednym słowem.

– Żartujesz. – Connor przestał na chwilę bazgrać. – Abrakadabra i wszystko spłynie w oka mgnieniu?

– David – ostrzegł Max, który nagle się przestraszył, że rozochocony przyjaciel naprawdę gotów jest zdradzić owo ważne słowo. Nie podobał mu się kierunek, jaki Connor nadał rozmowie. Bardzo chciał podzielić się z kolegami wrażeniami z zebrania z Wiljakiem lecz stwierdził, że za każdym razem, gdy już, już otwiera usta, by zacząć, ta potrzeba nagle znika.

– W porządku, Max – uspokoił go David. – Mógłbym to wypisać farbą na drzwiach wejściowych, a i tak nic by to nie zmieniło. Jestem jedyną osobą w Rowan, która może sprawić, by zaklęcie zadziało.

– Mimo wszystko – podsumował Max – lepiej zachowaj je dla siebie.

– Ej, no już dobra! – wykrzyknął roześmiany Connor, bawiąc się swymi rudymi lokami. – Przecież wiesz, David, że z ciekawości dostaję małego rozumu, po prostu musisz mi powiedzieć, musisz.

– Ty już dostałeś małego rozumu – warknęła Lucia.

– Ha! – Connor walnął pięścią w stół. – Czy to możliwe, żeby chłopak, który dostaje małego rozumu, był asem na wszystkich zajęciach?

– Connor – jęknęła Cynthia. – Przecież wszyscy znamy sekret twoich sukcesów, więc po co udawać, że jest inaczej.

– A to co ma znaczyć? – bronił się Connor.

– No, przecież wiadomo, że to pan Sikes – wyjaśniła

Sara. – Wszyscy wiemy, że pomaga ci w lekcjach.

– Zgadza się. – Connor podniósł ręce. – Przyznaję, że dawniej wzywałem od czasu do czasu pana Sikesa na pomoc, ale nie korzystam z niej już ho, ho, jak długo, całe miesiące.

Dziewczynki założyły ręce i patrzyły na niego z niedowierzaniem.

– Serio – zapewnił Connor i podniósł dłoń jak do przysięgi. – Ja, Connor Lynch, przysięgam uroczyście, że od jesieni ani razu nie wzywałem pana Sikesa. Jeśli kłamię, niech mnie grom razi, jak tu siedzę.

Lucia i Sara gwałtownie odsunęły się z krzesłami.

– Cha, cha, bardzo śmieszne – obraził się Connor.

Wtem usłyszeli pukanie do drzwi. David chciał wstać, by otworzyć, lecz Max powstrzymał go i sam poszedł na górę. W korytarzu jednak nie czekał komandor Wiljak, ale pan McDaniels.

– Tato – przywitał go Max i odsunął się na bok, by go przepuścić.

– Macie imprezę? – zapytał tata, gdy usłyszał z dołu głosy.

– Nie, skąd – szybko zaprzeczył Max. – Nic podobnego, tylko koledzy przynieśli mi kolację.

– O – ucieszył się Scott McDaniels. – Jak miło. Mogę wejść i się przywitać?

Max kiwnął głową i zszedł za tatą po schodach na niższy poziom. Dzieci od razu ucichły, wstały i złożyły mu kondolencje.

– Dziękuję wam – odparł tata Maksa, kiedy uścisnęła go Cynthia. – To bardzo miło z waszej strony, że przyszliście pocieszyć Maksa.

– Tylko tyle mogliśmy zrobić – odpowiedziała Sara.
– Czy możemy coś zrobić i dla pana?

– Nie, Saro, dziękuję – odrzekł pan McDaniels i uśmiechnął się ze smutkiem. – Przyszedłem tylko, żeby powiedzieć Maksowi, że ceremonia odbędzie się jutro o świcie, na plaży. Byłoby miło, gdybyście wszyscy mogli przyjść.

– Na pewno przyjdziemy – zapewniła Cynthia. – Czy mogę przyprowadzić mamę i brata?

– I moich rodziców? – dołączyła się Lucia. – Bo przyjechali w zeszłym tygodniu.

– Wszystkich przyprowadzimy, jeśli to panu nie przeszkadza, panie McDaniels – zaproponowała Sara.

– Oczywiście, że nie przeszkadza – rzekł tata Maksa.
– To wspaniale z waszej strony. Chętnie bym tu u was jeszcze posiedział, ale mam tyle do zrobienia...

– Musimy iść – powiedziała Cynthia, spojrzała na kolegów i zaczęła sprzątać talerze.

Parę minut później wychodzili już z pokoju, żegnając się i zapewniając, że zjawią się jutro o świcie. Max patrzył, jak dziewczynki idą za jego tatą korytarzem. Connor ociągał się jeszcze przy drzwiach, jakby czekał, aż David zejdzie na dół i zostaną z Makssem sami.

– Mam wiadomość od Wiljaka – szepnął, a jego rumiana twarz zrobiła się nagle śmiertelnie poważna. –

Składa ci kondolencje i chce, żebyś wiedział, że na razie jesteś wolny. Nie ma dla ciebie żadnych zadań.

– Co on planuje, Connor? – zapytał Max.

– Chciałbym to wiedzieć. Ale co ja wiem? Jestem tylko chłopcem na posyłki.

– A jak to się stało, że zostałeś chłopcem na posyłki Wiljaka?

– Przecież potrzebuje swojej pary oczu i uszu wśród uczniów. – Connor wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że on jeden docenia moje zdolności, w przeciwieństwie do dziewczyn.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Max niemal błagalnym tonem.

– Wszystko, co powiedział Wiljak na tym zebraniu, to prawda i ty o tym wiesz, Max – twardo powiedział Connor. – Dyrektorka może i jest w porządku i radzi sobie w czasie pokoju, ale teraz nie potrafi stanąć na wysokości zadania. Moja rodzina też tu jest, wiesz? Po prostu się cieszę, że mogę w ten sposób zapewnić im bezpieczeństwo.

Max przez chwilę wpatrywał się w twarz kolegi. Oczy Connora błyskały ciekawością i rozbawieniem.

– No, co? – spytał.

– Kto tu jest? – chciał wiedzieć Max.

– No, moja rodzina, bracie – powtórzył Connor, mrugając. – Co, w Sidh słuch ci się pogorszył?

– Ale kto z twojej rodziny? Jak się nazywają? – zapytał Max.

– Co takiego? – Connor kaszlnął i zasłonił usta ręką.

– Ich nazwiska. – Max chwycił Connora za nadgarstek. – Szybko.

– Mama, tato, mała Katie i wujek Liam – wyliczył Connor na palcach. – Mama to Margaret, a tata Robert. – Irlandczyk zmarszczył czoło i wyrwał rękę z uścisku Maksa. – O co ci chodzi?

– Od kiedy jesteś leworęczny? – zapytał Max.

– O czym ty gadasz?

– Bazgrałeś na serwetce lewą ręką – przypomniał mu Max.

– I co z tego? – Connor, rozdrażniony, wzruszył ramionami. – Renard twierdzi, że to pomaga rozwijać kontrolę motoryczną nad mniej używaną ręką. Rany, Max, czy ty w tym Sidh dostałeś jakiejś paranoi?

Max nie odpowiedział, lecz Connor westchnął.

– Lepiej się położyć – powiedział po chwili. – Jutro ważny dzień.

Klepnął kolegę w ramię na pożegnanie i pomknął do swojego pokoju po drugiej stronie holu.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, Max wyszedł z pokoju, a potem z Domostwa. Jego kroki chrzęściły na zmarzniętej ziemi, kiedy okrążał Kuźnię buchającą parą i szedł ku ciemnej ścianie drzew wyznaczającej drogę do Sanktuarium.

Nick przybiegł od razu, wycierając po drodze krótki, szeroki nos w trawę i wylizując do czysta zakrwawione pazury. W Sanktuarium było prawie pusto, w oddali

widać było tylko paru uczniów z latarniami, którzy odwiedzali swoich podopiecznych w Chatce Rozgrzewania lub zajmowali się nocnymi mieszkańcami polany. Lymrill, zdawało się, odczuwał, że coś jest nie tak. Nie okazywał w ogóle niezadowolenia z powodu długiej nieobecności swojego pana – nie syczał z wyrzutem, nie obrażał się i nie ciskał szczerzymi wnętrznościami. Podeszedł tylko blisko i przycisnął się do nóg Maksa, delikatnie grzechocząc ogonem. Chłopiec wziął go na ręce i odszedł w stronę tej samej gęstwiny, w której po raz pierwszy go znalazł. Wdrapał się wysoko na gałęzie, przytulił ciężkie, masywne stworzenie i zapatrzył się w jego niebieską mordkę o żółtych, kocich oczach.

Nick syknął i wychylił się, by lepiej widzieć pana Sikesa, który nagle pojawił się na gałęzi niczym usłużny kamerdyner.

– Paniczu McDaniels – zamruczał chochlik – obawiałem się, że panicz o mnie zupełnie zapomniał. Rozumiem, że jestem panu winien zarówno gratulacje, jak i kondolencje. Proszę przyjąć ode mnie i jedno, i drugie.

– Nie dlatego cię wezwałem – uciął Max i silniej przytrzymał lymrilla, który, zdaje się, uważał chochlika za coś w rodzaju egzotycznego deseru. – Czy zawładnąłeś Connorem Lynchem?

– Słucham? – zapytał chochlik i szeroko otworzył oczy ze zdziwienia, zarówno ze względu na pytanie, które usłyszał, jak i na nieruchome, wpatrzone w niego czujnie oczy lymrilla.

– Odpowiedz – ostro ponaglił Max.

– Oczywiście, że nie, dziecko – odparł pan Sikes. – Przedstawiciele mego skromnego gatunku nie są w stanie czegoś takiego zrobić. Potwierdzi to pierwszy lepszy podręcznik.

– Pracujesz dla Wroga? – pytał Max, wpatrując się twardo w zmieszaną twarz małego człowieczka.

– Nie – odpowiedział chłodno pan Sikes. – Nie pracuję. I unżenie proszę, abyś dwoma rękami przytrzymywał swojego uroczonego pupila.

Max mocniej przycisnął Nicka i zaczął głaskać go po najeżonych łuskach, żeby trochę go ułagodzić. Uspokojony lymrill przestał się wyrywać, ale nie odrywał od pana Sikesa głodnego wzroku. Od czasu do czasu prychał niespokojnie.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał Max po chwili. – Czemu nie poszedłeś ze mną do Rodruban? Byłem tam całkiem sam.

– Nie mogłem – usprawiedliwił się pan Sikes – ponieważ to miejsce związane jest tyloma zaklęciami, że żaden pasażer na gapę się nie załapie. Możesz być jednak pewien, że wielokrotnie próbowałem cię odwiedzić, lecz za każdym razem odnajdywano mnie i odsyłano z powrotem. Niestety oni tam są uprzedzeni do mojego rodu, obawiam się. Ale nie o moich kłopotach przyszedłem tu rozmawiać. Najważniejsze jest to, jak ty sobie radzisz, paniczku McDaniels. To straszne, stracić kogoś tak bliskiego...

Max skinął głową, lecz nic nie powiedział.

Całą noc poprzedzającą pogrzeb mamy spędził wysoko na drzewie, trzymał w objęciach Nicka i cicho szlochał, a kojący głos pana Sikesa szeptał mu do ucha słowa nadziei i uzdrowienia.

Przed świtem Max zakradł się z powrotem do Domostwa i poczłapał korytarzem do łazienki, by wziąć prysznic. Kiedy wrócił do pokoju, zastał Davida ubranego już w galowy mundurek Rowan. Chłopiec siedział na dole przy kominku. Max starannie uczesał włosy i zapiął koszulę, a potem sztywnymi, mechanicznymi ruchami zawiązał krawat.

Tata w czarnym garniturze czekał w holu przy wejściu. Wziął Maksa za rękę i obaj wyszli na dwór. Był cichy, szary poranek.

Ruszyli krętymi drózkami oświetlonymi ciepłym, słabym światłem lamp gazowych, których jeszcze nie zgaszono. Minęli Starego Toma i Maggie i dotarli do skalistego urwiska nad brzegiem. Tu ostrożnie zeszli po wykutych w skale schodach prosto na plażę. Był tam już Bob. Krzątał się, zajęty rozstawianiem ostatnich krzeseł, których równiutkie rzędy stały nad brzegiem oceanu. Ubrany był w ogromny czarny garnitur. Na jego ostrej, wyrazistej twarzy malował się smutek, kiedy ogr spokojnym krokiem podszedł, aby uścisnąć im ręce.

– Czy wszystko wygląda tak, jak pan sobie życzył? – zapytał pana McDanielsa.

– Jak najbardziej – odparł tata Maksa, zerkając na przygotowane miejsca do siedzenia i równocześnie szperając w kieszonce na piersi. – Trudno było to wszystko zorganizować, co?

– Nie, nie dla Boba – odparł ogr z łagodnym uśmiechem. Wskazał wąski kawałek plaży obok pustego pomostu, przy którym niegdyś cumowała „Pustułka”. Stała tam na piasku mała, szara łódka. – Max zobaczył, że leży w niej mama z rękami złożonymi na piersi, zawinięta w biały jedwab.

– Dobrze, bardzo dobrze – rzekł pan McDaniels i rozłożył kartkę, którą wyciągnął z kieszonki marynarki. Spojrzał na nią i podał Bobowi. – Czy mógłbyś w stosownym momencie przeczytać to za mnie, Bob? Ja chyba nie będę w stanie.

Ogr wziął kartkę i spojrzał na nią przez swój monokl.

– Bob będzie zaszczycony – odpowiedział, złożył kartkę i schował do kieszeni.

Max z tatą zajęli miejsca najbliżej łódki. Małymi grupkami na plażę zaczęli schodzić mieszkańcy Rowan. Nolan grał na swoich starych, sfatygowanych skrzypcach jakąś rzewną melodię. W milczeniu napływały wciąż nowe osoby – zarówno członkowie grona nauczycielskiego, jak i uczniowie z rodzinami – i zajmowały miejsca siedzące, a kiedy nie starczyło krzeseł, ustawiały się na zimnym piasku lub na szczycie skalistego urwiska. Max dostrzegł ocierające oczy Bellagrog i Mamuškę, obydwie w absurdalnych czarnych

aksamitnych sukniach ozdobionych zieloną koronką. Przy człapała i Hanna z gąsienicami, które szły za matką grzecznie i bez protestu. Była i pani Richter w towarzystwie panny Kraken i panny Awolowo. Twarz dyrektorki była poważna, a jej szare oczy wpatrzone w horyzont. Gdy wstało słońce – słabe, żółtawe i ledwo przeświecające przez cienką warstewkę mgły – Nolan przestał grać i podniosła się panna Awolowo.

Nauczycielka ubrana była w przepiękną czarną szatę i pobrządkującą naszyjnikami z gagatów i muszli. Z królewską godnością przeszła przez plażę i stanęła przy małej łódce. Gdy ponad krzykami mew rozległ się jej donośny, dźwięczny głos, Max zaplótł mocno ręce i wbił wzrok w jasnoszarą, niepozorną łódeczkę z drobnym, nieruchomym ciałem. Wydawało mu się, że przemawiali też inni – pani Richter, panna Kraken i jakaś starsza, nieznana chłopcu nauczycielka. Kiedy wstał Bob, Max otarł zamazujące mu widok łzy i patrzył, jak ogr ostrożnie, z twarzą zmarszczoną ze skupienia, wyjmuje i rozkłada kartkę. Słowa, które odczytał, głęboko zapadły i w serce, i w umysł Maksa, a jednocześnie wlały w niego nadzieję.

*Nie stójcie nad moim grobem... Otrzyjcie szczerą łzę!
Grób pusty – nie zasnęłam na zawsze wiecznym snem.
W tysiącu wiatrów jestem – w nich łatwo znaleźć mnie,
I w białej ciszy zimy, gdy wolno sypie śnieg.
Deszczem jestem szumiącym w ciemnej koronie drzewa,*

*I łanem zbóż, gdy pod niebem bezchmurnym dojrzewa.
W pośpiechu porannym, kiedy dzień w rozkwicie,
W locie rajskich ptaków, w przejrzystym błękicie,
Gdzie kręgi zataczają w toni niezmaconej.
Blaskiem gwiazd jestem na nocnym niebie roziskrzonym.
W czarujących pięknem nieskończonym kwiatach,
I w pokoju zacisznym odcięty od świata.
W porannym śpiewie ptaków z radości wniebowziętych.
I w każdej rzeczy i w bycie z miłości poczętych.
Nie stójcie nad mym grobem! Otrzyjcie łzy niewczesne,
Ja przecież nie umarłem! Gdzie byłem – jeszcze jestem!*
Mary Elizabeth Frye, przeł. Jerzy A. Nowakowski.

Bob skończył czytać, złożył kartkę i oddał ją panu McDanielowski, któremu trzęsły się ramiona.

Następnie ogr ogarnął wzrokiem wszystkich zebranych i gestem nakazał im wstać. Nolan zaczął grać, a Bob podszedł do łódeczki i delikatnie zsunął ją na wodę, po czym wszedł po pas do oceanu i przeprowadził ją przez rozbijające się o brzeg fale. Wreszcie pchnął ją mocno, ale ostrożnie, na otwarte morze. Max patrzył. Widział, jak odpływa, jak unosi się niczym korek na szarych grzbietach fal, jak mija Czuwanie Brygidy i wreszcie znika wśród porannej mgły.

Bob wyprowadził wszystkich po kamiennych schodach na klif. Max z tatą szli na końcu. Nolan został sam na piasku i nie przerywał grania.

Kiedy Max piął się po wykutych w skale stopniach, minął go biegnący w przeciwnym kierunku, w dół, jeden z

członków Czerwonego Bractwa. Nawet się nie zatrzymał, rzucił tylko chłopcu i jego tacie szybkie spojrzenie. Max poczuł niepokój i odwrócił się, by sprawdzić, o co chodzi.

W tej samej chwili ponad nimi, na klifie, rozległ się straszny ryk, a chwilę potem krzyki.

Max zostawił tatę i wielkimi susami pognał na górę. Zdołał tylko zobaczyć, że Bob leży na ziemi, przyduszony przez jednego z agentów Czerwonego Bractwa, który sprawnie go związuje. Wokół leżało kilka nieprzytomnych osób, rozciągniętych na śniegu niczym rozrzucone kręgle. Nad całym tym zamieszaniem unosił się silny głos pani Richter. Max dojrzał, że u jej boku stoi Cooper.

Z tyłu za Makssem rozległ się nagle ogłuszający huk i zapadła ciemność.

Obudził się w tym samym łóżku, w którym tak niedawno odeszła mama. Najpierw poczuł język – był dziwnie spuchnięty. Na fali mdłości i zawrotów głowy chłopiec zaczął dostrzegać zarysy pomieszczenia. Po chwili zobaczył czuwającego przy łóżku tatę, wciąż w tym samym czarnym garniturze. Poczuł, że coś porusza się za jego głową. W półświadomości stwierdził, że to moomenhovena poprawia zimny okład.

– Co to było? – wybełkotał głosem, który w jego własnych uszach brzmiał dziwnie obco.

– Zamach stanu – wychrypiał ze smutkiem tata. – Wiljak twierdzi, że teraz on tu rządzi. Panią Richter

ogłuszono, straciła przytomność, on zerwał jej z palca pierścień, a potem gdzieś ją zabrali razem z innymi.

– To znaczy z kim? – zapytał Max i przymknął oczy.

– Z Bobem – odparł pan McDaniels – z Nolanem, Awolowo, Kraken, Vincentim i paroma innymi nauczycielami. Cooper próbował im pomóc, ale chyba Wiljak był na to przygotowany. Hazel wychodziła z siebie, żeby wesprzeć Williama, ale na nic. Ją też wzięli. I wszystkich gdzieś zaciągnęli.

– Dokąd? – wyszeptał Max, pomagając sobie gestem, bo słowa jakoś za wolno przychodziły mu do głowy.

– Nie wiem – odparł jego tata. – Dokądś w Domostwie.

– Podziemie – szepnął Max.

– Uhm – kiwnął głową pan McDaniels. – Chyba coś takiego właśnie słyszałem.

Mimo zabójczego łomotu w skroniach Max usiłował się podnieść. Tata potrząsnął głową i delikatnie ułożył syna z powrotem na poduszce.

– Nie, Max – powiedział stanowczo. – Masz leżeć bez ruchu.

– A David? – zapytał chłopiec.

Twarz taty się wydłużyła.

– Też pojmany. Założyli na niego jakiś postronek, przez który zrobił się bezwładny jak ryba wyjęta z wody. Ale chyba nic mu nie jest. Widziałem, że Connor zabiera go z powrotem do waszego pokoju.

– O Boże – jęknął Max i zmusił się, by podnieść

głowę. – Muszę tam iść, tato! Oni mają zamiar oddać Davida wiedźmom!

– Później zajmiesz się Davidem – próbował uspokoić go pan McDaniels.

– Tato, nie ma czasu – sprzeciwił się chłopak, zwałkł się na siłę z łóżka, stanął i zatoczył w kierunku drzwi. Moomenhoveny próbowały zastąpić mu drogę, lecz zwinnie przecisnął się obok nich i wymknął z sali.

Na miękkich nogach przebył korytarz i doszedł do schodów na górę. Udało mu się jakoś je pokonać, zresztą częściowo wciągnął się po poręczy. Kiedy znalazł się w głównym holu przy wejściu, wystarczyło już tylko skręcić i pójść prosto do gabinetu pani Richter, gdyby nie to, że drogę zastąpili mu agenci. Jeden z nich, wysoki mężczyzna o stalowoszarych włosach, mocno chwycił chłopca za ramiona i przytrzymał w pozycji pionowej, bo Max słaniał się na nogach i wydawało się, że zaraz się przewróci.

– Puszczaj – wydyszał chłopak, wrywając się słabo z żelaznego uścisku. – Chcę rozmawiać z Wiljakiem.

– Dyrektor Wiljak jest bardzo zajęty – odparł mężczyzna. – Przepraszam za to lekkie stuknięcie wczoraj. Musiałem. To był rozkaz.

Max rzucił agentowi wściekłe spojrzenie, lecz ten nie przejął się i dalej patrzył na niego z niezachwianym spokojem. Lekceważąc ból i zawroty głowy, Max zebrał wszystkie siły i zaczął kopać i miotać się tak zajadle, że mężczyźni musieli przyjść z pomocą pozostali agenci.

Drzwi do gabinetu pani Richter otworzyły się i korytarz wypełnił podniesiony głos Wiljaka:

– Co to za hałasy? Kazałem przecież...

Głos ucichł, kiedy komandor ujrzał Maksa.

– Agent McDaniels – powiedział cicho. – Miło mi pana widzieć na nogach i w akcji.

– Co pan robi? – wysyczał Max.

– Służę interesom Rowan – odparł Wiljak lodowato.

– Twoim, swoim i całej reszty, chociaż zapewne w tej chwili tego nie doceniasz. Proszę, wejdź i sam się przekonaj.

Na komendę Wiljaka agenci puścili chłopca i Max wszedł do gabinetu. Przed biurkiem pani Richter siedziały dwie odziane w szaty postaci. Pierwszą Max rozpoznał – była to ta sama wiedźma, którą ostatnio widział w Warsztacie w towarzystwie Astarotha. Druga natomiast nosiła białą suknię, a twarz skrywała za czarną maską z dziobem, podobną do tych, które nosili średniowieczni uzdrowiciele. Na jej czole widniał znak Astarotha.

– Witaj, Psie – odezwała się wiedźma i skłoniła głowę.

– Dama Mako – wydusił Max.

– We własnej osobie – potwierdził Wiljak i usadowił się za biurkiem pani Richter. – Jest tu również na moje zaproszenie wysłannik Astarotha, Lord Aamon.

Zło, które promieniowało z odzianej w białe szaty postaci, było niemal namacalne. Postać skłoniła głowę, by przywitać Maksa. Zza maski nie widać było oczu. Max

poczuł, że wpatruje się w taką samą próżnię, jakiej doświadczył w czasie swoich ostatnich ćwiczeń na Trasie.

– Jak może pan zapraszać do nas to coś? – wychrypiął chłopiec.

– Już prawie załatwiliśmy nasze sprawy – rzekł Wiljak. – I nasz gość wkrótce odejdzie, aby nigdy nie powrócić. Czy tak, Lordzie Aamonie?

– Księża – szepnęła postać w masce i podniosła palec w rękawicy.

– Przecież tę sprawę już uzgodniliśmy – szorstko powiedział Wiljak. – Księża zostaje tutaj jako gwarancja, że dotrzymacie paktu. Sprawiedliwość to sprawiedliwość.

Zza maski dobiegło coś, co można by uznać za śmiech. Postać pochyliła się do przodu i powiedziała głosem głośniejszym od szmeru:

– Macie dwa wyjścia. Jedno: oddać księgę Lordowi Astarothowi jako znak waszego poddaństwa, za co zostaniecie hojnie wynagrodzeni. Drugie: odrzucić przyjazny gest mojego pana, a wówczas po prostu weźmiemy sobie księgę, a Rowan zbierze plon naszego gniewu. – Postać wzruszyła ramionami. – Księża już należy do nas, panie Wiljak. My po prostu umożliwiamy ci to, żebyś nam ją grzecznie wręczył.

– Pusta groźba – rzekł Wiljak.

– Nawet teraz jest w zasięgu naszej ręki, głupcze! – zaśmiał się Lord Aamon.

Na Maksa spłynęło przerażające olśnienie. Szybko przepchnął się między agentami i wydostał z gabinetu.

Pognał do głównego holu, a potem po schodach na trzecie piętro, do skrzydła mieszkalnego chłopców. Pędził, rozpychając się pomiędzy przestraszonymi uczniami i dorosłymi. Przed drzwiami swojego pokoju ostro zahamował i gorączkowo sięgnął do kieszeni po klucz. Jednym pchnięciem otworzył drzwi, wszedł do środka i omal nie krzyknął.

Tam, w nogach swojego łóżka leżał bezwładnie David. Na szyi zawiązane miał pasywne pęta – świecący lekko sznur, którego drugi koniec umocowany był do drewnianych nóg łóżka. Do gardła Davida przyciśnięte było ostrze, a w drugiej ręce napastnika, który je trzymał, spoczywała Księgę Początku.

Napastnikiem był Connor Lynch.

– O, Max – odezwał się szyderczo chłopiec o rumianej twarzy i rudych kędziorach. – Przecież miałeś być w szpitalu.

SZTURM O PÓŁNOCY

– Connor – powiedział Max cicho – co ty wyprawiasz?

– W rzeczywistości panicza Lyncha nie ma tu w tej chwili – zabrzmiała odpowiedź, udzielona nie głosem Connora, lecz przebiegłym, wystudiowanym tonem, tak dobrze Maksowi znanym. – Będę musiał wystarczyć ja.

– Pan Sikes – rzekł Max i wszedł w głąb pokoju.

– W rzeczy samej – odparł Connor i z drwiącym uśmiechem skłonił głowę. – Jeszcze tylko chwila i już mnie nie ma. Zostań, gdzie jesteś, chyba że interesuje cię, jak wygląda wnętrze ślicznego, małego gardziołka twojego przyjaciela.

– To ty ukryłeś w Archiwum list i talizman – odgadł Max.

– Znowu racja – powiedział pan Sikes. – Odkąd ten mały mądrała mnie tu zaprosił, mam wolny wstęp do wszystkich zakamarków kampusu. Przecież pan Sikes to tylko nieszkodliwy mały chochlik, który rozdaje lemoniadę i poprawia wypracowania, czyż nie? – Owładnięte przez złego ducha ciało Connora zaśmiało się i potrząsnęło głową. – Ach, i ten żalosny chłopak myślał, że po prostu miał szczęście i się na mnie natknął! Biedaczysko. Prawie mi go żal.

– Okłamałeś mnie – rzekł Max.

– Przyznaję się do winy – powiedział pan Sikes. – Przeprosiłbym cię nawet, Max, lecz nie możemy opierać się naszej naturze, my – skorpiony, żaby i takie tam inne. Ale wczoraj w nocy musiałem cię trochę przetrzymać, wiesz? Pogadać o twojej biednej mamie, żebyś mi przypadkiem gdzieś nie prysnął...

Max wrócił myślami do poprzedniej nocy, kiedy wyzalał się chochlikowi i zwierzał ze wszystkich swych obaw i wątpliwości, a jemu, panu Sikesowi, po prostu chodziło o to, żeby przetrzymać go z dala od Domostwa do samego pogrzebu. Zdrada była tak pełna i tak druzgocąca, że Maksowi prawie zebrało się na mdłości. Spojrzał na nóż w ręku Connora.

– Nie krzywdź Davida – błagał. – Nie krzywdź żadnego z nich.

– Jeśli chodzi o tego, którego widzimy – zaczął chochlik, wkładając w dłoń Davida długopis – to jeśli napisze owo magiczne zaklęcie, które rozwieje mgłę, to w tej chwili znikam.

– I tak nie zadziała, nawet gdybyś je poznał – szyderczo wytknął Max.

– Niestety – przyznał pan Sikes. – Jak wiesz, pan Sikes jest tylko skromnym, pokornym chochlikiem. Lecz z usług swego niezwykle zaufanego pomocnika korzysta często mój pan, a on jest jak najbardziej kompetentny, by zdjąć czar nałożony przez Davida.

– Kto to taki? – zapytał Max.

– Sam Astaroth – odparł chochlik. – Jestem jego wysłannikiem, jak widzisz. I w przeciwieństwie do mych kapryśnych, niestałych braci, wytrwałem w prawdzie przez ponad dwa tysiąclecia, nawet przez te długie lata, kiedy mój pan znajdował się w niewoli! Za wszystkie lata wiernej służby pan Sikes zostanie sowicie nagrodzony. Kto wie? Może nawet zatrzyma sobie młodego Lyncha jako służącego...

Powiedziawszy to, pan Sikes szepnął coś do ucha Davida. Chłopiec zamrugął nieprzytomnie, jakby był pod wpływem narkotyku, i oszołomiony, nabazgrał coś na kartce. Connor wyrwał ją z palców Davida, zerknął na nią szybko i w tej samej chwili spalił ją w błysku zielonego płomienia.

– Masz już, czego chciałeś – odezwał się Max. – A teraz zabieraj od Davida ten nóż.

– Nie mogę, bo ty zagradasz mi drogę – odparł pan Sikes z nutką wyrzutu w głosie. – Odchodzę z tą księgą, Maksie McDaniels, i jeśli jesteś mądrym chłopcem, to mnie przepuścisz.

– Księga zostaje tutaj – warknął Max.

– Proszę bardzo. – Chochlik wzruszył ramionami, mrugnął do Maksa i zanurzył ostrze noża w boku Davida.

– Och! – szepnął David.

Zabrzmiało to, jakby był tylko troszkę zdziwiony kolejną raną, którą mu zadano. Osunął się najpierw na ramię łóżka, a potem na podłogę. Max zamrugnął w nadziei, że może była to tylko ułuda, jedna z przewrotnych

sztuczek pana Sikesa. David zareagował przecież tak spokojnie, tak łagodnie...

Max spojrzał na pierś przyjaciela i wstrzymał oddech. To nie była sztuczka ani ułuda.

Na wyjściowej białej koszuli Davida rozkwitała plama podobna do czerwonej róży. Wydawało się, że kwiat rozwija płatki i staje się coraz większy. Działo się to tak szybko, że po upływie paru sekund cały bok Davida był już czerwony, a krew nasączyła tkaninę i wąskimi strużkami spływała mu na krawat i spodnie. Pan Sikes odskoczył od chłopca, nie wypuszczając z objęć księgi.

– Zabiję cię – warknął Max, w dwóch błyskawicznych susach zmniejszając odległość między nimi. Zanim chochlik zdążył się poruszyć, Max już trzymał go za gardło.

– Kogo masz zamiar zabić? Mnie, Connora Lyncha, czy Davida Menlo? – wyrzeźił demon, a w oczach Connora pojawiły się iskierki rozbawienia. Max się zawahał.

– Pyk!

Tam, gdzie przed chwilą stał Connor, było już pusto. Księga Początku upadła na podłogę, a Max zobaczył, jak przez otwarte drzwi z pokoju wylatuje ćma. Czuł ogromną potrzebę, żeby za nią pobiec i ją zmiażdżyć, lecz jego wzrok padł na leżącego w kałuży gęstniejącej krwi przyjaciela.

– Pomocy! – wrzasnął i przykucnął u boku Davida, jedną ręką zrywając z niego pęta, a druga uciskając ranę. –

Niech ktoś mi pomoże!

W korytarzu otworzyły się jakieś drzwi. Rolf Luger wsadził głowę do pokoju.

– O co cho... o rany! – wykrzyknął, w przerażeniu wpatrując się w krwawą scenę.

– Szybko, idź po moomenhoveny! – wy dyszał Max.
– Szybciej!

Rolf odbiegł z głośnym tupotem. Max rozejrzał się wokoło i natrafił wzrokiem na plecak Davida leżący na łóżku. Złapał za szelkę, ściągnął go na podłogę i jedną ręką zaczął gorączkowo przeszukiwać jego zawartość. Wiedział, że w środku powinien być słoik z resztką maści moomenhoven.

– David, spójrz na mnie – mówił gorączkowo, ściskając kolegę, którego powieki zatrzepotały. – Zobaczysz, będzie dobrze, zaraz nadejdzie pomoc.

Zacisnął palce na słoiku z maścią. Wyciągnął go z plecaka i zobaczył, że na dnie jest jeszcze trochę cudownej uzdrowicielskiej mikstury.

– No, otwórz się, otwórz – posapywał, siłując się z oporną nakrętką. Kilka silnych ruchów ręki i pokrywka potoczyła się po podłodze. Max wepchnął palce do środka i wygrzebał resztki lekarstwa. Zerknął na dłoń i stwierdził, że niestety maści jest nie więcej niż porcja pasty do zębów, która mieści się na szczoteczce. Złapał za koszulę Davida i wymacał miejsce, w którym była rozcięta, po czym powiększył otwór i palcami poszukał rany. Poczul ją niemal natychmiast – długie, głębokie cięcie skóry i

ciała, odłamek kości i wypompowywana stamtąd krew, ciepła i gęsta jak syrop. David zrobił gwałtowny, ostry wdech, kiedy Max nałożył maści do rany i posmarował nią jej okolice.

– Wiem, że boli – jęknął Max. – Przepraszam.

David wyrzeźił coś i zamknął oczy.

Leżeli tak obok siebie na podłodze – Max z dłonią przyciśniętą z całej siły do rany w boku kolegi. Po paru minutach na korytarzu rozległy się pospieszne kroki i do pokoju wbiegło sześć moomenhoven w towarzystwie Rolfa. Pulchne i niezawodne uzdrowicielki delikatnie odsunęły na bok Maksa, a same rozcięły koszulę Davida i prędkimi ruchami starały się zatamować krwotok. Max wstał, dysząc, i spojrzał na siebie. Cały był we krwi Davida. Zobaczył bladego jak ściana Rolfa w drzwiach, a za nim tłum gapiów.

– Nie mogę teraz – rzucił Max, ignorując ich pytania. Wytarł ręce o narzutę na łóżku Davida i podniósł z podłogi Księżę Thotha. Ukrył ją głęboko w magicznym plecaku przyjaciela, zarzucił go sobie na ramię i spojrzał na uwijające się moomenhoveny. – Potrzebujecie czegoś? – zapytał. – Mogę wam jakoś pomóc?

Pokręciły niecierpliwie głowami i gestem nakazały mu odsunąć się od rannego. Kiedy chłopiec się odwrócił, zobaczył jeszcze jedną sparaliżowaną strachem twarz. Obok Rolfa w drzwiach pokoju stał pan McDaniels.

– Mój Boże – wysapał ze wzrokiem wbitym w krew na ubraniu syna.

– Tato, nic mi nie jest – pospieszył z wyjaśnieniem Max. – Zostań z Davidem, proszę cię. Ja zaraz wrócę. Będę z powrotem najszybciej jak się da.

Kurczowo ściskając plecak Davida, Max przepchnął się obok taty i Rolfa, minął gęstniejący przy drzwiach pokoju tłumek uczniów i pognął przed siebie korytarzem. Przeskakując po kilka stopni, pokonał schody i dopadł gabinetu pani Richter. Drzwi stały otworem, a z wnętrza dochodziły podniesione głosy. – Max szybko wszedł do pokoju i zobaczył czerwonego na twarzy Wiljaka pochylającego się nad biurkiem, za którym siedziała Dama Mako. Na podłodze leżały w nieładzie szaty Lorda Aamona. Maską demona rozłupana była na pół.

– Co się stało? – wydyszał Max.

Wiljak jednym spojrzeniem ocenił stan ucznia.

– Ja pytam o to samo – rzekł, nie odrywając wzroku od krwi na ubraniu Maksa.

– David Menlo został pchnięty nożem.

– Przeżyje? – zapytał Wiljak, ukradkiem spoglądając na wiedźmę.

– Nie wiem – odparł Max. – moomenhoveny już są przy nim. Rana jest ciężka.

– To wina Rowan! – wykrzyknęła Dama Mako, wstając. – Gdybyście oddali go wcześniej, jak było obiecane, nigdy by do tego nie doszło! Już po naszej umowie, dyrektorze. Przez krew i świętą przysięgę Eliasa Brama ogłaszam, że gdy nadejdzie czarna godzina, córy i synowie Rowan upadną złożeni niemocą! Klątwa wiedźm

rzuciona!

Dama Mako zgarnęła szaty i skierowała się do wyjścia.

– Zatrzymać ją – warknął Wiljak.

Wiedźma odwróciła się na pięcie i wycelowała w niego ostry palec.

– Jak pan śmie?! – syknęła. – Przybyłam tu na pańskie zaproszenie i osobiście zagwarantowałam mi pan bezpieczeństwo, dyrektorze Wiljak. Czy i tę świętą przysięgę chce pan pogwałcić?

Przez dłuższą chwilę Wiljak po prostu stał i kipiał. Nagle zaklął i walnął otwartą dłonią w biurko.

– Puścić ją! – ryknął i machnął ręką.

Dama Mako rzuciła jeszcze spojrzenie na Maksa i powłócząc czarnymi sukniemi, przemknęła obok nich. Wiljak, Max i członkowie Czerwonego Bractwa poszli za nią do drzwi wejściowych i przyglądali się, jak wiedźma wsiada do karocy. Zaprzęg czarnych jak smoła koni ruszył z miejsca i dumnym kłusem odjechał drogą w kierunku morza, po czym skręcił w prawo i zniknął w lasach ciągnących się aż do bramy wjazdowej.

– Co za zniechęcający dzień – mruknął cicho Wiljak i odwrócił się do Maksa. – A teraz opowiedz mi, co się stało. I, co najważniejsze, gdzie jest księga?

– Nie wiem, gdzie ona jest – skłamał Max. – Wiem tylko, że David ukrył ją w bezpiecznym miejscu.

Wiljak nie odpowiedział, lecz wzrokiem, w którym malowało się niedowierzanie przyglądał się przez dłuższą

chwile swemu najmłodszemu agentowi. Max patrzył mu prosto w oczy i nawet nie mrugnął. Dyrektor ciężko westchnął i zmęczonym gestem wskazał na przesiąknięte krwią ubranie Maksa.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał.

– Sam pan widzi – odpowiedział chłopiec i pokazał na jaśniejące za oknem błękitne niebo, a na nim zbyt gorące jak na tę porę roku słońce.

Wiljak przysłonił ręką oczy i spojrzał na horyzont. Z dachu Domostwa miarowym rytmem kapąły krople topniejącego lodu.

– O co ci chodzi? – zniecierpliwił się. – Nic nie widzę.

– W tym cały problem – odpowiedział Max. – Nie ma mgły Davida.

Tego dnia w Rowan zaczęto gromadzić zapasy i wyposażenie na wypadek sytuacji awaryjnej. Odwołano zajęcia szkolne. Generatory, szklarnie, podstawowe artykuły żywnościowe oraz najcenniejsze dzieła sztuki z mazołem rozbierano na części lub pakowano i w powolnym korowodzie wózków, wozów i tacek przewożono przez Sad i las do Sanktuarium. Okazało się, że Sanktuarium rozciąga się znacznie dalej, niż Max sobie wyobrażał, i że przez niski łańcuch gór o wierzchołkach wciąż pokrytych śniegiem, który, jak chłopiec dotychczas sądził, stanowił odległą granicę Sanktuarium, można się było przedostać wąskim gardłem. Za owym przejściem

rozciągała się wielka dolina, przecięta na pół wartką rzeką, a za doliną szary, wyższy łańcuch gór. W nim zaś, kiedy setki lat wcześniej zakładano Rowan, wydrążono przy użyciu Starej Magii labirynt skalnych tuneli.

Następne tygodnie były dla Maksa szczególnie trudne. David leżał w sali szpitalnej. Żył, lecz był za słaby, żeby na nowo wyczarować zasłonę mgły. Powoli dochodził do siebie pod czujnym okiem moonenhoven. Connor przepadł. Paru uczniów twierdziło, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy zniknęła mgła nad Rowan, widziało go uciekającego w las. Żaden z agentów nie zdołał jednak go odnaleźć.

Pomimo rozwoju wydarzeń Wiljak nie zgodził się na uwolnienie pani Richter, Boba, Coopera i reszty więźniów, pojmanych w dniu zamachu stanu. Zamiast tego dyrektor często zamykał się w gabinecie pani Richter i naradzał albo z Rasmussenem, albo z wykładowcami strategii, którzy nie zostali uwięzieni w Podziemiu. Od wyjazdu Damy Mako Wróg nie dawał znaku życia. Nie zdarzyło się też nic, co mogłoby wskazywać, że klątwa wiedźm działa. Rowan dręczyła niepewność, wzrastający strach i ciągle poczucie zagrożenia, kiedy godziny zmieniały się w dni, dni w tygodnie, aż wreszcie zima dobiegła końca. Dokładnie sprawdzano przybywających na teren szkoły uchodźców, a fakt, że Max jest agentem Czerwonego Bractwa, wyszedł w końcu na światło dzienne i stał się powszechnie znany. Chłopak był przydzielany przeważnie do pełnienia długich wart przy

bramie wjazdowej albo przez wiele godzin czuwał na urwisku, wpatrując się w szeroki, ciemny pas oceanu.

Właśnie podczas takiego dyżuru, późnym wieczorem w ostatnich dniach marca, usłyszał kroki zbliżające się do jego punktu obserwacyjnego na klifie ponad plażą. Odwrócił się i stwierdził, że nadchodzi jakaś ładna dziewczyna z latarnią w ręku.

– Hej, Max – odezwała się niepewnie. – Powiedzieli mi, że tu cię znajdę.

– Cześć – odpowiedział.

– Mogę na chwilę? – zapytała.

– Jasne – odparł i przesunął się trochę, robiąc jej miejsce na płaskim kamieniu.

Postawiła latarnię na ziemi i usiadła twarzą do oceanu. Przez jakiś czas milczała, postukiwała tylko palcami o lodowaty głaz. Wiał zimny, wilgotny wiatr.

– Nie nudno ci tak tu siedzieć? – zapytała.

– Nie, wcale – odpowiedział Max, nie spuszczać wzroku z Czuwania Brygidy. – Nawet to lubię. Jest spokojnie.

– Zmieniłeś się – uśmiechnęła się ze smutkiem. – Wydajesz się o wiele starszy i o wiele poważniejszy, niż kiedy tu przyjechałeś.

Dziwnie było usłyszeć coś takiego od zupełnie obcej osoby. Max odwrócił się do niej.

– Przepraszam, ale my się chyba nie znamy – powiedział.

Dziewczyna przez jakiś czas milczała. Księżyc

zasłoniła gruba warstwa chmur i wszystko pogrążyło się w jeszcze gęstszej ciemności.

– Ignorować mnie to jeszcze rozumiem – rzekła w końcu. – Wiem, że możesz być na mnie zły i masz do tego prawo. Ale udawać, że mnie nie znasz, to co innego. To po prostu niegrzeczne.

– Nie zamierzałem być niegrzeczny – powiedział Max i przybliżył się do dziewczyny, by dokładniej przyjrzeć się jej twarzy. – Nigdy dotąd cię nie widziałem i nie wiem, kim jesteś. Przecież pamiętam osoby, które znam.

– Jestem Julie Teller – powiedziała z niedowierzaniem. – Z Melbourne. Zrobiłam ci zdjęcie w zeszłym roku, do gazetki szkolnej, pamiętasz? No i... tego... całowaliśmy się...

Max tylko mrugnął i pokręcił głową. Zdesperowana, zaczęła szukać czegoś w kieszeni kurtki. Wyciągnęła zwitek listów i cisnęła je w niego.

– A to pamiętasz?!

Max wziął listy do ręki i zaczął je oglądać. Były zaadresowane do tej dziewczyny jego charakterem pisma i według daty na stemplach wysłane poprzedniego lata. Sięgnął do jednej z kopert, wyciągnął kartkę i zaczął czytać. Po paru sekundach był czerwony jak burak i uszy go piekły.

– To najmiłszy list, jaki kiedykolwiek dostałam – westchnęła dziewczyna. – Tęsknię za tym, kto go do mnie napisał.

Max szybko złożył kartkę i wepchnął ją do koperty.

– Nic nie rozumiem – powiedział cicho. – Nie pamiętam ciebie i nie pamiętam, żebym to pisał.

– Wobec tego musiało się stać coś dziwnego – odparła Julie. – Rok temu, w lecie, zaczął mi się w kółko śnić ten sam sen. Mały człowieczek o niebieskiej skórze i żółtych kocich oczach przychodził do mnie co noc i wmawiał mi, że jeśli nie przestanę się do ciebie odzywać, zdarzą się jakieś straszne rzeczy.

Pojawiał się tak często, że zaczęłam mu wierzyć.

– To pan Sikes – odparł Max spokojnie. – Nie słuchaj go nigdy, Julie. Jest bardzo, bardzo zły.

– Ale po co nawiedzał mnie w snach? – dziwiła się. – Po co chciał, żebym się trzymała od ciebie z daleka?

– Myślę, że chciał, żebym był sam – zastanawiał się na głos Max, wpatrując się w listy. – Myślę, że chciał, żebym mu zaufał, zaczął mu się zwierzać, w pewnym sensie uzależnił się od niego. Udało mu się. Przepraszam, że cię nie pamiętam... I przepraszam za wszystko. – Max oddał dziewczynie listy.

– Pamiętam ten dzień, kiedy dowiedziałam się, że ty i David zniknęliście – powiedziała z oczami pełnymi łez. – Nikt nie wiedział, co się z wami stało. Krążyło tyle plotek... A to, że porwały was wiedźmy, a to, że Cooper was zamordował. Anna Lundgren powiedziała nawet, że przeszliście na stronę Wroga. Nie wiedziałam, komu wierzyć. A potem wróciliście, lecz zanim zdążyłam się z tobą spotkać, znowu odpłynęliście na „Pustulce”. Bałam

się, że już nigdy cię nie zobaczę.

Max pomyślał o losie, jaki spotkał Davida, mamę, Connora.

– Może tak byłoby lepiej – rzekł ściszone głosem. – To ja jestem winien tych wszystkich problemów.

– Max, jak możesz mówić takie rzeczy! – zaprotestowała Julie i położyła dłoń na jego dłoni. – Mówisz jak Anna, a to poniżej twojego poziomu. Jest w tobie moc... i ja to czuję. – Poklepała go po ramieniu, a jej oddech unosił się gęstą mgiełką w chłodnym nocnym powietrzu. – W Sanktuarium jest moja rodzina. Wszyscy o tobie słyszeli. Pod wpływem tych historii i opowieści mój młodszy brat myśli, że jesteś odrodzonym Achillesem!

Max uniósł brew i uśmiechnął się.

– Jeśli musimy zaczynać od nowa, to proszę bardzo – powiedziała. – Jestem Julie Teller. Miło mi cię poznać.

Pochyliła się do przodu i lekko ścisnęła rękę Maksa, kładąc równocześnie głowę na jego ramieniu. Chłopiec zamknął oczy i słuchał, jak dzwon Starego Toma miarowo wybija północ kojącym, głuchym tonem. Umysł Maksa jak zjawy wypełniały pytania. Kiedy wybrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu, otworzył oczy i spojrzał w dal, na horyzont.

Gdzieś daleko, daleko na morzu, zagubione w cienkich warstwach mgły, błyskało pojedyncze światełko. Wyglądało prawie jak odległa latarnia morska, lecz Max wiedział, że latarni morskiej ani innego znaku

sygnalizacyjnego nigdy w tym miejscu nie było. Obok niego pojawiło się drugie światełko, a za nim następne. Z ponurego mroku zaczęło się wylaniać ich całe mrowie. Można było odnieść wrażenie, że z nocnego nieba spadły tysiące gwiazd i jak diamenty rozsypały się po sam horyzont. Max wpatrywał się w nie w milczeniu, dziwnie zafascynowany ich mruganiem, pojawianiem się i znikaniem. Wtem zza chmur wyszedł księżyc i oświetlił morze mlecznobiałym, rozproszonym blaskiem. Widok, który ukazał się oczom chłopca, sprawił, że serce zatrzymało mu się na chwilę z trwogi.

– Julie – szepnął i pociągnął ją, by wstała. – Uciekaj szybko do Sanktuarium.

Otworzyła usta, by zaprotestować, lecz kiedy podążyła za wzrokiem Maksa i spojrzała na horyzont, zaniemówiła.

W kierunku brzegu żeglowały setki okrętów. Na dziobie każdego z nich świeciła latarnia.

Zaczynało się oblężenie Rowan.

Podczas gdy Julie zamarzniętymi ścieżkami wracała do Sanktuarium, Max pognał w kierunku Starego Toma. Z impetem otworzył drzwi, wbiegł na kręte schody i popędził na górę – na szczyt wieży zegarowej. Chwycił gruby sznur od dzwonu i pociągnął go. Ciężki dzwon z brązu zakołysał się w tył i do przodu, ledwo wydając brzmienie. Niezadowolony z efektu chłopiec chwycił stojący pod ścianą, obok innych narzędzi, ciężki młot, zamachnął się nim i uderzył w dzwon, raz, drugi, trzeci i

kolejny. Bębenki omal nie popękały mu od ogłuszającego dźwięku. Za którymś uderzeniem rozległ się straszliwy huk i Stary Tom pękł. Spadł z podtrzymującej go belki i runął na posadzkę rozbijając się w drzazgi. Kaszląc w chmurze pyłu, Max wyjrzał przez okienko i stwierdził, że na trawniki zaczynają wylęgać ludzie. Wśród nich dostrzegł Wiljaka w towarzystwie Rasmussena i innych członków Czerwonego Bractwa.

– Nadpływają! – wrzasnął Max i wyciągnął rękę w stronę oceanu.

Przecisnął się obok szczątków dzwonu, ominął zdruzgotany fragment klatki schodowej i jak szalony popędził na dół, a stamtąd z powrotem na klif, gdzie zszokowany Wiljak w milczeniu obserwował nadpływającą armadę. Na widnokregu pojawiało się coraz więcej okrętów. Były ich setki, może nawet tysiące. Wszystkie sunęły w kierunku Rowan niczym grad płonących strzał. Było już dobrze widać te, które zbliżały się pierwsze – okręty o wysokich masztach i czarnych żaglach, a na ich pokładach... kłębiły się przerażające istoty.

– Dobrze zrobiłeś, podnosząc alarm, McDaniels – mruknął Wiljak. – Uczni prometejscy nadchodzą, by uformować obronę. Wszyscy pozostali mają się udać do Sanktuarium.

– Dobrze – wydyszał Max. – Lecz dotyczy to chyba również pani Richter i reszty. Przecież nie można ich zostawić w Podziemiu.

– Nie mamy na to czasu – burknął Wiljak i potrząsnął głową. – Te okręty za godzinę przybiją do brzegu. Jedyne, co możemy zrobić, to opóźnić lądowanie Wroga.

– Ja się tym zajmę – zaproponował Max, wyciągając rękę. – Proszę mi tylko dać klucze i powiedzieć, gdzie mam ich szukać.

– To niemożliwe – odparł Wiljak i odwrócił się na pięcie.

Max dostrzegł Rasmussena. Doktor stał obok i przyglądał się flocie, która nadpływała z upiornym majestatem, złowróżbna niczym nadchodzący huragan. Chłopak złapał inżyniera za rękaw i szarpnął mocno.

– Wobec tego niech pan mu powie – syknął. – Niech pan mu powie, że potrzebujemy pani Richter. Że potrzebujemy Coopera i panny Boon.

Rasmussen otworzył usta, lecz nie wydusił ani słowa. Max potrząsnął nim.

– Cooper uratował pana tam, w Warsztacie. Jest mu pan coś winien! Będą bezbronni, jeśli ich tam zostawimy!

Rasmussen, oszołomiony, mrugnął i pokiwał głową.

– Jurij! – zawołał.

Wiljak zatrzymał się i patrzył na nich, jak ku niemu biegli.

– Max ma rację – wydyszał Rasmussen. – Prócz tego musimy uruchomić wszystkie siły, jakimi dysponujemy.

Twarz Wiljaka pociemniała. Wargi zacisnęły mu się w wąską – kreskę.

– Co za sentymentalne bzdury – mruknął, ale sięgnął

do kieszeni i wydobyl pęk starych żelaznych kluczy. Rzucił je Maksowi i powiedział: – Nie mam czasu do stracenia, więc musisz sam ich znaleźć.

– Ale gdzie mam szukać? – zapytał Max.

– Spytaj tego, co się zajmuje aresztem – odpowiedział pogardliwie Wiljak. – Jeśli sobie dobrze przypominam, jest tam taki jeden.

– Kto? – Max nie wiedział, o kim komandor mówi.

– Ten pomylenieć, co czyści łazienki – wyjaśnił Wiljak.

– Jimmy? – Max chciał być do końca pewien, że chodzi o małego dziwnego człowieczka, który mył podłogi w łazience na trzecim piętrze i terroryzował wszystkich, którzy przychodzili się myć bez prezentu. – Jimmy jest strażnikiem więziennym?

– Nie wiem, jak on się nazywa – rzucił Wiljak przez ramię i odbiegł, wykrzykując rozkazy do agentów i niższej rangi mistyków, którzy już się zbierali na urwisku.

Max zwrócił się znowu do Rasmussena.

– Proszę dopilnować, żeby mój tata i David znaleźli się w Sanktuarium – powiedział. – Może pan to zrobić?

– Czemu mnie prosisz?

– Bo im też pan jest coś winien – zdecydowanym tonem odparł Max.

– Dopilnuję – rzekł Rasmussen, dziwnie poruszony. – Będę się nimi opiekował.

Max podziękował i zacisnął na ramieniu pasek plecaka Davida. Z pękiem kluczy w ręku pobiegł w

poprzek trawników do Domostwa. Panowało tam istne piekło, jako że całe gromady spanikowanych uczniów z rodzinami i dobytkiem kłębiły się na korytarzach i tłoczyły przy drzwiach, by jak najprędzej uciec do Sanktuarium. Natomiast z Maggie wyszła właśnie grupa uczonych prometejskich i dwunastu zasuszonych mistyków ze starożytnymi księgami przyciśniętymi do piersi. Prowadziła ich Amulya Jain, blada i zgaszona.

Max dostał się do głównego holu Domostwa i przepchnął się pod prąd napierającego na drzwi tłumu, potem, również pod prąd, wdrapał się po schodach, żeby w końcu dopaść luksusowej łazienki na trzecim piętrze. Był tam Jimmy. Wsparty o marmurową umywalkę, nucił coś pod nosem i polerował brzuch porcelanowego Buddy.

– Max! – wykrzyknął, kiedy zobaczył chłopca. – Przyszedłeś się ostrzyć? Wyglądasz jak hippis!

– Nie ma czasu, Jimmy – wydyszał Max i potrząsnął przed sobą kluczami. – Wróg atakuje Rowan! Musisz mi pokazać zejście na dół, do Podziemia. Musimy uwolnić więźniów.

– To znaczy, że mamy sytuację nadzwyczajnego zagrożenia? – upewnił się Jimmy, gładząc się po bokobrodach.

– Tak, Jimmy, dokładnie to – gorączkował się Max.

– Uuu la, la! – wykrzyknął człowieczek, strzelił palcami i prędko zeskoczył z blatu. Wyrwał Maksowi klucze i wesoło pogwizdując, poczłapał korytarzem.

Max poczuł nieodpartą chęć, by udusić Jimmy'ego,

kiedy ten, spiesząc uwolnić więźniów, wygłaszał pogadankę na temat pewnych fragmentów historii Domostwa.

– Oczywiście nikt mnie nigdy nie pytał – mówił, kiedy szli przez pusty salon – ale osobiście sędzę, że całe to skrzydło zostało niewłaściwie pomyślane. Przydałoby się tu więcej jasnych, kremowych i brzoskwiniowych kolorów. To by dopiero uszczęśliwiło dziewczęta! Nie tam, takie ciemne drewno i...

– Błagam – jęknął Max, który równocześnie usiłował myśleć.

– No ale to przecież prawda – upierał się Jimmy, a po głosie słyhać było, że zaczyna być mu przykro.

Doszli do końca długiego korytarza. Jimmy strzelił palcami i leżący na posadzce perski dywan zrolował się, odkrywając klapę w podłodze.

– Oj, dawno mnie już tam nie było. – Pociągnął nosem, chwycił za żelazne kółko i pociągnął klapę do góry.

Zaczęli schodzić po stromych schodach. Klatka schodowa wiła się coraz niżej, aż jej zbudowane z kamieni ściany ustąpiły miejsca litej skale.

– Jimmy, szybciej – poprosił Max, kiedy człowieczek uważnie jak dziecko stawiał nogi na stopniach.

– Przecież idę szybko – poskarżył się Jimmy. – Mam metr dziesięć wzrostu, ty pacanie!

Wykute w skale, kamienne schody kończyły się wreszcie w zimnej, wilgotnej grocie o ścianach pokrytych

zielonoszarym nalotem pleśni. W skale osadzone były masywne żelazne drzwi. Jimmy pakuścił do nich, wybrał właściwy klucz i wspiął się na palce, żeby włożyć go do dziurki. Kiedy tylko Max usłyszał zgrzyt, natychmiast pchnął drzwi z całej siły, prawie tratując Jimmy'ego. Mały człowieczek ze zrzędzeniem i narzekaniem wbiegł za chłopcem do Podziemia.

Po obu stronach długiego, ciemnego korytarza Max zobaczył surowe, wyciosane w skale cele przypominające prymitywne klatki dla zwierząt w zoo. Każdą z nich oddzielała od korytarza krata z grubych, skorodowanych prętów. Max zastanawiał się, jak to możliwe, by ktoś tak potężny jak pani Richter czy ogr, nie mógł poradzić sobie z podobnym zabezpieczeniem. Zastanawiał się, dopóki nie zobaczył pierwszego więźnia.

Była nim panna Boon. Siedziała wyprostowana na krześle i wpatrywała się w dal tępym, pustym wzrokiem. Jej inteligentne oczy były mętne i przyćmione. Max stał naprzeciwko niej po drugiej stronie kraty i widział, że nauczycielka go nie rozpoznaje.

– Co z nią jest? – zapytał.

– Nie widzisz baki? – odpowiedział pytaniem Jimmy.

– Tam, nad jej ramieniem?

Max spojrział jeszcze raz i zobaczył małe stworzenie, podobne do bladokórego chochlika, nagie i pomarszczone, siedzące na oparciu krzesła niczym ohydny gargulec. Wychylało się w przód i w ledwo widoczny sposób poruszało ustami, szepcząc coś do ucha

młodej nauczycielki.

– Wszyscy więźniowie są pod wpływem tych mizernych stworzeń – rzekł Jimmy, potrząsając głową. – To stary sposób, któremu zawsze byłem przeciwny. Baki utrzymują więźniów w stanie marzeń sennych, okropnych, jak przypuszczam. Nie wiem nawet, po co te kraty. Nigdy nie widziałem, żeby taki więzień kiwnął chociaż palcem przez sen.

Widok ohydneho stworzenia uczonego nauczycielki niczym jakiś wstrętny pasożyt wzbudził w Maksie odrazę i natychmiastowy sprzeciw. Gdy tylko Jimmy otworzył drzwi, Max jednym susem wpadł do celi i przepędził bakę. Ten pisnął, rozczapierzył ramiona i zaczął nimi bić powietrze niczym ociężały, okaleczony nietoperz, po czym wleciał na półkę skalną trzy metry powyżej. Kiedy poczuł się bezpiecznie, przysiadł na tylnych łapach i syknął na Maksa przez małe, ostre zęby. Max zlekceważył to i delikatnie potrząsnął panną Boon. Ta, oszołomiona, zaczęła mrugać.

– Gdzie jestem? – zapytała, rozglądając się po celi.

– W Podziemiu – odparł Max. – Musi mi pani pomóc.

Nie ma czasu do stracenia.

Z pomocą Jimmy'ego Max i panna Boon chodzili od celi do celi i budzili z hipnotycznego snu panią Richter, Boba, Coopera i kilkanaścioro innych nauczycieli. Kiedy ci dochodzili do siebie, Jimmy z Makssem poszli dalej, by uwolnić resztę więźniów. Kiedy chłopiec stanął przed jedną z ostatnich cel w korytarzu, zatkało go ze

zdumienia. Siedział przed nim pan Morrow we własnej osobie.

Zdradziecki wykładowca nauk humanistycznych trwał nieruchomo na krześle, z baką wczepionym w jego potarganą, białą brodę, która bardzo urosła mu w więzieniu. Max poczuł, jak ogarniają go sprzeczne uczucia. Patrzył na człowieka, który ponosił bezpośrednią odpowiedzialność za tyle zbrodni dokonanych rok wcześniej. Do chłopca podszedł Cooper, wyjął mu z ręki klucze i otworzył celę.

– Powinniśmy go tu zostawić – mruknął Max, który właśnie zdał sobie sprawę, że gdyby nie zdrada tego człowieka, Astaroth wciąż jeszcze byłby uwięziony w obrazie Rembrandta.

– Nie – powiedział Cooper i wszedł do środka. – To już byłoby morderstwo.

Agent wyprowadził przygarbionego, zmieszanego pana Morrowa z celi. Staruszek przylgnął do niego jak dziecko. Oczy otworzyły mu się szeroko, gdy zobaczył Maksa.

– Dzięki Bogu – wymamrotał. – Dzięki Bogu, że nie stała ci się żadna krzywda...

Max zignorował go i odezwał się do Boba, którego oczy zabłysły nienawiścią, gdy tylko spojrzał na byłego nauczyciela:

– Zaprowadź pana Morrowa i resztę do Sanktuarium, Bob.

Kiedy ogr to usłyszał, wyprostował się na całą swą

wysokość i z góry spojrzął na chłopca.

– Bob będzie walczył.

– Nie! – poprosił Max błagalnym tonem. – Potrzebujemy mistyków, nie mięśni. Jeśli te okręty przybiją do brzegu...

Bob ze zmarszczonym czołem rozważył słowa chłopca, po czym powoli i niechętnie kiwnął głową i zaczął zbierać starszych więźniów oraz tych, którzy nie mieli nic wspólnego z mistyką. Poprowadził ich w górę po schodach. Max zwrócił się teraz do Jimmy'ego:

– Chciałbym cię jeszcze o coś poprosić, Jimmy.

– Czegoś jeszcze mam poszukać? – z nadzieją zapytał Jimmy.

– Właśnie – przytaknął Max i zarzucił na ramiona plecak. – Musisz poszukać Connora Lyncha. Ukrywa się gdzieś na terenie kampusu, ale trzeba go jak najszybciej znaleźć i zaprowadzić do Sanktuarium. Tylko tam będzie bezpieczny.

– Szafa gra, już się robi! – zakrzyknął Jimmy, zasalutował dziarsko i podreptał w stronę schodów.

– Musimy się spieszyć – rzekł Max i poprowadził panią Richter, pannę Boon oraz Coopera po schodach na górę tak szybko, jak tylko byli w stanie iść na uginających się po długim, koszmarnym śnie nogach.

Kiedy znaleźli się na parterze Domostwa, usłyszeli żałosny lament ducha zamieszkującego wody w pobliżu plaży Rowan. Spiesznym krokiem przeszli przez opustoszałe Domostwo i przez główne drzwi, teraz

otwarte na oścież, jakby na przywitanie nadchodzącego szturmu, wyszli na dwór.

Na dworze wściekle zacinał lodowaty deszcz, a od oceanu szły ogłuszające porywy wiatru. Max próbował krzyknąć coś do pani Richter, lecz jego głos zginął w wyciu wiatru, więc po prostu wyciągnął rękę w kierunku oceanu. Wszyscy razem pobiegli poprzez trawniki ku urwisku, gdzie stali już w równoległym do brzegu rzędzie uczeni prometejscy. Dotarwszy do klifu, Max usłyszał odległy dźwięk bębnow, a po nim potężny, nagły ryk, który mógł być zarówno rykiem gniewnych fal oceanu, jak i zapalczywym okrzykiem wojennym tysiąca głosów.

Max spojrzął poza wypowiadających zaklęcia uczonych na rozszalały ocean. Setki galeonów o wysokich masztach bujały się na falach aż po horyzont. Niektóre z nich były całe, inne zdruzgotane lub uszkodzone, jakby zbudzone z długiego snu w otchłaniach morza. Zarzuciły kotwice w pewnej odległości od brzegu i z pryskającymi w strugach deszczu płomieniami pochodni czekały, aż przy złowieszczym wtórze bębnow tysiące łodzi desantowych dowiezie wieloki, gobliny, ogry i ludzi do brzegu. Uczeni prometejscy rzucali zaklęcia – wzbudzali wielkie fale i prądy wodne, by gniewne morze poczyniło jak największe spustoszenie wśród załogi Wroga i powstrzymało nadpływające łodzie.

– Nie wtrącać się – warknął Wiljak, gdy jego wzrok padł na panią Richter. Zatrzymał się na chwilę i wzniósł w stronę uczonych okrzyk zachęty i entuzjazmu, gdy jedna z

łodzi, porwana przez potężną, czarną falę, roztrzaskała się o Czuwanie Brygidy.

Entuzjazm Wiljaka udzielił się innym obserwującym, którzy również zaczęli dopingować uczonych, ale Maksowi – nie. Chłopiec zauważył, że na miejsce każdej zatopionej łodzi natychmiast pojawiały się trzy inne, mijały połamane maszty i unoszące się na wodzie pogruchotane deski, wiosłowały obok tonących, którzy młócili rękami wodę, by po chwili zniknąć pod jej powierzchnią. Po niebie zaś przetaczały się grzmoty, powolne i złowróźbne. Gdzieś za gęstym, czarnym czołem burzy błyskało. Max poczuł, że powietrze staje się nieruchome.

Naraz rozbłysło oślepiające światło i cały świat na ułamek sekundy zamarł. Maks, odrzucony do tyłu, ciężko wylądował na ziemi. Kiedy przestało mu dzwonić w uszach, powrócił ogłuszający huk morza i burzy.

Chłopiec niezdarnie podniósł się na nogi i w szoku przyglądał się temu, co się stało z uczonymi prometejskimi. Ich ciała leżały bezwładne i porozrzucane niczym szmaciane lalki wokół wypalonego w ziemi krateru, z którego unosił się czarny, gęsty dym. Siła, która spowodowała takie uderzenie, musiała być niewyobrażalna. Max bez słowa odwrócił wzrok i przeniósł go na ocean.

Był tam Astaroth.

Nawet z brzegu widać było jego białą twarz na dziobie ogromnego czarnego okrętu. Ręce trzymał w

górze szeroko rozstawione, jakby wznosił błagania ku niebiosom, które posłusznie mu odpowiadały, zsyłając rozszalałe żywioły. Burza na niebie zbierała masę i energię, aż stała się porażająco potężna – tak potężna, że wydawało się, iż jeszcze chwila, a wessie cały świat.

– Mój Boże – mruknął struchlały mistyk, wpatrując się w dostojny majestat żywiołu. – Z czymś takim przecież nie damy sobie rady...

Reszta mu przytaknęła i po chwili już odchodzili spiesznie w stronę Sanktuarium, niczym szczury uciekające z tonącego okrętu. Członkowie Czerwonego Bractwa wraz z kilkoma starszymi agentami pozostali na posterunku. Max zauważył nawet, że jeden z nich podał Cooperowi nóż. Ktoś jeszcze przyciągnął jego uwagę – to panna Boon zbierała pozostałości po starożytnych księgach uczonych, by wiatr nie zwał ich z urwistego wybrzeża. W tle całego tego pandemonium Max usłyszał głosy pani Richter i Wiljaka. Odwrócił się i zobaczył tych dwoje w zażartej kłótni.

– Nie! – wrzeszczał komandor Wiljak.

– Ale ty nie potrafisz się nim posłużyć! – krzyczała pani Richter. – Nigdy nie potrafiłeś!

– Należy do dyrektora! – zaprotestował Wiljak i zakrył Pierścień Fundatorów drugą ręką.

– Niedługo nie będzie żadnego dyrektora, Jurij!

Stwierdzenie to wywarło, zdaje się, oczekiwany efekt na komandorze. Jeszcze raz spojrział na armadę, która teraz już jednostajnym ruchem, bez przeszkód zbliżała się

do brzegu. Zerwał pierścień z palca i cisnął nim w panią Richter, po czym odwrócił się na pięcie i przez lodowaty, zacinający deszcz pobiegł do Sanktuarium.

Twarz Coopera wykrzywiła się w szyderczym grymasie. Przez chwilę Max myślał, że członkowie Bractwa pójdą w ślady swego tchórzliwego dowódcy, lecz nie – odwrócili się do uciekającego Wiljaka plecami i za Cooperem zaczęli schodzić po kamiennych schodach na plażę, gdzie za chwilę mieli wylądować pierwsi atakujący. Max poszedł za nimi, lecz Cooper go zatrzymał.

– Max, pamiętaj o rozkazie. Walkę zostaw nam.

Szybkim krokiem nadeszła pani Richter.

– Cooper – rzekła. – Odwołaj ich stamtąd w tej chwili. Przecież to samobójstwo. – Zwróciła się teraz do Maksa, a głos miała napięty jak struna. – Gdzie jest David Menlo? – zapytała nagłaco. – Jest nam potrzebny tutaj.

– David został poważnie ranny, pani dyrektor – wyjaśnił Max. – Nie pomoże nam.

Pani Richter mrugnęła i wzniosła oczy ku monstrialnej, uformowanej już burzy. Max przeraził się, że i ją sparaliżuje strach, lecz nie – twarz dyrektorki przybrała wyraz stanowczości i spokoju. Wsunęła na palec Pierścień Fundatorów i skinęła łagodnie na pannę Boon.

– Hazel – powiedziała – zostaw to wszystko, podejdź tu i weź mnie za rękę.

Młoda nauczycielka mistyki porzuciła zebrane przed chwilą naręcze cennych ksiąg i zrobiła, o co ją

poproszono. Max patrzył, jak obydwie kobiety podchodzą do klifu. Pierścień Fundatorów zaśnił niczym żywy klejnot. Pani Richter wyciągnęła go naprzeciw statków i łodzi.

Max poczuł, że ziemia się trzęsie – raz, a potem drugi. Kiedy opuścił wzrok ku plaży, w twarz prysnął mu pióropusz piany.

Poziom oceanu zaczął się zniecka podnosić, jakby urwisty klif wziął nagle głęboki, powolny oddech. Woda przybierała szybko i gwałtownie. Po chwili w miejscu, gdzie cumowała „Pustułka”, woda dosięgła już schodów w skale. Jej rycząca, bulgocząca masa rosła i wściekle odbijała się od klifu. Kiedy osiągnęła jego wysokość, nie rozlała się jednak, lecz zachowywała się jak ciało stałe i pięła się coraz wyżej. Max patrzył, jak wznosi się przed nim ściana spienionej, rozbujanej morskiej toni, a w niej, dziwnie zawieszona, kotłują się ciała, wraki i odłamki skał.

Pierścień Fundatorów rozplomienił się jeszcze mocniej i pani Richter zesłała ów piętrzący się słup wody w dół, na Wroga.

Max ze wstrzymanym oddechem patrzył, jak olbrzymia masa wody wali się na łodzie i ich załogi. Nawet najbardziej odległe galeony rozkołysały się niebezpiecznie na powstałej fali. Max zaczął wiwatować jak opętany, kiedy kilka potężnych okrętów wywróciło się na bok, wysypując setki stworzeń w rozszalałe spienione otmęty.

– Udało się, pani Richter! Udało się! – wrzeszczał. – Pani dała im radę!

Czerwone Bractwo zawtórowało mu głośno i wydawało się, że nawet burza nieco przycichła. Max zmrużył oczy i poprzez siekący deszcz wpatrywał się w ocean w nadziei, że dojrzy gdzieś pośród bałwanów zmiecioną z pokładu białą twarz.

Niestety, aż tak dobrze nie było.

Astaroth stał bez ruchu na dziobie okrętu flagowego. Jego szept, niesiony wiatrem, wydawał się przeznaczony tylko dla ucha Maksa.

– *Widzę cię. I nadchodzę.*

W tej samej chwili od oceanu zerwał się podmuch tak silny i niespodziewany, że wszystko się pod nim ugięło.

Max padł na ziemię i przyłgął do niej, wczepiając się paznokciami w mokrą skałę, by nie dać się porwać straszliwej sile. Panią Richter i pannę Boon zmiotło z nóg, ich ręce rozerwały się z uścisku i obie kobiety potoczyły się po skale niczym niesione wiatrem jesienne liście.

Burza rozszalała się na nowo. Zagrzmiało i pomiędzy chmurami roztańczyły się nienaturalne błyskawice. Max zobaczył, że pani Richter podnosi się i z ponurą determinacją kieruje się z powrotem na swoje stanowisko na klifie.

Zdołała prawie dojść do celu, gdy powietrze znowu stanęło w bezruchu. Maksa ogarnęła trwoga. Nagle oślepił go blask ogromnego, rozżarzonego pioruna i ogłuszył potworny huk, od którego szyby w oknach Maggie

wyleciały z brzękiem.

Max otworzył oczy i w tępym szoku patrzył, co się stało. Pani Richter leżała nieruchomo na skrawku płonącej ziemi.

HANIEBNY CZYN

Pierwsza do pani Richter dobiegła Hazel Boon. Szlochając, ze wszystkich sił próbowała wyciągnąć bezwładne ciało z dymiącego krateru, ale nie udało jej się, dopóki Cooper nie przyszedł z pomocą. Agent położył panią dyrektor na mokrej trawie i osłonił jej spokojną twarz przed siekącym deszczem. Oniemiały Max stał koło nich z oczami utkwionymi w Pierścień Fundatorów, który bladł i stygł niczym popiół.

– Hazel, musimy się dostać do Sanktuarium – powiedział Cooper i delikatnie odciągnął pannę Boon. – Tutaj już nic po nas.

– Przecież nie możemy jej tu zostawić – zaprotestowała nauczycielka. – Zasłużyła na godny pogrzeb!

Cooper nie zdążył odpowiedzieć, bo zawołał go ktoś z Czerwonego Bractwa.

– William! – krzyknął ów agent, spoglądając w dół na plażę.

Cooper wstał i podszedł do niego.

Max pobiegł za nim i zobaczył, że na plaży roi się już od wieloków i goblinów o garbatych grzbietach, ociekających morską wodą i lśniących w świetle księżyca. Stwory zajmowały się budową mostów pontonowych, a

raczej pomostów prowadzących od skał klifu do zakotwiczonych w pewnej odległości od brzegu galeonów. Max widział już sylwetki potężnych maszyn obłęźniczych, które mocowano właśnie do haków ogromnych dźwigów.

Z plaży rozległ się chrapliwy krzyk. To gobliny dostrzegły Maksa i pozostałych agentów na górze i posłały ku nim grad swych śmiercionośnych strzał. Max poczuł, jak jedna z nich trafia go w pierś, uderzając bez szkody w nanokolczugę señora Lorki. Wielokrotnie ruszyły po resztkach kamiennych schodów w ślad za strzałami.

Cooper odepchnął Maksa od krawędzi klifu.

– Uciekaj! – wrzasnął.

Sam chwycił za rękę pannę Boon i popędził w stronę Domostwa, które wyglądało dziwnie uroczyście ze światłami palącymi się we wszystkich oknach. Max odwrócił się i stwierdził, że pierwsze ciemne kształty dotarły już na smagane wiatrem wypłaszczenie na szczycie urwiska. Kilka z nich przebiegło po ciele pani Richter. Max zatrzymał się. Gotowało się w nim z gniewu.

Złapała go czyjaś żelazna ręka.

– Nawet o tym nie myśl – warknął Cooper i popchnął go naprzód.

Na klifie przybywało wieloków, które rozejrzawszy się, rzucały się na poszukiwanie ofiar, niektóre wyprostowane jak ludzie, inne niczym zwierzęta, na czterech łapach. Panna Boon zaczęła zostawać w tyle. Nie

była w stanie nadażyć za agentami. Nie zwalniając, Cooper porwał ją i zarzucił sobie na ramię. Grupa minęła Domostwo. Frunęli prawie nad dobrze znanymi, wydeptanymi ścieżkami wijącymi się przez Sad, obok Kuźni aż do bramy Sanktuarium.

Gromadziły się tam dziesiątki ludzi. Rozmawiali przyciszonymi głosami, czekając bezradnie w bezlitosnej ulewie. Max rozpoznał – wśród tłumu pana Morrowa. W grupie oczekujących stał też Bob, który górował nad innymi i starał się jak mógł najlepiej osłaniać ich od deszczu.

– Czemu nie jesteście w środku?! – wrzasnął Cooper.
– Powinni się domyślić, że nadchodzimy.

– Pierwszy wszedł Wiljak – wyjaśnił nachmurzony Bob. – Zamknął drzwi, nie możemy wejść.

Cooper zaczął gorączkowo szarpać i ciągnąć za wielkie, żelazne kółko pośrodku drzwi. Ani drgnęły.

– Bob już próbował – mruknął ogr z nutką gorzkiego humoru w głosie, kiedy patrzył, jak o wiele słabsi od niego ludzie wkładają wszystkie siły w próbę otwarcia ciężkich drzwi.

– Hazel – poprosił Cooper spokojnym głosem – dasz radę otworzyć?

Panna Boon podeszła do drzwi i wymruczała kilka zaklęć, mimo że z lasu dobiegały już wycia i straszne krzyki potworów. Niestety, jej wysiłki na nic się nie zdały. Brama pozostała zamknięta.

W lesie trzaskały gałęzie i rozlegało się chrapliwe

wycie. Cooper wykrzyknął zaklęcie i najbliższe drzewo zapłonęło jak zapałka. Iskry przeskoczyły z niego na następne, potem na kolejne, aż cały las pomimo deszczu stanął w płomieniach. Rozległy się wszędzie krzyki. Słyszając je, uwolnieni więźniowie oraz starsi uchodźcy wprost zadygotali z przerażenia. Panna Boon jak szalona wypowiadała kolejne zaklęcia – wszystko na marne.

Coś galopem wbiegło na polanę.

Był to czarny jak smoła wielok ze zwęglonym futrem i na wpół ludzką twarzą. Przesadził ogrodzenie ujeżdżalni i rzucił się prosto na pana Morrowa. Max zobaczył wyciągającą się w tamtą stronę ogromną rękę i wielok wydał z siebie zduszony skowyt – to Bob chwycił go za gardło.

Z nagłą, niezwykłą dla niego zapalczywością, ogr raz po raz podnosił wieloka i walił nim o rozmiękłą od ulewy ziemię, druzgocząc mu kości nawet wtedy, kiedy stwór już nie żył. Stanął potem zdyszany nad zdeformowanymi zwłokami ofiary i przez jego potulne jeszcze przed chwilą rysy przeszedł jakiś pierwotny, przerażający błysk. Cooper chciał do niego podejść, lecz głęboko z piersi Boba wydobył się niski warkot – prawie niesłyszalne ostrzeżenie, by trzymać się z daleka od ogra, który przed chwilą po raz pierwszy od dziesiątków lat uśmiercił ofiarę. Agent powoli się cofnął, a Bob oparł się ciężko o ogrodzenie i z trudem wdychał powietrze, podczas gdy jego oczy czujnie przeszukiwały las.

Tymczasem do płonących drzew zbliżyły się następne

wilcze sylwetki. Stały na tylnych łapach i oceniały sytuację, o wiele ostrożniejsze niż ich szalony towarzysz, którego ciało leżało teraz u stóp ogra. Jeden z nich podniósł łeb i zawył. Inne mu zawtórowały i wkrótce cały las rozbrzmiewał przerażającym wilczym wołaniem, które wabiło na polanę następne osobniki.

Bob sięgnął po opartą o ogrodzenie zardzewiałą łopatę, podniósł ją wysoko, jakby była zabawką, i prostując się, postąpił krok w stronę wieloków. Ryknął.

Nawet na Trasie Max nie słyszał czegoś równie okropnego.

Taki odgłos mogło wydać tylko zwierzę przyparte do muru. Był to wyzywający, grzmiący ryk, w którym mieszały się w równych proporcjach strach, gniew i miłość. Wieloki z początku czmychnęły pod osłonę lasu, nie zważając nawet na to, że zewsząd sypią się na ich głowy iskry. Nabrały odwagi dopiero wtedy, gdy zobaczyły, że wielu współbraci przybywa im w sukurs. Otoczyły ogra kołem, obnażając ostre kły i drapiąc pazurami błotnistą ziemię.

Kilka z nich rzuciło się na Boba, a ten zamachnął się łopatą, miażdżąc jednemu z nich pysk. Kolejny cios – i rozpląszczył następnego. Potem skoczyło do niego parę warczących, zajadłych wieloków naraz, z impetem dopadło jego ogromnej, tykowatej postaci i zaczęło charczeć i skakać by dostać się do gardła, w które można wbić kły. Bob ryknął znowu i odepchnął je wolną ręką, gdy tymczasem powyginana łopata wirowała dziko w

powietrzu, by – odegnać kolejne, szykujące się do ataku stwory.

Max ruszył na pomoc, lecz Cooper pociągnął go do tyłu za koszulę.

– Trzeba mu pomóc! – wrzasnął chłopak.

– Ja to zrobię – mruknął agent, ściskając nadgarstek chłopca. – Ty chroń innych.

– Nie! – krzyknął Max i wyrwał się z taką siłą, że Cooper prawie się przewrócił.

Błyskawicznie skoczył w kierunku pola walki. Próbował przedrzeć się do Boba, teraz już otoczonego pierścieniem ohydnych stworzeń i chwiejącego się pod ciężarem czterech z nich. Wieloki zatopiły kły w ciele ogra i wściekle szarpały głowami, niczym żerujące rekiny. Max złapał pierwszego, odchylił mu głowę do tyłu i odsłonił gardło w zimnym świetle księżyca.

Pod nożem chłopca padał wielok za wielokiem. Ich ciała o zmierzwionej, brudnej sierści osuwały się jedno po drugim w błoto, kiedy Max poruszał się między nimi, zadając śmiertelne ciosy tak szybko, że nie dało się ich śledzić wzrokiem. Jego zamazana sylwetka migiała na tle ściany deszczu i płonących drzew. Kątem oka Max dojrzał szczególnie masywnego wieloka, posturą przypominającego raczej dzika, który usiłował chyłkiem przekraść się do leżącego w błocie ogra, by wyrwać kawał mięsa z jego rany. Rozwścieczony Max obrócił się dookoła własnej osi i rozłupał mu łeb na pół, po czym kopnął jego ciało, by nie przeszkadzało mu w walce, i rozejrzał się

dziko w oczekiwaniu na następnego przeciwnika.

Żaden się nie pojawił. Zebrały się już teraz setki wieloków, wszystkie zaczone na granicy płonącego lasu i wpatrzone w Maksa, lecz żaden nie ośmielił się podejść.

Dyszząc ciężko, chłopiec odwrócił się i spojrzał na Boba. Ogr leżał na ziemi jak wielka, krwawiąca góra. Ręką szukał na oślep porzuconej gdzieś w walce łopaty, która sterczała z błota poza jego zasięgiem. Łzy popłynęły po policzkach Maksa, gdy w strumieniach deszczu kucnął u boku ogra, wśród kilkudziesięciu martwych wieloków z jęzorami wystającymi z bezwładnych szczęk. Dopiero kilka sekund później dotarło do niego, że woła go Cooper.

– Max, chodź tutaj.

Głos agenta był spokojny, lecz jednocześnie nagły. Max obejrzał się za siebie. Czerwone Bractwo otoczyło uchodźców ochronnym kręgiem. Z tyłu, za stłoczonymi przy drzwiach ludźmi, wyjrzała z tunelu Sanktuarium zatroskana twarz Nolana.

– Do środka, Max – zawołał i szerzej otworzył wrota.

– Pospiesz się, już!

Max odwrócił wzrok ku tchórzliwym wielokom, które przemykały pomiędzy drzewami. W skroniach tętniła mu gorąca krew, a palce go swędziały. Toczył dobrze znaną wewnętrzną walkę, by ujarzmić Starą Magię, która wzbierała w nim i panoszyła się wbrew jego woli. Usłyszał za sobą kroki i okręcił się na pięcie. To był Cooper.

– Pomóż mi wnieść Boba do środka – poprosił agent i

złapał ogra za nadgarstek.

Podczas gdy uchodźcy wchodzili przez otwartą bramę do Sanktuarium, Max z Cooperem ciągnęli wazące pół tony ciało Boba przez błoto. W miarę, jak się cofali, wieloki podchodziły coraz bliżej. Członkowie Czerwonego Bractwa jako ostatni weszli do tunelu, wycofując się po kolei i nie spuszczać oczu ze stworów, które skradały się za nimi.

Kiedy wszyscy znaleźli się za ciężkimi drzwiami, Nolan mocno je zatrzęsął. Cooper zostawił na chwilę Boba i pomógł Nolanowi wsunąć rygiel w otwór.

– Czy to ich powstrzyma? – zapytał, patrząc na drzwi z powątpiewaniem.

– Na jakiś czas na pewno – odparł Nolan. Gdy to mówił, szparami w zawiasach zaczęło wypływać błoto od ciężkich uderzeń, jakie spadały na drzwi z drugiej strony.

– Są mocniejsze, niż się wydaje, wzmocnione paroma zakłęciami.

– Skąd wiedziałeś, że masz przyjść? – mruknął Cooper, popędzając grupę, by ruszyła wreszcie spod wrót pod sklepienie drzew, gdzie powietrze było cieplejsze i pachniało sosnami. Max szedł w milczeniu za nimi i przysłuchiwał się rozmowie.

– Wiljak przybiegł sam – wyjaśnił ponuro Nolan. – Zupełnie sam i opowiadał niestworzone rzeczy. Powinien być mądrzejszy i nie próbować okłamywać Yayı...

Yaya czekała na nich tam, gdzie kończył się tunel i zaczynała polana. Wielka i majestatyczna na tle

oświetlonej gwiazdami wody w stawie, z czarnym, połyskującym w ciemnościach futrem, stała i ciężko dyszała. Musiała przed chwilą pokonać w szybkim tempie dużą odległość. Yaya była najstarszym żywym stworzeniem w całym Rowan i Max przestraszył się, że ten wysiłek mógł się poważnie odbić na zdrowiu starożytnej ki-rin.

To jednak Yaya zaproponowała, że przeniesie Boba do Chatki Rozgrzewania, gdzie Nolan będzie mógł sklecić polowe nosze. Budynek, kiedyś tak przytulny i zachęcający, stał teraz ciemny i opuszczony. Zagrody dla zwierząt były puste, a wszyscy młodzi podopieczni zostali ewakuowani. W czasie, gdy Nolan szykował nosze, Max przekonał się, jak rozległe są obrażenia ogra. Głębokie rany klute pokrywały całe jego plecy i ramiona, jakby ktoś założył na nich szwy. W niektórych miejscach wyrwane były fragmenty skóry i ciała. Ogr leżał cicho, a panna Boon wraz z kilkoma innymi osobami starała się zatamować krwawienie.

Max nie był w stanie na to patrzeć.

Wyszedł na zewnątrz i kucnął na brzegu stawu. Pomieszał wodę dłonią i zawołał cicho Friggę i Helgę, lecz siostry selkie nie przyplłynęły. Z zimnej wody nie wychyliła się miła, pomarszczona focza mordka, nikt nie przywitał Maksa pikantnym żartem. I dopiero fakt, że nie ma sióstr, że uciekły na inne, odległe wody, uzmysłowił chłopcu katastrofę Rowan i przypieczętował ją z takim ciężarem i realizmem, jakich chłopiec dotąd nie

doświadczył. Za to teraz poczuł je z całą mocą. Zarówno sam nocny szturm, jak i wiele jego następstw spływały na Maksa paralizującymi falami, gdy z nadzieją, że selkie są bezpieczne, poruszał dłonią w wodzie.

Do czasu, kiedy nosze były gotowe, zakłęcia panny Boon zdołały zatamować krwawienie z ran Boba i wprowadzić go w stan śpiączki. Kiedy ogr został już bezpiecznie ułożony i przymocowany do noszy, grupa rozpoczęła długi, mozolny marsz w głąb Sanktuarium. Gdy szli, wściekłość Maksa trochę przycichła. Potem przeszła we wzburzenie, aż w końcu chłopiec osiągnął stan, gdy poczuł się gotowy do rozmowy. Zwrócił się do Coopera, który szedł przy nim na tyłach całej grupy.

– Przepraszam, że nie posłuchałem rozkazu.

Cooper machnął ręką.

– Nauczyłem się wielu rzeczy – wyjaśnił Max. – Tam, w Sidh. Wiedziałem, że dam radę.

– Rozumiem – odparł cicho Cooper. – Dobrze, że to byłeś ty.

– Jesteś na mnie zły?

– Nie.

Szli dalej w milczeniu. Max przyglądał się krajobrazowi, dopóki nie przyszedł do nich Nolan.

– Co z Nickiem? – zapytał go Max chrapliwie.

– Nic się nie martw, synu – uspokoił go Nolan. – Jest z twoim tatą. Większość podopiecznych śpi teraz bezpiecznie w jaskiniach, a reszta spokojnie może się troszczyć sama o siebie. Te dzikie wypuściliśmy, już

widziałem kilka, jak tu buszowały. Chyba wiedzą, że coś jest nie tak.

Max przypomniał sobie, jak rok wcześniej, kiedy z Bobem szli do położonej w oddali od reszty kampusu chaty pana Morrowa, śledzili ich dzicy podopieczni. Bob powiedział wtedy, że tacy podopieczni mogą być groźni, bo dawno zapomnieli, że ludzie kiedyś się nimi opiekowali.

– Kiedy Max wrócił myślami do tamtego wieczora, złapał się na tym, że szuka wzrokiem w tłumie pana Morrowa i posyła mu gniewne spojrzenia. Zniesławiony nauczyciel wyczuł chyba, że ktoś mu się przygląda, i zatrzymał się, by sprawdzić kto. Kiedy napotkał pochmurny wzrok Maksa, odwrócił oczy, przyspieszył kroku i dogonił jakąś starszą parę, z którą wdał się w cichą rozmowę. Max ze wstrętem przełknął ślinę i, nic nie mówiąc, szedł dalej, kierując znów myśli ku dzikim podopiecznym. Przyszło mu do głowy, że jest do nich podobny.

Prowadzeni przez gwiazdy, przecięli szeroką polanę i doszli do niskich, zalesionych pagórków, które wznosiły się poniżej ośnieżonych skalistych szczytów. Wędrowali ścieżką, która musiała być ostatnio często używana – nosiła ślady przemarszu dużej liczby osób. Cooper zawsze szedł ostatni i mrukliwym głosem rzucał zaklęcia maskujące teren. Rozrzucał i przemieszczał na drodze, którą przeszli, kamienie, ziemię i trawę w taki sposób, że

okolica wyglądała na nietkniętą ludzką stopą.

Pięli się pod górę wśród sosnowego lasu, szli powoli krętym szlakiem pomiędzy wysokimi szczytami, by wreszcie zejść lejowatym żlebem do ukrytego gardła, przecinającego góry. Gardło było ciemne i wąskie – momentami tak wąskie, że ramię w ramię mieściły się w nim tylko cztery osoby. Nim je przeszli, niebo stało się bladoniebieskie i pierwsze promienie słońca rzuciły złoty blask na wysokie trawy. Max usłyszał szum wody i okazało się, że na nieznacznie nachylonej równinie, która się przed nimi otwiera, toczy lśniące w słońcu wody szeroka rzeka. Daleko zaś za równiną piętrzy się jakaś ciemna skalna ściana. Wydawało się, że wyznacza koniec świata. Jej szczyt tonął w siwej mgle, przesłaniającej niebo powyżej.

Na obolałych nogach wędrowcy dowlekli się do rzeki i za Nolanem przeszli przez nią po dużych, płaskich kamieniach, leżących tuż pod powierzchnią bystrej, ciemnej wody. Max był zdumiony, że ki-rin lekko, nie marszcząc wody potężnymi łapami, pokonała przeszkodę, a do tego przeciągnęła na drugi brzeg nosze z rannym ogrem. Po przejściu rzeki od podnóża skały dzieliły ich jeszcze dwa kilometry męczącego marszu. Max podniósł wzrok na ciemną ścianę i zobaczył wycięte w niej tu i ówdzie otwory. Niektóre znajdowały się tak wysoko, że wydawały się nie większe niż mysie dziury.

Nolan złożył ręce wokół ust i zawołał. Z dziury wysoko w skale wysunęła się głowa i za chwilę

spuszczono poruszaną systemem lin i bloczków obszerną, ogrodzoną platformę. Weszli na nią i platforma podjechała kilkadziesiąt metrów w górę przy ścianie, aż zatrzymała się z chrzęstem i opuściła na gładką skalną półkę.

Max rozejrzał się wokół. Jego oczom ukazały się worki z ziarnem, kosze jabłek, a obok nich olejne obrazy i posągi z brązu. Dobytek Rowan został przeniesiony i złożony tu, w zakątkach i zakamarkach olbrzymiej sieci połączonych ze sobą skalnych komnat i tuneli. Max zszedł z platformy. Poprawiając sobie plecak Davida na ramionach, ze zdumieniem patrzył na wysokie łuki i idealnie wypolerowaną skałę. Nolan poprowadził dokądś pana Morrowa i resztę uchodźców, a Max, panna Boon i agenci Czerwonego Bractwa podążyli wraz z Yaya do szpitala.

Max nie przestawał się rozglądać. Patrzył z niedowierzaniem na setki osób – nauczycieli Rowan, uczniów i całe ich rodziny – które uwijały się niczym pszczoły w ulu, organizując w skalnych komnatach magazyny i pomieszczenia mieszkalne. W jednej z jaskiń ludzie zajęci byli składaniem szklarni wraz z oświetleniem zasilanym przez szumiące łagodnie generatory. Max dojrzał znajomą postać, nadzorującą prace. Podeszedł do Rasmussena.

– Czy pan ich tu dowiózł? – zapytał. – Mego tatę i Davida?

– Tak – odparł Rasmussen i wytarł z brody smugę

smaru. – Tak, są bezpieczni, ale dla Davida podróż była ciężka.

Max podziękował inżynierowi i wszedł do jaskini, w której grupa uczniów pierwszego roku pomagała Mamuśce, Bellagrog i innym pracownikom kuchni rozpakowywać góry skrzynek z wszelkiego rodzaju żywnością w puszkach i słoikach. Gdy tylko Mamuśka wyczuła zbliżający się konwój, pociągnęła nosem, okręciła się na pięcie i z wrażenia upuściła puszkę tuńczyka. Zamrugła małymi oczkami i spojrzała na Boba, który przypominał obandażowaną mumię. Wrzasnęła i jednym susem znalazła się obok niego.

– Co mu się stało?! – ryknęła, zwalając prawie z nóg agenta, który nieopatrznie znalazł się na jej drodze.

Yaya zatrzymała się. Mamuśka kręciła się jak w amoku wokół ogra, niuchając go od stóp do głów i czujnym wzrokiem badając każdą zadaną mu ranę. Po chwili zaczęła żałośnie szlochać i zawodzić. Przestała dopiero wtedy, gdy półprzytomny, poirytowany Bob stęknął i zdołał lekko ścisnąć ją za palec. Z małych oczek wiedźmy polały się łzy wdzięczności, a ona sama przylgnęła do potężnego cielska ogra jak pękata rozgwiżdza.

Wtem padł na nich oboje cień. To Bellagrog przysunęła się obserwując, co się dzieje.

– Oj! – rzekła, oglądając ogra od góry do dołu. – Bywało lepiej, co, Bob? Trzeba było się trzymać z dala od kłopotów, powtarzam to, co zawsze mówiła moja babcia.

No i co sobie teraz myślisz, co? Do niczego się nie nadasz...

Nie dane jej było skończyć.

Mamuśka z wrzaskiem rzuciła się na siostrę i zaczęła dziko wymachiwać rękami przed jej wydatnym nosem. Wiedźmy szepiły się i padły na podłogę niczym warczące, drapiące kłębowisko kwiecistych spódnic i brzęczących koralu. Gdy agenci je rozdzielili, Bellagrog leciała krew z paskudnie rozciętej wargi, a Mamuśka miała śliwę pod jednym ze swych krokodylich oczek. Rozwścieczona raptownym atakiem siostry Bellagrog potrząsała jej przed nosem mięsistą pięścią.

– Zabiję cię za to, Bea! – ryczała. – We łbie ci się poprzewracało od tych sentymentalnych bzdur, ty głupia, ty! – Nagle ogarnął ją szatański spokój i wysyczała: – Jesteś teraz pierwsza na mojej liście.

– Ha! – zakrzyknęła Mamuśka i zaniosała się szyderczym śmiechem. – Odkąd byłam wiedźmiątkiem, pamiętam, że gadasz mi tej swojej liście...

Obydwie krzyczały, piszczały i groziły sobie nawzajem różnymi rodzajami potwornej śmierci, dopóki agenci nie wyprowadzili każdej łagodnie, acz zdecydowanie korytarzami odchodzącymi w dwóch przeciwnych kierunkach.

Max puścił tę niesmaczną scenę w niepamięć i wrócił myślami do sytuacji Rowan. Kiedy tak patrzył na to, co działo się wokoło, serce mu rosło. Jaskinie wydawały się nie do zdobycia, a do tego zostały tak przemyślnie

zaopatrzone i przygotowane, że można było spokojnie odpierać tu wroga do czasu, aż David wydobrzeje na tyle, by swą magiczną siłą wspomóc walczących. Max nie miał żadnych złudzeń co do szans Rowan. Wszystko zależało od Davida Menlo Księgi Thotha. Kiedy Yaya pociągnęła Boba dalej, Max pospieszył za nimi. Chciał jak najszybciej zobaczyć przyjaciela.

Przeszli jeszcze przez kilka jaskiń, w których rozbite były namioty i odpoczywały rodziny, aż znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, gdzie urządzono tymczasowy szpital. Krzątały się w nim moomenhoveny. Pacjenci leżeli na ustawionych w równych rzędach łóżkach polowych. Pod przeciwległą ścianą dojrzał swego tatę, czuwającego przy łóżku Davida. Wraz z panną Boon i Cooperem podeszli ostrożnie, by nie zbudzić chorego. Pan McDaniels odwrócił się, kiedy usłyszał, że ktoś nadchodzi, i na ich widok wstał, by się przywitać. Nie minęła sekunda, a Max zatonął w uścisku jego niedźwiedzich ramion.

– Jak tam, tato? – szepnął.

– Dobrze... Jak owadowi w norce, można by rzec – odparł tata.

Max spojrział na śpiącego przyjaciela. Upłynęło już kilka tygodni, odkąd zadano mu ranę, i na twarz drobnego chłopca powrócił lekki rumieniec. Mimo to David wciąż jeszcze wyglądał źle. Max stał przy nim przez jakiś czas, lecz chory nawet się nie poruszył.

– Przyjdę później – powiedział w końcu. Nie mógł

oderwać wzroku od opatrunku na strasznej ranie kolegi. Panna Boon skinęła głową i pocałowała Maksa w czoło, a potem przysunęła sobie krzesło i przysiadła obok pana McDanielsa. Od śmierci pani Richter nauczycielka trzymała się nieźle, lecz teraz Max zobaczył, jak wyraźnym piętnem to wydarzenie odcisnęło na jej rysach. Zapatrzona w dal, siadła przy łóżku Davida. Gdy Cooper narzucił jej koc na ramiona, wymamrotała słowa podziękowania.

– Źle to zniosła – rzekł agent, gdy razem z Makssem opuścili jaskinię i długimi krokami mijali namioty, obozowiska i paleniska, na których gotowano strawę. – Pani dyrektor była dla niej największym autorytetem, sam zresztą wiesz...

Głos Coopera ucichł. Agent utkwiał wzrok w nożu treningowym Maksa.

– Dawno już miałem zapytać – chrząknął – gdzie Gae Bolga?

Max wiedział, że to pytanie kiedyś padnie, i bał się je usłyszeć. Teraz skrzywił się, zanim odpowiedział.

– O, tu – odparł i potrząsnął plecakiem Davida. – Rozpadła się na milion małych kawałków. W Sidh. Mam tylko noże do ćwiczeń, Cooper.

– To za mało – powiedział agent i zmarszczył brew, nasłuchując, ponieważ kierowali się tam, skąd dochodziły przyciszone głosy. 'Doprowadziły ich do mrocznej komnaty, oświetlonej na środku paroma latarniami. Zgromadzili się tam najważniejsi nauczyciele, w tym

panna Awolowo i panna Kraken, pogrążone w cichej rozmowie. Było też kilkoro członków Czerwonego Bractwa, lecz Max nie zwrócił na nich uwagi. Utkwił spojrzenie w ciemnym kącie sali, gdzie siedział Jurij Wiljak i ostrożnie dotykał opatrunku na swojej głowie. Skinął na powitanie, lecz Max nie odpowiedział.

– Jeśli przyszedliście tu po to, by skończyć wreszcie z tym tchórzem, to musicie chwilę poczekać – odezwała się panna Kraken i gestem nakazała im usiąść. Zwęziła oczy w szparki, wycelowwała w Wiljaka szydercze spojrzenie i dodała: – Szkoda, że Yaya nie jest trochę młodsza.

Wiljak poruszył się niespokojnie i odkaszlnął.

– Jak już mówiłem, byłem przekonany, że reszta nie żyje. Nic więcej nie mogłem zrobić – wymamrotał.

– Dowódca nie zostawia swoich ludzi, komandorze Wiljak! – zdenerwowała się panna Awolowo. – Dowódca nie rygluje za sobą drzwi i nie pozostawia towarzyszy na pastwę Wroga!

– Mimo wszystko decyzja w sprawie Jurija Wiljaka będzie musiała poczekać – stanowczo powiedziała panna Kraken. – Są sprawy większej wagi i one mają pierwszeństwo. Osobiście sędzę, że nie możemy się po prostu ukrywać. Musimy za wszelką cenę starać się odwrócić uwagę Wroga i opóźnić jego ewentualne działania do czasu, gdy pojawią się bardziej dla nas pomyślne rozwiązania. Musimy wysłać Czerwone Bractwo, by się nimi zajęło.

– Już wysłaliśmy uczonych prometejskich – mruknął

Wiljak i natychmiast skulił się pod wściekłym spojrzeniem panny Kraken. Podniósł więc ręce w geście kapitulacji. – Nie widziałaś sił nacierających, Anniko. Ja widziałem. I mówię ci, że próba stawienia im czoła w otwartej bitwie byłaby czystą głupotą. Lepiej bronić się na mocnych pozycjach, dopóki David Menlo nie wydobrzeje i ukradkiem nas stąd wyprowadzi albo znowu nas jakoś ukryje. Do tego czasu jednak Czerwone Bractwo musi pozostać tutaj.

– Pan nie ma już prawa decydować o sprawach Czerwonego Bractwa – uciął ostro Cooper. – Decyzje podejmuję ja.

– Nonsens – odparł Wiljak – Nie ustąpiłem ze stanowiska. Dalej dowodzę, chyba że...

Wiljak zamilkł, a Cooper wyciągnął nóż i przez chwilę ważył go w dłoni.

– Możemy postąpić zgodnie z rytuałem, jeśli pan sobie życzy – odpowiedział. – Lecz obaj znamy wynik.

Przez długie sekundy w jaskini panowała martwa cisza. W końcu odezwała się panna Kraken:

– Cooper, nie mamy na to czasu.

– To nie potrwa długo, panno Kraken – odpowiedział Cooper głosem napiętym jak struna. – Daję słowo.

Panna Kraken odwróciła się do Wiljaka, który niespokojnie wiercił się na swoim miejscu i wpatrywał w twarz Coopera, na której nie drgnął ani jeden mięsień. Wtem gwałtownie zakasłał i roześmiał się dobrodusznie, w ten sposób rozwiązując kwestię ewentualnego

pojedyнку z Cooperem.

– Annika ma rację – rzekł. – To czas na decyzje, a nie na roztrząsanie nieporozumień i jątrzenie wewnętrznych konfliktów. Przejmij dowództwo, Cooper. Było nie było, i tak do niczego się nie nadaję z tą fatalną raną. Później do tego wrócimy...

– Dobrze – ucięła panna Kraken władczy tonem. Spojrzenie jej starych oczu skierowało się teraz na Maksa i głos od razu jej złagodniał. – Max – zaczęła – myślę, że wiesz, w kim leży teraz cała nasza nadzieja...

Max kiwnął głową. Czuł, że zwracają się na niego oczy wszystkich obecnych. Panna Kraken mówiła dalej:

– Kiedy wróciliście, David Menlo opowiedział mi o niektórych waszych przygodach w Sidh. Powiedział, że rozumie księgę, twierdził nawet, że potrafi się nią posługiwać. Czy to prawda, chłopcze?

– Tak, proszę pani.

– Brama Sanktuarium nie wytrzyma długo, my też nie możemy bez końca się ukrywać – rzekła, nie spuszczając bystrych oczu z jego twarzy. – Wróg się zbliża. David i Księga Thotha to nasza jedyna nadzieja. Całe szczęście, że mamy Davida i że, jak mówią moomenhoveny, zdrowieje. Musimy jednak wiedzieć, czy mamy księgę.

Pytanie było dobitne i Max wiedział, że panna Kraken zna odpowiedź. Spojrzał kontrolnie na Coopera, a gdy ten przytaknął, Chłopiec zsunął z ramienia zszargany plecak Davida, wyciągnął złotą księgę i przycisnął ją do piersi.

– Ma ją dostać David – rzekł. – Nikt inny, tylko David. Czy mogę mieć pani słowo, panno Kraken?

– Oczywiście, moje dziecko – potwierdziła stara mistyczka i nisko skłoniła głowę. – Rozumiem twoją niepewność. Byłeś już świadkiem zdrady wewnątrz Rowan. Musimy od nowa uczyć się ufać. Zaczniemy więc ode mnie.

Max przeszedł przez pomieszczenie i złożył Księgę Thotha w ręce starej kobiety. Ta, nie rzuciwszy nawet okiem na jej wyjątkową oprawę, owinęła ją szybko swoim szalem. Wiljak chrząknął.

– Więc ją mamy – rzekł. – Ale jak utrzymamy wilki za drzwiami, Anniko?

– Ja to zrobię – zgłosił się Max. – Będę je odpierał, dopóki David nie nabierze sił.

– Ciekawe, jak zamierzasz to zrobić, mój mały? – zadrwił Wiljak.

Duma znowu poruszyła we krwi Maksa Starą Magię. Poczul mrowienie w palcach, poczul, że znowu budzi się w nim drzemiący lewiatan. Zerknął na Wiljaka i przyszło mu do głowy, że ten dotąd tak potężny i podziwiany człowiek, wsparty o ścianę i gładzący niepewnie swą ranę, wydaje się teraz tak mały i słaby. Chłopcu udało się opanować impulsywny odruch. Przełknął ślinę.

– Zamierzam to zrobić, wzbudzając ich strach – odparł spokojnie. – Wróg będzie się bał wejść dalej niż na polanę.

Wiljak zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Ach, ta młodzieńcza brawura! – zadrwił. – Dokąd was ona zaprowadzi?

Kilkoro członków Czerwonego Bractwa uśmiechnęło się pod nosem. Cooper nie. Panna Kraken zwróciła się teraz do niego.

– Widziałeś armię i znasz tego chłopca – powiedziała. – Jaka jest twoja rada?

Napięta twarz Coopera pozostawała w cieniu, gdyż agent stał ze spuszczoną cierpliwie głową. Gdy padło pytanie, zamknął oczy i po długiej, długiej chwili odpowiedział:

– Maks i ja spotkamy się z Wrogiem w Sanktuarium i zatrzymamy go tak długo, jak potrafimy.

– Dlaczego, Williamie? – zapytała panna Kraken, ignorując pomruki Wiljaka.

– Bo nigdy w życiu nie widziałem kogoś takiego jak Max – odpowiedział agent. – I Wróg też nie.

Dwadzieścia minut później Max z Cooperem stali przed skarbami z krypty Czerwonego Bractwa, przeniesionymi ze wspaniałej komnaty na terenie Archiwum do małej, ciemnej wnęki, oddalonej od głównych korytarzy i jaskiń. W czasie, gdy Max przeglądał broń, Cooper odszukał swój budzący grozę kris oraz czarną nanokolczugę, która leżała zwinięta na dębowej skrzyni.

Max stwierdził, że znaczna część zgromadzonej tu broni, choć legendarna, jest archaiczna i nieporęczna.

Zmarszczył się, kiedy wziął do rąk miecz Karola Wielkiego – Joyeuse – oraz słynny Durandel należący niegdyś do Rolanda. Oba rzeczywiście robiły przerażające wrażenie, lecz na potrzeby Maksa były zbyt wolne i ciężkie. W końcu chłopiec zatrzymał się przed lśniącem gladiusem z czarną prążkowaną rękojeścią i krótką, obosieczną, ostrą jak brzytwa głownią. Dźwignął krótki miecz i oszacował w ręku jego ciężar i balans.

– Należał do Flammy – mruknął Cooper, wciągając nanokolczugę na nagi tors i chowając kosmyki jasnych włosów pod czapkę. – Flamma był największym gladiatorem Rzymu. Ten miecz najpierw należał do cesarza, lecz potem otrzymał go Flamma jako nagrodę za szereg zwycięstw.

– Wezmę go – zdecydował Max i włożył miecz z powrotem do czarnej pochwy.

Nagle za plecami usłyszał jakiś ruch. Odwrócił się i zobaczył, że z ciemnego korytarza patrzą na nich Lucia, Cynthia i Sara. Cooper poświecił na nie latarnią, a Lucia spojrzała na niego pochmurnie.

– Słyszeliśmy, że wróciłeś – odezwała się Sara i, rozcierając ramiona, podeszła bliżej w stronę lodowatej niszy. Rzuciła niepewne spojrzenie na Coopera, a ponieważ ten milczał, przeniosła wzrok na gladius w ręku Maksa. Patrzyła na niego długo i twardo, po czym spytała:
– Więc znów odchodzisz?

– Tak. – Max nie patrzył jej w oczy. – Odchodzę.

– Rozumiem. Powiedziałaś już tacie? – zapytała.

– Nie mogę. Nie zrozumiałby tego. – Max wciąż unikał wzroku dziewczynki.

– Max – ponaglił go Cooper. – Musimy iść.

Chłopak skinął głową, lecz wyciągnął jeszcze rękę i mocno uścisnął dłoń Sary.

– Powiesz mu? – poprosił. – Wolę, żeby dowiedział się od ciebie.

Sara uścisnęła go i ledwo słyszalnym szeptem powiedziała mu prosto do ucha:

– Powiem. Nickowi też. I zobaczymy się, jak wrócisz.

Max z Cooperem wyszli ze skalnej niszy i szybkim krokiem ruszyli w stronę platformy, która, podtrzymywana przez system lin i bloczków, zwiozła ich na dół. Kiedy zjeżdżali, Max objął wzrokiem szeroką dolinę i leżące za nią wąskie gardło pośród gór. Za ich szczytami wysoko w niebo unosił się czarny, tłusty dym, który rozwiewał się i znikał na wietrze. Cooper milczał. Kiedy platforma zatrzymała się u stóp skały, prężnym krokiem ruszył przed siebie.

KORA, GAŁĄŻ I KAMIENÍ

Max drapał się po twarzy i rękach, wymazanych mieszaniną błota i igieł sosnowych, która miała za zadanie uczynić go niewidocznym dla Wroga. Cooper kazał mu przestać.

– Wiem, że swędzi – powiedział – ale zostaw.

– W ogóle nie przywieźli nowoczesnego sprzętu – rzekł Max, szacując wzrokiem armię Wroga. – Ani karabinów, ani czołgów...

– Demon nie potrzebuje takich zabawek, żeby poigrać z małym Rowan – mruknął Cooper.

– Nie tylko o to chodzi – szepnął Max, myśląc głośno. – Rozmawiałem z nim w Sidh. Nie lubi nowoczesnego świata. Chyba chciałby wrócić do przeszłości.

– I dobrze – skomentował Cooper – że nie napadł na nas z czołgami i karabinami. Ma wyczucie.

Max wyszczerzył zęby na ten czarny humor poważnego zwykle agenta. Obaj obserwowali, jak małe grupki ciemnych postaci odchodzą od ciepłych kręgów ognisk i rozbiegają się we wszystkich kierunkach, zgodnie z przewidywaniami Coopera.

– Zwiadowcy – mruknął agent. – Max, pamiętaj – absolutna cisza. I cokolwiek by się działo, nie wolno ci

prowadzić ich w stronę gardła. Pogoń kierujemy albo na wydmy, albo w stronę pasma zachodniego.

Max kiwnął głową i obaj bezszelestnie zeskoczyli z drzewa. Cicho ruszyli lasem – dwa mroczne cienie, sprawnie i szybko tropiące ofiarę. Dwadzieścia minut później napotkali pierwszy patrol Wroga – pięć wieloków i płaskonosego chochlika, skradających się ścieżką. Max wyciągnął z pochwy czarny gladius.

Rozległ się głuchy łomot, zdławiony charkot, a potem – cisza. Max rozprawił się z Wrogiem tak szybko, że nie spłoszył nawet wróbli z pobliskiego gniazda. Jeden patrzył na niego ciekawie z przechylonym łebkiem, gdy chłopiec wycierał do czysta ostrze o matowe futro sztywniejącego wieloka. Cooper kucnął obok i zabrał się do nieprzyjemnego zadania, które go czekało.

Parę minut później oczom Maksa ukazało się sześć makabrycznych ciał na skraju polany. Cooper oparł je o drzewa i zadbał o to, by wyraz szoku i przerażenia na ich pyskach nie uszedł uwadze żadnego przechodnia. Max wyciął z drzewa grubą gałąź i wyrył na niej napis staroceltyckimi runami ogam, których nauczyła go Scathach. Runy były systemem tajemniczych ukośnych kresek i Max wiedział, że ktokolwiek się na nie natknie, zanieś je prosto do Astarotha.

*Niechaj się strzeże każdy, kto chodzi po tych lasach.
Pies Rowan też tu bywa.*

– Co to? – szepnął Cooper, gdy zobaczył dzieło Maksa.

– Widomość do Astarotha – odpowiedział chłopiec, przyglądając się swej robocie.

– To nie jest gra – z dezaprobatą pokręcił głową Cooper. – Ciała wystarczą.

– To jest gra – odpowiedział Max i cisnął kołek z napisem na ziemię. – A my ustalamy zasady. Daję Astarothowi znać, że tu jestem. Jestem i przeciwstawiam się mu. Astaroth jest dumny, Cooper. Nie – oprze się takiemu wyzwaniu. Będzie na mnie polował, a przez to zyskamy czas.

Cooper kiwnął głową, jeszcze raz spojrzął na runy ogam i ruszył za chłopcem w las.

Do świtu polanę otoczyło wiele kołków z runicznymi napisami. Max z Cooperem przenieśli się na inny punkt obserwacyjny i stamtąd nasłuchiwali, jak dźwięki rogu i przeciągłe wycie witały lodowaty poranek. Znaleziono wiadomość, którą zostawili. Czarne wrony – pomocnicy wiedźm – wniosły się w przestworza i zataczały kręgi, przeszukując polanę i rozłożysty dach lasu. Kiedy zanurkowały niżej, by przetrząsnąć gęstwinę, nie znalazły nic, prócz kory, gałęzi i kamieni.

Patrole Wroga stały się liczniejsze, lecz to nic nie zmieniło. Przez trzy noce z rzędu Cooper i Max terroryzowali armię Astarotha, która na próżno poszukiwała zarówno ich, jak i ukrytego przejścia przez góry. W ciągu dnia obaj agenci starali się w miarę możliwości odpocząć i przespać. Żywili się leśnymi

owocami, korzonkami i królikami, jeśli udało się jakiegoś upolować. Zaczął się marzec. Max czuł, że jest w pełni sił, lecz widział, że Cooper z dnia na dzień coraz bardziej słabnie.

Czwartego dnia o zachodzie słońca, kiedy Cooper wybudzał się ze snu, Max powiedział:

– Pójdę dziś sam. Ty odpocznij.
– Nic mi nie będzie – zaprotestował spokojnie agent.
– Samemu jest zbyt niebezpiecznie. Na pewno dziś patrole będą jeszcze liczniejsze.

– To nie ma znaczenia – odparł Max i wiedział, że ma rację. – Patrol może się składać nawet z steki, a i tak im to nie pomoże.

– Ej, nie bądź taki pewny siebie – warknął Cooper, nakładając maść na powierzchowną ranę na ramieniu. – Głupotą byłoby sprowokować większą bitwę, Max. Musimy działać niepostrzeżenie.

– Głupotą jest wychodzić na polowanie, gdy się jest półprzytomnym – odpowiedział Max. – Sam wiesz, że potrzebujesz odpoczynku.

Cooper przytaknął niechętnie i przez parę chwil siedział w milczeniu.

– No to gdzie zamierzasz ich wyprowadzić? – zapytał.

– Z powrotem w stronę wydm – odpowiedział Max. – Tam, gdzie ostatnio myśleli, że się kryjemy.

– Dobry plan – pochwalił Cooper i z medytacyjnym spokojem przymknął oczy.

Max zobaczył teraz, że czoło agenta pokrywa cieniutka warstwa potu. Bardzo go to zaniepokoiło.

– Jutro poczujesz się lepiej – rzekł i odpędził muchę od twarzy agenta.

– Na pewno – szepnął Cooper i zapadł w drzemkę.

Max obserwował go przez chwilę i stwierdził, że śpi spokojnie. Odepchnął się od szorstkiej kory i zeskoczył z drzewa. Ruszył przez las. Czuł się pewnie. Wiedział, że jest silny i dominujący. Szedł krętymi drogami w kierunku płonącego na polanie ogniska. Zatrzymał się tam na chwilę i stał, wpatrując się w namioty, maszyny obłąknicze i karoce więźni, porozstawiane na dużej, pustej polanie.

Wtem trzasnęła za nim gałązka.

Max odwrócił się błyskawicznie i w ułamku sekundy wyciągnął gladius z pochwy. Jego śmiertcionośny czubek drżał lekko naprzeciwko pary jarzących się ciemności oczu, oddalonych zaledwie o dwa – trzy metry. Stworzenie wydało głuchy warkot, lecz nie było wielokiem. Max obniżył nieco miecz i przyjrzał się dokładniej. Miało ciemne futro o jedwabistym połysku.

Początkowo chłopiec myślał, że to większy osobnik tego samego gatunku co podopieczna jego mamy, Isis. Okazało się jednak, że nie. Czające się naprzeciw niego stworzenie przypominało atramentowocznego tygrysa, tyle że nogi nie kończyły mu się łapami, lecz ludzkimi dłońmi o twardych, zakrzywionych pazurach. Max nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego w Sanktuarium i

domyślił się, że to musi być jeden z dzikich podopiecznych. Zobaczył krew na jego szponach. Czuł ją też w oddechu zwierzęcia, którego wilgotny pysk dyszał powoli.

– Jestem po twojej stronie – szepnął Max i zacisnął dłonie na gladiusie.

– S-s-s-tronie – powtórzyło stworzenie, rozciągając pierwszą głoskę, jakby na nowo odkrywało, że potrafi mówić. Przekrzywiło piękny, lśniący łeb i przypatrywało się Maksowi, po czym wycofało do lasu. Żółte oczy zwężyły mu się w cieniutkie szparki i stwór zniknął. Max wziął głęboki oddech i ruszył dalej.

Pierwszy patrol napotkał dopiero po jakimś czasie. Zdradziło go lekkie pobrząkiwanie metalu na tle naturalnych dźwięków lasu. Max wskoczył na drzewo i zamarł w oczekiwaniu, aż pierwszy tuzin ciemnych postaci wyłoni się z gęstwiny. Sierp księżyca oświetlał charakterystyczne uszy wieloków. Stworzenia szły, tropiąc, zgięte, z długimi szakalimi pyskami przytkniętymi do ziemi. Pośród nich Max zobaczył jednak inną sylwetkę i poczuł, że ogarnia go nienaturalne zimno. Z ciekawością wpatrywał się w słabo widoczną postać. Przeszyła go niepokojąca myśl, lecz szybko ją odsunął. Upiory nie mogą przecież wydostać się z powrotem na ziemię. Kiedy postać się odezwała, jej pusty głos rozwiął wszelkie wątpliwości chłopca.

– Co mówi ziemia? – zapytał Marley Augur.

– Ćśś – cyknął wielok. – Najmocniej przepraszam,

ale musimy zachować ciszę! Pies może gdzieś tu być.

– Powinieneś mieć na to nadzieję – odburknął Augur i odwrócił się, odsłaniając punkciki zimnego światła w głębokich oczodołach. – Ulubieńcy naszego pana chętnie napełnią brzuchy tym małym Psem.

– Nie kuś go, żeby się tu pokazał! – syknął inny wielok, oblizując zęby podobne do najeżonych igieł. – Dokładnie w tym miejscu utłukł Thereę i Myxlla! Jest niedostrzegalny jak widmo. Stoisz parę metrów od niego i nic nie słyszysz, nic nie widzisz! Chodźmy lepiej szukać tego tajemnego miejsca, a potem wracajmy do obozowiska!

Powietrze przeszył znieczeka obrzydliwy odgłos.

Max patrzył, jak wielok chwieje się i pada na pobliskie drzewo z dziwnie rozczapierzonymi kończynami, a łeb odpada mu od tułowia. Następny brzęk metalu i w świetle księżycy ukazał się Augur. Nieumarły kowal oparł się ciężko na trzonku swego śmiercionośnego młota i w zamyśleniu spoglądał na zmasakrowany łeb. Pozostałe wieloki wycofały się na czworakach. W ich oczach świecił żywy strach.

– Nie lękam się niczego, co biega, chowa się i poluje na takich jak wy – powiedział głos. – Kto jeszcze myśli o powrocie do obozu?

Żaden z wieloków nie odezwał się, wszystkie natomiast zaczęły skomlić i, drżąc, kulić się na ziemi w pozie całkowitego oddania i posłuszeństwa. Augur powoli obracał się pośrodku oświetlonej przez księżyc polanki i

patrzył na wieloki, które leżały pokornie na brzuchach, usiłując za wszelką cenę zanadto się do niego nie zbliżyć. Max wstrzymał oddech. Jeden z obrzydliwych stworów cofnął się pod sam pień drzewa, na którym siedział chłopiec. Jego gardło znajdowało się dokładnie na wyciągnięcie ręki. Max postanowił jak najlepiej wykorzystać sytuację.

– Astarotha zaczyna już męczyć ta gra – oznajmił Augur i wyprostował się. Skinął na jakiś duży kształt, ukryty dotąd w gęstwinie drzew. Przykłusował szkielet upiornego konia w metalowej zbroi, która podzwaniała o nagie kości zwierzęcia. Marley Augur zgrabnie przerzucił nogę przez siodło i wycelował odziany w zbrojną rękawicę palec w stronę wieloka leżącego pod drzewem Maksa.

– Ty tam, będziesz prowadził zwiad.

Wielok nie zareagował. Nie poruszył się nawet, pod nim zaś lśniła ciemna kałuża krwi. Podszedł do niego inny stwór, który, dotknąwszy kałuży nosem, zaskomlał ze strachu.

– On nie żyje, mój panie! – syknął i zaczął rozglądać się nerwowo po ciemnej gęstwinie. Nagle poruszył czujnie uszami, podniósł głowę i spojrzał w górę – prosto w oczy Maksa. Gladius dźgnął, zdziwiony wielok chrząknął i padł na grzbiet.

Max zeskoczył z drzewa na środek polany. Wieloki zawyły na jego widok i zastygły w miejscu, jak gdyby wahały się, czy nie rzucić się do ucieczki. Dopiero

straszny głos Augura przywołał je do porządku.

– Brać go! – ryknął kowal, zwrócił wierzchowca w kierunku Maksa i dźwignął swój potężny młot.

Sparaliżowane strachem stworzenia zaczęły zbliżać się do chłopca, który stał w pozycji gotowości do walki. Nagle z lasu wypadł jakiś ciemny kształt i serią szybszych od błyskawicy, niedających się śledzić ruchów wybił wszystkie wieloki. Krzywiąc się, Cooper rzucił ostatniego z nich na ziemię. Matowa masa futra upadła mu pod nogi i rozpląszczyła się na ściółce niczym dywanik z niedźwiedziej skóry. Kris o falistym ostrzu wyskoczył z karku wieloka i wsunął z powrotem w dłoń agenta, gdy ten odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z upiorem.

– Ha! – zaczął Augur, przenosząc wzrok z Coopera na Maksa. – Lord Astaroth będzie naprawdę rozczarowany. Wyobrażam sobie, co powie: „Cóż, Pies to tylko szczeniak i potrzebuje jeszcze pomocy innych. ”

Jednym sprężystym ruchem Max skoczył prosto na wierzchowca Augura i machnął gladiusem. Nieumarły koń zarżał przerażająco, gdy broń Flammy rozharatała jego starożytną zbroję i wdarła się między kości. Nogi wierzchowca się rozjechały i stworzenie runęło na ziemię niczym połamany stół. Augur wypadł z siodła i ciężko wylądował na ziemi.

Zanim zdążył się podnieść, Max skoczył znowu.

W powietrze poleciały iskry. Augur zachwiał się i oparł o drzewo. Jego zbroję znaczyły długie ślady cięć. Rozglądał się dziko wokoło, lecz dopiero po kilkunastu

sekundach stwierdził, że Max jest już poza jego zasięgiem, na środku polany, gotowy do kolejnego uderzenia. Rozległ się chrzęst – to koń Augura usiłował wstać, grzechocząc kośćmi.

– A co powie Astaroth, kiedy cię znajdzie na skraju polany? – zapytał Max, wycierając ostrze miecza o pobliskiego wieloka.

Zdawało się, że możliwość ta dała Augurowi wiele do myślenia. Tym razem upiór nie usiłował już podnieść straszliwego młota, tylko niespokojnie macał się po zbroi w poszukiwaniu rogu sygnałowego.

– Wiedziałem już, że jesteś zdrajcą – syknął Max – lecz teraz wiem, że jesteś też tchórzem.

– Nadchodzą zmiany, chłopcze – lodowato odpowiedział Augur. – Rowan nie zapisze już mojej historii.

Max zaśmiał się ponuro i rzucił do towarzysza:

– Ej, Cooper, chyba nie cieszą go nasze szanse.

Lecz agent nie odpowiedział.

Max zerknął tam, gdzie jeszcze chwilę przedtem stał Cooper. Teraz agent opierał się bezwładnie o pień pobliskiego drzewa. Nawet w ciemności widać było, że jego twarz zalewa pot, a oddech jest ciężki i powolny.

Augur się roześmiał.

– Nie rozmawiaj ze mną ani o wstydzie, ani o tchórzostwie. Rowan samo o to prosiło. Nadeszła bowiem chwila, kiedy klątwa wiedźm spadła na Rowan w godzinie potrzeby.

Augur wyciągnął rękę w zbrojnej rękawicy w stronę bezwładnego ciała Coopera i zacisnął palce. Korzenie i gałęzie zaczęły się nagle oplatać wokół agenta, unieruchamiając go i mocno przywiązując do pnia, o który się opierał. Max jednym susem znalazł się przy towarzyszu, lecz kiedy chciał rzucić się mu na ratunek, w twarz sypnął mu podmuch kłujących, sosnowych igieł. Kilka gałęzi zdążyło już opleść się wokół szyi Coopera, a on sam tylko bezradnie za nie pociągał, podczas gdy powieki drgały mu z gorączki. Max jak szalony rzucił się odcinać gałęzie gladiusem.

Marley Augur tymczasem zadał w róg.

Max z zajadłą determinacją przeciął ostatnią gałąź i wy dostał ciało Coopera spod straszego węzowiska gałęzi. Przerzucił sobie agenta przez ramię i odwrócił się w ostatniej chwili, by ujrzeć, jak straszliwym łukiem opada na niego młot Augura.

Choć zrobił błyskawiczny unik, cios trafił go pod żebra. Impet uderzenia był tak wielki, że chłopca odrzuciło pod najbliższe drzewo. Padając, rozluźnił uchwyt i wypuścił Coopera. Przez chwilę leżał ogłuszony. Oddychanie sprawiało mu dotkliwy ból i uświadomił sobie przez mgłę, że pomimo zbawiennej ochrony, jaką zapewniała nanokolczuga de Lorki, kilka żeber miał z całą pewnością złamanych.

Wszędzie wokół słyszał hałasy – to ptaki obudziły się i nawoływały. Rozległ się też jakiś szelest i Max poczuł, że coś ciągnie go za stopę.

Odwrócił się i spostrzegł, że ktoś odciąga od niego Coopera. Marley Augur trzymał agenta za kostkę i równocześnie podnosił nad Makssem młot, szykując się do następnego ciosu. Chłopak bez zastanowienia potoczył się na bok i młot opadł tuż obok niego, wzbijając fontannę kory i ziemi. Max poderwał się na nogi, zrobił jeszcze jeden unik i ciachnął upiora gladiusem przez twarz.

Kowal puścił Coopera i zachwiał się do tyłu, łapiąc się za twarz rozciętą w poprzek – od ucha do ucha. Max, stękając z bólu, złapał kris Coopera, jeszcze raz zarzucił sobie ciało towarzysza na ramię i wpatrzył się w las, próbując oszacować sytuację.

Na drzewach pełno było wron – wysłanników wiedźm. Siedziały na gałęziach w idealnym bezruchu i błyszczącymi oczkami śledziły bieg wydarzeń. Jedna z nich otworzyła dziób i wydała chrapliwe kraknięcie. Druga poszła w jej ślady, potem następna i następna, aż szydercze krakanie wypełniło cały las.

Max wiedział już, że pozostało mu tylko jedno.

Odwrócił się i zaczął uciekać.

Mimo wcześniejszych ostrzeżeń Coopera skierował się wprost do gardzieli. Uznał, że nie ma wyboru: Cooper był chory i tylko tam można było szukać pomocy. Max zacisnął zęby i pospieszył przez las, starając się, by w miarę możliwości ciało agenta pozostawało nieruchome. Za sobą słyszał odbijające się echem wołania rogów i łomot bębnow. Wrony krążyły nad nim, nie przestając krakać.

Pogoń nadeszła szybko.

Z obu stron chłopca przemknęły czarne cienie – wieloki. Niektóre z nich biegły na dwóch nogach, inne na czterech, wszystkie zaś wydawały się niezwykle zwinne. Max przeskoczył wąski strumyk i zanurkował pod świerki, które wyznaczały wejście do gardła między skałami. Wieloki go ścigały.

Niemal udało mu się pokonać mroczne wąskie gardło. Płuca płonęły mu żywym ogniem i uświadomił sobie, że nawet jeśli przejdzie przez szczelinę, nie będzie w stanie uciekać dalej przez równinę. Rozpaczliwie łapiąc powietrze, zatrzymał się i odwrócił twarzą do napastników. Byli już dziesięć metrów od niego. Ich żółte ślepie żarzyły się w mroku. Setki wysokich wieloków, śmigłych niczym myśliwskie charty, niewątpliwie hodowanych specjalnie pod kątem szybkiego biegu. Jeden z nich uniósł się na tylne łapy i kiwnął na Maksa:

– Oddaj nam mężczyznę, a pozwolimy ci uciec trochę dalej – powiedział karcącym głosem i uśmiechnął się szyderczo.

Max nie odpowiedział. Złapał oddech i powoli, powoli zaczął się wycofywać, macając skałę za swoimi plecami, dopóki nie wyczuł, że przejście zaczyna robić się coraz węższe. Wieloki zasyczały, zaśmiały się i zaczęły podkradać się ku niemu – niektóre o całkowicie wilczym wyglądzie, inne z ludzkimi nosami, ustami czy uszami na ohydnych, oślinionych twarzach.

Kiedy przesmyk stał się nie szerszy niż dwa-trzy

metry, Max odważył się zerknąć za siebie. Tuż za jego plecami rozciągała się ukryta równina – otwarta, szara przestrzeń. Wiedział, że jeśli na nią wyjdzie, dopadną go od razu. Nie spuszczaając wzroku z napastników, powoli posadził Coopera na ziemi. Agent jęknął i bezwładnie osunął się na skałę. Max stanął wyprostowany, z bronią w obu dłoniach.

– Nie ma się gdzie schować, co, mały Psie? – odezwał się wielok stojący najbliżej, obnażając kły i unosząc krótką włócznię, broń przeznaczoną specjalnie do dźgania. Inne wieloki stanęły na tylnych łapach i zaczęły przeciągle wyć, aż ściany kanionu zatrzęsły się i z góry posypał się grad kamieni i skalnych odłamków.

Pomimo przejmującego wycia w świecie Maksa zapadła nagle absolutna cisza. Chłopiec wyprostował się, postąpił krok w kierunku Wroga i zasalutował krótko, po żołniersku, jak uczyła go Scathach. Wieloki zawahały się. Pazury ich drżały niecierpliwie, a oczy zwęziły w szparki, kiedy stwory stały jak wryte, nie wiedząc, co ma oznaczać ten gest. Kiedy dłonie Maksa zaczęły drżeć, wzrok wyostrzył mu się tak, że zobaczył swoich napastników z niezwykłą wyrazistością – każdy włos, każdy ząb i każde lśniące oko stało się odrębną jednostką o wyraźnych kształtach i fakturze. Czająca się w chłopcu tajemna siła zawrzała gniewem i tym razem nie powstrzymywał jej. Stara Magia rosła i wypełniała Maksa niczym wiosenna powódź, wartkim i potężnym nurtem, gotowym zmieść wszystko, co spotka na drodze. Kiedy

wody strumienia wylały z brzegów, Max krzyknął przeraźliwie i górski kanion wybuchł nagłym błyskiem białego, oślepiającego światła.

Obudziło go trzaskanie płonących drzew. Obok ktoś jęknął. Max usiadł i zobaczył leżącego na śpiworze Coopera. Jego twarz lśniła od potu.

– O, zbudził się – powiedział jakiś kojący głos.

Max odwrócił się i ujrzał siedzącego przy ognisku Astarotha. Twarz Demona fosforyzowała w ciemności, a wąskie szparki oczu błyskały rozbawieniem. Opanowany i spokojny, wydawał się kimś zupełnie innym niż ranny potwór, którego Max ostatnio widział w Sidh.

Max się zaśmiał.

– Chyba śnię.

– Nie – zaprzeczył Astaroth z pogodnym uśmiechem.

– Bynajmniej. Obawiam się, że to jawa.

Max zmarszczył czoło i rozejrzał się dokoła. Była noc – jakaś ciemna, wilgotna godzina przed świtem. Biwakowali w przewężeniu w skale, niedaleko miejsca, gdzie gardło się rozszerzało. Za plecami Maksa rozciągała się rzeka i szeroki bezmiar równiny, a potem ściana skał. Za Astarothem siedziały setki, może nawet tysiące wieloków, ogrów i goblinów, zastygłych w osłupieniu. Z tyłu za nimi stał szereg wozów.

– Czemu nie atakują? – chciał wiedzieć Max. Sięgnął ręką po gladius wbity w ziemię nieopodal.

Teraz roześmiał się Astaroth.

– O niczym innym nie marzą – powiedział z porozumiewawczym uśmiechem. – Boją się ciebie, Maksie McDaniels i dlatego nie marzą o niczym innym, tylko o tym, żeby cię zgładzić.

Max czujnie zerknął na wieloki – niektóre szczupłe i gibkie, przeznaczone do pogoni, inne opasłe i nadęte niczym dziki, na gobliny o ostrych zębach, nie większe od kotów, przykucnięte na tylnych łapach u stóp zgarbionych, groźnych ogrów. Oczy każdej z tych bestii utkwione były w Maksie. Wszystkie bez wyjątku kipiały nienawiścią.

– Nie myśl, że są dzikie – wyjaśnił życzliwie Astaroth. – Wszak większość stworzeń w ten sposób reaguje na strach. Przede wszystkim zaś ludzie. Kanion był prawie zawałony ich martwymi braćmi, więc to zrozumiałe, że są owładnięte i gniewem, i strachem. Założę się, że zbladłbyś, gdybyś się dowiedział, co chciałyby z tobą zrobić, a przede wszystkim Marley. Widzisz, został pozbawiony mowy.

Max usłyszał ochryple pomruki i zobaczył Marleya Augura. Rana biegnąca w poprzek jego twarzy została zaszyta prymitywnym szwem, odbierającym mu możliwość otwierania ust. Pozbawiony wierzchowca kowal stał pośród ogrów, wspierając się na młocie.

– Więc dlaczego mu nie pozwoliłeś? – zapytał Max, przenosząc uwagę z upiora na Demona.

– Ponieważ ja się ciebie nie boję – odparł Astaroth. – Oraz dlatego, że nie działałam pod wpływem dzikiego

instynktu, który kazałby mi cię zniszczyć. Zamiast tego wolę podziwiać w tobie godnego przeciwnika. Twoja wielkość zaślniła taką jasnością, że te biedaki nie były w stanie nawet na ciebie spojrzeć. Naprawdę godny z ciebie przeciwnik. Nie mam zwyczaju traktować takiego wroga niehonorowo ani dopuszczać do takiego traktowania w mojej obecności. – Czerwone wargi Demona wykrzywiły się w przebiegłym, konspiracyjnym uśmiechu. – Muszę wyznać, że odczuwam jednak swego rodzaju pragnienie, by cię pochłonąć. Zacząłem je odczuwać już wtedy, gdy tak głupio zachowałeś się pod Brugh na Boinne. Takiego bólu nie czułem już od wieków! O mały włos, a bym sobie dogodził i to uczynił, lecz na szczęście Lord Aamon przypomniał mi, że nie zasłużyłeś jeszcze na taki honor. Powstrzymałem się więc i proponuję ci innego rodzaju dary, bardziej odpowiednie dla twej szlachetnej pozycji.

– Co oferujesz? – zapytał Max, wciąż na wpół przekonany, że to sen.

– Kilka rzeczy – uśmiechnął się Astaroth. – Zacznijmy od najprostszych. Jeśli oddacie mi księgę, Rowan zostanie oszczędzone i otrzyma dla siebie trochę przestrzeni. A ty, Maksie McDaniels, jeśli zgodzisz się zostać przywódcą mych sił, zyskasz sławę i nagrodę, jakiej nie znali nawet dawni królowie. Jeśli zaś Rowan będzie kontynuować swój próżny opór, wtedy wszystko, co dla niego drogie i cenne, szczególnie w bólu.

Max rzucił mu gniewne spojrzenie i już chciał przemówić, lecz Astaroth powstrzymał go ostrzegawczo

wzniesionym palcem.

– Zastanów się dobrze i nie pozwól, by duma zagłuszyła w tobie mądrość – powiedział. – Podobnie, jak twój przystojny towarzysz, wszyscy mieszkańcy Rowan leżą teraz bezsilnie w tych skałach, słabi niczym kobieta w bólach porodu. I tak będą leżeć przez wiele, wiele dni. Syn Sidh jest w stanie uciec przed klątwą wiedźm, jest w stanie zdobyć się na prawdziwe bohaterstwo, lecz nie będzie to trwało wiecznie.

Max spojrzał na Astarotha twardo. Twarz Demona była poważna i zamyślona.

– Tak, i ty upadniesz, Max. Upadniesz, i stanie się to kosztem wielu niewinnych istnień poświęconych na ołtarzu twej dumy. Po raz drugi wyciągam do ciebie rękę i składam uczciwą propozycję.

Jestem przekonany, że rozumiesz, że trzeciego razu nie będzie.

Max wstał z bólem, trzymając się za bok. Obejrzał się, na rzekę i odległe skalne ściany, w których bezbronne chowała się jego rodzina i czekali przyjaciele. „Potrzebujemy czasu – pomyślał. – Czasu, by przetrwać klątwę wiedźm, czasu, by David mógł wydobyć i uczynić pożytek z księgi, czasu na coś, cokolwiek, co odwróci bieg zdarzeń”. Max spojrzał w dół, na trawę, i poczuł, jak obmywa go chłodne, czyste powietrze.

– Potrzebuję czasu do zastanowienia – rzekł.

Astaroth uśmiechnął się i pokiwał głową. Jego jedwabisty głos przeszedł w szept.

*Zimowy wicherze, wiej
W gęstwinie mrocznych kniej
Tchem zimnym niby śmierć.
Nie kęsa tak twój ząb
Nie mrozi tak twój ziąb
Jak podłość ludzkich serc.*

[W. Szekspir, Jak wam się podoba, przeł. Stanisław Barańczak.]

– Doskonale – wycedził Demon i również wstał. – Daję ci dzień i miejmy nadzieję, że przyniesie on dobrą radę. Nie przekroczymy rzeki, dopóki nie zjawisz się z odpowiedzią. Masz czas do zachodu słońca. Życzę ci, żebyś poważnie wziął pod uwagę wszystko, co masz do stracenia.

Na znak Demona uzbrojone ogry rozstąpiły się i zrobiły miejsce dla wozu zaprzężonego w dwie wychudłe szkapy. Chłopak, który siedział na koźle, uśmiechnął się na powitanie.

Był nim Alex Muñoz.

Starszy uczeń znacznie się zmienił, odkąd Max widział go po raz ostatni w krypcie Marleya Augura. Jego skóra przybrała śmiertelnie blady odcień, a oczy zaczęły słabo świecić. Ręce, w których trzymał lejce, pokryte były tatuażami, jak ręce wiedźm. Pełen dumy i pogardy, spoglądał w dół ze swego zaszczytnego miejsca. .

– Cześć, Max – powiedział. – Kopę lat.

Max skinął głową bez słowa. Był zszokowany

widokiem kolegi, który zmienił się tak bardzo, że niemal nie przypominał już człowieka.

– Robimy różne rzeczy – odezwał się Alex. – Różne świetne rzeczy, i ty też możesz brać w tym udział.

– Alex – zaczął Max – starałem się, jak mogłem, żeby cię stamtąd wydostać. Przepraszam.

– Z pewnością się starałeś – odpowiedział Alex z uśmiechem niedowierzania – ale nie przepraszaj mnie. W rzeczywistości wyświadczyłeś mi przysługę, Max. Jestem tu po to, żeby ci się odwdzięczyć.

Przez twarz mówiącego chłopca przeszedł triumfalny, sadystyczny błysk. Max poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Alex sięgnął do skórzanej torby przewieszanej przez ramię, otworzył ją i odsłonił zestaw średniowiecznych narzędzi tortur. Wybrał spośród nich niewielkie ostrze podobne do skalpela i kciukiem sprawdził, czy jest wystarczająco ostre.

– Nie umiem walczyć tak jak ty, Max, więc próbowałem być przydatny na inne sposoby – powiedział w zadumie. – Wszyscy potrzebują informacji i pomyślałem sobie, że w wydobywaniu ich mógłbym być dobry. Miałem dużo pracy, wiesz... – pochwalił się, przenosząc na moment wzrok z ostrza na Maksa – generałowie, dyplomaci... udało mi się nawet przekonać pewnego premiera, by zdradził przed śmiercią niezwykle tajemnice!

– Do czego zmierzasz? – ostro rzucił Max.

Alex przeszedł na tył wozu i postawił na nim dwie

postacie w kapturach, oparłszy je plecami o jego bok.

– Jestem dobry w tym, co robię, to fakt – sapnął – ale zawsze można jeszcze trochę poćwiczyć. – Podciągnął ludzi na wozie jeszcze trochę do góry, żeby Max lepiej ich widział. – A tu, o, mam dwa świetne okazy do ćwiczeń. Oczywiście, kiedy tylko skończy się działanie tej małej klątwy. Wtedy będą mogli w pełni docenić moją pracę.

Maksowi zrobiło się gorąco, kiedy Alex zrzucił więźniom kaptury.

Przez chwilę po prostu się w nich wpatrywał, nie mogąc wydobyć słowa. Nie zdziwił się zbyt na widok Connora Lyncha. Nie – spodziewał się jednak zobaczyć pani Richter.

– To niemożliwe – wy dyszał, nie odrywając wzroku od pani dyrektor, która mrugając oczami, wpatrywała się w dal. – To musi być iluzja.

– Nie – wtrącił się Astaroth. – Ona żyje, Max. Ta mała błyskotka ją przede mną chroniła. Ot, świecidełko, a jaka niezwykła moc.

Max zerknął na Pierścień Założycieli spoczywający na dłoni Astarotha.

– Oddaj – szepnął Max niemal błagalnie. – Ich i Pierścień.

– Przykro mi – odparł Demon – ale Pierścień nie jest na sprzedaż niezależnie od ceny. Mam trochę za chude palce, a on tak: przyjemnie obciąża dłoń. Natomiast więźniowie, owszem, są na sprzedaż. Cenę już omówiliśmy. Masz czas do zachodu słońca.

Max nigdy w życiu nie czuł się tak samotny. Kiwnął głową do Astarotha, lecz nie mógł oderwać oczu od Connora i pani Richter, którzy bezwładnie tkwili na wozie, trawieni gorączką. Znużonym krokiem podszedł do Coopera. Choć cały bok przeszywał mu promieniujący ból połamanych żeber, zarzucił sobie agenta na ramię raz jeszcze i ruszył w kierunku ściany skał. Kiedy przeszedł przez rzekę, odwrócił się i zobaczył, że armia Astarotha podąża za nim przez skalne gardło, miarowo i bezgłośnie niczym krew sącząca się z rany.

MGLA I DYM

Max słuchał odgłosu wydawanego przez liny i bloczki, kiedy platforma jechała w górę wzdłuż gładkiej, pionowej skały. Odwrócił się i spojrział w dół, w stronę równiny, na której tuż za rzeką dzikie hordy szykowały już potężne katapulty i maszyny oblężnicze. Zamknął oczy i nagle poczuł wyczerpanie obejmujące całe jego ciało. Liny zatrzymały się.

– Mamo, oni nie żyją? – zapytał jakiś chłopięcy głosik.

– Nie, kochanie – odparł głos kobiety.

Max otworzył oczy i zobaczył kilka osób, uchodźców, stojących na półce skalnej. Twarze mieli zasnute troską i niepokojem. Patrzyli na Maksa i Coopera jak na duchy. Max spróbował otrząsnąć się ze zmęczenia. Wstał i ściągnął agenta z platformy na skałę.

– Gdzie panna Kraken? – zapytał.

– Z innymi – odpowiedziała kobieta. – Wszyscy są bardzo chorzy.

– Kto dowodzi? – chciał wiedzieć Max.

– Myśleliśmy, że może ty – odparła.

– Gdzie w takim razie jest doktor Rasmussen? – zapytał Max z nadzieją, że były szef Warsztatu nie padł ofiarą klątwy rzuconej przez wiedźmy na Rowan.

Wiedział, że mimo wszystkich swoich wad doktor był człowiekiem niezwykle bystrym, więc warto było się go poradzić. Kobieta powiedziała, że Rasmussen utknął w sali generatorów i że odkąd wszyscy zachorowali, pracuje dzień i noc bez wytchnienia.

Max podziękował i zostawił Coopera pod jej opieką, a sam pobiegł mrocznymi korytarzami. Nie potrzebował mapy – słuchał po prostu, skąd dochodzi jednostajny, słaby szum generatorów, powodujący lekkie drżenie skalnych ścian. Znalazł Rasmussena wśród płątaniny kabli i połączeń elektrycznych, z jaskrawobiałą twarzą w świetle jarzeniówki. Doktor nerwowo popijał kawę z termosu. Były z nim Mamuśka i Bellagrog. Klęczały ramię w ramię, jedno obfite siedzenie przy drugim, przy podstawie odłączonego generatora i świeciły latarkami w ciemny, ciasny otwór pod spodem.

– O, jest, tam! – krzyknęła Mamuśka. – Ale mam za krótką rękę, nie dosięgnę!

– A ja mam za grubą – utyskiwała Bellagrog, szybko podając siostrze nóż rzeźniczy. – Pewien jesteś, że nie dasz rady jej stamtąd wydostać, kochanieńki? To bransoleta po naszej Babci, wiesz? Nie zajmie ci to nawet sekundy. Masz taką szczupłą, długą rękę.

– Zaraz – burknął Rasmussen i potarł sobie skronie, po czym potrząsnął głową i mruknął coś niezrozumiale, a następnie zaczął bazgrać po schemacie. Max chrząknął.

– Doktorze Rasmussen, potrzebuję pana pomocy.

Doktor raptownie podniósł wzrok i zza swoich

delikatnych okularów wpatrywał się w chłopca.

– Max – powiedział z niedowierzaniem – nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę... Mów, jak to wszystko wygląda?

– Nie za dobrze – odpowiedział chłopiec. – Właśnie zwołuję spotkanie. Proszę pójść ze mną i pomóc mi zgromadzić resztę.

Rasmussen rzucił okiem na schemat i pokręcił głową.

– Powiedz mi, gdzie to spotkanie będzie i o której – powiedział – bo w tej chwili nie mogę, muszę coś dokończyć.

Max zerknął na Mamuškę i Bellagrog, które stały przy generatorze i wściekłymi gestami pokazywały mu, żeby wyszedł, i to natychmiast.

– Spotkanie zaczyna się w tej chwili i potrzebuję pańskiej pomocy, żeby zwołać resztę – powtórzył Max, ignorując obie wiedźmy. – Bardzo mi przykro, ale nie ustąpię.

– No dobrze, dobrze. – Rasmussen odrzucił ołówek w kąt i podszedł do drzwi. Max przepuścił go pierwszego, a potem za inżynierem, którego myśli niewątpliwie zajęte były jakimś trudnym do rozwiązania problemem, powędrował skalnym tunelem. Wiedźmy dopadły Maksa. Bellagrog aż się trzęsła z oburzenia.

– Idź sobie! – syknęła.

– Dlaczego? – zapytał chłopiec. – Żebyście go mogły zamordować, jak nikt nie będzie widział?

– O czym ty gadasz? – mruknęła niewinnie

Bellagrog. W tej samej chwili spod kwiecistej spódnicy wypadł jej miedziany kastet. Skrzywiła się, porwała broń z podłogi i zaczęła wymachiwać nią przed nosem Maksa.

– Wtrącasz się do rodzinnych spraw Shrope'ow! – syknęła rozwścieczona.

– Interesy waszej rodziny będą musiały poczekać – mruknął Max. – W tej chwili doktor jest mi potrzebny.

Ignorując groźby Bel i błagania Mamuśki, Max dogonił inżyniera i wspólnie poszli zwoływać członków narady.

W ciągu godziny udało im się zbierać niewielkie grono osób. Nie było wśród nich posępnych agentów ani doświadczonych mistyków, Max musiał zatem skorzystać z rady kilku zaufanych osób, które nie padły ofiarą klątwy. Podczas gdy moomenhoveny zajmowały się opatrywaniem jego rany, Max głaskał gładkie łuski Nicka i spokojnie wyjaśniał, jakie warunki postawił Astaroth. Hanna odezwała się pierwsza.

– Co może się wydarzyć, jeśli Astaroth dostanie tę księgę w swoje ręce? – zapytała.

– Koniec tej epoki – ciężko sapnął Bob.

– W takim razie jak będzie wyglądać następna? – zapytała gęś, po czym przeniosła uwagę na jedno z gąsiąt, które zanurzyło dziób w misce rosołu z kury przygotowanego dla Maksa. – Honk, zostaw to w tej chwili! – zagęgała. – Toż to prawie kanibalizm!

Honk odszedł obrażony.

– Nie wiem, jak będzie wyglądać następna epoka – powiedział Max i skierował Honka z powrotem w stronę mamy. – O tym chyba zadecyduje Astaroth.

– No, a może świat jest gotowy na zmiany – zastanawiała się gęś. – Może to nie będzie takie złe?

– Może – skwitował Max, nieco podniesiony na duchu jej optymizmem. – Ale na to nie możemy zbyt liczyć. O ile mogę sobie to wyobrazić, ludzie będą niewolnikami.

– Lepiej umrzeć jako istota wolna, niż żyć w niewoli – mruknął Bob basem wydobywającym się gdzieś spod bandaży na wielkiej głowie.

– Inspirujące credo – sucho burknął Rasmussen. – Ale ja raczej wolałbym walczyć o przeżycie każdego kolejnego dnia.

– To wybór tchórza w momencie, gdy trzeba się opowiedzieć za prawdą – rzekł Bob.

– Aha. – Rasmussen zabębnił palcami po stole. – Jak na kogoś, kto tak ceni wolność, dość szybko przychodzi ci decydowanie o wyborach innych. A jeśli ja nie chcę tak zaraz umierać? Dlaczego nastolatek ma podejmować decyzję tej wagi za nas wszystkich?

Bob nie odpowiedział, za to pan McDaniels najeżył się i wycelował gruby palec w Rasmussena.

– Max nie ma zamiaru podejmować za pana żadnych decyzji – syknął. – Tylko szuka rady! A co by było, gdyby to pan był tam zamiast pani Richter i Connora?

– Ale nie jestem – odparł Rasmussen.

– A chyba pan powinien! – warknął McDaniels, kręcąc się niespokojnie na krześle.

– Tato – Max spojrzał na ojca – uspokój się. Wszystkim nam jest trudno o tym rozmawiać.

Tata Maksa z czerwoną, wzburzoną twarzą nie odpowiedział. Podniósł za to z ziemi jedno z gąsiątek Hanny i wsadził sobie na kolana. Rasmussen ciągnął dalej:

– Jeśli dobrze wszystko zrozumiałem, wygląda na to, że jeśli Astaroth dostanie tę księgę, pozwoli nam żyć na skrawku ziemi, który będziemy nazywać własnym. Albo też ześle na nas okrutną śmierć i tak czy inaczej posiadzie księgę. Osobiście wybrałbym pierwsze rozwiązanie.

– Ale czemu nie możemy z nim wygrać? – jęknął Max. – Czy to musi być wybór między porażką i dalszym życiem, a porażką i śmiercią?

– Biorąc pod uwagę, że żyjemy w skalnej grocie, pod klątwą, że otacza nas silna armia, która w dodatku trzyma naszego cennego zakładnika, powiedziałbym, że wygrana nie wchodzi w grę. A wy?

– Czy jest choćby najmniejsza szansa, że David wydobrzeje na tyle, by móc użyć księgi? – zapytał błagalnie Max. – Jakakolwiek szansa?

– Nie przypuszczam – odpowiedział Scott McDaniels. – Biedaczek David ledwie dał radę napić się dziś zupy.

Max spuścił głowę.

– W takim razie przegrałem – mruknął cicho. –

Wszystko, co zrobiliśmy, poszło na marne.

W rogu grotty poruszyło się coś czarnego. To Yaya podniosła łeb i zwróciła na chłopca swoje mleczone oczy.

– Nie przegrałeś – rzekła starożytna ki-rin miękkim, kojącym głosem. – Krwawo walczyłeś, omal nie straciłeś życia, by ocalić swoich ludzi. Mój pan czynił tak samo, a mimo wszystko Solas upadło! Istnieją moce silniejsze od Maksa McDanielsa, chłopcze! Istnieją też moce silniejsze od Astarotha. Nawet on nie wie wszystkiego. Być może Hanna ma rację. Może świat po prostu jest gotowy na przyjście następnej epoki. Może tego właśnie potrzebuje.

Max rozważał słowa Yayi, które zarazem zdziwiły go i pocieszyły.

– Rowan już nie jest tym co dawniej – ciągnęła Yaya, a w jej głosie słychać było nutę smutku. – Bardzo możliwe, że zboczyło ze swej drogi i poszło w złym kierunku. Lecz mimo wszystkich swoich niedociągnięć, mimo wszystkich wad, żyje w nim jeszcze miłość i przyjaźń. A kiedy one istnieją, pozostaje nadzieja. Oddaj księgę, Max. To cudowna rzecz, lecz zarazem niebezpieczna, i jak dotąd zsyłała zagładę na wszystkich, którzy usiłowali ją posiąść. Niechaj przejdzie w ręce Wroga.

Max pokiwał głową i zamknął oczy.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

– Panna Kraken, zanim zachorowała, powierzyła ją Davidowi – rzekł pan McDaniels. – Pójść po nią?

Max potrząsnął głową i z trudem wstał. Cicho mijał

grootę za grocią, zatrzymując się, by zerknąć na złożonych chorobą ludzi. Na dwóch sąsiednich łózkach, obok Nigela Bristowa i jego żony, leżeli Cooper i panna Boon. Spali, trzymając się za ręce, a moomenhoveny krzątały się wokoło z miskami wody i chłodnymi okładami na rozgorączkowane czoła wielu, wielu pacjentów. Idąc dalej, Max natrafił na rodziny Sary, Lucii i Cynthii, które opiekowały się chorymi córkami. Przedstawił się, porozmawiał chwilę i zapytał, czy czegoś nie potrzebują. Delikatnie pogładził Cynthię, która na chwilę się rozbudziła, zamrugła, by na niego spojrzeć, i znowu zapadła w sen. W następnej jaskini dostrzegł Julie Teller. Przystanął na moment i zauważył mały stosik swoich listów wystający spod poduszki dziewczyny. Podeszła do niego kobieta z małym chłopcem. Max rozpoznał w nich mamę i dziecko ze skalnej półki.

– Gorączka jej spada – powiedziała kobieta, nachyliła się i położyła dłoń na czole Julii.

– Pani Teller? – upewnił się Max.

– Tak, to ja – potwierdziła kobieta, a chłopczyk schował się za jej nogami. – Wiemy, kim jesteś i jak dla nas ryzykowałeś. Byłam na pogrzebie twojej mamy, Max. Byłaby z ciebie dumna.

Max uśmiechnął się i objął ją.

– Mam nadzieję – odpowiedział, po czym pożegnał się i szybko przeszedł do sali, w której leżał David.

Drobny chłopiec otworzył oczy, kiedy Max zatrzymał się przy jego pościeli.

– Przyszedłeś, żeby ją zabrać? – odgadł.

– Tak – odparł Max, wyjmując delikatnie Księgę Thotha z uścisku Davida. – Gniewasz się?

– Nie. – David zdobył się na nikły uśmiech. – Nie będziemy za nią płakać.

– David, mam okropne uczucie! – wybuchnął nagle Max. – Okropne uczucie, że to jest koniec świata. – Oczy załśniły mu łzami. Przejechał palcem po złocistej oprawie książki. – Nie chcę, żeby był koniec świata. Jest tyle rzeczy, których jeszcze nie widziałem.

I zaczął cicho szlochać, mocno przyciskając księgę do piersi.

– Ćśś – szepnął David i potrząsnął głową. – Nie zamartwiaj się tak. Kiedy jedna rzecz się kończy, druga się zaczyna. Ta potężna gra trwa dalej. Zawsze. Twoje życie się nie kończy. Świat się nie kończy. Cokolwiek by nie nadeszło, razem stawimy temu czoła. Ty i ja.

Max odetchnął głęboko i siedział przez chwilę bez ruchu. Zapatrzył się na stolik nocny przy łóżku kolegi.

Stała na nim miska z wodą, a obok niej staroświecki zegarek. Max zanurzył ręce w chłodnej wodzie i opłukał je z brudu, którym były oblepione. Błoto z jego palców rozpuszczało się, tworząc podwodne obłoki czarnego pyłu. Obserwował, jak się powiększają, a potem osiadają na dnie w postaci kolejnych warstw mułu. Zegar odmierzał sekundy. David zapadł w sen. Gdy powierzchnia wody była znowu spokojna jak lustro, Max podniósł się i wyszedł.

Na skalnej półce stłoczyło się wiele osób, by patrzeć w ślad za Makssem, który na grzbiecie Yayi odjeżdżał w stronę rzeki. Na jej odległym brzegu czekała dziesięcioletnia armia. Na czele stał Astaroth. Demon dosiadał ogromnego czarnego wilka o oczach przypominających żółta jaj.

Ki-rin przeszła przez rzekę i wspięła się na płaski przeciwległy brzeg.

– Przyniosłeś ją? – powitał Maksa Demon.

– Tak. Weźmiesz ją, zwolnisz więźniów i odejdziesz, jak obiecałeś.

– Oczywiście – powiedział Astaroth. – A ty? Czy przyłączysz się do nas?

– Nie.

– Szkoda.

Max nie odpowiedział. Sięgnął do plecaka Davida, wyjął Księgę Thotha i wręczył Demonowi, który chwycił ją leciutko czubkami palców. Armia ani drgnęła. Stała bezszelestnie.

Astaroth z miną pełną czci delikatnie wsunął paznokiec pod okładkę księgi i otworzył ją, by obejrzeć kilka pierwszych cieniutkich, papirusowych stron. Max w milczeniu obserwował, jak Wróg przekłada jedną kartkę za drugą, nie mogąc oderwać oczu od księgi, zapomniawszy o całym świecie. Po chwili Astaroth gwałtownie podniósł głowę – przypomniał sobie, że Max czeka.

– Bardzo dobrze, Max – rzekł. – Dotrzymałeś umowy.

Na jego gest Alex Muñoz strzelił batem, wyprowadził wóz na środek i wyprzągnął z niego wychudłe szkapy. W wozie leżeli Connor i pani Richter, związani i zakneblowani, z oczami utkwionymi w niebo. Pani Richter wyglądała na bardzo słabą, Connor – na bliskiego śmierci. Jego pełne, rumiane zwykle policzki zapadły się w ziemiste jamy, a w nieruchomych oczach nie przebłyskiwał nawet cień dawnego humoru i rozbawienia. Max niewiele wiedział na temat opętania, lecz obawiał się, że czas spędzony w obozie Astarotha zdążył wywrzeć na koledze piętno, być może nie do naprawienia.

– Czy Connor przeżyje? – zapytał lodowato.

– Tak – odparł Astaroth – ale nauczył się, że mali chłopcy nie powinni wtrącać się w duże sprawy. A ty, odebrałeś swoją nauczkę?

– Zobaczymy – odpowiedział Max.

– Zobaczymy.

Astaroth spojrział na księgę z uwielbieniem, jakby była jego ulubioną lekturą do poduszki. Po paru chwilach znowu podniósł wzrok na Maksa. Przez jego twarz przemknął uśmiech i Demon szepnął jedno słowo. Kiedy je wypowiedział, zaszumiał łagodny powiew wiatru. Na oczach Maksa Astaroth i jego armia zaczęli blednąć. Chwilę później już ich nie było – znikli, rozwiali się niczym mgła i dym.

Kilka dni później Max siedział na brzegu stawu i patrzył, jak w powolnym pochodzie ludzie wraz z całym ekwipunkiem wracają przez Sanktuarium do kampusu. Przed nim, na zabranym z Sidh gobelinie, lśniły w słońcu szczątki Gae Bolga. Gdy Max wziął do ręki jeden z większych odłamków starożytnej włóczni, tafla wody złamała się nagle.

Przyplotnęła Frigga.

Najpierw zafurczał jej powolny, długi wydech, potem selkie nabrała powietrza, a jej oczy przyzwyczajały się do jaskrawego światła.

– Ależ to daleko – wydyszała w końcu, zamrugła oczami, zaczerpnęła powietrza i wypłynęła na powierzchnię jak ogromny korek. Nie minęła sekunda, a obok niej pojawił się jedwabisty łeb Helgi. Drugiej selkie przyzwyczajanie się do powietrza i światła również zajęło dobrą chwilę. Trochę dłużej potrwało, nim obie siostry przywykły do widoku zrujnowanego Sanktuarium.

Cały las na terenie Rowan był spalony. Wszędzie leżały szczątki bydła – ciała obrane do czysta z mięsa, kości bielejące na czarnej, spalonej ziemi. Z tyłu za Makssem sterczał z ziemi zwęglony szkielet Chatki Rozgrzewania. W Sanktuarium panowała niezwykła cisza, nie było tu widać żadnego ruchu poza przesuwającą się powoli procesją. Nie trzepotały skrzydłami ptaki, wiatr nie zginał wysokich traw, ze wzgórz nie odzywało się żadne zwierzę.

Helga nie mogła znaleźć słów, za to Frigga nastrojona

była filozoficznie.

– Jest źle – powiedziała, pod wpływem bliżej Maksa.

– Jest strasznie – mruknął chłopiec. – Nie mogę się nawet zmusić do tego, by spojrzeć na resztę kampusu. Słyszałem, że Domostwo po prostu nie istnieje, zmiecione z powierzchni aż po fundamenty.

– Och – jęknęła Frigga i odwróciła wąsaty pysk w kierunku tunelu Sanktuarium, którego właściwie też nie było, gdyż pozostał z niego tylko zrujnowany fragment muru.

Maksowi wszystko to wydawało się nagie i beznadziejne, pozbawione dawnego majestatu bez tworzących tajemnicze przejście drzew i zarośli, stratowanych i wypalonych w czasie pożaru.

Frigga wydała dźwięk, który można by uznać za westchnienie, po czym znowu zwróciła się do Maksa.

– Gdzie byłeś cały rok? – zapytała. – Nasz Max zrobił się taki duży i ważny, że nie odwiedza już Friggi i Helgi.

– Nie – szybko odpowiedział chłopiec. – Nie, to nie tak. Po prostu nie bywałem w tym roku tu, w Rowan, za często. – Wrócił myślami do rejsu „Erasmusem”, do ciepłej kuchni Lorców i do podróży na pokładzie „Pustułki” do tajemniczej krainy Sidh. Spojrzał na czerwone znamię na swoim nadgarstku. – Więcej podróżowałem i widziałem, niż bym chciał, Friggo. Nie jestem nawet pewien, czy możecie mnie wciąż nazywać „swoim” Maksem...

Olbrzymie selkie w mgnieniu oka wygramoliły się z

wody i ułożyły w słońcu po obu jego stronach, tak samo, jak w dniu, gdy po raz pierwszy pojawił się w Rowan. Maks na chwilę dał się ogarnąć nostalgii. Tylko na chwilę jednak – otrzeźwiał bowiem w oka mgnieniu, gdy potężna mokra płetwa klepnęła go w tył głowy.

– To żadna wymówka – warknęła Frigga. – Zawsze będziesz naszym Maksem. I tyle.

Podziękowania

Drugie obelżenie jako drugi tom serii i moja druga książka postawiło mnie przed wieloma poważnymi wyzwaniami. Głównym z nich stało się rozwinięcie postaci dotychczasowych bohaterów, wprowadzenie nowych, przyspieszenie tempa akcji Gobelinu i zwiększenie rozmachu opowieści. Napisanie i zilustrowanie jej w założonym sobie terminie, bez przerywania pracy w szkole, okazało się największym wyzwaniem, przed jakim w życiu stanąłem. Bez pomocy rodziny, przyjaciół, uczniów i kolegów z pracy moje zdrowie psychiczne z pewnością doznałoby przy tym znacznego uszczerbku. Jest wiele osób, którym chciałbym podziękować. Są to: Sean Carroll i Lisa Tarter, Christopher i Kirstin Casgar, Scott i Loretta Dahnke, Lesley Dalton, Jacquite Duncan, Michael i Catherine Farello, Heidi Hankins, Scott Kemper, Matt i Maya Markovich, Michael Markovich, Marylin Mawn, Ed i Betsy McDermott, John i Jennifer Neff, Victoria Neff, Travis Nelson, Jill Paganelli, Brian i Elizabeth Payne, Doug i Sarah Reed, Josh i Ryn Richards, Gordon i Krista Rubenstein, Orestes Tarajano, Gavin Turner i wszyscy moi koledzy nauczyciele oraz uczniowie z rodzinami ze Stuart Hall High School w San Francisco.

W szczególny sposób pragnę wymieni ć Nicholasa Eliopulosa, mojego redaktora w Radom House, któremu

jestem głęboko wdzięczny za wspaniałe przyjęcie mojej pracy i cierpliwą do niej zachętę. Ta postawa miała bezpośredni wpływ na proces kształtowania drugiego tomu, a przede wszystkim na to, że książka w ogóle powstała.

Fakt, że Nick zawsze potrafi działać z wdziękiem i humorem, jest dla mnie ogromnie imponujący i pouczający.

Na koniec dziękuję mojej mamie, Terry Neff Zimmerman. Bez jej nieustrudzonego wsparcia i trafnych podpowiedzi Max McDaniels i David Menlo zapewne nie pokonaliby Atlantyku, nie zjechali w czeluści podziemnego świata Warsztatu we Frankfurcie i nie odbyliby – dosłownie – podróży w zaświaty...

O Autorze

Henry H. Neff uczy historii i sztuki w szkole średniej w San Francisco. Drugie oblężenie to kontynuacja Psa z Rowan, jego pierwszej powieści. Autor zachęca do odwiedzania jego strony internetowej:

www.henryhneff.com.